SOKRAT JANOWICZ

PISARZ TRANSGRANICZNY

САКРАТ ЯНОВІЧ

Sokrat Janowicz

Pisarz transgraniczny

*

studia
wspomnienia
materiały

Sokrat Janowicz

Pisarz transgraniczny

*

Studia Wspomnienia Materiały

*

Pod redakcją naukową
Grażyny Charytoniuk-Michiej
Katarzyny Sawickiej-Mierzyńskiej
Danuty Zawadzkiej

*

Wstęp
Grażyna Charytoniuk-Michiej
Elżbieta Dąbrowicz
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska
Danuta Zawadzka

Trans Humana
Białystok 2014

Recenzent
prof. dr hab. Wanda Supa

Projekt okładki,
opracowanie graficzne,
skład
Andrzej Zawadzki

Redakcja językowa
Grażyna Charytoniuk-Michiej
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska
Danuta Zawadzka

Korekta
Anna Szerszunowicz
Helena Głogowska

W książce wykorzystano fotografie pochodzące ze zbiorów Bogdana Dudko oraz Jana Leończuka.
Zdjęcie na okładce: Michał Kość

© Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Wydział Filologiczny,
Zespół Badań Regionalnych – Katedra Kultury Białoruskiej

© Copyright by Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza,
Oddział Białostocki

© Copyright by Stowarzyszenie Trans Humana
Białystok, ul. Świerkowa 20, 15-328 Białystok, tel./fax 857-457-286; tel. 857-457-423
http://pip.uwb.edu.pl/transhumana; e-mail: transhum@uwb.edu.pl

Wydanie I

Książkę wydano przy pomocy finansowej Prezydenta Miasta Białegostoku
oraz ze środków Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku.

Płyta z audycją o Sokracie Janowiczu została sfinansowana przez Białoruskie Radio Racja

РАЦЫЯ

Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Białystok 2014

ISBN 978-83-64817-03-8

Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny. Wstęp 7

I. Przed Janowiczem

1. Elżbieta Dąbrowicz, *Naród w jednej osobie* 21
2. Marcin Lul, *Białoruskie monstra w domu szlachcica Zawalni (z Sokratem Janowiczem w tle)* 33

II. Studia nad twórczością Sokrata Janowicza

3. Elżbieta Rybicka, *„Prześniona rewolucja" na peryferiach. Przypadek Sokrata Janowicza* 49
4. Dariusz Kulesza, *To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza* 59
5. Галіна Тычко, *Калядная зорка Сакрата Яновіча* 85
6. Danuta Zawadzka, *Wynajdywanie tradycji – uwagi o pisarstwie historycznym Sokrata Janowicza* 97
7. Anna Sakowicz, *Wokół bohatera opowieści „Srebrny Jeździec" Sokrata Janowicza* 113
8. Zbigniew Chojnowski, *Wyobraźnia przestrzenna w prozie Sokrata Janowicza* 123
9. Elżbieta Konończuk, *Poetyka miasta. Białystok Sokrata Janowicza* 133
10. Beata Siwek, *Studium samotności i alienacji. O powieści „Ściana" Sokrata Janowicza* 149
11. Jolanta Sztachelska, *Sokrat Janowicz – odzyskać siebie* 161

III. Spotkania interkulturowe – recepcja i przekład

12. Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, *Polskie recenzje twórczości Sokrata Janowicza jako przestrzeń spotkania kolonialnego* 179
13. Grażyna Charytoniuk-Michiej, *Obecność Sokrata Janowicza na Białorusi. O potrzebie badań nad recepcją pisarza* 195
14. Anna Sobecka, *Sokrat* 203
15. Lucyna Aleksandrowicz-Pędich, *„Miniatury" Sokrata Janowicza w przekładzie na język angielski Shirin Akiner* 221

IV. Archiwalia

16. Sokrat Janowicz, *Stulecie oszołomów* (fragmenty książki *Хатняе стагоддзе* w tłumaczeniu Jarosława Janowicza) 233
17. *Listy Sokrata Janowicza do Jana Leończuka* (wybór) 249
18. Сакрат Яновіч, *Максімы* (zebrane przez Witala Karnialuka) 263
19. Віталь Карнялюк, *Слова пра Сакрата* [wywiad z Janowiczem] 265

20. Юрка Ляшчынскі, *У Беларусі не народ стварае дзяржаву, а дзяржава народ* [wywiad z Janowiczem] **287**
21. Ганна Запартыка, *„Каб не шукалі свайго ў чужых. Па старонках архіўнага фонду Сакрата Яновіча* **291**

V. ŚWIADECTWA, WYWIADY, PAMIĄTKI

22. Katarzyna Pacuk, *Studenckie „ocalić od zapomnienia”* **301**
23. Jan Maksymiuk, *Sokrat Janowicz i zagony pamięci* **307**
24. Radosław Romaniuk, *W stronie Sokrata. Na marginesie prozy i eseistyki Sokrata Janowicza*.... **319**
25. Анатоль Брусевіч, *Камень, кінуты ў ваду: некалькі штрыхоў да партрэта Сакрата Яновіча* **327**
26. Jerzy Plutowicz, *Przejścia nie ma* **335**
27. Алесь Тарановіч, *У Крынках у Сакрата* **343**
28. Сяргей Чыгрын, *Аб гэтым казаў мне Сакрат* **351**
29. Кастусь Бандарук, *Жаль, што ужо пражытае* **357**
30. Dariusz Kiełczewski, *Droga na Ostrołękę. Moje spotkanie z Sokratem Janowiczem* **365**
31. Krzysztof Gedroyć, *Polscy i ruscy patrzą na siebie* **375**
32. *Głęboka analiza współrzędnych.* Rozmowa z Leonem Tarasewiczem **381**
33. *Więcej takich sosen tu nie ma.* Rozmowa z Michałem Androsiukiem **403**
34. *Noszę w sobie testament Sokrata.* Rozmowa z Jerzym Chmielewskim **425**
35. *Po stronie tutejszości jestem całym sercem.* Rozmowa z Ignacym Karpowiczem **441**
36. *Gawęda o zastodolnym języku.* Rozmowa z Janem Leończukiem **455**
37. *Taki białoruski „swój chłop”.* Rozmowa z Waldemarem Smaszczem **465**
38. *Te Polaki z Koła Polonistów.* Rozmowa z Bogdanem Dudko **485**
39. Jan Maksymiuk, *Sokrat Janowicz: koniec epoki klasycznej* **495**
40. Michał Stankiewicz, *Jezus Chrystus nie obroni w mrocznym lesie* **499**
41. Mira Łuksza, *Sokrat* **503**

Indeks osobowy **505**
Паказальнік імёнаў **511**
Nota bibliograficzna **514**
Noty o autorach **515**

Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny. Wstęp

1. Od „ziemi Przechodów" do transgranicza. Janowicz wobec tradycji regionu

Mając na uwadze Krynki jako punkt wyjścia i punkt dojścia trajektorii życiowej Sokrata Janowicza, można by powiedzieć, że nie udało mu się zajść daleko. Raptem z Krynek do Białegostoku i z powrotem. W gruncie rzeczy jednak odbył drogę długą i forsowną, wymagającą pokonywania wielu barier i zakrętów, drogę bardzo szczególną przy tym, bo prowadzącą – jak niegdyś mawiano – na Parnas. Nie ma bowiem wątpliwości co do tego, że Janowicz zostawił po sobie wartościowy dorobek literacki. O jego randze przesądza jednak nie sama, szacowana wedle kryteriów estetycznych, jakość dzieła, lecz przynależność pisarza zarówno do kultury białoruskiej, jak i polskiej, transgraniczny charakter Sokratowej twórczości.

Na początku więc były Krynki – mieścina, w której od dziecka mówiło się po białorusku, niewiele o tym myśląc. Na końcu znów Krynki, ale inne, mniej białoruskie w swojej codzienności, za to więcej niż białoruskie dzięki inicjatywom Villi Sokrates: cyklicznym „Trialogom", kolejnym edycjom rocznika „Annus Albaruthenicus".

W tamtej wcześniejszej swojej wersji Krynki leżały na szlaku, po którym nieraz przetaczała się wielka Historia, jednych mieszkańców unicestwiając, innym zaś niwecząc dorobek życia, skazując na tułaczkę. W domu Sokrata pamiętano o „bieżeństwie" z czasów pierwszej wojny światowej. Podczas drugiego światowego konfliktu z kolei jego ojciec wzięty do niewoli trafił do Niemiec. W autobiograficznej *Dolinie pełnej losu* pisarz wspomina o chłopskim przeżywaniu zmieniających się frontów: „Po każdym froncie jacyś inni dobijali się do dźwierzy przed północą. Wojują jedni przeciwko drugim, drudzy przeciwko trzecim, a ty, gospodarzu, karm ich, obuwaj, i odziewaj. I o zapłatę nie pytaj"[1]. Na tym obszarze – na „ziemi przechodów"[2] – trudniej niż gdzie indziej było o bezpieczeństwo

[1] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993, s. 3.

[2] O tym sformułowaniu zob. E. D ą b r o w i c z, *„Ziemia przechodów". Migracje i kultury lokalne w piśmiennictwie polskim XIX–XXI w. Ekskurs*, w: *Nowy regionalizm w badaniach literackich. Badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, red. M. Mikołajczak, E. Rybicka, Kraków 2012.

i stabilizację. Mieszkańcy przechodnich rejonów dobrze znali obrazy analogiczne do tych, które zarejestrował choćby Wasilij Grossman:

> Myślałem, że widziałem już odwrót, ale takiego jeszcze nie widziałem i nawet sobie nie wyobrażałem. Exodus! Biblia! Samochody jadą w ośmiu rzędach, rozpaczliwe wycie dziesiątków jednocześnie wyrywających się z błota ciężarówek. Polem pędzą ogromne stada owiec i krów, dalej skrzypią konne tabory, tysiące podwód krytych kolorowym płótnem, dyktą, blachą, na nich uchodźcy z Ukrainy, jeszcze dalej idą tłumy pieszych z workami, tobołkami, walizkami. To nie strumień ani rzeka, to powolny ruch płynącego oceanu, jego szerokość – setki metrów w prawo i w lewo. Spod rozpiętych na podwodach baldachimów wyglądają białe i czarne dziecięce głowy, biblijne brody żydowskich starców, chusty chłopek, czapki ukraińskich dziadków, czarnowłose dziewczęta i kobiety. A jaki spokój w oczach, jaki mądry smutek, jakie poczucie przeznaczenia, światowej katastrofy![3]

W „przechodach" 1920 roku uczestniczył Izaak Babel, ulubiony autor Janowicza, a on sam stał się z czasem świadkiem i uczestnikiem innego przejścia – powojennego exodusu Białorusinów do miasta. Jako pisarz „ziemi przechodów" ma nam autor *Samosieja* jeszcze niejedno do powiedzenia. W tej perspektywie przyjdzie go jednak zobaczyć kiedy indziej, najpierw bowiem wymaga rozpoznania kwestia bardziej elementarna – krąg zagadnień związanych z jego tożsamością narodową.

Przez pierwszych kilkanaście lat życia Janowicz był jednym z wielu zamieszkujących Białostocczyznę etnicznych Białorusinów, w ostatnim okresie – kimś jedynym w swoim rodzaju, kim się stał przez swoją twórczość i wybory światopoglądowe. Odbył zatem drogę od białoruskości siebie nieświadomej, realizującej się w wymiarze lokalnym, do białoruskości traktowanej jako zadanie, ekspansywnej, śmiało upominającej się o miejsce i szacunek w Europie. Między tymi dwiema skrajnymi formami bycia Białorusinem próbował Janowicz innych jeszcze wariantów tożsamości, ściślej przylegających do realiów PRL-owskich. Przejściowo należał wszak do Białorusinów hołubionych od 1956 roku przez władze komunistyczne. Ale też jako pisarz zaznał wielu lat niełaski ze strony partyjno-państwowego mecenasa, kiedy zdecydował się na zerwanie współpracy z SB. Na całą drogę twórczą Sokrata można więc spojrzeć jako na żmudne wybijanie się na białoruskość w wersji mocnej, narodowej, znajdującej oparcie w „tysiącletnich" tradycjach ruskich, pieczołowicie rekonstruowanych przez autora *Białorusi, Białorusi* w konfrontacji z perspektywą polonocentryczną. Punkt dojścia w wieloletniej pracy nad białoruskością stanowią spotkania trialogowe, zainaugurowane na fali transformacji w latach 90. XX wieku. Chodzi w nich o białoruskość w formule nowoczesnej, wolną od kompleksów, otwartą

[3] *Pisarz na wojnie: Wasilij Grossman na szlaku bojowym Armii Czerwonej 1941–1945*, oprac. A. Beevor i L. Winogradowa, przeł. M. Antosiewicz, Warszawa 2006, s. 47.

na Europę i Europie potrzebną. W kwestii rozmaitych „narodowotwórczych" zabiegów Janowicza książka o pisarzu transgranicznym przynosi istotne rozpoznania.

Elżbieta Dąbrowicz

2. Sokrat Janowicz w białostockim życiu literackim

Przeprowadzone wywiady, zwłaszcza z Waldemarem Smaszczem, Bogdanem Dudko i Janem Leończukiem, a także listy Sokrata Janowicza do tego ostatniego, uświadamiają i przypominają, jak ważną rolę pełnił pisarz w białostockim środowisku literackim oraz jak rozległe były jego kontakty z polskimi i białoruskimi literatami (chodzi o twórców działających na Białorusi). Każda z przeprowadzonych rozmów dotyczy innego okresu aktywności Janowicza – Smaszcz skupia się na latach 1974–1981, Leończuk sięga pamięcią do połowy lat 80., natomiast Dudko, jako reprezentant młodszego pokolenia (rocznik 1968), relacjonuje znajomość z pisarzem rozpoczętą już w realiach wolnej Polski, po 1989 roku.

Niejako symultanicznie wobec tych narracji prowadzone są opowieści Leona Tarasewicza, Michała Androsiuka i Jerzego Chmielewskiego, w których autor książki *Białoruś, Białoruś* pojawia się jako inicjator, animator i patron działalności kulturalnej, literackiej, a nawet politycznej podlaskich Białorusinów. W przypadku właściwie wszystkich rozmówców przywołanie postaci Janowicza staje się przyczynkiem do rozważań na temat własnej tożsamości, nie dziwi zatem, że bywa on wskazywany jako osoba, która patronowała rozbudzeniu białoruskiej świadomości także na poziomie indywidualnych biografii. Tu znaczące wydaje się świadectwo Chmielewskiego, pełniącego do końca życia pisarza funkcję jego nieoficjalnego sekretarza i bliskiego współpracownika, czy wyznanie Androsiuka, niejako namaszczonego przez Sokrata na poetę. Mamy zatem okazję, by przypomnieć sobie, że Janowicz był, w momencie powstawania czasopisma (1956 r.), jednym z najważniejszych dziennikarzy „Niwy", że był współtwórcą „Czasopisu", działaczem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, jednym z założycieli Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża"[4] (istnieje nieprzerwanie od 1958 r.), kandydatem do Senatu RP z ramienia Białoruskiego Komitetu Wyborczego (1989 r.), przewodniczącym Białoruskiego Stowarzyszenia Demokratycznego (w latach 1990–1992), pomysłodawcą i organizatorem „Trialogu" w Krynkach (pierwszy odbył się w 1999 r.), redaktorem i wydawcą, że miał swój udział w powstaniu Festiwalu Muzyki Młodej Białorusi „Basowiszcza"

[4] Na temat historii BSL „Białowieża" zob. np. T. Z a n i e w s k a, *Pejzaże pamięci*, w: tejże, *Podróż daremna. Szkice o poezji białoruskojęzycznej w Polsce*, Białystok 1992, s. 14–24.

(1990 r.). Nie są to oczywiście fakty nowe (chociaż o tym, że Janowicz pomagał przy pisaniu tekstów piosenek dla białoruskiego zespołu rockowego RF Braha, nikt, zdaje się, wcześniej nie wspominał), ale zebrane w jednym miejscu, przepuszczone przez pryzmat osobistych wspomnień i emocji świadków, współtwórców czy współuczestników wszystkich tych inicjatyw, nabierają dodatkowych znaczeń.

Dzięki wymienionym wyżej polskim rozmówcom (Smaszcz, Leończuk, Dudko) mamy jednak okazję przypomnieć sobie, że Janowicz był postacią ważną nie tylko dla białoruskiego, ale też polskiego środowiska literackiego na Podlasiu. To on, będąc członkiem Związku Literatów Polskich od 1970 r. (w tym samym roku członkami ZLP zostali Edward Redliński i Jan Czykwin), po latach działania w Korespondencyjnym Klubie Młodych Piór w Białymstoku, został współzałożycielem białostockiego Klubu Literackiego ZLP przy Oddziale ZLP w Olsztynie (klub powstał w 1976 r.) i dwukrotnie pełnił funkcję jego prezesa (po nim przejął ją Wiesław Kazanecki). Warto przywołać jedną z inicjatyw Klubu – dwie edycje pisma *Rewers*, które miało stanowić rodzaj kroniki jego działalności. Na uwagę zasługuje zwłaszcza numer drugi z marca 1979 r., którego twórcami byli, obok Janowicza, Jan Czykwin, Jan Leończuk i Waldemar Smaszcz. Była to publikacja dwujęzyczna, polsko-białoruska, w której znalazły się teksty m.in. Jerzego Plutowicza, Nadziei Artymowicz, Erwina Kruka, Tadeusza Różewicza czy Stanisława Grochowiaka. Niestety, choć taki był zamiar autorów, kolejne numery periodyku się nie ukazały. Podczas jednego ze spotkań Klubu odbyła się dyskusja nad książką *Białoruś, Białoruś*. Działalność Klubu została zawieszona w stanie wojennym, reaktywowano ją w 1986 r., z Eugeniuszem Kurzawą jako prezesem. Pełnił on tę funkcję aż do 1989 r., gdy w Białymstoku powstał samodzielny Oddział ZLP. W ZLP, zarządzanym przez Władysława A. Serczyka, Janowicz był przewodniczącym sądu koleżeńskiego[5].

Przywołanie tych faktów uświadamia, że przeszłość podlaskiego środowiska literackiego domaga się nowej opowieści, już nie symultanicznej, relacjonującej osobno dzieje polskich i białoruskich twórców i organizacji, ale traktującej je jako wspólne, podlaskie dziedzictwo kulturowe. Historycznoliterackiego uporządkowania wymaga też obecność podlaskich pisarzy w ogólnopolskim obiegu literackim – opublikowane w książce rozmowy i listy przypominają o kontaktach Janowicza z Wiesławem Myśliwskim czy Stanisławem Srokowskim. Jak mówi w wywiadzie Bogdan Dudko, Janowicz lubił towarzystwo twórców „Kartek", bo w nim mógł się czuć po prostu literatem, a nie przywódcą duchowym podlaskich Białorusinów. Może warto zatem spojrzeć na jego dorobek i działalność także z tej perspektywy.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska

[5] Na temat historii stowarzyszeń literackich w Białymstoku zob. E. Szulborski, *Kształtowanie się środowiska literackiego w Białymstoku*, „Białostocczyzna" 1999, nr 4, s. 113–134.

3. Obecność Janowicza w Europie, Białorusi, Polsce i w regionie

Dla badaczy literatury białoruskiej, jej znawców i czytelników na pewno jedną z najważniejszych postaci jest Sokrat Janowicz. Na miano to zasłużył nie tylko dzięki twórczości, ale i działalności literacko-organizacyjnej i społecznej na rzecz kultury własnego narodu. Był przecież aktywny, mimo wielu przeszkód, przeciwności losu, przez całe swoje życie. Warto przypomnieć, że na polu literackim zaistniał najpierw w Białymstoku, wśród „swoich" i dla „swoich", po białorusku. Debiutował bowiem w 1956 r. na łamach tygodnika Białorusinów w Polsce „Niwa", był członkiem i współpracownikiem Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża". To w Białymstoku, w wydawnictwie Zarządu Głównego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, w 1969 r. ukazał się jego debiutancki tom *Zahony*. Jednak pisarz z Krynek w stosunku do własnej twórczości i literatury białoruskiej w ogóle miał większe ambicje. Zależało mu na przekroczeniu granic małej Ojczyzny, wyjściu poza granice „swojego". Działalność organizacyjna Janowicza w ramach Związku Literatów Polskich dała szansę na poznanie atmosfery polskiego życia literackiego i zbliżenie z literaturą polską w osobach jej twórców, krytyków, wydawców. To nie gdzie indziej, ale właśnie w Polsce, raczej poza Białymstokiem, ukazywały się książki – bądź co bądź – twórcy białostockiego. Były to przekłady z białoruskiego, które wychodziły w liczących się wydawnictwach jeszcze przed 1989 r. I tak w wydawnictwach warszawskich ukazywały się kolejno: *Wielkie miasto Białystok* (Iskry, 1973), *Małe dni* (Czytelnik, 1981), *Samosiej* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1981), *Srebrny Jeździec* (Czytelnik, 1984) i polskojęzyczna *Białoruś, Białoruś* (Iskry, 1987). Poza stolicą, Ossolineum we Wrocławiu wydało *Zapomnieliska* (1978), olsztyńskie Pojezierze – *Ścianę* (1979), a Krajowa Agencja Wydawnicza w Białymstoku – *Trzecią porę* (1983). Nie oznacza to, że pisarz nie tworzył po białorusku. (Bo przecież dla słowa białoruskiego w jego piórze nigdy nie zabrakło atramentu.) Wypada dodać, że po roku 1989 coraz więcej Janowicza wydawano w Białymstoku, po polsku i po białorusku.

Sokratowi Janowiczowi najbardziej zależało na przekroczeniu jeszcze jednej granicy. Jako twórca chciał zaistnieć w Ojczyźnie etnicznej, na Białorusi. Mimo tego, że do końca nie pogodził się z istniejącym tam systemem, z niepierwszorzędnym traktowaniem języka białoruskiego, zawsze jednak żył nadzieją, że przyjdą lepsze czasy, że język białoruski i literatura białoruskojęzyczna stanie się dominująca. Bo właściwie gdzie, jak nie na Białorusi, powinno się czytać, wydawać, opisywać i badać tę literaturę. W niemałym gronie twórców literatury białoruskiej Białorusi chciał znaleźć się i on, białoruski pisarz z Polski. Dzięki kontaktom, które nawiązał z literatami białoruskimi jako pracownik Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, na Białorusi zostały wydane trzy jego książki. Były to przekłady *Srebrnego Jeźdźca* (1978), *Samosieja* (1992), *Ściany*

(1997). Wszystkie ukazały się nakładem wydawnictwa „Mastackaja litaratura" w Mińsku. Sokrat Janowicz wierzył, że jego twórczością zainteresują się białoruscy badacze literatury. Chyba z tą myślą przekazał właśnie na Białoruś największą część swojego bogatego archiwum. Niezwykle cenne pamiątki po pisarzu z Krynek znajdują się dzisiaj muzeach i archiwach w Grodnie i Mińsku.

Sokrat Janowicz przekroczył jeszcze jedną granicę, chciał zaistnieć w Europie. Stało się to najpierw dzięki tłumaczeniom jego sokratek-miniatur, które okazały się wyróżniającym go gatunkiem literackim. W 1984 r. ukazały się w Londynie *Miniatures* w przekładzie na język angielski Shirin Akiner. W 1997 r. w Wenecji zostały wydane *Miniature*, które na język włoski przetłumaczyła Tamara Andruszkiewicz. Ale białoruskiemu pisarzowi zależało nie tylko na jego własnej obecności w zjednoczonej Europie. Chciał on, żeby Europa wiedziała o literaturze białoruskiej w ogóle. Stąd pomysł „Trialogów Białoruskich", które od końca ubiegłego wieku odbywały się w Łapiczach, niedaleko granicy polsko-białoruskiej. Do tej wsi zapraszał literaturoznawców, kulturoznawców, socjologów, historyków z Białorusi, Europy i Polski. To na prowincji odbywały się niezwykłe dyskusje o Białorusi i literaturze białoruskiej. Goście przyjeżdżali przede wszystkim dla Sokrata, dla jego barwnych opowieści, niezwykłych stwierdzeń, ważkich decyzji. To dzięki niemu powstał rocznik „Annus Albaruthenicus", czyli „Rok Białoruski", w którym teksty autorów europejsko-białoruskich pojawiały się w różnych językach, a literatura białoruska była publikowana w wielu językach europejskich. W ten sposób Sokrat Janowicz próbował skutecznie wprowadzić literaturę, szerzej – kulturę białoruską na orbitę europejską, a kto wie, czy nie światową. Nie ulega wątpliwości, że Sokrat Janowicz bardzo wiele zrobił dla literatury białoruskiej. Dzięki niemu w pewnym sensie zaistniała w Polsce, Europie i na świecie. To jego niezwykła osobowość przyczyniła się do tego, że Krynki stały się centrum literatury białoruskiej w Polsce.

Grażyna Charytoniuk-Michiej

4. Pisarz dwujęzyczny, tożsamości transgraniczne. Aktualność Janowicza

Sokrat Janowicz był pisarzem dwujęzycznym i w tym sensie szczególnie może bliskim doświadczeniu współczesnego człowieka, edukowanego już od przedszkola do życia w świecie wielu języków. On sam nie podkreślał swego bilingwizmu, uważał się za pisarza białoruskiego w Polsce – i z czasem, po 1989 r., coraz bardziej to akcentował. Zarazem jednak biegle władał obydwoma językami, ukończył studia polonistyczne i przywiązywał sporą wagę do posługiwania się staranną polszczyzną. Recz jasna, dwu- czy wielojęzyczność nie pozostaje dzisiaj bez wpływu na tożsamość – przyjmuje ona wtedy formy złożone i hybrydyczne – zwłaszcza w przypadku pisarza, który w języku wyraża nie tylko świadomość

indywidualnej przynależności narodowej, etnicznej, kulturowej, ale buduje opowieść tożsamościową swojej wspólnoty. Jednak reprezentowanie narracji białoruskiej, w tym jej spójności, nie zawsze szło u Janowicza w parze z otwartym i pełnym wykorzystaniem możliwości językowych.

Nieeksponowanie bilingwizmu, stosunek Janowicza do własnej dwujęzyczności wynikał do pewnego stopnia z naturalności tego rodzaju kompetencji, charakterystycznej dla terenów objętych dyglosją, tj. zamieszkałych przez mniejszość jasno odgraniczającą sfery używania własnego języka etnicznego od tych, w których posługuje się ona – traktowaną jako „wyższa" – mową większości/otoczenia. Elżbieta Smułkowa, opierając się na klasyfikacji Joshui Fishmana, uznała właśnie pogranicze polsko-białoruskie za klasyczny przykład terytorium objętego dyglosją:

> [...] w tych wsiach, w których na co dzień mówi się *po prostu*, czyli jedną z gwar białoruskich. Od kilku już bowiem pokoleń wytworzył się tam bowiem taki uzus, że gwara obsługuje sferę życia prywatnego, rodzinno-sąsiedzkiego, zaś do kontaktów zewnętrznych, z obcym przybyszem lub osobami, stojącymi wyżej w hierarchii społecznej (np. nauczyciel ze szkoły polskiej, ksiądz katolicki, lekarz, urzędnik itp.), używa się języka polskiego. Ludność jest więc dwujęzyczna, a funkcje obu języków – wyraźnie zwyczajowo i społecznie rozgraniczone. Jest to więc bilingwizm z dyglosją[6].

Dyglosja, oparta na funkcjonalnej komplementarności jakby dwu monolingwistycznych i traktowanych hierarchicznie obszarów, może sprzyjać zacieraniu wrażenia wielojęzyczności i redukować sytuacje wymagające przekładu jednego świata językowego na inny. Mówią o niej również inni Autorzy tej książki, jak Michał Androsiuk czy Jan Leończuk, który „gwarę" nazywa „zastodolnym językiem" i nie upatruje w niej alternatywy dla polszczyzny. W wypadku Janowicza nieakcentowanie dwujęzyczności wypada też wiązać z pozycją autorytetu troszczącego się o podwyższanie statusu mowy białoruskiej i świadomością wyznaczania wzorów – również językowych – własnej wspólnocie. O dyglosyjnym podziale Janowicz czasem mówił w odniesieniu do swojego pisarstwa: po białorusku miał on tworzyć prozę i wypowiadać się jako artysta, polszczyzna zaś służyła zarabianiu pieniędzy, przeznaczona była do eseistyki historycznej i publicystyki. Znamiennie jednak, że pisarz odwraca tu dyglosyjną hierarchię: większościowa polszczyzna nie odgrywa roli mowy „wyższej", a tylko oficjalnej i dalszej, zaś „niższy", w perspektywie społecznego prestiżu, język białoruski staje się mową intymną, bliską, wewnętrzną.

O Janowiczu jako tłumaczu z białoruskiego wspomina w swoim eseju Anatol Brusiewicz, można natomiast uznać, że autor *Srebrnego Jeźdźca* unikał przekładania własnych utworów literackich na język polski. Często się podkreśla,

---

[6] E. Smułkowa, *Dwujęzyczność po białorusku: bilingwizm, dyglosja czy coś innego?* w: *Język i tożsamość na pograniczu kultur*, red. E. Smułkowa i A. Engelking, Białystok 2000, s. 92.

że Janowicz miał szczęście do polskich tłumaczy, przekładali go znani w kraju i regionie poeci, pisarze oraz wytrawni praktycy sztuki translacji, a nawet jeśli ktoś nie dysponował wielkim doświadczeniem, to przekład zwykle okazywał się udany. Zgromadzone w tomie dokumenty rzucają nieco światła na tajemnicę owego szczęścia, pokazują bowiem, jak wielką troską otaczał Janowicz pracę tłumaczy, upominał się o muzykę zdania, nie szczędził pochwał i nie krył rozczarowań, pozostawał w intensywnym, pełnym emocji kontakcie listowym. Podobną wrażliwość na zróżnicowanie semantyczne i stylistyczne dzieła, chęć znalezienia maksymalnie adekwatnego ekwiwalentu, nieskrywaną przyjemność w pracy ze słowem redaktorki tej książki miały okazję obserwować u Jarosława Janowicza, który zdecydował się w niej ogłosić fragmenty przekładu (anty)powieści swego Ojca *Stulecie oszołomów.* Z listów do Anny Sobeckiej (cytowanych w jej eseju) oraz do Jana Leończuka można wyczytać kilka interesujących rysów autorskiej, Janowiczowej teorii przekładu, czasem dość paradoksalnej. Z jednej strony za atut kandydata na tłumacza, w tym wypadku Jana Leończuka, uważał naturalne związki z żywiołem białoruskim, np. dorastanie w społeczności posługującej się na co dzień językiem „tutejszym". Z drugiej jednak, bardzo się burzył, kiedy zauważył w pracy tłumacza „uleganie oryginałowi", tj. białorutenizmy. W zasadzie paradoks wydaje się pozorny: Janowicz protestował w sytuacji, w której tłumacz – zwiedziony powierzchownym podobieństwem pomiędzy białoruskim i polskim słowem – decydował się nie przekładać, a powtarzać język oryginału.

Przekład jest zawsze spotkaniem interkulturowym – co pokazuje m.in. Lucyna Aleksandrowicz-Pędich w tekście o tłumaczeniu miniatur Janowicza na angielski dokonanym przez Shirin Akiner – dzięki zaś tłumaczowi dochodzi do zbliżenia nie tylko dwu odmiennych pod względem językowym utworów, ale również reprezentowanych przez nie światów i światopoglądów. W liście zapraszającym do współtworzenia naszej książki nazwaliśmy Janowicza „drogmanem (pośrednikiem i tłumaczem pomiędzy Białorusią a kulturą polską i dalej – Zachodem)", mając wówczas na myśli przede wszystkim dosłowną realizację tej misji: komparatystyczne „Trialogi" oraz redagowanie przez prozaika z Krynek wielojęzykowego almanachu „Annus Albaruthenicus". Misja drogmana sięga jednak w przypadku Janowicza znacznie głębiej, poza działania czysto translatorskie czy instytucjonalne, ku fundamentom jego pisarskiej profesji oraz elementarnym uwarunkowaniom historycznym i egzystencjalnym. Bowiem, zdaniem Marii Krysztofiak, w przypadku „twórców wychowanych na styku wielu kultur, dla nich świadomość życia w kilku rzeczywistościach językowych równocześnie jest zjawiskiem oczywistym, dlatego też to oni z racji swego pochodzenia czują się w obowiązku być pośrednikami między dostępnymi sobie kulturami"[7]. Komparatystyczne „u-dostępnianie" kultury białoruskiej krajom sąsiedzkim i Zachodowi oraz – jej samej, nie wynikało tylko z motywowanego pochodzeniem

[7] M. Krysztofiak, *Obraz kultury w przekładzie*, w: *Kultura w stanie przekładu: translatologia-komparatystyka-transkulturowość*, red. W. Bolecki, E. Kraskowska, Warszawa 2012, s. 229.

zobowiązania, lecz również z wyroków historii, fundującej częste zmiany terenom położonym na styku wielu kultur. Janowicz dzieli los innych komparatystów XX wieku („stulecia oszołomów" właśnie), o których Georg Steiner sądził – mając na uwadze przede wszystkim intelektualistów pochodzenia żydowskiego – że ich porównawcze pisarstwo „wyrosło z marginalizacji, z częściowego wykluczenia społecznego oraz etnicznego"[8], te zaś doświadczenia były rezultatem migracji, wysiedleń, wojennej tułaczki. Porównanie i przekład – ich naturalność, a nawet konieczność – nierzadko wynikają zatem z dyslokacji, przemieszczenia z jednej kultury do innej. Autor „sokratek" był migrantem z nadania awansu społecznego, nie oznacza to jednak, że ominęło go Steinerowskie wykluczenie, a co zatem idzie – misja zbliżania kultur. Bohaterowie Janowicza, jak Skrouba ze *Srebrnego Jeźdźca*, a przede wszystkim tytułowy *Samosiej*, krążący tam i z powrotem pomiędzy kolejno: średniowieczną Rusią a Polską, nowoczesnym, polonocentrycznym „wielkim miastem" a tradycyjną, białoruską wioską to podmioty, które „przemierzają kultury", zaś uporczywy powrót pisarza do tego typu transgranicznego bohatera, pośrednika-tłumacza, może oznaczać „swoisty sposób przepracowania doświadczenia dyslokacji, bolesny mariaż polityki i intymności"[9].

Danuta Zawadzka

Książka *Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny. Studia, wspomnienia, materiały* ma charakter mieszany, łączy bowiem walory recenzowanej publikacji naukowej, a nawet źródłowej, z luźniejszą, wspomnieniową formułą. W naszej opinii hybrydyczna forma książki dobrze oddaje swoiście transgatunkową postać pisarstwa Janowicza oraz jego osobowość: zainteresowania intelektualne, literaturę, organizację życia kulturalnego, politykę. Zaproszenie skierowaliśmy do wielu Autorów, nie wszyscy chcieli lub mogli się do niej włączyć – w rezultacie publikację współtworzą badacze (poloniści, białoruteniści, kulturoznawcy), pisarze i poeci, artyści, tłumacze, teatrolodzy, dziennikarze, studenci. Reprezentują ośrodki z Białorusi (Mińsk, Grodno, Słonim), polskie uniwersytety, placówki kultury i samych siebie (Kraków, Lublin, Warszawa, Białystok, Olsztyn, Łódź, Gdańsk, Wasilków, Waliły, Wojnówka, Gródek, Łubniki) oraz diasporę białoruską w Europie (Praga, Berlin).

Książka składa się z pięciu działów, otwiera ją część „Przed Janowiczem", a w niej dwa artykuły – Elżbiety Dąbrowicz i Marcina Lula – dotyczące tematu białoruskiego i tradycji literackiej, które autor *Terra incognita* zastał. Po niej następują „Studia nad twórczością Sokrata Janowicza", które gromadzą naszym zdaniem

[8] Cyt. za: T. B i l c z e w s k i, *Komparatystyka i egzystencja: intymność, polityka, przekład*, w: *Kultura w stanie przekładu*, s. 63.

[9] Tamże, s. 64.

bardzo różnorodne pod względem tematycznym prace, zaś ich autorzy korzystają z rozmaitych narzędzi badawczych: Elżbiety Rybickiej, zderzającej centralne i peryferyjne narracje o powojennej „prześnionej rewolucji" w Polsce, Dariusza Kuleszy kreślącego mini-monografię twórczości Janowicza z akcentem na chłopską epopeję, Галіны Тычко sytuującej Janowicza na tle najczęstszych tematów współczesnej mu literatury na Białorusi (wojna i wioska), Danuty Zawadzkiej analizującej narracje historyczne Janowicza w kontekście postkolonialnej „mimikry", Anny Sakowicz, również interpretującej prozę historyczną (*Srebrnego Jeźdźca*), lecz z perspektywy kreacji bohatera i białoruskiego dyskursu patriotycznego, Zbigniewa Chojnowskiego oraz Elżbiety Konończuk, piszących o języku przestrzeni Sokrata i literackim czytaniu miasta (Białegostoku) z wykorzystaniem narzędzi z kręgu geopoetyki, Beaty Siwek, która interpretuje słabo opisaną powieść *Ściana* na tle prozy europejskiej, oraz Jolanty Sztachelskiej, śledzącej przemiany i przewartościowania problematyki białoruskiej w Białymstoku, w środowisku akademickim, na powojennym i peerelowskim Podlasiu.

Trzeci dział „Spotkania interkulturowe – recepcja i przekład" przynosi dwa studia poświęcone wybranym aspektom polskiej i białoruskiej recepcji dzieła Janowicza: Katarzyny Sawickiej-Mierzyńskiej, która posługuje się narzędziami krytyki postkolonialnej i Grażyny Charytoniuk-Michiej, postulującej dalsze badania nad obecnością pisarza na Białorusi, oraz dwa artykuły dotyczące przekładów: wspomnienia tłumaczki niektórych opowieści z *Małych dni* i *Srebrnego Jeźdźca* – Anny Sobeckiej, które umożliwiają wręcz rekonstrukcję procesu twórczego kilku utworów, oraz Lucyny Aleksandrowicz-Pędich, omawiającej angielskie tłumaczenia miniatur Janowicza, dokonane przez Shirin Akiner.

Kolejna, czwarta część książki gromadzi „Archiwalia", dział inicjuje zaś fragment przekładu nieznanej dotąd polskiemu odbiorcy prozy Sokrata, pióra jego Syna, Jarosława Janowicza, a zatytułowanej *Stulecie oszołomów*, potem publikujemy zbiór kilkunastu listów Janowicza do Jana Leończuka oraz wybór aforyzmów autora *Doliny pełnej losu* zanotowanych przez Віталя Карнялюка, następnie zaś dwa wywiady z Janowiczem, które przeprowadzili kolejno: Віталь Карнялюк oraz Юрка Ляшчынскі. Dział zamyka studium, w którym Ганна Запартыка omawia część archiwum Sokrata Janowicza znajdującą się Mińsku oraz dzieje przekazywania tych materiałów mińskiej placówce.

Bardzo obszerny, piąty, dział naszego tomu „Świadectwa, wywiady, pamiątki" przynosi kilkanaście zapisów różnego rodzaju spotkań z Janowiczem, wspomnień o pisarzu, mniej lub bardziej osobistych podsumowań: jego twórczości, inicjatyw, wpływu na innych, na kulturę białoruską, polską, regionalną. Swoje wypowiedzi zechcieli nam powierzyć ludzie przeważnie osobiście znający Janowicza, towarzysze i świadkowie jego drogi twórczej, pochodzący z różnych stron, należący do różnych pokoleń, od kolegów po piórze, przyjaciół Sokrata, po studentkę, znającą go tylko z książek: Katarzyna Pacuk, Jan Maksymiuk, Radosław Romaniuk, Анатоль Брусевіч, Jerzy Plutowicz, Алесь Тарановіч,

Сяргей Чыгрын, Кастусь Бандарук, Dariusz Kiełczewski, Krzysztof Gedroyć, Michał Stankiewicz, Mira Łuksza. Osobną grupę stanowią wywiady przeprowadzone przez redaktorki książki specjalnie na jej potrzeby: z Leonem Tarasewiczem, Michałem Androsiukiem, Jerzym Chmielewskim, Ignacym Karpowiczem, Janem Leończukiem, Waldemarem Smaszczem i Bogdanem Dudko. Wszystkie te głosy składają się na rodzaj zbiorowego portretu Sokrata Janowicza, przy czym – z założenia – pokazują prozaika z Krynek w kontrapunktowym oświetleniu i bez brązowniczych intencji. Słyszalny jest w nich zarówno ton intymnego wyznania, jak i prowokacyjnych przewartościowań.

Redaktorki książki składają gorące podziękowania wszystkim Osobom oraz Instytucjom, wspierającym nasze przedsięwzięcie, a szczególnie Rodzinie Sokrata Janowicza – Jego Synom, Jarosławowi i Wiaczesławowi, Synowej Barbarze i Wnuczce Tatianie – która ciepło przyjęła tę inicjatywę, nie szczędząc swojego czasu i wysiłku na kontakt z nami, udzielając nam również zgody na publikację listów i fragmentów utworów Janowicza. Jesteśmy wdzięczni Janowi Leończukowi i Bogdanowi Dudko za udostępnienie nam części prywatnych archiwów, zawierających cenne pamiątki, m.in. korespondencję z Janowiczem oraz dokumentację fotograficzną. Pani Jolancie Falkowskiej składamy serdeczne podziękowania za udostępnienie nam maszynopisu Jej rozprawy *Sokrat Janowicz. Materiały do bibliografii podmiotowo-przedmiotowej za lata 1956–2003*, która okazała się bardzo pomocna w pracach Redakcji. Dziękujemy Fundacji Villa Sokrates za przychylność wobec książki, Radiu „Racja" za produkcję płyty z zapisem wypowiedzi Sokrata Janowicza, Urzędowi Marszałkowskiemu i Urzędowi Miejskiemu w Białymstoku oraz Współwydawcom tomu: Uniwersytetowi w Białymstoku i Towarzystwu Literackiemu im. Adama Mickiewicza (Oddział Białystok) za zaufanie i materialne środki.

Dziękujemy zwłaszcza Autorom, których wypowiedzi złożyły się na tę książkę, oraz naszym Rozmówcom – za otwartość i gościnność.

Nie ze wszystkimi opiniami i ocenami wyrażanymi przez Autorów poszczególnych tekstów jesteśmy w stanie się zgodzić, zamieszczamy je tutaj w przeświadczeniu, że stanowią świadectwo autentycznego rezonansu, wywoływanego przez Dzieło Janowicza, zaś On sam nie byłby kontent z publikacji nazbyt pomnikowej. Mamy nadzieję, że oddajemy Czytelnikowi książkę wartą lektury i namysłu, która zapoczątkuje kolejne inicjatywy związane z badaniami dorobku Sokrata Janowicza i edycją jego tekstów.

W imieniu Redakcji – Danuta Zawadzka

1

Przed Janowiczem

Нацыянальнасць – ёсць катэгорыя культуры.
Хам не мае нацыянальнасці.

Elżbieta Dąbrowicz
BIAŁYSTOK

Naród w jednej osobie

W dyskusjach podczas XIV „Trialogu" w Krynkach, pierwszego po śmierci Sokrata Janowicza, spośród jego dzieł najczęściej przywoływano *Białoruś, Białoruś*, esej wydany po polsku w 1987 roku. Jeden z zaproszonych panelistów, Krzysztof Czyżewski, porównał lekturę wspomnianej książki do „trzęsienia ziemi":

> Myśmy [my, nie-Białorusini – dop. E.D.] zrozumieli inaczej kraj, w którym żyjemy. Nie byłoby *Pogranicza* mojego bez takich książek, kiedy odkrywaliśmy zupełnie inny kraj i ludzi, którzy mają inny punkt widzenia, inne historie nakładające się na naszą homogeniczną[1].

Adam Michnik z kolei mówił o silnym, „rewolucyjnym" wręcz znaczeniu publikacji, w której „elity opozycyjno-intelektualne" oglądały „własną historię cudzym okiem"[2]. Wskazywał zarazem na pewną niegroźną przypadłość pisarza. Z wyczuwalnym odcieniem wyższości reprezentanta narodu o ustabilizowanej europejskiej renomie redaktor z rezerwą odniósł się do wywodu historycznego Janowicza, zakorzeniającego Białorusinów w odległej przeszłości. Zasugerował, że jest to typowa narracja kompensacyjna czy też mitotwórcza, w którą on sam nie ma cierpliwości się wczytywać[3]. Wysoko zaś ocenił partie książki rozwijające opowieść „o narodzie wepchniętym między dwa żarłoczne imperia, rosyjskie i polskie", opowieść w dodatku „napisaną bez śladu nacjonalizmu"[4].

Mirosław Czech – również aktywny uczestnik debaty – podkreślał wyjątkowość Janowicza na tle środowisk mniejszościowych w Polsce:

---

1 „Annus Albaruthenicus" 2013, s. 44.
2 Tamże, s. 53.
3 „Sokrat wiele miejsca poświęca tam jakimś trzem odnogom słowiańskim, jedna była białoruska, druga ruska, a trzecia jeszcze jakaś inna". Tamże.
4 Tamże.

> [...] on był jedynym autorem, który mógł taką książkę napisać na temat własnej etniczności. Był osobą na tyle dojrzałą, która to mogła zrobić. Jednocześnie ta książka została wywołana przez sytuację w kulturze polskiej, bo w polskiej refleksji intelektualnej było zapotrzebowanie na to, co my zrobimy z tym Wschodem. Sokrat Janowicz, na ile pamiętam dwie czy trzy ówczesne rozmowy z nim, świadomie się podjął tego zadania. [...] Wiedział na co się pisze i pisał się wówczas na ten *mainstream*. On wywędrował wówczas na poziom Konwickiego[5].

Mniej dobitnie mówiono w Krynkach o negatywnych stronach sukcesu książki: stając się „dyżurnym Białorusinem"[6] pisarz miał odtąd zapewne ograniczoną swobodę w poszukiwaniach artystycznych. Przyjmował na siebie rolę pisarza białoruskiego z urzędu, stawał się instytucją, uosobieniem zbiorowości białoruskiej ze wszystkimi konsekwencjami takiego statusu[7].

Przypominam wybrane fragmenty dyskusji „trialogowej", żeby zastanowić się nad wydarzeniem, jakim stało się dzieło Janowicza z 1987 roku; punkt zwrotny w jego karierze literackiej. Miarą sukcesu było między innymi to, że udało się pisarzowi wprowadzić niszowy temat białoruski do głównego nurtu debaty polskiej lat 80.

Dla moich rozważań kluczowa jednak będzie okoliczność, iż *Białoruś, Białoruś* została od początku do końca napisana w języku polskim. Janowicz po polsku wprawdzie pisywał i wcześniej[8]. Jego teksty ukazywały się w rozmaitych tytułach prasowych („Gazeta Białostocka", „Kamena", „Kontrasty", „Gazeta Współczesna", „Więź"), ale publikacja książkowa jest czym innym niż doraźny artykuł, za który współodpowiedzialność bierze redakcja pisma. Książka kształtuje pisarza wewnętrznie i trwale współtworzy jego publiczną biografię. Pewne możliwości przed nim otwiera, inne zamyka. Nadaje odmieniony sens temu, co się w jego życiu i wokół niego działo, zanim została napisana i wydana. Książka stwarza też trwały punkt odniesienia dla poczynań kolejnych, jeszcze nie spełnionych.

Pisząc swoją książkę po polsku Janowicz dokonywał poważnego wyboru na resztę życia: podnosił polszczyznę do rangi swojego drugiego pisarskiego języka. Decydował się tym samym na współtworzenie dziejów literatury polskiej. Stawał do konkurencji z polskimi pisarzami. Włączał się do „rodaków rozmowy" o sprawach narodowych. Dotąd był raczej Białorusinem wśród swoich, ewentualnie Białorusinem znanym również Polakom, lecz tylko na Białostocczyźnie[9],

---

[5] Tamże, s. 48. Czech – związany ze środowiskami ukraińskimi – spoglądał na wystąpienie Janowicza jako na akt, który nie byłby możliwy dla nikogo z ówczesnej mniejszości ukraińskiej.

[6] Tamże, s. 50.

[7] Tamże, s. 47. Leon Tarasewicz wspomniał o ponawiających się próbach skompromitowania Janowicza. Tamże, s. 50.

[8] Zob. J. F a l k o w s k a, *Sokrat Janowicz (Sakrat Ânovìč). Materiały do bibliografii podmiotowo-przedmiotowej za lata 1956–2003*, Warszawa 2005 [maszynopis powielony]. Zob. artykuł D. Kuleszy w niniejszym tomie, przyp. 45, s. 68.

[9] Głośny stał się na Białostocczyźnie artykuł Janowicza, opublikowany w „Gazecie Współczesnej" – *Nasi Białorusini* („Gazeta Współczesna" 1981, nr 69, s. 3, 6; nr 132, s. 6). Tytuł ten zresztą wskazuje na osobliwą pozycję autora względem „Białorusinów". Nie wiedząc, kto jest autorem, można z samego tytułu sądzić, że jest to ktoś życzliwy, lecz usytuowany na zewnątrz tej grupy etnicznej.

teraz postanawiał być nim bardziej ostentacyjnie, żeby wszyscy w Polsce widzieli, że nim jest.

Sądzę, że „trzęsienie ziemi", o którym mówił Czyżewski, wywołał Sokrat nie tylko tym, co napisał, ale i tym, a może i zwłaszcza tym, że napisał swoją książkę o Białorusi właśnie po polsku. Nie byłoby efektu tak piorunującego, gdyby *Białoruś, Białoruś* stanowiła przekład, niechby i kongenialny. Mówię o tym nie żeby Janowicza przeciągać na polską stronę, ale raczej, żeby unaocznić szansę, jaką otwiera jego twórczość (również białoruska jej część) dla badacza literatury polskiej czy polskojęzycznej.

W cytowanych wypowiedziach podnoszono, że książka Janowicza godziła w obowiązującą oficjalnie koncepcję Polski jednolitej narodowościowo. Koncepcja ta, mówiono, stała się fundamentem powojennej rzeczywistości, „rozgrywającej się" na nowym w stosunku do międzywojnia terytorium. To na gruncie pojałtańskim mogło dojść do nieoficjalnego konsensusu między komunistami i endecją, w szerszej zaś perspektywie – dodam – między partią komunistyczną a społeczeństwem o korzeniach w większości chłopskich[10]. Szok wywołany przez Janowicza wynikał nie tylko stąd, że na forum krajowym zabierał głos Białorusin, a więc nie-Polak w etnicznym rozumieniu słowa, lecz że odzywał się intelektualista o rodowodzie chłopsko-białoruskim, ktoś zatem, kogo literatura polsko-PRLowska w ogóle nie znała, mimo że tzw. nurt chłopski miał w niej mocną pozycję, a pisarze chłopskiego pochodzenia nie należeli bynajmniej do lokalnych osobliwości.

We wstępie do zbioru *Wielkie miasto Białystok* z 1973 roku, będącego przekładem z białoruskiego, a zarazem mutacją debiutanckich *Zahonów* (1969)[11], widać, jak autor słowa wstępnego, Jerzy Litwiniuk, inkrustuje białoruskość Janowicza, żeby nie raziła w świecie propagandowo narzuconej fikcji etnicznej czystości Polski: „Sokrat Janowicz pisze po białorusku, w języku swego dzieciństwa"[12]. Pisze zatem w języku, który pamięta, ale którego nie używa na co dzień i w sytuacjach publicznych. W owym wstępie pojawia się inne jeszcze określenie, ujmujące białoruskość w bezpieczne ramy: Janowicz jest „poetą ludowym"[13].

W porównaniu z powyższymi prezentacjami białoruskości (w oryginale i przekładzie) jej manifestacja podjęta bezpośrednio w języku polskim i w prozie nie poetyckiej, lecz dyskursywnej, stanowiła zdecydowane naruszenie granic, w jakich mogła być okazywana w PRL-u. Nic też dziwnego, że była możliwa w oficjalnym obiegu dopiero wtedy, kiedy Polska Ludowa obracała się ewidentnie w gruzy[14]. Kontekstem dla publicznego wystąpienia Janowicza – trzeba o tym

---

[10] Zainteresowanie chłopskim rodowodem społeczeństwa polskiego czasów powojennych bardzo się ostatnio nasiliło i przekroczyło ramy debaty naukowej.

[11] Znamienne, że w oryginale białoruskim tytuł wskazuje na „ziemię", centralną kategorię chłopsko-białoruskiego świata. W polskim przekładzie natomiast akcent został położony na ironicznie potraktowanym „wielkim mieście".

[12] S. Janowicz, *Wielkie miasto Białystok*, Białystok 1973, s. 7.

[13] Tamże, s. 8.

[14] Pod tekstem *Białoruś, Białoruś* Janowicz położył datę 1980–1981, po czym dołączył postscriptum z 1984.

koniecznie wspomnieć – jest pierestrojka i głasnost w ZSRR oraz ich promieniowanie na cały obóz państw komunistycznych.

Zajmując się tą twórczością musimy bowiem nauczyć się nie tylko przekraczać granice językowe, ale też granicę między Polską a wschodnim sąsiadem – Białoruską Socjalistyczną Republiką Radziecką (potem zaś Republiką Białorusi), co oznacza, że pilniej trzeba nam się przyjrzeć polityce narodowościowej Związku Radzieckiego (potem również Federacji Rosyjskiej), która nie była ani stabilna, ani jednolita w stosunku do wszystkich narodów i etnosów w strefie sowieckich (rosyjskich) wpływów. Lubimy o sobie myśleć jako o narodzie w bloku komunistycznym wyjątkowym i mamy też skłonność do hiperbolizowania roli polskiej opozycji w walce z komunizmem. Przyglądając się wszelako Janowiczowi, dostrzegamy, ile zawdzięcza pisarzom białoruskim z BSRR, stawiającym opór wobec presji centralnej. Mam zwłaszcza na myśli Aleksego Karpiuka[15] i Wasila Bykaua.

Czytając dzisiaj numer po numerze „Kulturę" paryską – pismo redagowane w duchu „jagiellońskim" – widzimy, jak pilnie ich poczynania odnotowywano w Maison Laffitte. Numer szósty „Kultury" z 1967 roku przynosi nawet polski przekład tekstu przemówienia drugiego z wymienionych literatów, pozyskany okrężną drogą za pośrednictwem translacji włoskiej. Bykau wygłosił swoją mowę na zjeździe pisarzy białoruskich w Mińsku, upominając się o prawo literatury do krytyki społecznej i stając w obronie, jak to ujął, „umęczonej literatury białoruskiej"[16]. Z nazwiska wymienił Karpiuka. W numerze piątym z 1981roku przypomniano ów głos i okoliczności protestu Bykaua[17].

Systematyczna lektura pisma Jerzego Giedroycia pod kątem tematu białoruskiego uświadamia przy okazji jeszcze jeden wymiar decyzji Janowicza, by upomnieć się o Białoruś po polsku. Otóż monitorując temat białoruski obok innych kwestii – ukraińskiej, litewskiej, niemieckiej… – redakcja „Kultury" miała baczenie nie tylko na wieści dochodzące zza żelaznej kurtyny, ale też na aktywność białoruskich środowisk emigracyjnych (czasopiśmiennictwo, m.in. „Zapisy") w Europie i Ameryce Północnej oraz na zachodnie publikacje o Białorusi[18]. Nieskrępowani cenzurą komunistyczną Białorusini emigracyjni podejmowali zagadnienia, o których przeczytamy również u Janowicza. Z białoruskiego punktu widzenia spoglądali na dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego, oceniali unię polsko-litewską, politykę II Rzeczypospolitej wobec mniejszości etc. Ocena dla strony polskiej wypadała na ogół miażdżąco i nie zostawiała miejsca na żadną mediację co do obrazu przeszłości.

Między prezentowanym na Zachodzie ujęciem dziejów białorusko-polskich a ujęciem Janowicza znajdziemy wiele zbieżności. Zasadnicza różnica polegała

---

[15] Stenogram przemówienia Karpiuka z mińskiego zjazdu pisarzy w 1966 roku dotarł do Janowicza drogą nieoficjalną i wywołał jego wielostronicowy list do autora. Postawa pisarzy białoruskich z BSRR miała wpływ na zmianę stosunku autora *Zahonów* do władz komunistycznych, przyczyniając się do zerwania współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.

[16] W. B y k o w, *Pisarz białoruski o wolności sztuki*, „Kultura" (Paryż) 1967, nr 6.

[17] W. B r y l e w s k i, *Kronika białoruska*, „Kultura" (Paryż) 1981, nr 5.

[18] Zob. E. Ż a g i e l l, *Białorusini*, „Kultura" (Paryż) 1974, nr 5.

jednak na tym, że Janowicz owe sporne kwestie przenosił do polskiej debaty, wyprowadzał je z gett emigracyjnego i białoruskiego. Czy po to, by osiągnąć z Polakami kompromis? Zapewne już sam wybór języka wskazywał na wolę uczestnictwa w dyskusji. Ponadto zaś stanowił widomy znak słabnięcia ZSRR. Niewykluczone, że polskojęzyczną, lecz formułowaną ze znaczną dozą niezależności wypowiedź o Białorusi można by interpretować jako głos wychodzący z białoruskiego Piemontu.

Białoruś, Białoruś, chociaż napisana po polsku i wydana w schyłkowym PRL-u, z pewnością wymaga od krytyka czy historyka literatury wychodzenia poza granice języka i granice polityczne. Wymaga też przekraczania granic czasowych w wyszukiwaniu kontekstów interpretacyjnych, uczytelniających narodowotwórczy zamysł Janowicza. Autor książki o Białorusi szokował i bulwersował jako Białorusin nietypowy, i nietypowy również pisarz o korzeniach wiejskich, ale miał przecież za sobą twórczość, która doskonale mieściła się w modelu PRL-owskim: pisał wszak o migracji mieszkańców wsi do miasta. Ponieważ zadebiutował w 1956 roku, ominął go przymus entuzjazmu dla szybkiej industrializacji, utożsamianej z postępem czy modernizacją. Mógł od razu sobie pozwolić na pokpiwanie z awansu, który wywoływał nieoczekiwane zjawiska kulturowe. W *Dolinie pełnej losu* (1993), kolejnym polskim dziele, ten wielki temat swojej twórczości brawurowo spuentował, ukazując cały proces modernizacyjny z perspektywy archeologa, który kiedyś się pochyli nad białostocko-PRLowskim Herkulanum.

> Po epoce kamiennej archeolodzy wydobywają groty krzemowe strzał, haczyki kościane do połowu ryb, kamienie gładzone do tarcia nasion, warstewki węgli od palenisk. Czy tak więcej odnajdą oni po cywilizacji chlewów i stodół? Kamienie młyńskie, tłuczone szkło, butelki po samogonie, tu i ówdzie importowane prezerwatywy, smoczki z plastikowymi kółeczkami, płaty folii i worków po cemencie, sztuczne genitalia przywleczone z Germanii, piszczele, zgubiony pierścionek z tombaku albo i „złotny", poharatane gumiaki, guziki z plastmasy, wkładki antykoncepcyjne dla panien i odmiennego formatu dla mężatek po porodach, gdzieniegdzie cegłę szamotową, szczękę dentystyczną i parę ubocznych przedmiotów, takich co nie utleniają się i nie rdzewieją ze szczętem. Po samochodach na pewno przetrwają opony, być może strzępy dermy tapicerskiej, złomki części wytworzonych chemicznie (np. kierownica). Miejsce po Białymstoku pozna się po tym, że tych rzeczy wykopie się okropnie dużo[19].

To ledwie początek długiego ustępu o archeologicznej rekonstrukcji cywilizacji mużycko-miejskiej, cywilizacji, dla której Janowicz nie ma ni krzty współczucia, która go mierzi i brzydzi. Nie ma też współczucia dla samych „mużyków", którzy opuścili rodzinną „dolinę": wyzuli się z siebie dla miasta i niewolniczej w nim egzystencji, tracąc szansę, by się stać narodem w pełnym tego słowa

[19] S. Janowicz, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993, s. 105.

znaczeniu[20]. W rozkiełznanej inwektywie przeciw „hołocie", do której zmierza autor, przerzucając pokłady archeologicznych rupieci, wybrzmiewa coś więcej niż ironia i sarkazm, charakteryzujące jego dawniejszą twórczość. Między wierszami daje się usłyszeć jakiś daleki pogłos gniewu izraelskich proroków, chłoszczących swój lud za odstępstwa od wiary i zaniechanie wędrówki do ziemi obiecanej.

Ze swoją troską o Białoruś, z poczuciem odpowiedzialności za „milijony", z dogrzebywaniem się jej zapomnianych źródeł bliżej jest Janowiczowi do polskich pisarzy dziewiętnastowiecznych, aniżeli do literatów PRL-owskich. Stąd właśnie konieczność przekraczania ram czasowych w poszukiwaniu kontekstów dla jego dzieła. *Białoruś, Białoruś* ma – jak się zdaje – swój gatunkowy odpowiednik w dziewiętnastowiecznej podróży historycznej, którą praktykował najwytrwalej chyba Julian Ursyn Niemcewicz, reaktywując antyczną periegezę[21]. Obszerne *Podróże historyczne po ziemiach polskich* ukazały się w 1858 roku. Obejmowały swoim zasięgiem cały obszar przedrozbiorowej Polski. Narrator przemieszczał się z miejsca na miejsce, a zarazem wertował biblioteki i archiwa, gromadząc informacje o tym, co widział na własne oczy, bądź o tym, czego już zobaczyć nie mógł, bo uległo definitywnemu zniszczeniu. Jego podróż przebiegała zatem i w przestrzeni, i w czasie.

Janowicz dokonywał w swym utworze zabiegu bardzo podobnego, tyle że na podróżniczą autopsję mógł sobie pozwolić w znacznie mniejszym zakresie niż szacowny poprzednik. Zadanie Niemcewicza polegało na tym, żeby poprzez akt pisarski scalić ziemie wszystkich trzech zaborów. Janowiczowi przyświecała idea połączenia Białostocczyzny, wegetującej w granicach Polski powojennej bez pamięci o swojej przeszłości, z rozległym terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego, do którego Białostocczyzna dawno temu należała.

Swoją podróż historyczną zaczął Janowicz od Krakowa. Zaczął przekornie wobec nawyków skojarzeniowych polskiego czytelnika. Jako dawna stolica Polski Kraków nie obudził w nim, prowincjuszu przywiezionym tu z zakładową wycieczką, żadnych „narodowych" emocji. Te doszły do głosu dopiero w stwierdzeniu, że inaczej by tę wycieczkę wówczas przeżywał, gdyby wiedział, że okolice Krakowa były kolebką ruchu młodobiałoruskiego.

> Kraków stale przewija się w dziejach białoruskich, i byle je jakoś po swojemu dopowiedzieć, będę wracał do tego miasta zarówno wyobraźnią, jak i swoją cielesną bytnością. Ot, choćby poszukać na cmentarzu wojskowym z dwudziestego roku grobu Aleksandra Pruszyńskiego, pisarza i czołowego budowniczego idei białoruskiej [...][22].

---

[20] W *Białoruś, Białoruś* pisał m.in. o „niedorozwoju narodowym" swoich ziomków. S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, s. 24.

[21] Uzupełniam tu jedynie, nie zaś unieważniam tradycje gatunkowe, które wskazywał sam pisarz. Wspominał między innymi o gawędzie. Trop gawędowy nieuchronnie prowadzi do Henryka Rzewuskiego, autora, z którym Janowicz zdaje się dzielić upodobanie do prowokacji i przekory. Dość wspomnieć o skandalu, jaki wywołał Rzewuski publikacją *Mieszanin obyczajowych*.

[22] S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, s. 8.

Potem z perspektywy rekreowanej pamięci będzie oglądał podupadłe mieściny: Drohiczyn, Zabłudów, Tykocin, Knyszyn, Supraśl… i oczywiście swoje rodzinne Krynki, szukając tam wszędzie – często bez żadnego skutku – śladów monumentalnej przeszłości. „Gdzież mogło stać w Zabłudowie tamto dworzyszcze z wielkopańskim pałacem?”[23] – pytał, naśladując, najpewniej całkiem nieświadomie, Niemcewicza szukającego królewskich grobów w Wilnie i wielu innych pamiątek z czasów państwowości polsko-litewskiej.

Jest Janowicz w tej swojej krzątaninie wokół narodowej przeszłości na wskroś dziewiętnastowieczny (łącznie z wyobrażeniem narodu „żywcem pogrzebanego”[24]), potwierdzając niewygasłą i u nas jeszcze w latach 80. XX wieku żywotność paradygmatu romantycznego.

Jakiś niewczesny, spóźniony miłośnik form klasycznych mógłby napisać poemat z gatunku tzw. rozmów zmarłych, w którym Niemcewicz z Janowiczem na Polach Elizejskich rozmawialiby tyleż uczenie, co dowcipnie o Wielkim Księstwie Litewskim. Obaj byli erudytami, obaj też budzili w swoich współczesnych skrajne uczucia: „od uwielbienia do wzgardy”. Należeli do kategorii, jak dawniej mawiano, „świeczników narodowych”. Niemcewiczowi bliska była tradycja państwa polsko-litewskiego, chociaż go nie idealizował. Janowicz faworyzował w swoim myśleniu o Wielkim Księstwie czasy przedunijne, sprzed polonizacji tamtejszych elit. Myślę wszelako, że mimo różnicy w ocenie przeszłości dwaj ci pisarze jako cienie elizejskie nie pokłóciliby się nawet o Białostocczyznę, gdyby Białorusin zechciał ją połączyć z Grodzieńszczyzną i oderwać od Polski. Za pamięci Niemcewicza wszak cesarz Napoleon lekką ręką podarował okręg białostocki carowi Aleksandrowi. Autor *Podróży historycznych* był w polityce pragmatykiem, jako pisarz zaś pokazywał Polskę w granicach ruchomych. O takiej właśnie Polsce uczyli się jego mali rodacy ze *Śpiewów historycznych*.

Pamiętam po ukazaniu się *Białorusi, Białorusi* reakcje czytelnicze mniej poprawne politycznie od tych, o których mówiono podczas „Trialogu” (przy czym odwołuję się do reakcji spontanicznych i nie przeznaczonych do druku). Pamiętam zdziwienie graniczące z oburzeniem: co ten Białorusin sobie wyobraża, przywłaszczając sobie autorów z dawien dawna będących filarami polskiego kanonu albo odwracając wymowę postaci i wydarzeń historycznych uświęconych tradycją bądź brzemiennych dla polskiej drogi do niepodległości! Albo obarczając Polaków wielowymiarową winą za niesprzyjający Białorusinom bieg zdarzeń, uniemożliwiający im pełną emancypację narodową i państwową.

Nie były to reakcje czytelników wychowanych na Niemcewiczu. I być nie mogły, skoro po dziś dzień nie doczekał się wydania swoich dzieł wszystkich. *Podróży historycznych* nigdy nie wznowiono, najpierw ze względów oczywistych, dziś ze skandalicznych. Ale i Janowicz świadomie prowokował. Od pierwszej strony, od wycieczki do Krakowa. *Białoruś, Białoruś* – co tu kryć – jest utworem

[23] Tamże, s. 23.
[24] Zob. tamże, s. 24.

antypolskim. Nie rozstrzygam, ile w nim solidnie udokumentowanych argumentów, ile efektu retorycznego, ile rozpaczy, ile nadziei. Jest antypolski dlatego, że został napisany z punktu widzenia topniejącej mniejszości narodowej. Jeśli Janowicz pozwala swoją opowieścią o Białorusi przejrzeć się niczym w lustrze polskiemu nacjonalizmowi, co podnoszono w dyskusji „trialogowej", to dlatego, że sam występuje z pozycji nacjonalistycznych. Jeśli o mnie chodzi, nie łudzę się, że dane mi będzie zrozumieć Janowicza w jego białoruskości, chociaż próbuję. Natomiast jako reprezentant mniejszości białoruskiej przybliża mnie do zrozumienia polskości w jej aspektach dla nas samych, Polaków, trudnych do zaakceptowania, ukształtowanej w sytuacji zagrożenia, agresywnej, odpychającej.

I ostatnia już sprawa.

Kontekstem interpretacyjnym dla wypowiedzi Janowicza powinny być nie tylko teksty z przeszłości o podobnej poetyce i charakterze, jak Niemcewiczowskie *Podróże historyczne*[25]. Nie mniej potrzebne wydaje mi się przypomnienie utworów polskich, w których pojawia się postać białoruskiego chłopa. W ujęciu Janowicza ów białoruski „mużyk", utożsamiany z Białorusinem w ogólności, stanowi nie lada problem na drodze do emancypacji narodowej. Jest bowiem społeczną resztką po zaginionym Wielkim Księstwie Litewskim, które miało swoje białoruskie elity, lecz je straciło skutkiem ich polonizacji. „Mużyk" jest Białorusinem schłopiałym, poniżonym, wewnętrznie i zewnętrznie skurczonym, skupionym na walce o biologiczne przetrwanie, nie zaś na trosce o kulturę duchową. Taki Białorusin jest w ujęciu Janowicza realnością społeczną. Ale też obraz takiego właśnie Białorusina utrwaliła literatura polska. Janowicz w *Białorusi, Białorusi* stworzył siebie zarówno na przekór mużyckiej mentalności i powierzchowności, jak również wbrew wizerunkowi, który ogólnopolski czytelnik znał z literatury. Chociaż niewiele brakowało, a stałby się autor *Zahonów* kim innym zgoła, niż się stał. Pisał między innymi, że „grzązłby zapewne w jakimś regionalizmie podlaskim lub kurpiowskim, naciąganym aż na Białystok niczym kusy kawał skóry na zbyt duże szewskie kopyto"[26]. Regionalizm w PRL-owskiej wersji oznaczał skupienie się na kulturze ludowej czy stylizacji na kulturę ludową. O sobie w wersji sprzed narodowego uświadomienia wspominał również w książce *Białoruś, Białoruś*: „Byłem niewątpliwie złym Białorusinem, bardzo etnicznym jeszcze […]"[27].

Żeby zobaczyć „mużyka" w literackim opracowaniu, sięgnę do trzech tylko utworów.

Pierwszy mieści się w dorobku poczytnej przez długie lata, ekstremalnie polskiej, Marii Rodziewiczówny. Akcja sporej części jej kresowych powieści osadzona jest na Polesiu, które przez etnografów i antropologów opisywane było jako obszar pograniczny między grupami etnicznymi białoruskimi i ukraińskimi[28].

---

[25] Przy tej okazji warto wymienić jeszcze Tomasza Święckiego, *Opis starożytnej Polski*.

[26] Tamże, s. 110. Porównanie z kręgu rzemiosła szewskiego nie jest tu przypadkowe. Takim bowiem zawodem parał się ojciec Janowicza.

[27] Tamże, s. 7.

[28] Zob. J. O b r ę b s k i, *Polesie. Studia etnosocjologiczne*, Warszawa 2007.

Jedna z powieści poleskich, *Hrywda*, traktuje o kresach w dobie pouwłaszczeniowej. W świetle wydanej w 1892 roku powieści uwłaszczenie zerwało kulturowy kontakt chłopa z dworem, przez co nie ma już szans na jego unarodowienie w polskim duchu. Rodziewiczówna patrzy na chłopów, którzy znaleźli się poza dworską orbitą nieomal z odrazą. Wprowadza podział na tych, którzy dworu nie porzucili i odeń niezależnych. Pierwsi są cywilizowani: czyści i dobrze ułożeni. Drudzy zabobonni, agresywni i brudni. Pierwsi „swoi", drudzy „obcy". Brak niewątpliwie Rodziewiczównie empatii wobec białoruskich mieszkańców wsi, trzeba jednak pamiętać, że omawiana powieść powstała w czasach nasilonej rządowej propagandy antypolskiej na Ziemiach Zabranych, kiedy o „polskich panach" pisano jako o elemencie napływowym, kolonizacyjnym i dlatego całkowicie obcym ludowi. „Polski pan" z wypowiedzi Janowicza wiele zawdzięcza propagandzie rosyjskiej, podchwyconej następnie i rozwiniętej przez bolszewicką. „Pańskiej Polski" urodzony w 1936 roku Janowicz nie mógł pamiętać, za to znalazł ją chociażby w twórczości Izaaka Babla, swego pierwszego mistrza literackiego.

Z kolei w powieści Wiktora Gomulickiego z 1912 roku *Na rozłogach białoruskich*, pisanej z perspektywy warszawskiej, cały świat polski tzw. Litwy wygląda egzotycznie aż do śmieszności. Białorusini jednak, których napotyka podróżujący po Litwie przybysz z Zachodu, nie zostali przedstawieni satyrycznie. Za to nie sposób nawiązać z nimi kontaktu, tak dalece nieufni są i skryci. Zagadkowi i zaszyfrowani. Oto bohater słyszy chóralny śpiew-lament i komentuje sam sobie:

> W tym śpiewie – myślał – przemawia dusza Białej Rusi. Właściwie dusza ludu białoruskiego, poza którym nic tu już prawie nie ma. Cierpiał-że ten lud więcej, niż inne słowiańskie? Taki smutek bezmierny, zrozumiały „nad rzekami Babilonu", mógł-by się urodzić jedynie z żalu po utraconej wielkości. Ale Białorus dobą wczorajszą nie zajmuje się, w swych pieśniach nigdy o niej nie wspomina. Więc chyba już z rąk Stwórcy jego dusza wyszła smutna[29].

I druga scena ze śpiewem. Tym razem bohater usłyszawszy pieśń wieśniaczek zapytał o nią miejscowego zbieracza-amatora. „To jest, panie łaskawy, pieśń do Najświętszej Panny, ale zmieniona w ten sposób, żeby się czem innem wydawała"[30] — usłyszał. Indagowany o przyczynę kamuflażu znawca przedmiotu odpowiedział oględnie: „Przyczyna, panie łaskawy, jest taż sama, dla której każdy ze spotkanych przez nas wieśniaków, zanim pozdrowienie Chrystusowe wygłosił, poddawał nas tak długim, badawczym i podejrzliwym oględzinom…"[31]. Kiedy zaś śpiewające kobiety zobaczyły na drodze nieznajomych podróżnych, natychmiast zamilkły, ulegając zarazem niepojętej metamorfozie: „Chór nastrojonych poetycznie śpiewaczek zmienił się od razu w gromadkę uznojonych robotnic, tylko o wie-

[29] W. Gomulicki, *Na rozłogach białoruskich*, Warszawa 1912, s. 47. Ortografia zmodernizowana.
[30] Tamże, s. 140.
[31] Tamże.

czerzy i odpoczynku myślących”[32]. Z dalszego przebiegu sceny można się domyśleć, że nieufność kobiet ma źródło w przymusowym wcielaniu Białorusinów-unitów do cerkwi prawosławnej. Kwestia religijna w przypadku zbiorowości białoruskiej była i skomplikowana, i konfliktogenna. Dość, że w powieści Gomulickiego Białorusini wyznają prawosławie tylko na pozór, w głębi duszy pozostając przy wierze ojców. Generalnie zaś rzecz biorąc kwestia unicka przesłania w literaturze polskiej kwestię białoruską, wykluczając na dobrą sprawę Białorusinów prawosławnych z pola zainteresowania. Janowicz, rzecz znamienna, chcąc być pisarzem białoruskim, problematykę religijną musi zmarginalizować.

Wreszcie powieść trzecia – *Rojsty* Tadeusza Konwickiego, o którym Janowicz wspominał zresztą w swym eseju. Na planie wyobraźni pisarskiej połączyła ich – Białorusina z „Litwinem”[33] – choćby dolina jako centrum świata. Obaj podejmowali temat powstania styczniowego. Obaj też pisali o białoruskich chłopach. Co do tej ostatniej sprawy, zauważmy, że *Rojsty* ukazały się w roku 1956, kiedy Janowicz debiutował na łamach białoruskiej „Niwy”. W powieści napisanej wprawdzie osiem lat wcześniej, lecz dopuszczonej do druku dopiero po odwilży, Konwicki kompromitował partyzantkę wileńską, odsłaniając między innymi jej z pańska pogardliwy stosunek do autochtonów.

Pierwszoosobowy narrator *Rojstów* wyznawał nonszalancko: „Strzelało się do białoruskich chłopów, posądzanych o sympatie lub wprost o współpracę z bolszewikami”[34]. W powieści mamy również scenę gwałtu na kilkunastoletniej Białorusince, którego dopuszcza się partyzant w obecności jej rodziców i towarzyszy broni. Nawet jeśli potem chłopi dołączają do oddziału, wspólne partyzanckie „chodzenie” po puszczy nie zbliża ich do „miastowych”. Inne mają motywacje niż przybysze z Wilna, uwiedzeni propagandą patriotyczną nadawaną z Londynu; na ogół uciekają przed poborem do Armii Czerwonej. W pewnym momencie uznają, że pora wracać do domu i stawiają na swoim wbrew sprzeciwowi dowódcy.

Janowicz opisał spotkanie chłopów z partyzantami, lecz od chłopskiej strony. Autobiograficzną *Dolinę pełną losu* otwiera wspomnienie dziewięciorga ofiar zastrzelonych przez „leśnych” z okolicy Krynek. Jego ojciec spotkał partyzantów na drodze:

> Jezus Maria! A że frontowy był z niego człek, w oka mgnieniu pojął, że na ucieczkę jest za późno; kule są szybsze, więc pozostało mu jedno: jechać jak jechał. Każdy żyje według siebie. Oni wałęsają się za powrót dawnej Polski, a jemu wystarczy pozbycie się zwaliska padliny z chlewu. Każdemu swój kłopot, i oni to rozumieją: panom – pańskie w głowie, a chłopu – chłopskie. Minął ich tak, jak gdyby chciał zdążyć przejechać saniami po pękającym i trzeszczącym lodzie na przedwiosennej rzece. Owo mijanie złymi snami męczyło go do końca jego dni [...][35].

[32] Tamże, s. 142.
[33] O sobie jako „Litwinie” Konwicki często pisał w swoich utworach niefabularnych.
[34] T. K o n w i c k i, *Rojsty*, Warszawa 1956, s. 29.
[35] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 5.

Syn potrafił sugestywnie przedstawić ów moment mijania się ze śmiercią:

> [...] w tym piachu drogi, równając się ze zbrojnymi, nie śmiąc ani zerknąć w ich stronę, łowiąc uchem ich uspokajające posapywanie, tak dobrze znane mu z czasów własnego żołnierskiego trudu, gdzieś pod Częstochową we wrześniowy trzydziesty dziewiąty rok, postradał parę lat swego żywota[36].

Nie darmo w sytuacji zagrożenia przypomniał się ojcu czas własnej służby w wojsku polskim. Jakby przez to wspomnienie panicznie szukał wspólnego gruntu między sobą a partyzantami, żeby przetrwać.

Pisząc *Białoruś, Białoruś* po polsku Janowicz musiał się zmierzyć ze stereotypem Białorusina-„mużyka" utrwalonym w literaturze polskiej, ale przede wszystkim pokazywał, że w sobie samym z „mużykiem" się uporał. Napisanie antypolskiego tekstu adresowanego do polskiej większościowej publiczności wymagało przecież nie lada odwagi, jeśli nie iście „pańskiej" – a precyzyjniej rzecz ujmując szlacheckiej – pychy, do której Białorusin etniczny, wyzuty ze swoich tradycji narodowych i państwowych, w żadnym razie nie czuł się zdolny.

[36] Tamże, s. 6.

Marcin Lul
BIAŁYSTOK

Białoruskie monstra w domu szlachcica Zawalni (z Sokratem Janowiczem w tle)

Czy ty wiesz, co się nazywa
U chłopów noc rabinowa?
Co dęby w puszczach porywa,
Domy znosi jak namioty,
I całą noc sypie grzmoty
Głośne jak Jehowy słowa[1]

Dominacja kultury polskiej na obszarze dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego utrzymywała się, jak wiadomo, przynajmniej do XIX stulecia. Jedną z konsekwencji tego faktu dla literatury stała się styczność niemal każdego dziewiętnastowiecznego pisarza polskiego ze słowem białoruskim. Z oczywistych względów w kolejnym stuleciu zabierał głos w tej sprawie Sokrat Janowicz, pisarz dwujęzycznego pogranicza polsko-białoruskiego[2]. Jednocześnie autor *Terra incognita* stwierdzał niejednokrotnie, że „Białorusini są klasycznym narodem chłopskim", zaś „pierwszymi heroldami białoruskości" byli w XIX wieku „wykształceni chłopomani"[3]. Janowicz zaliczył do ich grona między innymi Jana Barszczewskiego. Pisał o nich z przekąsem: „W swej istocie nie przekraczała ta [jaśniepańska – dop. M.L.] ludomania granic zakreślonych w *Rozmowie między panem, wójtem i plebanem*"[4]. Niezależnie od zdystansowanej opinii Janowicza pozostał Barszczewski dla większości białoruskich pisarzy i historyków literatury twórcą-inicjatorem nowej literatury białoruskiej[5] (czytaj także: białorusko-języcznej), która, jak cały nowoczesny naród białoruski – i tu oddajmy jeszcze raz głos Janowiczowi – „miała wychynąć z kokonu chłopskości"[6].

---

[1] Motto niniejszego szkicu zaczerpnąłem z dramatu J. Słowackiego *Ksiądz Marek* (akt II, w. 531–536). Cytuję wg edycji w oprac. M. Piwińskiej, Wrocław 1991, s. 83–84.

[2] S. J a n o w i c z, *Naród z narodu: Białorusini*, w: t e g o ż, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, wybór i oprac. R. Traba, Olsztyn 2001, s. 86.

[3] Tamże, s. 89, 100.

[4] S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 91.

[5] Zob. R. Z i e m k i e w i č, *Jan Barščeŭski pieršy biełaruski piśmiennik XIX stalećcia*, Wilnia 1911.

[6] S. J a n o w i c z, *Ojczystość*, s. 100.

*

„Ja nieraz słyszałem opowiadania prostego ludu o dawnych dziejach wojennych, lecz tam tyle wmieszano bajek i cudów, iż ledwo jakiś ślad został przeszłości, bez imion osób działających" **[s. 164]**[7]. Takim komentarzem opatrzył Jan Barszczewski jedno z miejscowych podań ludu białoruskiego znad jeziora Nieszczordy, wprowadzone do zbioru *Szlachcic Zawalnia* (1844). Topografia rodzinnych stron autora – „ten widok ziemi posępny i dziki" – to w istocie cmentarny krajobraz, wypełniony krzyżami, mogiłami i tajemniczymi ruinami. „Po całej tej przestrzeni wąskie kamieniste drogi przerzynają górzyste miejsca, i mijając dzikie brzegi jezior, kryją się w borach" **[s. 162]**. Cywilizacja wieku XIX tutaj nie dociera. Historia opowiadana przez lud nie istnieje w postaci ciągłej narracji faktograficznej ani w skonkretyzowanej na piśmie wykładni dziejowych wypadków. Wszystko, co się „kiedyś" wydarzyło, zostało zamienione w niekończący się cykl fantastycznych opowieści. Inaczej niż w koncepcji Alfreda de Vigny „poczwarka faktu" nie przetworzyła się w „motyla fikcji", ale, niezależnie od literackiego „obrobienia", pozostała „poczwarką" również na poziomie ludowych wyobrażeń, zbiorowych przeczuć i przeświadczeń[8].

Zimową porą szeroką bramą utworzoną przez zamarzniętą powierzchnię jeziora wchodzą do domu Pana Zawalni zbłąkani podróżni, a wraz z nimi przenika do ubogiego szlacheckiego zaścianka zawsze ta sama baśń o tym, jak zło wkradło się do białoruskiej Arkadii i zadomowiło się w niej na stałe pod postaciami wynaturzonych straszydeł i dziwadeł. Rzeka historii rozdzieliła się jakby na dwa przeciwstawne sobie nurty: jeden cofa się w nieokreśloną, świetlistą przeszłość aż do mitu rajskiej szczęśliwości tej krainy, drugi nurt stacza się w ciemną przepaść złowróżbnych znaków i przepowiedni, ciążących nad losem uciemiężonych mieszkańców. Towarzyszy temu czarnowidztwu melancholijny smutek po stracie dawnych gospodarskich ideałów[9]. Poczucie nieustannego zagrożenia przybiera postać zbiorowej fobii, która wyklucza jakiekolwiek konstruktywne myślenie o przyszłości, o budowaniu wspólnego jutra. Można by zaryzykować tezę, że przeszłość w znaczeniu kulturowego i historycznego dziedzictwa jest dla zbiorowości niedostępna, zasnuta mgłą nostalgii; nie można się w niej zakorzenić, bo wszystko, co z niej wzięło swój początek, obróciło się w ruinę, skarlało albo… zamieniło się w potwory, majaki zbiorowej wyobraźni. Znamienna

---

[7] Cytuję wg wydania dwujęzycznego: J. B a r s z c z e w s k i, *Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach*, Warszawa 2012. Я. Б а р ш ч э ў с к і, *Шляхціц Завальня, або Беларусь у фантастычных апавяданнях,* укладанне, прадмова, пераклад і каментар М. Хаўстовіча, Warszawa 2012. W nawiasie numer strony. Pisownię i interpunkcję zmodernizowano.

[8] Zob. A. d e V i g n y, *Rozważania o prawdzie w sztuce*, przeł. E. Bieńkowska, w: *Manifesty romantyzmu 1790–1830*, wybór tekstów i oprac. A. Kowalczykowa, Warszawa 1995, s. 396. Zob. z inspirującym dla moich przemyśleń szkicem D. Zawadzkiej *Poczwarka faktu i motyl fikcji – parę uwag o historii według romantyków*, gdzie m.in. czytamy: „De Vigny w całej swojej rozprawie zakłada «udoskonalający», «upiększający», «idealizujący» charakter zmyślenia. Ale baśniowe udoskonalanie wydarzeń może mieć swoją ciemną stronę, bowiem nie istnieje baśń bez czarnych serc i tła, które ona jednoznacznie wskazuje i piętnuje" (w: *Światło w dolinie. Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej*, red. K. Korotkich, J. Ławski, D. Zawadzka, Białystok 2007, s. 53).

[9] Zob. F. Z i e j k a, *Smutna Arkadia. Białoruś i Białorusini w literaturze polskiej XIX–XX wieku*, w: tegoż, *Nasza rodzina w Europie*, Kraków 1995.

dla poetyki *Szlachcica Zawalni* jest właśnie groteskowa multiplikacja monstrów we wszystkich niemal żywiołach Północnej Białorusi. W lasach, jeziorach, na lądzie, w powietrzu, a nawet w chłopskich zagrodach – wszędzie słychać o tym, „jak w naszych stronach czary i postępki szkodliwych ludzi rozmnożyły złych duchów" **[s. 222]**.

Personifikacją nieszczęść ludu białoruskiego jest u Barszczewskiego kobieta-płaczka. Wyjątkowość tej niecodziennej, a jednak bardzo uczłowieczonej zjawy polega na tym, że nie należy ona do świata białoruskich monstrów. Jej pojawienie się wiązano powszechnie z mitem upadku i zniszczenia pierwotnego, ustanowionego przez Boga porządku. Miała być ona znakiem zerwania więzi z przeszłością, z jej pamiątkami, a z drugiej strony upomnieniem dla grzesznych świętokradców, którzy chcieli kosztem cudzej krzywdy zagarnąć skarby zaginionego mitycznego królestwa. Albo, jak w opowiadaniu *Włosy krzyczące na głowie* – zbezcześcić prochy poczciwych przodków. Zasięg terytorialny pojawiania się płaczki wydaje się nieograniczony. Natomiast perspektywa historiozoficzna, którą zakreśla swoim płaczem, tworzy zaklęty krąg znaczeń i symboli zagubionego centrum[10], zdesakralizowanej ruiny. A także bezpomnikowej, zagrzebanej w ziemi historii.

> W Inflantach zaś było takie zdarzenie: w majątku Pana M. sterczą ruiny jakiegoś starożytnego zamku; mówią, że w niepamiętne czasy było tam miasto, gdyż woda niekiedy spadając z gór, rozrywa piaski i wydobywa fundamenta murowanych domów, tam znajdują często szklanne lub metalowe pordzewiałe rzeczy, które niegdyś służyły dla ozdób, cząstki broni, a niekiedy pieniądz miedziany lub srebrny co wieki leżał w ziemi.
> Ku tym ruinom, co wieczór, po zachodzie słońca przychodziła płaczka, wieszała wianki z polnych kwiatów na ruinach tego zamku, i usiadłszy na kamieniu, załamując ręce zalewała się łzami, narzekanie jej niejeden słysząc z daleka, smutny powróciwszy do domu opowiadał innym **[s. 243]**.

Przekazywana z ust do ust opowieść o płaczce przybrała rozmiary wielkiej lamentacji nad zagładą nieszczęśliwych spadkobierców, którzy okazali się niegodni ukrytych skarbów, ponieważ chcieli się wzbogacić, zawierając pakt z diabelskimi mocami. „Bracia, łzy i narzekania tego zjawiska nie złoto i nie srebro wam rokują, kobieta płacze na progu tej świątyni, która od was zapomniana, wy myślicie tylko o bogactwie, a was czeka klęska i nędza" **[s. 242]**.

❋

Jan Barszczewski przeszedł do historii literatury polskiej i białoruskiej jako pisarz dwujęzyczny[11]. Przed polskimi czytelnikami *Szlachcica Zawalni* usprawiedliwiał

[10] Pod wpływem literacko-ikonograficznego przedstawienia grobowej płaczki nasuwają się nieodparcie skojarzenia z Dürerowską *Melancholią*.

[11] Dziwić może dość nikłe zainteresowanie biografią i twórczością J. Barszczewskiego wśród polskich badaczy w porównaniu z bogatą reprezentacją komentarzy i interpretacji w białoruskiej

się następująco: „Nie wszystkim czytelnikom może być zrozumiały białoruski język, a więc te gminne opowiadania, które usłyszałem z ust ludu, postanowiłem ile mogąc w dosłownem tłumaczeniu napisać po polsku" **[s. 174]**. Uwaga „w dosłownem tłumaczeniu" może być bardzo myląca, bowiem sugeruje, że mamy do czynienia z przekazem autentycznym, z nieobrobionym literacko surowym materiałem wyjętym żywcem z ust ludowego opowiadacza. A przecież do świata literatury należy chociażby pomysł kompozycyjny zastosowany w całym cyklu, aby połączyć osobą Szlachcica Zawalni cały szereg opowieści relacjonowanych przez jego gości. Na usługach głównego bohatera pozostaje także narrator odautorski Janek, jakoby tylko „spisywacz" zasłyszanych historii. W rzeczywistości to ktoś więcej, jak Poeta w Mickiewiczowskiej *Romantyczności* – „tłumacz zasobów fantastyki ludowej na system pojęć uniwersalnych"[12]. Pan Zawalnia natomiast pełni literacką rolę aktywnego słuchacza prostych i naiwnych przekazów, stwarza familiarną atmosferę, zachęcając potencjalnych narratorów do snucia narracji. W efekcie tej maniakalnej wręcz działalności Zawalni powstaje narracja regionalna, plecionka zdarzeń, postaci i motywów, jednym słowem – „dziwotworów". Skondensowane w jednym ciągu groteskowych metamorfoz historie duchów, pod wpływem złych czarów zbłąkanych i cierpiących, metaforyzują się, tworząc luźny i otwarty na dalsze dopowiedzenia cykl narracyjny[13]. W ten sposób nabierają szczególnej atrakcyjności w odbiorze zewnętrznym, to znaczy nastawionym nie tyle na percepcję nadzmysłowego świata, ile przede wszystkim na interpretację jego sensów. Wpadają one do ucha wykształconego człowieka, którym bez wątpienia jest kuzyn szlachcica, Janek.

Ponadto narrator odautorski (o wielu cechach wspólnych z autorem rzeczywistym) troszczy się o zachowanie podwójnego dystansu czasowego: raz w stosunku do własnego dzieciństwa i wczesnej młodości, innym znów razem wobec samej treści ustnych przekazów, które poprzez akt zapisu przechodzą w sferę paraboli tłumaczącej przywiązanie ludowej wyobraźni do jednego kręgu skojarzeń (diabły, czarownicy, hybrydyczne monstra, dusze grzeszne itp.). Weźmy na przykład pod uwagę taki komentarz Janka: „Mi się zdaje stryjaszku, że takie fantazje tworzą się między ludem ze smutku i ciągłego cierpienia" **[s. 230]**.

Warto zasygnalizować te miejsca w tekście *Szlachcica Zawalni*, gdzie narracja zbiorowa, reprezentowana przez świadków lub opowiadaczy z minionych lat, splata się lub sąsiaduje bezpośrednio z osobistym wspomnieniem narratora Janka.

---

historii literatury (zob. m.in. obszerny wstęp monograficzny do dwujęzycznej edycji z 2012 roku – M. Хаўстовіч, *Ян Баршчэўскі і ягоны „Шляхціц Завальня"*, s. 9–135 oraz niemal kompletna bibliografia wirtualna prac polskich i białoruskich, http://www.barszczewski.eu.pn/bibl/index.html). Na potrzeby niniejszego szkicu cenne okazały się zwłaszcza dwie prace polskie: M. Janion, *„Szkoła białoruska" w poezji polskiej* (1986), w: tejże, *Prace wybrane*, t. 3: *Zło i fantazmaty*, Kraków 2001, oraz I. Węgrzyn, *Opowieści odchodzącego świata. Jana Barszczewskiego „Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach"*, w: *W świecie myśli i wartości*, red. R. Dąbrowski i A. Waśko, Kraków 2010.

[12] Z. Stefanowska, *Próba zdrowego rozumu. Studia o Mickiewiczu*, Warszawa 1976, s. 37.

[13] Metaforycznymi opowieściami nazwała *Zawalnię* M. Janion (s. 281). O bezfinalności słuchanych historii pisała I. Węgrzyn (s. 329).

W tych splotach konkretyzuje się najwyraźniej moment historyczny, do którego wraca okaleczona pamięć:

> [...] oto i rzeka Dryssa szumi bystrym biegiem i ucieka do Dźwiny przez gęste lasy i piaszczyste bory: wiele mi ona przypomina; na tym brzegu było zgliszcze, dziś już trawą zarosłe; czas zniszczył na ziemi tę pamiątkę, lecz ona została w mej duszy, ona mi wspomina ten rok, kiedy mieszkańce tych stron kryli się w lasach przed burzą pamiętnej wojny Napoleona **[s. 213]**.

A kilka akapitów dalej:

> [...] pasterz patrzając na niebo, powiedział: „to będzie noc rabinowa" – i ze stadem swoim pospieszał do wsi – i my skryliśmy się przed burzą do domu, który się tam sławił dobrocią i uprzejmością gospodarza.
> O jak wiele ta noc rabinowa naprowadza strachu na mieszkańców białoruskich! W ten czas, kiedy w polu dojrzewa praca oracza, ona jakby najokropniejszy nieprzyjaciel grozi zniszczeniem całej ich nadziei; spotyka ją rolnik wznosząc oczy do nieba z modlitwą na ustach i z odgłosem kościelnych dzwonów **[s. 214]**.

Pomiędzy tymi wypowiedziami – Janka i pasterza – umieścił Barszczewski znaczący passus o nocnych Polaków rozmowach, toczonych jeszcze „tam", na ziemi ojców, w roku 1812, kiedy Napoleon wkraczał do Litwy, rozpętując nową burzę dziejową. W opisie pierwszych dni wojny z Rosją zastosował Barszczewski topikę zjawisk przyrodniczych, podkreślając w ten sposób tajemniczy i demoniczny związek między potęgami naturalnych żywiołów a sceną historycznych wypadków.

> [...] nagle jakby się grzmot odezwał daleko za borem, i to grzmienie tam gdzie się rumienił zachód słońca, odzywało się bez przerwy jakby pod ziemią; zdziwiony, biegę do gromady, pytam się co to znaczy? Pewnie nasuwa się burza; mój ojciec przerwał milczenie mówiąc: ta burza w Klasicach, na petersburskiej drodze, z dalekich stron tu przybyła siejąc ołowianym gradem; na próżno dąży na północ, tam silne wiatry i mrozy ją spotkają. Na wszystkich twarzach widna była trwoga; lękliwe kobiety ze łzami odmawiały pacierze; im się roiło, że tam każdy wystrzał kilkadziesiąt ludzi na tamten świat posyła. Drżały jakby przed strasznym sądem i noc ta cała bezsenna przeszła na rozmowach. Starzy wspominali przeszłość, zgadywali przyszłość; jakaś nadzieja snuła się w ich myślach; ja chciałbym na skrzydłach tam lecieć, aby widzieć ten teatr wojny i śmiałych wojowników **[s. 213–214]**.

Atmosfera zbiorowej trwogi zapala wyobraźnię mieszkańców krainy nad Dźwiną i Dryssą. Militarne wypadki zbiegają się z czerwcowym przesileniem wiosenno-letnim. Złe duchy wstępują w ciała zwierząt. Noc rabinowa, kiedy biją pioruny „jak ogniste węże", i huczą działa na drodze do Petersburga, to czas

przepoczwarzania się ludzi i zwierząt w dziwotwory[14]. Tutaj, na płaszczyźnie metaforycznych asocjacji wojenno-przyrodniczych nabierają dodatkowego znaczenia moralistyczne przypowieści narratorów-gości szlachcica Zawalni o zaciemnieniu umysłów przez złe moce i utracie chrześcijańskiej tożsamości (miłości bliźniego). Opowiadane historie to coś więcej niż etnograficzna przygoda narratora-sprawozdawcy, a folklor ludu białoruskiego wykracza poza ciasne ramy naiwnej anegdoty, okraszonej na pół-literacką, pół-wieśniaczą niesamowitością[15]. „Białoruś w fantastycznych opowiadaniach" okazuje się formułą bardziej pojemną niż koloryt lokalny (czytaj: ludowość), domyślnie zakładany przez niektórych odbiorców ballad Barszczewskiego, zamieszczanych w czasopiśmie „Niezabudka"[16]. „Ludomania" Szlachcica Zawalni, którą „zaraża" on swojego kuzyna, na planie odautorskich wspomnień Barszczewskiego styka się z traumą historycznej „burzy", przez którą przeszli wszyscy fikcyjni i prawdziwi bohaterowie cyklu. Owo „przejście" nie musi w każdym z przywoływanych wariantów (ogniw cyklicznych) oznaczać aktywnego uczestnictwa. Wystarczy transmisja z ust do ust znanych, powtarzających się w ludowych opowieściach wątków (to, co przerażające przedstawia się wtedy jako znane, oswojone za pomocą słowa[17]). A na końcu tego mitotwórczego i zarazem narodotwórczego (w dziewiętnastowiecznym rozumieniu narodu-idei) procesu znajduje się rozumiejące słuchanie. Albo, powiedzmy jeszcze inaczej: rozkodowanie pamięci, bowiem klęska armii napoleońskiej w bitwie pod Klasicami, o której mówi cytowana wzmianka tekstu-wspomnienia, została zakodowana w fantastycznych, hybrydalnych figurach niepewnego losu mieszkańców ziemi między Połockiem a Witebskiem.

Rok 1812 w *Szlachcicu Zawalni* to temat frapujący także ze względu na osobiste zaangażowanie Barszczewskiego w sprawę rozruchów chłopskich, będących skutkiem ubocznym rozpoczęcia przez wojska napoleońskie działań wojennych na obszarze historycznego WKL. W słynnym na Witebszczyźnie i w całej

---

[14] Zob. włożony w usta Judyty „semantyczny" komentarz do „nocy rabinowej" w dalszym ciągu cytowanego na początku motta z *Księdza Marka* (akt II, w. 537–557). Przykład z literatury kreującej romantyczną legendę konfederacji barskiej potwierdza tezę o geograficzno-kulturowym rozprzestrzenieniu tego motywu (Białoruś, Ukraina) i jego mieszanym, żydowsko-chłopskim rodowodzie. Ciekawym przykładem stopienia w tyglu narracji regionalnej wątków podań przekazywanych także przez inne niż chłopska zbiorowości (nacje) są w *Szlachcicu Zawalni* dwa opowiadania cygańskie *Cygan Bazyl* i *Żabier trawa* oraz opowieść syna szlacheckiego o Twardowskim, który „chodził do szkół w Połocku". Mamy więc u Barszczewskiego zarysowaną mapę pogranicza etnokulturowego, które swym zasięgiem obejmowało nie tylko północną Białoruś, ale cały obszar byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, połączonego unią z Koroną.

[15] „On [autor – dop. M. L.] ma lud przed sobą, często z całym urokiem wymysłów z czasów pogańskich, które on opromienia swoim [...] białoruskim hofmanizmem" (R. Podberesk i, *Białoruś i Jan Barszczewski* (1844), w: *Szlachcic Zawalnia*, s. 157).

[16] Zob. M. Inglot, *Polskie czasopisma literackie ziem litewsko-ruskich w latach 1832–1851*, Warszawa 1966, s. 83–91; M. Ankudowicz-Bieńkowska, *Obraz kultury duchowej ludu białoruskiego w wypowiedziach Jana Barszczewskiego*, w: *W kręgu kultury białoruskiej*, red. W. Piłat, Olsztyn 1994; I. Rudziewicz, *Tematyka białoruska na łamach pisma „Niezabudka" (1840–1844)*, „Białostocki Przegląd Kresowy", t. 5, red. J. F. Nosowicz, Białystok 1996; A. Borowiec, *O ludowości w utworze „Szlachcic Zawalnia", czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach Jana Barszczewskiego*, „Slavia Orientalis" 2005, t. LIV, nr 3; W. Wenerska, *Z białoruskich podań gminnych. Ballady Jana Barszczewskiego*, „Slavia Orientalis" 2008, t. LVII, nr 3.

[17] Nawiązuję do tezy I. Węgrzyn (s. 330, 334).

Białorusi wierszu *Rabunki Mużykou* pisarz przypomina realia incydentu w majątku Pana Malinowskiego w Sznitówkach w pamiętnym roku wojny. „Jak francuskaja siła/Iz za Dzwiny nastupiła,/Nam stała karcić/Cztob paradak priwracić". Owo wzmiankowane w wierszu „przywracanie porządku" polegało na łupieniu dworu. W tym samym tekście znajdujemy również wspomnienie pamiętnego miejsca potyczki armii napoleońskiej z Rosjanami, tego samego, o którym mówi narrator Janko w *Zawalni:* „U Klasicach o dzwie mili/Krwawuju wajnu czynili./Jak Francuzy wyszli sami/Mużyki byli panami"[18].

Wszyscy z wyjątkiem tytułowego bohatera *Szlachcica Zawalni*, poczynając od ofiar czarnoksiężnika, Zmieja, Białej Sroki i kota Wargina, a kończąc na Janku, błądzą wygnani przez wiatry historii po bezdrożach własnej-obcej krainy. Wielu z nich trafiło do innych krajów, czyli tam, skąd przyszło na Białoruś niekończące się pasmo zepsucia i zbiorowych nieszczęść. Mówi do siebie z retorycznym namaszczeniem narrator Janko, pochylony nad grobami jezuitów w połockim kościele św. Ksawerego:

> Dawne czasy, dawne życie, dawne zwyczaje i nabożeństwo żywo malowały się w moim wspomnieniu. O szczęśliwi! widzieli oni lepsze czasy, spoczywają na rodzinnej ziemi, lecz ja do jakich przypłynę brzegów, gdzie spocznę po tej burzliwej żegludze? **[s. 217]**

Fragment ten paralelnie łączy się w lekturze całego cyklu z zacytowaną w rozdziale *Burza* piosenką wieśniaczą (cytuję w dwóch wersjach zapisu):

Nia budzim życi,	Ня будзім жыці,
Pojdzim błudzici;	Пойдзім блудзіці;
Sleccia chudyje,	Слецця худые,
Pany lichije,	Паны ліхіе,
Karou pabrali,	Кароў пабралі,
U dwor zahnali,	У двор загналі,
Niet chleba, soli,	Нет хлеба, солі,
Niet szczaścia doli,	Нет шчасьця долі,
Pola puścieić,	Поля пусьцеіць,
I nie czym sieić.	І не чым сеіць,
Nia budzim życi,	Ня будзім жыці,
Pojdzim błudzici **[s. 254–255]**	Пойдзім блудзіці **[s. 472–473]**

[18] Cyt. za: R. P o d b e r e s k i, *Białoruś i Jan Barszczewski*, s. 153. Współczesny historyk pisze, iż ruch chłopski „nie ogarnął całej Litwy, lecz przede wszystkim obszary dotknięte przemarszem dużych mas wojska". Chłopi razem z maruderami armii francuskiej plądrowali dwory i zabijali panów (D. N a w r o t, *Litwa i Napoleon w 1812 roku*, Katowice 2008, s. 224). Dla upamiętnienia zwycięstwa rosyjskiego generała Wittgensteina nad dwoma korpusami francuskimi wzniesiono w Klasicach pomnik (N. R o u b a, *Przewodnik po Litwie i Białejrusi*, Wilno b.r., s. 88).

Błądzenie zgubionych potępieńców, zamienionych w wilkołaki i prześladowanych przez majaki zbiorowej wyobraźni, podobnie jak exodus mieszkańców „północnej Białejrusi", wygnanych z powodu klęski nieurodzaju i chaosu wojennych wypadków w 1812 roku czy wreszcie stylizowana według klasycznych wzorców podróż Janka (czytaj: Barszczewskiego) – jego cykliczne nawroty z Petersburga do Połocka, a w końcu definitywny koniec „żeglugi" na Ukrainie – to zwielokrotniona w kilkupoziomowej lekturze przypowieść o utracie wszystkiego: domu, przyjaciół, miłości, cnoty, bezpieczeństwa, nadziei... „Odjazd" Janka z gościnnej chaty ubogiego Zawalni to melancholijne i zarazem kompozycyjne zamknięcie (ostatni rozdział) niedokończonego ciągu życia i literatury, zamknięcie tak nagłe, jak dziejowa katastrofa, którą metaforycznie przemilczał (przeniósł na poziom literackiej „improwizacji"[19]) narrator Janko – Jan Barszczewski. W tym kontekście nabierają przekonującego tonu nominacje autora *Szlachcica Zawalni* na pierwszego rapsoda Białorusi, wiele zawdzięczającego Mickiewiczowskiemu patronatowi[20].

Wróćmy do Sokrata Janowicza. Wielokrotnie kreśli on w swoich tekstach obraz „mużyka"-Białorusina. Temat ten w konstelacji wartości autora *Samosieja* zajmuje miejsce newralgiczne, ponieważ zarówno w odniesieniu do XIX, jak i XX wieku zawęźlają się tutaj kompleksowo potraktowane przez Janowicza procesy społeczne, cywilizacyjne i problemy nacji białoruskiej. O Barszczewskim w związku z wydarzeniami roku 1812 pisał:

> posesjonat znad jeziora Nieszczarda, skąd jego praszczurowie chadzali z kontrabandą za rubież rosyjską, oczywiście potępiał owe parobczańskie grabieże dworów, w przeciwieństwie do piśmiennego chłopa Pauluka [Bahryma – dop. M. L.], który wzywał do zemsty na srogim panu[21].

Dalej Janowicz dawał lekceważący dla poczynań szlacheckich chłopomanów komentarz. Stanowi on próbę uogólnienia opinii na temat stosunków między wsią a dworem, uogólnienia jakże dalekiego od idealizującego opisu spotkania przedstawicieli niższego stanu przy białoruskiej palonce w domu-przystani Pana Zawalni. Zamiast lampy zwabiającej swoim ciepłym blaskiem zbłąkanych podróżnych, „mużyków", mamy w artykule Janowicza zimny sąd deprecjonujący rolę szlachciców-posesjonatów w dążeniu do sprawiedliwości społecznej oraz w białoruskim ruchu narodotwórczym: „Kres nieprawościom nie kładzie współczucie co wrażliwszych paniczów dla niedoli ludu, wzorowe akty miłosierdzia jaśniepańskiego (czynsz miast pańszczyzny) ani trafianie ksiąg pod strzechy"[22].

---

[19] O „improwizatorskiej metodzie" J. Barszczewskiego zob. R. P o d b e r e s k i, *Białoruś i Jan Barszczewski*, s. 157.

[20] W zakończeniu powieści czternastej *Dziwny kij* czytamy: „[...] i ja tam byłem, miód i wino piłem, i wesoło się bawiłem" (s. 351). Zob. także R. P o d b e r e s k i, s. 158; S. W a s y l e w s k i, *Mickiewicz i rapsod Białejrusi*, „Wiadomości Literackie" nr 11 z 15 III 1931; С. Ш ы д л о ў с к і, *Шляхецкі этас у творах А. Міцкевіча „Пан Тадэвуш" і Я. Баршчэўскага „Шляхціц Завальня"*, „Acta Albaruthenica", t. 5, 2005.

[21] S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, s. 91.

[22] Tamże.

Wypowiedź Sokrata Janowicza została w dużej mierze sformułowana z perspektywy członka skolonizowanej zbiorowości, która nigdy w historii nie weszła na trwałe w fazę narodowego samouświadomienia. Dlaczego?

> Białorusini – odpowiada Janowicz – nie mogli zaistnieć, skoro trwała w nienaruszonym stanie klasa chłopska. I chociaż sama Białoruś jest szerokim pasem styku dwóch wielkich cywilizacji, bizantyjskiej i łacińskiej, autochtoniczny etnos na razie nie uczestniczył w rywalizacji między nimi. Do tego trzeba by likwidacji analfabetyzmu i włączenia mas ludzkich w życie ogólnospołeczne. Tymczasem mieszkańcy pańszczyźnianych wsi nie zdawali sobie sprawy z różnorodności świata i z tego, że używają mowy białoruskiej: w najbliższym mieście bywał raz w życiu, albo i nie, jeno patriarcha rodu[23].

Różnorodność świata ma, jak wiadomo, stronę dodatnią – kiedy pozwala zobaczyć i bardziej docenić to, co swoje, na tle tego, co inne, a także poszerzyć horyzonty w jakiejś mierze właśnie o tę inność, by móc z nową świadomością, performatywnie nastawioną do życia lokalnego, wrócić do rodzinnego gniazda. Ale jest i druga, ciemna strona medalu – tu jeszcze raz pozwólmy przemówić Barszczewskiemu, pogrążonemu w myślach samotnikowi petersburskiemu, stojącemu „nad brzegiem Finlandzkiej odnogi":

> Morze! [...] ty jesteś podobne do ślepej fortuny, wzbogacasz ludzi i pogrążasz w bezdennej głębini, nie rozczuli litości twego zimnego łona, gdy nieszczęśliwy żeglarz zaniesiony falą daleko od rodzinnej ziemi, na pustych brzegach wyspy, ginie samotny od tęsknoty lub głodu, i podczas jasnej pogody nie drzemią na dnie twoim żarłoczne monstra, poglądają z otwartą paścią na podróżujących po cichej wód przestrzeni. O Morze! ty jesteś podobne do świata, po którym wędruje człowiek przez różne koleje życia **[s. 276]**.

Strudzonemu Barszczewskiemu-żeglarzowi potrzebna była jakaś Mickiewiczowska „gwiazda ducha", aby nie zatonąć pośród zamętu ślepej fortuny. Bohaterowi Mickiewiczowskiego wiersza *Żeglarz* z 1821 roku wystarczała dewiza romantycznego samopoznania i samodoskonalenia, bez oglądania się na cudze sądy. Autobiograficznemu narratorowi *Szlachcica Zawalni* została już jedynie metaforyczna wędrówka do kraju dzieciństwa i młodości w poszukiwaniu duchowych korzeni własnej, zarówno lokalnej, jak i uniwersalnej – klasycznej – tożsamości. Być wędrowcem, współczesnym Odysem, zmierzającym do swej rodzinnej Itaki! Oto cel błądzenia po zatartych śladach nieobecnej przeszłości. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Barszczewski wprowadza tutaj niepostrzeżenie czytelnika w świat literackiej, a więc trochę sztucznej fantasmagorii. Miotany przeciwnymi falami podróżny tak naprawdę oddala się od upragnionego celu, od swojej białoruskiej Itaki. I wszędzie, na każdym etapie duchowej wędrówki czyhają nań „żarłoczne

[23] S. Janowicz, *Ojczystość*, s. 100.

monstra", niczym Scylla i Charybda. Nie są to może białoruskie dziworody, ale tak samo twory fantazji urzeczonej i przerażonej zmiennymi „kolejami życia".

Jedynym kompasem w odysei polskiego szlachcica znad jeziora Nieszczordy pozostaje prawda, „posłanka nieba", strażniczka „wiary, najdroższego skarbu naszych ojców" **[s. 276]**. Znaczące dla społecznego kontekstu fantastycznych opowiadań Barszczewskiego jest traktowanie chrześcijańskiego dziedzictwa jako jednolitego, zwartego bloku przekonań i postaw moralnych, bez wyraźnego podziału na Polaków-szlachciów-katolików i „mużyków"-Białorusinów. Podziały wyznaniowe nie istnieją w retrospektywnej idylli i gawędowym świecie narratorów-bohaterów *Zawalni*.

Barszczewski z nieskrywaną ciekawością spogląda na wielki teatr świata. Żałuje, że opowiadania o potyczkach francuskiego wojska z Rosjanami znał tylko z relacji zapośredniczonych. Za to ma możliwość codziennego przypatrywania się poczynaniom ludzi kariery, wierzących w łaskawość fortuny:

> O ludzie wielkiego świata! Patrzcie ku niebu wysokich i pysznych waszych gmachów, zrozumiejcie te znaki w niestałych formach pływających obłoków, które zawsze przed waszymi oczyma; ręka Boska pisze tam przestrogi, że nic stałego na ziemi, gmachy wasze obrócą się w ruiny, potęga, bogactwa, honory i sława rozproszą się i znikną, jak lekki dym w powietrzu **[s. 276]**.

Melancholii rozstania ze światem zaklętym w „ludowych", przerobionych na potrzeby polskiego czytelnika opowiadaniach, towarzyszy na innym poziomie kompozycyjnym biblijne zdanie skierowane do ziemskiej potęgi tyrana Nabuchodonozora. W szacie sakralnej retoryki powracają tu wyraźnym echem fantasmagoryczne obrazy wiszące nad Petersburgiem i przepowiednie upadku „kaskady tyrańskiego", wygłaszane przez Mickiewiczowskiego Pielgrzyma w *Ustępie Dziadów*. Znajdujemy się przecież z Janem Barszczewskim w tym samym miejscu, nad brzegami Newy. I nawet pamięć odgłosów bitwy pod Klasicami i makabra chłopskiej swawoli na Rusi Litewskiej rozpływają się w mgle dziejowej nicości. Wynika z tego pytanie retoryczne: jak można stąpać po tych znikomych śladach przeszłości, skoro nawet groby znakomitych ludzi, „dziś zimne marmury zasypują wiatry piaskiem, i imię ich skona w stepach niepamięci, jeśli za życia nie uwieńczyli głowy swojej koroną prawdy" **[s. 276]**.

Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach to zbiór utkany z romantycznych (czy tylko?) stereotypów. I tutaj w sukurs przychodzi przenikliwość diagnozy Janowicza. Diagnoza ta łączy w sobie perspektywę kilku stuleci aż po czasy tak zwanej nowoczesności albo globalnej urbanizacji:

> Ostoję białoruskości stanowiła wieś, ów, wydawało się, niezatapialny kontynent chłopstwa. [...] Zgubnie zadziałał jednakowoż ukształtowany historycznie stereotyp Białorusina jako wyłącznie chłopa, a języka białoruskiego jako przypisanego mu klasowo, tj. wieśniaczego. Jednak ówże negatywny stereotyp

> nie okazałby się tak zabójczy na skalę społeczną, gdyby nie doszło do redukcji rolnictwa do marginalnego wymiaru w momentalnie urbanizującym się społeczeństwie. Mużyk w mieście, chociaż i uświadomiony nacjonalnie, pozostał przede wszystkim mużykiem, niestety. Z wszelkimi, wynikającymi z tego poczucia, kompleksami. Nie był i nie jest on partnerem mieszczuchowi[24].

Temu trzeźwemu osądowi towarzyszy przekonanie o grożącym zawsze i wszędzie niebezpieczeństwie asymilacji człowieka, nie tylko białoruskiego.

> Dlaczego? – Bo asymilatorstwo wygasza starania o własny dom i chleb, przeistacza lud w lokatora ojczyzny z sąsiedztwa. W prowincjuszy. Nacja, narodowość zawsze jest ideologią rozbudowywania ojcowizny, działania na własny rachunek, samodzielnego bycia bez oglądania się na cudzą łaskę. [...] tereny wynarodowione zaczynają kuleć gospodarczo [...] wynarodowieńcy są jałowi w twórczości kulturalnej[25].

Wywodom białoruskiego pisarza z Krynek na innym poziomie odpowiada dydaktyczna lekcja podróżnego z Inflant i Kurlandii, zapisana w opowiadaniu *Burza*.

> Przyszedł do myśli projekt memu panu założyć sukienną fabrykę; sądził, że tym sposobem nabędzie złote góry; odradzali jemu sąsiedzi, co dobrze tę rzecz rozumieli, mówiąc tymi słowy: „Nie od fabryk trzeba zaczynać białoruskim obywatelom, aby ulepszyć swój byt, ale od roli, gdyż wiejskie gospodarstwo najlepiej popłaca u nas; trzeba się starać zaprowadzić bydło, udobrzyć pole, powiększyć sianożęcia i poddanego doprowadzić do lepszych moralnych uczuć, żeby kochał rodzinę swoją. Nie krzywdzić, przywłaszczając sobie jego własność, mniej karczem budować i starać się więcej mieć zboża w zapasie" **[s. 254]**.

Program wyłożony w *Szlachcicu Zawalni* w istocie nie różni się niczym od haseł organicznikowskich formułowanych w różnych zaborach przez cały wiek XIX. Etyka ekonomiczna Barszczewskiego brzmi właśnie jak „ideologia rozbudowywania ojcowizny". Ale – i tu, jak sądzę, przebiega granica między myśleniem pisarza wychowanego w kulturze szlacheckiej a „ponadklasowym" rozumowaniem Janowicza – Barszczewski prawdopodobnie nie dostrzegał sprzeczności w złożonym akcie mówienia/pisania. Akt ten z jednej strony starał się zneutralizować barierę językową między Polakiem – wykształconym szlachcicem a nieuświadomionym jeszcze narodowo chłopem białoruskim, zupełnym analfabetą[26]. Z drugiej natomiast strony książka Barszczewskiego usiłuje stworzyć iluzję symbiotycznej tożsamości gawędowej tej, nazwijmy to, subkultury, za pomocą sztucz-

---

[24] *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*, Białystok 2000, s. 18–19.

[25] Tamże, s. 43–44.

[26] Co prawda znajomość języka mówionego białoruskiego ludu była powszechna wśród miejscowej, na ogół piśmiennej szlachty, ale nie odwrotnie, jeśli przyjąć, że nie był jeszcze wówczas w użyciu alfabet białoruski.

nego już wtedy i anachronicznego kodu romantycznych stereotypów. Jak słusznie zauważyła Maria Janion przy okazji *Formy gotyckiej Gombrowicza*[27], romantyczna fantastyka grozy wcale nie trafiała do gustów szlacheckich zaścianków, korzystała z innego repertuaru motywów niż polskie imaginarium historii z przestrzenią zamienioną w ogromne więzienie, a zarazem cudownie nawiedzaną przez wysłanników Opatrzności. Wampir patriotyczny różnił się zasadniczo od chłopomańskich dziwotworów.

Może dlatego właśnie zbiór opowiadań z 1844 roku trafił na podatny grunt po białoruskiej stronie, kiedy zaczęła się ona stopniowo wyzwalać spod wpływów polskiej kolonizacji kulturalnej, a niemałą w tym zasługę położyła właśnie literatura dwujęzyczna, czerpiąca jedynie inspirację z ludowych podań. „Żywotności kulturalnej narodu nie powinniśmy mierzyć narzędziami etnograficznymi, doliczając folklor na plus. Decyduje książka, a nie rozśpiewana wieś z debilną szczęśliwością w oczach i kraśnymi dziewkami przy muzykach”[28]. Właśnie książka Barszczewskiego dała impuls do pisania i publikowania po białorusku, a nawet do powołania ośrodka naukowego w Witebsku, zajmującego się badaniem twórczości pisarza urodzonego w tamtych stronach[29]. Ale dopiero współcześnie *Szlachcic Zawalnia* doczekał się pełnego przekładu na język ojczysty Sokrata Janowicza. Fakt ów z kolei stał się jedną z najważniejszych inspiracji do powstania niniejszego szkicu.

---

[27] Studium zamieszczone w t. 4 jej *Prac wybranych*, Kraków 2001.

[28] S. J a n o w i c z, *Ojczystość*, s. 115.

[29] Wydano materiały z czterech konferencji międzynarodowych, odbywających się cyklicznie w Witebsku i Połocku: *Першыя літаратурна-краязнаўчыя чытанні, прысвечаныя творчасці Яна Баршчэўскага*, Віцебск 1997; *Ян Баршчэўскі і яго час*, Віцебск 1999; *Ян Баршчэўскі: Дыялог з часам і ў часе*, Віцебск 2002; *Ян Баршчэўскі ў славянскім свеце (да 210-годдзя з дня нараджэння)*, Віцебск 2004.

2

Studia nad twórczością Sokrata Janowicza

Грошы не трымаюцца інтэлігентамі.
Бо інтэлігент – гэта апостал. Бо звычайны чалавек
жыве страўнікам.

Elżbieta Rybicka
KRAKÓW

„Prześniona rewolucja" na peryferiach. Przypadek Sokrata Janowicza

W 1993 roku Sokrat Janowicz opublikował napisaną w języku polskim *Dolinę pełną losu*, autobiograficzną opowieść[1] wpisaną w wojenną i powojenną historię Białostocczyzny. Zasługuje ona na uwagę z kilku powodów – intrygująca i znamienna wydaje się sama decyzja publikacji w języku polskim. Wcześniejsze prozy fikcyjne oraz miniatury liryczne („sokratki") Janowicz uprawiał jednak w języku białoruskim. Poza oczywistą odpowiedzią, iż wybierając polszczyznę chciał zapewne dotrzeć do szerszego kręgu odbiorców, już nie tylko czytelników białoruskich, można zastanawiać się, czy pisarz nie zamierzał w ten sposób wskazać na problem wspólny dla społeczności białoruskiej i polskiej, problem, który na ostatniej stronie książki zyskuje miano „nowoczesnej wojny chłopskiej"[2], a dotyczy powojennych relacji miasto – wieś. Tym samym egzemplaryczna opowieść o białoruskiej i chłopskiej genealogii społecznej stanowiłaby nieopowiedzianą część wspólnej historii Polski.

Drugi natomiast powód to problematyka tworzonej w latach 1988–1990 opowieści, a dokładniej opisany w niej newralgiczny i przełomowy okres wojennej i powojennej historii na peryferiach, w rodzinnych Krynkach oraz Białymstoku. Ten czas, lata czterdzieste i pięćdziesiąte, to koniec dawnego porządku i zaprowadzanie nowej rzeczywistości politycznej, godny uwagi przede wszystkim ze względu na fakt, iż okres ten po 1989 roku (choć uwolniony od ograniczeń cenzuralnych) nie doczekał się w zasadzie w literaturze wyrazistej egzemplifikacji. A jeśli już, to przedmiotem literackiego zainteresowania w prozie Stefana Chwina, Juliana Kornhausera, Artura Daniela Liskowackiego czy Ingi Iwasiów były środowiska miejskie – Gdańska, Szczecina czy Gliwic. Z kolei w badaniach historycznoliterackich w latach dziewięćdziesiątych koncentrowano się na rozrachunkowej analizie literatury socrealistycznej czy literackich reakcjach na komunizm, ujmując je w wyraźnie polityczne ramy.

[1] Książka Janowicza nie jest autobiografią *sensu stricto*, łamie bowiem zasadę paktu referencjalnego. Istotniejsza w jej przypadku staje się kategoria egzemplaryczności.

[2] S. Janowicz, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993, s. 134.

Podobnie zresztą dzieje się, jak zauważa Marcin Zaremba, w badaniach nad historią społeczną: po 1989 roku zainteresowania historyków koncentrowały się na wydarzeniowej historii politycznej[3]. W konsekwencji taka optyka prowadziła do „rozpatrywania zjawisk społecznych poza całościowym kontekstem życia społecznego, czarno-białego postrzegania powojennej rzeczywistości, uproszczenia obrazu polskiego jako zastygłego w heroicznym oporze"[4]. Następnie Zaremba wskazuje na olbrzymie obszary nieprzedstawione w badaniach historycznych – reformę rolną, rewolucję w strukturze społecznej, sytuację kobiet i sierot, konsekwencje migracji do miast, a wreszcie „świat zbiorowych wyobrażeń, opinii i emocji"[5]. Do tych nieobecnych lub nie w pełni obecnych tematów dorzucić oczywiście trzeba jeszcze historie mniejszości narodowych w latach czterdziestych. Przywołałam jednak opinie Zaremby, ponieważ z literaturoznawczej perspektywy można wskazać na analogiczne obszary nieprzedstawione – zwłaszcza czas Wielkiej Trwogi i rewolucji społecznej na wsi. To wieś bowiem, po 1989 roku, stała się wielkim nieobecnym tematem i problemem w literaturze polskiej. Z punktu widzenia historyka *Dolina pełna losu* nie jest oczywiście dokumentem źródłowym *sensu stricto*, ale retroaktywną interpretacją, pozwala jednak wejść w świat wyobrażeń i emocji przeżywanych na wschodnich peryferiach Polski przez białoruskie dziecko, a przefiltrowanych przez dorosłego narratora. Ta rzeczywistość to nie tylko lęk przed śmiercią, ale też pragnienia i fantazmaty kreowane przez nową władzę.

Wartym rozpatrzenia punktem widzenia, dzięki któremu można spojrzeć na interpretację historii Krynek podjętą przez Janowicza jest także wydana w 2014 roku książka Andrzeja Ledera *Prześniona rewolucja*. Jedna z jej głównych tez głosi, iż w Polsce w latach 1939–1956 dokonała się – przeoczona w późniejszych ujęciach i nieobecna w powszechnej świadomości – rewolucja społeczna, przeprowadzona głównie rękoma Niemców i Rosjan[6]. Jej pierwszy etap wyznaczyła zagłada Żydów, przejęcie mienia pożydowskiego i wejście na miejsce ludności żydowskiej w przestrzeni społecznej. Drugi natomiast etap stanowiła reforma rolna i wywłaszczenie ziemiaństwa. Jakkolwiek rewolucja narzucona była z zewnątrz, to jednak stworzyła warunki dla współczesnego rozwoju klasy średniej, kształtując nową strukturę społeczną, ale zarazem – to jej druga strona – ponieważ była narzucona z zewnątrz, to pozbawiła jej beneficjentów poczucia sprawczości. Ledera interesuje jednak przede wszystkim pytanie o przekształcenia imaginarium: czy wraz ze zmianą społeczną nastąpiła zmiana dawnego, szlacheckiego pola symbolicznego, czy nie mamy do czynienia dalej z resztkami mentalności folwarcznej.

Prześniona rewolucja prowokuje do dyskusji[7], nie będę jej jednak traktowała jako kontekstu wyjaśniającego, ale raczej jako sferę porównawczą. Warto bowiem

---

[3] M. Z a r e m b a, *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków 2012, s. 17.

[4] Tamże, s. 18.

[5] Tamże.

[6] A. L e d e r, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Warszawa 2014, s. 7.

[7] W książce Ledera następuje na przykład przedziwna podmiana – kiedy pisze o migracjach i przesiedleniach na Ziemie Zachodnie i Północne mówi dalej o zajęciu tego „miejsca w przestrzeni

kontrapunktowo zderzyć ze sobą te dwie perspektywy, centralną, inteligencką narrację Ledera oraz peryferyjną, chłopsko-inteligencką opowieść Janowicza, ponieważ dopiero w ich zderzeniu można zobaczyć lokalne załamywanie się historii społecznej i politycznej. Nie przypadkiem mówię tutaj o załamywaniu – chodzi zarazem o pryzmatyczną refrakcję, gdy lokalne, peryferyjne uwarunkowania powodują odchylenia i przesunięcia zakładanej linii rozwojowej, a zarazem o załamania, uskoki i zapaści projektu modernizacyjnego na peryferiach. Kluczową rolę odgrywać będzie polityka umiejscowienia, a zatem punkt widzenia ugruntowany w doświadczeniu peryferyjnym – o charakterze geograficznym (wschodnie pogranicze Polski), społecznym (chłopskie rodowody), narodowym (białoruskie pochodzenie). Dzięki narracji Janowicza otrzymujemy bowiem jedyny w swoim rodzaju wgląd od wewnątrz – nie poznajemy więc historii wschodnich peryferii i „prześnionej rewolucji" z polskiej, centralnej perspektywy.

Dodatkowym argumentem na rzecz przeprowadzenia takiej paraleli może być postulat Joanny Kurczewskiej, by w badaniach nad peryferiami zmienić perspektywę z makroskopowej na mikroskopową, uwzględniającą w inkluzywny sposób doświadczenia jednostkowe[8]. Chodzi zatem o to, by dyskursywne, systemowe konceptualizacje (jako wielkie narracje teoretyczne) zrównoważyć narracjami podmiotów indywidualnych. Za takie uznaje Kurczewska również narracje literackie, które w jej przekonaniu bardziej wyraziście i otwarcie niż dyskurs naukowy ujawniają złożoność doświadczenia indywidualnego[9]. Opowieść Janowicza jest tego znakomitym przykładem, nie tylko dlatego, że stanowi lokalną, peryferyjną odpowiedź na wyzwanie modernizacji i „prześnioną rewolucję" po 1945 roku, ale też ze względu na znamienne dla relacji autobiograficznych napięcie pomiędzy perspektywą dziecka – uczestnika i dojrzałego człowieka – pisarza, wpisującego lokalne historie w ramy interpretacyjne *post factum*. Peryferyjny punkt widzenia na rewolucję lat czterdziestych w opowieści Janowicza oznacza bowiem także spojrzenie z ukosa, z perspektywy świadka, który łączy dziecięcą naiwność bohatera z ironią dorosłego narratora. Tak będzie w *Dolinie pełnej losu* widziana rewolucja, groteskowo i parabolicznie, na „forum świniopasów", gdy jeden z wiejskich chłopaków projektuje swoją przyszłość:

> Tedy zapiszę się do partii i stanę za sekretarza. Nagan wybiorę na obie dłonie, że jak strzeli, to aż zęby zadzwonią! I zawezmę się rządzić, to dopiero złota robota! Wskoczę do Stalina, zamelduję mu przepisowo: Wićka ja jest, u mnie wszystko w porząsiu, żadnych przeciwnych, nikt nie obszczekuje, bądźcie pewni, to chciałem

społecznej, które przed wojną było przynależne ludności żydowskiej." – *Prześniona rewolucja*, s. 141. Nie bierze więc pod uwagę faktu, iż trzecim elementem „prześnionej rewolucji" było zajęcie mienia poniemieckiego, fabryk, kopalń, miast. Z innej perspektywy krytykę Ledera podejmuje też Michał Pospiszyl: *Prześniona walka klas. Leder, Marks i mieszczańska rewolucja*, http://www.praktykateoretyczna.pl/michal-pospiszyl-przesniona-walka-klas-leder-marks-i-mieszczanska-rewolucja/[dostęp: 17.09.2014].

[8] J. Kurczewska, *Peryferyjność w doświadczeniach jednostek (trzy argumenty na rzecz tezy o przydatności perspektywy indywidualnej w studiach nad centrami, peryferiami i pograniczami)*, w: *Polska Wschodnia i orientalizm*, red. T. Zarycki, Warszawa 2013, s. 23–24.

[9] Tamże, s. 33. Kurczewska nawiązuje do założeń Przemysława Czaplińskiego i Kingi Dunin.

donieść… I co wy myślicie? Stalin sztachnie się z fai i rzeknie: A chodźże no tu, ty draniu, niechaj uściskam cię!…
— Ale i zalewasz! — nie wytrzymałem. Zdjęła mnie zawiść.
— A bo co?! — prawie zatrząsł się Wićka, jak gdyby znienacka użądlił go szerszeń.
— A to, że bez szkoły Stalin nie zechce z tobą spółki, boć on uczony, księgi pisze i nie myli się.
— Szkoły, szkoły… I ty mi to mówisz, chłop, co to zza kupy gnoju nie widzi rewolucji?
— Czego? — dopytywano się.
— Re – wo – lu – cji, głupole!
Zrobiło się cicho. Chłopaki pospuszczali łby. Wićka też. I tak staliby, kto wie, jak długo; pisnęła rozpaczliwie mysz i zobaczyliśmy, jak kot poniósł ją w zębach, siadł koło węgła i zajadając odgryzł główkę…[10]

Rewolucja społeczna opisana przez Janowicza ma dwa wyraźne etapy – pierwszy z nich to lata czterdzieste w Krynkach, drugi – lata pięćdziesiąte i późniejsze w Białymstoku, gdy bohater wyjeżdża do technikum. Osią są natomiast relacje miasto – wieś. Rzecz znamienna, w opowieści nie ma wyraźnej cezury końca wojny, nie ma żadnej euforii wyzwolenia i w zasadzie być nie może, historia bowiem rozpoczyna się od śmierci:

Tej nocy zastrzelono u nas coś z dziewięciu chłopa. Nie widzę powodu do grzebania w papierach dla ustalenia dokładnej daty ani też imion i nazwisk. Były to bowiem śmierci bezsensowne, chociaż – być może – że i bohaterskie. Zresztą nie jestem teraz tak znowu pewien tego, czy bywały wówczas inne, takie, o których nie dałoby się w ten sposób powiedzieć. Jedną z ubitych była kobieta, zdaje się nauczycielka […]. Śmierć tej pani mało mnie poruszyła. Nie tylko dlatego, że nie była naszą, białoruską. Raczej dziwiłem się, ja i inni, że Polka zginęła z ręki Polaków. Zdaje się, że jeden czy dwóch mężczyzn z tych, co dali głowę, również liczyli się Polakami…[11]

Narracja Janowicza wprowadza w sam środek chaosu powojennego. Z punktu widzenia krynkowskich mieszkańców akcje partyzantów należą do porządku „pańskiego", nie „chłopskiego", logika narodowych podziałów wchodzi jednak w konflikt z logiką podziałów społecznych czy ideologicznych, ujawniając przede wszystkim swój bezsens. Co więcej, same akcje oceniane były jako rozbój. Tak zresztą działo się także w czasie wojny – wszelkie działania militarne w okolicy Krynek są w perspektywie wsi działaniami rabunkowymi: „Wojują jedni przeciwko drugim, drudzy przeciwko trzecim, a ty, gospodarzu, karm ich, obuwaj

[10] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 44–45.
[11] Tamże, s. 5.

i odziewaj. I o zapłatę nie pytaj"[12]. Chaos wpływał jednak również na wzmocnienie więzi społeczności „tutejszej", stąd wyraźne w opowieści Janowicza białoruskie i wiejskie „my".

Obraz powojennych Krynek jest w ujęciu Janowicza bardzo złożony – są w nim wyraźne elementy czasu Wielkiej Trwogi opisane przez Zarembę, ciągły lęk przed utratą życia, reminiscencje strachu przed wywózką na Syberię, szabrowanie mienia pożydowskiego, głód i nędza. Chaos wzmagał też fakt, iż miejscowość w ciągu paru lat wojennych przechodziła z rąk do rąk. *Nota bene* warto zauważyć, iż *Dolina pełna losu* i tak jest mocno stonowana w stosunku do rzeczywistych realiów powojennych Białostocczyzny. Janowicz wspomina o nich w artykule z 1989 roku:

> Powojnie przyniosło restytucję sieci powszechnych szkół białoruskich z 1941 roku, niepewność przynależności państwowej, palenie wsi z ludnością „ruską" przez „leśnych" z partyzantki poakowskiej; wrzucano do płonących domów dzieci, kobiety i starców, zadawano męczeńską śmierć mężczyznom[13].

W latach powojennych Krynki są dalej polem działania wielu sił – nowej władzy, jej przeciwników oraz, jak to określa Janowicz, babskiej „kontrrewolucji"[14]. Aparat przemocy władzy komunistycznej w latach czterdziestych na podlaskiej wsi oczywiście istnieje, ale jest wyraźnie rozmiękczony alkoholem, a jego funkcjonariusze podatni na przetargi i korupcje. Taką groteskową postacią jest na przykład pierwszy sekretarz partii, Ściapan, który, dla ocalenia życia, musi lawirować pomiędzy władzą komunistyczną a partyzantami. Janowicz nie tworzy narracji martyrologicznej albo heroizującej, wprowadza do opowieści o Wielkiej Przemianie o wiele częściej ton tragifarsy. Na peryferiach bowiem reakcja na wielki terror zmienia się w codzienną walkę podjazdową, w której kluczową rolę odgrywa chłopska zdolność radzenia sobie z opresorem, oparta na sprycie i inwencji w omijaniu prawa i nakazów władzy. Nie ma w niej heroicznych aktów oporu, są natomiast małe akty dywersji.

Przemoc nowej władzy jest jednak bardziej wyraźna na innym polu – polonizacji poprzez edukację i wypieranie języka białoruskiego:

> Pogadywano o likwidowaniu klas białoruskich latoś, z początkiem września. I wygadano. Dziękować Bogu, że przeszedłszy z drugiej do trzeciej nie odstawiono nas aż do pierwszej, by wyuczyć się elementarza kazionnej mowy! Wdzięczni za taką łaskę, uważaliśmy na nerwowego pana nauczyciela, lejącego linijką za niestaranne wyzbywanie się „ruskich rozhoworów"[15].

---

[12] Tamże, s. 7.

[13] S. J a n o w i c z, *Uwagi nad świadomością narodową mniejszości białoruskiej w PRL-u*, w: tenże, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, Olsztyn 2001, s. 200.

[14] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 45.

[15] Tamże, s. 27.

Proces kolonizacji możliwy był także dzięki polityce edukacyjnej operującej strategią uwodzenia i kreowania pragnień poprzez atrakcyjne scenariusze fantazmatyczne, projektowanie nowej „świetlanej przyszłości". Jednym z jej elementów była obowiązkowa i finansowana przez władzę wycieczka na propagandową Wystawę Ziem Odzyskanych w 1948 roku we Wrocławiu. Janowicz zapamiętał ją jako wydarzenie wręcz formacyjne:

> Skutek wychowawczy tej podróży to zauroczenie ulicznym tłumem, który nie jest zajęty pracowaniem, a gołym okiem widać, że dobrze się ma! Niczym Indianiątkom z rezerwatu poczęło nam świtać, że nasi starzykowie mylnie zaplanowali życie, trzymając się pól i chlewów. Trudząc się do utraty tchu. Wróciliśmy odmienieni; zajadle zabraliśmy się do nauki, przemieniając dwóje w piątki, bo celujące świadectwo szkolne stwarzało widoki na wyrwanie się z opłotków, zanurzenie się w to, co widzieliśmy[16].

To początek ambiwalentnego i wykorzeniającego procesu, który będzie jednym z głównych tematów Janowicza, awans społeczny w przypadku mniejszości białoruskiej jest bowiem ściśle sprzężony z procesem polonizacji. Warto przy okazji zauważyć, iż w opisie własnej społeczności Janowicz bardzo często posługuje się porównaniami, które mogą nasuwać skojarzenia z kolonizacją i podbojem – te „Indianiątka z rezerwatu" czy „aborygeństwo" siłą rzeczy podkreślają zależności hierarchiczne, podległościowe i ustawiają Białorusinów na pozycji upodrzędnionej.

Opowieść o polonizacji pełna jest jednak paradoksów – aparat przemocy wyklucza bowiem język białoruski, ale zarazem elementy symbolicznego kodu polskiego mogą stać się siłą napędzającą proces emancypacyjny. Tak dzieje się w przypadku *Roty* Konopnickiej, którą Janowicz poznaje wysłany na żniwa do Prus [*sic!*]:

> Na tych Ziemiach Odzyskanych notorycznie intonowano „Rotę". [...] Wyuczyłem się jej słów i melodii, niczym hymnu także i dla Białorusinów, którego ciągle nie znałem. Nic nie miałem do zarzucenia tej pieśni, a zwłaszcza słowom: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy!" Jeśli przeinaczałem cokolwiek, to w podmianie na „Ruski my naród, ruski lud...". No i Prusaka zastąpił Polak[17].

Janowicz przejmuje zatem kluczowy dla kodu polskiego tekst, by wykorzystać go dla własnych celów. Sprawa to o tyle istotna, że dzięki takim aktom „dywersji" pisarz (który w tym momencie może wystąpić jako reprezentant społeczności białoruskiej) wychodzi poza rolę „ofiary" symbolicznej przemocy i podporządkowania, odzyskując tym samym sprawczość.

---

[16] Tamże, s. 42.
[17] Tamże, s. 28.

W tej opowieści o rewolucji społecznej ważny jest jeszcze jeden epizod. Wejście Polski w nowoczesność w przekonaniu Ledera odbyło się między innymi za sprawą zawłaszczenia mienia pożydowskiego, dzięki temu społeczność chłopska mogła przejść na inny etap rozwoju – mieszczański. Otóż wizja Ledera, wyraziście sformatowana teoretycznie, nie bierze pod uwagę faktu, iż grabież, przejęcie majątku i zajęcie miejsca po społeczności żydowskiej mogło prowadzić również – na peryferiach – do procesu przeciwnego, a wskazanego przez Janowicza. Krynki przed wojną były przemysłowym miastem, siedzibą manufaktur włókienniczych i garbarni, udział ludności żydowskiej w różnych dekadach wahał się pomiędzy 67 a 85%[18]. Zagłada Żydów była jednak dla Krynek końcem cywilizacji przemysłowej:

> Garbarnie istniały tutaj, odkąd pamięć ludzka sięgała, ale poniszczyli je Niemcy wraz z ich żydowskimi właścicielami, fachmanami. Takoż parę browarów, nie wspominając mrowia sklepikarzy. Ocalała ludność chrześcijańska ze swymi kartofliskami. Cywilizacja przemysłowa odeszła od nas z końcowym obozem furmanek chłopskich, które pod przewodem policajów uskuteczniały wywózki z chanajek do najbliższego obozu koncentracyjnego, gdzieś koło Grodna. Aryjska gawiedź ruszyła na rabunek opuszczonego getta[19].

Powojenną historię Krynek Janowicz opisuje jako regres cywilizacyjny, z miasta przemysłowego miejscowość stała się wsią[20], nastąpiła więc nie modernizacja, lecz ruralizacja krajobrazu, pozostałości garbarń zamieniono w pola kartofli i buraków: „Popioły pożydowskich siedzib napędzały dostatku do chłopskich dołów ziemniaczanych, buraczanych, a marchew wyrastała w nieprzyzwoitej wielkości kształty, bogacąc babski folklor płciowy"[21]. Janowicz nie ocenia tego procesu, oznaki zdystansowania widoczne są tylko w sformułowaniu „aryjska gawiedź". Pisarz mówi też jednak w innym miejscu wprost, na wiele lat przed Lederem, iż bez zagłady Żydów nie byłby możliwy napływ ludności wiejskiej do miast: „To prawda, że wstydzimy się pochwały wymordowania Żydów przez nazistów; jednocześnie konstatujemy, iż w przeciwnym razie wchodzenie wsi do powojennego miasta nie byłoby u nas czymś w rodzaju powodziowego wylewu na śródmiejskie pustki"[22].

Warto wszakże zauważyć, iż rola Białegostoku jest w ujęciu Janowicza ambiwalentna, pełni on funkcje kolonialnej stolicy, która drenuje i pożera swoje peryferia („upustynnianie się terenu i rozrost miasta, w tym wypadku Białegostoku, to cecha charakterystyczna dla miast kolonialnych"[23]), ale zarazem

---

[18] Dane demograficzne podaję za portalem Wirtualny Sztetl: http://www.sztetl.org.pl/pl/article/krynki/6,demografia/[dostęp: 17.08.2014].

[19] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 9.

[20] Oficjalnie prawa miejskie odebrano Krynkom w 1950 roku.

[21] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 15.

[22] Tamże, s. 41.

[23] S. J a n o w i c z, *Problem polsko-białoruski rozwiążą cmentarze*, w: *Ojczystość*, s. 245. Szerzej o Białymstoku u Janowicza piszą: E. K o n o ń c z u k, *Podlaska lokalność w narracjach socjologicznych,*

w perspektywie całej biografii pisarza (zwłaszcza wypowiedzi z ostatnich lat życia) stanowi też miejsce paradoksalnie wzmacniające tożsamość białoruską. Działo się to trochę na zasadzie kontrreakcji, negacji polskiego paternalizmu wymuszającego polonizację[24], trochę z racji koncesjonowanego przez PRL przyzwolenia na rozwijanie białoruskiej działalności kulturalnej (praca w czasopiśmie „Niwa"). Wyraźnie jednak podkreśla, iż bez narodzin miejskiej inteligencji nie byłaby możliwa kolejna fala białoruskiego odrodzenia świadomości narodowej. „Nowoczesna wojna chłopska" w ujęciu Janowicza odsłania zatem swoje wyjątkowo dramatyczne oblicze, bowiem modernizacja na peryferiach niesie ze sobą wyjątkowo niebezpieczne koszty dla mniejszości narodowych.

Opowieść Sokrata Janowicza pozwala z jednej strony na wgląd w doświadczenie modernizacji na peryferiach i jej konsekwencje dla mniejszości narodowych. *Dolina pełna losu* wynikająca z jednostkowego i społecznego doświadczenia umożliwia zarazem otwarcie dyskusji o kolonizacji i dekolonizacji, w tym przypadku szczególnie ważnej, ponieważ dotyczącej zarówno mniejszości narodowej, jak i klasy chłopskiej. Taką dekolonizację perspektywy proponuje na przykład antropolog Tomasz Rakowski w artykule *Potomkowie chłopów – wolni od kultury*. Zauważa on, iż w dyskusjach zainicjowanych w ostatnich latach chłopskość postrzegana jest jako „inercyjna dyspozycja kulturowa utrudniająca powstanie klasy średniej"[25], obarczona brakiem kompetencji obywatelskich, koniunkturalizmem, chciwością, materializmem, roszczeniowością wobec bogatszych. Tym balastem mogą być także pozostałości, jak nazywa je Leder, folwarcznego imaginarium. Rakowski zauważa po pierwsze, iż, podobnie jak w dyskursie kolonialnym, takie rozpoznania nacechowane są poczuciem wyższości cywilizacyjnej oraz zawłaszczaniem historii przez centrum Rzeczypospolitej, które podporządkowuje sobie doświadczenia peryferii. Historia społeczna pisana jest bowiem z punktu widzenia jednej tylko grupy, elity intelektualnej. W miejsce krytycznej refleksji formułuje Rakowski inne postulaty:

> [...] owa dekolonizacja tak naprawdę nie dokona się tylko poprzez przywrócenie wartości kulturze wsi, jej cichych historii czy doświadczeń migracji do miast. Aby miała miejsce, trzeba zdać sobie sprawę, że postrzeganie członków jakiejkolwiek grupy społecznej jako kompletnie uformowanych przez kulturę, posiadających stałe wyposażenie kulturowe („mentalność chłopska") jest czymś niezwykle

magicznych i satyrycznych, w: *Nowy regionalizm w badaniach literackich. Badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, red. M. Mikołajczak i E. Rybicka, Kraków 2012; D. Zawadzka, *Rafa regionu. O przemianach pamięci w literaturze pogranicza polsko-białoruskiego* oraz K. Sawicka-Mierzyńska, *Wokół narracji tożsamościowej Sokrata Janowicza*. Obydwa artykuły w: „Białostockie Studia Literaturoznawcze" 2012, nr 3.

[24] Zob. S. Janowicz, *Ojczystość*, s. 246–247.

[25] T. Rakowski, *Potomkowie chłopów – wolni od kultury*, „Znak" 2013, nr 1.

> problematycznym i niebezpiecznym. [...] W takim rozumieniu kultura stanowi stygmat, przekleństwo („słoma z butów"), wyobraża trwałą dyspozycję, która umożliwia kolonizację i orientalizującą pogardę. Dzieje się tak na skutek zacierania postrzegania ludzi jako indywidualnych aktorów zdolnych do przekraczania swych kulturowych form egzystencji – do bycia „kimś innym"[26].

Dolina pełna losu – jako *exemplum* – może być dobrym przykładem trajektorii biograficznej, w której dochodzi właśnie do przekroczenia ograniczeń kulturowych bez odrzucania samej rodzimej genealogii. Stąd wynika pograniczność, czy też transgraniczność narracji[27] Janowicza, który należy zarazem do „ludu podporządkowanego", jak i do jego elity intelektualnej, tworzącej podstawy emancypacji. A jego opowieść świadczy jednocześnie o świadomości bycia ofiarą (polonizacji, kolonizacji, modernizacji), jak i aktywnym podmiotem, wychodzącym poza wyznaczone przez system role.

[26] Tamże.
[27] O trangraniczności biografii w przypadku Janowicza zob. D. Z a w a d z k a , *Rafa regionu*, s. 163.

Dariusz Kulesza
BIAŁYSTOK

To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza

To, co najważniejsze... Taki tytuł nosiło moje wystąpienie przedstawione 3 września 2011 roku w ramach „Trialogu" przygotowanego przez Fundację Villa Sokrates. Opracowując jego wersję do druku, zamierzałem nazwać swój tekst inaczej: *Więcej niż literatura. O twórczości Sokrata Janowicza*. Ostatecznie postanowiłem pozostać przy tytule wrześniowym. Nie chodzi o to, że tamten „Trialog" w dużej mierze poświęcony był 75. urodzinom autora *Doliny pełnej losu*. Rzecz w tym, że myśląc o jego dorobku nie zamierzam wyrzec się ani perspektywy maksymalistycznej (to, co najważniejsze), ani ocen (z reguły wskazujących na przewagi).

Dwie przewagi pierwsze

Nie ma sensu pisać wyłącznie o literackich przewagach Sokrata Janowicza. Albo inaczej: także jego przewagi literackie mają charakter niemożliwy do pomieszczenia w literaturze. W każdym razie o wszystkich przewagach twórcy z Krynek będę pisał na podstawie jego tekstów. Nie tylko literackich. Nie ma w tym nic wyjątkowego. Dorobek Janowicza nie mieści się w tak zwanej beletrystyce. Uzupełniają go eseje i rozmaite publikacje o charakterze tradycyjnie dyskursywnym, począwszy od wywiadów a skończywszy na wstępach, komentarzach czy wypowiedziach publikowanych w katalogach wystaw[1]. Można nawet odnieść wrażenie, że wszystko, co Janowicz publikuje, jest częścią jednej wielkiej wypowiedzi, podporządkowanej jednemu wielkiemu tematowi, który najłatwiej

[1] Trzy przykłady tradycyjnie dyskursywnych wypowiedzi Sokrata Janowicza, nie najodleglejsze w czasie: *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, „Nowe Książki" 2001, nr 9; S. J a n o w i c z, *Rzeki, lasy, ludzie*, w: W. W o ł k o w, *Podlasie – Supraśl – Puszcza*, autorzy tekstów S. Janowicz, E. Pierożnikow, koncepcja i projekt graficzny A. Strumiłło, Białystok 2005; S. J a n o w i c z, *Kraniec Europy*, w: P. G r z e ś, *Extremum Europae*, katalog wystawy prezentowanej w białostockiej Galerii Arsenał w 2010 r.

jest nazwać białoruskością: tym, co decyduje o specyficznym i konkretnym byciu człowieka wobec historii, kultury i losu. Cokolwiek Sokrat Janowicz publikuje po białorusku, w tłumaczeniu na język polski czy po polsku, jest jednym tekstem, zbudowanym według jednego dyskursu, już nie tradycyjnego, ale raczej tego, o którym mówi się od czasów Michela Foucault.

Wyjątkowe nie jest ani to, że cała twórczość Janowicza jest jednym tekstem, ani to, że jako jeden tekst może być odczytywana. Wyjątkowy jest ten tekst sam w sobie. I o tym przede wszystkim postaram się napisać.

Pochodną tej monotekstowej, białoruskiej wyjątkowości jest wyjątkowość dużo bardziej partykularna, lokalna, wielkomiejska, po prostu białostocka. W laudacji wygłoszonej przez Jacka Kuronia z okazji przyznania autorowi *Samosieja* Nagrody im. Andrzeja Drawicza padły i takie słowa: „Wierzę, że twórczość pisarza, poety, eseisty, publicysty i wydawcy Sokrata Janowicza ma dla tożsamości narodowej współczesnych Białorusinów, i zarazem dla bliskości białorusko-polskiej, znaczenie największe”[2]. Moja wiara – wynikająca z lektur tekstów Janowicza – dotyczy tego, że nikt lepiej niż on nie zapisał Białorusi, tego, co białoruskie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wspominany już kontekst historyczny, kulturowy i egzystencjalny. Wyznanie to uzupełniam zazwyczaj zastrzeżeniem, iż opinia ta dotyczy pisarzy, których utwory obecne są w języku polskim, ale Sokrat Janowicz coraz częściej mówi i pisze o polskiej literaturze białoruskiej, przeciwstawianej literaturze białoruskiej sowieckiej proweniencji[3]. Ułatwia to sprawę polskim literaturoznawcom zainteresowanym białoruskim piśmiennictwem, ogranicza ilość tekstów wymagających poznania, zwiększa szansę przeczytania ich w języku polskim. A to tylko najmniej ważne korzyści.

Białoruskość albo Tania

Stawiając narzucające się pytanie, czym jest zapisana przez Janowicza Białoruś, chcę zaproponować tezę, że nie tyle o Białoruś chodzi, ile o białoruskość. Białoruś to kraj, którego przeszłość, a w konsekwencji i tożsamość, została zaanektowana przez Litwinów, Polaków i Rosjan. Białoruś to *terra incognita*[4], którą zbiorowej pamięci stara się przywrócić Sokrat Janowicz. Jest to nie tylko pamięć Litwy, Polski czy Rosji, to także pamięć Europy, ale przede wszystkim pamięć samych Białorusinów, najpierw tych, którzy żyją na Podlasiu, potem tych, którzy trwają na całym świecie w diasporze, docelowo tych, którzy są obywatelami

[2] J. K u r o ń, *Laudacja dla Sokrata Janowicza*, w: J. C h m i e l e w s k i, *Nasza duma*, „Czasopis” 2003, nr 7–8, s. 17.

[3] „Wystąpiłem w Mińsku z referatem *Polska literatura białoruska*, który wywołał spore wzburzenie. Scharakteryzowałem ją w opozycji do sowieckiej literatury białoruskiej. Literatura białoruska tworzona w Polsce różni się pod każdym względem, nie ma tej całej atrybutyki literatury radzieckiej. I ma inną frazę, czyta się ją lekko. No, a w ślad za literaturą idzie naród. […] Polska ma już w tej chwili dwie literatury, polską i białoruską. I także ta literatura białoruska jest znana w Europie”. *Krynki i świat*, s. 8.

[4] Zob. S. J a n o w i c z, *Terra incognita: Białoruś*, Białystok 1993.

Republiki Białorusi. Czym w takim razie jest białoruskość? To los, który przydarzył się konkretnej nacji, ale nie daje się sprowadzić ani ograniczyć do jej dziejów. To białoruska miara losu w ogóle, białoruski udział w powszechnym doświadczeniu ludzkiej egzystencji. Doświadczeniu tragicznym.

Przyjmując tragizm jako znak rozpoznawczy losu każdego z nas, jestem skazany na nieustanne odwołania nie tylko do egzystencjalnej filozofii[5], ale także do Szekspira. Nie ma lepszego niż *Hamlet* tekstu opisującego egzystencję jako skazującą człowieka na konfrontację ze światem, któremu trzeba sprostać i na który nie sposób się zgodzić. Nie wiem, czy reguła ta dotyczy wszystkich literatur narodowych, ale niektóre z nich dysponują utworami zapisującymi partykularną – na przykład rosyjską (dramaty Antoniego Czechowa) albo polską (przede wszystkim *Dziady* oraz *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza)[6] – wersję powszechnego tragizmu człowieczego losu. Sokrat Janowicz zapisał powszechnego tragizmu wersję białoruską. Jego zapis jest szczególnie dramatyczny, ponieważ dotyczy narodu, który ma nie tylko problemy ze swoją pamięcią, ale (jedno wynika z drugiego) także ze swoją tożsamością[7].

Podstawą wiarygodności Janowicza jako pisarza przywracającego pamięć i tożsamość, czyli godność Białorusinom, jest on sam.

> Moje związki etniczno-kulturowe z narodem białoruskim zaczęły się w sposób przypadkowy. W 1951 roku natknąłem się w księgarni MPiK w Białymstoku na książkę napisaną językiem dziwnie podobnym do języka mego dzieciństwa. Z adresu wydawniczego dowiedziałem się, że była to książka białoruska. Od tamtej pory świadomie pogłębiałem swoją więź z kulturą odkrytego dla mnie narodu[8].

W 1951 roku Janowicz miał piętnaście lat. Nie wiem, jak dzisiaj odniósłby się do swojej wypowiedzi z lat 70., ale ona dużo mówi nie tylko o nim, ale przede wszystkim o tych, do których skierowane jest całe jego, nie tylko pisarskie, probiałoruskie działanie. Oni w niepokojąco dużej mierze pozostali tacy, jaki on był przed 1951 rokiem. On pisze i funkcjonuje publicznie tak, jakby wciąż chciał,

---

[5] W moim wypadku jest to filozofia personalistyczna i egzystencjalna, ufundowana na pragmatycznym, sokratejskim sceptycyzmie, chrześcijańska na sposób dramatyczny, zapisany w *Myślach* Pascala, *Bojaźni i drżeniu* Kierkegaarda czy poświęconej nie tylko Dostojewskiemu i Nietzsche`mu *Filozofii tragedii* Szestowa.

[6] Zawsze kocha się niewłaściwą osobę. To zdanie, komentujące relacje zapisane w dramatach Czechowa, jest esencją rosyjskiej wersji powszechnego tragizmu. Literatura polska zapisała swój narodowy, mesjanistyczny tragizm w tekstach romantycznych wieszczów, przede wszystkim Mickiewicza. Osobną sprawą jest, jak partykularne wersje rosyjskiego i polskiego tragizmu wpływają na funkcjonowanie obu narodów. W każdym razie trudno powiedzieć, by było to oddziaływanie wyłącznie pozytywne.

[7] Pisząc o powszechnego tragizmu wersji białoruskiej, biorę pod uwagę ostrzeżenie Jerzego Chmielewskiego, dotyczące nieuzasadnionego uniwersalizowania tekstów Janowicza, które idzie zazwyczaj w parze z niedocenianiem i pomijaniem eseistycznego dorobku Mistrza Sokrata, nastawionego na to, co Chmielewski nazywa propagowaniem białoruskiej historii i europeizowaniem Białorusi. Zob. *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*, Białystok 2000, s. 173.

[8] Z. Ś l ą c z k a, *Piszę w języku mego dzieciństwa, mówi Sokrat Janowicz*, „Kontrasty" 1970, nr 4, s. 9.

żeby krajanie przeszli na tę stronę, którą on poznał, uświadamiając sobie: jestem Białorusinem.

Pisząc o swojej ojczyźnie, Janowicz wyznaje, że stanowiły ją:

> dom, matka, ojciec, brat, ciotki, wujkowie, obejście, pies podwórzowy, kury, owce, krowa, łany zbóż, łąka, cerkiew, wesela, chrzciny, pogrzeby, koledzy (potem koleżanki), wieczornice, zabawy na pastwisku, horror folklorystyczny. I tysiąc innych przedmiotów oraz sytuacji, nigdy zaś posterunek policji czy szkoła albo urząd jakowyś, które eksponowały tę drugą, narzuconą, przychodzącą wraz z oddziałem zbrojnych[9].

Nie ma tu miejsca na państwo Białoruś ani na żadne inne. Nie ma, bo znane z doświadczenia państwo to opresja. Natomiast domowa ojczyzna staje się białoruska dzięki językowi, historii i kulturze. W każdym razie tak wynika z biografii Sokrata Janowicza, z jego esejów, „sokratek", opowiadań, powieści oraz z działalności, którą zwykło się nazywać społeczno-polityczną, chociaż coraz więcej w niej samej kultury, traktowanej jako aktywność nastawiona na zachowywanie i propagowanie tego, co białoruskie. Wystarczy przyjrzeć się inicjatywom Stowarzyszenia Villa Sokrates i zajrzeć do pisma „Annus Albaruthenicus".

Wiarygodność Janowicza to nie tylko osobiste świadectwo, którym jest jego pisarstwo, podporządkowane zachowywaniu i propagowaniu kultury białoruskiej. To także najczystsza literatura, której liryzm nie daje się sprowadzić (sprofanować) do poziomu jakichkolwiek publicznych zadań. Najlepiej świadczą o tym „sokratki", ale w tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę nie na wykreowany przez Janowicza gatunek, ale na powołaną przez niego do istnienia postać, dziewczynę o imieniu Tania.

„W ostatniej klasie Jurka wziął udział w tygodniowej wycieczce. W warszawskim muzeum patrzył na rzeźbę Wenus i oczom nie wierząc odnajdywał w niej Tanię!"[10]. Nie wiem, co brzmi gorzej: spersonifikowana esencja białoruskości czy białoruskości bogini. W każdym razie w osobie Tani Janowicz wykreował postać nadzwyczajną. Ukochaną i nieosiągalną. Utraconą, choć nieposiadaną. Po prostu idealną, by w związku z nią mówić o melodramatycznej miłości – czystej i nieszczęśliwej – modelowej do tego stopnia, że przekraczającej ramy miłosnej opowieści. Nie oznacza to, że warto upraszczać sprawę, sugerując związek niespełnionej miłości do Tani z niespełnionym związkiem Sokrata Janowicza z Białorusią czy – proszę wybaczyć przesadę – równie nieszczęśliwym aliansem Białorusi z historią. Tania tylko dlatego jest tak ważna, ponieważ nie da się jej sfunkcjonalizować, niezależnie od tego, jak bardzo łatwe i kuszące się to wydaje. Tania to najczystsza emocja. Bezcenna. Antidotum na wszelkie zło świata, który Janowicz opisuje: przemoc mocarstw wobec dawnego, białoruskiego sojusznika;

---

[9] S. J a n o w i c z, *Moja mała ojczyzna*, w: t e g o ż, *Terra incognita: Białoruś*, s. 64.

[10] S. J a n o w i c z, *Tania*, w: t e g o ż, *Trzecia pora*, wstęp i wybór W. Smaszcz, Białystok 1983, s. 200.

brak pamięci i tożsamości narodowej Białorusinów; pozbawioną sumienia jałowość miasta; niemożliwy do zniesienia, chłopsko-białoruski los. Tania jest po prostu jasnym przedmiotem pożądania, tą, dla której Sokrat Janowicz, przez całe swoje pisarskie życie, stara się odzyskać utracony, czysty, białoruski świat. On nie robi tego posługując się nią. On robi to dla niej. On robi to z miłości. I właśnie ten motyw sprawia, że cała jego działalność nie tylko staje się wiarygodna, ale także ciepła, wolna od wszelkiego doktrynerstwa, ale na pewno niepozbawiona emocji i to w najwyższych rejestrach, rozpoznawanych mylnie przez adwersarzy pisarza jako zacietrzewienie, przesada, a nawet (historyczna) niekompetencja.

Białystok albo miasto i wieś

Nikt jak Sokrat Janowicz nie zapisał białoruskości. Nikt tak jak on nie zapisał Białegostoku. Ani Edward Redliński, u którego śladów wielkiego miasta można szukać w debiutanckich *Listach z Rabarbaru* (a są to między innymi ślady „wszystkomogącej" redakcji lokalnej gazety[11]); ani Wiesław Kazanecki, zapisujący w swoich wierszach widok Białegostoku z ulicy Bema i z ulicy Kosmicznej[12]; ani Krzysztof Gedroyć, którego dolne miasto jest jak Białystok zuniwersalizowany[13]; ani Elżbieta Kozłowska-Świątkowska ze swoim domowym, prywatnym, tak bardzo rodzinnym i zakorzenionym w przeszłości miastem[14]; ani nawet Ignacy Karpowicz, którego Białystok z *Niehalo*, *Gestów* czy *Balladyn i romansów* jest przejmująco zdiagnozowany ze względu na swoją tożsamość, wciąż skutecznie omijającą współczesność (ponowoczesność?)[15]. Nikt inny nie zapisał Białegostoku lepiej niż Sokrat Janowicz. Gdyby nie on, literatura dostępna w języku polskim nie wiedziałaby, skąd się to wielkie miasto wzięło, jakie było (jest?) i dlaczego tak trudno zmienia się w nim coś więcej niż tylko place, przystosowywane do masowych zabaw i ulice, coraz szersze, na pewno ułatwiające życie.

„W takiej chwili, gdy człowiek odprowadza weselników za wioskę, na drogę, gdy popatrzy z daleka, ze wzgórza, na nocne miasto, wydaje mu się ono wielkim

---

[11] Wielkim miastem w twórczości Redlińskiego jest raczej Warszawa, nie wspominając o Nowym Jorku, niż Białystok. Stolica Podlasia wydaje się przede wszystkim wiejska, co ma znaczenie z punktu widzenia tekstów Janowicza. Wystarczy przeczytać umieszczoną w *Listach z Rabarbaru* nowelkę *Odpust*, która zaczyna się tak: „Białostocki odpust świętego Rocha ma tę przewagę nad innymi, że odbywa się w mieście wojewódzkim. Zaś w promieniu co najmniej trzydziestu kilometrów, mierząc od białego kościoła [kościoła św. Rocha – dop. D.K.] nie ma chaty, z której by choć jedna osoba nie wywędrowała do grodu nad Białką [do Białegostoku – dop. D.K.]". E. Redliński, *Listy z Rabarbaru*, Białystok 1986, s. 69. Pierwodruk: 1967.

[12] W związku z tym, co miejskie w poezji Kazaneckiego, a zwłaszcza białostockie, proponuję dwie lektury: K. Kościewicz, *„Poeta pośrodku miasta". Rzecz o Wiesławie Kazaneckim i jego wierszach*, w: *Twórczość Wiesława Kazaneckiego*, red. M. Kochanowski, Białystok 2010; K. Szymborska, *Kazaneckiego przechadzki po Białymstoku*, w: tamże.

[13] Zob. K. Gedroyć, *Listy z dolnego miasta*, Kielce 2003.

[14] Zob. E. Kozłowska-Świątkowska, *Do tego Domu przychodzę tylko we śnie...*, wstęp ks. J. Twardowski, posł. T. Zaniewska, Białystok 1999; tejże, *Zapachy dzieciństwa*, posł. T. Zaniewska, Białystok 2003.

[15] Jednym z najpiękniejszych, najbardziej przejmujących obrazów Białegostoku w literaturze jest ul. Broniewskiego z *Balladyn i romansów* Ignacego Karpowicza.

cmentarzem w dniu Wszystkich Świętych"[16]. Tak kończy się „sokratka" zatytułowana *Wiocha – bogini zawstydzenia*. Wielkie miasto Białystok[17] jest jak cmentarz i jak wieś, która wstydzi się sama siebie. Miasto i wieś występują u Janowicza razem nie tylko z powodów natury aksjologicznej, jako antytezy: zło i dobro. Miasto powstało dzięki ludziom, którzy do niego ze wsi przyszli. Dlatego związek między wsią i miastem jest niemal organiczny, a na pewno przyczynowo-skutkowy. Może dlatego wiejsko-miejska aksjologia często się komplikuje[18]. Nie zmienia to faktu, że Białystok w prozie Sokrata Janowicza wygląda monstrualnie. Jest po prostu zły. Między innymi dlatego, że powstał z tych, którzy szukając lepszego, łatwiejszego życia – co nie tylko z punktu widzenia tej prozy jest naturalną potrzebą człowieka – gotowi byli na wiele. Także na rezygnację z sumienia, porzucanego tak samo skutecznie, jak wiejska tożsamość.

Do najbardziej dramatycznych i najbardziej symptomatycznych konfrontacji wiejsko-miejskich dochodzi na opisywanych przez Janowicza weselach. To jak ciąg dalszy weselnej tradycji literatury polskiej albo dialog, jaki nawiązuje z nią literatura białoruska[19]. Najpierw był wielki, weselny początek, czyli dwunasta księga *Pana Tadeusza* i *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego. Potem wesele wracało, stając się jedną z ważniejszych miar historii polskiej literatury. Na przykład ta powojenna, peerelowska, daje się opowiedzieć także poprzez weselne teksty: Borowskiego (*Pożegnanie z Marią*), Dąbrowskiej (*Na wsi wesele*), Mrożka (*Wesele w Atomicach*), Nowakowskiego (*Wesele raz jeszcze!*), Andrzejewskiego (*Miazga*) i Janowicza[20].

Wiocha – bogini zawstydzenia oraz dwie inne „sokratki" z tomu *Wielkie miasto Białystok*: *Wesele* i *Noc poślubna*, obie przetłumaczone przez Edwarda Redlińskiego. Te teksty wystarczą, by zobaczyć, jak miasto bezwzględnie i skutecznie niszczy wieś. Najpierw pani magister, która nie tyle Białystok, ile samą Warszawę próbuje wprowadzić na wiejskie wesele, domagając się twista i wyśmiewając niewinność nowożeńców. Rezultat? „Pani magister wykręca pierwszą rundę twistowej spirali, Wasil podryguje wokół jej ruchliwego tyłka./W pokoiku za ścianą płacze panna moda"[21]. Potem zdarza się *Noc poślubna* i towarzyszące jej pytanie: „dlaczego najbardziej plugawe kawały i najcięższe przekleństwa dotykają tego, co najpiękniejsze w życiu, kochania, spraw między mężczyzną i kobietą"[22]. Najwięcej o tym, jak miasto gubi wieś, mówi *Wiocha – bogini zawstydzenia.*

---

[16] S. J a n o w i c z, *Wiocha – bogini zawstydzenia*, w: t e g o ż, *Wielkie miasto Białystok*, wybór i red. J. Litwiniuk, Warszawa 1973, s. 13.

[17] Białystok, ponieważ tekst *Wiochy...* zaczyna się tak: „Za światłami Białegostoku". Tamże, s. 11.

[18] Jeden przykład z eseistyki Janowicza, argument przemawiający za tym, że pisarz z Krynek nie traktował wsi jako sentymentalnej Arkadii, utraconego raju, strefy ładu, sensu i bezpieczeństwa. Cytat dotyczy „żywotności ducha narodu". Białoruskiego. „Decyduje książka, pismo, a nie rozśpiewana wieś z debilną szczęśliwością w oczach i kraśnymi dziewkami przy muzykach". S. J a n o w i c z, *Białoruś i Polska – małżeństwo z rozsądku*, w: t e g o ż, *Terra incognita: Białoruś*, s. 35.

[19] Zob. przypis 3 i 87 oraz tekst, który on lokalizuje.

[20] Zob. D. K u l e s z a, *Wesele raz jeszcze, czyli „weselna" historia literatury PRL-u*, w: t e g o ż, *Pożegnanie z miastem. Szkice, artykuły, recenzje nie tylko o książkach*, Białystok 2006.

[21] S. J a n o w i c z, *Wesele*, przeł. E. Redliński, w: t e g o ż, *Wielkie miasto Białystok*, s. 37.

[22] S. J a n o w i c z, *Noc poślubna*, przeł. E. Redliński, w: tamże, s. 39.

Wystarczą słowa narratora: „wszyscy czekają na śmierć Wiochy!”[23]. Wszyscy, a więc nie tylko tak zwani miastowi, ponieważ wieś też przeszła na ich stronę.

„Białystok jest miastem zbędnym!”[24]. „(W Warszawie wytłumaczono mu, że tu, w Białymstoku, w tym prowincjonalnym zadupiu, zgnije i zbutwieje)”[25]. Jeszcze jeden cytat z *Samosieja*, typowy, białostocki. Andrzej Antoszka wiedział „dokładnie, o czym będzie rozmawiał w domu: ojciec zacznie przemowę, że urzędnicy otrzymują pieniądze za krzywdę ludzką i że miasta potrzebne są dla ludzi jak wrzody dla ciała”[26]. Tylko jeden fragment z powieści *Ściana*, za to na swój sposób genetyczny: „— O, narabowali u ludzi, a teraz sobie murowanki w Białymstoku stawiają”[27]. W *Dolinie pełnej losu* wraca relacja miasto – wieś: „Nie sposób wytłumaczyć chłopu, że trzeba mu popierać miejskich. Bo niby czemu, skoro mają oni za nic wsiowych”[28]. Pojawia się też ocena miasta. Jednoznaczna: „miasto jest jak choroba, z którą się walczy, lecz się nie zmoże jej ostatecznie”[29].

Wielkie miasto Białystok. Lubią je ci, którzy przegrali. Tak jak Wala, zaniedbana samotna kobieta po trzydziestce[30]. Dobrze sobie w nim radzą oszuści i szantażyści[31]. Bezradna jest wobec niego starsza kobieta, matka wybierająca się do lekarza[32]. Nawet płaszcz, chociaż zabawnie to zabrzmi, jeśli jest dobrze skrojony, chyba nie był szyty w Białymstoku[33]. Przed tym miastem trzeba się chować za zasłonami, bo wtedy „ma się wrażenie, że nie jest się w Białymstoku”[34]. O tym mieście nie sposób zapomnieć, bo nawet będąc w Zakopanem, Jerzy, główna postać opowiadania, unika kina, „za bardzo przypominało mu Białystok”[35]. Obsesja?

Nawet w jednym z przygodnych tekstów Janowicz pisze o Krynkach jako istotnym punkcie osadniczym, o znaczeniu Gródka ze względu na Wielką Dorohę Narowską, Zabłudowa z powodu traktu zakroczymskiego wiodącego do Grodna, o królewskim Knyszynie i o prawdziwych miastach: Bielsku oraz Łomży. W tym historycznym kontekście Białystok to tylko przypałacowe miasteczko „z kilkoma uliczkami na krzyż”, któremu „poszczęściło się mieć w szczytowym osiemnastowieczu przebojowego właściciela w osobie hetmana Branickiego”[36].

Stosunek Sokrata Janowicza do Białegostoku to tylko fragment konsekwentnie prowadzonej przez pisarza, białoruskiej krucjaty. Argumenty historyczne potwierdzają wielkość przeszłości naznaczonej białoruskością, wolnej nie tylko

---

[23] S. J a n o w i c z, *Wiocha – bogini zawstydzenia*, s. 13.
[24] S. J a n o w i c z, *Samosiej*, przeł. J. Plutowicz, Warszawa 1981, s. 125.
[25] Tamże, s. 131.
[26] Tamże, s. 285. W cytacie tym chodzi w szczególny sposób o Białystok. Przekonuje o tym następne zdanie: „Matka na to, że syn nie pierwszy rok mieszka w Białymstoku”. Tamże.
[27] S. J a n o w i c z, *Ściana*, przeł. J. Plutowicz, Olsztyn 1979, s. 174.
[28] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, Białystok 1983, s. 37.
[29] Tamże, s. 39.
[30] Zob. S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, w: t e g o ż, *Wielkie miasto Białystok*, s. 125.
[31] Zob. tamże, s. 148–149.
[32] Zob. S. J a n o w i c z, *Mama wybrała się do lekarza*, w: t e g o ż, *Wielkie miasto Białystok*. W tym tekście Białystok nie został wymieniony.
[33] Zob. S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, s. 166.
[34] Tamże, s. 150.
[35] Tamże, s. 151.
[36] S. J a n o w i c z, *Rzeki, lasy, ludzie* [strony nienumerowane].

od wpływów, ale nawet od obecności miasta Białystok. Dwudziestowieczna teraźniejszość to wyrok skazujący białoruską wieś na migrację do miasta. Z jednej strony naturalna potrzeba lepszego, łatwiejszego życia (zwłaszcza wobec braku ekonomicznych perspektyw i marginalizowania, a nawet eliminowania na wsi białoruskich form życia zbiorowego[37]), a z drugiej świadomość tego, że Białystok to urbanizująca się pustynia pozbawiona sumienia, niszcząca tych, którzy do miasta przybywają, zmieniająca ich w posłuszne swym regułom narzędzia.

Ale to nie wszystko. Białystok jest dla Janowicza kolejnym wyrokiem, jaki pozbawiona zmysłu moralnego historia wydała na jego naród. To pozbawione przeszłości, przypałacowe miasteczko okazało się trwalsze niż tak ważne w przeszłości miejsca, jak Krynki, Zabłudów, Gródek, Bielsk czy Supraśl. Jeszcze raz ekonomia i polityka wyniosły to, co mierne, a pogrzebały to, co białoruskie[38]. Trudno pogodzić się z takim faktem. Tym bardziej, że Białystok zamieszkali ci, którzy porzucili dla niego nie tylko swoje wsie i pozbawione znaczenia miasteczka, ale również tożsamość. Pokonana białoruskość także w ten sposób, podporządkowując się regułom życia sformułowanym przez zurbanizowanego, polonizującego zwycięzcę – wielkie miasto Białystok, potwierdzała swoją klęskę. Trudno o bardziej przygnębiającą porażkę.

Istotne wyjaśnienie. Białoruskość i Białystok nie są równorzędnymi przewagami pisarstwa Janowicza. Mógłbym nawet postawić tezę, że przewaga białostocka zawiera się w przewadze białoruskiej, albo istnieje tylko o tyle, o ile pojawia się w kontekście – jednoznacznie negatywnym – białoruskiego żywiołu. Mówiąc inaczej, świat tekstów autora z Krynek jest dychotomiczny. Z jednej strony dobra, bo rzeczywista, zakorzeniona w tragicznym ludzkim losie białoruskość, a z drugiej zła, bo fałszywa, zdegenerowana białostockość, która nie jest niczym innym jak peerelowską otchłanią miejską, przestrzenią infernalną, miejscem zatraty Białorusinów, porzucających swoje naturalne, wiejskie enklawy. Jest jeszcze jeden powód przywoływania Białegostoku w związku z prozą Janowicza. Przyznaję, ma on charakter funkcjonalny, użyteczny, a nawet pedagogiczny. Chodzi po prostu o to, by tych, którzy nie chcą być zainteresowani białoruskością – poprzez Białystok – skłonić do czytania tekstów pisarza z Krynek. Rzecz w tym, by dać im szansę poznania tego, co białoruskie; tego, co tragiczne,

[37] Chyba najbardziej dramatycznie o tej miejsko-chłopskiej wojnie – w której wieś skazana jest na klęskę, a jej białoruski los przypomina, „ale w mikroskali", los Izraelitów – Janowicz pisał w *Dolinie pełnej losu*. Zob. S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 128–130. A to tylko wybrane fragmenty.

[38] Z perspektywy, którą stosuje Janowicz (przedstawionej głównie w jego eseistyce), dzisiejsze województwo podlaskie ma za sobą przeszłość białoruską. Jednym z jej najważniejszych śladów jest często nieuświadamiana albo wręcz wyrugowana (spolonizowana lub zrusyfikowana), białoruska tożsamość ludności zamieszkującej Podlasie. Chodzi przede wszystkim o tych, których rodziny żyją tu od pokoleń. W praktyce dotyczy to głównie mieszkańców wsi oraz miasteczek. Diagnoza ta, historycznie słuszna, musi oczywiście uwzględniać czas, jako czynnik w istotny sposób modyfikujący białoruskość Podlasia, regionu, którego demograficzna struktura zmienia się, czyli polonizuje, co najmniej od końca II wojny światowej.

ponieważ ludzkie; tego, co tak cenne z punktu widzenia białoruskiej, polskiej i europejskiej kultury[39].

Jeszcze tylko o dwóch przewagach Janowicza chciałbym wspomnieć. Pierwsza dotyczy genologii, druga związków jego pisarstwa z tak zwanym nurtem chłopskim polskiej prozy.

Genologia

> Za największe osiągnięcie Janowicza polska krytyka[40] uważa jego krótkie formy narracyjne, a więc bliskie wierszom w prozie miniatury i niewielkie opowiadania, eksponujące techniką zbliżoną do liryki bezpośredniej stany emocjonalne i refleksje bohatera, bądź prezentujące poetycki obraz przyrody. Sąd ten nie budzi zastrzeżeń, bowiem właśnie w małych formach literackich, dzięki maksymalnej kondensacji treści, doniosłości przesłania ideowego, odpowiedniej organizacji struktury językowej i doborowi znamiennych dla współczesności sytuacji, Janowicz przekonująco i w oryginalny sposób wyartykułował swoją wizję świata i zaprezentował swój warsztat pisarski[41].

Cytowaną wypowiedź, bardzo typową z punktu widzenia wartościowania dorobku Sokrata Janowicza, warto uzupełnić informacją, że owe krótkie formy narracyjne, tak wysoko/najwyżej cenione wśród tekstów autora *Ściany*, zwykło się określać „sokratkami". W nazwie tej szczególnie wyraźnie widać związek między imieniem pisarza z Krynek i Sokratesem, pierwszym filozofem, a w każdym razie tym, od którego zwykło się zaczynać historię filozofii egzystencjalnej[42].

Ceniąc „sokratki" nie należy zapominać o gatunkowej rozmaitości tego, co Janowicz pisał. Pozostając w obrębie literatury pięknej, wystarczy wymienić

---

[39] A skoro o Białymstoku mowa, proponuję fragment przemówienia, które Janowicz wygłosił, dziękując za przyznanie mu Nagrody im. Andrzeja Drawicza: „**Swoje trwałe zaistnienie w kulturze zawdzięczam Warszawie** [podkr. – D.K.], a w niej Andrzejowi Drawiczowi i plejadzie jego genialnych przyjaciół. Od Andrzeja powziąłem instynkt człowieczeństwa [...]. Od Jacka Kuronia [...] czerpię umiejętności myślenia, politycznie przyszłościowego [...]. Być może [...] obudził we mnie ducha nieustępliwości Wiktor Woroszylski [...]". Zob. J. Chmielewski, *Nasza duma*, s. 18. Ze względu na to, że ważniejsza niż rola miast w życiu Janowicza jest obecność oddziałujących na niego ludzi, dodam, że obok przywołanych postaci w przemówieniu Laureata pojawiły się – wymienione z wdzięcznością – nazwiska innych luminarzy polskiej kultury: Adama Michnika, Tadeusza Konwickiego, Jerzego Giedroycia, Jerzego Turowicza oraz Bronisława Geremka.

[40] Zob. Z. Trzisz ka, *Wierność samemu sobie*, „Tygodnik Kulturalny" 1981, nr 13, s. 9; W. Smaszcz, *Scalanie pamięci*, w: S. Janowicz, *Trzecia pora*, Białystok 1983, s. 8. [Przypis ten pochodzi od autorki cytowanego fragmentu, W. Supy.]

[41] W. Supa, *Obraz mniejszości białoruskiej w prozie Sokrata Janowicza*, w: *Polsko-białoruskie związki językowe, literackie, historyczne i kulturowe*, red. M. Kondratiuk, Grodno 1999, s. 92.

[42] „To oryginalne imię wybrała mu matka. Zetknęła się z nim w *bieżeństwie*, zafascynowana niezwykłą mądrością pewnego młodzieńca, który miał właśnie na imię Sokrat. Oczywiście nie miała pojęcia, że pochodzi ono od greckiego filozofa, zmarłego blisko 2500 lat temu. Po rozwiązaniu Aleksandra [matka Sokrata Janowicza – dop. D.K.] uparła się, by nadać synowi imię Sokrat i swego dopięła. Pop *batiuszka* Sawicz, gdy przyniesiono mu do ochrzczenia dziecko, zajrzał tylko do odpowiedniej księgi ze spisem dozwolonych imion. Upewniwszy się, że jest takowe, bez ceregieli nadał sakrament i wziął opłatę. Nawet nie wygórowaną". J. Chmielewski, *Szerokim gościńcem przez lata*, w: S. Janowicz, *Utwory wybrane*, Krynki 2011, s. 12.

powieści, opowiadania, nowele, dramaty, gawędy historyczne, eseje i dzienniki. Przy czym sama informacja o genologicznej polifoniczności nie wystarczy. Dużo ciekawsze wydaje się to, jak niejednoznaczna bywa kwalifikacja gatunkowa próz Sokrata Janowicza. Jerzy Litwiniuk we wprowadzeniu do *Wielkiego miasta Białystok* określił pisarza z Krynek mianem poety ludowego[43]. Jan Kurowicki we wstępie do *Zapomnielisk* nazwał go metafizycznym poetą wiejskim[44]. Można oczywiście uznać, że to konsekwencja znaczenia, jakie – nie tylko przecież dla Kurowickiego – mają „sokratki", ale co zrobić z najbardziej chyba znaną[45] (nie tylko w naszym kraju) książką Janowicza zatytułowaną *Białoruś, Białoruś*? Czy to esej, czy historyczna gawęda? A jeśli gawęda, to w jakim stopniu o takiej identyfikacji gatunkowej zdecydowały względy pozagenologiczne, motywy sytuacyjne, mające uwolnić autora od zarzutów nieścisłości, nadinterpretacji czy zwyczajnych przekłamań?

Białoruś, Białoruś była rewolucją, więcej niż literacką. Żadna inna książka Janowicza nie wzbudziła tylu kontrowersji, wywołanych zresztą świadomie i celowo, po to, by zwrócić uwagę polskich czytelników na białoruski problem. Czy to wystarczy, by mówić o tej pozycji z punktu widzenia wyzwania, kategorii wprowadzonej do literaturoznawstwa przez Małgorzatę Czermińską[46]? A co wówczas z perspektywą świadectwa i wyznania, uzupełniającą autobiograficzny trójkąt, niemożliwą do pominięcia w prozie autora *Trzeciej pory*, obecną (niewyeksponowaną) w eseju[47] *Białoruś, Białoruś*, stanowiącą podstawę nie tylko „sokratek", ale również tak ważnej książki Janowicza, jak *Dolina pełna losu*?

---

[43] „Janowicz – choć wyda się to na pierwszy rzut oka paradoksalne – jest poetą ludowym. Poetą, posługującym się prozą. Poetą – bo nie sposób znaleźć u niego opisu dla opisu, zdania, które by nie nurtowało, podskórnie bodaj wzruszenie. Ludowym – według formuły Brechta – «Ludowe to nie to, co o ludzie, ale to, co lud obchodzi»". J. L i t w i n i u k, *O autorze*, w: S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, s. 8.

[44] „Sokat Janowicz jest poetą wiejskim. I jego «metafizyczność» jest wiejska". J. K u r o w i c k i, *Świat jak mała wioska*, w: S. J a n o w i c z, *Zapomnieliska*, Wrocław 1978, s. 6. Metafizyczność Janowicza w ujęciu Kurowickiego może wydawać się kontrowersyjna. Autor wstępu definiuje ją w następujący sposób: „Kiedy zdarza się nam myśleć o sprawach najważniejszych, podstawowych i elementarnych – zapominamy o naszym uwikłaniu w czasie i przestrzeni. Myśli nasze zdają się być skrysztaleniem treści […]. Nic nie mają wspólnego z ziemią, z potem, krwią, zmartwieniami czy chwilami szczęścia. Są. Same w sobie i same dla siebie. Nasycone ważnością, która obezwładnia i podnieca. Myślenie to bywa nazywane «metafizycznym». […] Proza poetycka Sokrata Janowicza przesycona jest niewątpliwie ową «metafizycznością». Ale jest ona swoista. Jej podmiot bowiem […] wyzbywając się owego uwikłania w czas i miejsce zachowuje się jakoś dziwnie. Przypomina mi kogoś, kto zdejmując z siebie krepujące go odzienie – trzyma je w zębach […]. Tym odzieniem jest mentalność i formy życia białostockiej wsi. Polsko-białoruskiej wsi". Tamże, s. 5.

[45] Dotarłem do pracy magisterskiej *Sokrat Janowicz (Sakrat Ânovič). Materiały do bibliografii podmiotowo-przedmiotowej za lata 1956–2003*, napisanej w 2005 r. przez J. Falkowską, pod kierunkiem prof. P. Buchwald-Pelcowej, na Wydziale Historycznym UW (kierunek Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo). Według ustaleń autorki, wśród książek Janowicza właśnie *Białoruś, Białoruś* miała najwięcej recenzji – co najmniej dziewiętnaście.

[46] Zob. M. C z e r m i ń s k a, *Autobiograficzny trójkąt. Świadectwo, wyznanie i wyzwanie*, Kraków 2000.

[47] Moim zdaniem *Białoruś, Białoruś* esejem po prostu jest, a to, co w tej książce prowokacyjne, czyli uświadamiające Polakom niedostrzegany do tej pory problem białoruskości, mieści się w konwencji gatunku, który przecież ufundowany jest na tezach tym użyteczniejszych, im bardziej oryginalnych; tezach dokumentowanych w sposób wolny od żelaznej dyscypliny, przyjmijmy, naukowego (weryfikowalnego) wywodu.

Nie wystarczy napisać, że twórczość pisarza z Krynek dzieje się między dwoma biegunami, fikcjonalnym i niefikcjonalnym. Nie wystarczy nawet wtedy, gdy temu, co fikcjonalne przypisze się obie powieści (*Ściana*, *Samosiej*), zawierające opowiadania, nowele i „sokratki" zbiory próz, zapoczątkowane przez *Wielkie miasto Białystok* (polskojęzyczną wersję debiutanckich, napisanych po białorusku *Zahonów* z 1969 roku), czy dramaty, które powstały w dużej mierze na zamówienie amatorskiego ruchu teatralnego. W zasięgu bieguna niefikcjonalnego umieściłbym takie pozycje, jak *Białoruś, Białoruś*; *Terra incognita*, *Nasze tysiąc lat*, *Ojczystość*, *Z księgi Podlasia* i *Dzienniki*.

Pozostaje jednak problem *Doliny pełnej losu*. Ta książka jest dla mnie szczególnie ważnym argumentem przemawiającym za tym, że klasyczna genologia w konfrontacji z twórczością Sokrata Janowicza okazuje się niezbyt użyteczna, a stosowanie jej potwierdza wcześniejszą tezę: dorobek pisarza z Krynek to jeden tekst. Są w nim standardowe powieści i zupełnie typowe eseje. Pojawiają się tak bardzo popularne wywiady-rzeki i wciąż wzbudzające zainteresowanie czytających dzienniki. Niezależnie od tej heterogeniczności, Janowicz wciąż pisze ten sam tekst w jednej, niezmiennej, białoruskiej sprawie, która nie daje się zamknąć ani w narodowej krucjacie, ani w genologicznych ramach. Sprawa ta okazuje się uniwersalnie, powszechnie ważna między innymi dlatego, że pisarz z Krynek poświęcił jej siebie, swój konkretny, jednostkowy, białoruski i człowieczy los, nie tylko los swojego narodu. Wspominam o tym w związku z *Doliną pełną losu*, ponieważ właśnie ta książka wydaje się być najciekawszym tekstem i z punktu widzenia jednorodności pisarstwa Janowicza (jeden tekst) i z perspektywy podporządkowania tak rozumianej monofoniczności niestandardowym rozwiązaniom genologicznym.

Tak jak autobiograficzny trójkąt Czermińskiej budowany jest ze świadectwa, wyznania i wyzwania, tak *Dolina pełna losu* może być rozpoznana jako rzecz zbudowana z trojakiego tworzywa gatunkowego: dyskursywnego eseju, autobiografii[48] oraz fikcjonalnej prozy narracyjnej. Problem nie ma charakteru teoretycznego, ale dotyczy istoty pisarstwa prozaika z Krynek. Ceniąc „sokratki" za ich emocjonalną i mądrościową[49] skuteczność, nie potrafię pominąć tego, że to właśnie *Dolina pełna losu* pokazuje najskuteczniej te genologiczne komponenty pisarstwa Janowicza, które są najbardziej użyteczne w artykułowaniu tego,

[48] Jest to autobiografia korzystająca zarówno z perspektywy świadectwa, wyznania, jak i wyzwania.

[49] Pisząc o mądrościowym charakterze „sokratek", przywołuję kontekst ksiąg mądrościowych Starego Testamentu. Janowicz nie jest pisarzem religijnym, ale mądrość jego prozatorskich miniatur wymaga konfrontacji z wiedzą o tyle przekraczającą ograniczone poznanie człowieka, o ile pozwalającą widzieć los gatunku homo sapiens z perspektywy bardziej zewnętrznej niż historyczna. Transcendencja nie byłaby tu słowem najwłaściwszym, ale autor *Zahonów* – jako twórca – potrafi być wewnątrz ludzkiego losu i jednocześnie widzieć go tak, jakby przekraczał człowiecze ograniczenia. Diagnoza ta może wynikać ze specjalnej, nadrzędnej, pasterskiej, demiurgicznej wręcz roli, jaką Janowicz (jego pisarstwo) odgrywa wobec Białorusinów. Pozostaje jeszcze dodać, że mądrościowy charakter tekstów autora z Krynek nie da się ograniczyć do „sokratek" i łatwo go skojarzyć z tym typem mądrości, jaki zapisany został przez W. Myśliwskiego w *Traktacie o łuskaniu fasoli*, literackiej summie polskich doświadczeń związanych z XX wiekiem.

co białoruskie i człowiecze. Dorobku autora *Wielkiego miasta Białystok* nie da się zamknąć ani w „sokratkach", ani w *Dolinie pełnej losu*, ale to ten drugi tekst dużo więcej mówi o tym, czego twórczość Sokrata Janowicza dotyczy i o tym, jakie tworzywo decyduje o jej literackiej tożsamości.

„Sokratki" można konfrontować z historią gatunku zwanego w literaturze polskiej lirykiem prozą. *Dolinę pełną losu* oraz inne teksty Janowicza skupione wokół niefikcjonalnego bieguna jego twórczości dobrze jest zestawiać z najszerzej rozumianą prozą dokumentu osobistego. Oba zabiegi wydają się być uzasadnione, ale, mając je na względzie, chciałbym szczególną uwagę zwrócić na miejsce pisarstwa autora z Krynek w kontekście tak zwanego nurtu chłopskiego literatury polskiej.

Myśląc o „sokratkach" i ich związkach z lirykami prozą, sięgam po teksty wojennego pokolenia, przede wszystkim Zdzisława Stroińskiego, którego okupacyjny tomik utworów tego typu zatytułowany *Okno* zdaje się nie mieć sobie równych. Nie czas i miejsce, by pisać o awangardowych, wywodzących się z dwudziestolecia międzywojennego korzeniach tego, co Stroiński opublikował. Wystarczy przypomnieć, że liryk prozą był dla generacji Kolumbów szansą na dyscyplinowanie emocjonalnego napięcia, niewyobrażalnego, związanego z wojenno-okupacyjną sytuacją. Był czymś w rodzaju literackiego maczyzmu, postawy kamuflującej uczucia (wyrażane językiem poezji) w zdaniach podporządkowanych oschłym regułom prozatorskiej składni.

Opresyjności doświadczanej przez Janowicza nie da się porównać z tą, jaka była udziałem Stroińskiego, Gajcego, Trzebińskiego, Bojarskiego czy Baczyńskiego. Dramat jego losu i los jego narodu nie może być jednak traktowany inaczej niż trauma, z którą trzeba sobie poradzić, którą trzeba zapisać. „Sokratki" bywają krzykiem rozpaczy tonizowanym przez poezję. Bywają łkaniem neutralizowanym przez stylistyczną dyscyplinę. I wyznaniem wiary, jak najczęściej chyba cytowany tekst Janowicza *Modlitwa*[50], którego skondensowany, emocjonalny dramatyzm trudny byłby do uwiarygodnienia (i wytrzymania) w innej gatunkowej postaci. Z czasem coraz więcej w „sokratkach" zrównoważonej rezygnacji i spokojnego czekania na śmierć, tak jak w *Długiej śmierci Krynek*[51]. Ale także teksty późniejsze korzystają ze skutecznej, lirycznej pomocy. Jakby silniejsze od nieuchronnego końca było jego literackie zapisanie. Jakby sam fakt zapisu przeciwstawiał się umieraniu. I nie miejsce tutaj na standardowe westchnienia o ocalaniu od zapomnienia czy terapeutycznej roli literatury. Sytuacja ma dużo konkretniejszy wymiar. Sokrat Janowicz już od lat 90. pisze tak, jakby zrezygnował z budowania białoruskiego narodu poprzez uświadamianie mu jego osadzonej głęboko w historii tożsamości. Z tego punktu widzenia *Długa śmierć Krynek* może być nie tyle tekstem przełomowym, ile przynajmniej symptomatycznym. Wskazującym, że w pisaniu Janowicza nie chodzi już o naród budzony z letargu poprzez pamięć jego przeszłości, ale o kulturę tego narodu. Czy jest w tej zmianie rezygnacja?

[50] Zob. S. J a n o w i c z, *Modlitwa*, przeł. J. Czopik, w: t e g o ż, *Trzecia pora*, s. 23.

[51] Zob. S. J a n o w i c z, *Długa śmierć Krynek*, przeł. J. Plutowicz, w: t e g o ż, *Utwory wybrane*, s. 124–125.

Możliwe. Ja widzę w niej głównie zmianę sposobu działania. Cel pozostaje ten sam: białoruskość. Jeśli nie udaje się osiągnąć go poprzez przypominanie/uświadamianie Białorusinom, kim są, pozostaje docieranie do nich pośrednio, poprzez białoruską kulturę. Jeśli przetrwa ona, ocaleje też naród. Nawet jeśli jego przedstawiciele – poza tą częścią inteligencji, która oparła się polonizacji – nie wydają się być tym specjalnie zainteresowani.

„Sokratki" to akty strzeliste wiary, nadziei, a przede wszystkim miłości do tego, co białoruskie. Czy przeważa w nich żywioł nostalgicznie liryczny (początek twórczości Janowicza), czy sceptycznie mądrościowy (dominujący w jej okresie ostatnim), zawsze korzystają one z wpisanego w tradycyjny liryk prozą napięcia między wielkim ładunkiem emocjonalnym i składniową, tonizującą dyscypliną. Dzięki temu uniesienia i nauki Janowicza mogą być zarówno emocjonalnie poruszające, jak i literacko wiarygodne. Napięcie to chroni autora *Zapomnielisk* przed tym, co dawno temu Hłasko i Bursa nazywali największym wrogiem liryczności w literaturze, czyli przed śmiesznością. A o nią aż nazbyt łatwo, zwłaszcza wówczas, gdy pisanie traktuje się jak misję, gdy kocha się ludzi: Białorusinów, którym ta misja służy.

Zdając sobie sprawę z wielkości tego, czemu służą „sokratki" Janowicza, myślę o nich w kontekście *Bardzo krótkich i nieco dłuższych opowieści* Romana Brandstaettera. Wymieniam akurat ten tytuł z dorobku żydowsko-polskiego pisarza, autora *Jezusa z Nazarethu*, by zwrócić uwagę na obecność małych form prozatorskich w jego dorobku. Nie zawsze są to liryki prozą, ale szczególne znaczenie ma dla mnie ich problematyka, biblijna i franciszkańska[52], chrześcijańska. Eksponując ją, chcę wskazać podobieństwo między misją Brandstaettera i Janowicza. Obaj służyli[53] temu, co najważniejsze. Starali się nadać sens i godność nie tyle abstrakcyjnej egzystencji, ile konkretnemu, a przez to powszechnemu losowi człowieka[54]. Pierwszy z nich starał się osiągnąć ten cel, służąc Bogu, wierząc, że właśnie On jest jedynym dawcą, a zarazem gwarantem ładu i sensu, jedynym

---

[52] Zob. R. B r a n d s t a e t t e r, *Krąg biblijny i franciszkański*, wstęp A. Świderkówna, Kraków 2004.

[53] Janowicz wciąż służy, a skoro pozwoliłem sobie skonfrontować go z Brandstaetterem, dobrze byłoby wykorzystać ten pretekst do postawienia pytania o miejsce wiary, chrześcijaństwa, cerkwi w pisarstwie Sokratesa z Krynek. Temat jest zbyt ważny, a jego ujęcie zmieniło się w pisarstwie (i działalności) Janowicza przez lata, więc wyłącznie po to, by kwestię wywołać, trzy cytaty z *Samosieja*. 1. Antoszka na pytanie „— Znaczy, w Boga nie wierzysz?", odpowiada: „— Nie wierzę!". S. J a n o w i c z, *Samosiej*, s. 59. 2. Cytat drugi, o Kirze, ale przecież także o wspominanej już Tani. „Andrzej [Antoszka – dop. D.K.] pamiętał, że owej jesieni pokochał Kirę [tak ma na imię żona Sumleniewicza, głównej postaci innej powieści Janowicza, *Ściany* – dop. D.K.]. Pokochał błękitnie niedostępną. Jej twarz odnajdywał w wizerunku Matki Boskiej, ikony z Pokrowskiej Cerkwi. **Boskość jako zachwyt nad człowiekiem!** [podkr. D.K]". Tamże, s. 74. 3. Cytat ostatni. Słowa dyrektora wypowiedziane na naradzie, słuchane przez Andrzeja „z entuzjazmem". „Panowie, od pewnego już czasu obserwuję panujący u nas kult bezradności. […] Łatwiej jest modlić się niż walczyć. Mnichom tej nowej religii z lenistwa urosły już brzuchy. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że w swych sprawach prywatnych wszyscy są ateistami i poza czasem pracy omijają wzniesione własnymi rękoma świątynie niemożności". Tamże, s. 96–97. Informacja uzupełniająca. „Trialog" w 2011 r. rozpoczęło poświęcenie Żyrowickiej Ikony Matki Bożej, przeznaczonej dla Fundacji Villa Sokrates.

[54] Skojarzenie z *Losem człowieka* Michaiła Szołochowa nie wydaje mi się w tym miejscu niestosowne.

źródłem ocalenia rodzaju ludzkiego, czyli każdego z nas. Dla Janowicza ład oraz sens losu jego współbraci polega na potwierdzeniu ich godności, której odmawiali i odmawiają im inni, której oni sami odmawiają sobie[55]. Najpierw Sokrat Janowicz usiłował przywrócić godność swojego narodu, zabiegając o to, by przypomniał on sobie swoją białoruską tożsamość. Z czasem, wobec niepowodzenia (niewystarczającego powodzenia?) tego przedsięwzięcia pisarz z Krynek zaoferował krajanom ich kulturę, białoruską, by w ten sposób – przyjmując i posiadając ją – mogli stać się szanującymi siebie Białorusinami. Była w tej decyzji nie tylko rezygnacja, ale także więcej niż narodowa, wieczna nadzieja:

> Zamiast biegać w lud, postanowiłem służyć, nie narodowi, ale kulturze białoruskiej. Bo każda kultura jest nieśmiertelna. Również z tego postanowienia zrodziła się idea Villi Sokrates. Ponieważ mam jakąś pozycję w Europie, chcę ją wykorzystać[56].

Intermedium: tożsamość albo miasto i wieś raz jeszcze

Kolejny raz wraca pytanie o białoruską tożsamość, a wraz z nim o to, czy zmiana charakteru działań Janowicza oznacza jego porażkę. Nie potrafię odpowiedzieć jednoznacznie. Czytając ostatnie teksty laureata Nagrody im. Andrzeja Drawicza, odnoszę wrażenie, że uspokaja go nie tylko wiara w białoruską kulturę, którą tworzył jako pisarz, założyciel Stowarzyszenia Villa Sokrates i redaktor periodyku „Annus Albaruthenicus". Janowicz, rezygnując z krucjaty narodowościowej, zabiegając o ocalenie białoruskiej kultury, zdaje się zachowywać tak, jakby uwierzył w swój naród, jakby przyjął, że jego tożsamości nie da się zamknąć w tym, co białoruskie. Nie da się, ponieważ być Białorusinem to raczej doświadczać tragicznej bezwzględności losu, kultury i historii niż rozpoznawać siebie jako obywatela państwa czy przedstawiciela narodu. Z polskiego punktu widzenia takie myślenie o wspólnotowej, narodowej tożsamości może co najmniej

[55] Między rokiem 1988 (po opublikowaniu eseju *Białoruś, Białoruś* z 1987) i 2003 ukazały się co najmniej trzydzieści cztery wywiady przeprowadzone z Janowiczem. (Dane wg pracy magisterskiej J. Falkowskiej, zob. przypis 45.) Osobne miejsce zajmuje wywiad-rzeka, czyli cytowana już książka *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*. Szczególne znaczenie wśród rozmów prasowych należy się tej, która została ogłoszona na łamach „Nowych Książek" z okazji 65. urodzin pisarza (zob. przypis 1). Rozmowa przeprowadzona przez Bernata i Romaniuka nie tylko (bardzo syntetycznie) podsumowuje historię pisarstwa Janowicza, ale także (przede wszystkim?) ujawnia priorytety autora *Samosieja*, które pozostawały aktualne do jego śmierci, do 17 lutego 2013 roku. Założyciel Stowarzyszenia Villa Sokrates o swojej misji wobec Białorusinów mówił w tym wywiadzie tak: „chcę tym swoim analfabetom białoruskim wytłumaczyć, że są wielcy. A jeśli tak, to nie powinni ciągle chodzić zgarbieni i skuleni jak małpa w deszcz. Ja chcę ich obudzić, żeby zaczęli czytać, myśleć, ruszać szarymi komórkami". *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, s. 6. A skoro mowa o jubileuszowych publikacjach dotyczących Janowicza, związanych z jego 65. urodzinami, to nie można pominąć wydanej przez Wspólnotę Kulturową „Borussia", wymienianej już książki Jubilata, zatytułowanej *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, wybór i oprac. R. Traba, Olsztyn 2001.

[56] *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, s. 6.

dziwić. Dlaczego jednak polskie myślenie miałoby decydować o myśleniu białoruskim[57]? A dlaczego Białorusini nie mieliby wybierać „tutejszości" w takim samym stopniu, jak niektórzy z nich wybierają białoruskość? Czy tak trudno zrozumieć, że naród bywał dla nich aż nazbyt często kategorią ważną z punktu widzenia ich najeźdźców, okupantów, panów, przede wszystkim Polaków i Rosjan. Panowie przechodzą przez ich ziemie i giną. Oni trwają. Przecież jeśli nie deklaruję swojej narodowości, to nie znaczy, że nie wiem, kim jestem. Jestem stąd. Jestem tutejszy. Jestem sobą. Nie tylko z perspektywy prozy Sokrata Janowicza jestem Białorusinem, ale ani nie muszę tego deklarować, ani swojej tożsamości nie muszę w ten sposób określać.

Nie muszę, ponieważ to ja jestem naprawdę, a to, co poza moim światem, poza moją *Doliną pełną losu*, wydaje się sztuczne i fałszywe. Tej diagnozy nie da się ograniczyć do obecnego w prozie Janowicza, antytetycznego, opisywanego wcześniej zestawienia prawdziwej wsi i sztucznego miasta. Sprawa jest bardziej skomplikowana. W końcu ani Krynki nie zawsze były wsią[58], ani Sokrat Janowicz nie pochodzi z typowej chłopskiej rodziny[59]. W każdym razie wieś zapisana w twórczości założyciela Stowarzyszenia Villa Sokrates nie jest waloryzowana jednoznacznie. Z jednej strony Janowicz opowiada na przykład o prawdziwości języka, którym w Krynkach mówiono, języka przeciwstawianego wszystkim innym, wymyślonym przez panów jak cały ich, nierzeczywisty, obcy świat[60], ale z drugiej wyznaje, że chłopskie dzieci pobierając naukę w mieście, uczyły się na piątki z plusem, byle tylko na wieś nie wrócić[61], byle tylko wejść w tę polską,

---

[57] Jako Polak nie widzę żadnego powodu, by mój sposób doświadczania, a zwłaszcza wartościowania takich kwestii, jak tożsamość czy naród był obowiązujący dla jakiejkolwiek zbiorowości innej niż ta, z którą się identyfikuję.

[58] „Przedwojenne Krynki [Janowicz urodził się w 1936 roku – dop. D.K.] były gwarnym i żywym miasteczkiem. Liczyły ponad 10 tys. mieszkańców. Trzy czwarte to byli Żydzi – głównie kramarze, takoż robotnicy kilkunastu fabryczek, przeważnie z branży włókienniczej. Wśród mniejszości chrześcijańskiej zdecydowanie dominowali prawosławni, katolików była ledwie garstka – wszystkiego kilkaset dusz". J. Chmielewski, *Szerokim gościńcem przez lata*, s. 11.

[59] J. Litwiniuk nieco przesadza, sugerując, że Janowicz pochodził z rodziny rzemieślniczej (zob. J. Litwiniuk, *O autorze*, s. 7). Nie zmienia to jednak faktu, że ojciec pisarza po trafieniu do niemieckiej niewoli pracował w drezdeńskiej fabryce obuwia, a po powrocie do Krynek w sokólskich zakładach naprawiających obuwie. Zob. J. Chmielewski, *Szerokim gościńcem przez lata*, s. 13.

[60] „W latach czterdziestych w Krynkach po polsku mówiło dosłownie kilka osób [...]. Reszta, w miarę potrzeby na przykład na lekcjach mówiła po polsku, a poza lekcjami po białorusku. To nie był literacki białoruski, tylko rodzaj dialektu. Zresztą początkowo, w 1944 roku, mieliśmy szkołę białoruską, później jednak zamieniono ją na polską. I wtedy my, dzieci, tak katolicy jak prawosławni, nie mogliśmy się nadziwić, po co nam ten polski. Uważaliśmy, że to jest bardzo śmieszny język, co więcej, wydawało nam się, że jest to język wymyślony. [...] Wiedzieliśmy, że istnieją inne języki, choćby francuski, którego nas trochę uczono w szkole, zanim wprowadzono rosyjski. Ale na tych lekcjach francuskiego był jeden wielki ryk śmiechu, bo on dla nas był jeszcze bardziej komiczny aniżeli polski. Uznaliśmy, że te języki są takim wymysłem panów. Panowie wymyślają języki, żeby prosty lud nie rozumiał, o czym oni mówią". *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, s. 5. Można oczywiście potraktować ten cytat jako wgląd w psychikę wiejskiego dziecka. Dla mnie, traktującego każdą wypowiedź Janowicza jak literacki tekst, jest to opowieść o mateczniku, o świecie samym w sobie, o dolinie, która chroni i zamyka los ludzi, przede wszystkim chłopów, organizując go wokół ziemi. Kultura i historia naruszają to *status quo*, a rezultatów tej ingerencji nie da się jednoznacznie ocenić.

[61] „Pamiętam, że kiedyś w technikum nauczyciel opowiadał nam, jak to Staszic żył niezwykle skromnie. Otóż na śniadanie wypijał on szklankę mleka, ewentualnie śmietany, do tego zjadał bułeczkę skromnie smarowaną masełkiem. Siedzę ja i cała ta chłopska klasa, słuchamy tego, uszy się wszystkim

obcą, wielkomiejską, wygodną nierzeczywistość. Może najważniejsze jest to, że w takiej ambiwalencji nie ma nic nadzwyczajnego. Czy można dziwić się izolacji wiejskiego uniwersum i jego nieufności wobec wszystkiego, co przychodziło z zewnątrz, sprawiając wrażenie abstrakcji, jako obce doświadczanemu nie tylko w Krynkach, wiejsko-małomiasteczkowemu losowi? Czy co najmniej równie zrozumiałe nie wydaje się pragnienie porzucenia świata, którego granice wyznacza nie tyle dolina, ile ciężka praca? Wieś jako matecznik i pułapka, jako miejsce, z którego się jest i z którego nie można nie chcieć uciec.

Sprawa dodatkowo komplikuje się wtedy, gdy Janowicz opisuje wieś z punktu widzenia swojej misji tworzenia/budzenia/rekonstruowania białoruskiego narodu:

> Wieś nie tworzy narodowości. Ona w ogóle niewiele tworzy. Wieś nie jest motorem, raczej naśladuje. Postęp polega na rozwoju cywilizacyjnym. W końcu czasopism czy podręczników nie drukuje się na chutorze, tylko w mieście. Jeśli przyjrzeć się ruchom narodowym, to widać, że one były skutkiem stopniowej asymilacji wsi przez miasto, ale asymilacji takiej, w wyniku której powstawało etniczne mieszczaństwo. I dlatego ja wiem, że jeśli jako Białorusini nie zakorzenimy się w mieście, to nas nie będzie. Będziemy istnieć po wsiach jako folklor i egzotyka[62].

Jeszcze inaczej rzecz przedstawia się w tej części jednego, wielkiego, białoruskiego tekstu Sokrata Janowicza, która ma charakter tradycyjnie powieściowy. Wystarczy zajrzeć do *Samosieja*, prozy napisanej „z podpowiedzi Wiesława Myśliwskiego"[63], za sprawą *Nagiego sadu*, *Pałacu*, *Złodzieja*, *Klucznika*, *Drzewa*, a przede wszystkim *Kamienia na kamieniu*, najważniejszego pisarza nurtu chłopskiego, nie tylko z powodu *Traktatu o łuskaniu fasoli*, jednego z najwybitniejszych twórców polskiej współczesnej literatury.

W *Samosieju* jest sekwencja scen pokazujących, jak przyjmowany jest przez kolegów z dzieciństwa Andrzej Antoszka – ten, któremu udało się w mieście, bo „rośnie mu brzuch, […] ma na sobie drogie ubranie, […] ma za co wypić i ma forsę na dziwki, pewnie też planuje budowę willi na przedmieściu"[64]. Koledzy zaczynają od pytań dotyczących zarobków:

---

wielkie robią i każdy myśli, kurczę, ja bym chciał takie śniadania jeść. Kiedy więc czytaliśmy teksty polskie, czy to Mickiewicza, czy Słowackiego, czy innych, to dla nas był to świat nawet aż wymyślony, a na pewno obcy. Jakieś panny, dziwne perypetie, konspiracje, czegoś tam wszyscy chcą… A po co? […] Kalkulacja była taka: niech no ja skończę technikum, to będę miał takie same śniadania. Czy ktoś zdaje sobie sprawę, że myśmy się uczyli na piątkach z plusem, żeby nas nie usunięto, co znaczyłoby powrót na wieś". *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, s. 5.

[62] Tamże, s. 8.

[63] *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*, s. 169. W latach 1974–1976, kiedy współzałożyciel Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" pisał *Samosieja*, Myśliwski nie był jeszcze autorem ani *Traktatu*…, ani dramatu *Drzewo*, ani *Kamienia*…, ani nawet dramatu *Klucznik*, ale – na szczęście dla pisarza z Krynek – „miał dużo do powiedzenia w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie: zawarto ze mną umowę – opowiada Janowicz – wypłacono niebagatelną zaliczkę na przeżycie. Bardzo możliwe, że gdyby nie to, nie powstałby *Samosiej*…". Tamże.

[64] S. J a n o w i c z, *Samosiej*, s. 146.

— Co dobrego u Ciebie, Andrzej? — rozmowa nie kleiła się. — Zgarniasz chyba pięć patyków miesięcznie? […]
— Pięć? Dobrze, jeśli trzy wyciągnę — zaczynał się złościć. — Tam dobrze, gdzie nas nie ma — spróbował zażartować.
Na twarzach można było wyczytać: „Z tymi trzema tysiącami, rzecz jasna, zażartowałeś, no nie?" — A samochód jaki masz — niemiecki? Za granicę często? I pewnie wpadają ci duże łapówki, co?[65]

Na prośbę Andrzeja dotyczącą sprzedaży eternitu koledzy z dzieciństwa odpowiadają: „— Tobie sprzedamy! Tobie, bracie, załatwimy tak, że kupisz eternit na pewno. Nie martw się, kupisz — mrugali oczami. Chuchali na pieczątki, stukali w druczki, podpisywali"[66].

Podobnie – jak miejskiego bohatera – traktują Andrzeja jego rodzice. Jedna z najlepszych scen *Samosieja* to nieprawdopodobna licytacja, w której bierze udział przede wszystkim ojciec Antoszki, ścigający się z goszczącymi w jego domu rodzicami dziewczyny robiącej – tak jak jego syn – karierę w mieście. Przedmiotem wyścigu-licytacji jest to, które z dzieci radzi sobie lepiej. Argumenty używane przez obie strony niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Wśród używanych przez ojca pojawia się czarna wołga ministra, a pieniądze zarabiane przez Andrzeja mnożą się poza wszelką racjonalną kontrolą[67]. Antoszka „był zaskoczony: nigdy nie słyszał, żeby ojciec tak gadał"[68].

Powieściowa matka zachowuje się bardziej racjonalnie, ale i dla niej sprawa jest jednoznaczna i prosta. Wyimaginowany[69] dialog między nią i synem to kolejna okazja, by pokazać, że z perspektywy takich miejscowości, jak Krynki jedyną szansą na lżejsze życie jest miasto. I dlatego rodzice nie znają lepszej przyszłości dla swoich dzieci niż wielkie miasto Białystok. Przecież „na wsi pozostali starzy i głupi"[70], a wobec wiejskiej nędzy miejski dostatek to wartość niepodlegająca dyskusji. Nie tylko matka Andrzeja wie: „Bez chleba człowiek to nie człowiek"[71]. Antoszka: „— Pamiętasz, sama mówiłaś, że w Białymstoku mieszkają tylko hultaje i obiboki. — Bo złość mnie, synku, brała, dlatego mówiłam. Samej było mi ciężko, ale ty powinieneś żyć lżej"[72]. Czy matka musi mówić więcej? „Samej było mi ciężko, ale ty powinieneś żyć

[65] Tamże, s. 144–145. Tego rodzaju pytania zdarzają się częściej. W opowiadaniu *Wielkie miasto Białystok* dawny kolega głównej postaci, Jerzego, obecnie szantażysta, pyta: „Ile zarabiasz?". S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, s. 146.

[66] Tamże, s. 146–147.

[67] Zob. tamże, s. 164–169.

[68] Tamże, s. 169.

[69] Charakterystyczne, że Antoszka nie podejmuje z matką rozmowy o powrocie na wieś. Nie podejmuje, jakby znał jej nieprzejednane stanowisko w tej sprawie. Dlatego Janowicz pisze: „— Mamo — **powiedziałbym**. — Wracam do ciebie na zawsze. […] — W lipcu czy sierpniu — **nie zrozumiałaby** matka. — Na zawsze — **powtórzyłbym** [podkr. D.K.]. — Dlaczego, Andrzeju? Czyżby wypędzali z Białegostoku wiejskich ludzi?". Tamże, s. 280.

[70] Tamże, s. 281.

[71] Tamże.

[72] Tamże, s. 181–182.

lżej" – taki argument zamyka dyskusję, która – wobec oczywistości rezultatu – nigdy się nie odbyła.

Małomiasteczkowa wieś[73] traktuje miasto jak El Dorado, w którym spełniają się marzenia o leniwym i dostatnim życiu. Andrzej Antoszka wie, że jest inaczej, ale dla jego kolegów, dla jego rodziców, dla wszystkich mieszkańców *Doliny pełnej losu* nie ma to żadnego znaczenia. Oni znają – na pewno i niewątpliwie – swój los i mają nadzieję, naturalną i zupełnie zrozumiałą na lepsze życie: gdzie indziej, w mieście. Jeden z najważniejszych problemów wpisanych w prozę Janowicza polega jednak na tym, jakie to miasto jest, jak funkcjonuje w nim Andrzej Antoszka albo Stefan Sumleniewicz – najważniejsza postać drugiej powieści Janowicza, *Ściany*[74].

Konflikt ten nie musi być nazywany tragicznym (klasycznie, po schelerowsku). Wystarczy, jeśli zostanie rozpoznany jako egzystencjalny, bo przecież trudno traktować egzystencję inaczej niż jako naznaczoną tragizmem. Zwłaszcza tę, o której pisze Janowicz. Z jednej strony wieś – matecznik definiujący tożsamość i pułapka skazująca na niewynagradzany trud; miejsce decydujące o tym, kim jestem i naznaczona biedą dolegliwość zmuszająca do ucieczki. A z drugiej strony wielkie miasto Białystok – urzędniczo-biurokratyczna, peerelowska otchłań[75], zbudowana przez tych, którzy ze wsi uciekli; zurbanizowana katastrofa, bo przecież niczym innym nie może być to, co powstało wyłącznie z pragnienia lepszego, łatwiejszego życia. Bez sumienia. „Sumienie męczy głupich! Biedaków, co to nie umieją kombinować… Po co sumienie? Jaka jest korzyść z sumienia?"[76]

Sokrat Janowicz nie jest moralizatorem, raczej psychologiem społecznym, socjologiem, bezwzględnym, białoruskim realistą, który rozumie powody ucieczki ze wsi[77], ale również to, że miejsce ucieczki, Białystok, raczej niszczy tych, którzy się w nim chronią, niż ich ratuje. O tym traktują *Samosiej* i *Ściana*[78].

---

[73] Miejsce, do którego wraca Antoszka to (pozbawione praw miejskich w 1950 r.) Krynki. Ich mieszkańcy określani są przez personalnego narratora jako „małomiasteczkowi". Zob. tamże, s. 146. Pozostaje jeszcze dodać, że od 2009 roku Krynki na powrót stały się miastem.

[74] S. J a n o w i c z, *Ściana*. Książka ta została opublikowana wcześniej niż *Samosiej*, ale z wypowiedzi Janowicza wynika, że została napisana jako pierwsza. Zob. *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*, s. 169.

[75] Nie demonizowałbym odpowiedzialności PRL-u za to, jaki jest świat opisywany przez Janowicza. Nawet *Samosiej* i *Ściana*, choć tak głęboko tkwią w realiach lat 70., choć rejestrują patologie ówczesnej biurokracji i gospodarki (spółdzielnia przedstawiona w powieści *Ściana*), nie dają się czytać wyłącznie jako teksty napisane przeciw Polsce sprzed 1989 roku. Więcej w nich etycznych napięć, pojawiających się między białoruską wsią oraz pozbawionym właściwości (i sumienia) miastem, niż polityki.

[76] S. J a n o w i c z, *Samosiej*, s. 146. Cytowany fragment to słowa, które wypowiedzieliby koledzy Antoszki, gdyby on mówił im o tym, że czuje się „jak odpasiony wieprz, […] bez sumienia". Tamże. W *Samosieju* już się o sumieniu nie mówi. W opowiadaniu *Wielkie miasto Białystok* również, chociaż pytanie: „ – To może porozmawiamy o tym, jak przeżyć dzień z czystym sumieniem?" (S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, s. 132.), zostaje w nim wypowiedziane.

[77] Także bardziej pożądane niż rzeczywiste, dotyczące ocalenia białoruskości, uwolnienia jej od stygmatu wiejskości, folkloru i egzotyki. Zob. przypis 62 i tekst, który on lokalizuje.

[78] Obie powieści „krytyka przyjęła znacznie mniej przychylnie niż zbiory małych próz". (W. S m a s z c z, *Scalanie pamięci*, w: S. J a n o w i c z, *Trzecia pora*, s. 21.) Powodów niechęci jest wiele. *Samosiej* i *Ściana* to z jednej strony etyczna prowokacja, a z drugiej proza do tego stopnia naznaczona

Problem jest wiejsko-miejski, ale także białorusko-polski i egzystencjalny. Decydują o nim pytania pierwsze. Skąd jestem? Kim jestem? I co się stanie z moją – nieuświadamianą? porzuconą? – (białoruską?) tożsamością? Nie da się tych pytań zmieścić w tak ważnym dla autora *Małych dni* napięciu: wieś – miasto, ani w nurcie chłopskim polskiej prozy. Twórczość Sokrata Janowicza wystarczająco głęboko tkwi jednak w tym, co wiejskie, by skazana była na konfrontację z dorobkiem Wiesława Myśliwskiego, Tadeusza Nowaka, Juliana Kawalca i Edwarda Redlińskiego[79].

Nurt chłopski

Zygmunt Ziątek, pisząc o *Nagim sadzie* i *Pałacu* Myśliwskiego zwrócił uwagę, że każda z tych książek tkwi w tradycji powojennej, ale także przedwojennej prozy podejmującej problematykę wiejską[80]. Pierwsza nawiązuje do obecnej od *Spowiedzi* Józefa Mortona i *Młodości Jasia Kunefała* Stanisława Piętaka konfrontacji „tradycyjnej chłopskości niepiśmiennego ojca" ze świeżo nabytą uczonością syna. Druga wraca do trwałej w literaturze opowieści o radzeniu sobie przez ludzi ze wsi z „pańskim" charakterem kultury. Oba tematy są ważne nie tylko z punktu widzenia chłopskiej prozy Myśliwskiego. W dużej mierze dotyczą całego nurtu, który książki dwukrotnego laureata Nagrody Nike reprezentują. Ciekawe jest usytuowanie wobec nich pisarstwa Sokrata Janowicza.

> Kracio, jak zdrobniale rodzice nazywali syna [...]. Wyrastał jako półsierota, gdyż ojciec trafił do niewoli niemieckiej i pojawił się w Krynkach dopiero na wiosnę

---

dydaktyczną misją, że aż tendencyjna. I konwencjonalna. Główne postaci obu powieści sięgają po rozwiązania niezgodne z prawem, by zwrócić uwagę na niemożliwy do zaakceptowania stan ich zakładów pracy. Sumleniewicz ze *Ściany* posuwa się do podpalenia samochodu prezesa spółdzielni, w której pracuje, bo wierzy, że tylko przed sądem – tłumacząc się ze swojego czynu – zdoła skutecznie oskarżyć swojego przełożonego. Oczywiście przegrywa. Tak samo jak Antoszka z *Samosieja*, projektujący w finale powieści swój los, zrealizowany przez Sumleniewicza. Tendencyjność obu książek to wpisane w nie i skrupulatnie zrealizowane założenie mówiące o tym, że w mieście nie można żyć uczciwie. (Tezę tę łatwo sformułować w bardziej wyszukany sposób, ale niczego to w obrazie miasta nie zmienia.) Sukces zdarza się w nim wyłącznie kanaliom i miernotom. Uczciwi skazani są na porażkę, chociaż tę część modelu da się zasadnie skomplikować. Antoszka i Sumleniewicz nie muszą być wyłącznie ofiarami. Każdego z nich można sfunkcjonalizować do roli personalnego ostrzeżenia. Przecież oni przegrywają także dlatego, że posługują się metodami swoich miejskich przeciwników. Zresztą *Samosiej* i *Ściana* zasługują na osobne studium, uwzględniające np. fabularną całość, jaką obie powieści tworzą; powtarzalność pojawiających się w nich postaci, sytuacji, motywów oraz strachu jako formy istnienia człowieka (zob. S. J a n o w i c z, *Ściana*, s. 71); obecność konsekwentnie stosowanego kryminalnego sztafażu (włącznie z pojawiającymi się w tle, niewyjaśnionymi – w takim samym stopniu niewykorzystanymi, jak i symptomatycznymi – zbrodniami oraz pozytywnym wizerunkiem funkcjonariusza milicji obywatelskiej, wiecznie zajętego, inteligentnego kapitana). Po prostu obie książki wymagają gruntownej interpretacji i precyzyjnego zainstalowania w dorobku Janowicza, w jego jednym, wielkim, białoruskim tekście.

[79] Te cztery nazwiska tworzą kanon promowanego przez Henryka Berezę nurtu. Kanon, który funkcjonuje co najmniej od czasu opublikowania książki A. Zawady *Gra w ludowe. Nurt chłopski w prozie współczesnej a kultura ludowa*, Warszawa 1983.

[80] Zob. Z. Z i ą t e k, *Wiesław Myśliwski*, w: t e g o ż, *Wiek dokumentu. Inspiracje dokumentarne w polskiej prozie współczesnej*, Warszawa 1999, s. 33, 35.

czterdziestego trzeciego [...]. Kracio na widok jakiegoś nieznajomego w miejskim ubraniu i z ogoloną twarzą, [...] uciekł do chaty i schował się pod łóżko[81].

Nawet nie przywiązując do opisanych przez Jerzego Chmielewskiego faktów specjalnego znaczenia, łatwo zauważyć, że w prozie Janowicza ojca brakuje[82]. Dużo ważniejsza, intensywniej obecna jest matka. To do niej wraca się z miasta. To jej pomaga się w pracach polowych czy w pokrywaniu dachu. To ona wysyła syna do Białegostoku, licząc, że tam mu będzie łatwiej. Czy to znaczy, że Janowicz rezygnuje z konfrontowania w swojej prozie tych, którzy tkwią w tradycyjnej, wiejskiej przeszłości z tymi, którzy wywodząc się ze wsi, zdołali nasiąknąć nowym, miejskim światem, miejską mądrością?

Pisarz z Krynek konfrontację znaną z polskich powieści nurtu chłopskiego przedstawił inaczej. Nie ma to moim zdaniem charakteru psychoanalitycznego, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że u autora *Ściany* miejsce nieobecnego ojca zajmuje białoruska ojcowizna, ojczystość[83]. Ojciec, którego nie było i naród, który niezbyt mocno chce być. I Janowicz wobec tej podwójnej (upodobnianej?) nieobecności. Brak narodu jako brak ojca? Potrzeba narodu jako forma rekompensaty za to, że ojca nie było, że ojciec nie dość był? Stawiane w ten sposób pytania prowokują odczytania psychoanalitycznej proweniencji, których wolałbym uniknąć, ponieważ nie wydaje mi się, by były one adekwatne wobec pisarstwa Janowicza (egzystencjalnego, nacechowanego emocjonalnie, ale nastawionego na rozwiązania racjonalne o socjologiczno-etycznym charakterze). Z drugiej strony nie warto ukrywać, iż jedna z książek interpretujących wiejską prozę Wiesława Myśliwskiego napisana została z psychoanalitycznego punktu widzenia[84].

Kuszące mogą się wydawać rozważania nad tym – proszę wybaczyć – ile ojca jest w ojcowiźnie, a ile matki w ojczystości i dlaczego ta druga pojawia się częściej niż pierwsza, ale nie potrafię traktować ich poważnie. Janowicz jest pisarzem, który wciąż stara się przywrócić godność swoim krajanom. Najpierw robił to, odwołując się do ich zaniedbanej tożsamości narodowej. Teraz, współtworząc i zachowując ich kulturę. Działania te mają znaczenie nie tylko dla tych, których dotyczą. Ratując Białorusinów, Sokrat Janowicz ratuje także siebie. Jeśli ktokolwiek chce interpretować to jako odzyskiwanie ojca (ojcowizny, przynależności narodowej) dla współbraci (i siebie), a tym samym odnajdywanie się

---

[81] J. C h m i e l e w s k i, *Szerokim gościńcem przez lata*, s. 12–13.

[82] Symptomatyczna z tego punktu widzenia jest *Ściana*. W tej powieści ojciec głównej postaci, Stefana Sumleniewicza, po wojnie „wyruszył walczyć z bandami", zginął, a jego ciała „nie odnaleziono". S. J a n o w i c z, *Ściana*, s. 154, 155.

[83] W „sokratce" zatytułowanej *Ojczystość* Janowicz pisze tak: „Idę swoim polem./Dzieciństwo moje snuje się na widnokręgu, klony u drogi wyrosły nad podziw./Wchodzę do domu. Na ścianach ikonostas: zapamiętał moich najbliższych i daleki uśmiech matczyny./[...] I wiem, że Ojczyzna to nie tylko wielki zbiorowy obowiązek – i że ma ją nie tylko ten jedynie, kto chociaż raz zapłakał...". S. J a n o w i c z, *Ojczystość*, przeł. J. Czopik, w: t e g o ż, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, s. 11. Zob. przypis 55.

[84] Zob. Cz. Dziekanowski, *Proza „życia w śmierci". Psychoanaliza twórczości powieściowej Wiesława Myśliwskiego*, Białystok 1990.

w roli ojca dla innych, by zrekompensować sobie jego brak w dzieciństwie, proszę bardzo.

Ciekawsze dla poznawania dorobku Janowicza mogą się wydawać pytania o to, jak radzi on sobie z „pańskim" charakterem kultury. Ciekawsze, ponieważ w jego prozie „pańskość" aż nazbyt łatwo skojarzyć z miejskością, czyli negatywnym punktem odniesienia, bez którego dorobek Sokratesa z Krynek nie istnieje. Z drugiej jednak strony, co ma wspólnego „pańskość" *Pałacu* Myśliwskiego z wielkim miastem Białystok? Nic. „Pańskość" jako punkt odniesienia dla *Doliny pełnej losu* nie istnieje w twórczości Janowicza. Jest chłopskość, jest miejskość i jest historia, zamierzchła, w której znaleźć można wszystko, ale opisywana w niej „pańska" kultura, spersonifikowana chociażby we Franciszku Skarynie, nie funkcjonuje jako źródło kompleksu wobec kultury alternatywnej, nowej, naszej, chłopskiej. Wprost przeciwnie. Janowicz, na przykład w eseju *Białoruś, Białoruś*, pisze tak, jakby chciał „pańskość" uczynić częścią dziedzictwa współczesnych Białorusinów, fragmentem ich narodowej pamięci i tożsamości. To, co chłopskie miało podnieść się z kolan dzięki temu, co „pańskie", bo przecież jedno i drugie należy do jednej, białoruskiej historii. Przywróceniu godności miało towarzyszyć narodowe odrodzenie.

Coś jeszcze. „Gawęda historyczna" *Białoruś, Białoruś*, tak jak większość esejów Sokrata Janowicza, powstała w dużej mierze z myślą o polskim odbiorcy. Miała być argumentem przemawiającym za tym, że kultura białoruska jest tak samo „pańska" (tak samo ważna), jak kultura polska. Więcej, obie mają ze sobą tak wiele wspólnego, że *Pan Tadeusz* może być traktowany jako nasza, polsko-białoruska, epopeja narodowa[85]. Najważniejsze opowiadanie historyczne Sokrata Janowicza, *Srebrny Jeździec*, da się odczytać z punktu widzenia polsko-białoruskiej wspólnoty, odnajdywanej w tak istotnym dla obu nacji (choć różnie przeżywanym i zapamiętanym) wydarzeniu, jak Powstanie Styczniowe[86]. W 2001 roku Janowicz powiedział: „z polskiej kultury zrodziła się nowożytna kultura białoruska"[87]. Czy zatem nie należałoby zaryzykować tezy, że – zupełnie inaczej niż u Wiesława Myśliwskiego (przede wszystkim w jego *Pałacu* i *Kluczniku*) – „pańskość" w pisarskim dorobku Sokratesa z Krynek to nie tyle problem, z którym kul-

[85] Zob. S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 13–14.

[86] Zob. S. J a n o w i c z, *Srebrny Jeździec*, przeł. A. Sobecka w: t e g o ż, *Srebrny Jeździec*, Warszawa 1984. Ten tekst, jak praktycznie cały dorobek Janowicza, może być też czytany z autobiograficznego punktu widzenia. Pojawia się w nim motyw współpracy z zaborcą (zob. tamże, s. 42–43) i opinia na temat powstańców, której trudno nie skojarzyć z działalnością współzałożyciela Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego: „Powstańcy są nienormalnie szlachetni […]. Walczą nie na życie, a na śmierć o pełną wolność tych człekopodobnych stworzeń, które w swej głupocie są nawet nie od tego, żeby sprzedać swoich obrońców". Tamże, s. 80–81. Jeszcze jedna uwaga, tym razem w sprawie polsko-białoruskich różnic w traktowaniu Powstania 1863 roku. Makarewicz, jeden z powstańców, myśli tak: „Powstanie, mówiąc prawdę, dopiero powinno się rozpocząć […]. Bez szlachty! Jej udział – to katastrofa całej sprawy. Chłopi nie pójdą za panami w las, bo i po co? Za pańską wolność walczyć? Prawdziwa wolność – to taka wolność, w której nie będzie ani panów, ani cara. W której wszyscy będą równi". Tamże, s. 75. Zacytowany fragment więcej mówi o polsko-białoruskich, tkwiących w historii i wciąż żywych napięciach niż o powstańczym sporze „białych" z „czerwonymi".

[87] *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, s. 6.

tura chłopska musi sobie poradzić, ile źródło, do którego ma ona prawo i z którego powinna korzystać[88].

Wiesław Myśliwski w *Kamieniu na kamieniu* zapisał wiejskie uniwersum. Przeniósł je z przestrzeni historii, w którym umierało, w przestrzeń kultury, gdzie będzie trwać. Stworzył tym samym epopeję. Spełnioną, chłopską. Janowicz nie ma na to szans. Wieś znana z jego prozy umarła, ale epopei o niej napisać nie sposób, ponieważ zabrakło jej tożsamości narodowej. Wieś Janowicza umarła niedokończona. I dlatego Sokratesowi z Krynek nie udało się zainstalować jej w porządku narodowej kultury białoruskiej. Wieś autora *Zahonów*, jakkolwiek to brzmi, nie okazała wystarczającego zainteresowania tego rodzaju – narodową – identyfikacją.

Diagnoza ta brzmi dramatycznie. Nie ma wsi i nie ma ocalającej jej istnienie epopei. Czy pozostał tylko folklor i egzotyka? A może w wielkim mieście Białystok udało się stworzyć przyczółek białoruskości, który przetrwa? Nie potrafię tego ocenić. Ale liczę na Bielsk Podlaski, Hajnówkę, Gródek, Sokółkę, Supraśl czy Krynki. Na wymienione i niewymienione, lokalne ośrodki dbające o swoją wielokulturową tożsamość. Liczę na takie instytucje, jak zarejestrowane w 1993 roku Białoruskie Towarzystwo Historyczne, kierowane przez profesora Olega Łatyszonka. Z drugiej strony wiem, że białoruskie pisma (takie jak „Niwa", „Czasopis" czy „Termopile") nie funkcjonowałyby bez dotacji, ponieważ nie ma wystarczająco wielu kupujących je Białorusinów (i Polaków)[89]. Białoruskie Stowarzyszenie Literackie „Białowieża" wciąż nie jest wystarczająco ważnym środowiskiem pisarzy mieszkających na Podlasiu, chociaż – między innymi dzięki kolejnym książkom Michała Androsiuka (*Wagon drugiej klasy*, *Biały koń*) – ma szansę stawać się coraz ważniejsze. Trudno nie obawiać się o losy Katedry Kultury Białoruskiej na Uniwersytecie w Białymstoku, chociaż bardzo bym chciał, żeby udało się jej nie tylko przetrwać, ale wręcz dominować w badaniach dotyczących tego, co białoruskie. Byłoby źle, gdyby w ocalaniu kultury Białorusinów na placu boju pozostał dorobek Sokrata Janowicza, Leona Tarasewicza i Jerzego Chmielewskiego, założycieli oraz członków Stowarzyszenia Villa Sokrates. Białoruskość potrzebuje dużo więcej niż wydawany przez spadkobierców Sokrata „Annus Albaruthenicus".

Konfrontowanie dorobku Janowicza z nurtem chłopskim polskiej prozy nie musi prowadzić do wniosków wyłącznie pesymistycznych. Nie ma też powodów, by ograniczać się do różnic pojawiających się między pisarstwem Sokratesa z Krynek i dorobkiem Wiesława Myśliwskiego, najważniejszego przedstawiciela nurtu. Wystarczy zwrócić uwagę na to, jak wiele wspólnego mają „sokratki"

[88] Nie zmienia to faktu, że Białystok, który opisuje Janowicz, a nawet całe Podlasie, wydają się przede wszystkim (wyłącznie?) białoruskie. Polacy są w tej prozie niewidoczni. Jest białoruska wieś, są białoruskie miasteczka i jest białoruski Białystok, który powstał dzięki tym, którzy ze wsi przyszli do miasta w poszukiwaniu lepszego, łatwiejszego życia. Sokrates z Krynek w beletrystycznej części swojego wielkiego, białoruskiego tekstu zajmuje się tylko losem własnej Doliny. Jako eseista opowiada także o innych nacjach, ale i tak jest to relacja sfunkcjonalizowana ze względu na to, co białoruskie.

[89] Akurat w tym nie ma nic dziwnego. Od lat nie może się utrzymać na białostockim rynku wydawniczym żadne lokalne pismo poświęcone kulturze.

z poezją, współdecydującą o archetypicznym charakterze najlepszej powieści Tadeusza Nowaka, *A jak królem, a jak katem będziesz*[90]. A czy socjologiczna perspektywa, charakterystyczna dla wiejskiej prozy Juliana Kawalca, nie wchodzi w dialog z tekstami Janowicza, skupionymi na nieuchronnych społecznych przemianach, dewastujących chłopów z *Doliny pełnej losu*, a zwłaszcza ich dzieci, migrujących do miasta. Wreszcie relacja (zależność?) najciekawsza, która zdarzyła się między dwoma pisarzami związanymi z Podlasiem, Edwardem Redlińskim i Sokratem Janowiczem. By ją zauważyć, niezbędne jest przekroczenie ograniczeń funkcjonujących w związku z czytaniem *Konopielki*[91] czy *Awansu*[92]. Ograniczeń redukujących chłopską prozę Redlińskiego do przaśnego żartu, „odprężającego"[93] po dramacie *Tańczącego jastrzębia*[94] Kawalca czy niemożliwym do zniesienia (przez kogo?) poczuciu winy Piotra z *A jak królem, a jak katem będziesz*.

Chłopskie teksty Edwarda Redlińskiego nie wydają mi się wyłącznie zabawne. Więcej, najważniejszy jest w nich, moim zdaniem, tragizm, determinujący los ludzi pochodzących ze wsi[95]. Widać go już w debiutanckich *Listach z Rabarbaru*[96], łatwo dostrzec go w finale *Konopielki*, kiedy poprzez śmiech zdoła się zauważyć, że Kaziuk nacierający z kosą na rodzinę i sąsiadów nie tylko bawi, ale także przeraża. Jest, staje się jak śmierć, ponieważ uosabia nieuchronność zmian, na które mieszkańcy Taplar zgodzić się nie chcą. To, co nowe, nawet jeśli pozwala szybciej i z mniejszym wysiłkiem wykonać pracę, wydaje się im nie do przyjęcia. Jak kosa przegrywająca rywalizację z sierpem. Nowe oznacza koniec znanego w Taplarach świata, czyli kres zachowywanej przez pokolenia równowagi i poczucia bezpieczeństwa, po prostu śmierć.

Zarówno chłopskiej prozy Edwarda Redlińskiego, jak i wielogatunkowego, jednorodnego, białoruskiego tekstu Sokrata Janowicza nie można zrozumieć bez brania pod uwagę tragizmu jako kategorii estetyczno-egzystencjalnej, konstytutywnej dla tożsamości Rabarbaru, Taplar, Wydmuchowa w takim samym stopniu, jak dla Krynek, dla całej *Doliny pełnej losu*.

---

[90] Zob. T. N o w a k, *A jak królem, a jak katem będziesz*, Warszawa 1968.

[91] Zob. E. R e d l i ń s k i, *Konopielka*, Warszawa 1973.

[92] Zob. E. R e d l i ń s k i, *Awans*, Warszawa 1973.

[93] „Redliński zaproponował nam kawał razowego chleba; po stylizowanych i liryczno-poetyckich wizjach wsi, po mrocznych i często pełnych dramatyzmu moralitetach – chleb ten ma smak wyborny, jest pożywny i budzi, przynosząc cząstkę przejmującej prawdy, uczucie ulgi. Wywołuje też odprężający śmiech, nawiązując do starych tradycji rejowskich, do wspaniałej epoki renesansu". Zob. E. R e d l i ń s k i, *Awans*, wyd. 2, zmienione, Warszawa 1975. Cytowany tekst został umieszczony na skrzydełku okładki. Autorka, Z. Macużanka, opublikowała go wcześniej w „Argumentach" w 1973 roku.

[94] Zob. J. K a w a l e c, *Tańczący jastrząb*, Warszawa 1964.

[95] Zob. D. K u l e s z a, *Poza granicami literatury. Historia świata według Edwarda Redlińskiego*, w: t e g o ż, *Z historią literatury w tle. Daty, osoby, miejsce*, Białystok 2011.

[96] Jeden przykład, omówiony w tekście zapisanym w poprzednim przypisie: „[Wydarzenie – dop. D.K.] miało miejsce przed wojną, w dzień odpustu świętego Rocha. Oto z przepełnionego pociągu wypadło na zwrotnicach dwóch: niejaki Rogulski, człowiek pobożny i pracowity, oraz kościelny dziad Onufry, złodziej i pijak, który miał sztywną nogę. I co? Rogulskiemu ucięło stopę, a dziadowi kolano od wstrząsu się rozruszało, zaczął chodzić normalnie./– Nie ma sprawiedliwości na świecie – popłakiwała matka – nie ma…/– Sami ją zrobimy – na to Antek./– Nie zrobisz już, nie zrobisz – szlochała. – Trzeba by wszystkich okaleczyć, wtedy byłaby dla ciebie sprawiedliwość… Zob. E. R e d l i ń s k i, *Listy z Rabarbaru*, Białystok 1986, s. 50. Pierwodruk: 1967.

W ponowoczesnych latach przekraczania nie tylko granic między gatunkami i rodzajami (w sumie nic nowego), ale także kwestionowania granic literatury w ogóle[97], łatwo jest myśleć o genologicznych przewagach dorobku Sokrata Janowicza, ale co wspólnego z jakąkolwiek literacką przewagą ma związek jego pisarstwa z nurtem chłopskim polskiej prozy? Przede wszystkim nie widzę powodu, by konfrontacji między Myśliwskim, Redlińskim, Nowakiem, Kawalcem i Janowiczem unikać. Zmusza do niej tematyczne podobieństwo tekstów wymienionych autorów. Pozwala na nią estetyczna wartość pisarstwa Sokratesa z Krynek. Poza tym właśnie to chłopskie, polsko-białoruskie zestawienie potwierdza cenną osobność tekstów Janowicza.

Sposób, w jaki autor *Zapomnielisk* pisze o wiejsko-miejskich Krynkach, o białoruskiej *Dolinie pełnej losu*, wyraźnie pokazuje, że przedmiotem jego prozy jest poświadczone własną biografią, tragiczne doświadczenie wydobywanego z niepamięci narodu. Doświadczenie historycznie konkretne oraz uniwersalnie egzystencjalne. Nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko przyznać, iż konfrontacja z nurtem chłopskim polskiej prozy o tyle jest literacką przewagą Sokrata Janowicza, o ile pozwala mu sprostać znaczącej konkurencji i potwierdzić białoruskość jego pisarstwa, partykularnie użyteczną z punktu widzenia narodowej i kulturalnej świadomości Białorusinów oraz powszechnie znaczącą jako tragiczny los tych, którzy wciąż są pacyfikowani przez silniejsze nacje.

To, co najważniejsze

W wielkiej scenie kuszenia z *Doliny pełnej losu* diabeł mówi tak:

> — To proste, malutki: z ł o j e s t i s t o t ą l u d z k i e g o i s t n i e n i a. Wilk zećpał barana, i z owczego punktu widzenia stało się tragicznie. Ale jakże potępiać te zeżarcie, skoro bez niego drapieżnik nie wytrwałby. Zdaje sobie z tego sprawę uczciwy pasterz. I dlatego Pan Bóg nie wścieka się na mnie, jedynie przestrzega przede mną. Bez zła zamarłoby życie, a bez grzechu wiara, mój ty milutki! [...]
> — A mimo wszystko jest dobro na świecie! — wrzasnąłem w nadziei, że on zdenerwuje się i da mi święty spokój.
> — Gdzież go, kochanieńki, znajdujesz? [...]
> — No, mam matkę i tatka...
> — Pewnie, skoro przyszedłeś na ten świat [...] Każde dobro jako całość ma w sobie ułamki zła, jak i każde zło ma w sobie takież zarodki dobra, a wspólnym mianownikiem tu może być zarówno jedno, jak i drugie. [...] Na takim rachowaniu nie zawiedziesz się, rozwiążesz wszystkie życiowe równania. B ę d z i e s z s m u t n y [podkr. D.K.], lecz nie oszukany. Piekło cię nie opuści[98].

[97] Zob. np. *Ruchome granice literatury. W kręgu teorii kulturowej*, red. nauk. S. Wysłouch i B. Przymuszała, Warszawa 2009.

[98] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, s. 40–41.

W rozmowie z Jerzym Chmielewskim Sokrat Janowicz wyznał: „Kocham smutek”[99]. Cytat ostatni: „Dżentelmen zajmuje się tylko przegranymi sprawami”[100].

Czy zło jest istotą ludzkiego istnienia? Czy można w tej sprawie wierzyć diabłu? A jeśli na wiarygodność cytowanej reguły wskazuje los Białorusi? Czy opisując go i przywracając rodakom po to, by podnieśli się z kolan, by uwierzyli w swoją białoruską godność, czy wiedząc, jak tragiczny ten los był i jest, czy widząc, jak trudno jest krajanom go przyjąć i zmienić, czy zdając sobie z tego sprawę, łatwo jest zaprzeczyć diabłu? Czy trudno odmówić z nim współpracy? Czy wobec takich wyborów można nie być smutnym? Czy można nie kochać smutku, jeśli ma się świadomość, że białoruska sprawa, której się służy, jest sprawą przegraną?

Tragizm białoruskości ginącej w mieście, w Polsce, Rosji i Europie. Tragizm egzystencjalny i cywilizacyjny, społeczno-kulturowy, historiozoficzny albo przynajmniej geopolityczny (między carską Rosją i pańską Polską). Tragizm tego, co białoruskie – on jest najważniejszy w pisarstwie Sokrata Janowicza. Najważniejszy i wiarygodny, bo jego własny, sokratejski. Mądry wiedzą o człowieku i jego historii. Dlatego smutny.

W ostatnich dniach stycznia 2012 roku grupa polskich parlamentarzystów wysłała wniosek o uhonorowanie Pokojową Nagrodą Nobla białoruskiego dysydenta Alesia Bialackiego, skazanego przez białoruski sąd na cztery i pół roku łagru (kolonii o zaostrzonym rygorze) za działalność na rzecz obrony praw człowieka[101]. Zachowanie posłów III RP pozwala mieć nadzieję, że los Białorusi i Białorusinów – najważniejszy dla Sokrata Janowicza – stanie się ważny również dla nas, Polaków. Bo żyć razem z Innym to także polska sprawa, z którą od lat nie umiemy sobie poradzić. O naszej bezradności w tej materii świadczą powtarzające się ekscesy z Jedwabnego, Puńska, Orli czy Białegostoku. Wciąż wiele w nas ksenofobii, rasizmu, antysemityzmu, niezrozumiałego upodobania do faszyzmu, najzwyczajniejszego chamstwa. Nie przypuszczam, by łatwo było tę sytuację zmienić. Między innymi dlatego że my – Białorusini i Polacy – wciąż żyjemy osobno. Nawet nie próbujemy się poznać i zrozumieć. A czy nie byłoby dobrze cieszyć się tym, co nas różni? Czy nie moglibyśmy wspólnie świętować i celebrować swoją narodową, kulturalną i religijną odmienność? To pragnienie i związana z nim, najzwyczajniejsza w świecie, ciekawość, są we mnie także dzięki książkom Sokrata Janowicza. Gdyby nie on, nie poznałbym smaku tego, co białoruskie i pewnie trudniej byłoby mi mieć na ten smak ochotę. Dlatego wierzę w pozytywne działanie pisarstwa Sokratesa z Krynek. Wierzę, że jego tekstów potrzebujemy nie tylko

[99] S. J a n o w i c z, *Nasze tysiąc lat*, s. 179.

[100] S. J a n o w i c z, *Tania*, s. 217.

[101] Nie zmienia to faktu, że bez dokumentów udostępnionych władzom Białorusi przez polską Prokuraturę Generalną Alesiowi Bialackiemu trudno byłoby postawić zarzuty dotyczące rozliczeń podatkowych związanych m.in. z organizowaniem kwest na działalność opozycyjną. Za ten „skandal nieprzytomny” (określenie Mirosława Czecha) w imieniu państwa polskiego przepraszał podczas „Trialogu” we wrześniu 2013 roku Adam Michnik. Zob. „Annus Albaruthenicus” 2013, s. 68.

po to, by czytać rzeczy ważne dla polskiej literatury białoruskiej, ale także po to, by uczyć się żyć razem, niezależnie od dzielących nas różnic narodowych, kulturalnych i historycznych.

Галіна Тычко
МІНСК

Калядная зорка Сакрата Яновіча

Колькі ні нараджаемся ды адраджаемся, гарыць зорка адна тая над намі, і за ёю дарожымся мы ў старонне супраслеўскае, да Цябе – Віфліеме Русі маёй Белай. [...]
Зямля тут наша айчынная, да крыві касцей родная, са светам з'яднаная ахвярай падіконнаю, адданасцю ўсёцялеснай. Быць нам на ёй, як Госпаду ў вышынях, як памяці ў людзях, як несмяротнасці ў бясконцасці неспасціглай.
Да Супраслі я іду, да Цябе – Іярдане Русі
маёй Белай.
Сакрат Яновіч

У беларускай літаратуры XX стагоддзя, відаць, няма асобы больш эмацыйнай, непрадказальнай і супярэчлівай, чым крынкаўскі самотнік Сакрат Яновіч. Хто ж ён такі – Сакрат Яновіч – гэты сучасны прарок, які, падобна да біблейскага Яна Хрысціцеля, агалошваў беларускае слова на „здзірванелым кургане сваёй старонкі Беларусі" (Янка Купала) – на абшарах Беласточчыны!?

Сакрат Яновіч прыйшоў у літаратуру ў другой палове 60-ых гадоў мінулага стагоддзя. Гэта быў час, калі ў беларускай прозе рабілі свае першыя крокі Вячаслаў Адамчык, Анатоль Кудравец, Віктар Карамазаў, Іван Пташнікаў, Іван Чыгрынаў, Міхась Стральцоў, Янка Сіпакоў, Барыс Сачанка... Пакаленне, якое ўступала ў літаратуру ў даволі спрыяльных (у параўнанні з папярэднікамі) умовах хрушчоўскай адлігі. Пэўная лібералізацыя савецкага грамадства станоўча паўплывала і на культурна-нацыянальны рух на Беласточчыне, легалізавала тут беларускае слова. Грамадска-палітычная атмасфера на Беларусі і ў Польшчы была падобнай, але ў той жа час істотна адрознівалася. Дыктат сацыялістычнага рэалізму і дзяржаўна-партыйнага кантролю над пісьменнікамі за Бугам былі значна слабейшымі, чым на тэрыторыі метраполіі. І хоць пра дэмакратыю ў паваеннай Польшчы гаварыць не прыходзіцца, але грамадска-палітычную сітуацыю там не параўнаеш з тым, што адбывалася ў адначассе ў Савецкай Беларусі. Такім чынам, пачынаючы свой літаратурны шлях, беларускія

савецкія пісьменнікі і прадстаўнік „Белавежы" Сакрат Яновіч мелі цалкам адрозныя стартавыя ўмовы.

Пісьменнікі метраполіі паводле волі лёсу і абставін былі асуджаныя працаваць у рэчышчы савецкай літаратурнай школы з яе метадам сацыялістычнага рэалізму і жыць пад дыктатам сацыялістычнай сістэмы. Светапоглядныя арыентацыі іх, асабліва на пачатку творчага шляху, былі скаваныя межамі марксісцка-ленінскай ідэалогіі. І так адбывалася не столькі па прычыне жалезнай заслоны і выкліканай ёй культурна-асветніцкай абмежаванасці, але моцаю іншых не менш істотных абставін. Не апошнюю ролю адыгрывала і тое, што душы іх скоўваў так званы „беларускі страх" (выраз гэты, дарэчы, належыць С. Яновічу). Межы гэтага страху цягнуліся ад Курапатаў да Калымы. А памяць пра яго была жывая ўсюды – і ў драўлянай вясковай хаце, і ў гарадскіх шматпавярховіках, і ў залах сталічнага Дома літаратара.

> Рэпрэсіі – неад'емная частка таталітарных рэжымаў. Аднак у Савецкім Саюзе, у тым ліку ў Беларускай ССР, у сталінскія часы іх маштаб пераўзышоў усе вядомыя межы[1].

Асабліва жорстка і зацята бальшавіцкая ўлада пераследавала нацыянальную навуковую і творчую інтэлігенцыю. Паводле звестак, пададзеных у 5 томе акадэмічнай *Гісторыі Беларусі*,

> у Беларускай Акадэміі навук у 1930 гады быў арыштаваны амаль кожны трэці супрацоўнік. Разам з імі і ў іншы час былі рэпрэсіраваны беларускія літаратары… […] Паводле падлікаў, зробленых некаторымі даследчыкамі, з 2000 літаратараў, рэпрэсіраваных у СССР, 500 прыпадае на Беларусь[2].

На шчасце, сіндром „беларускага страху", які меў пад сабой трывалы падмурак і амаль што генетычную памяць у савецкіх пісьменнікаў, С. Яновіча і яго паплечнікаў па „Белавежы", можна сказаць, абмінуў. Праўда, геапалітычная адмежаванасць ад свайго этнасу мела і свае выдаткі для ўсіх беларускамоўных літаратараў Беласточчыны – у іх не было і не магло быць натуральнай уключанасці ў агульнабеларускую ментальную і літаратурна-культурную традыцыю. „Літаратура «Белавежы» – так трэба казаць – унікальная ў беларускай, хоць і назіраюцца ў ёй падабенствы да «нашаніўскай» пары", – адзначаў сам С. Яновіч у гутарцы з Янам Чыквіным для часопіса „Крыніца"[3].

Быць беларускім пісьменнікам у Савецкай Беларусі пасля развянчання культу асобы было не так рызыкоўна, як у 30-ыя гады, і ў пэўнай

---

1 *Гісторыя Беларусі ў 6 тамах*, т. 5: *Беларусь у 1917–1945 гг.*, Мінск 2006, с. 350.
2 Тамсама.
3 *З Сакратам Яновічам гутарыць Ян Чыквін*, „Крыніца" 1998, № 39, с. 9.

ступені, калі прыняць правілы гульні і не тлуміць галавы праклятым нацыянальным пытаннем, – нават ганарова і па-жыццёваму зручна і ўтульна. На тэрыторыі ж Польшчы сітуацыя складвалася інакш. Тут сам факт пісання па-беларуску быў актам выкліку і пратэсту. І таму Сакрат Яновіч уваходзіў у беларускую літаратуру не з парадна адчыненых дзвярэй, а, так сказаць, з бакавога ўваходу, пераадольваючы актыўнае супраціўленне навакольнага асяроддзя: ад крынкаўскіх вяскоўцаў і беластоцкіх мяшчан да варшаўскіх чыноўнікаў ад культуры. Выбар беларускага слова ва ўмовах Беласточчыны, дзе чалавек не проста вымушаны быць палякам, а „musi nim być na sto dwadzieścia procent" ставіў С. Яновіча ў пазіцыю змагара і ў пэўным сэнсе палітыка.

Цэнтральнымі тэмамі беларускай савецкай літаратуры 60–80 гадоў былі вайна і вёска.

> Памяць пра вайну – вось што перакрывае ў беларускім народзе (а таму і ў літаратуры) любы іншы боль, памяць, вастрыню. Нават больш познія. Ваенная памяць усё адцягвае на сябе, а астатняе прыглушае, амаль сцірае[4]

– пісаў Алесь Адамовіч у знакавым для беларускай літаратуры даследаванні *Вайна і вёска ў сучаснай літаратуры* (1982), вымушана абмінаючы другі боль, другую, забароненую памяць – пра раскулачванні, ссылкі, рэпрэсіі. Дзеля таго, каб ваенная памяць „адцягвала на сябе, прыглушала і сцірала" крывавыя сляды сталінскага генацыду нястомна працавала савецкая ідэалагічная машына, якая надоўга ператварыла тэму апошняй вайны ў своеасаблівы фетыш культуры. Кан'юнктурная ваенная тэматыка ўсяляк заахвочвалася ва ўсіх сферах мастацтва, а ў літаратуры стала ледзьве не адзінай дазволенай сферай рэалізацыі глыбокіх драматычных канфліктаў.

Лічаныя адзінкі з паваенных беларускіх пісьменнікаў не закранулі гэтае тэмы ў сваіх творах. Зрэшты, адны абмяжоўваліся асацыятыўнымі згадкамі пра паваеннае дзяцінства (М. Стральцоў, Уладзімір Караткевіч, Я. Сіпакоў), іншыя ж стваралі велізарныя палотнішчы трылогій, тэтралогій, пенталогій і г.д. (Іван Навуменка, І. Чыгрынаў, Іван Шамякін), дзе з сялянскай грунтоўнасцю даследавалі народную мужнасць і стойкасць як на франтах, так і ў тыле. Не дзівіць, што акурат творамі пра вайну, кажучы словамі І. Шамякіна, „наша беларуская літаратура выйшла на ўсесаюзную арэну, да ўсесаюзнага чытача, і, у пэўным сэнсе, нават на міжнародную"[5]. Аднак, варта ўдакладніць, што міжнародную арэну заваяваў для нас

---

[4] А. А д а м о в и ч, *Война и деревня в современной литературе*, [z j. ros. tłum autorka – przyp. red.] Мінск 1982, с. 170.

[5] *Каб пісаліся добрыя творы* (інтэрв'ю У. Анісковіча з І. Шамякіным); *Першым заўжды трудней* (інтэрв'ю У. Анісковіча з В. Быкавым); *Мне ён бачыцца светлым...* (інтэрв'ю У. Анісковіча з А. Вярцінскім), „Літаратура і мастацтва", № 51, ад 28.12.1979 г. с. 4–6.

найперш Васіль Быкаў, са сваёй экзістэнцыяльнай трактоўкай чалавечага жыцця ў экстрэмальных сітуацыях.

Талент С. Яновіча выспяваў у іншым грамадска-літаратурным кантэксце. І таму вайна для празаіка – гэта ўсяго толькі адзін з эпізодаў жыцця-існавання яго герояў. Нібы знарок насуперак беларускай ваеннай традыцыі, выпеставанай на трагічным гераізме ды цярплівай трывушчасці чалавека на вайне, пісьменнік засяроджвае ўвагу найперш на камічным. З насмешлівай іроніяй, паслядоўна вытрымліваючы чысціню жанру, С. Яновіч паказвае дробязныя карыслівыя хітрыкі сваіх суродзічаў, свядома зніжаючы трагічныя сцэны да фарсу. Так, напрыклад, у *Эпізодах фронту* ён расказвае, як герой

> … на ўсё маючы спосаб – вышныпарыў у казённай мураванцы партрэт Гітлера. Засланяючыся фюрэрам, бы іконаю, бараніў гэтым гергачом усяго, да чаго яны (немцы – Г. Т.) падыходзілі. […] Нямчугі ўпадабалі свінню, а ён, дурыла, трухаючы з тым партрэціскам за ёю, не даваў ім яе, выкрыкваючы «хайль Гітляр!»[6].

А ў апавяданні *Шанц дачкі Поўха* гаворка ідзе аб тым, як хітрыя местачкоўцы з дапамогаю прыгожай дачкі ўдаўца Поўха ратавалі сваіх сыноў ад мабілізацыі ўжо ў савецкае войска напрыканцы вайны, калі „саветы" ў чарговы раз прыйшлі на вызваленыя імі беларускія землі.

> Гні на шляхцянку, русакі балванеюць перад такімі: дамагайся вось ад яго модаў, трантаў усякіх зграбных, што салдатня лупіць з нямкіняў у Прусіі. Пакуль у яго тое наладзіцца, то і палякі сюды вернуцца, і турнуць Сашку ў ягоную Маскву…,

– павучалі местачкоўцы дзяўчыну[7].

Безумоўна, беларуская проза другой паловы XX стагодзя была стылёва, тэматычна і жанрава разнастайнай (прыгадайма творы В. Быкава, Янкі Брыля, У. Караткевіча, М. Стральцова), і ўсё ж менавіта вайна і вёска заставаліся яе цэнтральнымі тэмамі ў 60–80-х гады. Беларуская вёска доўгі час была, бадай, адзіным натуральным асяродкам беларушчыны, прыроднага існавання беларускага слова. Аднак гэтая вёска, маральна і псіхалагічна раздаўленая калектывізацыяй, даведзеная да галечы і поўнага сацыяльнага бяспраўя калгасным ладам, у пасляваенныя гады на вачах змянялася і памірала. „Мацерыком, што беззваротна змяншаецца" назваў яе на пачатку 80-х Алесь Адамовіч.

> Нельга страціць час, непаўторна адказны, важны, нельга згубіць магчымасць, якой заўтра ўжо не будзе, – мы абавязаны зберагчы і перадаць

---

[6] С. Я н о в і ч, *Самасей. Аповесць. Апавяданні*, Мінск 1992, с. 355.
[7] С. Я н о в і ч, *Запісы веку*, Беласток 1999, с. 39

> далей духоўны, маральны, чалавечы вопыт, што тысячагоддзямі збіраўся тут, іменна на гэтым мацерыку,

– звяртаўся пісьменнік да сяброў-літаратараў, нібы падказваючы ім найбольш аптымальны і па-мастакоўску найменш стратны шлях у адлюстраванні вёскі тае пары[8]. (Зазначу, што ў нейкай ступені гэта быў збіральніцка-этнаграфічны шлях вяртання да традыцый літаратуры XIX ст. – Яна Чачота, Яна Баршчэўскага, Тадэуша Лады-Заблоцкага і інш).

Здабыткі так званай вясковай прозы і сапраўды заўважны найперш у даследаванні духоўных і культурных традыцый, маральных праблем, а таксама ва ўзбагачэнні лексічных пластоў беларускай літаратурнай мовы, абкарнанай і знявечанай афіцыйнымі нарматыўнымі слоўнікамі. Пераконваюць у гэтым найбольш значныя творы паваенных гадоў: *Палеская хроніка* І. Мележа, *Смаленне вепрука* М. Стральцова, *Чужая бацькаўшчына* В. Адамчыка, *Сачыненне на вольную тэму* А. Кудраўца, *Неруш* В. Казько, *Халодная птушка* А. Жука, *Жыціва* В. Гігевіча.

Прозу Сакрата Яновіча, відаць, паводле чыста знешніх прыкмет, некаторыя крытыкі адносілі таксама да вясковай плыні[9]. З чым пісьменнік, трэба думаць, слушна не пагаджаўся. Свой літаратурны дэбют ён распачаў у 1956 годзе і з таго часу выдаў больш за дваццаць празаічных кніг, разнастайных паводле тэматыкі, жанравай спецыфікі, стылю, якія перакладаліся на мовы многіх народаў свету. Дыяпазон жанрава-стылёвых пошукаў С. Яновіча надзвычай шырокі: ад невялікіх лірычных мініяцюр, якія называюць вершамі ў прозе, да сацыяльна-псіхалагічных раманаў і навукова-філасофскіх эсэ. Аднак у цэнтры ўсіх твораў С. Яновіча нязменна прысутнічае імкненне спазнаць супярэчлівую прыроду чалавека, месца і ролю яго на гэтай зямлі і ў сусвеце. Усе гэтыя глыбінныя спрадвечныя пытанні быцця пісьменнік прапускае праз прызму асабістага жыццёвага вопыту, уласнага светаўспрымання, свайго індывідуальнага чалавечага „я".

Даследчык псіхалогіі творчасці Л. Выготскі сцвярджаў, што

> мастацтва – гэта найбольш важны, асноўны цэнтр усіх біялагічных і сацыяльных працэсаў асобы ў грамадстве, што яно з'яўляецца спосабам ураўнаважвання чалавека і свету ў найбольш крытычныя і адказныя хвіліны жыцця[10].

Народжанаму напярэдадні Другой сусветнай вайны, у часы глабальных сацыяльных, экалагічных і тэхнагенных катастроф, Сакрату Яновічу асабісты лёс не пашкадаваў крытычных і адказных хвілін жыцця. У адным

---

[8] А. А д а м о в і ч, *Здалёк і зблізку*, Мінск 1976, с. 314.

[9] L. Ż u l i ń s k i, *Między wierszami. Rozmowy o życiu i literaturze*, Kielce 1997.

[10] Л. С. В ы г о т с к и й, *Психология искусства* [z j. ros. tłum. autorka – przyp. red.], Москва 1965, с. 341.

з апавяданняў С. Яновіч спрабуе па-філасофску асэнсаваць лёс свайго пакалення ў кантэксце сацыяльных і грамадска-палітычных з'яў таго часу.

> Пасля вайны вялікае мы школы паканчалі заядла і, усе да апошняга, дарослымі ўраз зрабіліся. І на работу ў гарады трамваязвонныя ды з тратуарамі франтаватымі, бы на фэст які вяселісты, пайшлі-паехалі. Грошы свае ж мелі, яшчэ з малаком на губах будучы, во дзіва цуднае было нам над дзівамі! Так працавалі там і ў якія толькі хочаш змены, што сам Сізіф той пры нас гультаём здаваўся б. Не з адного страху парабка, што маўклівым кватарантам сноўдаўся ў кожным з нас, – а каб не турнуў хто на галытву тую бацькоўскую назад[11].

Сялянскі сын у горадзе, альбо паводле вызначэння С. Яновіча „хам на паркеце", доўгі час заставаўся адным з галоўных герояў творчасці пісьменніка, што і давала падставы адносіць яго прозу да так званай вясковай плыні.

> Jego świat dzieli się na wiejski (autentyczny, białoruski) i miejski (neautentyczny, spolonizawany)... Miasto zamieszkają ludzie nie tylko zagubieni, ale też zdeprawowani... Moralizatorski ton znika bez śladu, gdy Janowicz pisze o wsi. W tych utworach, zwłaszcza w miniaturach okazuje się mistrzem,

– пісаў пра С. Яновіча Казімеж Росіньскі[12].

Разам з тым, гэтая знешняя суаднесенасць найперш з вясковай тэматыкай не зацямняе другую, істотную іпастась Яновіча-пісьменніка і Яновіча-асобы: яго этнічна-палітычную заангажаванасць, свядомую ўпартую тэндэнцыйнасць, з якой ён адлюстроўвае трагізм лёсу ўсяго беларускага народа. Супрацьпаўстаўленне двух светаў – вясковага аўтэнтычнага беларускага і гарадскога неаўтэнтычнага, спаланізаванага ці зрусіфікаванага для беларускай літаратуры – з'ява традыцыйная. Герой С. Яновіча сапраўды вясковец альбо былы вясковец, што „шалясціць саломай" на вуліцах вялікага горада Беластока, гэтай своеасаблівай сталіцы беларускай меншасці ў Польшчы. Аднак вёска займала Сакрата Яновіча, паводле яго ўласнага прызнання, таксама перадусім „як аплот беларушчыны", а як творцу цікавіў яго „прыніжаны, раздушаны чалавек, які ў сваёй маральнай разбэшчанасці апускаецца ўсё ніжэй".

Тэма „сена на асфальце" (метафарычнае азначэнне вясковага чалавека ва ўмовах урбанізацыі, уведзенае ў літаратуру М. Стральцовым) у прозе С. Яновіча па-гаспадарску абжытая. І вызначаюць яе, найперш, шчымлівая туга па страчаных ілюзіях, па высокіх ідэалах і душэўнай гармоніі, вытокі якіх у забытых пустых вёсках, а крах – на заасфальтаваных тратуарах вялікіх гарадоў.

---

[11] С. Я н о в і ч, *Запісы веку*, с. 10.

[12] K. R o s i ń s k i, *Słowo białoruskie – moja religia*, „Kurier Podlaski" nr 100, 23.05.1996, s. 1, 6.

Герою беларускай літаратуры з яго раздвоенай свядомасцю (паўвяскоўца-паўгараджаніна, паўрускага-паўбеларуса ці паўпаляка-паўбеларуса) сучасны горад

> здаецца бясконцым, здаецца, што ўжо ўсюды, куды не памкніся, будуць высокія да самага неба цагляныя і блочныя будыніны, шэрасць асфальту пад нагамі, гулкія машыны, агароджы, агароджы і яшчэ – людзі, людзі, людзі... як быццам ужо нідзе ва ўсім свеце не засталося ні птушак, ні палахлівага звера, ні тых жа рыб у вадзе, і таму без усяго гэтага, здавалася, не надта патрэбнага і неабходнага, душа апусцела[13].

У гэтай цытаце з рамана В. Гігевіча *Доказ ад процілеглага*, здаецца, прачытваецца маральна-псіхалагічны партрэт героя беларускай прозы – крыху разгубленага, душэўна неўладкаванага чалавека, які і хацеў бы, але не ў стане вырваць са сваёй душы „роднае карэнне" (Максім Гарэцкі), што сімвалізуе сабой не толькі маральную, але і духоўную повязь з вёскай. Вёска ўспрымаецца ім як родны дом, куды, на жаль, няма вяртання. Зрэшты, гэтае вяртанне герою само па сабе і не надта патрэбнае. Яму патрэбна іншае – адчуванне сваёй нацыянальнай тоеснасці. Акурат яна, вёска, як слушна сцвярджаў С. Яновіч, з'яўлялася да нядаўняга часу „адзіна істотным апірышчам дзеля выспявання нацыі"[14].

Аднак не стала. Купалаўскі шукальнік народнага шчасця Сам (*Сон на кургане*) перарадзіўся ў гультаяватага дурня – мрыеўскага Самсона Самасуя, ад Самасуя ж пайшлі яновічаўскія Самасеі, хітрыя, маральна прыніжаныя і ў той жа час хціва-карыслівыя. Нельга не пагадзіцца з высновай С. Яновіча, што сялянства не здолела адыграць у свой час належнай яму ролі. У выніку сёння мы маем тое, што

> мешчанін-асімілянт і мужык-абарыген, гэта нават і не партнёры ў культурнай канфрантацыі. За першым з іх высілася (і высіцца да гэтага часу – Г. Т.) тая-другая вялікая культура каланізатараў, а за другім – безамбітная, вульгарная мімікрыя дзеля біялагічнага ўсяго толькі выратавання[15].

Гэтую вартую жалю мімікрыю адлюстроўвае Сакрат Яновіч і ў сваіх невялікіх навелах-абразках, і ў псіхалагічнай аповесці *Самасей*. У прадмове да кнігі *Самасей* (выдадзенай ў Мінску ў 1992 годзе) Уладзіслаў Рубанаў слушна падкрэсліў тыпова беларускую, нацыянальную праблему раздвоенасці асобы, увасобленую С. Яновічам у вобразе Андрэя Антошкі. Аднак, не засяроджваючыся на яе вытоках, вытлумачыў гэта толькі дваістасцю чалавечай прыроды ўвогуле[16].

---

[13] В. Гігевіч, *Доказ ад процілеглага*, Мінск 1984, с. 34.
[14] С. Яновіч, *Канец купалаўскай уяве нацыі*, „Ніва", № 47, 19.11.1995 г., с. 5.
[15] Тамсама.
[16] С. Яновіч, *Самасей*, с. 5.

Аповесць *Самасей* С. Яновіча стваралася ў 80-я гады, у адначассе з такімі творамі, як *Рэха даўніх надзей* Алеся Асіпенкі, *Вырай* Валянціна Блакіта, *Карані* Аляксея Карпюка, *Прагал* Міколы Гіля, урэшце, з раманам у вершах Ніла Гілевіча *Родныя дзеці*. Свядома ці неўсвядомлена, аднак гэтым сваім творам і іншымі, змешчанымі ў кнізе, С. Яновіч уступіў у палеміку з устойлівай для метрапольнай літаратуры (у пэўнай ступені рамантычнай) тэндэнцыяй паэтызацыі вёскі. Вёска ў творах Яновіча паўстала ў змрочных фарбах крытычнага рэалізму, не гінучай Атлантыдай, а ўсяго толькі „багіняю Ганьбы", „вёскішчай", дзе адны старыя пачуваюцца сялянамі, „і таму на іх тварах скачуць грымасы вінаватасці"[17].

Вытокі не толькі ўласнага маральнага падзення, але і карані бездухоўнасці ўсяго свайго пакалення, якія апантана вышуквала беларуская проза 60–80-х гадоў, герой *Самасея* Андрэй Антошка бачыць у тым, „што іхнія бацькі не далі ім таго, чаго не мелі, бо не маглі мець: пачуцця гонару за сябе, за свой род"[18]. Несумненна, што ў гэтай аповесці С. Яновіча, аздобленай шматлікімі адступленнямі, лірычнымі маналогамі, асацыятыўнымі згадкамі і сімвалічнымі снамі, дзе вельмі шмат аўтабіяграфічнага, – і гэтая выснова найперш аўтарская, прадуманая і выпакутаваная цягам доўгіх гадоў.

> Ніхто не ведае, ці калі было добра ў вёсцы. Мяркуючы па тым, як ад самае старажытнасці людзі імкнуцца ў гарады, трэба лічыць, што гэта і ёсць адказ… Колькі ж год і вякоў мужык толькі і ведаў чакаць таго, каб перастаць быць мужыком (у казакі падаваўся). І прычакаў, дзякуй Табе, Божа Усямоцны,

– піша С. Яновіч у сваіх *Занатоўках для памяці*, якія паводле свайго жанравага характару нечым нагадваюць брылёўскія „лірычныя запісы"[19].

Ёсць у гэтым выказванні прыхаваная палеміка і з Коласаўскім Міхалам, і з Мележаўскім Васілём Дзятлікам, і з усёй беларускай класічнай літаратурнай традыцыяй, не кажучы ўжо пра больш познюю літаратуру настальгічнай тугі па вёсцы, якая незваротна знікае. Адным з першых гэтую незваротнасць адчуў якраз С. Яновіч і нібыта падвёў своеасаблівую рысу пад балючай для беларусаў тэмай „сена на асфальце" – у прозе *Самасеем*, *Доўгай смерцю Крынак*, у публіцыстыцы артыкулам *Канец купалаўскай уяве нацыі*.

> Не зразумець мне, дзеля чаго жывуць у Крынках людзі. Даўным- -даўно павінна іх не быць; урослыя ў зямлю будынкі й размытыя вуліцы тут будуць укрытыя свяжуткімі бярэзнічкамі, грыбнымі пералескамі. Пушча атуліць непатрэбную ў капіталізм ваколіцу: на колішніх загонах забуяюць мядзвежыя маліннікі, завядуцца дзікі пад дубовымі падрубамі й пачнуць пасціся казюлі на ўтравелых прыгуменнях… Позніцца прыход сюды

[17] С. Яновіч, *Канец купалаўскай уяве нацыі*, с. 334.
[18] С. Яновіч, *Самасей*, с. 220.
[19] С. Яновіч, *Доўгая смерць Крынак*, с. 60.

> новай цывілізацыі гораду й лесу. Вінаватыя ў гэтым, вядома, палякі, перабіраючыся ў пакінутае беларусамі феадальнае старонне. Бяссэнсоўна яны мяркуюць, што хоць у Крынках, гэтым пасляхалопскім цені гораду, можна выжыць… А ў іх жа магчыма толькі ціха памерці[20].

У гэтай цытаце, здаецца, найбольш скандэнсавана выявілася сутнасць мастакоўскай індывідуальнасці С. Яновіча. Тут ідэйна-палітычная заангажаванасць раствараецца і амаль знікае ў „першабытна-вобмацнай рэчыўнасці" (Уладзімір Гніламёдаў) беларускага слова. Як і ў большасці сваіх твораў, Сакрат Яновіч тут існуе на памежжы паэзіі і прозы, у стыхіі натуральнага для яго мастакоўскай існасці лірызму.

У сучаснай беларускай прозе характэрны для ўсіх жанраў працэс мінімалізацыі назіраецца ў росквіце міні-прозы ва ўсёй шматстайнасці яе форм і варыянтаў. (Творы Юрыя Станкевіча, С. Яновіча, Барыса Пятровіча, Адама Глобуса, Уладзіміра Сцяпана, Леаніда Галубовіча, Міры Лукшы і інш). Істотна, што адбываецца і змена самой спецыфікі малой прозы, якая сёння можа быць не толькі лірычнай, але і драматычнай, і эсэістычнай, і філасофскай, і гумарыстычнай. Гэта асабліва заўважна ў творах Сакрата Яновіча – майстра празаічнай мініяцюры. У невялікіх творах С. Яновіча змяшчаецца ўсё, што павінна быць у „вялікай" кнізе: праўдзівасць і назіральнасць, дабрыня і гумар, паблажлівасць, іронія, сарказм, расчараванне і жыццёвая мудрасць.

Малую прозу пісьменнік пісаў на працягу ўсяго жыцця. Пра гэта сведчаць яго кнігі і шматлікія часопісныя публікацыі. У 1984 годзе ў Лондане была выдадзена кніга *Мініяцюры Сакрата Яновіча* на беларускай і англійскай мовах (у перакладзе і з прадмовай Шырын Акінэр) – знакавая ў творчасці празаіка. Несумненна, што змест і кампазіцыйнае афармленне яе карпатліва прадумваліся, тэксты ўважліва адбіраліся і складаліся ў своеасаблівую нізку, што выяўляла пісьменніцкую „звышідэю", якую павінна была сказаць Кніга сучаснаму чытачу і нашчадкам.

Сучасны рускі пісьменнік, які стала працуе ў жанры малой прозы, Дз. Дэйч сказаў пра мініяцюру так:

> Яна пакідае за рамкамі ўсё. Усярэдзіне – цемра, толькі маленечкая кропка (у ідэале – і таго менш). Кропка, якая здольная стаць светам, разгарнуцца падобна парасоніку або падарвацца падобна фугасу. Але для таго, каб гэта адбылося, патрабуецца спускавы механізм адмысловага роду[21].

Такім спускавым механізмам, калі гаварыць пра С. Яновіча, выступае яго надзвычайны хваравіта гіпербалізаваны пафас, з якім ён распавядае аб

---

[20] Тамсама, с. 55.

[21] И. Солнцев, *Прокрустово ложе литературного жанра, или Ещё раз о миниатюре*, http://newlit.ru/~solntsev/3976.html (рэжым доступа 2.04.2013) [z j. ros. tłum. autorka – przyp. red.].

праблемах беларушчыны ў глабальных маштабах, беручы за кропку адліку вельмі часта маленькае, нязначнае, адзінкавае.

Паэтыка і міфалагічны падтэкст лірычнай прозы С. Яновіча цесна з'яднаныя з нацыянальнай беларускай культурнай прасторай. Міфалагічны план яго твораў ствараецца з дапамогай пейзажу, рытму апавядальніка, дэталяў, хранатопу і інтэртэксту. У гэтай шматграннасці тым не менш пастаянна захоўваюцца своеасаблівыя арыенціры, каардынаты, так бы мовіць, нацыянальнага быцця ў яго прасторава-часавай вызначанасці. Адным з такіх арыенціраў выступае міфалагізаваны матыў васілька – кветкі, якая з часоў Максіма Багдановіча і М. Гарэцкага была і застаецца сімвалам роднага краю.

Цвяток радзімы васілька, які ні за якія скарбы на свеце не хоча выпусціць з рук спакутаваны лірычны герой М. Гарэцкага, у Сакрата Яновіча ціха памірае ўсімі забыты.

> Серп пакідае цябе драпежным асеннім вятрам. Збыткуюць, глумяцца над пялёсткамі ўдовінай прыгажосці. Росную свежасць палошчаць сцюдзёныя ліўні. Ад знямогі горбішся ў парудзелым іржэўі.
> Ціха паміраеш[22].

Усведамленне вечных ісцін для С. Яновіча было немагчымае без гарачых філіпік у абарону свайго, роднага, якія будаваліся ў форме напоўненай жалем і горыччу лірычнай антытэзы.

> Рассохлы парог хаты бацькоў пакінуць, каб ад долі ўцячы – можаш. Туманны усход і пах ліпаў забыць, каб шумным асфальтам пакрочыць – можаш. Усмешку дзяцінства і радасць жыцця пагасіць, каб далёкія мары наблізіць – можаш. Слова-песню сваю ў пыл дарогі швырнуць, каб хутчэй стаўбы верставыя міналі – таксама можаш…
> А калі слязьмі боль пакоціцца, калыханку матчыну ўспомні[23].

Калісьці вядомы літаратуразнаўца У. Гніламёдаў пісаў пра С. Яновіча:

> Чым глыбей яго ведаеш, тым больш ён здзіўляе маштабамі і незвычайнасцю сваёй індывідуальнасці: паэт, празаік, эсэіст, публіцыст, аналітык, гісторык, культуролаг, сацыёлаг, псіхолаг, філосаф, мараліст і яшчэ, і яшчэ. Пры ўсім гэтым, гэта чалавек з вельмі нізкім болевым парогам – мяккі і пяшчотны, тэмпераментны і ваяўнічы адначасова. Такім яго нарадзіла Беларусь XX стагоддзя[24].

---

[22] *Miniatures by Sakrat Janovic*, London 1984, p. 22.

[23] Тамсама, с. 46.

[24] У. Гніламёдаў, *Феномен творчасці С. Яновіча,* у: *З крыніц. Зборнік артыкулаў (матэрыялы з канферэнцыі прысвечанай творчасці Сакрата Яновіча, Беласток, 8 чэрвена 1996 года)*, Беласток 1996, с. 8.

Хто ж ён такі – Сакрат Яновіч? У чым феномен яго мастакоўскай пакліканасці? Ведаючы шмат што пра яго, мы ўсё роўна яго не ведаем. Кожнае новае пакаленне, відаць, будзе адкрываць для сябе творчасць С. Яновіча па-новаму. Адна толькі зорка над Супраслю, якая свяціла крынкаўскаму самотніку ад нараджэння і да смерці, застанецца нязменнай.

Danuta Zawadzka
BIAŁYSTOK

Wynajdywanie tradycji. O prozie historycznej Sokrata Janowicza[1]

Narracje historyczne należą bez wątpienia do głównej gałęzi twórczości Sokrata Janowicza, może się z nimi równać chyba tylko relacja miasto-wieś. Nie wydaje się to przypadkowe, obydwie preferencje twórcze wiążą się bowiem z opowieścią tożsamościową polskich Białorusinów, a Sokrat Janowicz – co wypada tu przyjąć bez dowodu – wziął na siebie obowiązek jej budowania[2]. Misja zapisywania białoruskiego losu – odczytywanego w czasie i przestrzeni – uzasadnia więc skłonność ku wyprawom w przeszłość oraz temat migracji ze wsi do miasta, proces ten bowiem odegrał fundamentalną rolę w powojennych dziejach Białorusinów w Polsce. Oba skrzydła – temporalne i terytorialne – pisarstwa Janowicza wcześnie zostały wyodrębnione i nazwane, problematyka exodusu ze wsi zadecydowała nawet o wliczaniu dzieł autora *Wielkiego miasta Białystok* do prozy awansu społecznego i nurtu chłopskiego[3]. Prace historyczne twórcy *Srebrnego Jeźdźca* w równie istotny sposób wpływały na recepcję całej spuścizny Sokrata Janowicza – niebywale podwyższały jej temperaturę – lecz wywołały oddźwięk o wiele bardziej złożony.

Niewątpliwie największy rozgłos i uznanie zyskał esej historyczny *Białoruś, Białoruś*, on uczynił jego autora najważniejszym pisarzem białoruskim w powojennej Polsce i ambasadorem swojego narodu. Trudno byłoby jednak znaleźć w głosach krytyków jednoznaczną ocenę oraz tak wyraziste – jak w przypadku związanych z prozą awansu społecznego „sokratek" – skojarzenia prozy historycznej

[1] Artykuł powstał w ramach projektu sfinansowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki, przyznanych na podstawie decyzji numer DEC-2013/09/B/HS2/01132.

[2] Zob. K. Sawicka-Mierzyńska, *Wokół narracji tożsamościowej Sokrata Janowicza*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze" 3/2012, s. 174: „Istotę opowieści snutej przez Sokrata Janowicza stanowi on sam, a toczona od lat walka o białoruskość jest w dużej mierze walką o własną, indywidualną tożsamość, kształtowaną w trudnej przestrzeni religijnego i etnicznego pogranicza." Zob. też D. Zawadzka, *Rafa regionu. O przemianach pamięci w literaturze pogranicza polsko-białoruskiego*, w: *Nowy regionalizm w badaniach literackich. Badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, red. M. Mikołajczak, E. Rybicka, Kraków 2012, s. 264.

[3] H. Bereza, *Na pograniczu*, w: tegoż, *Związki naturalne: szkice literackie*, Warszawa 1978.

Janowicza z konkretnymi segmentami współczesnej mu polskojęzycznej tradycji literackiej[4]. Wynika to z nadzwyczajnego statusu tego obszaru pisarstwa Janowicza, z przeświadczenia, że mamy do czynienia z czymś więcej niż literatura, a co budzi skrajne emocje. Niejednoznaczny odbiór prozy historycznej Janowicza wiąże się również ze specyfiką odgrywanej przez kulturę polską roli w narracjach historycznych Janowicza: roli podstawowego, lecz bardzo często polemicznego punktu odniesienia. Nawet więc jeśli Adam Michnik powie, że *Srebrnego Jeźdźca* czytał podczas internowania w stanie wojennym i odnalazł tam, w historii białoruskiego powstania styczniowego, niezwykle trafne rozpoznanie własnej sytuacji więziennej (ściślej relacji: uwięziony – śledczy)[5], to w wypowiedziach samego Janowicza trudno byłoby o świadectwo analogicznej bliskości wobec polskich doświadczeń historycznych, nie wyłączając ruchu „Solidarność". Ów brak symetrii wydaje się ważnym wprowadzeniem w – dwuznaczną – istotę narracji historycznych Janowicza, a chyba nie tylko historycznych.

Jakkolwiek efektownie wyglądają bowiem porównania prozy autora *Samosieja* do utworów Wiesława Myśliwskiego, formułowane tak z polskiej, jak i białoruskiej strony, nie mówią one wszystkiego o specyfice „chłopskich" utworów Janowicza, sygnalizują z grubsza tylko ich tematykę. Nie chodzi tu o rangę obu pisarzy, których łączyła dość bliska znajomość, lecz o to, że w prozie społecznej Janowicza można odnaleźć świat opisywany przez Myśliwskiego, natomiast u Myśliwskiego nie ma Janowiczowych problemów, np. związanych ze specyfiką pogranicza. A jednocześnie porównań takich, skazanych na niesymetryczność nie sposób uniknąć. Są one bowiem pochodną elementarnych uwarunkowań twórczości Sokrata Janowicza jako polskiego Białorusina, tj. wynikają z jego przynależności do kultury mniejszości, która to przynależność skazywała go – oraz nas, jego interpretatorów – na poruszanie się po orbicie większościowego i dominującego dyskursu polskiej literatury.

Janowicz wnosi do polskiego dyskursu swój udział – z perspektywy regionalnej jest on bardzo znaczny – nie do pominięcia dla badaczy, przykładowo: związków polsko-białoruskich w kulturze, literackich obrazów PRL, świadectw powojennych transformacji społecznych, problemów pograniczy kulturowych, nurtu chłopskiego, tematu powstania styczniowego i tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, migracji, dyskursów pamięci, gatunkowych przemian prozy po 1945 roku, początków życia literackiego w Białymstoku, literackiej kartografii Podlasia. Tu jednak zwrócić pragnę uwagę nie na to, co Janowicz Polakom i Podlasianom uczynił swoją twórczością, co nam dał, ale na okoliczności, które zastał i z którymi musiał się zmierzyć – pisząc.

U źródeł pisarstwa prozaika z Krynek leży sytuacja wielostronnej i przewrotnej zależności od polskich narracji. Przejawy podobnej zależności zostały

[4] On sam cytuje kilku autorów – i warto byłoby pójść tym tropem – ważnych w ich widzeniu historii, np. w *Białoruś, Białoruś*: Tadeusz Konwicki, Paweł Jasienica, Antoni Gołubiew, Marian Brandys, Czesław Miłosz.

[5] „Annus Albaruthenicus" 2013, s. 52 (wypowiedź Adama Michnika podczas XIV Trialogu).

już opisane przez badaczy postkolonializmu, lecz ich wachlarz ciągle się poszerza wraz z adaptacją i przenoszeniem narzędzi krytyki kolonialnej na coraz nowe obszary i literatury o postzależnościowej specyfice, w tym wschodnie, postsowieckie[6]. Sokrat Janowicz wielokrotnie, z wyraźnie prowokacyjną intencją, zestawiał sytuację Białorusinów z losem Indian, ostatnimi Mohikanami, a realia podlaskie z afrykańskimi[7]. Pytanie jednak, na ile zdawał sobie sprawę z tego, że – poza perswazyjną energią, wywołującą „murowany" efekt wśród polocentrycznych czytelników – te oraz inne postkolonialne paralele wyznaczają zaklęty krąg jego twórczości i bycia artystą?

W kulturach postkolonialnych – do których należy też polska, uwikłana zarówno w dominujący Zachód, jak i podporządkowująca sobie Wschód – znaki zależności koncentrują się wokół zjawiska mimikry[8], naśladowania. Można mimikrę rozumieć na wielu poziomach, jest to bowiem zjawisko pozwalające analizować relację kolonizator-kolonizowany w całej jej ambiwalencji[9]. Tutaj mimikrę wykorzystuję w podstawowych jej sensach, (nie idąc nazbyt głęboko w interpretację „dwuznaczności" i zacierania się granicy pomiędzy dominującym a podporządkowanym), tj. jako technikę przystosowania/kamuflażu, a zarazem możliwość oporu. Elementarne przesłanki złożonego procesu mimikry wynikają z przymusu naśladowania kolonizatora, którego źródłem jest system edukacyjny i preferowane w nim wzorce, w tym literackie. Nie tylko tu więc idzie o narzucanie języka, określonych wyborów życiowych, obyczajowych i dróg awansu, lecz o posługiwanie się pedagogiką wpajającą przekonanie o normatywności i wysokiej randze kulturowych wartości reprezentowanych przez kolonizatora, co wytwarza wewnętrzny przymus ich imitacji. Jak pokazuje Homi Bhabha, podobne naśladowanie z zasady jednak jest nieudane, bowiem subaltern staje się ledwie kopią dominującego, czasem komiczną i farsową[10], mimikrze zaś towarzyszy przesada, nadmiar, rodzaj teatralności. Kolonizator z kolei ma dość wąsko określone potrzeby, pragnie „zreformowanego, rozpoznawalnego Innego, jako podmiotu różnicy, który jest prawie taki sam, ale nie

---

[6] Powojenne problemy naszej części Europy (Środkowej i Wschodniej) analizowane w duchu teorii postkolonialnej pojawiają się w wielu pracach, ostatnio np. J. S o w a, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Kraków 2011, s. 431–535; *Polska Wschodnia i orientalizm*, red. T. Z a r y c k i, Warszawa 2013; D. S k ó r c z e w s k i, *Teoria – literatura – dyskurs. Pejzaż postkolonialny*, Lublin 2013.

[7] W najbardziej wyrazistej formie w wywiadach, np. *Literatura to nie PZU. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Bogdan Dudko i Jan Turonek*, „Kartki" 1995, nr 11, s. 23, *Krynki i świat. Z Sokratem Janowiczem rozmawiają Andrzej Bernat i Radosław Romaniuk*, „Nowe Książki" 2001, nr 9, s.7.

[8] Termin został spopularyzowany w pracy Homiego Bhabhy, zob. polskie tłumaczenie: t e g o ż, *Mimikra i ludzie. O dwuznaczności dyskursu kolonialnego*, przeł. T. Dobrogoszcz, „Literatura na Świecie" 2008, nr 1–2.

[9] Instruktywną i finezyjną próbę zastosowania kategorii mimikry do opisu kultury popularnej Polski powojennej i postkomunistycznej (zielonogórskiego Festiwalu Piosenki Radzieckiej) pokazała Ewa Domańska, zob. t e j ż e, *Obrazy PRL w perspektywie postkolonialnej. Studium przypadku*, http://www.staff.amu.edu.pl/~ewa/Domanska,%20Obrazy%20PRL%20w%20perspektywie%20postkolonialnej.pdf (dostęp – 16.XI.2014).

[10] Domańska np. wskazuje na komiczne efekty funkcjonowania tradycji PRL, na przykładzie „Polskiej Kroniki Filmowej", po 1989 roku.

całkiem”[11]. Mimikra może wiązać się z ironią, jej szerokie pole znaczeniowe sytuuje Bhabha – korzystając z prac Jacquesa Lacana i Rogera Caillois[12] – na skrzyżowaniu metaforyki przyrodniczej („wpisywanie się” owada w otoczenie poprzez uwydatnianie cech, które czynią go podobnym, bez ujawniania własnych różnic; w skrajnych okolicznościach grozi to rozpadem podmiotu) i militarnej (maskowanie wojskowe). W przypadku literatury mimikra potrafi jednak prowadzić do prób wyzwolenia się[13] – wskazuje na to jej militarny wariant – między innymi także poprzez przejmowanie elementów dyskursu kolonizatora, aby je wykorzystać przeciw dominacji (katachreza)[14].

❋

Naśladowanie dyskursu literatury polskiej po to, by, z jednej strony, upodobnić się do niego i zasłużyć na uznanie większościowego czytelnika jak polscy pisarze, z drugiej zaś naśladowanie jej, by stworzyć jej białoruską wersję, odróżnić się i wypowiedzieć/wyzwolić – te gesty dobrze widoczne są w m.in. prozie historycznej Janowicza.

Część swojej prozy historycznej Janowicz wprost uznawał za legendo- i mitotwórczą, za „tradycję wynalezioną”, tak myślał o eseistyce poświęconej Krynkom i o wywiadzie *Nasze tysiąc lat*:

> Уся справа ў тым, што кожная мясціна патрабуе легенды. Калі няма лягенды, то такая мясціна робіцца мёртвай. То таксама, што няма нацыі, калі няма свядомасці ўласнай гісторыі. Таму я кажу, што беларусаў няма яшчэ, бо ў ніх няма пачуцця мінулага. Няма нацыі. Бо нацыя ўзнікае тады, калі паяўляецца свябомасць мінулага, калі паяўляецца гісторыя. Калі няма гісторыі (я гавару тут аб чымсці масавым, а не адзінкавым), бо у нас, беларусаў гісторыя ёсць, але гэта гісторыя існуе ў нас элітная,... элітная[15].

Każda miejscowość musi mieć swoją legendę, każdy naród swoją historię i świadomość własnej przeszłości – podobną myśl powtarza Janowicz w wielu pracach. Białorusini nie mają swojej historii, zatem – dopowiedzmy – ktoś musi ją napisać. Na pewne aspekty przytoczonej opinii Janowicza trzeba zwrócić uwagę:

---

[11] H. B h a b h a, *Mimikra i ludzie*, s. 185 (podkr. – H. Bhabhy).

[12] Genealogię „mimikry” u Bhabhy omawia E. D o m a ń s k a, *Obrazy PRL*, zwł. fragm. „Mimikra (*mimicry*), farsa (*mockery*) i kamuflaż (*camouflage*)”.

[13] Pojawiły się już interesujące interpretacje Mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda* przez mimikrę w wariancie wojskowego kamuflażu, finałem tego procesu jest jednak rozpad podmiotu, zob. D. U f f e l m a n n, *„Litwo! Wschodzie mój”*, „Słupskie Prace Filologiczne”[obecnie „Świat Tekstów. Rocznik Słupski”] 8/2010. Zob. też D. Z a w a d z k a, *Lelewel i Mickiewicz. Paralela*, Białystok 2013, s. 503–532.

[14] Analizę romantycznego mesjanizmu jako przykład przejęcia i przekształcenia imperialnego dyskursu zaborców, konkretnie filozofii Hegla, przedstawił Alfred Gall, wykorzystując kategorię mimikry i katachrezy (termin G. Ch. Spivak), zob. t e g o ż, *Słowacki postkolonialny: próba usytuowania tekstów genezyjskich („Król-Duch”, „Ksiądz Marek” i „Sen srebrny Salomei”) w perspektywie postkolonialnej*, w: *Słowacki postkolonialny*, red. M. Kuziak, Bydgoszcz [2011].

[15] Zob. wywiad W. Karnialuka z Sokratem Janowiczem w niniejszym tomie, s. 271.

1) nie mówi on tutaj o znajomości historii, lecz o posiadaniu jej, o takiej zatem historii, którą można uwewnętrznić, 2) zestawia legendę ze świadomością historyczną tak, jakby chodziło o to samo, 3) akcentuje potrzebę masowego, a nie elitarnego odbioru przekazów o przeszłości. Janowicz był zatem przekonany, że pisarstwo historyczne (fikcjonalne i nie) ma narodotwórczy charakter – stwarza Białorusinów. „Nacja" i „słowo" idą ze sobą w parze, w tym punkcie myślenie Janowicza przypomina romantyczną etymologię nazwy Słowian jako „narodu Słowa". Na Białorusi, po jednym ze spotkań autorskich pisarz tłumaczył:

> Бо толькі кніжка, толькі слова, як я гаварыў – мой атэістычны бог. Бо слова – гэта Бог, слова – гэта пачатак усяго. Няма слова – няма нічога. Так як учора я Віталю тлумачыў, я спачуваю гэтым нашым няшчасным беларусам, бо гэта – няшчасныя людзі. Яны не разумеюць, што без нацыі нікуды яны не зойдуць. Нікуды. Гэта будзе пустыня. Толькі нацыя дае дынаміку развіцця, толькі нацыя. Няма нацыі – няма нічога[16].

Podobne poglądy można znaleźć na kartach literatury polskiej, wygłaszają je postaci fikcyjne – jak Konrad w Wielkiej Improwizacji[17] – ale również ich twórcy. Prelekcje paryskie Adama Mickiewicza, dzieło poświęcone rodowodowi historycznemu i kulturze Słowian, opisywane są dzisiaj jako przykład „tradycji wynalezionej". Termin ten pochodzi z książki – o tym samym tytule – *Tradycja wynaleziona*, pod red. Erica Hobsbawma i Terence'a Rangera, w której rozważany jest związek pomiędzy wiekiem XIX, stuleciem wzmożonych procesów narodotwórczych, a wytwarzaniem nowych tradycji: rytuałów, pomników, świąt, (pokazywanych jako odwiecznie istniejące, m.in. z pomocą falsyfikatów) – mają one integrować świadomość narodową powstających nacji[18]. W tym duchu, nawiązując do falsyfikatów Macphersona i Hanki, współczesna badaczka Mickiewicza Monika Rudaś-Grodzka pisze o jego próbach „wynalezienia" tradycji słowiańskiej w wykładach paryskich:

> Tradycja wynaleziona sytuuje się na pograniczu nauki i fikcji, dzięki czemu otwiera się na sferę myślenia magicznego i fantazji. Zarówno znane źródła, fakty historyczne, jak i legendy, uzupełnione wymyślonym i zarazem sensacyjnym naddatkiem otrzymują nową jakość służącą do budowania spoistości narodu. Tak było w przypadku słowiańskich rękopisów. Falsyfikaty stały się dla wielu słowianofilów fundamentem, na którym można było oprzeć mocną tożsamość narodów słowiańskich. Mamy tu do czynienia dosłownie z wymyślaniem tradycji, tworzeniem alternatywnego biegu historii[19].

---

[16] Tamże, s. 272.

[17] „Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył,/Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,/Ja bym mój naród jak pieśń żywą stworzył", zob. A. Mickiewicz, *Dziady*, cz. III, w: tegoż, *Dzieła*, t. III, opr. Z. Stefanowska, Warszawa 1995, s. 161 (wiersze 165–167).

[18] *Tradycja wynaleziona*, red. E. Hobsbawm i T. Ranger, przeł. P. Godyń, F. Godyń, Kraków 2008, s. 275–323.

[19] M. Rudaś-Grodzka, *Sfinks słowiański i mumia polska*, Warszawa 2013, s. 323.

Wymyślanie czy – jak mówi Hobsbawm w innym miejscu – „masowa produkcja tradycji" nie jest już skandalem dzisiaj, kiedy nieklasyczna historiografia pokazała, w jak wielu momentach profesjonalny historyk bywa konstruktorem, a nie odkrywcą prawdy, kiedy współczesne pamięcioznawstwo dowodzi ogromnego wpływu wyobraźni i literatury na powstanie i transmisję tego, co nazywamy pamięcią kulturową, dawniej określanej mianem świadomości historycznej[20]. Po tezach Waltera Benjamina na temat historii pisanej zawsze przez zwycięzców i analizach mechanizmów upodrzędniania – oraz wyzwalania się z zależności – dokonywanych przez krytyków postkolonialnych rozumiemy, że „tworzenie alternatywnego biegu historii" przez pokonanych musi się odbywać w języku kolonizatora, inaczej nie mają oni możliwości bycia wysłuchanymi[21]. W czasach Janowicza był to język faktów, studiów źródeł, tekstów argumentacyjnych, konwencja charakterystyczna dla nauki hołdującej zasadom (i mitom) obiektywizmu. Falsyfikat, nie tyle w owym świetle jest fałszerstwem, ile apokryfem, właśnie „wynalezieniem" źródła, które staje się fundamentem narracji mogącej być zauważoną i wysłuchaną, ponieważ wypowiada się ją w języku świata otaczającego twórcę. Do podobnego procederu uciekł się Mickiewicz w *Grażynie*, która jest stylizowana na dokument ze średniowiecza, w przypisach zaś poeta daje poznać, że autentyczne źródła litewskie z owego czasu nie mogły przetrwać, bowiem przykryły je kolejne warstwy kultur kolonizatorskich (krzyżackiej, ale też polskiej). Ale Mickiewicz żył u progu unaukowienia historiografii, w czasach takiej wrażliwości historycznej, w ramach której przeszłość była czymś cudownie niegotowym, niezamkniętym, nikomu na stałe nie przydzielonym. Autor *Białorusi, Białorusi* nie uciekał się już do poetyki falsyfikatu – w II połowie XX wieku zamach na uroszczenia normatywnej nauki byłby szaleństwem, Janowicz zresztą w słuszność tej normy wierzył, poniekąd w tym właśnie rzecz.

Można bowiem w jego pisarstwie historycznym zauważyć pewną prawidłowość: przechodzenie od fikcjonalnej prozy historycznej (*Srebrny Jeździec*, biał. 1964) przez formy pośrednie eseju czy gawędy historycznej (*Białoruś, Białoruś* 1987, oraz *Terra incognita* 1993) do niefikcjonalnej narracji dokumentu osobistego charakterystycznej dla rodzaju archeologicznego krajopisarstwa (*Ojczystość, Dolina pełna losu*), a punktem dojścia tej tendencji byłby przeprowadzony przez Jerzego Chmielewskiego wywiad-rzeka *Nasze tysiąc lat*. Punktem dojścia, albowiem to bardzo już wyrazisty przypadek tzw. źródła wywołanego, właśnie: źródła. Janowicz nie uciekał się do poetyki falsyfikatu czy apokryfu, ale wytwarzał źródła, honorowane nawet przez konwencjonalną historiografię, jak dziennik czy wywiad. Gatunkowe przemiany twórczości Janowicza były wielorako

[20] J. A s s m a n n, *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, przeł. A. Kryczyńska-Pham, wstęp i red. R. Traba, Warszawa 2008, s. 81-101, A. A s s m a n n, *Cztery formy* pamięci, przeł. K. Sidowska, w: t e j ż e, *Między historią a pamięcią. Antologia*, red. i posł. M. Saryusz-Wolska, Warszawa 2013,s. 39–57.

[21] G. Ch. S p i v a k, *Pytania wielokulturowości,* przeł. M. Kropiwnicki, w: t e j ż e, *Strategie postkolonialne*, Warszawa 2011, s. 80.

tłumaczone, jeśli idzie o prozę historyczną, moim zdaniem wynikają one z logiki subwersywnej: szukania coraz bardziej skutecznych sposobów wyzwalania się narracji białoruskiej spod dominacji polskiego dyskursu. Jednocześnie, narastaniu narracji niefikcjonalnej i odchodzeniu od beletrystyki towarzyszy obejmowanie opowieścią coraz większego zakresu czasowego, aż do owego „nasze tysiąc lat", czego nie można osiągnąć w utworach fabularnych, domagających się konkretnego świata przedstawionego, a więc nakierowanych na moment historyczny (co najwyżej ich serię) a nie syntezę dziejów. Inna jeszcze tendencja polega na paradoksalnym powiązaniu tematu białoruskiego z językiem przekazu: im bowiem silniejsza narracja o Białorusinach, im większy jej rozmach czasowy, im – można by rzec – rozleglejsza przestrzeń białoruskich dziejów, tym Janowicz chętniej korzysta z polszczyzny. I otwarcie przyznaje, że w zasadzie pisze do Polaków. To w żadnym razie nie jest sprzeczność, ponieważ wydobywanie się spod dominacji czyni z kultury dominującej najważniejszego bohatera i zarazem adresata subwersywnej opowieści.

Opis „wynajdywania" tradycji białoruskiej trzeba by rozpocząć od dziejów wydawniczych *Srebrnego Jeźdźca*, który napisany został po białorusku i pierwotnie ukazał się jako pojedyncze opowiadanie historyczne, następnie zaś jako zbiór luźnych opowieści (biał. 1978). Podczas przygotowywania polskiego przekładu dla „Czytelnika", (tom zatytułowany został ostatecznie *Małe dni*) powstała jednak myśl, by wyłączyć *Srebrnego Jeźdźca* z tego zbioru i zbudować wokół niego odrębny tom. W liście do tłumaczki, Anny Sobeckiej, 7 lutego 1979 roku Janowicz pisze:

> Szanowna Pani, książka nasza w „Czytelniku" została przyjęta dobrze; recenzował A. Mencwel. Dałem jej tytuł *Małe dni*. Do obróbki redakcyjnej pójdzie w przyszłym miesiącu; panie redaktorki chorują. Zdaje się, że *Srebrnego Jeźdźca* trzeba będzie wydawać osobno. Tak mi doradzają ze względu na zachowanie kompozycji książki, m.in. i Mencwel. Mam jeszcze jedną opowieść historyczną, *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej*, ale wymagającą dopracowania (roboty ok. miesiąc). Zaplanujemy?[22]

Zatem za radą m.in. recenzenta, Andrzeja Mencwela, Janowicz zdecydował się pracować nad kolejną książką, do której, prócz dokonanego przez Sobecką przekładu *Srebrnego Jeźdźca*, wejść miało inne opowiadanie, pierwotnie również napisane po białorusku: *Skarb w Puszczy Jaćwieskiej*, po przeróbkach. Potem zaś Janowicz dopisał *Skroubę* i powstał tryptyk pod okładką *Srebrnego Jeźdźca.* Tryptyk po polsku, w białoruszczyźnie pierwotnie nieistniejący, tam

[22] List S. Janowicza do A. Sobeckiej z 7 lutego 1979 r., cyt. za: A. S o b e c k a, *Sokrat* [w niniejszym tomie], s. 208.

– przypominam – były najpierw dwa pojedyncze opowiadania, w tym jedno znacznie zostało na potrzeby tryptyku przepracowane, tj. *Skarb w Puszczy Jaćwieskiej*[23], trzeci – również po białorusku – pojawił się ze względu na pomysł cyklu. Wydaje się, że powodem takiej metamorfozy była chęć zademonstrowania polskojęzycznemu czytelnikowi pewnej całości historycznej, obejmującej nie tylko powstanie styczniowe i wiek XX, jak to było w wersjach białoruskich *Srebrnego Jeźdźca* i *Skarbów*, ale i starszych dziejów, mających poniekąd fundacyjne znaczenie dla takiej historii Białorusi, jaką chciał Polakom zaprezentować Janowicz:

> Przesyłam Pani do spolszczenia trzecią i ostatnią zarazem rzecz do zamierzonej książki – opowiastkę *Skrouba*. Już po odleżeniu i ostatecznym szlifie (liczy 20 str.). Ponieważ akcję osadziłem w 1434 r., pisałem językiem archaizowanym; i dlatego dołączam ks. St. Murzynowskiego *Historyja żałosna a straszliwa...* jako ew. pomoc przy tłumaczeniu itd. To będzie najtrudniejsza Pani praca! – Książka ta nasza zyska na „rozmaitości" stylistycznej i tematycznej (*Srebrny Jeździec* – 1864 r., *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej* – projekcja w XVI w., *Skrouba* – początek XV, a właściwie jeszcze XIV w.). [...] W ten sposób będziemy mieli książkę +/- 120 str., i z tytułem *Srebrny Jeździec*?[24]

„Trójnowelowa książka" – jak w listach do tłumaczki określa nowego *Srebrnego Jeźdźca* sam autor – zawierała „projekcję" w stulecia od XV do XX, ale gdy się bliżej przyjrzeć, przedstawiała tradycję białoruską w sposób punktowy i symboliczny. W tytułowym *Srebrnym Jeźdźcu* przeszłość istnieje w postaci srebrnej monety z herbem Pogoni, którą Makarewicz – czyli Kastuś Kalinouski – wręcza emisariuszce jako znak rozpoznawczy białoruskich powstańców. Potem, jednemu z zaangażowanych w konspirację chłopów „aż mroczno od przywidzenia, że oto wychodzą z lasów niezliczone siły – z puszczy, z przesiek, i z wieczystych kurhanów, ze wszystkich stron pobłyskując zbroją, w bojowych szykach legiony wolności."[25] Ale to „srebrne wojsko" – wraz z myślą „I staniemy się Białorusinami,/ Wolności synami!" – jest tylko właśnie „przywidzeniem". Pod koniec tekstu moneta powraca w ręku bezdomnego „starego dziwaka", który błąkał się po zaułkach Białegostoku, „opowiadał dzieciom bajki o królu Białorusi i o Srebrnym Jeźdźcu"[26], a nazywany był też Srebrnym Jeźdźcem. Wraz z jego śmiercią moneta ginie w szczelinach podłogi i nikt jej nie szuka. Wypada przypomnieć, że Janowicz podąża tu śladem – na ile świadomie? – polskiej literatury, która zna podobnego wariata-patriotę i króla ruin Ojczyzny – Machnickiego, bohatera utworu z okresu romantyzmu *Król zamczyska*, pióra Seweryna Goszczyńskiego. Wykorzystuje też obecny m.in. w polskich tekstach motyw śpiących rycerzy, a przede wszystkim sam znak Pogoni – symbol unii polsko-litewskiej – zajmujący ważne miejsce w polskim dyskursie narodowym, jednak bez nawiązywania do dziejów białoruskich.

---

[23] List S. Janowicza do A. Sobeckiej z 22 października 1979 r., tamże, s 213.
[24] List S. Janowicza do A. Sobeckiej z 9 marca 1980 r., tamże, s. 214.
[25] S. J a n o w i c z, *Srebrny Jeździec*, tłum. A. Sobecka, Warszawa 1984, s. 59.
[26] Tamże, s. 88.

Tak więc sprawa białoruska w powstaniu styczniowym[27] – nietożsama ani z interesem „panów", ani „cara" – w oczach niezorientowanego czytelnika wygląda na niezrozumiały epizod polskich zmagań z Rosjanami, tym bardziej zawikłany, że przedstawiony w opowiadaniu zgodnie z realiami powstańczymi, konspiracyjnymi. Jeśli zaś mogła owa sprawa z czymkolwiek korespondować, to raczej z ówczesnym marksistowskim wykładem dziejów, z obrazem walki o wyzwolenie z ucisku ludu pracującego miast i wsi – bardziej może w roku publikacji białoruskiego pierwodruku (lata 60.), mniej wówczas, kiedy wyszedł polski przekład *Srebrnego Jeźdźca* (1984). Mimikra, jak pamiętamy, w swej przyrodniczej odmianie, polega na wzmacnianiu przez tego, który ją stosuje – bądź ulega jej prawu – cech upodobniających go do otoczenia, bez akcentowania różnic.

Ów styczniowy epizod zaklęty w starej monecie z Pogonią, po uzupełnieniu go *Skarbem w Puszczy Jaćwieskiej*, zyskuje towarzysza w postaci zagadkowych wydarzeń, łączących wiek XX z przypuszczalnie XVI, kiedy działa ród wielkich Radziwiłłów. Zaś poprzez nazwanie, w tytule, Puszczy Augustowskiej „Jaćwieską", zakres objętych symbolicznym spojrzeniem dziejów – historii białoruskiej – jeszcze głębiej sięga w przeszłość, ku pogańskim Jaćwingom. Wszakże znowu: cała ta historia manifestuje się w wyobraźni czytelnika bardzo niewyraźnie, niczym ów skarb znaleziony podczas wakacyjnej przygody rodziny Koroniewskich, w postaci kolejnej monety z Pogonią, po poszukiwaniach zaś archeologicznych, po nawiercaniu ziemi, uzupełniony „fragmentami pergaminów", na których przeczytano: „«Rahn…», «Połotesk», «Radiwoło…», «Kmita», «ryskuny», składano je po kawałeczku"[28]. Hieroglificzna przeszłość, bardziej w postaci materialnych szczątków niż konkretnego przekazu, zostaje dopełniona przez Janowicza w specjalnie napisanym opowiadaniu *Skrouba*, które w „trójnowelowej książce" rozpoczyna cały cykl. O tym, że pisarz przy okazji polskiego przekładu dążył do stworzenia cyklu, świadczy nie tylko ów historiozoficzny zamysł – ułożenia trzech epizodów w pasmo dziejów białoruskich – który tutaj próbuję rekonstruować, ale także przestrzeń, wspólna wszystkim trzem utworom: Wilno-Sokółka-Krynki-Białystok-Zelwa. Rozlokowany na jaćwiesko-czarnoruskim terytorium cykl miała rozpoczynać nowela, której założenia Janowicz tak charakteryzował: „15-ty wiek, Jagiellonowie, moje Krynki w marcu 1434 roku, wznowienie unii między WXLit. a Coroną"[29]. Tak więc akcja rozgrywa się w roku śmierci Jagiełły, ochrzczonego na Władysława, w puszczy rozciągającej się pomiędzy zamkami: w Krynkach i w Grodnie, zaś tytułowy Skrouba należy do „putnych służb", jest Rusinem-zwiadowcą, który

[27] Została ona stematyzowana w monologu wewnętrznym Makarewicza/Kalinauskiego: „Powstanie, mówiąc prawdę, dopiero powinno się rozpocząć — myślał. — Bez szlachty! Jej udział – to katastrofa całej sprawy. Chłopi nie pójdą za panami w las, bo i po co? Za pańską wolność walczyć? Prawdziwa wolność – to taka wolność, w której nie będzie ani panów, ani cara. W której wszyscy będą równi. Boże, co za skomplikowana sytuacja: z jednej strony car daje swoją wolność, z drugiej – panowie dają swoją, jakby lepszą od carskiej – uśmiechnął się markotnie. – A cel i jedni i drudzy mają taki sam: utrzymać władzę! Trzeba organizować powstanie ludowe. (…) Czy nie za wiele jak na możliwości Białorusinów?" Tamże, s. 75.

[28] Tamże, s. 135.

[29] List z S. Janowicza do A. Sobeckiej z lipca 1979 r., w: A. Sobecka, *Sokrat*, s. 212.

w przeddzień ponowienia unii dostał rozkaz przywiezienia języka z mazowieckiej strony do grodzieńskiej strażnicy.

Tym razem znak Pogoni, obecny w dwu kolejnych po *Skroubie* nowelach *Srebrnego Jeźdźca* wypełnia się niezwykle plastyczną historyczną treścią, bo – można by rzec – bohaterem pierwszego opowiadania jest właśnie „jeździec", tyle że nie srebrny, wyryty na monecie, ale jego żywy pierwowzór. A raczej dzieje się na odwrót, portret średniowiecznego Białorusina i rodzimej Janowicza Czarnej Rusi z XV wieku, krainy pogranicznej, z krynkowską „warownienką" w centrum, rojnej od biegnących z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód jeźdźców przygotowujących odnowienie unii polsko-litewskiej – wizerunek ten poprzedza stulecia niknącej (w porządku lektury) tradycji białoruskiej. Skrouba na rączym Wiatrohoniku zapowiada smutny okres, pokazany w kolejnych opowiadaniach, kiedy ta newralgiczna w dziejach Polski i Litwy ziemia oraz ludzie wypełniający swe codzienne, lecz ważne misje zastygną w nieczytelnych dla potomnych hieroglifach i strzępach tradycji. Jak wynika z listów do Sobeckiej, Janowicz zadał sobie – i tłumaczce – wiele trudu, by umożliwić czytelnikowi doświadczenie staroruskiej codzienności, zaczynając od stylizowanego języka, bogatego w synonimy zdolne oddać średniowieczną jurność i świętość życia, jego splątanie z żywiołami natury oraz doznanie powszedniej strony lokalnej historii, złożonej ze szpiegów, wojen, tortur i walki o przeżycie.

Powstał w ten sposób tryptyk o przymierzu polsko-litewskim, którego zapomnianymi posłańcami – i współtwórcami – są Rusini. O ich istnieniu chciał przypominać Janowicz – jak widać z zamysłu cyklu – przede wszystkim Polakom, których uważał za Benjaminowskich zwycięzców piszących Historię. Jednak cykl nowel nie tworzył języka oporu, wpisywał raczej tradycję białoruską w polski dyskurs narodowy: zarówno XIX-wieczny, oparty na micie unii polsko-litewskiej, jak i PRL-owski, inspirowany marksistowskim wykładem dziejów. Tak było do „Solidarności" i stanu wojennego, bo praca nad *Skroubą,* ostatnim ogniwem cyklu, sądząc po listach do Sobeckiej, nie wykracza poza rok 1980.

Najprawdopodobniej jeszcze przed ukazaniem się *Srebrnego Jeźdźca* po polsku rozpoczął Janowicz pracę nad kolejnym dziełem dla polskojęzycznego odbiorcy – słynną potem gawędą *Białoruś, Białoruś*. Bowiem wymowa „trójnowelowej książki" mogła nieść ze sobą niejednoznaczne przesłanie, które mówi o efemerycznej i malejącej roli Białorusinów w tutejszych, regionalnych oraz polskich dziejach, a przynajmniej roli coraz mniej uświadamianej.

✻

Najbardziej znany z przykładów prozy historycznej Janowicza – książka *Białoruś, Białoruś* – oparty jest na pomyśle paraleli. Paralelność świadczy o bardzo ambitnym zamierzeniu autora, bo przecież musiało to oznaczać konieczność wygospodarowania w przestrzeni polskiej historii miejsca na jej białoruski nurt.

By to osiągnąć, Janowicz ucieka się do kilku zabiegów mieszczących się w polu mimikry, każdy z nich jest interesujący, a nawet – z dzisiejszej perspektywy – dalekowzroczny. 1) **Mocne tematyzowanie podrzędności**. Polega ono na przejęciu, myślę że od Mickiewicza, z *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* metafory unii polsko-litewskiej jako małżeństwa, a następnie nadaniu jej nowego znaczenia, charakterystycznego dla, by tak rzec, związku niepartnerskiego. Jego wyobrażenie na ogół utrzymuje się w tej familijnej, a raczej familiarnej frazeologii, przybierając postać m.in. rodzeństwa (nierównych z urodzenia), pana i jego „chama" (np. furmana), ubogiej siostry-prowincjuszki, „miłości długiej, acz nie spełnionej, jaką żywiły do siebie bratnie serca"[30]. W przejęciu metafory Mickiewiczowskiej, męża i żony w jednym ciele, pośredniczył zapewne Miłosz z *Rodzinną Europą* (przywołany wprost w *Białoruś, Białoruś*) z jego krytycznym spojrzeniem na unię oraz rozbudowaną analogią kolonizacji Dzikiego Zachodu i Wschodu. Ale u Janowicza ów brak partnerstwa, postkolonialna gorszość Białorusinów, ich „wiekuista niewola" obciążone są dodatkowo nienormatywnością i posunięte do choroby (delirium, epilepsja, pląsawica, letarg, martwica) oraz jakiejś posthumanistycznej chęci znikania, transgresji w naturę, samobójstwa, określanego mianem „zewu pragniazda"[31]. 2) **„Przepisanie" fragmentów polskich dziejów**. Potrzeba zrównoważenia podwojonej przeszłości wyrasta z braku partnerstwa w związku Polski z Białorusią i prowadzi do kolejnego zabiegu: „przepisania" polskiej historii tak, by to, co podrzędne – a nawet ukryte – odzyskało swój głos. Osobliwość zadania Janowicza polega na tym, że dzieje Białorusinów są podrzędne wobec polskiej historii, ale dodatkowo ukryte pod pseudonimem „Litwy", potocznie niekojarzonej z Wielkim Księstwem Litewskim, lecz z dzisiejszym etnosem litewskim. Rodzima, rusińska tradycja została przykryta przez pismo i opowieści zwycięzców (Polaków, ale i Litwinów), dlatego dotarcie do niej wymaga nieomal fizycznego wysiłku: „Ciągle odnajdujemy swych wielkich, przedzierając się przez nawarstwienia obcej kultury, kiedyś i obecnie"[32]. „Przepisanie" zasadza się na ujawnieniu przynależności pewnych osób, miejsc i wydarzeń, znanych z polskich dziejów, do białoruskiej historii, łącznie z nazwami własnymi (Mikoła Husouski zamiast Mikołaj Hussowski, Symon Budny zamiast Szymon Budny, Hrehor Chadkiewicz zamiast Grzegorz Chodkiewicz, Mickiewiczowski Navahradak miast Nowogródka, albo odwrotnie: wyjaśnienie, dlaczego „Zabłudów" nie nazywa się „Zabłędowem").

Jednak „przepisanie" ma swoje granice i na ogół nie prowadzi do upodmiotowienia zdominowanej dotąd przeszłości, niemożliwe jest również naprawdę równoległe, paralelne zestawienie historii polskiej i białoruskiej. Dipesh Chakrabarty, autor artykułu *Historie mniejszości, przeszłości podrzędne*, do którego terminologii odwołuję się tutaj, tłumacząc, jak rozumie „mniejszość", zauważa:

[30] Przytaczam tylko jedną z końcowych formuł z całego szeregu metaforycznego, zob. S. Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 186.

[31] Tamże, s. 36.

[32] Tamże, s. 11.

> Pewne konstrukcje i doświadczenia przeszłości pozostają „mniejsze" w tym sensie, że ich włączenie do narracji historycznej zamienia je na przeszłości „mniejszej rangi" wobec dominującego w praktyce historii profesjonalnej rozumienia tego, co konstytuuje fakt i dowód (a zatem i wobec obowiązującej zasady racjonalności). „Mniejsze" przeszłości to takie doświadczenia przeszłości, którym w procesie wyjaśniania w języku historii akademickiej zawsze przypisywano „gorsze" czy „marginesowe" miejsce.[33]

Nie dotyczy to tylko mniejszości etnicznych czy grup wykluczonych – chodzi bowiem raczej o wszystkie typy tradycji, które z perspektywy zachodniej nauki nie wydają się „racjonalne" – ale tych z pewnością dotyczy: doświadczeń owych narodów, przeważnie wschodnich, które, jak pisze Chakrabarty w innej swojej pracy[34], z zachodniego punktu widzenia znajdują się dopiero w „poczekalni historii", czekając na swoje wejście do niej. Polska perspektywa często staje się właśnie ową zachodnią wobec Białorusi, która bywa również dzisiaj pokazywana jako kraj kroczący nieracjonalną drogą, np. nie budując demokracji i społeczeństwa obywatelskiego[35].

Janowicz z jednej strony wspiera ów wiktymistyczny dyskurs Białorusinów, powołując się często – w eseistyce, ale i listach – na prawo „młodszego brata" do wybaczenia, a nieraz gniewnie się o nie upominając. Mogłabym tu przytoczyć zdanie z *Białoruś, Białoruś*, którym pisarz puentuje swoją narracyjną wyprawę do ruskiego niegdyś Drohiczyna: „Owszem, doświadczyłem już tutaj wycieczkowej udręki, wraz z bratem na jego czeskim motocyklu przebłąkaliśmy się przez skatolicyzowane i zmazurzone wioski z sołtysami o niepolskich nazwiskach, polnymi dróżkami do siedleckiej szosy na Biełastok (Białystok)."[36] Jak widać, na ową „udrękę" podróży po krainie, która sama siebie zapomniała, składają się pospołu: Czesi, katolicy, Mazurzy, niePolacy i Białystok, oczywiście – „wielkie miasto".

Ale z perspektywy przyjętej przez Chakrabarty'ego Janowicz wiktymistyczny i sarkastyczny, współtworzący dyskurs krzywdy historycznej, ma rację w swoim proteście, gdyż „historie mniejszości" nie mają szans na sprostanie wymogom paradygmatu nauki i racjonalności ustanowionych przez dominujących (nie zawsze też mają taką potrzebę). Rzecz w tym, że „przeszłości te [podrzędne] są marginalizowane nie tyle z powodu jakichś świadomych intencji, ile ze względu na fakt, że przedstawiają one momenty czy miejsca, w których będące obiektem badań historyka archiwa nie dają się wykorzystać do celów historii profesjonalnej. Innymi słowy są to przeszłości, które opierają się uhistorycznieniu (...)"[37], a więc prowadzeniu badań w obowiązującej na Zachodzie metodologii. Sądząc

[33] D. Chakrabarty, *Historie mniejszości, przeszłości podrzędne*, przeł. E. Domańska, w: *Teoria wiedzy o przeszłości na tle współczesnej humanistyki*, pod red. E. Domańskiej, Poznań 2010, s. 396.

[34] D. Chakrabarty, *Prowincjonalizacja Europy: myśl postkolonialna i różnica historyczna*, przeł. D. Kołodziejczyk, T. Dobrogoszcz, E. Domańska, Poznań 2011, s. 7–21.

[35] D. Chakrabarty, *Historie mniejszości*, s. 396.

[36] S. Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, s. 19.

[37] D. Chakrabarty, *Historie mniejszości*, s. 397.

po źródłach wykorzystywanych przez Janowicza, Białorusini są (byli?) ciągle w takim „momencie" swojej historii, w którym w archiwach znajdują przede wszystkim dziedzictwo „opierające się uhistorycznieniu": toponimy, obyczaje i wierzenia, piosnki wieśniacze, literatura (lecz na dobre od XX wieku), tragiczne, ale i hybrydycznie powikłane tożsamości „budzicieli" – raczej to niż zabytki materialne, kroniki i dyplomata (późniejsze od XVI-wiecznych) czy inne dokumenty życia publicznego i służących mu instytucji państwa. Dlatego Janowiczowi byłoby szczególnie trudno podołać ujęciu porównawczemu i stworzyć partnerską paralelę białoruskiej i polskiej historii, od której zdaje się zaczynać *Białoruś, Białoruś*, przywołując „sześć wieków wspólnego losu".

> Chcę unikać chronologii; i to nie tylko korzystając z uprawnień, jakie daje gawęda, i nie dlatego, by nie nudzić, ani dlatego, że czytelnik mój jest wyposażony głównie w narodowe, pozabiałoruskie zestawy narzędzi myślenia historycznego. Wygłaszam ekspromt, długą improwizację, że się tak wyrażę, o pilnej już teraz konieczności uświadomienia sobie tego, że nie można być pełnowymiarowym Polakiem czy Białorusinem bez pewnych wiadomości w bagażu intelektualnym.[38]

Nie lada jaki to projekt historiograficzny, zważywszy na 1987 rok wydania: zignorowanie chronologii, a więc i logiki przyczynowo-skutkowej, pozwolenie sobie na aprioryczną selekcję wydarzeń, improwizację i fragmentaryzm, na charakterystyczne dla gawędy mieszanie czasów: bycia w przeszłości i teraźniejszości naraz, ujawnianie uczuć i ocen[39]. Z jednej strony mamy tu strategię mimikry, tj, naśladowania polskich narracji historycznych (tradycji gawędowych z początku XIX wieku w literaturze i historiografii[40]), mimikry zastosowanej zarówno ze względu na podobieństwo sytuacji historycznej (pisanie historii bez mecenatu państwa i jego instytucji oraz swoistą bezperspektywiczność momentu dziejowego), jak i w celach polemicznych (wizja Janowicza nie ma nic wspólnego z romantyczną idealizacją Kresów oraz ich bohaterów, prócz wspólnoty terytorium). Z drugiej strony, pionierską jednak po tej stronie żelaznej kurtyny i przed rozpadem ZSRR próbę zamachu na „wielką narrację" narodową z czasów PRL, która unifikowała wszelkie różnice regionalne lub sprowadzała je do właśnie niższych, ludowych, archaicznych anomalii. Swój zamysł Janowicz tak objaśnia:

---

[38] Tamże, s. 6.

[39] Wypadałoby przytoczyć jeszcze jedno zdanie: „Zanotowałem tylko swe odczucia i konkluzje, wsparte wiedzą na ten temat, odwołując się do niej z okazji wybranych, istotnych dla ciągu znaczeniowego wydarzeń i okresów zbyt jednostronnie naświetlanych, a zarazem jakoś determinujących osobowość zbiorową obu narodów". Tamże, s. 6.

[40] Piszę o tym w książce *Lelewel i Mickiewicz*, s. 447–466.

> Więc w tym pisaniu swoim celowo orientowałem się na podstawowy zestaw informacji kulturalno-historycznych, które posiada przeciętnie wykształcony mieszkaniec dzisiejszej i wczorajszej Polski. W tym oczywiście sporo zamierzonej polemiki mojej z poglądami, którymi żyje dom i ulica w naszym kraju.[41]

Janowicz zatem deklaruje wejście w jawny już spór metodologiczny oraz ideologiczny, z „narodowymi, pozabiałoruskimi zestawami narzędzi myślenia historycznego" – jak wynika z poprzedniego cytatu – i „poglądami, którymi żyje dom i ulica w naszym kraju". Jednym z największych, prócz Białorusinów, beneficjentów tego sporu okazała się literatura regionu, ponieważ Janowicz, wadząc się z PRL-owskim myśleniem narodowym, otwierał nam oczy na koloryt, historię, wreszcie różnicę tutejszego „domu i ulicy". Dotyczy to tak narracji historycznych, jak i „sokratek".

Dzięki polemicznemu charakterowi *Białorusi, Białorusi* udało się Janowiczowi może nie tyle wywalczyć miejsce dla historii Białorusinów w polskim dyskursie historycznym, ile podważyć monolityczny i raz na zawsze gotowy obraz naszej przeszłości. Niebagatelną zasługę miał w tym zastosowany typ narracji, zapowiadający już dzisiaj dozwoloną „historię zaangażowaną" i „egzystencjalną"[42] – tak, ale to było 20 lat temu – tok urywany, pełen nagłych zwrotów, szybkie zmiany planów historycznych, duża amplituda emocji, gawędowe podtrzymywanie więzi z odbiorcą, nieskrywana autobiograficzność. Czytelnik miał prawo odnieść wrażenie, że przeszłość nie jest jeszcze przesądzona i tworzy się na jego oczach, co jednych napawało optymizmem, innych niepokoiło. *Białoruś, Białoruś* przyniosła też inny efekt, zdezaktualizowała pewien pozytywny stereotyp Białorusi, którego Janowicz chyba nie lubił. Przyznawał, że tytuł gawędy nawiązuje do *Kalendarza i klepsydry* Tadeusza Konwickiego, gdzie Białoruś nazwana została Dobrorusią, „za dobrą i za łagodną, jak na nasze czasy"[43]. Sądząc po recenzjach, publikacja Janowicza pokazała inną twarz Białorusi, nie-sielską, i nie-łagodną, czasem nawet gniewną, za to mniej pasującą do roli idealnej ofiary, którą zwykle bywa „dobry Inny". Być może zresztą dystans wobec „Dobrorusi" wynika z różnicy pokoleniowej – Janowicz wspomina, że jego matka na kontakt z polskim urzędem reagowała „lamentem" i dodawał: „Ze mną, jej synem, jest podobnie, z tą tylko różnicą, że nie wylewam łez, lecz klnę (wnuki znormalnieją)"[44].

---

[41] Tamże, s. 6.

[42] Posługuję się tutaj kategoriami Ewy Domańskiej, zob. t e j ż e, *Historia egzystencjalna. Krytyczne studium narratywizmu i humanistyki zaangażowanej*, Warszawa 2012, (zwł. rozdział „Epistemologia bez niewinności").

[43] Zdanie to przywołuje Janowicz, zob. *Białoruś, Białoruś,* s. 11.

[44] Tamże, s. 52.

Cele subwersywne autora *Białorusi, Białorusi* z pewnością zostały osiągnięte, natomiast tekst ten – m.in. przez fragmentaryzm i polemiczny charakter – nie wypełnił misji „samoopisywania", narracyjnego tworzenia narodu poprzez „wynalezienie" jego spójnej tradycji. Za swoiste potwierdzenie owego niedokonania można by poczytać tytuł późniejszego utworu Janowicza *Terra incognita: Białoruś* (1993). Mimo tej poetyki braku – Białoruś jako ziemia nieznana – pojawia się ona już jako jedyny podmiot narracji, samodzielnie, choć Janowicz sięga po jeden z kanonicznych chwytów narracji kolonialnej, która chętnie posługiwała się motywem ziemi niczyjej, czekającej na pionierów. Na uwagę zasługuje nasilająca się obecność pewnego zabiegu Janowicza, obecnego w *Terra incognita*, ale również w *Dolinie pełnej losu*, *Ojczystości* – polega on na użyciu w narracji historycznej języka przestrzeni. Jest początek lat 90. ubiegłego wieku i znowu Janowicz z właściwą sobie przenikliwością zwraca się ku czemuś, co dopiero nadchodzi – epoce „czytania czasu w przestrzeni"[45]. Tworzy mapy okolicy, a odbywając rzeczywiste i wyobrażone podróże do kolejnych miejsc, staje się ich archeologiem, kronikarzem, a może geopoetą polskich Białorusinów oraz regionu.

Jak pokazują znawcy wieloaspektowej mimikry, zmienia ona również kolonizatora – uparte „wpisywanie się" kultur mniejszości w obraz dominującego otoczenia przyczynia się do rozwoju niecentralistycznych, lokalnych narracji i literatur regionalnych.

[45] Zob. K. Schlögel, *W przestrzeni czas czytamy. O historii cywilizacji i geopolityce,* przeł. I. Drozdowska, Ł. Musiał, posłowie H. Orłowski, Poznań 2009.

Anna Sakowicz
BIAŁYSTOK

Wokół bohatera opowieści *Srebrny Jeździec* Sokrata Janowicza

Opowieść *Srebrny Jeździec* Sokrata Janowicza po raz pierwszy ujrzała światło dzienne, w postaci książkowej, w prestiżowym wydawnictwie „Mastackaja litaratura" w 1978 roku w Mińsku w zbiorze utworów prozaicznych o tym samym tytule. Białoruski pisarz narodowy Janka Bryl[1] w posłowiu do wydania tej książki napisał:

> Гэта і аповесць, назва якое вынесена ў загаловак кнігі, – яшчэ адно свежае слова пра паўстанне, адным з чырвоных правадыроў якога быў легендарны рэвалюцыянер-дэмакрат, мысліцель і публіцыст Кастусь Каліноўскі, – [...]. Для прозы Сакрата Яновіча, я паўтараю, характэрны добрае веданне жыцця, удумлівае пранікненне ў яго глыбінны змест, шчырыя пошукі сацыяльнай справядлівасці, любоў да чалавека працы, адчуванне красы прыроды і роднага слова[2].

Talent Janowicza ujawnił się w różnych gatunkach prozy, na przykład powieściach, opowiadaniach, poetycznych nowelach, szkicach, miniaturach. Jednak to niewielka objętościowo, ale głęboka ze względu na treść opowieść historyczna *Srebrny Jeździec* zajmuje szczególne miejsce w twórczej spuściźnie pisarza z Krynek. Autorowi tej genialnej powieści, jako patriocie białoruskiemu, bliska była tematyka historyczna[3]. Janowicz interesował się historycznymi wydarzeniami i bohaterami, odnoszącymi się do znaczących i przełomowych momentów w białoruskich ruchach narodowowyzwoleńczych, kiedy to odbywają się istotne

---

[1] Я. Брыль, *Замсет пасляслоўя*, у: *Сакрат Яновіч, Сярэбраны яздок*, Мінск 1978, с. 187.

[2] Tłumaczenie Anny Sakowicz:

„Ta opowieść, nazwa której została wyniesiona jako tytuł książki, jest jeszcze jednym świeżym słowem o powstaniu, którego jednym z czerwonych przywódców był legendarny rewolucjonista-demokrata, myśliciel i publicysta Kastuś Kalinoŭski [...].

Prozę Sokrata Janowicza, powtarzam, charakteryzuje dobra znajomość życia, wnikliwe przeniknięcie do jego głębokiej wartości, szczere poszukiwania sprawiedliwości społecznej, szacunek i sympatia do człowieka pracy, zdolność odczuwania piękna przyrody i rodzimego słowa".

[3] С. Яновіч, *Пад знакамі Арла й Пагоні*, Krynki 2003; S. Janowicz, *Z księgi Podlasia*, Łomża 2001.

zmiany, kiedy historii nadawany jest nowy sens i na nowo budzi się potrzeba korekty świadomości narodowej.

Nieprzypadkowo zatem białoruski pisarz z Krynek podjął próbę artystycznego uświadomienia czytelnikowi sensu wypadków historycznych na Białostocczyźnie, które miały miejsce w drugiej połowie XIX wieku podczas powstania w latach 1863–1864. Uwaga Janowicza jest skoncentrowana na tych wydarzeniach z przeszłości, które odbywają się na terytorium jego małej ojczyzny, gdzie pisarz miał szczęście po raz pierwszy ujrzeć świat. Priorytetem dla niego jest to, co bliskie, znajome, lokalne, a nie to, co odnosi się do Białorusi, jak w przypadku twórców, którzy emigrowali – z powodu ich prześladowania czy innej przyczyny – do odległych państw (Uładzimir Słuczanski, Jurka Wićbicz, Anton Adamowicz, Janka Limanoŭski, Aleś Zmahar).

Srebrny Jeździec zasługuje na szczególny namysł badaczy również ze względu na to, że wyróżnia go nowe podejście pisarza do tematyki poruszanej przez niego także w innych, nie tylko historycznych, utworach. Ta opowieść zwraca uwagę czytelnika na wydarzenia powstania styczniowego, które miały miejsce na ziemi białoruskiej, przedstawiając je z punktu widzenia dwóch przeciwnych, wrogich obozów politycznych.

Janowicz wzbogaca wydarzenia historyczne artystycznym „zamysłem". Pisarz obdarza główne i pozytywne postacie swego utworu – Marię Hryhatowicz, Makarewicza i leśniczego Adama Wildowicza – cechami moralnych maksymalistów. Wśród tych wyrazistych bohaterów szczególnie wyróżnia się osoba Marii Hryhatowicz. Trzeba zaznaczyć, że Janowicz rzadko czyni kobietę główną bohaterką swojego utworu, a tym bardziej pozytywną postacią – wyjątkiem od tej zasady jest portret matki – starej chłopki. Maria Hryhatowicz posiada cechy osoby zdolnej do wysokich i wzniosłych uczuć (kocha Makarewicza), kobiety, dla której szczęście Ojczyzny jest ważniejsze niż osobiste, zdolnej ofiarować za słuszną sprawę swoje młode życie. Jednocześnie nie jest ona pozbawiona kobiecości. Marii nie są obce i takie ludzkie uczucia, jak strach, bojaźń, trwoga. Z biegiem czasu, według słów Makarewicza, „дзяўчына саромеецца свайго страху ды, адначасова, не можа пазбыцца яго [...]. Яе нервы, відавочна, аслаблены мацней, чымсьці мне здавалася"[4].

Maria Hryhatowicz dobrowolnie postanawia włączyć się do ruchu powstańczego. Jej działalność konspiracyjna przebiegała pomyślnie do momentu, kiedy pewien szpicel przypadkowo zauważył, jak mężczyzna, podejrzewany o współpracę z powstańcami, przywitał się z Marią. Od tego czasu prowadzący śledztwo zaczęli obserwować i ją. To jest początek nieszczęść kobiety.

Maria rozmyśla o ciemiężycielach prostych ludzi, o sprawiedliwości na świecie:

---

[4] S. J a n o w i c z, *Сярэбраны яздок. Аповесць, апавяданні, замалёўкі, гумарэскі*, Мінск 1978, с. 12. Dalsze odwołania do książki następują poprzez podanie w nawiasie numeru strony.

Tłumaczenie A. Sobeckiej za: S. J a n o w i c z, *Srebrny Jeździec,* Warszawa 1984.

„[...] dziewczyna wstydzi się swojego strachu i jednocześnie nie może się go pozbyć [...]. Jej nerwy są widać bardziej osłabione, niż mi się wydawało". **[38]**

Божа, чаму гэта так трэба, каб людзі гінулі за праўду?! Чаму гэта столькі бязлітасці ў праўды? Чаму свет належыць да забойцаў? Божа, чаму? [...] Калі за праўду трэба забіваць, дык ці ёсць яна? Ці не выдумка гэта?..” **[44]**[5]

Takie myśli cisną się do głowy młodej kobiety, fizycznie osłabionej od forsownego, wielogodzinnego marszu zimową, chłodną porą po lesie. Janowicz szczegółowo opisuje, ile sił kosztowała Marię ucieczka przed pościgiem policji sokólskiej:

Пагразаючы па пояс у грумаках, Марыя з намаганнем валаклася следам за ім, абціраючы з ілба клейкі пот. Потым ужо не мела сілы падняць вачэй – бачыла чорныя крапінкі, што фастрыгавалі снег. Раз і другі закруціла ёй у галаве. Шчасце, што навокал – елачкі і ёсць за што ўхапіцца, каб не ўпасці ніцма. Знямоглая, брыла яна праз пушчу, убраную па-зімоваму, трацячы надзею на тое, што калісьці выйдзе з яе. Падала, давячыся пухкім снежным пылам, густым, і кашляючы да болю ў грудзях **[44]**[6].
Ад пахвіны цераз жывот да грудзей рассёк Грыгатовіч рэзкі боль. Яна перамагла сябе **[45]**[7].

Podczas wyczerpującego marszu u Marii pojawiają się halucynacje. Wydaje się jej, że jest za słaba, że wykonanie zadania jest ponad jej siły. Pojawia się uczucie strachu „бяссэнсавай смерці”[8] **[44]**. Szukając pomocy, w najbardziej napiętym, nerwowym, kryzysowym momencie, Maria zwraca się do natury: „Злітуйся, лесе, нада мною. Лесе дрымучы, дрэвы чорныя, ночка цёмная!...”[9] **[44]** W takiej chwili trudno jest jej uwolnić się od napływających myśli o dotychczasowych przeżyciach, opanować czy powstrzymać je, przestawić się na radosne, optymistyczne uczucia.

Szkoda, że motyw miłości między Marią Hryhatowicz a Makarewiczem nie został rozwinięty w powieści. Czytelnik tylko na podstawie delikatnych aluzji domyśla się, że głównych bohaterów łączy uczucie prawdziwej miłości.

Марыя Грыгатовіч нарыхтавала гарбаты, дастала з крэданса пернікаў і цукерак. Усё гэта яна расставіла на стале так, быццам сабралася частаваць свайго кавалера... Жартавалі і смяяліся; [...] **[11]**[10]

---

5 „Boże, dlaczego to tak trzeba, żeby ludzie ginęli za prawdę?! Dlaczego tyle bezwzględności jest w prawdzie? Dlaczego świat należy do zabójców? Boże, dlaczego? [...] Jeśli za prawdę trzeba zabijać, to czy ona jest? Czy to nie wymysł?...” **[71]**

6 „Zapadając się po pas w zaspach Maria z wysiłkiem wlokła się za nim, ocierając z czoła lepki pot. Potem nie miała już siły podnieść oczu – widziała te czarne cętki, które fastrygowały śnieg. Raz i drugi zakręciło się jej w głowie. Szczęście, że wokół jodełki i jest się czego chwycić, żeby nie upaść na wznak. Umordowana, snuła się przez puszczę, ubraną w zimowe szaty, tracąc nadzieję, że kiedyś z niej wyjdzie. Padała, dławiąc się puszystą, śniegową kurzawą, gęstą, i kaszląc od bólu w piersiach.” **[71]**

7 „Od pachwiny przez brzuch przeciął Grygotowicz kłujacy ból. Przemogła się.” **[72]**

8 „[...] bezsensownej śmierci” **[71]**

9 „Zlituj się, lesie, nade mną. Lesie drzemiący, drzewa czarne, nocy ciemna!..” **[71]**

10 „Maria Grygotowicz przygotowała herbatę, wyjęła z kredensu pierniki i cukierki. Postawiła to wszystko na stole tak, jakby szykowała się do częstowania swego kawalera... Żartowali

Pisarz powoli buduje obraz walczącej kobiety o niezłomnej wierze w ideę narodową. Szkoda, że nie wszyscy uczestnicy powstania 1863 roku okazali się na tyle mocni psychicznie i odważni jak Makarewicz, Wildowicz i Hryhatowicz, żeby pokonać tych, przeciwko którym zerwali się do walki. Bohaterka doskonale wie, że nie wolno jej wracać do swojego mieszkania po pobycie u powstańców sokólskich, i dlatego, w celu zmylenia tropu śledzących ją szpicli, postanawia wtopić się w środowisko żebraków, przenocować wśród nich. Jednocześnie liczy na przypadkowe spotkanie z Makarewiczem, żeby opowiedzieć o wykonaniu powierzonego zadania.

> Усяго праз некаторы час пачалі далятаць да яе свядомасці іскаркі радасці ад выратавання. І ад таго, што вязе яна важныя звесткі. [...]
> Калі заехала ў Вільню, зразумела з усёй яснасцю: ёй нельга ісці на сваю кватэру!
> Дзе шукаць Макарэвіча?
> Блукала па вуліцах ды завулках з надзеяй выпадкова сустрэцца з ім. Баялася, што нарвецца на сышчыка, які ведае яе. За Макарэвіча яна не так баялася: ён не стане падыходзіць да яе кватэры, убачыўшы, што рагавое акно – заслонена [56][11].

Nazwisko głównej bohaterki – Maria Hryhatowicz – różni się jedną literą (możliwe, że jest to wariant potoczny, gwarowy) od rzeczywistej postaci historycznej – Marii Hrahatowicz, która 29 stycznia 1864 roku rozpoznała Konstantego Kalinowskiego, w wyniku czego był on zmuszony podać swoje prawdziwe imię i nazwisko. Ten fakt historyczny stał się, prawdopodobnie – podstawą do powstania jednej z ostatnich scen *Srebrnego Jeźdźca*. Chodzi o sytuację, kiedy Hryhatowicz poszła razem z tłumem ludzi obejrzeć moment kaźni przywódcy powstania i, zobaczywszy „другога па богу ў покуце мужыцкай Белай Русі”[12] [61], krzyknęła: „гэта ж Макарэвіч!!!”[13] [61], a potem, jak oszalała, rzuciła się na strażników.

Wypowiedź białoruskiej badaczki Wolhi Szynkarenka[14], dotyczącą Kastusia Kalinowskiego, który stał się (między innymi) bohaterem powieści historycznej *Kłosy pod sierpem twoim* (*Каласы пад сярпом тваім*) Uładzimira Karatkiewicza, można odnieść także do personifikacji artystycznej bojownika za prawdę chłopów w *Srebrnym Jeźdźcu* Sokrata Janowicza:

---

i śmiali się; [...].” [38]

[11] „Dopiero po jakimś czasie zaczęły do jej świadomości docierać iskierki radości z powodu uratowania się. A także tego, że wiezie ważne wiadomości. [...]”

„Gdy dojechała do Wilna, zrozumiała z całą oczywistością: nie wolno jej iść do swego mieszkania! Gdzie szukać Makarewicza?

Błąkała się po ulicach i zaułkach w nadziei na przypadkowe spotkanie. Bała się, że natknie się na szpicla, który ją zna. O Makarewicza tak się nie bała: nie będzie podchodził do jej mieszkania widząc, że okno w rogu jest zasłonięte.” [83–84]

[12] [...] drugiego po Bogu w chłopskiej Białej Rusi. [89]

[13] [...] toż to Makarewicz!!! [88]

[14] В. Шынкарэнка, *Нястомных пошукаў дарога. Праблема сучаснай беларускай гістарычнай прозы*, Мінск 2002. с. 35.

Усе, хто ўзняўся ўслед за Кастусём Каліноўскім, не менш любілі жыццё. Прымаючы смерць дзеля свабоды і шчасця іншых. Яны не проста гінулі. Яны адыходзілі, каб уваскрэснуць, каб адрадзіцца новымі каласамі на нівах вольнай Беларусіі[15].

Bohaterowie *Srebrnego Jeźdźca* niejednokrotnie myślą o wartości każdego człowieka i każdego narodu. Także pułkownik Łosieu pragnie zrozumieć istotę, źródło ofiarności powstańców.

Змагаюцца яны не на жыццё, а на смерць дзеля поўнай волі гэтым чалавекападобным стварэнням, якія ў сваёй дурноце не супроць і прадаць абаронцаў! Хто найбольш даносіў пра паўстанцкія атрады ў лясах? Сышчыкі? Якраз не. Не сышчыкі, бо яны мала ведалі, але – мужыкі! Тыя, за якіх волю аддаюць жыццё шляхцюкі з універсітэцкімі тытуламі **[53]**[16].

Najwyższy stopniem urzędnik organu śledczego, pułkownik Łosieu, był najinteligentniejszym, a zarazem najbardziej przebiegłym śledczym. Zdawał sobie sprawę, jak słabi intelektualnie są współpracownicy policji.

У нас няма агентаў, якія здолелі б адыграць ролю партнёра ў кантактах з небяспечнымі інтэлігентамі, не выклікаючы прытым падазрэнняў з іх боку і здабываючы іх давер у такой ступені, калі даходзіць да размоваў па шчырасці, адкрывання таямніц... Гэта немагчыма! **[4]**[17]

Można stwierdzić, że pułkownik żył sprawą, nad którą pracował. Łosieu całymi dniami przeglądał dokumenty i szukał jakichkolwiek powiązań, nitek, które doprowadzą go do kłębka – rozwiązania sprawy. Posiadając dwudziestotrzyletnie doświadczenie w służbach wywiadowczych, dobrze wiedział, że:

У расканспіраванні цэнтра, што кіруе паўстаннем, патрэбна здрада! Вялікая здрада! А гэта зусім іншае, чымсьці прадажніцтва. Здраду могуць спарадзіць ідэйныя разыходжанні або раптоўны крах веры ў сэнс ахвяры... **[5]**[18]

---

[15] Tłumaczenie A. Sakowicz:
„Wszyscy, którzy powstali w ślad za Kastusiem Kalinowskim, nie mniej niż inni kochali życie. Przyjmując śmierć w imię wolności i szczęścia innych. Oni nie ginęli nadaremno. Oni odchodzili, żeby zmartwychwstać, żeby odrodzić się nowymi kłosami na polach wolnej Białorusi."

[16] „Walczą nie na życie, a na śmierć o pełną wolność tych człekopodobnych stworzeń, które w swej głupocie są nawet nie od tego, żeby sprzedać swoich obrońców! Kto najwięcej donosi o powstańczych partiach po lasach? Szpicle? Akurat nie. Nie szpicle, bo ci niewiele wiedzą, ale – chłopi! Ci, za których wolność oddają życie szlachcice z tytułami uniwersyteckimi." **[80–81]**

[17] „Nie mamy agentów, którzy nie wywołując podejrzeń potrafiliby odegrać rolę partnera w kontaktach z niebezpiecznymi inteligentami, a jednocześnie zdobyć ich zaufanie w tym stopniu, który pozwala na szczere rozmowy, ujawnianie tajemnic... To niemożliwe!" **[30]**

[18] „Do zdekonspirowania ośrodka kierującego powstaniem potrzebna jest zdrada! Wielka zdrada! A to jest zupełnie co innego niż sprzedajność. Zdradę mogą zrodzić rozbieżności ideowe albo gwałtowny krach wiary w sens ofiary..." **[31]**

Podczas służbowego pobytu w Sokółce pułkownik Łosieu, niezadowolony z rezultatów pracy tutejszych organów wywiadowczych, z nieukrywanym sarkazmem, podał policmajstrowi przyczynę takiej sytuacji: „Розніца паміж дурнем і шпіёнам такая, што шпіён робіць сябе дурнем, а дурань – не!" **[50]**[19] Z żalem i złością dodał:

> Мы аказаліся непадрыхтаванымі да выбуху паўстання, хаця даўно ведалі аб тым, што яно адбудзецца. І нават – калі! У нас, для прыкладу, няма сеткі даносчыкаў, па адным у кожнай, хоць большай вёсцы. Без іх мы глухія, значыць – і сляпыя" **[51]**[20].

Znakomicie została zbudowana przez Janowicza scena, podczas której Łosieu przesłuchuje Parfijanowicza, organizatora powstania w okręgu mińskim. Czytelnik ma możliwość śledzenia, jak pułkownik, dzięki odpowiedniemu zagraniu psychologicznemu, stopniowo uzyskuje istotne dla sprawy informacje.

> Абраны ім спосаб „расчамлення" заўзятасці падазронага аказаўся трапным, і калі таілася ў гэтым нейкая рызыка, дык адно ў тым, як надоўга ён здолее ўтрымаць разумовую перавагу ў аргументаванні **[7]**[21].
> „Вы малады чалавек, і таму не павінны паміраць. І вашы сябры. Вам жа патрэбны жывыя, а не мёртвыя прыхільнікі ідэі..." – Палкоўнік падбіраў „ключ" да, як яму здавалася, ужо апошняга замка, адамнкуўшы які даволі было толькі хутка дзейнічаць. З імклівасцю злодзея! **[8–9]**[22].

Można powiedzieć, że Janowicz wystarczająco barwnie przedstawił ideę powstania 1863 roku na Białorusi i na Białostocczyźnie – ideę powszechnej jedności w walce za wolność i niepodległość ojczystego kraju i niemożliwość jej realizacji. W ten sposób autor potwierdził swoją zdolność scalania jednostkowego ze wspólnym, konkretnie – narodowościowego z ogólnoludzkim.

Jak powszechnie wiadomo, osobą, która najbardziej wpłynęła na rozpowszechnienie rewolucyjnych wezwań do działania i na same wydarzenia, był sam Kastuś Kalinowski – przedstawiciel inteligencji białoruskiej, demokrata, publicysta, poeta i myśliciel, człowiek posiadający cechy przywódcy.

---

[19] „Różnica między durniem i szpiegiem jest taka, że szpieg robi z siebie durnia, a dureń – nie!" **[77]**

[20] „Okazaliśmy się nieprzygotowanymi do wybuchu powstania, chociaż dawno wiedzieliśmy o tym, że się odbędzie. Nawet to – kiedy! Nie mamy, na przykład, siatki informatorów, po jednym w każdej, chociaż większej wiosce. Bez nich jesteśmy głusi – to znaczy także i ślepi." **[78]**

[21] „Obrany przez niego sposób „rozszczepienia" zawziętości podejrzanego okazał się trafnym i jeśli zawierał w sobie jakieś ryzyko, to co do tego, jak długo zdoła utrzymać rozumową przewagę w argumentowaniu." **[33]**

[22] „« — Pan jest młodym człowiekiem i nie powinien pan umierać. Pańscy przyjaciele także. Przecież potrzebni wam są żywi, a nie martwi zwolennicy idei...» — Pułkownik dobierał klucz do ostatniego, jak mu się wydawało, zamka, po otwarciu którego wystarczy już tylko szybko działać. Z bystrością złodzieja!" **[35]**

Zdolności konspiracyjne Kastusia Kalinowskiego spędzały sen z powiek pracownikom organów śledczych. Władzom tylko raz udało się trafić na jego ślad, kiedy rozrzucał gazetę „Mużyckaja prauda" („Prawda chłopska") na gościńcach powiatu słonimskiego, jadąc końmi pocztowymi. Od tego czasu (jesień 1862 roku), Kalinowski zaczął działać nielegalnie i zszedł do podziemia, obierając następujące pseudonimy: Makarewicz, Czarnocki, Chamawicz, lub Chamucis, Witażeniec[23]. Wymienia je w swojej książce *Кастусь Каліноўскі. За нашую вольнасць. Творы. Дакументы* Hienadź Kisialoŭ. Pierwszy i ostatni spośród nich zostały wykorzystane w powieści *Srebrny Jeździec*. Ten fakt świadczy o tym, że Janowicz dążył do artystycznego ożywienia historycznego obrazu przywódcy, organizatora powstania 1863 roku, choć to nie on jest w tym utworze głównym bohaterem. W powieści jeden z wielu pseudonimów Kalinowskiego – Witażeniec – kojarzy się pułkownikowi Łosiewowi ze śledztwem prowadzonym w sprawie jednego z organizatorów powstania w okręgu mińskim – Parfijanowicza, który podczas przesłuchań „rozkleił się" w wyniku przebiegłego sposobu „otwierania ust" podejrzanym przez śledczych.

Janowicz wprowadza do powieści Kalinowskiego zakonspirowanego pod nazwiskiem Makarewicz. Drugoplanowość tak znanej postaci z historii zrywu narodowego nie jest oczywiście przypadkowa. Zresztą, w powieści *Kłosy pod sierpem twoim* Uładzimira Karatkiewicza, mimo że przedstawione zostały wydarzenia z 1863 roku, główny dowódca powstania również nie jest postacią pierwszoplanową. Takie przedstawienie Kastusia Kalinowskiego daje obu pisarzom możliwość podkreślenia i uwypuklenia znaczenia innych osób, które również brały czynny udział w powstaniu, przyjęły jego założenia i idee za własne i poszły za swoim przywódcą, powierzając mu los swój i ojczyzny.

Kalinowski został ukazany w powieści jako inteligentny, młody człowiek i doświadczony działacz polityczny.

> Паўстанне, праўду кажучы, толькі павінна пачацца, – думаў ён (Кастусь Каліноўскі – А. С.). – Без шляхты! Яе ўдзел – гэта катастрофа ўсёй справе. Мужыкі не пойдуць за панамі ў лес, бо і чаго? За панскую службу змагацца? Сапраўдная свабода – гэта такая свабода, у якой не будзе ні паноў, ні цара. У якой усе будуць роўныя. [...] А што, калі стварыць шырокую і адпаведна засакрэчаную паўстанцкую сетку з заданнем праводзіць прапаганду і ўтрымоўваць невялікія ўзброеныя групы? Рэжым, Мураўёў і яго генералы рвуцца да бітваў, да батальнага вырашэння пытання. А мы давай будзем пазбягаць бітваў, кусаць збоку, партызаніць. У нашу карысць працуе час. Так, час з'яўляецца самым магутным нашым саюзнікам. Рэвалюцыю рабіць – гэта перш за ўсё арганізавацца чакаючы. Гэта ўмельства чакаць **[48–49]**[24].

[23] Генадзь К і с я л ё ў, *Рыцар свабоды*, у: *Кастусь Каліноўскі. За нашую вольнасць. Творы. Дакументы*, Мінск 1999, с. 9.

[24] „Powstanie, mówiąc prawdę, dopiero powinno się rozpocząć – myślał [Kastuś Kalinowski – dop. A.S.]. – Bez szlachty! Jej udział – to katastrofa całej sprawy. Chłopi nie pójdą za panami w las,

Rozważania Kastusia Kalinowskiego zostały przedstawione przez Janowicza logicznie i przekonywająco. Charakteryzują bohatera jako tego, który doskonale rozumiał złożoność sprawy, za rozwiązanie której wziął odpowiedzialność, tym bardziej, że chłopi nie byli przygotowani do udziału w powstaniu 1863 roku.

> [...] Макарэвіч думаў аб складанасці становішча. Аб тым, што патрэбны ўсё-такі невялікія атрады. Яны павінны хавацца па сухіх грудах. Пабудаваўшы на іх падземныя кватэры – пад карэннямі дрэў, паблізу крынічак. Ваяваць трэба не бітвамі; народ яшчэ не даспеў да ўсеагульнага парыву. Вайну неабходна расцягнуць на гады... **[45]**[25]

Niewątpliwie znaczenie tytułu opowieści jest symboliczne. Zawiera w sobie wiarę, która została najpierw rozbudzona, potem hołubiona i wreszcie odpokutowana, w odrodzenie narodu białoruskiego. Symbol „Pogoni", symbol „Srebrnego Jeźdźca" na koniu, umieszczonego na starodawnej monecie, zawiera w sobie mocne wezwanie do narodu białoruskiego, odwołuje się do najwyższych uczuć patriotycznych. Wprowadzenie herbu Wielkiego Księstwa Litewskiego do tekstu jako amuletu-znaku powstańców jest całkowicie usprawiedliwione w sensie historycznym. W ten sposób Janowicz uaktualnia czas, kiedy „Pogoń" zajmowała należne jej miejsce w państwowej symbolice, a jednocześnie aktualizuje znaną bohaterską przeszłość Białorusi. Widoczna jest paralela pomiędzy przeszłością a teraźniejszością: tak jak kiedyś „Pogoń" była strażniczką niepodległości i siły potężnego ducha narodowościowego, tak i teraz ma ona za zadanie rozdmuchać iskry wolnościowe w sercach tych, którzy zobowiązani są służyć Białorusi. Warto przypomnieć, że bardzo bliski patosowi i charakterowi symbolu „Srebrnego Jeźdźca" jest obraz „Pogoni" stworzony w wierszu-testamencie o tym samym tytule autorstwa Maksima Bahdanowicza – poety, klasyka białoruskiego.

„Srebrny Jeździec", jak określa Janowicz starodawną „Pogoń Litewską", po stłumieniu powstania pozostaje w rękach Adama Wildowicza. Leśniczy, któremu przyszło żyć z przygotowywania drewna na zimowy opał, w wolnym czasie „апавядаў дзецям байкі пра караля Беларусі і пра «Сярэбранага Ездака». Імчаў па дзіцячым свеце Сярэбраны Яздок, знішчаючы паганых людзей **[61]**."[26] Jednak wraz ze śmiercią starego leśniczego znika i dawna moneta białoruska. Możliwe,

---

bo i po co? Za pańską wolność walczyć? Prawdziwa wolność – to taka wolność, w której nie będzie ani panów, ani cara. W której wszyscy będą równi. [...]. A gdyby tak stworzyć szeroką i odpowiednio zakonspirowaną siatkę powstańczą z zadaniem prowadzenia propagandy i utrzymywania niewielkich grup zbrojnych? Reżim, Murawiew i jego generałowie rwą się do bitew, do batalistycznego rozstrzygnięcia sprawy. A my właśnie będziemy unikać bitew, kąsać z boku, prowadzić partyzantkę. Na naszą korzyść pracuje czas. Tak, czas jest najpotężniejszym naszym sojusznikiem. Robić rewolucję – to przede wszystkim organizować się, czekając. To sztuka czekania." **[75–76]**

[25] „Makarewicz myślał o złożoności sytuacji. O tym, że potrzebne są jednak małe oddziały. Powinny się ukrywać na suchych grądach, budując tam podziemne kwatery – pod korzeniami drzew, w pobliżu źródełek. Walczyć trzeba nie poprzez bitwy; naród jeszcze nie dojrzał do ogólnego zrywu. Wojnę trzeba rozciągnąć na lata..." **[72]**

[26] „[...] opowiadał dzieciom bajki o królu Białorusi i o „Srebrnym Jeźdźcu". Pędził przez dziecięcy świat Srebrny Jeździec, karząc złych ludzi." **[89]**

iż autor w tej końcowej scenie chciał podkreślić, że nie każdemu dane jest być jej posiadaczem, że przyjdzie czas, gdy właściwa osoba znajdzie monetę i będzie w stanie kontynuować ideę odrodzeniową Białorusi. Niewątpliwie pisarz na koniec swej opowieści wyraża smutek z powodu straconych w przeszłości szans, ale jednocześnie pozostawia nadzieję na zmianę niesprawiedliwego losu ojczyzny.

Analizowany utwór Janowicza ma za zadanie przybliżyć czytelnikowi przełomowe momenty z historii narodu białoruskiego, a przede wszystkim – duchową istotę człowieka. Główni pozytywni bohaterowie obdarzeni są niezłomną odwagą, odpowiadają na wezwania zniewolonej Ojczyzny, na jęki jej uciemiężonych wieloletnim niewolnictwem mieszkańców. Oni są osobami działającymi, aktywnymi, chcą mieć wpływ na rozwój wydarzeń, domagają się zmiany niesprawiedliwego losu. I nie ma wielkiego znaczenia, czy przemawia do nas znana z historii postać, czy też stworzony przez wyobraźnię autora bohater.

Podsumowując, można stwierdzić, że w utworze Janowicza na równych prawach rządzi fakt historyczny i zamysł artystyczny, który, jak słusznie zauważa Michaił Stieblin-Kamienskij[27]:

> звычайна аказваецца ў творы тым больш, чым больш напластаванняў такога неўсвядомленага аўтарства адклалася ў творы ў працэсе яго бытавання ў вуснай традыцыі. Тым не менш такі твор працягвае ўсведамляцца як праўда. Але толькі гэта праўда зусім іншага кшталту: гэта, так бы мовіць, „сінкрэтычная праўда", г. зн. арганічнае спалучэнне гістарычнай і мастацкай праўды, іх абсалютная непадзельнасць. Такое аўтарства характэрна перш за ўсё для ўсякага эпасу[28].

Powieść *Srebrny Jeździec,* zarówno ze względu na tematykę, jak i swój patos pozostaje aktualna także dziś. Bezsprzecznie Janowicz, romantyzując heroiczne wydarzenia z powstania 1863 roku, stawia sobie moralno-artystyczny cel. Pisarz podkreśla potrzebę duchowego doskonalenia i odpowiedzialności obywatelskiej człowieka. Ukazana w utworze ofiarność ludzi prostych, uciśnionych pod względem narodowościowym wywołuje u czytelników, z jednej strony, wstyd z powodu swojej społecznej inercji, z drugiej – emocje patriotyczne.

---

[27] М. И. Стеблин-Каменский, *Миф,* Ленинград 1976, с. 84.

[28] Tłumaczenie A. Sakowicz:

„[...] po prostu jest eksponowany w utworze tym bardziej, czym więcej nawarstwień takiego nieuświadomionego autorstwa znalazło się w utworze jeszcze w procesie jego istnienia w formie ustnej tradycji. Tym nie mniej, taki utwór jest odbierany jako prawda. Tylko ta prawda jest całkiem innego kształtu; to jest, jakby powiedzieć, „synkretyczna prawda", to znaczy organiczne połączenie prawdy historycznej i artystycznej, ich absolutna niepodzielność. Takie autorstwo jest charakterystyczne przede wszystkim dla wszelkiego rodzaju eposu."

Zbigniew Chojnowski
OLSZTYN

Wyobraźnia przestrzenna w prozie Sokrata Janowicza[1]

Wyobraźnia przestrzenna jest dyspozycją pisarską do opisu miejsc, a jednocześnie magazynem doświadczeń wizualnych, wiążących szeregi spraw: egzystencjalnych, autobiograficznych, etnograficznych, psychologicznych, socjologicznych i innych. Odkrywanie i śledzenie wyobraźni przestrzennej zakłada, że jest ona z jednej strony wyrazem podmiotowego stosunku pisarza do zewnętrznego otoczenia i jego materialności oraz substancjalności (oraz prawa do literackiej dystrybucji nim w zgodzie z twórczą wolą), a z drugiej złożonym objawem przestrzeni jako wyrazu indywidualnej i zbiorowej percepcji/recepcji/projekcji i konstruktu kultury. To, co zobaczone-opisane w utworze literackim, nie ma wyłącznie charakteru mimetycznego, zawiera bowiem idee, przekonania, przeświadczenia, informacje aksjologiczne, ideologiczne, polityczne, związane z płcią, zależnościami i postzależnościami, pamięcią i postpamięcią itd., które nie muszą się łączyć literalnie z daną literacko-językową wizualizacją fizycznego terytorium.

Postawienie sobie za cel badawczy wysondowania wyobraźni przestrzennej Sokrata Janowicza tylko pozornie może uchodzić za zadanie mało atrakcyjne poznawczo. Jego bogatych w dialogi i partie refleksyjne tekstów epickich nigdy bowiem nie opanował żywioł opisowości. Pisarz w powiadomieniach o przestrzeni dążył do skrótu, zarysowywał ją często migawkowo toponimem[2], jednozdaniowo lub w jednym zwięzłym akapicie czy miniaturze prozą. Trudno byłoby dostrzec w jego narratorze ambicje gromadzenia przestrzennych detali i „szalonego"

[1] Artykuł powstał w ramach projektu badawczego Narodowego Centrum Naukowego *Regionalizm w badaniach literackich: tradycja i nowe orientacje* 2013/09/B/HS2/01132.

[2] Janowicz miał wrażliwość onomastyczną (nazewniczą), którą kiedyś należałoby szczegółowo i systematycznie przebadać. W prozie z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku łączyła się ona z obserwacjami socjologicznymi. Kiedy bohater *Samosieja* Andrzej Antoszka marzy o założeniu rodziny, zamierza swej przyszłej córce nadać imię „Jola", aby brzmiało „po pańsku" i odróżniało się od wiejskich imion, które „są trudne do wymówienia w Białymstoku"; podsumowuje: „nie będziemy psuć dzieciaka imieniem, z którego wszyscy się śmieją" (S. J a n o w i c z, *Samosiej*, przeł. J. Plutowicz, Warszawa 1981, s. 289).

operowania nimi (narracja znajduje się pod kontrolą rozumu, działa tu rygor kompozycyjny i zmysł realistyczny).

Problem został już częściowo dostrzeżony i zasygnalizowany. Elżbieta Konończuk, korzystając z przemyśleń Michela de Certeau, wydzieliła w tej twórczości „opowieści przestrzenne"[3] i zwróciła uwagę na połączenie obserwacji ulic białostockich z refleksją socjologiczną[4]. Oczywiście, w dorobku białoruskiego twórcy znajdują się opowiadania przestrzenne, odnoszące się do innych niż Białystok umiejscowień. Wyrazistą plastykę oraz intensywność przestrzeni osiągnął pisarz w „noweletce" *Boże Narodzenie w Krynkach*[5].

Mimo deficytu opisowości, w małych formach epickich i powieściach Janowicza nazywanie i funkcjonowanie odniesień przestrzennych, orientacja w wizualizowanej literacko przestrzeni, jej mapa, stanowią ważną właściwość jego świata ujawnionego.

Wyobraźnia przestrzenna, obejmująca również liczne elementy geografii fizycznej, jak również sposoby (punkty) widzenia, oglądy wyobrażone i historyczne, potwierdza spójność danej twórczości i daje podstawę do śledzenia jej powtarzalnych i niepowtarzalnych figur oraz sensów, a wreszcie ewolucji. Postrzeganie-kreowanie przestrzeni umożliwia poszukiwanie argumentów, świadczących o prawdziwości opinii Dariusza Kuleszy, że na Podlasiu „najlepszym przykładem pisania w głąb tego, co regionalne, jest […] proza Sokrata Janowicza"[6].

Literacki sposób przyswojenia i przetworzenia właśnie topografii potęguje lub osłabia odczucie realności snutych opowieści, lokalizuje lub delokalizuje narrację i pamięć, ustala przestrzenne odniesienia i osadzenie życia duchowego.

Na podobieństwo myślenia/tworzenia obrazami kształtuje się myślenie/tworzenie miejscami, krajobrazem, relacjami przestrzennymi. W prozie Janowicza pewne terytoria układają się w swego rodzaju alfabet doświadczeń, związanych z określonymi miejscami/widokami, otoczeniem. Doświadczenie zdefiniowanego geograficznie obszaru lokalnego, wyznaczonego przez miejsca autobiograficzne[7] (Krynki, Sokółkę, Supraśl, Białystok) oraz rzeki (Świsłocz, Supraśla z dopływami, Narew), generują opowiadanie przestrzeni. Precyzję geograficzną w tej prozie zapewniają liczne toponimy. Wzięte są one z języka bez deformacji (którą w prozie

---

[3] Chodzi o książkę M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność: sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.

[4] Zob. E. Konończuk, *Białostockie pasaże tekstowe Sokrata Janowicza, Krzysztofa Gedroycia i Ignacego Karpowicza*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989 roku). Nowoczesność – regionalizm – uniwersalizm*, red. M. Kochanowski, K. Kościewicz, Białystok 2012, s. 18–23, 34. Badaczka wskazuje m.in. na następujące utwory Janowicza: *Wielkie miasto Białystok*, *Na dawnej Sosnowej*, *Ulica świątecznego miasta*, *Ulica Kościelna*, *Miasto*.

[5] S. Janowicz, *Boże Narodzenie w Krynkach*, przeł. J. Plutowicz, w: tegoż, *Małe dni*, Warszawa 1981, s. 77–80.

[6] D. Kulesza, *Narodowy śpiewnik domowy. Poezja Elżbiety Kozłowskiej-Świątkowskiej na tle literatury regionu (po 1989 roku)*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989 roku)*, s. 41.

[7] Korzystając z klasyfikacji miejsc autobiograficznych M. Czermińskiej, uważam, że w prozie Janowicza na ogół występuje typ miejsca obserwowanego i wspominanego – M. Czermińska, *Słowo wstępne. Miejsca autobiograficzne Czesława Miłosza*, w: *Czesława Miłosza „północna strona"*, red. M. Czermińska, K. Szalewska, Gdańsk 2011, s. 8–9.

posługiwał się Edward Redliński). Janowicz odrzucił fantazję czy też fikcję nazewniczą. Lokalizował własną „metafizykę prowincji”[8] na terytorium realnym, dającym się potwierdzić empirycznie, nawet jeśli opowiadał o rzeczywistości śnionej:

> Tonął w miękkości zasypiania.
> I ruszył Andrzej krokami siedmiomilowymi. Stąpał w stronę Harkawicz i pochylił się nad domem Rajki o łabędziej szyi. Podniósł dziewczynę na ręce i przytulił. Zaniósł ją aż nad brzegi Świsłoczy. Dudniło tam wesele i szykowały się do zamążpójścia dziewczyny, które podobały mu się niegdyś. Zgodziły się łaskawie, aby z nimi zatańczył, lecz najwyżej po dwa tańce. Rajka zaśmiała się nagle i poszybowała w powietrze. Wyciągał do góry ręce, ale nie mógł dosięgnąć. Poczuł zmęczenie. Po krótkim odpoczynku kontynuował podróż, tym razem w stronę Pierożków. Porwał stamtąd dziewczynę – imienia nie pamiętał. Wydawała się życzliwie traktować jego zaloty. Nagle ją także ogarnął nieprzytomny śmiech! Andrzej nie wytrzymał – z ogromną siłą rzucił dziewczynę o ziemię. Ziemia pochłonęła niedobrą istotę. Przepadła w niej na zawsze.
> Zbliżał się do miasta Sokółki. Przekraczał pola i lasy. Pod obcasami chrzęściły ślimacze skorupki domów i stodół. Ludzie-mrówki próbowali chować się po norach, ale morderczy krok dosięgał wszędzie. Uratowali się tylko ci, co umknęli do Sokółki lub Białegostoku. Andrzej obawiał się, że poślizgnie się na pudełkach miast. Bał się także żmiich żądeł linii wysokiego napięcia. Poza tym miasta śmierdziały![9]

Jak widać, perspektywa przechodnia, kogoś, kto na piechotę przemierza dany obszar, nie odnosi się jedynie do przestrzeni Białegostoku. Tutaj śniący bohater niczym Guliwer lub gigantyczne monstrum tratuje przestrzeń jakby z zemsty za dezaprobatę dziewczyny, ale też w poczuciu jakiejś niejasnej, lecz dotkliwej zdrady. Oniryczna wizja katastrofy okolicy rodzinnej jest symboliczna. Można tę literacką, realistyczno-groteskową wizualizację rozumieć na odwrót: jest to projekcja pragnienia wzięcia odpowiedzialności za krainę ojczystą.

Punkt widzenia osoby idącej, a jednocześnie postrzegającej przemierzane miejsce, trwale uobecnił się w opowiadaniach i powieściach białorusko-podlaskiego pisarza. Dopiero w pozamiejskim kręgu odczuwa on tajemniczą wielokształtność istnienia, a w zbliżeniu z przyrodą i obiektami, materialnymi i naturalnymi znakami terytorium rodzinnego, otwiera się i dynamizuje pisarska wyobraźnia:

> Do Grzybowszczyzny lasem trzeba iść; pośród drzew i śniegu. Pociemniałe korony sosen na bieli beznadziei; smutek im obsiadł wierzchołki i po sowiemu waruje nad drogą.

---

[8] Zob. zbiór wywiadów z twórcami współczesnej kultury Podlasia: J. Kamiński, *Metafizyka prowincji*, Białystok 2001.

[9] S. Janowicz, *Samosiej*, s. 142.

> Idę trzecią godzinę, nie licząc, ile przeszedłem.
> Przede mną mostek: uczucie swojskości; rzecz, ale ciężko oderwać się od niej. Spojrzałem w dół, na nurt żywej wody: kamienie z brodami wodorostów i szept satysfakcji: coś, co żyje tajemnie, naciągnąwszy na siebie puchową kołdrę, ale głowy nie kryje.
> Stanąłem na brzegu. Potem podniosłem kamień i rzuciłem w przejrzystą głębię. W ciszę. I nagle jakby wkoło ktoś powstrzymał oddech. Albo jakby kształt otwartych do ziewania ust: „a", zdumienie przeistoczyło w kształt zachwytu „o". Znów zaistniał las.
> Sypnęło z chmur. Wiatr kosił z nóg, rosła zawieja[10].

Substancjalność oglądanego krajobrazu splata się paradoksalnie z jego baśniowością oraz odczuciem głębi i niewymiernej wartości ziemi urodzenia. Swojskość nie pociąga za sobą tylko idealizacji krainy najbliższej, towarzyszą jej stany przykre, utrudnienia, lecz mimo to oferuje pewność ontologiczną, doświadczenie jedności świata psychofizycznego, które w przestrzeni miejskiej zanika, a przynajmniej staje się problematyczne. Janowicz, wskazując na miejsca nacechowane swojskością, odzyskuje poczucie ciągłości genealogicznej i spójności swego „ja" z rodzimą społecznością, swoją białoruską tożsamość, która przypomina się w ramie arkadyjskiej, wakacyjnej, jakby pozaczasowej, a jednocześnie nostalgicznej: „Jakie to podobne do lata w Borsukowinie, chutorze mojej matki: zagroda na skraju żywicznego boru, suszone grzyby, miód z woszczyną, masło w źródlanej wodzie, sierpy zatknięte za strzechą, ciepło wieczornej pogwarki. Bez swojskiej rozmowy po białorusku – nie ma lata!"[11]

Migawkowe projekcje osaczonych przez „plagi" miasta bohaterów, łącząc ich z miejscami rodzinnymi, przywracają im zdolność do trzeźwej, jak sugeruje narrator, oceny własnego położenia. Jedno z najciekawszych opowiadań Janowicza, to o pastuchu Suprunie, wydobywa zagadnienie życia uwikłanego w majaki. Tytułowy bohater, pozostając w tej samej okolicy od urodzenia, zdobył czy raczej zachował wrażliwość, a przede wszystkim umiejętność widzenia istoty rzeczy – umiejętność niedostępną tym, którzy roztapiają się w wielości powierzchownych wrażeń i tracą zdolność do tego, aby „zobaczyć na własne oczy":

> [...] Suprun wędruje ze stadem krów i owiec po jesiennym polu. Nie chce majaków. Drogi Czytelniku! Czy widziałeś płaczącą dziczkę na zrudziałej miedzy? O, jestem przekonany, że nie widziałeś. A Suprun widział. Stała we łzach obstąpiona przez rozbestwionych synów chmury: chichocące wiatry. Chcieli ją przewrócić i tarzać się z nią, niby z samotną dziewczyną pośród zgliszcz wojennych.
> Drogi mój! Im więcej myślę o Suprunie, tym mniej żałuję, że tak mało widzę, tak mało rozumiem, tak mało czuję. I przestaję mu zazdrościć.

---

[10] S. J a n o w i c z, *Do Grzybowszczyzny*, w: t e g o ż, *Zapomnieliska*, przeł. J. Czopik, Wrocław 1978, s. 20.

[11] S. J a n o w i c z, *Lato w Mokrem*, przeł. Z. Nasiadko, w: t e g o ż, *Małe dni*, s. 106.

Moja dusza coraz szczęśliwsza.
Chciałbym tylko wiedzieć, czy to prawdziwe szczęście?[12]

Ograniczenie swej egzystencji do określonego terytorium nie musi być przyczyną deficytu człowieczeństwa, znakiem kalectwa czy niedorozwoju moralnego. Naganne jest nie widzieć świata wokół siebie. Autorowi udało się uchwycić pewne właściwości wyobraźni przestrzennej tuż przed etapem jej zglobalizowania. W miniaturze *Listy do taty* mowa jest o relacjach przestrzennych między Krynkami a Sokółką z punktu widzenia dziecka[13]. Jego wyobrażenie o odległości, dzielącej je od ojca, wyolbrzymia nie tylko fakt, „że po drutach wysyła się listy", ale również tęsknota chłopczyka za tatą. Świadomość relacji przestrzennych u ludzi zasiedziałych, jak również u dzieci, nieopuszczających swoich rodzinnych okolic, charakteryzuje się tym, że stosunkowo nieodległe miejscowości z ich perspektywy wydają się znajdować bardzo daleko od siebie (Krynki od Sokółki dzieli droga o długości ok. 27 km, którą można pokonać w niecałe pół godziny samochodem).

Zauważmy, że pisarz potrafi perspektywę oglądu przestrzeni umieścić w nieoczekiwanym punkcie, np. w strachu na wróble (daje znać o sobie wyobraźnia agrarna):

To niezwykły strach. Owszem, miał podartą marynarkę, znoszoną czapkę i jakieś inne stare łachy. Ten strach bardzo lubi mak. Stoi na zagonie w dzień i w nocy. I jest zadowolony. Cieszy się bogactwem jesieni: czerwonopyskimi burakami, posrebrzaną fasolą, złoconymi ogórkami-nasiennikami, łabatą kapustą, bez której zapach gotowanej baraniny z czosnkiem nie byłby rozkoszny. Strach pośród maku marzy o wigilijnej kutii i o zakręconym na całą stolnicę, oszronionym od cukru pierogu w pierwszy dzień zimowych świąt. I równocześnie żal mu wróbli, które diabli wiedzą czemu, chyba z błogiego przesytu, gżą się w zeschłych bylinach. I strach się zadumał, jak nauczyć wróble rozumu. Zostaną przecież, nieroby, bez zapasów.
Wieczorem, gdy światło przeistoczyło się w mrok, strach poczuł się bardzo samotny i jął chyłkiem marzyć o zacisznej szopie na gumnie, w której złożono wymłócone snopy[14].

Okolice swojskie z przyległościami występują w prozie Janowicza w roli przestrzeni pierwszej, analogicznie do języka pierwszego, domowego. Zachodzi pewna równoległość pomiędzy tym, że pisarz uprawiał literaturę po białorusku, a tym, że najintensywniej operował przestrzenią krainy rodzinnej, a inaczej mówiąc: swoją „metafizyką prowincji". W jego świecie przedstawionym im dalej od Krynek i sąsiadujących z nimi rejonów, tym bardziej przestrzeń się odbarwia, rozprasza, staje się wroga, wpływa na złe samopoczucie bohatera, niekiedy nawet rozpuszcza się nieomal całkowicie w dialogach, np. na wielu stronach powieści

[12] S. Janowicz, *Suprun*, w: tegoż, *Zapomnieliska*, s. 61.
[13] S. Janowicz, *Listy do taty*, w: tegoż, *Zapomnieliska*, s. 35.
[14] S. Janowicz, *Suprun*, s. 59.

Ściana. Choć to właśnie w tej książce (ocenianej jako jedno z mniej udanych dzieł Janowicza) znajduje się rzut wyobraźni przestrzennej wywołanej przez wrażenia z pobytu w Rzymie. Opis trudno uznać za wyjątkowy, gdyż uwidocznia on „podlasiocentryzm" pisarza, odwołujący się tu do historii starożytnej i średniowiecznej:

> Kamień wygrzebał na dalekiej via Antica, na zboczu przy zakręcie, z którego droga rozwidlała się w obu kierunkach. Krajobraz za Rzymem wywołał w pamięci obrazy florentyńskich mistrzów, a także ikony w cerkwi świętego Mikołaja w Białymstoku, położonej między ulicami Lipową i Sosnową. Kamień wygładzony i zdeptany, ułożony niewątpliwie ręką starożytnego niewolnika, pozostanie szczególną relikwią, drobinką ziemi z mogiły praszczurów. [...] Być może kamienie układał jakiś przodek zawleczony do Rzymu przez handlarzy niewolników z niegdysiejszej bursztynowej krainy, znad rozlewisk Narwi, stamtąd, gdzie książęta na Kijowie osadzili sprytnych białowieżców znad Donu. Uciekał, schwytano go, związano ręce, narzucono mu pętlę na szyję i poprowadzono. Był towarem – na archaicznym Polesiu ciągle bydło nazywają towarem. [...] Co by było warte Imperium Rzymskie bez niewolników [...]? Praca pod nadzorem, nieutulony żal za ojczyzną, co znajduje się hen, za błękitną dalą. [...] Stefan zaczerpnął garść biblijnego piasku, przesypywał go między palcami i na dłoni zostało kilka grubszych ziarenek. Zapamiętał je, jak klucze do mieszkania, w którym zaciekawia przede wszystkim przestrzeń[15].

Oddalenie od ziemi pierwszej na narratora i główne postacie wpływa znacząco – powoduje ono, że bohaterowie dosłownie i w przenośni tracą grunt pod nogami. Oczywiście, konsekwencje oddalenia od stron rodzinnych mogą być i były odczytywane jako cena awansu społecznego mieszkańców wsi w Polsce Ludowej. Przed zamykaniem prozy Janowicza w powojennym nurcie chłopskim przestrzegał już ponad trzydzieści lat temu Waldemar Smaszcz, słusznie widząc w krótkich i długich formach epickich problematykę szerszą:

> Nie jest moim zamiarem podważanie [...] autonomiczności nurtu chłopskiego, wydaje mi się jednak, że jak każda kategoria natury raczej socjologicznej niż artystycznej, nie sprzyja oglądowi indywidualnego zjawiska literackiego. Janowicz rozpatrywany na tle całej plejady pisarzy zaliczonych do tego nurtu, traci wiele ze swojej wyrazistości, odrębności (wyznaczonej zarówno przez język, jak i odmienną tradycję), a więc tego wszystkiego, co decyduje o randze każdego pisarza[16].

Utrata i zatrata duchowej więzi z przestrzenią pierwszą, domową oznacza u Janowicza nie tylko deklasację ludności wiejskiej, jej mieszczanienie, ale ma przede wszystkim znaczenie etniczne, wskazuje na rozpad wspólnoty

---

[15] S. J a n o w i c z, *Ściana*, przeł. J. Plutowicz, Olsztyn-Białystok 1979, s. 62–63.

[16] W. S m a s z c z, *Scalanie pamięci*, w: S. J a n o w i c z, *Trzecia pora*, wybór i wstęp W. Smaszcz, Białystok 1983, s. 9.

białoruskiej, niemożność czy też trudną do przezwyciężenia barierę, aby ją podtrzymać czy raczej ponownie powołać. Stwierdzenie to uzmysławia z całą mocą dopiero rozwój publicystyki i eseistyki Janowicza niedługo przed 1989 rokiem, a szczególnie w latach następnych[17], kiedy to było w cenie odkrywanie na ogół już historycznej wielokulturowości „małej ojczyzny" przez poetów i pisarzy. Z tamtego okresu pochodzi proza Janowicza *Dolina pełna losu* (Białystok 1993) o żydowskich mieszkańcach Krynek. Jak zauważyła Katarzyna Kościewicz: „Temat żydowski w literaturze Podlasia ściśle powiązany jest z mapą"[18]. Krynki pożydowskie w porównaniu ze stanem przed Zagładą to przestrzeń uśmiercona, zaprzepaszczona, spustoszona, zdegradowana czy też neozbarbaryzowana[19].

W pisarstwie Janowicza bohater w wielu miejscach nie czuje się u siebie, dlatego wiele miejsc i miejscowości, położonych poza krainą rodzinną, pojawia się w trybie niezadowolenia, krytyki, negacji i często w złowrogiej aurze, jak w opowiadaniu *Powrót z Augustowa*. Pobyt w mieście, skądinąd kojarzącym się w wyobraźni społecznej z wakacyjnym wypoczynkiem wśród jezior, rzek i lasów, jest tak nieznośny ze względu na brud, smród i ubóstwo, że pamięć bohatera-narratora przywołuje ubaśniowione miejsca domowe: „Zapragnąłem natychmiast rzucić parszywe sprawy, dla których przywędrowałem do tego obcego miasta i pojechać do mego ojca staruszka, który jeszcze wtedy żył gdzieś na końcu świata, za lasami, nad rzeką Supraślą"[20]. Przecież *Samosieja* można czytać nie tylko jako powieść o degrengoladzie w środowiskach kierowniczych socjalistycznej Polski, o zaniku etosu pracy, dezorganizacji w zakładach, anomii; to rzecz o dojrzewaniu człowieka wsi do powrotu z miasta do punktu wyjścia.

W prozie Janowicza znajduje kontynuację dziewiętnastowieczne napięcie pomiędzy przestrzenią miejską i wiejską (np. „nawet w półdzikich chutorach ludzie żyją o wiele ciekawiej od tych tłumów wyposażonych w prawo do comiesięcznej pensji"[21]); wspomniane napięcie ma swoją genezę w charakterystyce najczęściej opisywanego przez Janowicza miasta, czyli Białegostoku; doświadczenie jego „miejsko-wiejskiej natury" udziela się bohaterom powieści, jak i opowiadań autora z Krynek[22].

Usposobienie antyurbanistyczne, motywowane tym, że miejska przestrzeń hamuje rozwój duchowy człowieka, wciąż dochodzi tu do głosu. „Ulica" widziana jest jako „targowisko wyobrażeń", nieszczerości, gdzie trwa „pochód w niepamięć"

---

[17] Zob. książki S. J a n o w i c z a: *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987; *Terra incognita – Białoruś*, Białystok 1993; *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*, Białystok 2000; *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, wybór i oprac. R. Traba, Olsztyn 2001; *Z księgi Podlasia. Białoruska mniejszość narodowa w Polsce*, Łomża 2001.

[18] K. K o ś c i e w i c z, *„Wciąż o nich pamiętam" – problematyka żydowska w najnowszej literaturze podlaskiej*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989 roku)*, s. 107.

[19] Zob. uwagi na ten temat: tamże, s. 114–116.

[20] S. J a n o w i c z, *Powrót z Augustowa*, przeł Z. Nasiadko, w: t e g o ż, *Małe dni*, s. 93.

[21] S. J a n o w i c z, *Samosiej*, s. 77.

[22] Pisała o tym E. K o n o ń c z u k w artykule *Białostockie pasaże tekstowe Sokrata Janowicza, Krzysztofa Giedroycia i Ignacego Karpowicza*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989 roku)*, Białystok 2012, s. 18.

ludzi „szczęśliwych na pokaz”[23]. Przestrzeń miejska często układa się z nie-miejsc, nazwy ulic czy publicznych obiektów pojawiają się w narracji nierzadko zaledwie jako punkty orientacyjne, które chronią przechodnia przed zagubieniem się w mieście. Poczucie przestrzennego bezpieczeństwa bohaterowie odzyskują na rodzinnym terytorium, co wynika z jego duchowego, psychicznego, pamięciowego, zmysłowego przyswojenia. Toponimy, zwłaszcza te miejscowe: „kolonia Stockiego”, „Łapickie Pagórki”, „Kocia Górka”, „Kobyle Góry”, „Popowa Góra”, „Turkowy krzyż”, „kryńska puszcza”, „sucha łączka”, „most na Wejsowszczynie”, „Borsukowina”, „wygon między Nowym Ostrowiem a Starym”, „Długi Wygon”, „Lipowy Most”, „pole Aleksandrowskie”, „ulica Sokólska”, „Żabi Zaułek”, „ogrody Dziubohraja”, „Kucharcowy Wydmuch”, „Banny Zaułek”, „Browarna”, „Kaukaskie Pogorzeliska”, „Kacze Krynice”, „Szamruchowy rów” itd.; niektóre z nich znane są tylko rodzimym mieszkańcom, przewijają się przez różne utwory i wypowiedzi pisarza. Niekiedy narrator niczym głos miejsca objaśnia pochodzenie danej nazwy, np. „Krzyża Szubienicznego”:

> Wildowicz zwrócił uwagę na dziuplę suchego dębu koło gościńca; na tym drzewie obwiesił się kiedyś dziedzic z Krynek. Od tego czasu nawet dzieci omijały to miejsce [...]. Karuś, który we wtorek jeździł po drzewo, roznosił już po wsi wiadomość, że wracając z Dzierazińszczyzny widział na niebie ducha pana z Krynek, z krzyżem... Tak na uschniętym dębie zjawił się krzyż. Przezwano go Szubienicznym[24].

Postacie Janowicza chodzą pozbawionymi właściwości, kolorystyki, nacechowanymi antyestetyką i wywołującymi przygnębienie wielkomiejskimi ulicami, dobry nastrój odzyskują niekiedy na przedmieściach.

W nader oszczędnych opisach miejsc przejawia się fonosfera, która niejako daje im ramę, eksponuje beznadzieję, apatię i wewnętrzne zagubienie. To, co oglądane i słyszane, jest w tej prozie wyraziście podmiotowe i przyjmuje kształt subiektywnego widoku, który skąpo otwiera się przed patrzącym: „Od budynku sądu wojewódzkiego płynęły chmury. Krople deszczu bębniły o płaszczyznę szyby. Chodnikiem snuły się zabłąkane sylwetki ludzkie. Sąsiad zza ściany grał na siedmiostrunnej rosyjskiej gitarze i tęskna melodia uciskała serce”[25]. Nakładanie na siebie odczuć wizualnych i dźwiękowych (rzadziej zapachowych, smakowych i dotykowych) jest trwałą dyspozycją wyobraźni przestrzennej Janowicza.

Tradycyjną dychotomię miejsko-wiejską Janowicz przełamuje w perspektywie kwestii natury moralnej, egzystencjalnej, etnicznej czy zgłaszania przeróżnych ograniczeń PRL-u. Rozszerzenie przestrzeni w prozie opowiadającej o czasach powojennej Polski, co prawda incydentalnie, następuje za pośrednictwem

---

[23] Zob. miniaturę S. J a n o w i c z a *Ulica świątecznego miasta*, w: t e g o ż, *Zapomnieliska*, s. 65.
[24] S. J a n o w i c z, *Srebrny Jeździec*, przeł. A. Sobecka, Warszawa 1984, s. 58–59.
[25] S. J a n o w i c z, *Samosiej*, s. 111.

nielicznych wyjeżdżających do innych krajów, np. kierowców tras międzynarodowych, którzy w rzeczy samej niewiele wiedzą o przemierzanych terytoriach. Pośrednikiem są również media (najczęściej gazety). Dostępna zagranica, jak czytamy w *Samosieju*, jest „papierowa", obarczona schematycznym postrzeganiem, zmanipulowana, a nie realna. Przywoływanie tego, co daleko, wiąże się tu z nierzadkim chwytem stylistyczno-przestrzennym, polegającym na swego rodzaju komentowaniu miejsca, lądu, postaci, doświadczenia, zdarzenia, zjawiska za pomocą zwięzłych, lecz nasyconych lokalną kolorystyką i symboliką obrazów, niekiedy w konwencji nagłego otwarcia się w pamięci odpowiedniego okna. Wyłaniająca się obrazowa treść wspomnień uzupełnia i objaśnia aktualne położenie bohatera i – co charakterystyczne – jest ona opatrzona zazwyczaj (wprost lub pośrednio) informacjami o porze roku i warunkach pogodowych:

> Andrzej wrócił do domu. Za oknem padał deszcz ze śniegiem. Zgniła pogoda. W taką pogodę ciężko jest młócić owies. Po co marnujesz owies?! — krzyczy ojciec — Nie rozumiesz, do cholery, że nie wolno młócić w odwilż?![26]

Tenże sam bohater *Samosieja*, zastanawiając się nad fenomenem biurokracji i biurokratów, zaczyna odczuwać jej istnienie jako formę zagrożenia, co dobitnie opisuje obraz topienia się z lat dziecięcych:

> Uchwyciwszy się tych pytań [o biurokratyzm – dop. Z. Ch.] Andrzej czuł się tak, jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy to wpadł w trzęsawisko i uratował się trzymając się oburącz krzaka[27].

Kiedy indziej narrator charakteryzuje osobę nieszczerą poprzez obserwacje zwierząt domowych z punktu widzenia pastucha[28]. W opowiadaniu *Kumpel z dawnych lat* autor definicji sztuki posiłkuje się obserwacjami sadownika: „sztuka sama zawiera się […] w usuwaniu zbędnego, jak w dopatrzonym sadzie, trzebionym z martwych pni drzew, dziczek, wszelkiej cherlawości"[29].

Janowicz posługiwał się, bez nadużywania, oniryczną wizją, która bywa przestrzenią snu, baśni, wspomnień z dzieciństwa, podświadomości zbiorowej, jak tu:

> Na stole poniewierała się wczorajsza gazeta. Świat wyłaniał się z niej światłami wielkich metropolii, portów lotniczych, wiaduktów i autostrad. Zaś przez ramię do papierowej Europy zaglądał sen (Andrzej wędruje przez ciemny las, górą przelatuje powiew wiatru, a z tyłu rozlega się wycie stada wilków. Straszna zima)[30].

---

[26] Tamże, s. 106.
[27] Tamże, s. 124.
[28] S. J a n o w i c z, *Z daleka lepiej widać*, w: t e g o ż, *Zpomnieliska*, s. 48.
[29] S. J a n o w i c z, *Kumpel z dawnych lat*, przeł. J. Plutowicz, w: J a n o w i c z, *Małe dni*, s. 10.
[30] S. J a n o w i c z, *Samosiej*, s. 76.

W tym krótkim akapicie globalistycznemu wyobrażeniu wielkich metropolii, połączonych szlakami komunikacyjnymi, towarzyszy, jakby przypadkiem, sen o zagrożeniu (symboliczny, ciemny zimowy las i poczucie osaczenia przez głodne wilcze watahy). Rysujące się tu relacje przestrzenne są wyjątkowe ze względu na rozpiętość, zauważyć można przeważnie napięcia pomiędzy obszarami białostockimi i krynkowskimi, choć na literackiej mapie Janowicza znajdują się inne, bardziej lub mniej odległe miasta: Augustów, Ełk, Warszawa, Wrocław, Gdańsk, Szczecin lub kraje, a nawet kontynenty. Złowrogość tego, co dalekie, zaznacza się w objaśnieniach narracyjnych, np. miłości: „[…] miłość mężczyzny do kobiety jawi się jako coś niszczącego, jako żywioł, jako cyklon, który ma za nic miasta i drogi, budynki i wieże, samoloty i statki… Trójkąt bermudzki, z którego nie ma powrotu. Zjawisko, w zetknięciu z którym to, co rozsądne, jest nie do zniesienia”[31].

Możliwość powrotu, zmiany punktu położenia dynamizuje postacie i wizualizacje w prozie Sokrata Janowicza. Przemierzanie, obserwacja, rozpoznawanie miejsc i operowanie nimi ujawnia wyobraźnię przestrzenną, która występuje przede wszystkim w roli narzędzia pamięci i poznania, wspomaga intelektualistyczną pasję białorusko-podlaskiego twórcy. Efekty poznawcze zyskują na randze także dzięki temu, że jego wyobraźnię przestrzenną określa zmiana wektora w relacjach peryferia – centrum. W prozie Janowicza oficjalne, państwowe centrum występuje jako peryferia, zaś terytorium peryferyjne centralizuje się. Toteż prowincja staje się/jest miarą świata i ludzi. Powyższa perspektywa odsłania uwikłania wyobraźni w postpamięć, czyli konsekwencje patrzenia bardziej wstecz niż wprzód.

[31] S. J a n o w i c z, *Tania*, przeł. A. Sobecka, w: t e g o ż, *Małe dni*, s. 181.

Elżbieta Konończuk
BIAŁYSTOK

Poetyka miasta. Białystok Sokrata Janowicza

Każde miasto potrzebuje literatury, gdyż ona wraz z innymi tekstami kultury współtworzy jego potencjał wyobrażeniowy, rozumiany jako zdolność wywoływania mentalnego obrazu miejsca, który przechowywany w pamięci, pobudza wyobraźnię i skłania do konfrontacji artystycznych reprezentacji tego miejsca z rzeczywistością. Kevin Lynch podkreśla promocyjną rolę wyobrażeniowego potencjału miast, który podnosi jego znaczenie, czyni przedmiotem zachwytu, budzi pragnienie uczestniczenia w jego życiu i zachęca do odwiedzania[1]. Niewątpliwie Białystok nie należy do miast otoczonych gęstą siecią artystycznych reprezentacji, a tym samym jest raczej słabo obecny w wyobraźni zbiorowej, kształtowanej właśnie przez te reprezentacje. Niewątpliwie jednak budowanie wyobrażeniowego potencjału naszego miasta zainicjował Sokrat Janowicz.

Utwory, w których Janowicz tematyzuje Białystok dotyczą ważnego i ciekawego dla miasta okresu, czyli lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, okresu jego intensywnego rozwoju w przestrzennym i społecznym wymiarze. Miasto wchłaniało wówczas sąsiadujące terytoria, włączało w swój organizm okoliczne wsie, a nowe blokowiska zasiedlali przybywający z prowincji do miasta w poszukiwaniu pracy i łatwiejszego życia. Białystok stał się zatem miejscem zamieszkania przede wszystkim ludzi, którzy awansowali w hierarchii społecznej i zamienili swoje wiejskie życie na życie w mieście. Konsekwencje tej zamiany są tematem szczególnie ważnym w prozie Janowicza, którą można odczytywać jako zapis socjologicznych i psychologicznych obserwacji. Pisarz zgłębia psychologię białostoczan w pierwszym pokoleniu, a więc migrantów, których do miasta przygnała nadzieja na poprawę ekonomicznych warunków, chęć kształcenia się lub marzenie o ciekawszym i wygodniejszym życiu. Janowicz podgląda nowych mieszczan i w swoich małych formach prozatorskich proponuje psychologiczne studium tych zjawisk. Pokazuje zatem, jak mieszkańcy pobliskich wsi wchodzą

[1] K. Lynch, *Obraz miasta,* przeł. E. Janicka, w: *Miasto w sztuce, sztuka miasta*, red. E. Rewers, Kraków 2010, s. 233.

w miejską przestrzeń niczym na teatralną scenę i dla potrzeb widowiska, którego stają się aktorami, zaczynają odgrywać nowe role, pokrywając wiejskość swoim wyobrażeniem miejskości. Jako bohaterowie miejskiego dramatu zmieniają swoje imiona na formy nienacechowane wiejskością, zmieniają ubiór według obowiązującej w mieście mody, zmieniają sposób poruszania się, dostosowując go do miejskich trotuarów.

Miasto w twórczości Janowicza często przedstawiane jest za pośrednictwem metafory sceny, na której ma miejsce widowisko, a jego uczestnicy odgrywają swoją miejskość jako nowo wyuczoną rolę. Na miejskiej scenie rozgrywają się także dramaty społeczne, wynikające z wyraźnego różnicowania się warunków życia w mieście i na wsi, co skutkowało rozwarstwieniem społeczeństwa. Dynamiczny rozwój przemysłu i ośrodków miejskich, przyciągających ludzi ze wsi obietnicą większych zarobków i lepszego życia, przyczyniał się w konsekwencji do wyludniania i ubożenia wsi. Te skomplikowane procesy społeczne, warunkujące równie skomplikowane reakcje psychologiczne znajdują wyraz w małych formach narracyjnych, zebranych w tomikach *Wielkie miasto Białystok* (1973), *Zapomnieliska* (1978), *Trzecia pora* (1983). Janowicz w swoich utworach, które można uznać za szkice, ukazuje problemy psychospołeczne w formie poetyckich impresji, mikroscenek dramatycznych lub kadrów fotograficznych.

❋

Zjawisko migracji ze wsi do miasta oraz temat awansu społecznego, wyraźnie obecne w powojennej polskiej literaturze, znajdują niezwykle interesujące realizacje – w twórczości na przykład Juliana Kawalca, Tadeusza Nowaka, Edwarda Redlińskiego – nie tylko w aspekcie tematycznym, ale też artystycznym. Twórczość Sokrata Janowicza na tle nurtu wiejskiego stanowi szczególnie ciekawy przykład, gdyż typowy dla tej literatury dramat tożsamościowy w przypadku tego autora przyjmuje bardziej skomplikowany charakter. Rozgrywa się bowiem nie tylko na scenie wielkiego miasta, w którym człowiek ze wsi próbuje odnaleźć swoje miejsce, ale jest to także dramat narodowościowy. Dramat tożsamościowy tematyzowany przez autora *Zapomnieliska* – będący jego własnym doświadczeniem, potwierdzonym paktem autobiograficznym, jaki zawiera on z czytelnikiem w książce *Białoruś, Białoruś* – rozgrywa się w walce o obecność języka i kultury białoruskiej w zbiorowej świadomości pogranicza polsko-białoruskiego.

W centralistycznym porządku PRL-u zarówno mieszkańcy wsi, jak i ludzie deklarujący swoją białoruskość – białoruskość utożsamianą z wiejskością – byli zdominowani z jednej strony przez ludzi z miasta, którym państwo gwarantowało lepsze warunki życia, z drugiej zaś przez polskość. Wsie polskie, a w szczególności przygraniczne wsie białoruskie, były w obowiązującym modelu dominującego centrum marginalizowane, zepchnięte do pozycji biernych

i niemych uczestników historii. Nowa humanistyka – w jej ramach szeroko rozumiany dyskurs postzależnościowy, zwrot przestrzenny czy zwrot narratologiczny, które konkretyzują się w praktykach narracji lokalnych i tożsamościowych – proponuje nowe narzędzia badania omawianych tu zjawisk oraz nowy język ich opisu. Wymienione tendencje badawcze rekonceptualizują oraz dowartościowują pogranicza i marginesy – traktując je jako kategorie epistemologiczne[2]. Świadectwem rekonceptualizacji pogranicza polsko-białoruskiego są reinterpretacje twórczości Sokrata Janowicza, wpisujące ją w dyskursy nowej humanistyki[3].

W autobiograficznej gawędzie zatytułowanej *Białoruś, Białoruś* pisarz daje wyraz swoim doświadczeniom, które ukształtowały go jako białoruskiego twórcę, myśliciela, intelektualistę. Autor rysuje psychologiczny autoportret człowieka pogranicza polsko-białoruskiego, który zdominowany przez polską większość, marginalizowany przez centralistyczną politykę państwa, buduje swoją tożsamość w sytuacji zepchnięcia do pozycji niemego uczestnika historii. Literatura wobec tego staje się miejscem o charakterze performatywnym, miejscem wydarzania się i manifestowania tożsamości. Ważnym tematem twórczości Janowicza jest doświadczenie resentymentu, wzmocnione przez szczere wyznanie przeżyć samego pisarza. *Białoruś, Białoruś* można odczytać jako studium kształtowania się poczucia niższości, czego dowodzą poniższe fragmenty:

> Człowiek zadający pytanie po polsku powoduje u mojej Matki nieprzepartą chęć oddalenia się, zejścia mu z oczu. Do urzędu idzie, kiedy jest kategorycznie wzywana lub przymuszana biegiem swych spraw. Już w przedsionku gabinetu naczelnikowskiego gotowa jest do lamentów. To są reakcje warunkowane, nabyte przez nią i jej pokolenie w wyniku kontaktów z administracją panów Polaków. Ze mną, jej synem, jest podobnie: z tą tylko różnicą, że nie wylewam łez, lecz klnę (wnuki znormalnieją). To odwrotność tego samego strachu i poczucia niższości, które wżarły się w nasze geny. Polskość – równa się pańskość (łakniemy jej i boimy się zarazem). Białoruskość – to schłopienie (takie odebraliśmy wychowanie od Rzeczpospolitej)[4].

> Cholernie zazdroszczę Polakom bogactwa ich kultury i historii!!! Czy to jest nacjonalizm? Do tej zazdrości trzeba dorość! Pozbawiony od dzieciństwa własnej narodowości, pierwej próbowałem naśladować coś „ruskiego"; przejmowanie czegoś „polskiego" wykluczałem od razu. Miałem po temu powody, że tak

[2] Zob. E. D o m a ń s k a, *Epistemologie pograniczy*, w: *Na pograniczach literatury*, red. J. Fazan i K. Zajas, Kraków 2012.

[3] Przykładem takich reinterpretacji są następujące artykuły: D. Z a w a d z k a, *Rafa regionu. O przemianach pamięci w literaturze pogranicza polsko-białoruskiego*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze" 2012, nr 3 oraz *Nowy regionalizm. Badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, red. M. Mikołajczak i E. Rybicka, Kraków 2012; K. S a w i c k a - M i e r z y ń s k a, *Wokół narracji tożsamościowej Srokata Janowicza*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze" 2012, nr 3; E. K o n o ń c z u k, *Białostockie pasaże tekstowe*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia po 1989 roku*, red. M. Kochanowski i K. Kościewicz, Białystok 2012.

[4] S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 51–52.

> powiem, i społeczne. To właśnie z powodu czystych rączek mój ojciec żywił do Polaków niechęć. Być Białorusinem znaczyło uczciwie i ciężko pracować na kawałek chleba[5].

> Gdy PPR ogłaszała przemówieniami Gomułki jakieś kolejne zwycięstwa, ja i moi koledzy ze szkoły dostawaliśmy linijką „w łapę" od wychowawcy klasowego za gadanie między sobą po swojemu. Takie działania musiały wykrzywiać psychikę i charakter, czuję to nawet teraz, po czterdziestce, podświadomie doznając wrażenia całkowitego bezpieczeństwa dopiero wtedy, gdy mówię po polsku[6].

Poczucie bycia niższym rangą, wyniesione z białoruskiej wsi na Białostocczyźnie, mogło być zniwelowane przez migrację do miasta, z którym wiązano nadzieję na lżejszą pracę i lepsze życie. Małe narracje Janowicza mają charakter szkiców psychologiczno-socjologicznych, stanowiących pretekst do refleksji nad społecznym obrazem Białegostoku, kształtującym się w wyniku niezwykle dynamicznej migracji mieszkańców z okolicznych wsi[7]. Prozę Janowicza można zatem czytać jako studium psychologii mieszkańców miasta ruralnego, którego charakter ukształtowany był przez ludzi przybywających ze wsi i przenoszących na grunt miejski wiejskie formy zachowań.

Banalne z pozoru wydarzenia i sytuacje stają się dla pisarza pretekstem do przedstawienia nowych społecznych zjawisk zachodzących w Białymstoku. Poprzez subtelne szkice, w których można zobaczyć błahe obrazki z codziennego życia miasta, autor *Trzeciej pory* napomyka – przez poetyckie niedopowiedzenie czy zasugerowanie – o psychologicznie złożonej sytuacji migranta, który wrzucony w miejską przestrzeń, musi stworzyć swój nowy wizerunek i nauczyć się nowej roli, aby godnie wystąpić w miejskim teatrze. Bohaterowie Janowicza – podobnie jak bohaterowie prozy Kawalca czy Nowaka – wytwarzają fasadę miejskich zachowań, pod którą często kryje się dramat tożsamościowy. Miejskość wiąże się bowiem ze zmianą sposobu ubierania się, wypracowaniem nowego repertuaru gestów, a nawet ze zmianą sposobu poruszania się[8]. Janowicz z wnikliwością reportera-obserwatora, z wrażliwością poety oraz z uśmiechem ironisty ukazuje

---

[5] Tamże, s. 92.

[6] Tamże, s. 92–93.

[7] W latach siedemdziesiątych XX wieku Białystok był najdynamiczniej rozwijającym się pod względem demograficznym miastem w Polsce. Ludzie migrujący z małych miasteczek i ubogich wsi stanowili $^{2}/_{3}$ mieszkańców miasta, co miało wpływ na jego ruralizację, czyli upodobnienie do obszarów wiejskich, wynikające z przenoszenia zwyczajów ze wsi do miasta. Zob. J. S a d o w s k a, *Białystok za Gomułki i Gierka (1956–1980)*, w: *Historia Białegostoku*, red. A. Cz. Dobroński, Białystok 2012, s. 508–509.

[8] Justyna Jasińska, analizując literaturę awansu społecznego w perspektywie przekształcania się wyglądu zewnętrznego bohaterów migrujących ze wsi do miasta, zwraca uwagę na przemiany w ich mimice twarzy, gestach, ubiorze, postawie, sposobie poruszania się. Podkreśla też podobieństwo doświadczeń opisywanych przez różnych autorów tego nurtu, doświadczeń ujętych w motyw przeglądania się bohaterów w witrynach sklepowych, w których widzą siebie gorzej ubranych, zalęknionych i porównują swój sposób poruszania się do sposobu poruszania się ludzi z miasta. Przemiana zewnętrzności staje się więc pierwszym rytuałem przejścia ze wsi do miasta. Zob. J. J a s i ń s k a, *Marzenia o lepszym życiu. Literatura awansu społecznego Juliana Kawalca, Tadeusza Nowaka i Edwarda Redlińskiego*, praca magisterska 2012, Archiwum Prac Dyplomowych Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku.

nowych mieszkańców miasta, ich wzajemne relacje oraz stosunek do tych, którzy pozostali na wsi.

Janowicz ukazuje w swojej prozie, w jaki sposób różnice między miejskością a wiejskością manifestują się poprzez zewnętrzność, na przykład poprzez ubiór, który może także informować o zamożności czy ubóstwie. Pomaga też – jako kostium – w odgrywaniu ról na scenie miasta, udawaniu kogoś, kim się nie jest, manifestowaniu pożądanych cech albo ukrywaniu niechcianych. Ubiór ma wpływ na nasze zachowania, jak i na zachowania innych wobec nas, gdyż pełni funkcję komunikatu, a nawet – jak zauważa Alicja Kuczyńska – ubiór opowiada o nas[9]. W sytuacji awansu społecznego czy migracji do miasta człowiek zaczyna opowiadać swoją historię od nowa, próbuje się określić w nowej roli i w nowym miejscu. Strój staje się zatem ważnym czynnikiem budowania nowego wizerunku. W opowiadaniu *Wiocha – bogini zawstydzenia* akcja dzieje się podczas wesela (służącego w tradycji literackiej zderzeniu środowiska wiejskiego i miejskiego), na którym rej wiodą druhny w drogich sukniach, „wypiękniałe przez to poczucie, że nie są ze wsi, bo pracują w Białymstoku"[10]. Drużbowie natomiast, chociaż swojacy, aby dorównać miastowym druhnom występują ubrani w czarne garnitury, chociaż „czują się źle w chomącie manier, skradzionych miastu"[11]. Bohatera miniatury *Spotkanie* narrator przedstawia właśnie poprzez ubiór: „letni garnitur z drogiego materiału i białe porządne buty; jasny krawat, za pięćset złotych, prezentował się wspaniale na zagranicznej koszuli"[12]. Spotkanie przyjaciół z dzieciństwa sprowadza się do oceny ich statusu na podstawie wyglądu zewnętrznego, a rozmowa o niczym ma zasłonić niechcianą już pamięć o wspólnym młóceniu u sąsiada owsa na dwa cepy.

Miasto oferuje awans społeczny, wygodne, dostatnie życie. *Spacer na peryferiach miasta* to miniatura będąca zapisem obserwacji socjologicznej, skierowanej na peryferyjną, willową dzielnicę miasta, której ulice o miło brzmiących nazwach: Urocza, Kwiecista, Jagodowa są zamieszkane przez ludzi „zmęczonych dorabianiem się". Bohater spacerując po nowym osiedlu, podgląda młodych ludzi spędzających sobotę na tarasach i w przydomowych ogrodach, młodych ludzi – jak zauważa – „wymęczonych" dobrobytem, który ich rodzice przypłacili zdrowiem. Białystok Janowicza to miasto z okresu tak zwanej „małej stabilizacji", kiedy to władza apelowała o wzrost konsumpcji, podwyższającej jakość życia, a tym samym współkształtującej ustrój socjalistyczny.

Pisarz z dużą ironią przedstawia migrantów do miasta, którym rośnie apetyt na wygodne i luksusowe życie. Pochłonięci dorabianiem się, zapominają o rodzinnej wsi i rodzicach. W utworach Janowicza powraca motyw pisania listu stęsknionych matek do dzieci w mieście. W opowiadaniu *Świekra pisze* teściowa zanosi

---

[9] A. Kuczyńska, *Wzory modne w życiu codziennym*, Warszawa 1983, s. 109–110.

[10] S. Janowicz, *Wiocha – bogini zawstydzenia*, przeł. M. J. Kononowicz, w: tegoż, *Trzecia pora*, Białystok 1983, s. 50.

[11] Tamże.

[12] S. Janowicz, *Spotkanie*, przeł. J. Czopik, w: tegoż, *Trzecia pora*, s. 58.

nieśmiałe prośby do synowej o załatwienie spraw w mieście, a lista tych spraw wskazuje na ogromną różnicę między warunkami życia na wsi i w mieście. Z listu wyłaniają się dwa światy, ludzi lepszych i gorszych, tych żyjących w dostatku i tych, którym doskwiera brak. W utworze *Mama wybrała się do lekarza* bohaterka w liście do córki przedstawia dramat upokorzeń, jakie spotkały ją podczas trudu wypraw do miasta, gdyż – jak mówi – „Niełatwo jest jeździć, jak człowiek stary, bez nauki, zapracowany przy ziemi, zgarbiony…”[13].

Wygodne życie w mieście, które kusi karierą, dobrymi zarobkami, oddala od dawnego świata, od języka i obyczajów. W jednym z opowiadań bohater mówi:

> Ojciec miał niewątpliwie rację, gdy mówił, że w mieście każdy dzień jest świętem. Miasta istnieją widocznie dlatego, że nie ma gdzie podziać ludzi, którzy nie mają ziemi, swego domu albo rodziny czy współczujących przyjaciół…[14]

Takie miasto, w którym każdy dzień jest świętem, gdyż ludzie mają tu więcej wolnego czasu niż na wsi, przedstawia Janowicz w miniaturze *Ulica świątecznego miasta*. Ulica w doświadczeniu pisarza nabiera cech swoistej sceny, na której rozgrywa się codzienny dramat spotkań i rozstań w pośpiesznej drodze do pracy lub domu. Jest to także miejsce, gdzie przechodnie eksponują siebie jako aktorzy, będąc zarazem widzami w miejskim spektaklu.

> Ulica – targowisko wyobrażeń skrzętnie ukrywanych za pazuchą i przyniesionych teraz ukradkiem, bo kto wie, może nastał już ten czas, w którym je docenią.
> Ulica – z murszejącymi starymi domami; na ich dziąsłach nowe i olśniewająco białe – tylko oddech nieświeży.
> Ulica – ponurzona we mgle, jak beznadzieja myśli i stunogi marsz, pochód w niepamięć.
> Ulica – legiony nieszczęśliwych na pokaz. Idą, idą…[15]

W tym poetyckim utworze Janowicz dociera do istoty ulicy wielkiego miasta jako przestrzeni ekspozycji, w której wystawiają się na pokaz nie tylko ludzie fałszujący swój obraz, ale też domy, których fasady przysłaniają stare i zmurszałe wnętrza. Ludzie i domy wystawiają zatem na pokaz wyobrażenia o sobie, zatracając w tym ulicznym spektaklu swoje prawdziwe oblicze. Ulica, w jej socjologicznym wymiarze, to środowisko anonimowego tłumu ludzi zmęczonych miejską gonitwą – „legionów nieszczęśliwych na pokaz” – a jednocześnie spychających w niepamięć wiejską przeszłość.

Doświadczenie miejsko-wiejskiej natury Białegostoku jest udziałem narratora opowiadania *Miasto*, mieszkańca dzielnicy jeszcze zachowującej wiejski charakter, ale powoli wchłanianej przez sieć nowych ulic i rozsiadające się nieopodal

---

[13] S. J a n o w i c z, *Mama wybrała się do lekarza*, przeł. M. J. Kononowicz, w: t e g o ż, *Trzecia pora*, s. 39.

[14] S. J a n o w i c z, *Tania*, przeł. A. Sobecka, w: t e g o ż, *Trzecia pora*, s. 190–191.

[15] S. J a n o w i c z, *Ulica świątecznego miasta*, przeł. J. Czopik, w: t e g o ż, *Trzecia pora*, s. 60.

blokowisko. Narrator, chłop, który codziennie, chcąc dotrzeć na pole, musi się przedzierać furmanką przez ruchliwe ulice miasta, tak oto opisuje swoją miejską, białostocką codzienność:

> Za gumnem zaczyna się śródmieście. Dzwonienie tramwajów płoszy klacz. Bułankę. Spaliny przenikają przez wszystkie pory, drapią w gardle. [...] Z klepiska wjeżdżam na plac Centralny. Zza gromady limuzyn wysunął się traktor. Pyka i prycha, śmieje się drań z Bułanki. [...] Akurat zapaliło się zielone światło na skrzyżowaniu dwóch arterii koło Iwanowego obejścia[16].

Niepozbawiona humoru opowieść o Bułance ruszającej na zielonym świetle „na skrzyżowaniu dwóch arterii koło Iwanowego obejścia" i przedzierającej się przez śródmieście jest doskonałą przypowieścią o przekształcaniu się przestrzeni z wiejskiej w wielkomiejską oraz o kształtujących się – czy to w wyniku konfliktów, czy sytuacji komicznych – nowych zachowaniach jej mieszkańców.

Bohaterem opowiadania *Wielkie miasto Białystok* jest Jerzy, student wieczorowej szkoły inżynieryjnej, który – jak mówi narrator „lubi przypatrywać się ulicy" i niczym baudelaire`owski *flâneur* włóczy się po mieście. Ten wnikliwy obserwator miejskiego spektaklu analizuje uliczne zachowania mieszkańców wielkiego miasta, Białegostoku. Tytuł opowiadania ma niewątpliwie niejednoznaczny wydźwięk. Pobrzmiewa w nim ironia, gdyż bohater włócząc się po ulicach wielkiego miasta spotyka co krok znajomych ludzi, pochodzących z jego rodzinnej wsi. Ten społeczny aspekt jest właśnie cechą miasta ruralnego, w którym ludzie nie mają poczucia anonimowości. Z drugiej strony, dynamicznie rozwijające się miasto oferuje mieszkańcom wygody w życiu codziennym i wielkomiejskie formy organizacji wolnego czasu. Właśnie sposób spędzania czasu wolnego staje się podstawowym wyróżnikiem miejskiego życia. W przypadku bohatera czynność spacerowania i obserwowania tego, co dzieje się na ulicach Białegostoku, można uznać za formę apoteozy miasta. Jerzy, obserwując przechodniów, diagnozuje zmiany, jakie zaszły w ludziach przybyłych do tego wielkiego miasta z jego rodzinnej wsi.

> Od kościoła farnego idzie Józik, z którym nie widział się chyba od pięciu lat. Józik sunie prosto, twarz ma czerwoną, jest to twarz starego kawalera szwendającego się po zabawach. Widać, że go nikt nie popędza. Nie ma się czego spieszyć, nie dorobił się sensu. Dobrze mu z tym. [...] Ulicą Sienkiewicza idzie Wala. Śpieszy się. Wygląd ma zaniedbany. Nos jej się wyostrzył. Skończyła już tę trzydziestkę, za mąż nie wyszła. Inaczej by szła, gdyby miała męża i dziecko, a może nawet dużo dzieci. [...] Ma już tę trzydziestkę, ale zagrywa, jakby jutro szła zdawać maturę. Taki fason. A niby – cóż jej więcej zostało? [...] Fiedźka wszedł do pedetu, ten to ma minę motocyklisty tropiącego jakąś część zapasową. [...] Na rondzie, naprzeciw „Astorii" zaterkotał motocykl milicyjny z przyczepą, na przyczepie

[16] S. J a n o w i c z, *Miasto*, przeł. W. Woroszylski, w: t e g o ż, *Wielkie miasto Białystok*, Warszawa 1973, s. 66–67.

białe litery MO, za literami na siodełku Wadim. Kapral Wadim. W wielkich okularach. Z Wadimem siedzieli w jednej ławce. [...] Znowu przecwałował wzdłuż ulicy Józik. Ten ma dzisiaj kupę czasu, najpewniej jest „na chorobie"[17].

Niektóre spotkania bohatera z przechodniami nabierają charakteru scenek mikrodramatycznych. W jednej z nich Jerzy spotyka pod gmachem sądu kobietę z jego wsi. Ta, żeby zagaić rozmowę, pyta o drogę do sądu. W miniaturowej scenie odbywa się spektakl gestów, charakteryzujących relację między bohaterami. Ta typowa dla Janowicza technika budowania przestrzeni psychologicznej dowodzi dużej wrażliwości pisarza na formy uzewnętrzniania społecznej przynależności właśnie przez gesty. Bohater, wkładając ciemne okulary, tłumaczy się przed wiejską kobietą, że robi to w ochronie przed piaskiem niesionym przez wiatr, a nie udaje mądrego. Kobieta gest ten odbiera jako informację o chorym wzroku, zmęczonym naukami w mieście. Czeka w milczeniu, aż to on, miastowy, rozpocznie z nią rozmowę. Zagajona o wieś, z zapałem zaczyna opowiadać o wiejskich nowinach, ale – jak zauważa narrator – „wiatr rzucał jej słowa na asfalt ulicy i dalej, w dół, aż do rynku Kościuszki"[18]. Bohater niezainteresowany opowieścią kobiety, „łowi strzępy słów", uświadamiając sobie tym samym, jak bardzo się oddalił – zaabsorbowany miejskim życiem – od rodzinnej wsi. Okazuje się, że opowieści kobiety tylko kamuflują prawdziwy problem, gdyż w istocie szuka ona porady, jak napisać podanie do sądu. W podziękowaniu za radę usiłuje wcisnąć Jerzemu pieniądze. Gesty kobiety, podobnie jak starych ludzi ze wsi w opowiadaniu *Wiocha – bogini zawstydzenia*, wyrażają ciągle obecne poczucie winy, że „wszystko, co nieładne, niezdarne może się zrodzić tylko z nich albo z ich powodu"[19]. Motyw „wiochy – bogini zawstydzenia" powraca często w twórczości Janowicza i można powiedzieć, że jest kluczowy w jego refleksji antropologicznej dotyczącej relacji między miejskością a wiejskością, między wyższymi a niższymi rangą, między pewnymi siebie mieszkańcami miasta a zawstydzonymi mieszkańcami wsi.

Bohater *Wielkiego miasta Białegostoku*, pomimo że odniósł życiowy sukces w Białymstoku, wobec dyrektora departamentu z Warszawy ma poczucie niższości. Ćwiczy przed lustrem gesty, które staną się fasadą dla jego wiejskiego pochodzenia. Po naradzie w ministerstwie, marząc o dalszym awansie, jakim byłaby możliwość pracy w Warszawie, postanawia:

Trzeba będzie się wprawiać. Wróci do Białegostoku, zacznie ćwiczyć przed tremo w swoim mieszkaniu: uśmiech aprobaty, gest przywitania, swobodny krok po miękkim chodniku, przychylne zainteresowanie rozmówcą itd. Utrwalił sobie w pamięci przykłady[20].

---

[17] S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, przeł. J. Litwiniuk, w: t e g o ż, *Wielkie miasto Białystok*, s. 123–127.

[18] Tamże, s. 140.

[19] S. J a n o w i c z, *Wiocha – bogini zawstydzenia*, s. 50.

[20] S. J a n o w i c z, *Wielkie miasto Białystok*, s. 170.

> Po przyjściu do domu prędko zrzucił palto i stanął przed lustrem: – Istotnie, panie ministrze… – ech, jak tu nie wiadomo, co począć z rękoma! Jeszcze raz: – Ależ oczywiście, panie…[21]

Janowicz przedstawia wielkie miasto Białystok jako oferujące lepsze życie, ale zarazem zniewalające, czyniące migrantów posłusznymi zakładnikami. Za miejskie wygody trzeba czasem zapłacić kompromisem, jak jest w przypadku innego bohatera, którego Jerzy spotyka podczas swoich spacerów. Ten jest przekonany, że warunkiem awansu czy sukcesu w mieście są z jednej strony znajomości, z drugiej „trzymanie wszystkich w garści". Zaprasza Jerzego do siebie, aby odtworzyć mu nagrania z podsłuchanymi rozmowami, dzięki którym – jak zauważa – „awans ma murowany". Wielkie miasto Białystok zamieszkują ludzie pochodzący z pobliskich wsi i miasteczek, ludzie, którzy się znają, wszystko o sobie wiedzą i wiedzę tę czasem niecnie wykorzystują, robiąc karierę dzięki donosom. Tu bowiem miarą sukcesu są wpływy, imponujące tym znajomym, którym się nie powiodło. Utwory Janowicza można nazwać szkicami z zakresu psychosocjologii awansu społecznego.

❋

Wszystkich bohaterów Janowicza łączy doświadczenie zadamawiania się w mieście, doświadczenie wymagające takich form praktykowania miejskiej przestrzeni, które pozwolą tę przestrzeń oswoić i zapoznać się z nią. Spacer daje możliwość obserwowania ludzi i wydarzeń, przyglądania się budowlom, podziwiania zabytków, refleksji nad zachodzącymi w mieście zmianami. Ulica zatem staje się sceną działań, na której przechodnie są zarówno aktorami, jak i widzami w teatrze miasta. Można więc mówić o miejskich praktykach wytwarzania znaczeń, a przywołując koncepcję Michela de Certeau o pieszych aktach wypowiadania, „przestrzennych wyrażeniach", składających się na retorykę chodzenia.

> Akt chodzenia jest dla systemu miejskiego tym, czym wypowiadanie jest dla języka lub zrealizowanych wypowiedzeń. […] jest to proces *zawłaszczania* systemu topograficznego przez pieszego (podobnie jak mówiący zawłaszcza i przejmuje język); jest to przestrzenna *realizacja* miejsca (podobnie jak akt mowy jest dźwiękową realizacją języka)[22].

W miniaturach Janowicza występuje różnorodność doświadczeń miejskich, realizujących się poprzez piesze akty wypowiadania, w efekcie których powstają swoiste artykulacje nazywane przez de Certeau „przestrzennymi wyrażeniami". Małe narracje autora *Wielkiego miasta Białegostoku* są w dużej części zapisem

[21] Tamże, s. 171–172.

[22] M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność: sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008, s. 99.

miejskich przechadzek, które za cytowanym filozofem można określić „zawłaszczaniem systemu topograficznego". Ważną funkcję w tym systemie pełni ulica, główny wyznacznik miasta, która w procesie oswajania miejskiej przestrzeni dla przybywających ze wsi, staje się zarówno sceną wprowadzającą ich w miejskie widowisko, jak i tekstem informującym o dziejach i kulturze miasta. Narracje tematyzujące doświadczenie konkretnych ulic Białegostoku są dobrym przykładem literackich „przestrzennych realizacji miejsca". Ulice jako miejsca w miejskim systemie topograficznym są zarazem zdaniami miejskiego tekstu. Ulice – zdania odczytywane przez bohaterów prozy Janowicza charakteryzują się własną, niepowtarzalną retoryką i poetyką. Czytanie miasta, z perspektywy spaceru jego ulicami, niesie także doświadczenie pisania własnego tekstu miasta, wydarzającego się za każdym razem od nowa w kolejnym akcie percepcji.

W miniaturze *Nieudany spacer* bohater spaceruje ulicą oświetloną neonami, których funkcją zawsze jest informowanie o zaletach miejskiego życia. Uwagę spacerowicza przykuwa zepsuty neon reklamujący ubezpieczenia – „…ube… ciebie i twoje mienie" – w którym wygasły niektóre litery i teraz zamiast zapewniać obywateli o ich bezpieczeństwie nabiera żartobliwie politycznego charakteru. Lektura klepsydry zamieszczonej na murze cerkiewnym wywołuje chwilę zadumy nad śmiercią mieszkańca miasta, o czym zawiadamiani są przypadkowi przechodnie. Spacer główną ulicą miasta skłania także do refleksji nad statusem majątkowym ludzi poruszających się pieszo i tych, którzy „nie muszą wygłupiać się spacerowaniem". Inaczej niż w *Wielkim mieście Białymstoku* – gdzie spacer jest formą aktywności artystowskiej tych, którzy mają dużo wolnego czasu i przechadzają się po mieście dla przyjemności i zdobycia wiedzy – w omawianym utworze spacer przywołuje w pamięci narratora scenę z życia wiejskiego, kiedy to bogaci, na wozach i środkiem drogi, uciekają z pola przed deszczem, a ubodzy biegną ścieżką wśród kpin dobiegających z wozów.

Czasami ulica prowadzi w głąb wspomnień, a praca pamięci, dzięki której są one przywoływane, skupia się nie tylko na formach urbanistycznych i architektonicznych, ale też na wrażeniach zmysłowych. Elżbieta Rybicka podkreśla ważną rolę zmysłowej percepcji w doświadczeniu przestrzeni i miejsc, nie tylko jako biernej recepcji bodźców, ale także jako źródła wiedzy o przestrzeni i miejscu[23]. Miasto jest przestrzenią dynamicznie współistniejących bodźców zmysłowych, a więc wrażenia sensoryczne doznawane w miejskiej przestrzeni okazują się ważnym aspektem doświadczenia miasta. W poetyce percepcyjnej[24] utrzymane jest opowiadanie Janowicza *Na dawnej Sosnowej*, w którym narrator udaje się na przechadzkę w rejony cerkwi na wzgórzu Magdaleny, ulicy Brukowej i Sosnowej, aby

[23] E. Rybicka, *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*, Kraków 2014, s. 248.

[24] Poetyką percepcyjną określa Elżbieta Rybicka jedną z poetyk prezentacji miasta w literaturze (obok poetyki dokumentu społecznego i poetyki konstruktywistycznej). Poetyka percepcyjna służy zapisowi miejskiego sensorium, doznań zmysłowych w tekstach przechadzkowych, umożliwia oddanie migotliwości, zmienności i ulotności wrażeń. Zob. E. Rybicka, *Modernizowanie miasta. Zarys problematyki urbanistycznej w nowoczesnej literaturze polskiej*, Kraków 2003, s. 33.

odwiedzić znane sobie okolice warsztatów szkoły mechanicznej, a staje się świadkiem urbanistycznych przeobrażeń modernizujących miasto. Ślady dawności przypominające przeszłość znikają, zarastają trawą pogorzeliska, a „kłapouche" buldożery przygotowują teren pod budowę nowych, wysokich bloków. O dawnej Sosnowej przypominają już tylko wiśnie, które „ciut po łobuzersku obstąpiły wysokościowe domy"[25]. Stary, opuszczony gmach warsztatów, który narrator z uczuciem nazywa „budyniskiem", pełni funkcję śladu pamięciowego, przywołującego wspomnienia przedwcześnie zmarłych przyjaciół.

> Na Sosnowej przeżyłem właśnie coś takiego, z czym do tej pory się nie zetknąłem. I nie znalazłem dlań nazwy – ani w smutku, ani w radości, ani w obojętności. Z takim niezrozumiałym uczuciem rozmawiamy chyba z na poły zapomnianym znajomym, gdy natkniemy się na niego przypadkiem, wychodząc ze swojego zaułka[26].

Spacer ulicami dzielnicy – przekształcającej się z peryferyjnej, fabrycznej, w blokowisko – wzmaga poczucie przemijania i budzi silne emocje wobec doświadczanego miejsca. Ono bowiem posiada siłę uobecniania przeszłości, a siła ta tkwi we wrażeniach sensorycznych, a szczególnie olfaktorycznych. Zapach właśnie – jak zauważa Rybicka – stanowi mimowolne źródło pamięci miejsc i krajobrazów[27]. Zapach, należący do przestrzennych ram pamięci, wpływa na specyfikę miejsca, stanowiąc o jego tożsamości. Doznane niegdyś na Sosnowej „odczucie fabrycznego Białegostoku, stukotu młotów parowych, zapachu opiłków metalu" powraca podczas spaceru, mimo że wokół gmachu pachnie teraz „dojrzałym ostem i mieszaniną woni zarośniętych trawą pogorzelisk"[28]. Twórczość Janowicza ma niewątpliwie aspekt osmotopograficzny i wiele wnosi do zapachowego krajobrazu miasta**,** a tym samym do sensorycznej geografii Białegostoku[29].

Miasto, zamieszkiwane głównie przez tych, którzy przybyli do niego w poszukiwaniu pracy lub z powodu nauki, porzuciwszy swoje wiejskie środowisko, przedstawione jest w prozie Janowicza jako przestrzeń nasycona atmosferą tęsknoty i smutku. W opowiadaniu zatytułowanym *Pewnego dnia* chłopak z Krynek, mieszkający w Białymstoku, przechadza się po ulicy Jurowieckiej, rozpoznawanej przez przyjeżdżających do miasta z okolicznych miejscowości po spowijającym ją zapachu spalin, dobiegającym z dworca autobusowego oraz zapachu smażonych

---

[25] S. J a n o w i c z, *Na dawnej Sosnowej*, przeł. A. Sobecka w: *Trzecia pora*, s. 113.
[26] Tamże.
[27] E. R y b i c k a, *Geopoetyka*, s. 263.
[28] S. J a n o w i c z, *Na dawnej Sosnowej*, s. 112.
[29] Białystok jako „bukiet zapachów", poznawany przez zmysł węchu, który zapewnia podmiotowi bardziej intymną, emocjonalną więź z miastem, przedstawia Krzysztof Gedroyć w *Listach z dolnego miasta*, gdzie pisze: „Każda dzielnica dolnego miasta ma swój zapach. Inaczej pachną drewniane domy otoczone drzewami, inaczej domy murowane pozbawione ogrodów, inaczej te, w których trzyma się zwierzęta w chlewach, inaczej te, w których po deszczu długo stoją kałuże. […] Pamięć zapachów dolnego miasta towarzyszy mi podczas podróży, przypomina, że zapachy obce są rzeczywiście obce, nie posiadają tego szczególnego, najlepszego składnika – swojskości". Zob. K. G e d r o y ć, *Listy z dolnego miasta*, Kielce 2003, s. 55.

ryb, wydobywającym się ze znajdującej się nieopodal smażalni. Józik jest typowym dla prozy Janowicza bohaterem o melancholijnej naturze, który w chłodzie odwilży przemierza trotuar w pobliżu dworca. Tu – gdzie zazwyczaj odprowadzał ojca lub czekał na jego przyjazd – przywiodło go poczucie pustki, dla niego samego niezrozumiałej. Sam nie wiedząc, czego szuka na dworcu, staje się obserwatorem ludzi powracających na wieś po męczącym dniu spędzonym w mieście na załatwianiu różnych spraw. W ludziach oczekujących na autobus do Krynek zapewne rozpoznaje siebie sprzed lat.

Bohaterowie Janowicza doświadczają miasta w ruchu, podczas spaceru jego ulicami, co sprzyja obserwacji i refleksji, pozwalającej im zrozumie***ć*** zachowania swoje i innych w przestrzeni miejskiej. Doświadczenie ulicy staje się tym samym formą oswajania miasta, a więc jego zamieszkiwania. Białystok w miniaturach Janowicza ukazany jest właśnie jako miejsce, w którym ludzie przybyli ze wsi zakorzeniają się i zadomawiają. „W mieście każdy dzień jest świętem" – jak mówi bohater w cytowanym już opowiadaniu *Tania*, przeciwstawiając miasto, którym rządzą prawa widowiska, wsi rządzonej pracą. Tym samym miasto nabiera charakteru sceny, na której bohaterowie miejskiego dramatu nakładają maski, aby wyrazić swoje zadowolenie z życia.

Doświadczenie przestrzeni miejskiej w prozie Janowicza ulega przemianie wraz ze zmianą kondycji spacerowicza, coraz bardziej identyfikującego się z miastem. Postawa obserwującego socjologa, próbującego poznać i zrozumieć zachowania mieszkańców niedawno przybyłych ze wsi, przekształca się w postawę kontemplującego poety, który już nie zdobywa wiedzy o mieście, ale tego miasta doznaje, odczuwając jego atmosferę. Janowicz przedstawia sytuację, kiedy przestrzeń miejska – oswajana w procesie jej zamieszkiwania – krystalizuje się jako szereg konkretnych miejsc. Michel de Certeau twierdzi, że fragment przestrzeni staje się dla człowieka miejscem wówczas, kiedy ten postrzega je jako „zwiniętą" historię i rozumie opowieść, którą miejsce przed nim rozwija[30].

Przykładem takiego poetyckiego doznania miejsca, które rozwija przed narratorem opowieść jest utwór *Ulica Kościelna*, przedstawiający obraz spokojnej ulicy, przecinanej budowaną wielkomiejską arterią komunikacyjną. Pisarz daje impresjonistyczne wyobrażenie przestrzeni drżącej pod wpływem ruchu odbywającego się na nowej, „cynicznej" ulicy, wywołującego wstrząsy, z powodu których stare budowle przechylają się i – szukając ratunku – czepiają się starej ulicy Kościelnej.

> Aleja Pierwszego Maja rozcięła Kościelną w dolinie nad Białką, pocwałowała pośród kolorowych dzielnic; młoda. Od jej dudnienia – na pagórku przy Lipowej wykrzywił się kościół, zaś na pagórku za Białą uczepiło się ulicy Warszawskiej dawne „realnoje uczyliszcze"[31].

---

[30] M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność*, s. 109.
[31] S. Janowicz, *Ulica Kościelna*, przeł. J. Czopik, w: tegoż, *Trzecia pora*, s. 111.

Cytowany utwór stanowi zapis radości doświadczania miejskiej przestrzeni przez wrażliwego spacerowicza, którego wyznanie „kocham wiatr na ulicy Kościelnej" świadczy o intymnej, zmysłowej relacji z miastem. Ta miniatura jest przykładem obecności w przestrzeni miejskiej tak zwanych momentów poetyckich, które – jak opisuje je Pierre Sansot w *Poétique de la ville* – oddziałują na wyobraźnię człowieka, tworząc szczególne relacje między nim a miastem. „Momenty poetyckie", decydujące o poziomie poetyckości miasta, są to miejsca lub sytuacje, które wprowadzają mieszkańca czy turystę w stan zadowolenia bądź wzburzenia, które inspirują myśli bądź pobudzają do czynów. Sansot, wśród opisanych przez siebie praktyk miejskich, będących odpowiedzią na poetyckość miasta – w myśl głoszonej przez niego zasady, że „człowiek tworzy miasto jak miasto tworzy człowieka" – dużą wagę przypisuje „geografii sentymentalnej dzielnic"[32], dziedzinie opartej na założeniu, że różne miejsca w przestrzeni miejskiej, niosąc różnorodne doznania zmysłowe, prowokują do innego typu praktyk estetycznych.

Doświadczenie ulicy Kościelnej, dzięki „momentowi poetyckiemu", który dał narratorowi chwilę zadowolenia i pobudził do refleksji, urosło do rangi miejskiej praktyki estetycznej. W miniaturach Janowicza – oddających poprzez formę fragmentaryczność, efemeryczność, migotliwość, nietrwałość miejskich doznań – „momenty poetyckie" wiążą się raczej z miejską poezją codzienności, określającą miasto w budowie, z rozwijającym się przemysłem, ubogie w zabytki historyczne, zafascynowane „małą stabilizacją", szare[33]. Doświadczenie szarości miasta powraca w wielu utworach Janowicza, a nasila się wraz z – charakterystycznym dla świata przedstawionego jego miniatur – wiejącym wiatrem utrudniającym poruszanie się i miotającym w przechodniów piaskiem, śniegiem, deszczem. Typowy dla takiego obrazowania jest fragment *Wielkiego miasta Białegostoku*:

> Wiatr zacina w oczy, nocą nawiało mokrego śniegu. Droga jest przykra, zwłaszcza obok gmachu sądu, pod którym murarze przebudowują wielkie schody; leżą tu zwały betonu i cegieł, kupy piasku. Wichura miecie piachem, który z wysokich schodów sypie się w dół, na chodnik. Prosto w oczy[34].

Bohaterowie Janowicza w swoich praktykach miejskich zawłaszczają miasto, przechadzając się po nim, a tym samym wytwarzając „opowieści przestrzenne", które na wzór komunikacji werbalnej posiadają swoje znaczenie i styl. Poprzez „piesze akty wypowiadania" bohaterowie wyrażają swoje związki z miastem. Spacer ulicą Jurowiecką, w stronę dworca autobusowego, staje się opowieścią

---

[32] P. Sansot, *Poétique de la ville*, Paris 2009, s. 410–411.

[33] Gedroyć przedstawia Białystok poprzez metaforę szarości, która nawet w słoneczne dni „przyczepia się" do murów, drzew, ludzi. Tym kolorem banalności, zwyczajności, smutku charakteryzuje mieszkańców miasta, „nienawykłych do oryginalności, wybryku, rozbłysku". W szarości widzi jednak siłę twórczą, która: „[…] skrywana i wstydliwa, ale w zamian gotowa chwytać rzeczy małe a ważne w ich prawdziwym rozmiarze, bez powiększania, rozdmuchiwania, upubliczniania". Zob. K. Gedroyć, *Listy z dolnego miasta*, s. 96.

[34] S. Janowicz, *Wielkie miasto Białystok*, s. 138.

o tęsknocie za wsią. Spacer ulicą Sosnową opowiada o przeszłości, młodości i przyjaciołach. Wędrówki Romantyczną, Uroczą, Kwiecistą, Jagodową rozwijają się w socjologiczny traktat o miejskim dobrobycie. Mieszkańcy miasta poprzez przemieszczanie się wytwarzają przestrzeń, przestrzeń codzienną i świąteczną, przestrzeń wspomnień, tęsknoty, melancholii, przyjemności, dobrobytu.

„Gry kroków kształtują przestrzeń i – jak pisze de Certeau – stanowią osnowę miejsc"[35], a kontynuując tę metaforę można dodać, że na wytworzonej przez kroki osnowie nanoszone są wątki, a więc tkana jest narracja. Metafora miasta-tkaniny znajduje ciekawe realizacje. Javier Maderuelo pisze:

> Ulica, ze swoimi fasadami usytuowanymi naprzeciw siebie [...] jest nicią, która łącząc się z innymi ulicami, tworzy urbanistyczny splot (*tama urbana*), charakteryzujący tkankę miejską. Morfologia i regularność tego splotu [...] to kategorie mówiące same przez się o społeczeństwie, które ów splot skonstruowało[36].

W koncepcji postrzegania ulic – nawiązując do dobrze zadomowionej w teoriach literaturoznawczych metafory tekstu-tkaniny – niczym nitek tworzących splot, ważną rolę odgrywają mieszkańcy, którzy tę „tkaninę" miasta tkają. Z metaforą tą wiąże się także koncepcja tekstury miejsca, zaproponowana przez Rybicką. Teksturę miejsca rozumie ona jako splot materialności miejsca w aspekcie geologicznym z tekstami kultury dającymi reprezentacje tego miejsca[37].

Można zatem powiedzieć, że nie do przecenienia jest udział pisarzy w tworzeniu miejskiej przestrzeni. W organizowaniu przestrzeni de Certeau przyznaje opowieści decydującą rolę:

> Polega ona z pewnością na „opisywaniu". Jednakże „wszelki opis jest czymś więcej niż utrwalaniem", jest „aktem kulturowo twórczym". Ma zarówno władzę rozdzielania, jak i siłę sprawczą (czyni to, co wypowiada), gdy pojawi się określony zespół okoliczności. Opowieść ustanawia wówczas przestrzenie. I odwrotnie, tam, gdzie zanikają opowieści (albo przekształcają się w muzeograficzne przedmioty), następuje utrata przestrzeni: pozbawiona narracji (co stwierdza się zarówno w mieście, jak i na wsi) grupa lub jednostka cofa się ku niepokojącemu i nieuchronnemu doświadczeniu bezkształtnej, nierozróżnialnej i mrocznej całości[38].

Opowieść ustanawiająca przestrzeń, jako swoisty akt założycielski, ma za zadanie – jak wywodzi dalej de Certeau – stworzyć „teatr działań", w którym będzie miało miejsce rzeczywiste działanie. Jeśli narracja posiada moc wytworzenia przestrzeni, posiada także moc wytworzenia miasta. Niewątpliwie twórczość Sokrata Janowicza można uznać za akt założycielski przestrzeni Białegostoku,

---

[35] M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność*, s. 98.

[36] J. Maderuelo, *Poetyki miejsca*, przeł. W. Bryl-Roman, w: *Miasto w sztuce – sztuka miasta*, red. E. Rewers, Kraków 2010, s. 366.

[37] E. Rybicka, *Geopoetyka*, s. 169.

[38] M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność*, s. 123.

która zyskawszy swoją literacką reprezentację, została ustanowiona jako fakt kulturowy. Miejski pisarz – jak podkreśla Ewa Rewers – jest producentem miasta i nanosi na jego mapę „mity, ślady, fantazje, pragnienia i zdarzenia, które z punktów na mapie czynią miejsca”[39]. W ten sposób właśnie wytwarzany jest wyobrażeniowy potencjał miasta, który – jeśli jest wysoki – pozwala według Lyncha wywołać wyraźny i „czytelny” obraz w umyśle obserwatora. Pomimo że teoria Lyncha dotyczy urbanistycznego aspektu miasta, to nie do przecenienia jest performatywny potencjał literatury i sztuki, współkształtujących mentalny obraz miasta.

> Miasto posiadające wysoki potencjał wyobrażeniowy w tym szczególnym sensie będzie wydawać się dobrze uformowane, znaczące, a jednocześnie zachwycające; będzie zapraszało do przyjrzenia się mu bliżej i do uczestnictwa w nim[40].

Utwory Sokrata Janowicza tematyzujące Białystok mają niewątpliwie swój udział w procesie wytwarzana potencjału wyobrażeniowego miasta. Tworzony przez pisarza mentalny obraz miasta silnie oddziałuje na wyobraźnię szczególnie tego czytelnika, który jest uczestnikiem reprezentowanej w literaturze miejskiej przestrzeni, który praktykuje miasto. Janowicz w swoich miniaturach przedstawia zaobserwowane na scenie miasta banalne sytuacje, składające się na treść jego codziennego życia. Te banalne sytuacje – tworzące psychologiczno-socjologiczne obrazki miejskie – dobrze oddają aurę konkretnych miejsc. Można powiedzieć, że miniatury autora *Trzeciej pory* stanowią szkice z zakresu geografii sentymentalnej ulic, gdyż bohaterowie praktykują miasto, aby odnaleźć w nim subiektywne wrażenia, wspomnienia, doznania zmysłowe. Przechadzają się w miejscach, które są jak echa rezonujące melancholią czy nostalgią.

Miniatury Sokrata Janowicza, nazwane przez niego sokratkami, nie tylko nawiązują do imienia pisarza, ale też przywołują ideę przechadzek Sokratesa po mieście, co wobec interpretowanych powyżej ma szczególne znaczenie. Nazwa nawiązuje bowiem nie tylko do imienia pisarza. Bohater *Wielkiego miasta Białegostoku*, spacerowicz-myśliciel – jak Sokrates zaczepiający napotkanych na ulicy ludzi, aby rozmawiać z nimi o życiu społecznym – w swoich dialogach ze spotkanymi mieszkańcami Białegostoku także poddaje refleksji przemiany zachodzące i w mieście, i w społeczeństwie. Miejscem tych dialogów stają się ulice, gdyż poruszający się po nich ludzie, mieszkańcy i przyjezdni, swoim uczestniczeniem w miejskiej przestrzeni, konstytuują ją. Tkają teksturę miasta.

---

[39] E. Rewers, *Wprowadzenie*, w: *Miasto w sztuce – sztuka miasta*, s. 7.
[40] K. Lynch, *Obraz miasta*, s. 233.

Beata Siwek
LUBLIN

Studium samotności i alienacji. O powieści *Ściana* Sokrata Janowicza

Nie ulega wątpliwości, że białoruski pisarz, eseista, publicysta, działacz społeczny, Sokrat Janowicz, należy do najbardziej znanych przedstawicieli białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce. Nie ulega też wątpliwości, że refleksja historycznoliteracka nad jego twórczością, mimo licznych już publikacji poświęconych literackim osiągnięciom poetów i pisarzy Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża"[1], wciąż daleka jest od stanu zadowalającego[2]. Ów historycznoliteracki impas wynikać może z faktu, że jego twórczości nie można badać według jednego klucza metodologicznego. Różnorodność gatunkowa tekstów Janowicza, ujawnione w wielu utworach skłonności eksperymentatorskie, wykorzystywanie szerokiego wachlarza strategii artystycznych, wreszcie odmienności stylistyczne i językowe, nie pozwalają na powierzchowne czynności analityczne i interpretacyjne. Domagają się indywidualnego podejścia

[1] Patrz m.in.: Ш. Акінэр, *Сучасныя беларускія пісьменнікі ў Польшчы*, пераклад з ангельскае мовы Я. Яновіч, Беласток 1982; T. Zaniewska, *Podróż daremna. Szkice o poezji białoruskojęzycznej w Polsce*, Białystok 1992; Я. Чыквін, *Далёкія і блізкія. Беларускія пісьменнікі замежжа*, Беласток 1997; T. Zaniewska, *A dusza jest na Wschodzie. Polsko-białoruskie związki literackie*, Białystok 1997; T. Zaniewska, *Strażnicy pamięci. Poezja białoruska w Polsce po roku 1956*, Białystok 1997; А. Баршчэўскі, *Творцы беларускага літаратурнага руху ў Польшчы 1958–1998*, Мінск 2001; В. Стральцова, *Шлях да сябе. Сучасная аўтабіяграфічная проза як мастацкая сістэма*, Мінск 2002; А. Макміліи, *Беларуская літаратура дыяспары*, Мінск 2004; B. Siwek, *Ojczyzna duża i mała. Poeci Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" wobec problematyki ojczyźnianej*, Lublin 2004; Я. Чыквін, *Па прызванні і абавязку. Літаратурна-крытычныя артыкулы*, Беласток 2005; Г. Тварановіч, *Пры брамах Радзімы. Літаратурнае аб'яднанне Белавежа: станаўленне, праблемы, асобы*, Беласток 2012.

[2] Bibliografię prac poświęconych twórczości Sokrata Janowicza dopełniają m. in.: Z. Trzisz ka, *Sokrata Janowicza wiersz prozą i proza wierszem*, „Fakty 79" 1979, nr 32; K. Sacharczuk, *Białoruskie doświadczenie pogranicza w ujęciu Sokrata Janowicza*, „Przegląd Humanistyczny" 1990, nr 10; W. Woroszylski, *W małej ojczyźnie Sokrata Janowicza*, „Rzeczpospolita" 1994, nr 6–7; K. Sawicka-Mierzyńska, *Wokół narracji tożsamościowej Sokrata Janowicza*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze" 2012, nr 3, s. 173–185; E. Konończuk, *Białostockie pasaże tekstowe Sokrata Janowicza, Krzysztofa Giedroycia i Ignacego Karpowicza*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989 roku). Nowoczesność – regionalizm-uniwersalizm*, red. M. Kochanowski, K. Kościewicz, Białystok 2012, s. 15–35; D. Kulesza, *To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza*, „Annus Albaruthenicus" 2012, s. 21–49.

badawczego, wnikliwości i pieczołowitości w odkrywaniu złożoności tematycznej i formalnej jego tekstów. Pozornie prosty i niewymagający język jego utworów wydaje się być jedynie literacką grą z odbiorcą, przykrywką dla utajonych treści i znaczeń. Nie bez znaczenia jest też zapewne kulturowo-historyczna perspektywa obecna w tekstach białoruskiego pisarza, świadcząca o ich odrębności i oryginalnym charakterze, o czym pisał Jan Czykwin w szkicu *Kości zostały rzucone*:

> Oryginalność, inność piśmiennictwa białoruskiego w Polsce jest założona przede wszystkim, jak należy sądzić, w jego przestrzeni przedwerbalnej, w tekstach przedliterackich, to znaczy w sui generis białoruskich faktach, zjawiskach, procesach, losach ludzkich, ich ontologii. Literaci tę osobliwość naszej części etnosu białoruskiego, wynikającą ze zdwojenia albo i potrojenia nawarstwień kulturowych jako efektu pogranicza, tylko twórczo podchwytują, sublimują i wynoszą na powierzchnię życia społecznego w postaci artefaktów[3].

Już pierwszy opublikowany przez Sokrata Janowicza w 1969 roku zbiór literacki *Zahony* zaświadczył o wyjątkowej artystycznej wrażliwości pisarza, skłonności do liryzowania rzeczywistości, umiejętności budowania z materii języka wyjątkowych światów, wielowymiarowych przestrzeni ludzkiego ducha, wielobarwnych obrazów.

Swoista maniera poetycka słynnych „sokratek"[4] wycisnęła trwały ślad w świadomości twórczej białoruskiego poety i powracać będzie w wielu jego późniejszych tekstach i to bynajmniej nie tylko poetyckich, ale i prozatorskich. Bogactwo obrazotwórczych epitetów, rozbudowana metaforyka i symbolika, operowanie paralelizmem wersyfikacyjno-składniowym i powtórzeniem leksykalnym o niebywałych właściwościach muzyczno- i nastrojotwórczych, wreszcie obfitość składniowych środków retorycznych dały w istocie efekt niepowtarzalny, swoistą podbudowę formalną dla zobrazowania istotnych kwestii mentalnych, tożsamościowych, egzystencjalnych, które przenikają do poetyckiego świata tej twórczości.

Częstokroć ów świat nie daje się poznać inaczej, jak tylko poprzez klucz autobiograficzny. Włączanie śladów pamięciowych w treść tekstu literackiego wydaje się być ulubioną metodą Sokrata Janowicza, jest też zapewne świadectwem intensywności przeżyć i umiejętności ich literackiego przetworzenia. Przeżyć – co należy podkreślić ze szczególną mocą – tak silnie zdeterminowanych przez historię:

> Nie da się zmienić faktu, że moje, Sokrata Janowicza, przyjście na świat i wzrastanie weń działo się w Krynkach. Wówczas, w 1936 roku, powiększyłem liczbę

[3] J. Czykwin, *Kości zostały rzucone*, w: tegoż, *Па прызванні і абавязку*, s. 192.

[4] Terminem tym, który wszedł już na stałe do słownika terminów literackich, określa się liryczne miniatury Sokrata Janowicza.

> obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Po trzech latach moją dużą ojczyzną stał się ZSRR, a po kolejnych dwóch latach znalazłem się w Nowych Prusach Wschodnich, czyli w III Rzeszy Niemieckiej, anektującej te ziemie. Różne ojczyzny pochłaniały moją jedyną małą. Gdybym był Polakiem, a moja ojczyzna rdzennie polską, wówczas komplikacje w snuciu refleksji o niej okazałyby się znaczenie prostsze. Tymczasem do aspektu narodowościowego dodać jeszcze muszę aspekt konfesyjny, ową peryferyjną smugę prawosławia. Ileż w wyniku tego wypada dźwigać obciążeń[5].

Powyższy fragment, podobnie jak szereg innych utworów Sokrata Janowicza, wskazuje na uporczywie nawracające w jego twórczości tematyczne dominanty – temat małej ojczyzny, tęsknota za utraconą Arkadią, poszukiwanie tożsamości narodowej i osobowej. Człowiek w literackim ujęciu białoruskiego twórcy jest istotą nieustannie podróżującą, wędrowcem tułającym się po bezdrożach życia, niczym Odys, podstawowy wzór mityczny dla każdego *homo viator*. Nie oznacza to jednakże, że otaczający świat jest dla bohaterów utworów Janowicza zawsze przestrzenią bezkresną, przestrzenią samotności i zapomnienia. Nic bardziej błędnego. Stałym punktem odniesienia na ich duchowej mapie świata staje się bowiem przestrzeń dzieciństwa, miejsce niezmąconej niczym szczęśliwości, naznaczone obecnością najbliższych, ostoja w najtrudniejszych momentach życia, w najbardziej złożonych sytuacjach egzystencjalnych:

> Porzucić niskie, wydeptane progi domu ojca, by losu jego uniknąć, masz prawo. Zapomnieć omglone wschody słońca i zapachy lipowego kwiatu, by szybciej iść po dudniących asfaltach – masz prawo. Stłumić wspomnienia ciepłego dzieciństwa, pierwszych radości twego życia, żeby odległe marzenia przybliżyć – masz prawo. Słowa – pieśń swoją cisnąć w pył gościńca, by słupy milowe szybciej uciekały – masz i to prawo. Ale gdy z bólu na łzy ci się zbierze – kołysankę matczyną wspomnieć musisz[6].

Sokrat Janowicz nader często poszukuje klucza do opisu kultury i odpamiętnienia historii (i to nie tylko historii w skali makro, ale też tej jednostkowej, osobistej) w dzieciństwie. Pamięć dzieciństwa, przywracanie mu znaczenia, stanowi wyraz uporczywego, choć może nie do końca uświadamianego dążenia do potwierdzenia własnego istnienia, silną potrzebę odwołania się do znaków, symboli, śladów, które składają się na tożsamość osobową, a jednocześnie stanowią ważny element kształtowania się tożsamości etnosu. Przywołana w utworze postać matki stanowi personifikację twórczej mocy, jest prawzorem wszelkiej kreacji. Jest jednocześnie figurą afirmacji tego, co wyjątkowe i poza dyskursem. Obraz ten będzie powracał w twórczości Sokrata Janowicza niezwykle często, przynosząc za każdym razem nowy ładunek emocjonalny, obrastając w nowe treści.

---

[5] S. J a n o w i c z, *Terra incognita: Białoruś*, Białystok 1993, s. 62.

[6] S. J a n o w i c z, *Do mojego syna*, przeł. L. Kożuszko, w: t e g o ż, *Listowie*, Białystok 1996, s. 16.

Nie jest to jednakże dominujący motyw tematyczny pisarstwa Janowicza. Już nawet pobieżna analiza jego literackich tekstów pozwala stwierdzić, że w centrum jego artystycznego świata znajduje się człowiek wyobcowany, żyjący z dala od swej małej ojczyzny, zaabsorbowany wielkomiejską rzeczywistością, kierujący swoją uwagę na to, co pozwala mu przetrwać. Perspektywa filozoficzna, zaznaczająca się poprzez sposób kreacji i duchowe metamorfozy bohaterów jego tekstów, odwołuje nas do myśli Martina Heideggera i wprowadzonej przez niego kategorii *Dasein*[7]. Dla niemieckiego hermeneuty *Dasein* jest wyróżnionym bytem, bo ma możliwość pytania o bycie, istnieje ono w świecie i odnosi się do otaczającego świata rozumiejąco i z troską, co oznacza, że potrafi się w nim znaleźć i zachować. Odniesienie Heidegger rozumie jako rzucenie projektu swoich możliwości, zrozumienie, że jest się między nimi[8]. Literacki bohater Sokrata Janowicza, choć często samotnik, dokonuje samoidentyfikacji najczęściej poprzez relacje z innymi. Konfrontacja z drugim człowiekiem, ukazanie bohatera w relacjach społecznych, stanowi pretekst do ukazania wewnętrznych dylematów i rozterek człowieka doświadczającego przeżyć granicznych, żyjącego na pograniczu dwóch światów – pożądanego, wyobrażeniowego i konkretnego, doświadczanego *hic et nunc*. Zderzenie z drugim człowiekiem jest niczym innym, jak tylko okazją do poznania samego siebie, możliwością dotarcia do najgłębszych pokładów świadomości i nieświadomości, których kolejne warstwy odsłaniają nam złożoność ludzkiej struktury wewnętrznej.

W sposób szczególny problematyka ta wybrzmiała w utworze *Ściana*[9], jednym z nielicznych tekstów powieściowych w bogatym dorobku literackim białoruskiego pisarza. Jak wspomniałam, swoistym kluczem do odczytania dzieła Sokrata Janowicza jest klucz autobiograficzny. Bez wątpienia można by go zastosować w procesie interpretacji interesującej nas powieści. Nie możemy jednakże zapominać o fakcie, że stosunkowo często ów klucz ogranicza odczytanie tekstu, zawęża jego znaczenia, sprawia, że utwór zostaje przez badacza wtłoczony w zbyt wąskie ramy, zaszufladkowany. A zatem w naszym odczytywaniu bogatego świata powieściowego Sokrata Janowicza pójdziemy nieco dalej, poszerzymy pole interpretacyjne, odkryjemy złożoność poszczególnych warstw znaczeniowych, skoncentrujemy naszą uwagę na kwestiach uniwersalnych, o fundamentalnym znaczeniu dla zrozumienia duchowej kondycji człowieka i wpływie środowiska zewnętrznego na jego rozwój osobowy.

---

[7] *Dasein* (dosł. tu-bycie) patrz więcej na ten temat: A. Burzyńska, M. P. Markowski, *Teorie literatury XX wieku. Podręcznik*, Kraków 2006, s. 181.

[8] W kontekście naszych rozważań niemniej istotne będą refleksje filozoficzne Heideggera dotyczące kategorii sytuacji. Według filozofa sytuacja stanowi jakby środowisko, w którym zachodzi proces rozumienia; odnoszenie się *Dasein* do własnego bycia. Elementami sytuacji, w której każdorazowo Heidegger szukał prawdy bycia, są poszczególne byty – narzędzia, rzeczy-do-czegoś. Zob. *Słownik myśli filozoficznej*, red. M. Siwiec, Warszawa 2011, s. 363.

[9] Powieść opublikowana była w Polsce zarówno w oryginale, jak i w przekładzie na język polski. Patrz: S. Janowicz, *Ściana*, przeł. J. Plutowicz, Olsztyn 1979; С. Яновіч, *Сцяна*, w: tegoż, *Доўгая смерць Крынак. Апавяданьні, аповесьць*, Беласток-Бельск 1993, s. 71–253.

Choć struktura utworu jest starannie przemyślana, to sama fabuła nie stanowi o jego wartości. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że to, co w powieści najważniejsze dzieje się poza wymiarem fabularnym, związane jest nie tyle z układem zdarzeniowym, ale nadbudowaną na owym układzie refleksją filozoficzną i antropologiczną, dzięki której wszelkie „dzianie się" daleko wykracza poza tradycyjne pojmowanie akcji. Aleksander Barszczewski pisząc o powieści *Ściana* krytycznie ocenia samą kompozycję utworu. Zauważa, że autor nierównomiernie rozłożył elementy dynamiczne, a pierwsza część powieści „pogrąża się w bezruchu"[10]. I choć na pierwszy rzut oka opinia ta wydaje się trafna, to jednakże trudno stwierdzić z całą pewnością, czy taki model kompozycyjny jest efektem świadomych działań artystycznych, czy wynika może z niedostatecznego opanowania warsztatu powieściowego. Cel, jaki osiągnął autor ograniczając w istotny sposób motywy dynamiczne, pozwala opowiedzieć się za pierwszą propozycją, czego postaramy się dowieść poprzez szczegółowy ogląd poszczególnych elementów strukturalnych utworu i zastosowanych w nim technik narracyjnych. Nie bez znaczenia dla realizacji interesującego nas tematu pozostaje fakt, że powieść Janowicza utrzymana jest w konwencji powieści realistycznej. Jak zauważa Ewa Kosowska, teksty pisane w takiej właśnie konwencji są znaczące dla podejmowania analiz antropologicznych. Uniwersalistyczne koncepcje człowieka, formułowane na gruncie antropologii filozoficznej, znajdują nierzadko swój wyraz w dziełach literackich, a utwory realizujące zasadę referencji wydają się najlepiej predestynowane, by na ich podstawie te koncepcje rekonstruować:

> Poszukiwanie w powieści informacji typu antropologicznego ciągle jeszcze napotyka na opór: opis kulturowy kojarzy się z prawdą, powieść z fikcją. I nawet w sytuacji podważania prawdziwości materiałów antropologicznych ze względu na specyfikę konwencji językowych stosowanych przy ich spisywaniu – możliwość uznania tekstu literackiego za źródło antropologiczne nie wydaje się dobrze uzasadniona. Na przeszkodzie stoi tu fikcja – świadome oszustwo, tworzenie nierzeczywistych sytuacji, nieautentycznych postaci, sfingowanych zdarzeń. I nie ma tu najczęściej znaczenia, że ta imitacja świata posklejana jest z prawdziwych detali, niekiedy tak drobnych, że umykających opisom profesjonalnych antropologów. Właśnie owe niuanse współtworzą niepowtarzalny często kontekst kulturowy, w którym fikcyjne działania fikcyjnych bohaterów zyskują sens i wiarygodność[11].

Nie inaczej jest w przypadku interesującej nas powieści. Zarówno porządek przestrzenny utworu, jak i przyjęty model struktury czasowej są zrealizowane w taki sposób, że akcentują silną zależność jednostkowych losów od rzeczywistości społecznej i kulturowej. Postaci w powieści *Ściana* są wypadkową stosunków

---

[10] А. Б а р ш ч э ў с к і, *Творцы беларускага літаратурнага руху ў Польшчы 1958–1998*, s. 399.

[11] E. K o s o w s k a, *Negocjacje i kompromisy. Antropologia polskości Henryka Sienkiewicza*, Katowice 2002, s. 19.

międzyludzkich, a każda z nich stanowi sumę odniesień do pozostałych. Działanie człowieka, sposób reagowania w określonych sytuacjach najlepiej charakteryzują jego osobowość.

Białoruski pisarz postrzega człowieka zawsze w jego oddziaływaniu na innych. Jego bohaterowie nigdy nie są całkowicie wyizolowani, a raczej tragicznie powiązani losami z innymi ludźmi, ukazani w procesie wzajemnego wpływania na siebie.

Fabułę powieści *Ściana* tworzy historia Stefana Sumleniewicza, młodego człowieka wkraczającego w wielkomiejską rzeczywistość, rzuconego w wir biurokratycznej machiny urzędniczej, która przygniata go coraz mocniej, by w końcu doprowadzić do moralnej i duchowej degradacji, do zburzenia spokoju i poczucia bezpieczeństwa, do załamania się systemu wartości życiowych i kryzysu tożsamościowego. Jego życie przypomina swoistą wędrówkę człowieka przez labirynt miasta, które przytłacza, stawia na drodze liczne wyzwania, nierzadko trudne do zrozumienia, a tym bardziej do zrealizowania. Życie Sumleniewicza jest nieustannym, mozolnym, aczkolwiek uporczywym poszukiwaniem własnego miejsca w świecie, poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie: kim jestem i dokąd zmierzam?

W kontekście podjętego przez Janowicza tematu nieprzypadkowy wydaje się fakt nadania centralnej postaci powieści tak zwanego znaczącego nazwiska, wskazującego, w tym przypadku, na podstawową cechę postaci. Taki zabieg, jak powszechnie wiadomo, stanowi jeden z najprostszych sposobów charakterystyki i projektowania oczekiwań odbiorcy związanych z działaniami i postawami bohatera[12]. Jeśli odwołamy się do białoruskich słów „сумленне", „сумленны", oznaczających sumienie, sumienność, rzetelność, staje się jasne, że nazwisko pełni w utworze dodatkową rolę charakteryzacyjną[13]. Dodać należy jednakże, że przypisany temu słowu krąg znaczeń w ograniczonym tylko zakresie przybliża nam postać bohatera. Jest to wszak człowiek o wyjątkowo skomplikowanej strukturze psychicznej, co sprawia, że w ostateczności wymyka się wszelkim klasyfikacjom i ograniczeniom, jest ukazany *in statu nascendi*, niezrozumiały i dla siebie, i dla innych. Narrator powieści już w pierwszych zdaniach utworu sygnalizuje ową złożoność bohatera, wskazuje też na ogromne znaczenie tego, co nieuświadomione, a co determinuje jego zachowanie i relacje z otoczeniem:

> Odczuwał niepokój. Po raz pierwszy ogarnęło go tak silne uczucie niepokoju, zbliżone do strachu. Nie znajdował wyraźnych przyczyn, które by mogły wytłumaczyć ów stan ducha [...] Przeanalizował cały tydzień, dzień po dniu, i uświadomił sobie, że nie czuje pociągu do żony. Dostrzegł w niej zaledwie cichą przystań

[12] Patrz więcej na ten temat: T. K o s t k i e w i c z o w a, *Nazwiska znaczące*, w: *Słownik terminów literackich*, red. J. Sławiński, Warszawa 2000, s. 338.

[13] Ten typowo klasycystyczny zwyczaj nieobcy był też białoruskim poetom i pisarzom późniejszych epok. Znaczące nazwiska pojawiają się m.in. w twórczości Wincentego Dunina-Marcinkiewicza i Janki Kupały.

> po niespokojnym dniu, nic więcej. Do świadomości docierało to opornie, wręcz niechętnie[14].

Swoisty dyskurs miłosny, nierzadko obecny w strukturze powieści, wynika w dużej mierze z poczucia niespełnienia i nienasycenia, wskazuje na uwięzienie człowieka w świecie cieni, złudzeń, iluzji. Janowicz wielokrotnie akcentuje rolę i odmienność pierwiastka męskiego i kobiecego. To, co pożądane, zwykle przejawia się za pomocą struktur fantasmagorycznych, co powoduje w konsekwencji powolne rozszczepienie się osobowości Sumleniewicza, doprowadza do stworzenia ogromnego dystansu na płaszczyźnie życia uczuciowego, małżeńskiego. Wyobrażenie senne nierzadko pełni w powieści Janowicza funkcję fantazmatu umożliwiającego zaspokojenie pragnienia. Zaznaczyć przy tym należy, że senne fantazje naszego bohatera dotyczą nie tylko sfery seksualnej, ale wykraczają poza to, co cielesne, materialne, kierują się w stronę potrzeb duchowych. Jest to zatem pragnienie pozbawione teleologicznego charakteru, odzwierciedlające, poprzez retorykę obcości, pragnienie „innego". Również wprowadzone do tekstu liczne monologi wewnętrzne, wpisane w ramową narrację i nieco zbliżone w swej strukturze do monologów strumienia świadomości, są najlepszym świadectwem poszukiwań przez Sumleniewicza własnej autentyczności, prawdy, duchowej koherencji, odpowiadają psychicznej rzeczywistości bohatera:

> W słownej utarczce z Kirą nie spodobało mu się swego rodzaju wydumanie, trąciła literackością ta wymiana zdań. Skąd się to wzięło? Już wtedy między nimi pojawiło się coś niedobrego, coś, co dzieliło bezpowrotnie. Jak struga wody drążąca górę, początkowo rowek wygląda dość niepozornie… Ich życie ulegało rozstrojeniu, narastała obcość. Stefan wciąż przymierzał się do przemyślenia tego, co się wydarzyło, ale nie znajdował w sobie niezbędnej stanowczości [s. 19].

W powieści Janowicza, zarówno fabularnie, jak i narracyjnie wyeksponowana została opozycja autentyzmu i sztuczności. To wyraźne rozdwojenie fabuły odpowiada w dużej mierze dysproporcjom między doświadczeniami Stefana – z jednej strony doświadczenia uczestnictwa w życiu społecznym i zawodowym, z drugiej doświadczenia obserwacji owego życia, rejestrowania i interpretowania wszelkich faktów. Świadomość głównego bohatera jest ujęta jednostkowo, pokazana w wielofazowym rozwoju. Początek powieści to faza powolnego uświadamiania sobie braku spójności w oglądzie samego siebie i najbliższej, oswojonej rzeczywistości. Niemałą rolę w tym procesie odgrywają sny i reminiscencje z czasów dziecięcych i młodzieńczych. Wydarzenia z przeszłości ukazane są bardzo często z perspektywy zmiany mentalnej, nowej tożsamości wewnętrznej. Strategia ta, wraz z szeregiem innych technik zastosowanych w budowaniu złożonego świata powieściowego (narracja trzecioosobowa, filozoficzne aluzje,

[14] S. Janowicz, *Ściana*, s. 5. Wszelkie cytaty z tekstu źródłowego przytaczam według tego wydania, podając w nawiasie numer strony.

rozbudowane monologi wewnętrzne), stanowi bogaty komentarz do tego, co dzieje się w świecie duchowym naszego bohatera:

> W czasie wszystko ulega przemieszczeniu. Natomiast pierwszy w życiu przepracowany dzień jawi się niby dzieciństwo. Słoneczny, z wydętą wiatrem zasłoną na służbowym oknie, żółte od czystości biurko, miłe od przyjacielskich uczuć twarze współpracowników, szef opiekuńczy jak matka, niezwykle ostry ołówek, biały papier, interesująca sprawa, uroczysty interesant. Czy większą wagę miałoby stwierdzenie, że ten dzień w rzeczywistości był pochmurny, zasłona podarta, stół rozłażący się i pełen karaluchów, współpracownicy złośliwi, szef podejrzliwy, a interesant ordynarny jak cholera? Et, liczy się to, co utrwaliliśmy z przeżytego **[s. 24]**.

Dokonuje się tu swoista rekonstrukcja dzieciństwa. W dziecięcym sposobie myślenia białoruski pisarz odnajduje takie umiejętności, które dorosłość bezpowrotnie odbiera. W procesie docierania do owego świata, nasyconego niezwykle intensywnymi przeżyciami i emocjami, ogromną rolę odgrywa wspomnienie. Człowiek dorosły, który „pracuje pamięcią" potrafi sprawić, że to, co pierwotne, fragmentaryczne, nieuporządkowane zaczyna scalać się w nowy porządek.

W złożonym świecie powieści *Ściana* niemałą rolę odgrywają wszelkie wyobrażenia przestrzenne. Wszak to przestrzeń miasta właśnie, ta, w którą „wrzucony" został nasz bohater, stanowi miejsce centralne, swoistą opozycję dla przestrzeni wiejskiej, uporządkowanej, nacechowanej aksjologicznie, ze wszech miar pożądanej.

A zatem losy bohatera poznajemy nie tylko poprzez sceny odnoszące się do wydarzeń dziejących się w powieściowej teraźniejszości, ale także – i to stosunkowo często – poprzez te, które odwołują się do przeszłości. Nie bez znaczenia jest też fakt, iż autor wykorzystuje w swojej powieści typ opowiadania unaoczniającego, opierającego się na czasie *praesens historicum*, dzięki czemu zminimalizowany zostaje dystans dzielący narratora od bohaterów, a liczne epizody dzieją się niejako na naszych oczach, przy czym są to zawsze fragmenty ważne, może nawet niezbędne dla jasności fabuły i refleksji.

Zarówno fabuła powieści, jak i podstawowe problemy filozoficzne i moralne zarysowane w utworze Janowicza wykazują pewne analogie do twórczości Franza Kafki, w szczególności zaś do jego słynnej trylogii samotności, na którą składają się powieści *Ameryka*, *Proces*, *Zamek*[15]. Kafkowski bohater jest zwykle człowiekiem niezrozumianym, nieprzystosowanym, odtrąconym przez najbliższych i skłóconym ze światem, który ogranicza jego wolność, osacza go ze wszech stron, wkracza w najbardziej intymne sfery jego życia, przejmując nad nim ostatecznie kontrolę. W powieściowym świecie Kafki nieustannie toczy się

[15] Pisze o tym m.in. Uładzimir Hniłamiodau. Patrz: У. Г н і л а м ё д а ў, *Феномен творчасці Сакрата Яновіча*, w: *З крыніц. Зборнік артыкулаў (матэрыялы з канферэнцыі прысвечанай творчасці Сакрата Яновіча*, Беласток, 8 чэрвеня 1996 года), Беласток 1996, s. 9.

walka człowieka o własną podmiotowość i godność, systematycznie niszczoną przez różne czynniki zewnętrzne[16]. Na uwagę zasługuje również sposób kreacji rzeczywistości. Jak podkreśla Bruno Schulz, Kafka ma swoją własną metodę artystyczną, własne, od nikogo nie przejęte, techniki kreacji postaci powieściowej, dzięki czemu stworzony przez niego świat wykracza poza schematy, uderza intensywnością przekazu, jego siłą:

> Kafka widzi niezwykle ostro realistyczną powierzchnię rzeczywistości, zna on niejako na pamięć jej gestykulację, całą zewnętrzną technikę zdarzeń, sytuacji, ich zazębianie się i przeplatanie, ale jest to dla niego luźny naskórek bez korzeni, który zdejmuje jak delikatną powłokę i nakłada na swój transcendentny świat, transplantuje na swą rzeczywistość. Jego stosunek do rzeczywistości jest na wskroś ironiczny, zdradliwy, pełen złej woli, stosunek prestidigitatora do swej aparatury. Symuluje on tylko dokładność, powagę, wysiloną precyzję tej rzeczywistości, ażeby ją tym gruntowniej skompromitować[17].

W powieści *Ściana* Sokrata Janowicza jest podobnie. Życie głównego bohatera, ukazane na tle wielkomiejskiej rzeczywistości Białegostoku okresu powojennego, stanowi jednocześnie parabolę ludzkiego losu i historię młodego człowieka, pełnego ideałów, ambicji i nadziei. Wydaje się jednak, że białoruski pisarz wkłada w usta narratora powieści subtelną ironię, która nakazuje pewien dystans w odczytywaniu obrazów i zdarzeń składających się na fabułę, a także wobec samego bohatera. Stefan Sumleniewicz „grzeszy" naiwnością i nadmiernym idealizmem, wiarą w sens pracy i nieskazitelną uczciwością, co zdumiewa tym bardziej, że w społeczeństwie, w którym żyje, nie są to wartości pożądane. I choć narrator wielokrotnie powtarza, że Sumleniewicz jest człowiekiem ogólnie szanowanym, poważanym, to w konsekwencji okazuje się, że w zderzeniu z machiną urzędniczego absurdu, światem antywartości, korupcji i bezprawia, staje się bezsilny, a jego ideały ośmieszone:

> E, być dyrektorem, wiecie, znaczy to umieć oszukiwać, panie Sumleniewicz. Tak, tak, bez żartów to mówię. Sprawa, zresztą, nie polega na oszustwie, e, nie, nie. Jeśli wszyscy wokół, wzdłuż i wszerz o tym wiedzą, e, czy więc można to nazwać oszustwem? Kierownik bezwzględnie powinien podążać na spotkanie ludzkim oczekiwaniom, właśnie. Tak, Stefan, nie będziesz pracownikiem kierownictwa! Ludzie sprawiedliwi, wiesz, wzbudzają lęk, e, hm… Chętnie szermujemy

[16] W posłowiu do pierwszego polskiego wydania powieści *Zamek* czytamy: „Bohaterem jego jest człowiek skazany na udrękę samotności, zmagający się beznadziejnie z anonimowymi siłami, które zagrażają ludzkiemu istnieniu. Wieloznaczność Kafkowskich paraboli sprawia, że twórczość tego pisarza należy do najbardziej kontrowersyjnych w dziejach literatury. Przyznają się do niego zarówno egzystencjaliści, jak i zwolennicy idealistycznych poglądów na świat. Lektura Kafki stanowi dla każdego czytelnika własną, niepowtarzalną intelektualną przygodę". Powyższy cytat niewątpliwie wskazuje na liczne analogie łączące pisarstwo niemieckiego prozaika z pisarstwem Sokrata Janowicza. Patrz: F. K a f k a, *Zamek*, przeł. K. Radziwiłł, K. Truchanowski, Warszawa 1958, s. 257.

[17] B. S c h u l z, *Wstęp*, w: F. K a f k a, *Proces*, przeł. B. Schulz, Paryż 1990, s. 11.

> sprawiedliwością wobec naszych wrogów. Nic bardziej poniżającego niż zostać żywą sprawiedliwością, rasowym psem do ścigania złoczyńców [s. 98].

Wraz z rozwojem fabuły przekonujemy się, że ideały bohatera ulegają zatraceniu, a prezentowany system wartości zostaje podważony. Jest w Sumleniewiczu jednakże silne dążenie do jakiegoś rodzaju pełni, pragnienie wykorzystania wszystkich swoich możliwości, często kosztem walki o pole istnienia, o przestrzeń do ich realizacji. Współczesny człowiek, jak już wspomnieliśmy, niestety nie ceni sobie tych wartości, bardziej niż zdzieranie, interesuje go wkładanie masek, pod którymi ukrywa własną tożsamość. Jak trafnie zauważa Manfred Lurker:

> za pomocą maski człowiek stara się przezwyciężyć strach. Ukrywa pod nią swoją bezsilność i ma zarazem nadzieję, że dzięki niej uda mu się wyrosnąć ponad siebie samego. Nosiciel maski wydostaje się „poza siebie", wyzwala od siebie samego i ulega przez to czarowi tego, co nieobliczalne i działające pod powierzchnią. W głębi duszy, zdając się na maskę i symbolizowane przez nią moce, ma – często nie uświadomioną – nadzieję, że uratuje się od upadku w otchłań nicości[18].

Bohater powieści *Ściana* nie potrafi obronić się przed zaciskającą się na jego szyi pętlą. Aby obnażyć iluzoryczność, hipokryzję i bezduszność otaczającego go świata podejmuje działania, które, w istocie, są wymierzone przeciwko niemu samemu. W przypływie złości podpala samochód szefa i sam składa na siebie doniesienie na milicję, w nadziei, że przeprowadzone śledztwo pozwoli dotrzeć do prawdziwych powodów popełnionego czynu – niemoralności otrzymanej od prezesa propozycji. Sprawy komplikują się, kiedy okazuje się, że żona Stefana – Kira, aby rzekomo uchronić męża przed konsekwencjami jego nieprzemyślanych, destrukcyjnych działań, zdradza go z prezesem, co jeszcze bardziej potęguje poczucie niezrozumienia i pragnienie ucieczki od przytłaczającego świata:

> Głupia Kira! Głupie baby! Głupi świat! A najgłupszy Glancpapier! On jest takim właśnie ludzikiem, co to nigdy nie podejmuje ryzyka. I cóż ty bracie-Glancie uzyskasz od swego losu bez ryzyka, co? Średnią pensję na starość, nic więcej. I gorzko przed śmiercią zapłaczesz, tyle lat przeżyłeś tak bez sensu, tyle lat… Do czego doszło? Coraz większa liczba ludzi drży o ochłap, który im rzucono — miotał się Stefan. Nie pogubić się, nie oszaleć. Widzicie go, Glancpapierka! Doradca się znalazł! Ty Sumleniewicz, mówi, uciekaj z pracy do innej. Jeżeli nie zrobisz tego, zginiesz. Oni, bandyci, za nic zrobią ci takie draństwo, jakiego do końca swych dni nie zapomnisz [s. 223].

Świat, w którym żyje Stefan Sumleniewicz to świat, gdzie ludzie tłumaczą, że panujące warunki uniemożliwiają im uczciwe postępowanie. Istniejące układy przeszkadzają człowiekowi w samorealizacji, w pełni degradują go moralnie.

[18] M. Lurker, *Przesłanie symboli w mitach, kulturach i religiach*, przeł. R. Wojnakowski, Warszawa 2011, s. 336–337.

Sumleniewicz, dla którego praca była ważniejsza niż wszystko inne, nawet życie rodzinne, staje się bezwzględny i cyniczny. Ostatecznie ponosi klęskę, a jego wiara w pozytywne wartości okazuje się utopią:

> Wie pan, prokuratorze, w reakcji mojej Kiry, wciąż ją kocham! Oburzyło mnie nawet nie to, że zwątpiła we mnie. W jej usiłowaniach pomocy zetknąłem się z tym wszystkim, co jest przerażające w naszym społeczeństwie: izolacją jednostek, przeciwdziałających rozpadowi podstaw życia społecznego; wszyscy śmieją się z nich i kpią. Do czego doszło! Zdrowie moralne uważane jest za nienormalny stan! Żyć w społeczeństwie, oznacza wierzyć w prawdziwość stwierdzeń wygłaszanych przy stole: Milicja aresztuje cię nie za to, że ukradłeś, ale za to, że nie umiałeś ukraść. [...] Ja już nie wiem, gdzie jestem i kim jestem **[s. 239]**.

W tym dążeniu do postępowania zgodnie z przyjętą hierarchią wartości, konformizm i służalczość, oczekiwane przez świat zewnętrzny, stają w konflikcie z poczuciem własnej godności, niezależności, z pragnieniem zachowania wolności jako dobra nadrzędnego. A stąd już tylko krok do psychicznego rozszczepienia, zatracenia indywidualności, pogrążenia w egzystencjalnym bólu i samotności. Rozdarcie głównego bohatera między dążeniem do realizacji własnych ideałów a nieubłaganymi prawami życia zbiorowego potęguje jego społeczną izolację i rodzi poczucie niezrozumienia. Jednakże nie poddaje się on zbiorowości, tylko odrzuca jej zasady. Wolność, którą w ten sposób stara się ocalić, nierozwieralnie będzie związana z jego samotnością. Końcowy fragment powieści, ukazujący przebieg procesu sądowego Sumleniewicza, wskazuje na fakt totalnego zatracenia się wszelkich ideałów, bezsilności człowieka w konfrontacji z rzeczywistością:

> Wysoki sądzie! Na osobie Stefana Sumleniewicza możemy zaobserwować przykład bezwstydnego krętactwa, w którym pogrążywszy się do samego dna oskarżony nie zawahał się czyste i szlachetne zmieszać z niskim, brudnym i podłym... Przypięto mu wszystko **[s. 255]**.

Konstatując, należy podkreślić, że powieść Sokrata Janowicza *Ściana* stanowi niezwykle interesującą literacką refleksję nad konkretnym ludzkim losem, uzupełnioną rozważaniami o życiu w ogóle, jest więc próbą zrozumienia mechanizmów ludzkich działań, zastanowienia się nad ich przyczyną. Bez wątpienia w analizowanym tekście odnajdujemy liczne ślady autobiograficzne. Sam pisarz niejednokrotnie zresztą podkreślał, że opowiadanie, intryga jest u niego wzięte prosto z życia, z tym jednak, iż on człowieka nie tyle opisuje, co dochodzi do odkrycia, zarówno dla siebie, jak i czytelników, jakiejś prawdy tkwiącej w nim samym[19]. Poczynione w powieści *Ściana* „odkrycie" wydaje się wielce pesymistyczne i silnie krytyczne. Nasycone jest bowiem egzystencjalnym niepokojem

[19] S. J a n o w i c z, *Nie znam siebie*, rozm. T. Zaniewska, w: t e g o ż, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, oprac. R. Traba, Olsztyn 2001, s. 14.

i niepewnością, brakiem wiary w sens wszelakiego działania. Stąd tytułowa ściana jawi się z jednej strony jako symbol ludzkiego dążenia do stworzenia świata odpowiadającego naszym potrzebom, z drugiej zaś jako symbol świata, który marginalizuje i degraduje człowieka.

Jolanta Sztachelska
BIAŁYSTOK

Sokrat Janowicz – odzyskać siebie

Wychowałam się na jednym podwórku z Białorusinami nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Oleg, Tamara, Luba – tak, mieli inne imiona, ale czy dziecku przeszkadza inne imię, skoro mówimy tym samym językiem? Świadomość ich odmienności dotarła do mnie, gdy już byłam dorosłą osobą. Do dzisiejszego dnia pytam, jak było to możliwe, że mieszkając tu, w Białymstoku, na Białostocczyźnie drzwi w drzwi, okno w okno, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że różni nas coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka, tym bardziej że także im samym na owym odróżnianiu się jeszcze wtedy, jakieś 30–40 lat temu nie zależało? Kiedy zaczęłam pracę na uniwersytecie w pamiętnym roku 1980 – pamiętnym, bo rok akademicki zaczął się gigantycznym strajkiem, a potem nastąpiły poważne perturbacje, które oddaliły na jakiś czas moje pobożne marzenia, by zacząć pracować normalnie i móc wreszcie coś w sposób sensowny zaplanować – na wydziale humanistycznym nie słychać było białoruskiego, ani nawet rosyjskiego, choć przecież rusycyści trzymali się jeszcze wtedy całkiem krzepko. Dziś wielojęzyczność filologicznych korytarzy, i to nie tylko w okresie konferencyjnych zjazdów z całego świata, to norma, nikogo nie dziwi wielojęzyczność przechodniów na ulicach czy klientów w białostockich sklepach i galeriach handlowych.

Jako nauczyciel akademicki co pewien czas doświadczałam też różnych niespodzianek, od przeszło 20 lat powtarzających się z pewną regularnością. Oto niektórzy moi studenci zwierzali mi się, że mają problem z identyfikacją narodową, stwierdzali, że nie potrafią porozumieć się z rodzicami, że wychowując się w polskiej szkole i studiując polonistykę, nie bardzo odnajdują się w wiejskiej białoruskiej społeczności, z której wyszli. Funkcjonowanie w dwóch kulturach uznawali za trudne, albo wręcz niemożliwe. Rozumiem, że dokonywali w swoim życiu wyborów, bo od tego zależał ich los, kariera, przyszłość. Od pewnego czasu coraz częściej mam jednak do czynienia z czymś zupełnie innym, można by rzec – trend całkowicie się odmienił – młodzi ludzie przyznają się do białoruskości otwarcie i z aprobatą, chcą wiedzieć więcej na temat własnej kultury i narodowości,

z którą się identyfikują, pozostając najczęściej, także w ich opinii, bezkonfliktowo w dwóch kulturach: polskiej – narodowej, oraz białoruskiej – rodzinnej.

Prywatne refleksje podobno nie należą do nauki, bo trudno je weryfikować, ale w tym wypadku ważne wydaje się osobiste świadectwo zmiany, jaka dokonała się na naszych oczach, zwłaszcza w moim i w młodszym pokoleniu, ludzi urodzonych w latach 50., 60. i później, a więc uwolnionych poniekąd od koszmarów wojennych, oraz wychowanych i wykształconych na terenach wschodniej Polski, które jakimś cudem przechowały usilnie wymazywane z pamięci zbiorowej w czasach stalinowskiego terroru ślady wieloetniczności dawnej Rzeczypospolitej. W tych pokoleniach myśli się raczej tak: to normalne, że jesteśmy różni. Tak było, jest i będzie.

Ostatnio, jeden z uczestników studiów doktoranckich, wykształcony anglista, bez związków rodzinnych z Białorusią, przyszedł do mnie z propozycją kompletnej zmiany dysertacji doktorskiej. Chciałby pisać o Sokracie Janowiczu. Odkąd zaczął pracować w Krynkach jako nauczyciel, o nikim innym nie słyszy tyle, co o nim. Bo w Krynkach o nikim innym nie mówi się z taką estymą i podziwem – to Sokrat Janowicz wydobył Krynki z historycznego i kulturowego niebytu. Pomyślałam zaraz: czy jest jakiś *etniczny zwrot*? Jeśli nie, nikt go wcześniej na Zachodzie nie wymyślił, to w takim razie, my, ze Wschodu, właśnie go doświadczamy. Odmienność, Inność, Różnica – to dzisiaj fascynuje.

Jak stałem się Białorusinem?

Jedyny znany mi z czasów studiowania i początków mojej pracy Białorusin zdeklarowany, profesor Jan Czykwin, białoruskość swoją celebrował w swoisty sposób. Był Białorusinem wśród swoich i w swoim języku, ale nawet jako poeta obracał się, niczym w wyższych sferach, w konstelacjach kanonicznej literatury rosyjskiej[1]. Czy był to rodzaj kompleksu, a może poziom aspiracji? Nie mnie to sądzić. Włodzimierz Pawluczuk, z kolei, najpierw przekraczał swoją białoruskość w kierunku uniwersalizmu – tak właśnie odbierałam jego znakomite prace, na przykład rozprawę o zamkniętej wspólnocie etnicznej na pograniczu czy w kilka wersji rozwiniętą opowieść o Wierszalinie[2]. Wszystkie one lokalność „transcendowały" w dyskurs o charakterze ogólnym. Ale po latach wędrowania po uniwersytetach, powrócił do krainy swojego urodzenia, a nawet – jak to ujął na swoim benefisie – do swojej Chaty, w której czuje się naprawdę u siebie. Jego przypadek nazywam etnicznym atawizmem, potrzeba korzeni okazała się silniejsza niż pokusy kariery, bywanie na salonach czy pozory orbitowania w tzw.

---

[1] Jan Czykwin opublikował wiele tomików poezji, np. *Niespakoj*, 1977; *Splot słoneczny*, 1988; *Swietly mih*, 1989; *Swiet pierwszy i aposzni*, 1997.

[2] Twórczość Włodzimierza Pawluczuka związana ze sprawą Wierszalina to: *Światopogląd jednostki w warunkach rozpadu społeczności tradycyjnej*, Warszawa 1972; *Wierszalin. Reportaż o końcu świata*, Kraków 1974; *Wierszalin. Reportaż o końcu świata trzydzieści lat później*, Białystok 1999; *Judasz*, Warszawa 2004.

mainstreamie, mniejsza – środowiskowym (tu: akademickim) czy jakimś innym. Ignacy Karpowicz, najmłodszy z tego grona, piszący wyłącznie po polsku, nie akcentuje swojej przynależności. Konsekwentnie postmodernistyczny, przyjął zasadę „pisania jak na Zachodzie", choć i w jego pisarstwie, jak u Gombrowicza, wyobraźnia zakorzeniona jest nieodwołalnie w swojskości, nieważne czy to ostępy dzikiego Podlasia, blok spółdzielczy w Białymstoku czy inteligenckie salony Warszawy. Ale to inne pokolenie, awans społeczny to dla niego bajka o żelaznym wilku, on wszędzie jest u siebie. Przedziwne, jak pasują do niego wyznania zawarte w manifeście TUTEJSZYCH z Mińska (1987), publikowane w 1997 roku w „Kartkach": „Nie mam kompleksów przed współczesną miejską kulturą masową. Jestem do niej podłączony. Stoję na jej czele". Czy w innym miejscu: „historia to dla nas przede wszystkim historia ludzkości, ruch cywilizacji i kultury rozwijający się w liniowym czasie"[3].

Janowicz to przypadek zdecydowanie odmienny – nie tylko dlatego, że nie chroniły go tarcze naukowych tytułów, ani nikt nie hołubił w sponsorowanych artykułach. Urodził się za wcześnie, los nie oszczędził mu przeżyć, jakie większa część naszego społeczeństwa głęboko skryła w pamięci osobistej lub rodzinnej, nie chcąc do nich wracać, wstydząc się swoich korzeni, zamazując traumatyczne przejścia powojennej Polski, w tym epizod emancypacyjny. Jednym z najważniejszych doświadczeń, które upublicznił, i które dla wielu jego pobratymców ustanowiło pewien wzorzec postępowania, stało się doświadczenie o d z y s k a n i a s i e b i e , czy – jak trafnie określa to Roch Sulima – p r z e b u d z e n i e r o d o w o d o w e [4]. Dla Janowicza ten proces najściślej wiązał się z odzyskaniem języka. Co to właściwie oznaczało?

Własny idiom mowy

Janowicz kilkakrotnie opisuje drogę odzyskiwania „ojcowskiego" języka. Najbarwniej w eseju zatytułowanym *Z cienia polskości w białoruskość*[5], w którym snuje też opowieść o Krynkach jako miejscu rozszalałej Historii, doświadczającej w obłąkanym korowodzie ich wielojęzycznych i wielowyznaniowych mieszkańców. „Trwaliśmy w cieniu kolejnych wojen, kilku naraz" – napisze.

> Za pamięci rodziców – Niemcy poszli na Rosję i wielu prawosławnych zbieżało niepotrzebnie nad Wołgę (milion bieżeńców stąd?), po czym pojawili się odarci bolszewicy na umordowanych konikach, przeciwko którym ruszył Piłsudski, wnet salwując się ucieczką spod Kijowa pod Warszawę, i wrócili ciż bolszewicy, by znowu dać drapaka; wreszcie ustalił się pokój i ta Polska. Kiedy rodzice

[3] *Manifest Tutejszych*, „Kartki" 1997, nr 14, s. 13.

[4] R. S u l i m a, *Miejsce i język, czyli o sąsiedztwie kultur, w: Siedem granic, osiem kultur i Europa*, red. B. Gołębiowski, Łomża 2001, s. 205 i nast. Wszystkie podkreślenia pochodzą od Autorki tekstu.

[5] S. J a n o w i c z, *Z cienia polskości w białoruskość*, w: *Siedem granic, osiem kultur i Europa*, s.31–41.

> pożenili się i urodzili nas – na powrót zaczęło się bieganie – najpierw znikli Polacy (czytaj: policja i egzekutorzy podatkowi), wrócili Sowieci, nędzni i wygłodzeni jak wtedy, po czym pogonili im kota Niemcy, a Niemcom na powrót Sowieci, i tak w kółko, łącznie z powrotem Polski. O tyle innej już, że teraz Polak szedł z karabinem na Polaka. A my siedzieliśmy sobie cichutko, Starzykowie czatowali na płotach i nadawali do chaty wiadomości, jaka to władza oto sunie ulicą, na czołgach i samochodach [...]. Po drugiej serii przemian – powstała, rzec by tak, nie słyszana narodowość, mianowicie Tutejsi [...]. Ponieważ każdy następny władczy przybysz rozpoczynał rządy z odpytywania, kto ty jesteś, a brzmiało to niezbyt sympatycznie, wkrótce zamiast „ruskich" i „polskich" pojawili się [...] Tutejsi.
> Naród Tutejszych utrzymałby się zapewne, gdyby nie Polska Ludowa [...][6].

To obsesje PRL-u: uprzemysłowienie, rozbudowa miast, awans społeczny, przyczyniły się jego zdaniem do masowego exodusu ze wsi.

A tymczasem – dopowiedzmy – życie trwało, mimo okaleczeń, traumy, wszechogarniającego strachu, jaki towarzyszył tym przemianom, bo życie silne jest jak sama Natura. „Odkąd pamiętam świat zawsze był białoruski, choć nie wiedziałem o tym" – napisze Janowicz z całą otwartością[7]. Że jestem Białorusinem – powie dalej – dowiedziałem się dopiero w Białymstoku, do którego wyemigrowałem jako młody człowiek – świadomość narodowa jest produktem kultury i p o z a k u l t u r ą jej nie ma, a mnie ta świadomość na wsi i w Krynkach nie była potrzebna. Ważna stała się, gdy jak inni zdecydowałem się na wyjście ze środowiska rodzinnego. Że nim jestem – kontynuuje – utwierdzały mnie wycieczki w głąb kraju, na Śląsk, do Wielkopolski czy przykrakowskiej Małopolski:

> W dalekich stronach dziwiło wszystko-zagęszczenie infrastrukturą cywilizacyjną, o wiele wyższy dobrobyt w tej samej Polsce, oschłość w stosunkach międzyludzkich, większa akuratność w kulturze bytu, wreszcie wyższa lotność umysłu, uporczywsza energia życiowa. [...] Wracając z tamtoczesnych wypraw, Polska kończyła mi się za Wołominem, nawet Mazowsze szepietowsko-łomżyńskie zwidywało się już na poły białoruskim (te chaty, te zabiedzenie, ta ponurość na twarzy tubylców)[8].

Trudno nie przyznać mu trafności obserwacji.

Moja białoruskość – wyzna szczerze Janowicz – przetrwała we mnie z urażonej godności własnej, a nie – jak można byłoby idealistycznie przypuszczać – z zachwytów nad literaturą czy kulturą. O istnieniu białoruskiej literatury nie miałem jeszcze wówczas zielonego pojęcia. Samego języka też jakoś specjalnie nie lubiłem – jedno się liczyło: był z pewnością mój.

---

[6] Tamże, s. 33.
[7] Tamże, s. 31.
[8] Tamże, s. 35.

Autor *Zahonów* konsekwentnie posługuje się określeniem mowa ojczysta, wyjaśniając ten wybór po swojemu, doświadczeniem osobistym:

> Deliberowanie o mowie matczynej, o słowiańskiej kołysce gdzieś na germańskim pograniczu jest naiwnym poddawaniem się mitom, nie mającym umocowania w meandrach historii. [...] Badacze mechanizmów asymilacji plemion i narodowości zwrócili uwagę na większą podatność na naciski językowe i kulturowe z naprzeciwka właśnie żon i matek. Naukowe analizy powstawania polskich wysp językowych na Wileńszczyźnie onegdaj, jednoznacznie wskazują na przodowanie pod tym względem czynnika żeńskiego. Nie znaczy to, że tamtejsze kobiety były lepiej oczytane i kulturalne; wręcz przeciwnie. Lecz ich skłonność ku polskości – odchodzenie od białoruszczyzny lub litewszczyzny auksztockiej – było kłopotaniem się o przyszłe losy potomstwa[9].

Język – Los – Kultura

Sokrat Janowicz pewnie by się nie obraził, gdybyśmy poszukali analogii pomiędzy odzyskiwaniem przez niego języka ojczystego i szukaniem ojczyzny. Można by to ująć tak: przywrócony mu idiom języka ojczystego upewnił go w konieczności posiadania ojczyzny i narodu, jako wspólnoty wyobrażonej, spojonej kulturą i losem. Język, Los i Kultura wydają się podstawowymi kategoriami jego swoistej filozofii białoruskości. Język – to najbardziej własne, co człowiek może mieć – jest, jak powiada Janowicz za Wittgensteinem: „mniej lub bardziej odrębną interpretacją albo i konstrukcją człowieka i świata"[10]. Granicą tego świata i jednocześnie jego rozszerzeniem, kosmosem. Dla wyjaśnienia znaczenia tego faktu Janowicz odwołuje się często do kontekstu polskiej kultury. Łacińskie początki polskiego piśmiennictwa, nawet udane, pisze zatem, mogły być tylko imitacją. Co innego idiom mowy własnej, ta ma ton niepodrabialny, autentyczny, idący jak nie z ducha, to z trzewi. „Gramatyka danego języka jest zarazem swoistym systemem filozoficznym, nie przystającym do tego z sąsiedztwa i dalszego. Gdyby to było nie tak, nikt by dzisiaj nie słyszał o językach romańskich, takoż słowiańskich czy germańskich"[11]. W pojmowaniu języka jako przeznaczenia, rodzaju pewnego fatum, na które wpływu się nie ma, bo obejście go grozi sztucznością, niedopasowaniem, a w konsekwencji niemotą, Janowicz bliski jest Miłoszowi, który czując się Litwinem, mowie polskiej zawdzięczał wszystko, co tworzyło zeń Artystę i Poetę. Ale Noblista rozumiał to w specyficzny sposób. Mówił tak: „jeśli się przemawia do ludzi, trzeba mieć dużo do powiedzenia. Otóż ma się dużo do powiedzenia tylko, jeżeli słowa wymusza na nas jakiś nasz demonizm, jakaś wewnętrzna udręka, jeżeli one niosą ze sobą cały

[9] Tamże, s.36.
[10] Tamże, s. 39.
[11] Tamże.

brud naszych lęków i wstydów”[12]. Dla Miłosza oznaczało to walkę z „polskim zacieśnieniem”, bo nie chciał, jako dziedzic Wielkiego Księstwa Litewskiego, wyzbywać się litewskości, ale wyznawał, że ów opór może realizować się tylko w polszczyźnie i jest zrozumiały tylko w niej. Pisanie w jakimkolwiek innym języku w grę nie wchodziło. U Gombrowicza analogiczna kwestia wykształciła się jako walka z Formą, która kazała mu szukać siły poza biegunami: „pisać jak na Zachodzie” lub „skazać się na prowincjonalność”. Z oporu, z buntu Synczyzny wobec Ojczyzny uczynił jeden z najważniejszych tematów swojej twórczości, w płaszczyźnie uniwersalnej literatury europejskiej czy nawet światowej odczytano ów konflikt jako odwieczny spór pomiędzy tym, co ustalone, a tym, co się staje – bardzo zatem nowoczesny, dobrze oddający napięcia wewnątrz kultury współczesnej[13]. Janowicz z białoruskim zacieśnieniem walczyć nie musiał, bo białoruskość – w takim znaczeniu, jakie jej przypisywał – poza folklorem, poza etnografią, obchodziła na serio tylko jego i jeszcze paru ludzi, którzy od niego bezpośrednio czerpali wzory. Białoruskość w jego czasach (przez Polaków, ale chyba i przez Białorusinów) postrzegana była jako anachronizm, dostrzegano w niej upiorny mechanizm zamykania się we własnym getcie, bez możliwości wydobycia się na zewnątrz i kontaktu ze światem. Polskość dla przeciętnego Białorusina oznaczała nie tyle wyższą kulturę, co awans społeczny, możliwość samorealizacji, wyższy standard życia. Janowicz, zdając sobie z tego sprawę, podkreślał jednak, że w przypadku twórcy pozbycie się języka to zabicie *daimoniona*, który przez nas mówi. Nieustannie przekonywał, że pisać po polsku to znaczy kłamać sobie i innym, udawać kogoś innego niż się jest. Prowincjonalności się nie bał, bo był wyjątkowo odporny na pokusy kariery, żadna „centrala” nigdy go nie pociągała. O prowincjonalności wiedział, że może być siłą, o ile jest autentyczna – gdyby doczekał naszych czasów dowiedziałby się, że nie oznacza gorszości czy peryferyjności, tylko lokalność, inność. Chyba że chodzi o mentalność prowincjusza – ta ma miejsce wtedy, gdy przejawiamy skłonność do wycofywania się z mówienia ludziom tego, co ważne, a chcemy się przede wszystkim podobać. W porównaniu z czasami, w których Sokrat Janowicz zaczynał, a które tylko pozornie pielęgnowały aspiracje mniejszości etnicznych – ideałem komunistów był przecież jeden naród – „sowiecki”, dzisiejsza sytuacja piśmiennictwa białoruskiego i kultury białoruskiej w Polsce jest lepsza niż kiedykolwiek. Twórczość w tym języku powstaje, a Białorusini, odzyskawszy mowę, mogą realizować się w niej bez przeszkód i czynią to, odnosząc sukcesy w kraju i za granicą.

[12] Cz. M i ł o s z, *Prywatne obowiązki wobec polskiej literatury*, w: tegoż, *Prywatne obowiązki*, Olsztyn 1990, s. 65.

[13] Zob. Cz. M i ł o s z, *Prywatne obowiązki*, s. 60–72.

Białoruś

Janowicz miał własną wizję Białorusi[14], a ponieważ był realistą i zdawał sobie sprawę, że historii i cywilizacji nie da się odwrócić, nie żywił ciągot rewizjonistycznych, z których wynikałaby potrzeba jakichś szczególnych rewindykacji. Upominał się natomiast o uświadomienie ludziom ich przeszłości, chciał dać im, jeśli nie powód do dumy, to przynajmniej refleksji. W jego wizji Białorusini mogli być dumni ze swojej przeszłości, bo ich rodowód sięgał dziejów legendarnej Jaćwieży (żywioł osadnictwa bałtyckiego) i fali osadnictwa słowiańskiego, która z czasem okazała się zwycięska. Teatrem tych przemian uczynił Podlasie, ziemię swego dzieciństwa, w którym wyznaczał także najbliższe sobie terytorium, tzw. Kraj Białostocki.

Uderzające jest w jego pisaniu przekonanie o wyjątkowej cywilizacyjnej roli tego obszaru, jako miejsca krzyżowania się wielu kultur i języków, choć przyznawał, że dzisiejszy obszar Podlasia, to ledwie część terenów dawnej Białorusi[15]. W odtwarzaniu dziejów nie tylko sięgał do ustaleń historyków, ale także przyglądał się mapie, o której pisał: „Lubię medytować nad [...] tą nigdy do końca nie przeczytaną księgą minionego"[16]. W nazwach miejscowych, nazwiskach szukał śladów istnienia dawnych ludzi i światów. Nie miał wątpliwości, iż ziemia, którą uznawał za swoją ojczyznę, przeszła niemało. Szukał jej odmienności, szczególności jej Losu:

> Kształtowanie się Podlasia jako samoistnego regionu pozostaje w związku z formowaniem się Wielkiego Księstwa Litewskiego w dobie pełni średniowiecznej (schyłek XIII w.). Sama nazwa regionu jest spolszczoną wersją Podlachia, czyli ziemi w stronę Lachów. O ten obszar trwały okresowe walki, zanim w rezultacie Unii Lubelskiej w 1569 roku został włączony w skład Korony Polskiej jako Województwo Podlaskie z centrum w Drohiczynie.
> Początków znaczenia późniejszego Podlasia należy doszukiwać się *w jego odmiennej od słowiańskiej przeszłości etnicznej*[17].

Historia tego terenu obfitowała w krwawe starcia i potyczki, w których rdzenna ludność doświadczała traumy kogoś, kto przypadkiem dostał się między młyńskie koła. Bycie nieustannym polem bitwy wpływało także na poziom rozwoju cywilizacyjnego. Janowicz komentuje to tak:

> Czesław Miłosz przy jakiejś okazji nazwał Jaćwięgów ostatnimi Indianami Europy. [...] Idzie głównie o zapóźnienie cywilizacyjne tych plemion, tkwiących jeszcze w gospodarce naturalnej, w której nie ma miejsca na wymianę towarową

[14] Daje jej pełną wykładnię w książce *Nasze tysiąc lat. Z Sokratem Janowiczem rozmawia Jerzy Chmielewski*, Białystok 2000.

[15] Zob. np. S. Janowicz, *Z księgi Podlasia. Białoruska mniejszość narodowa w Polsce*, Łomża 2001, s. 47 i n. Wiele informacji na temat przeszłości i teraźniejszości białoruskiej można też znaleźć we wspomnianej rozmowie Sokrata Janowicza z Jerzym Chmielewskim (*Nasze tysiąc lat*).

[16] S. Janowicz, *Z księgi Podlasia*, s. 33.

[17] Tamże, s. 7.

> i powstawanie ośrodków typu wczesnomiejskiego, wszelkich podzamczy i podgrodzi. Nie mogli [...] Jaćwięgowie partnerować Rusinom czy Polakom, nie wspominając o zderzeniu ze światem germańskim[18].

Szybko doszło więc do zniszczenia tego, co zapoczątkowało w miarę niezależny byt mieszkańców tych ziem.

> Podlasie zaczęło się wraz nieuniknioną niwelacją Jaćwieży, krywicko-rusińską od Niemna i drehowicko-rusińską od północnej smugi Polesia, oraz wołyńsko-rusińską z Pobuża, a także mazowiecką dolinami Narwi, Biebrzy, wcześniej nurskiego zakola Bugu. Wytworzył się areał, do zawładnięcia którym pretendowały odradzające się Królestwo Polskie połokietkowe, rozrastające się Wielkie Księstwo Litewskie, za Mendoga anektujące nawet znany Raj (Rajgród). Dobijała się udziału Ruś Halicka, koronując w Drohiczynie swego króla Daniela po shołdowaniu przez niego części Jaćwięgów (1254). Był to swoisty wyścig, kto pierwszy rozdrapie daremszczyznę. [...] Jaćwież musiała ulec[19].

W kilka stuleci później Litwa weszła w próżnię polityczną, wynikającą z upadku Rusi Halickiej i koncentracji Polski na zagrożeniu krzyżackim[20]. To oczywiście wielki skrót, pokazujący długotrwały proces wyniszczania tych terenów, najeżdżanych to z jednej, to drugiej strony, zaniedbanych gospodarczo, a na dodatek trzebionych demograficznie. Bo ziemia ta przeżyła także trzy poważne, zasadniczo ją przeobrażające, katastrofy demograficzne: najazdy krzyżackie, które wyeliminowały przewagę żywiołu jaćwieskiego, skazując te prastare plemiona na rozproszenie się w słowiańszczyźnie i w konsekwencji asymilację; po drugie – odpłynięcie wielkiej fali ludności w okresie tzw. potopu szwedzkiego, po trzecie wreszcie – okres kampanii napoleońskiej i związany z tym najazd dwóch armii – francuskiej i rosyjskiej[21].

Dopowiedzmy jeszcze i to. Zapóźnienie cywilizacyjne naznaczyło tę ziemię na zawsze, krótki okres względnego prosperity za czasów pruskich został zniweczony, reszty dokonali Rosjanie, którzy na terenach tych widzieli Polskę i przeciw niej skierowali większość swoich wysiłków rusyfikacyjnych. Odkrycie Białorusi przez Rosjan nastąpiło dopiero w ostatniej ćwierci XIX stulecia, gdy dokonywał się ostateczny akt zniszczenia cerkwi unickiej. Legalizacja młodych narodów na fali rewolucyjnego wrzenia 1904–1905 też nie miała charakteru wspierania nieuniknionej rewolucji społecznej, przeciwnie – miała jeden tylko cel – powstrzymanie fali polonizmu, która zawsze wzmagała się w okresach zagrożenia. Idea narodu białoruskiego, choć rozbłysła na krótko w umysłach szlachetnie usposobionych romantyków, zrodziła się dopiero na początku XX wieku w wyniku demokratycznej emancypacji uwłaszczonego chłopstwa, rozpadu dawnych form własności

[18] Tamże.
[19] Tamże, s.16. Ortografia oryginału.
[20] Tamże, s. 19.
[21] Tamże, s. 34.

i tworzenia się gospodarki rynkowej w oparciu o drobnomieszczaństwo. Proces rozpoczęty na początku wieku urzeczywistnił się – o paradoksie – w krwawej kąpieli II wojny światowej, w wyniku której z przestrzeni politycznej, społecznej i kulturowej zniknęły wielkie grupy społeczne, tworzące kiedyś we wschodniej Rzeczypospolitej filary jej prawno-politycznego bytu: ziemianie, częściowo inteligencja, Żydzi. Awans rzeczywisty Białorusinów nastąpił w okresie Polski Ludowej, która metodą permanentnej rewolucji i terroru przeorała pola dawnego polskiego bytu i przy okazji – bo cel był jeden: skolonizować wyzwolone kraje Europy środkowej – wydobyła z niebytu politycznego i społecznego ogromne masy ludowe[22].

Sokratowe pisanie

Z tekstami Janowicza, słynnymi „sokratkami"[23], jak określa się pisane przez niego miniatury prozatorskie, zetknęłam się stosunkowo dawno temu, przyznam jednak, że zrazu nie wywarły na mnie jakiegoś szczególnego wrażenia. Nie przemawiała do mnie ich problematyka, raził dość jednostronny, Jeremiaszowy ton, a nawet zgrzebność tomików, co było zresztą w czasach PRL-u niemal normą. Najbardziej jednak denerwował dystrybuowany przy każdej okazji fakt, iż tłumaczyli go znakomici fachowcy: Woroszylski, Litwiniuk, Drawicz, Redliński; tak jakby z tego tytułu powstawała jakaś „wartość dodatkowa". Dzisiaj patrzę na to inaczej, choć przyznaję, trzeba było do tego dojrzeć i wczytać się troskliwie w Sokratowe pisanie. Inna sprawa, iż ono samo ewoluowało, wzbogacając się po latach o konteksty rozbudowujące w jego ulubionych mikronarracjach refleksję odwołującą się do nowoczesnego dyskursu humanistyki[24].

Janowicz zapisał wiernie, w tym wytworzonym przez siebie osobnym gatunku, który trzeba by określić chyba mikroreportażem lirycznym, przede wszystkim swój świat młodości, lata 50. i 60. XX w., które nie za wielu ludzi z mojego pokolenia może pamiętać, albo pamięta słabo. Nic dziwnego, to nie były świetne lata. Przesuwają mi się na kalce pamięci pojedyncze obrazy: nasze więcej niż skromne, wynajęte mieszkanie połączone z warsztatem krawieckim ojca, samotni starzy ludzie za ścianą, skrzek tzw. toczki nadającej muzykę ludową, podwórko domu na Ogrodowej, które było całym naszym światem, wizyty na wsi bez telewizora… Ale poniekąd świat ten czujemy, bo to także epoka młodości naszych rodziców – także moich, urodzonych we wczesnych latach 30. I dla Janowicza, i dla moich rodziców był to czas wielkiej przemiany i przyśpieszenia cywilizacyjnego,

[22] O historii powojennej białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce Janowicz pisze m.in. w: *Z księgi Podlasia*, s. 78–90.

[23] E. Konończuk objaśnia „sokratki" nie tylko jako nawiązanie do imienia autora miniatur (i Sokratesa), ale także jako sokratyczne/sokratejskie przechadzki, formy swoistego flanêuryzmu. Zob. E. Konończuk, *Białostockie pasaże tekstowe Sokrata Janowicza, Krzysztofa Gedroycia i Ignacego Karpowicza*, w: *Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989)*, red. M. Kochanowski i K. Kościewicz, Białystok 2012, s. 22–23.

[24] W eseistyce z lat 80. i 90.

którego oni byli wtedy, z racji swej młodości, wielką siłą napędową. Nie sądzę, by w pełni zdawali sobie sprawę z tych przekształceń i ich kosztów, dzisiaj dopiero opisywanych piórem socjologów czy filozofów kultury.

> W Polsce w latach 1939–1956 dokonała się rewolucja społeczna – pisze Andrzej Leder. – Okrutna, brutalna, narzucona z zewnątrz, ale jednak rewolucja. Niesłychanie głęboko przeorała ona tkankę polskiego społeczeństwa, tworząc warunki do dzisiejszej ekspansji klasy średniej, czyli mieszczaństwa, do najgłębszej być może od wieków zmiany mentalności Polaków; odejścia od mentalności określonej przez wieś i folwark ku tej zdeterminowanej przez miasto i miejski sposób życia[25].

Ta polska rewolucja pochłonęła wiele ofiar, o których uczestnicy wielkiej przemiany zapomnieli lub nie chcieli pamiętać[26]. Emancypacja wielkich grup społecznych stała się bowiem możliwa na skutek wydarzeń i procesów, splecionych ze sobą i poniekąd komplementarnych: okupacji z Zachodu i rewolucji ze Wschodu, Holocaustu, wypędzenia Niemców z zachodnich prowincji i osadzenia na nich przybyszów z Kresów, likwidacji ogromnej części przedwojennej inteligencji oraz warstwy ziemiańskiej. Można by powiedzieć nawet, iż naruszyły one dotychczasową strukturę tektoniczną społeczeństwa, rozbiły jej głębokie organiczne powiązania, dając w efekcie długotrwałą, wielopokoleniową, choć zepchniętą do podświadomości traumę. Klasa średnia, która była owocem tej traumy, proces rewolucji „prześniła", zepchnęła ją w podświadomość, co jest powodem jej dzisiejszej słabości: unikania wzięcia odpowiedzialności za siebie, postawienia siebie w roli świadomego podmiotu politycznego – twierdzi autor książki[27]. Czy dotyczy to także polskich Białorusinów? Myślę, że tak. Nie będzie to popularne, co powiem. Widzę to w rozpiętości postaw współczesnych pokoleń: albo w i e c z n e o f i a r y p o l s k i e j k o l o n i z a c j i a l b o b e z w z g l ę d n i b e n e f i c j e n c i n a g ł e g o e t n i c z n e g o z w r o t u[28].

Sokrat Janowicz w swojej wczesnej reportażowej prozie nie dostrzegał jeszcze głębokiej polityczności tych zmian, jego obserwacje z reguły nie wychodziły poza spostrzeżenia natury socjologicznej[29], największą traumą była dla niego utrata tożsamości tych, którzy, wstydząc się ojcowskich opłotków i matczynej, źle widzianej mowy, w wielkim mieście Białystok stawali się konsumentami łatwiejszego polskiego życia. Jeremiaszowe łzy Janowicza, najogólniej rzecz biorąc,

---

[25] A. L e d e r, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014, s. 7.

[26] Sokrat Janowicz próbuje opisać te procesy w artykule: *Zderzenie wielu światów, czyli Kresy białoruskie w latach 1939–1953*, w: *Tygiel narodów. Stosunki społeczne i etniczne na dawnych ziemiach wschodniej Rzeczypospolitej*, red. K. Jasiewicz, Warszawa 2002.

[27] A. L e d e r, *Prześniona rewolucja*, s. 7.

[28] Zob. J. N o w a k, *Narracje grup mniejszościowych wobec dominującego dyskursu większości, w: Przeszłość w dyskursie publicznym*, red. A. Szpociński, Warszawa 2013.

[29] Zdecydowanie inaczej wygląda jego eseistyka, zwłaszcza od lat 90., w której ujawnia się „zwrot kulturowy", np. w postaci dyskursu o charakterze postkolonialnym. Zob. *Terra incognita: Białoruś*, Białystok 1993; *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, Olsztyn 2001.

dotyczyły w pierwszym rzędzie tego, co określa się kresem kultury chłopskiej, jej bezpowrotną utratą, roztopieniem się w anonimowej miejskiej przeciętności. Wydaje się, iż jego obserwacje w dużej części dotyczą procesów opisanych przez Wiesława Myśliwskiego w odniesieniu do kultury polskiej. Autor *Widnokręgu* kulturę chłopską postrzega jako przeciwieństwo nadużywanego dzisiaj określenia kultura ludowa. Pisze tak: to zupełnie inne plany. Kultura ludowa to tylko uzawodowiony, uprzemysłowiony folklor czy nawet postfolklor. Tymczasem chłop nie zna pojęcia folkloru, wie natomiast, co to los:

> To ów los, w którym skumulowała się pełnia doświadczenia ludzkiego, i jednostkowego, i zbiorowego, był fundamentem tej kultury. Szczególne znamię temu losowi nadawała wielowiekowa historia samotności, wieki niewoli i niedoli, cierpienia i milczenia, izolacji od narodu i państwa. Z konieczności skazywało to chłopów na samodzielność i samowystarczalność kulturową, na wypracowanie w codzienności i powtarzalności tak zdeterminowanego bytu własnych form egzystencji, własnych obrządków, rytuałów i zasad istnienia, własnego odczuwania czasu i własnego postrzegania przestrzeni, słowem, własnego wewnętrznego świata i stosunku do świata na zewnątrz[30].

Z tych ograniczeń brała się też siła chłopskiej kultury, będącej kulturą bytu i miejsca, zamkniętej w kręgu: człowiek-ziemia-przyroda. Motywacją istnienia było trwanie i przetrwanie. Fundament tej kultury stanowiło doświadczenie pokoleń (pionowe) i wspólnoty (poziome), wśród której się żyło. „Było to – pisze Myśliwski – nade wszystko doświadczenie dotkliwości bytu i w tym planie można bez przesady mówić o egzystencjalnej pełni. Nie zabrakło bowiem w tym doświadczeniu niczego, co człowieka jako jednostkę i jako zbiorowość mogło spotkać na tym świecie"[31]. Życie poza historią, niejako na marginesie tego, co określa się jako pole symboliczne (termin Pierre'a Bourdieu), pozwoliło im wyrwać z pamięci traumy wojenne, zmieniające się rządy, ale także Holocaust, co jest tym bardziej zadziwiające, że awans społeczny Białorusina w Polsce wschodniej dokonał się poniekąd kosztem Żydów. Sokrat Janowicz w rozmowie z Jerzym Chmielewskim przyznaje: „Żydów, niestety, nie pamiętam, prócz sekundowych migawek w pamięci pięcioletniego ze mnie natenczas synka. Żyłem zaś przy akompaniamencie wspominków o nich u dorosłych"[32]. Brak wiedzy na temat przeszłości Krynek u ich mieszkańców jest jego zdaniem zatrważający, podobnie jak prymitywna siła budowania egzystencji na gruzach tego, co zmiotła wojenna apokalipsa bez choćby nuty żalu za minionym. U ludzi pozbawionych refleksyjności nad własnym życiem, nastawionym na przetrwanie za wszelką cenę, standardem jest przemilczanie, wyparcie tego, co domaga

[30] W. Myśliwski, *Kres kultury chłopskiej*, „Twórczość" 2004, nr 4, s. 55.

[31] Tamże, s. 57. Podobną refleksję formułuje w swojej wypowiedzi dla „Kartek" (1997, nr 1 i 3) przedstawiciel młodych Białorusinów, Ihar Babkou, mówiąc: „Białorusini przetrwali, bo żyli nie w Historii, a w Kosmosie".

[32] *Nasze tysiąc lat*, s. 90.

się upamiętnienia. W *Dolinie pełnej losu*, w której pisarz wmyśla się w zakręty historii i swoje życie, gorzko ironizuje: „Jest niezmiernie zastanawiające [...] jak człowiek rzadko bywa człowiekiem, mając w dorobku nie tylko chleb, ale i ideę – myślącą głowę nad jelitami i żołądkiem. To prawda, że wstydzimy się pochwały wymordowania Żydów przez nazistów; jednocześnie konstatujemy, iż w przeciwnym razie wchodzenie do powojennego miasta nie byłoby u nas czymś w rodzaju powodziowego wylewu na śródmiejskie pustki”[33]. Sokrat już wie, że brak wiedzy o dawnych współmieszkańcach przestrzeni, którą się ochoczo zawłaszczyło, jest czymś absolutnie nie do przyjęcia w dzisiejszych czasach, i nie ze względu na modną *political correctness* czy spokój sumienia. W rozmowie z Chmielewskim powie: „O Żydach różnie opowiadano, lecz ogólnie ciepło [...]. Zasługi starozakonnych w ogóle w historii gospodarczej Białorusi i Wschodniej Europy, są wprost nie do przecenienia”[34]. W dalszej wypowiedzi przypomni wiele z tych zasług, nie cenzurując i takich, które oficjalna historia uznaje za kłopotliwe, np. potężny udział inteligencji żydowskiej w rozwoju ruchu kulturalnego Młodej Białorusi na początku XX wieku. W ogóle, w czym chyba jest odosobniony, Sokrat postrzega w białoruskim żydostwie niezbędny w kulturze ferment intelektualny, dający jej szerszy kulturowy oddech i łączący ją z dziedzictwem piśmiennictwa europejskiego. Powiedzmy jednak otwarcie – horyzont intelektualny Sokrata Janowicza oraz jego znajomość historii i kultury nie tylko swojego narodu – znacznie przekracza standardy i daje mu niekwestionowaną pozycję mistrza i autorytetu.

Wątpliwość

Nie umiem sobie poradzić z jedną, najbardziej zaskakującą rzeczą, o której wiem właściwie od niedawna. Sokrat Janowicz wyznał otwarcie, iż jako działacz na rzecz środowiska białoruskiego, współpracował z aparatem bezpieczeństwa, bo tylko w ten sposób mógł chronić swoich współpatriotów. Nie potrafię go jakoś z tego rozgrzeszyć, choć przyznaję, że mówienie o tym wprost niewątpliwie dowodzi odwagi. Przyjmuję, że Białorusinowi zawsze bliższa będzie kultura rosyjska (wspólnota losu), a oczarowanie komunizmem jako jedyną drogą emancypacji środowisk historycznie zdegradowanych stanowi poniekąd jej naturalne przedłużenie. Niewątpliwie białoruskość mogła być i pewnie była w Polsce stygmatyzowana w środowiskach, które wyżej stawiały kulturę polską jako dominującą. Z drugiej jednak strony – ta białoruska obrona swojej etniczności w czasach PRL-u nader często przypominała zabawę w wallenrodyzm. Nie jest przecież dla nikogo tajemnicą, że Białorusini potrafili wykorzystać solidarność etniczną i nieźle sobie radzili w najróżniejszych środowiskach: od struktur partyjnych i struktur władzy wszystkich szczebli, po szkoły, wyższe uczelnie, szpitale czy sądownictwo. To z tamtych czasów do Białorusinów na Białostocczyźnie

[33] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993, s. 41.
[34] *Nasze tysiąc lat*, s. 93.

przylgnęły najrozmaitsze, nie zawsze bezzasadne, stereotypy. Sokrat Janowicz zaś stereotypowy z pewnością nie był, dlatego z przekonaniem twierdzę, że można się z nim nie zgadzać, ale czytanie jego miniatur czy eseistyki wzbogaca nasze myślenie o sobie samych, bo śmiało wykraczają poza etniczny partykularyzm.

Kultury narodowe czy odzyskane rodowody?

Czytam rozdział na temat Białorusinów i ich tożsamościowych dylematów w książce Antoniny Kłoskowskiej *Kultury narodowe u korzeni*. Badaczka pisze zaraz na wstępie:

> Dwa główne czynniki różnicujące sytuację narodową Białorusinów i Ukraińców w Polsce wywierają wpływy w odmiennych kierunkach. Białorusini zamieszkują zwarty, tradycyjny teren. Ale – jako „naród poszukujący własnego państwa"- zgodnie z określeniem Charlesa Tilly'ego – wykazywali w toku swojej historii mniej zdecydowania i aktywności niż Rusini –Ukraińcy[35].

Krótko mówiąc – byli bardziej bierni. Autorce idzie o tradycję walki politycznej, której *de facto* nigdy nie podejmowali, ulegając z jednej strony polonizacji, z drugiej rusyfikacji. Za wschodnią granicą istnieje państwo białoruskie, w którym Białorusini nie mówią w ojczystym języku, a ich patriotyzm ma charakter państwowy, nie etniczny. Gdzie zatem jest ich miejsce? A może – po prostu są u siebie? Jeszcze w latach 80. w polskiej refleksji naukowej dominował dyskurs „kresowy", będący przeniesieniem XIX-wiecznej metafory literackiej w skomplikowaną przestrzeń językowego, etnicznego i kulturowego pogranicza. W jednym ze swoich artykułów Janowicz pisze bez ogródek:

> [...] pojęcie Kresy jest wysoce obraźliwe dla Białorusinów, Ukraińców, a także Litwinów. To tak jakby Rosjanie pisali o Zachodnich Kresach cesarstwa Rosyjskiego lub po prostu o Zachodniej Rosji, zamiast o Polsce. [...] W dawnej Rzeczypospolitej, przedrozbiorowej, nikt nie słyszał (we współczesnym tego pojęcia znaczeniu) o jakichś Kresach... Były województwa, ziemie, regiony typu Polesie, Dzikie Pola, Wołyń, Ruś Czarna, Ruś Biała, Ruś Czerwona[36].

Czy dzisiaj coś się zmieniło? Z pewnością. Na naszych oczach dokonuje się transformacja kresowości w pograniczność, co oznacza zanikanie mapy (nawet wyobrażeniowej) z wykreślonymi granicami politycznymi i cywilizacyjnymi na rzecz Europy miejsc, gdzie po prostu się żyje, do których się podróżuje, w których się bywa. Samowiedza kulturowa dzisiejszych mieszkańców Europy

---

[35] A. Kłoskowska, *Problem narodowości białoruskiej w badanych autobiografiach*, w: tejże, *Kultura narodowa u korzeni*, Warszawa 2012, s. 204.

[36] S. Janowicz, *Zderzenie wielu światów, czyli Kresy białoruskie w latach 1939–1953*, w: *Tygiel narodów*, s. 145.

Środkowej i Wschodniej kształtuje się przede wszystkim w oparciu o nowy sposób rozumienia kultury, której granice i kresy nie są zgoła do niczego potrzebne. Ważniejsze okazuje się miejsce, w którym uobecnia się jakiś wzór pamięci emocjonalno-kulturowej i język, a nawet języki, które służą objaśnianiu świata. Ostatecznie bowiem twórczość jest zawsze szukaniem siebie i próbą kontaktu z innym.

3

Spotkania interkulturowe – recepcja i przekład

Кожная мова – гэта філасофская сістэма.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska
BIAŁYSTOK

Polskie recenzje twórczości Sokrata Janowicza jako przestrzeń spotkania kolonialnego

Interesującym świadectwem i kontekstem działalności pisarskiej Sokrata Janowicza są recenzje jego tekstów, które zamieszczano na łamach lokalnej i ogólnopolskiej prasy (od gazet codziennych po czasopisma). Ich bibliograficznego przeglądu i uporządkowania dokonała w pracy magisterskiej Jolanta Falkowska[1], zarówno polska, jak i białoruska recepcja twórczości pisarza czeka na naukowe opracowanie. Tutaj zajmę się jej drobnym wycinkiem, czyli artykułami, które ukazały się po opublikowaniu zbioru miniatur *Wielkie miasto Białystok* (1973) i eseju *Białoruś, Białoruś* (1987)[2]. Wybór tych dwóch tytułów oczywiście nie jest przypadkowy. Po pierwsze, choć nie najważniejsze, dotyczyło ich najwięcej recenzji, po drugie, oba wyznaczają graniczne punkty w obecności Sokrata Janowicza na polskim rynku czytelniczym: tłumaczenie *Wielkiego miasta Białystok* było polskim debiutem literackim pisarza, natomiast *Białoruś, Białoruś* stanowiła białoruskie *credo* autora, sformułowane dobitnie pod adresem polskojęzycznych odbiorców (przypomnijmy, że polski jest oryginalnym językiem tego tekstu). Frapującym uzupełnieniem polskiej reakcji na działalność (używam tego sformułowania celowo, mając na myśli zarówno dokonania literackie, jak też aktywność dziennikarską, społeczną i polityczną pisarza) Janowicza byłaby też analiza prasowego odzewu odznaczenia go przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalera Orderu Odrodzenia Polski w 1996 roku, a intrygującym *appendixem* – reakcji na przyznanie się przez pisarza do współpracy ze Służbami Bezpieczeństwa (2007). Wydaje się bowiem, że są to kluczowe momenty w kształtowaniu się polskiego wizerunku Janowicza z perspektywy

[1] J. Falkowska, *Sokrat Janowicz (Sakrat Ânovìč). Materiały do bibliografii podmiotowo-przedmiotowej za lata 1956–2003*. Praca magisterska na kierunku Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo, wykonana pod kierunkiem prof. dr hab. Pauliny Buchwald-Pelcowej, Warszawa 2005. Praca nie została opublikowana, za jej udostępnienie serdecznie dziękuję Pani Jolancie Falkowskiej, natomiast za informację o powstaniu tego opracowania i pośrednictwo w kontakcie z Autorką – Prof. Dariuszowi Kuleszy.

[2] Wyjątek czynię dla tekstu Waldemara Smaszcza.

odbiorców niezaangażowanych na co dzień w tematykę białoruską i niestykających się z charyzmatycznym twórcą bezpośrednio. Sygnalizując jedynie ten wątek chciałabym skupić się wyłącznie na recepcji dwóch wymienionych wyżej tekstów (oczywiście czasem rozważaniom na ich temat będą towarzyszyć ogólne refleksje autorów dotyczące pisarstwa Janowicza).

Narzędzi, które wydają się szczególnie użyteczne przy analizie polskich recenzji i interpretacji twórczości Sokrata Janowicza dostarcza krytyka postkolonialna. Posłużę się tu przede wszystkim pracami Dariusza Skórczewskiego i Jana Sowy, stanowiącymi, popartą wnikliwą znajomością dotychczasowego stanu badań, próbę przełożenia postkolonialnej metodologii na polskie realia historyczno-społeczne (za pośrednictwem ich ustaleń, co nie oznacza, że wyłącznie na prawach zapośredniczonego cytatu, nawiązywać będę do refleksji Edwarda Saida, Homiego K. Bhabhy i Gayatri Chakravorty Spivak). Obie te książki są też niezwykle interesujące ze względu na dzielący je dystans ideologiczny: *Teoria – literatura – dyskurs. Pejzaż postkolonialny* (Skórczewski) wyrasta z kręgu chrześcijańskiego personalizmu i antypostmodernistycznego esencjonalizmu, natomiast *Fantomowe ciało króla* (Sowa) to wyrazisty głos liberalnej, postmodernistycznej lewicy. Przy tak diametralnej odmienności postaw, a nawet ujawnionej polemice – Skórczewski pisze swoją książkę w momencie, gdy rozprawa Sowy jest już naukowym bestselerem i nie kryje w niej sceptycznego stosunku wobec ustaleń krakowskiego badacza – uderzająca wręcz wydaje się zgodność co do zasadności zastosowania krytyki postkolonialnej wobec polskich doświadczeń. Inne są tylko – w dużej mierze wynikające właśnie z ideologicznych założeń – punkty ciężkości tych rozważań. Znakomitym dopełnieniem obu syntetyzujących i (jak sądzę) kluczowych (jak dotychczas) dla recepcji postkolonializmu w Polsce rozpraw byłaby szczegółowa analiza polsko-białoruskich relacji na Podlasiu – niniejszy artykuł stanowi zaledwie zarys jednej z możliwych perspektyw tych badań.

Jak zauważa Skórczewski,

> Postkolonializm można traktować jako krytyczny namysł nad historią ludzkiej mentalności w tym jej wycinku czy też aspekcie, który wiąże się z dominacją nad innymi populacjami lub zależnością od nich. Przedmiotem badań prowadzonych w tym nurcie są bowiem nie tyle „twarde" fakty historyczne, co właśnie s t a n ś w i a d o m o ś c i, którego nośnikiem jest dyskurs wytwarzany w sytuacji spotkania kolonialnego [...] przez takie zbiorowości, jak plemię, etnos czy naród[3].

Prasową recepcję książek Janowicza można uznać za przestrzeń takiego właśnie spotkania kolonialnego, w której i poprzez którą (bo ona go przecież współtworzy) materializuje się dyskurs kolonialny. Towarzyszyć nam przy tym powinna świadomość, że literatura i kultura nie są obszarami niewinnymi ani neutralnymi w sensie politycznym czy historycznym, lecz uczestniczą w foucaultowskim

[3] D. S k ó r c z e w s k i, *Teoria – literatura – dyskurs. Pejzaż postkolonialny*, Lublin 2013 s. 12.

dyskursie władzy, nawet jeśli tych kwestii (politycznych, historycznych, społecznych) nie tematyzują[4]. Czytając wypowiedzi polskich dziennikarzy i krytyków za każdym razem warto zatem zadać – za Edwardem Saidem – pytania: kto i do kogo mówi? dlaczego? w jakim celu? w jakich okolicznościach? z jakiej pozycji?, a zwłaszcza – w oparciu o jaki zasób wiedzy o świecie? Pytanie dodatkowe będzie dotyczyło powodów i źródeł emocji, jakie w wielu komentatorach wzbudziła *Białoruś, Białoruś*.

Musimy przy tym pamiętać, że działanie dyskursu kolonialnego jest silniejsze i trwalsze niż moc narzędzi realnej przemocy, która kiedyś doprowadziła do ustalenia relacji dominacji w stosunkach Polski z sąsiadującymi z nią ludami – Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami. Oddajmy jeszcze raz głos Dariuszowi Skórczewskiemu:

> Kolonializm to zjawisko kulturowe i w najgłębszej swej istocie t e k s t u a l n e. Kolonializm to dyskurs [...]. To projekt reprezentacji, wyobrażania, przekładania, opanowywania i zarządzania podbitym obszarem przez metropolitalne centrum za pośrednictwem literackich kodów i konwencji. W wyniku współdziałania i wzajemnego oddziaływania tych procesów następuje upodrzędnienie populacji objętej dyskursem kolonialnym, n i e z a l e ż n i e od skali i nasilenia bezpośrednich aktów przemocy ze strony hegemona. Co więcej, upodrzędnienie to przynosi trwalsze i bardziej dalekosiężne konsekwencje niż taka czy inna forma politycznej lub militarnej dominacji: odbiera populacji zależnej poczucie własnej wartości [...][5].

Chodziłoby zatem o przyjrzenie się polskim autostereotypom i wizerunkowi Białorusinów, wyłuskanie z analizowanych tekstów klisz interpretacyjnych, schematów wartościowania, wzorów percepcji i rozumienia, całego „systemu praktyk nadawania znaczenia"[6], będącego konsekwencją zainicjowanej w Rzeczypospolitej Obojga Narodów polsko-białoruskiej relacji kolonialnej.

O tym, że dyskurs kolonialny jest trwalszy niż pamięć o historycznym konkrecie, który stoi u jego genezy, niech świadczy wypowiedź sformułowana podczas rozmowy Marka J. Karpa z Bohdanem Skaradzińskim na temat *Białoruś, Białoruś*, odnotowanej na łamach „Więzi":

> **BS:** Powiedzmy sobie prawdę: ani za „demokracji" ani za „sanacji" nie groziło tu i nie grozi nikomu nic za mówienie po białorusku. Nic – jeśli nie liczyć krzywych spojrzeń polskich sąsiadów i ewentualnie pomruków na temat „ruskich" czy zgoła „kacapów".
> **MK:** Jeśli nawet takiej ceny ta społeczność nie chce zapłacić, to trudno wydziwiać nad irytacją pana Janowicza.

---

[4] Zob. tamże, s. 82.

[5] Tamże, s. 78. Oczywiście nie chodzi o całkowite wyeliminowanie bądź przesłonięcie kwestii politycznych czy ekonomicznych – szerzej: gospodarczych. Im właśnie w dużej mierze poświęcona jest książka Jana Sowy *Fantomowe ciało króla*. Z uwagi na przedmiot analizy – teksty – po prostu je tutaj pominę.

[6] Tamże, s. 83 i 91.

> **BS:** Oczywiście w tak totalnej abstynencji od własnego języka widzę o wiele więcej żenady, by nie powiedzieć wstydu, aniżeli jakichkolwiek lęków[7].

Uderzająca jest, po pierwsze, akceptacja przez rozmówców jako naturalnej i zrozumiałej sytuacji, w której posługiwanie się językiem białoruskim to powód do wstydu, a po drugie – przerzucenie całej odpowiedzialności za nią na Białorusinów. „Wstyd" i „żenada" mają być wyłącznie dowodem na słabość tej nacji, a nie świadectwem niewłaściwego postępowania Polaków wobec niej. Mamy tu też do czynienia z potwierdzeniem stereotypu wiktymistycznego (obowiązującego zresztą także jako jeden z elementów białoruskiej autonarracji): posługiwanie się rodzimym językiem ma się wiązać z poniesieniem ofiary, jest rodzajem poświęcenia („cena, której nie chce zapłacić ta społeczność").

Wypada w tym momencie postawić jedno z pytań Saida: w oparciu o jaki zasób wiedzy o świecie Skaradziński sformułował sąd, że stanem naturalnym jest wstyd towarzyszący posługiwaniu się językiem białoruskim? Wydaje się, że stanowi to konsekwencję procesu „kresowania", jaki dokonał się w polskiej autonarracji historycznej. Tak opisuje go Jan Sowa:

> Przez analogię do kolonialnego światowania Spivak, moglibyśmy mówić o polskim „kresowaniu" obszarów Europy Środkowo-Wschodniej, które znajdowały się pod kolonialnym panowaniem I lub II Rzeczypospolitej (lub ich obojga). Polegałoby ono na takiej organizacji historycznej narracji, która pozwala pokazać polską obecność na Kresach jako **naturalną** (w sensie obiektywnej przewagi kulturowej i cywilizacyjnej, uprawomocniającej panowanie), **spontaniczną** (elity Ukrainy dopraszały się wręcz o inkorporację ich ziem, a polonizacja Litwy była dla jej apologetów od Weyssenhoffa po Dmowskiego „aktem dobrowolnym, a także dobrodziejstwem wobec narodu opóźnionego cywilizacyjnie w Europie") oraz **korzystną dla zdominowanych** (Polska w roli pośredniczki między Zachodem a Wschodem oraz protagonistki modernizacji), jednocześnie maskując rolę, jaką przedsięwzięcie kolonialno-imperialne odegrało w konstrukcji sarmackiej podmiotowości I Rzeczypospolitej[8].

Przywołane przez Sowę za Spivak „światowanie" oznacza sposób, w jaki byłe kolonie wpisują się w porządek światowy: „To perspektywa, w której panowanie Zachodu przestaje być problematyczne, a staje się czymś, co po prostu «wydarzyło się» i dlatego powinno zostać uznane za racjonalne i naturalne"[9].

---

[7] *Krzyk rozpaczy. O książce Sokrata Janowicza „Białoruś, Białoruś" rozmawiają Marek I. Karp i Bohdan Skaradziński*, „Więź" 1988 nr 1, s. 44. Warto nadmienić, że Janowiczowi poświęcony został obszerny fragment pisma. Oprócz cytowanego wywiadu pojawiają się przekłady kilku opowiadań oraz esej Jana Leończuka *Wierność i niepokój.* Pisarz był wcześniej laureatem przyznawanej przez miesięcznik nagrody – opublikowanie *Białoruś, Białoruś* zostało zatem odebrane jako rodzaj sprzeniewierzenia się propagowanym przez redakcję pisma o katolickiej proweniencji ideom. W „Więzi" z 1987 r. (nr 4) znajduje się tekst Marka J. Karpa *Krynki – obcość i bliskość*, stanowiący zapis wizyty redaktora w Krynkach i rozmowy z Janowiczem.

[8] J. S o w a, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Kraków 2011, s. 499. „Konstrukcji sarmackiej podmiotowości Rzeczypospolitej" jest w dużej mierze poświęcona ta książka.

[9] Tamże, s. 498.

Właśnie ta „naturalność" polskiej obecności na terytoriach zamieszkiwanych przez sąsiadów, zwanych Kresami (wtedy jeszcze uważano tę nazwę za neutralną), stanowi punkt wyjścia rozważań nad twórczością Janowicza. Asumpt ku temu daje właściwie sam pisarz, w pierwszym zdaniu swego kontrowersyjnego eseju eksponując „los", a więc siłę sprawczą pozostającą poza zasięgiem ludzkich mocy („Polacy i Białorusini mają za sobą sześć wieków wspólnego losu, więc i podobnej historii"[10]).Zdanie to parafrazuje Małgorzata Wydmańska-Kurlej, nieco dalej stwierdzając:

> Jak skonstatował Czesław Miłosz w *Rodzinnej Europie*, sytuacja Białorusinów, charakteryzujących się biernością, niezaradnością i pokorą wobec losu, przypomina casus złapanej ryby, mającej do wyboru patelnię lub garnek. Białorusini mieli alternatywę w postaci polonizacji lub rusyfikacji ze względu na obiektywne warunki historyczne i późniejszy, niż u innych narodów rozwój poczucia swej odrębności narodowej i kulturowej. Wszak pierwsza gramatyka białoruska powstała dopiero w XX w.[11]

Sytuacja Białorusinów stanowi zatem konsekwencję „obiektywnych warunków historycznych" oraz przyrodzonego charakteru narodowego, a „obiektywnym" probierzem zaawansowania w poczuciu narodowej odrębności jest posiadanie skodyfikowanej, spisanej gramatyki. Zaznaczyć trzeba koniecznie, że autorka recenzji usiłuje problematyzować polsko-białoruskie relacje, pisze o negatywnych aspektach polskiej polityki – tym bardziej zatem uderza moc oddziaływania kolonialnego dyskursu, który wymyka się spod autorskiej kontroli i bierze wypowiedź we władanie, będąc jej – żeby posłużyć się metaforą z dziedziny optyki – „ślepą plamką". Już na tym przykładzie widać też, że ma słuszność Spivak, kiedy zamiast reprezentacji podporządkowanych, która zawsze będzie skażona interesami „hegemona", domaga się ich upodmiotowienia, „a przynajmniej uwzględnienia ich roli jako aktywnego aktora, a nie biernej ofiary procesu kolonizacji i dekolonizacji"[12] („złapana ryba").

Wielu spośród recenzentów *Białoruś, Białoruś* dokonuje zresztą, za pomocą tego tekstu, rewizji polskiej historii. Rozważania Janowicza są przez nich jednak wykorzystywane koniunkturalnie w myśl panującej ówcześnie ideologii, nakazującej przedstawianie w krytycznym świetle II Rzeczypospolitej, Konstytucji Trzeciego Maja czy państwa Jagiellonów. Prawdziwą, wolną Polską była przecież dopiero Polska Rzeczpospolita Ludowa. Jerzy Tomaszewski na łamach „Polityki" zamieszcza na marginesie rozważań o toku narracji Janowicza, odbiegającego

[10] S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 5.

[11] M. W y d m a ń s k a - K u r l e j, S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, „Iskry", Warszawa 1978, s. 189 [rec.:], „Slavia Orientalis" 1989 nr 1/2 s. 222. W tym samym kontekście można przywołać Waldemara Smaszcza, który zarzuca Janowiczowi, że ten nie podejmuje „próby zrozumienia nieuchronności pewnych procesów". W. S m a s z c z, *Scalanie pamięci*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, red. zbiorowa, Białystok 1990, s. 75.

[12] J. S o w a, *Fantomowe ciało króla*, s. 457.

od chronologicznego porządku, komentarz wobec Konstytucji Trzeciego Maja: „jakież ciekawe to spojrzenie Białorusina na naszą świętość narodową!”[13], a Eugeniusz Kabatc w „Kobiecie i Życiu” (ten tytuł niech świadczy o zasięgu, jaki miała *Białoruś, Białoruś*) cytuje „Prof. Jerzego Skowronka”:

> Po odzyskaniu niepodległości nasza polityka wobec tych narodów (mniejszości na kresach wschodnich) była skandaliczna. Ktoś, kto jest potężniejszy, kto ma starszą tradycję historyczną – powinien mieć szerszą wyobraźnię polityczną i obowiązany jest do cierpliwości[14].

W tekście Klemensa Krzyżagórskiego socjalistyczna ideologizacja w imię białoruskiej emancypacji realizuje się w nieco innym wydaniu:

> Literatura ta [białoruska – dop. K. S. M.] – jak pisze w innym miejscu Janowicz – nieprzerwanie jest zaabsorbowana elementarnymi nieszczęściami, które napotyka człowiek w swojej biologicznej egzystencji: głodem sprawiającym śmierć, przemijaniem w czasie, czyniącym człowieka upośledzonym względem innych, później upodlonym przez nich. Nie jest to jednak ów rodzaj inteligenckiej paniki, na temat której ironizował bodajże Gombrowicz – egzystencjalista bardzo boi się śmierci, ale jeszcze bardziej boi się dentysty. Problematyka egzystencjalna w piśmiennictwie białoruskim wyrasta z podłoża historycznego i uwierzytelnia się realiami społecznego bytu – jest lamentem niedoli chłopskiej[15].

Rozważania Krzyżagórskiego pochodzą z 1973 roku, siłą rzeczy zatem nie dotyczą *Białoruś, Białoruś*. Już w tym miejscu wypada jednak zaznaczyć, że cezura dzieląca recepcję wcześniejszej twórczości Janowicza od rezonansu, jaki wywołał esej z 1987 roku przebiega przede wszystkim na poziomie tego, co Polacy sobie uświadamiają, natomiast mniej dotyczy głębokiego poziomu ich wypowiedzi, niezmiennie uwikłanego w kolonialną optykę. Zdarza się, że autorzy tekstów zdają sobie z tego sprawę:

> Przyłapuję się na tym, że ulegam presji historiozofii polskiej, na ogół z wyrozumiałością przyjmującej odmienność tych ziem, z łaskawością traktującej egzotyczny folklor t u t e j s z e g o l u d u, natomiast rzadko, niechby nawet krytycznie, zauważającej ten k r a j (z jego odrębnością) i ten n a r ó d (z jego aspiracjami)[16].

Oczywiście znowu trudno wyrokować, na ile ta wypowiedź podyktowana została wytycznymi obowiązującej ideologii, rewidującej przedrewolucyjny model polskości. Dodajmy na marginesie (choć zakrawa to na truizm), że nie oznacza

---

[13] J. T o m a s z e w s k i, *Pozostać Białorusinem*, „Polityka” 1987, nr 41, s. 8.

[14] E. K a b a t c, *Białoruski koncert barokowy*, „Kobieta i Życie” 1988 nr 43, s. 15. Pomijam tutaj pojawienie się po raz kolejny typowych elementów dyskursu kolonialnego w wypowiedzi, która z założenia ma się mu przeciwstawiać.

[15] K. K r z y ż a g ó r s k i, *Nie ma w mieście wesela*, „Polityka” 1973 nr 44, s. 9.

[16] E. K a b a t c, *Białoruski koncert barokowy*, s. 15.

to bynajmniej ideowej neutralności tekstów Skórczewskiego i Sowy, również reinterpretujących polskość w relacji z Innym; różnica polega na tym, że współcześni autorzy światopoglądowej indyferencji i transparentności nie symulują, a po drugie – reprezentowana przez nich ideologia stanowi konsekwencję własnego wyboru, a nie presji władzy.

Najradykalniejszy i najbardziej entuzjastyczny spośród wielu przychylnych esejowi Janowicza tekstów wydaje się *Widok z przeciwległego okna* Zdzisława Skroka, opublikowany w „Literaturze":

> Dla czytelników rodzimej literatury wspomnieniowej o kresach północno-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, lekiem, odtrutką narodowej megalomanii, pryzmatem ustalającym właściwą perspektywę, może być bez wątpienia książka *Białoruś, Białoruś* Sokrata Janowicza [...][17].

Nieco dalej czytamy, że

> Za literackich reprezentantów polskiej racji stanu uznaje [...] białostocki literat Miłosza, Jasienicę i Konwickiego. Wizerunek Białorusina zawarty w *Rodzinnej Europie* Miłosza jest zdaniem Janowicza charakterystyczny dla przeciętnego polskiego inteligenta lat międzywojennych, człowieka umiarkowanego w sądach i działaniu[18].

Powtórzmy sformułowaną wyżej wątpliwość: nie jesteśmy w stanie oddzielić tonu probiałoruskiego od wypowiedzi wymierzonej przeciwko Miłoszowi czy Konwickiemu ani ustalić hierarchii ich ważności w analizowanym tekście. Sprawa białoruska znowu służy zatem sprawie polskiej, bez względu na to, jak byśmy tu tę drugą wartościowali.

Obecnemu na poziomie deklaratywnym przełamywaniu „kresowania" zdaje się przeczyć, używana w odniesieniu do Sokrata Janowicza i jego pisarstwa, zwłaszcza wspomnianego eseju, metaforyka nawiązująca do choroby oraz konsekwentna orientalizacja. Paradoksalnie łączą się one ze sobą, gdyż zarówno choroba, jak też eksponowanie wschodniości Sokrata służy zaprzeczeniu racjonalności jego wypowiedzi, tym samym niejako ją usprawiedliwiając. Tytuł recenzji Krzysztofa Kopki brzmi *Białoruska gorączka Sokrata Janowicza*[19], a Wiktor Rudczyk pisze o *Białoruś, Białoruś* jako „dziele Sokratowego opętania białoruskością", wcześniej przywołując obraz „wyrywania z serca rakowizny", która latami w pisarzu „odkładała się i dławiła go"[20].

Orientalizacja może mieć postać łagodnego zwrotu Grażyny Borkowskiej „oswajanie bardziej egzotycznych elementów rodzimej kultury"[21] przez

[17] Z. S k r o k, *Widok z przeciwległego okna*, „Literatura" 1987, nr 10, s. 73.
[18] Tamże.
[19] K. K o p k a, *Białoruska gorączka Sokrata Janowicza*, „Tygodnik Kulturalny" 1988, nr 47, s. 13.
[20] W. R u d c z y k, *Na pograniczu kultur*, „Gazeta Współczesna" 1987, nr 91, s. 3.
[21] G. B o r k o w s k a, *Historia sentymentalna*, „Res Publica" 1988, nr 3, s. 128.

„orientalną pokorę wobec niezależnych od człowieka praw”[22] w tekście Henryka Berezy po interesujące rozważania Zygmunta Trziszki, który w bardzo przychylnym Janowiczowi artykule porównuje pisarza do „filozofa Wschodu”. Esej Trziszki zasługuje na uwagę właśnie ze względu na połączenie wątków orientalnych z chorobą. Zacytujmy dłuższe fragmenty:

> Myślę, że wszystkie rozważania o „inności” Sokrata Janowicza trzeba by zacząć od scharakteryzowania kultury, jego pierwszej kultury, w której się urodził, a więc nie można zapomnieć o prawosławności pisarza, którą dla potrzeb świeckich nazwę orientalnością.
> Świat pierwszy Sokrata zna słowo jurodiwyj. [...] Jurodiwyj oznacza tu prawdziwie nawiedzonego. Prawdziwy poeta powinien być dotknięty formą jakiegoś nawiedzenia, uduchowienia, mistyczności. W kulturze, którą tu nazwałem orientalną łatwiej o nawiedzenie, dlatego kultury te częściej mają poetów z urodzenia. [...] Ktoś wyraził niedawno uwagę, że prawosławie jest zakonspirowanym buddaizmem, w którym potrzeba osobistego przeżycia prawdy jest o wiele silniejsza niż w kulturach zachodnich. W prawosławiu mamy do czynienia z takim tchnieniem ducha orientalnego, który dopuszcza do głosu głębokie pokłady podświadomości.
> U Sokrata Janowicza właśnie, w całej jego twórczości do głosu dochodzą głębokie warstwy podświadomości. On więcej czuje podświadomie niźli przy pomocy rozumowych spekulacji można rozjaśnić. Żeby to lepiej zrozumieć trzeba zetknąć się z tym człowiekiem. Zorientowany mógłby powiedzieć, że od pisarza tchnie dostojewszczyzną, także w sensie zbratania z chorobą. Najszczersza szczerość nie pozwala Sokratowi zataić niczego nawet przed publicznymi słuchaczami. Pamiętam, jaki byłem zdziwiony, gdy na naszym wspólnym spotkaniu autorskim [...] pisarz mówił o sobie takie rzeczy, które „cywilizowany gość” nawet przed sobą ukrywa. Pomyślałem wtedy: ech, biedny Sokrat, on się tak męczył w tej chorobie, jak biedny Fiedia[23].

Bez względu zatem na to, jak są waloryzowane, racjonalizm, obiektywizm, zdrowie, normalność, zachodniość, samokontrola, cywilizacja znajdują się po stronie polskiej.

O stopień niżej niż choroba i orientalizm w rysującym się tu schemacie recepcji tekstu Janowicza znajdują się emocjonalność („serce”), subiektywizm i autentyzm, połączone z nieokreślonością gatunkową i stylistyczną: esej, gawęda, sylwa dopuszczać ma zarówno nacechowany ton, jak też pewną niefrasobliwość faktograficzną. Wymienione wyżej cechy bywają stawiane jako zarzut, a z drugiej strony właśnie nimi czytelnicy *Białoruś, Białoruś* próbują tłumaczyć poglądy autora, właściwie zwalniając się tym samym z obowiązku prowadzenia z nim

[22] H. B e r e z a, *Na pograniczu*, w: t e g o ż, *Związki naturalne. Szkice literackie*, Warszawa 1978, s. 300. Wcześniej ten tekst ukazał się na łamach „Tygodnika Kulturalnego” 1973, nr 40, s. 4.

[23] Z. T r z i s z k a, *Sokrata Janowicza wiersz prozą i proza wierszem*, „Fakty” 1978, nr 32, s. 6–7.

poważnej polemiki. Przemawiając niejako z „jądra" polskiego dyskursu kolonialnego[24] Piotr Wróbel stwierdza na łamach „Nowych Książek":

> Z pewnością są osoby, którym odpowiada poetycki styl Janowicza. Jego tekst, momentami bardzo subiektywny i emocjonalny, jest jednak – co warto podkreślić – autentyczną wypowiedzią Białorusina. Jest świadectwem jakich mało w literaturze drugiej połowy XX wieku. Odzwierciedla białoruskie fobie, kompleksy i obawy[25].

Niezwykle znacząca wydaje się tendencja do przesuwania polemiki z Janowiczem (tylko czy to wtedy jeszcze jest polemika?) w rejony aintelektualne. Najostrzej wybrzmiewa to w wypowiedzi Skaradzińskiego:

> Mój odbiór tej broszury raczej niż książki jest ambiwalentny. Z jednej strony cieszę się, że o stosunkach polsko-białoruskich ukazała się praca o tak zasadniczym, chciałoby się rzec – pryncypialnym charakterze. Wielce przekonuje mnie tytuł autora do zabierania głosu w tej kwestii. Tytułu tego nie łączę z pozycją, jaką Janowicz zdobył w literaturze. Nie talent, ale mocny, bezkompromisowy patriotyzm białoruski stanowi tu zasadniczą [...] legitymację. Patriotyczna, naiwna, na nic się nie oglądająca pasja daje mu moralne, bo przecież nie intelektualne (!) prawo mówienia rzeczy nawet niesłusznych[26].

Mimo przyznania Janowiczowi „moralnego prawa" do bycia orędownikiem białoruskich racji, już za chwilę Skaradziński stwierdzi, że „Trzeba jednak zaprotestować jeszcze przeciwko dwóm akapitom, nie ze względu na faktografię, tylko na etykę"[27]. Następuje zatem nie tylko obiektywizacja, ale wręcz „etyzacja" polskiej racji stanu, gdzie wystąpienie przeciwko wyrażającej ją narracji nabiera znamion etycznego wykroczenia.

W artykule Władysława A. Serczyka subiektywizm staje się cechą dyskredytującą rozważania Janowicza. Według polskiego historyka są one „nieprawdziwe, bo jednostronne"[28], a *Białoruś, Białoruś*, „gdyby nie owe chwyty wyjęte z innego gatunku literackiego, gdyby nie jednostronne spojrzenie na przeszłość własnego i sąsiedniego narodu, gdyby nie zbędny pośpiech, byłaby to naprawdę książka znakomita"[29]. Serczyk konstruuje bardzo wymowną metaforę, mającą *per analogiam* oddać różnice między obiektywnym i subiektywnym spojrzeniem na niewątpliwe i wartościowe związki kultury białoruskiej i polskiej.

---

[24] „Przedrozbiorowa Rzeczpospolita szlachecka była krajem, w którym współżyło co najmniej kilka narodowości. Tolerancja, przenikanie i wymieszanie się obyczajów, języków i religii stanowiły o atrakcyjności i sile Polski, wytworzyły fascynującą kulturę pogranicza cywilizacji Wschodu i Zachodu". P. W r ó b e l, *Mniejszości narodowe w Polsce – temat aktualny*, „Nowe Książki" 1987, nr 10, s. 14.

[25] Tamże, s. 15.

[26] *Krzyk rozpaczy*, s. 42.

[27] Tamże, s. 45.

[28] W. A. S e r c z y k, *Zawinił czas...*, „Gazeta Współczesna" 1987 nr 91, s. 3.

[29] Tamże.

Sokrat Janowicz, „gdy o tym wszystkim pisze, winien wznieść się jak można najwyżej, by dostrzec możliwie najwięcej różnych zawiłości opisywanego problemu, by patrzeć nań oczami orła, nie zaś zabłąkanego w labiryncie uprzedzeń i kompleksów pożytecznego skądinąd kreta”[30]. Kondensacja symbolicznych treści, jakie niesie ze sobą ten obraz, oraz wyrazistość kryjącego się w nich modelu wartościowania, niemal wyjętego z kolonialnego schematu, jest uderzająca. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że orzeł, metonimia polskości, staje się tu symbolem racjonalności, obiektywizmu, uniwersalności i prawdy.

Założenie, że polski punkt widzenia być może nie jest wolny od pewnej dozy interesowności, a jednak pozostaje na wyżynach obiektywnej narracji, przyświeca też Zbigniewowi Bauerowi. Jego niezwykle nacechowany emocjonalnie tekst nosi znaczący z perspektywy naszych rozważań tytuł *Nie tak…* Bauer, podobnie jak inni krytycy eseju Janowicza, jako przykład rozmijania się z obiektywną rzeczywistością historyczną podaje włączanie przez pisarza w obręb kultury białoruskiej twórców funkcjonujących w kręgu literatury polskiej. Tak komentuje ów akt zawłaszczenia:

> Można by to wszystko wypomnieć Janowiczowi, ale zaraz machnie on pogardliwie ręką: „Wiem – wiem, że Mikoła Husouski funkcjonuje w piśmiennictwie polskim. To Mikołaj Hussowski; i bynajmniej nie od wczoraj (jak Symon Budny jest Szymonem Budnym)”. A więc nie jest ważne, co się pisze, ale… po której stronie. Pamiętając o tym, inaczej patrzy się już na „pomyłki” Janowicza. Mają one swój sens. Służą ukierunkowaniu interpretacji historii, takiemu, jakie wyobraża sobie autor *Białorusi, Białorusi*. I to jest właśnie w tej książce składnikiem najbardziej niepokojącym[31].

Dzięki nowemu historyzmowi i krytyce postkolonialnej wiemy już, że „defekt”, który Bauer piętnuje w eseju Janowicza stanowi immanentną cechę każdej historycznej narracji, co najwyżej przejawy „ukierunkowania interpretacji historii” są bardziej zakamuflowane. Widać tu typową dla dyskursu kolonialnego obiektywizację i uniwersalizację wizji świata reprezentowanej przez dominującą nację. Co więcej, nacja ta przypisuje sobie prawo – w imię obiektywizmu i prawdy – narzucania podporządkowanym sposobu autoprezentacji. Janowicz ma prawo być białoruskim patriotą, ale „nie tak”.

Dlaczego subiektywizm pisarza tak drażni, dlaczego nie można mu wybaczyć, że zapisuje po białorusku nazwisko Budnego, Husouskiego, Barszczeuskiego (będą mu to wypominać, poza Bauerem, Krzyżagórski czy Henryk Majecki[32])? Wydaje się, że tym, co budzi sprzeciw, jest podjęta przez Janowicza próba przemieszczenia

[30] Tamże.

[31] Z. B a u e r, *Nie tak…*, „Zdanie” 1987, nr 6, s. 57.

[32] „Niezrozumiałe jest podawanie nazwisk pisarzy polskich w wersji białoruskiej. Przecież Michał Ciecierski, Polak urodzony na Warmii nie uważał się za Białorusina. W książce S. Janowicza występuje jako Ciacierski. To samo dotyczy również Jana Czeczota, Joachima Chreptowicza i innych. To, że oni mieszkali na obszarze białoruskim, że zbierali folklor białoruski, a nawet i to, że pisali w języku białoruskim utwory dla ludu nie upoważnia do uważania ich za Białorusinów”. H. M a j e c k i, [rec.], „Białostocczyzna” 1987, nr 3, s. 42.

centrum dyskursu o problematyce białoruskiej poza jego dotychczasowe, tradycyjnie polskie jądro[33]. Kontynuując rozważania inspirowane ustaleniami Skórczewskiego można powiedzieć, że Janowicz dokonał aktu „odmowy zajęcia wyznaczonego sobie miejsca w projekcie kolonialnym"[34] oraz „podważył uniwersalistyczne pretensje dyskursu polskiego do reprezentowania"[35] białoruskości.

Przemieszczenie to oznacza także przedłożenie interesów własnego narodu ponad korzyści Polaków, co oczywiście przekłada się na interpretację poszczególnych faktów historycznych ze wspólnych, polsko-białoruskich dziejów. Jak zauważa Skórczewski, „pogląd, że populacja podporządkowana podziela aspiracje i wartości hegemona, więcej uznaje własny udział w jego przedsięwzięciach za polityczny aksjomat i zarazem uzasadniony powód do dumy, dowodzi przekonania o sukcesie projektu polonizacyjnego"[36]. Przekonanie to zdaje się podzielać Skaradziński, kiedy mówi o interpretacji polsko-białoruskiego sąsiedztwa:

> Na tych prawie pięciuset latach Janowicz nie zostawia suchej nitki. Zaraz na wstępie książki [...] mamy „żołdaków Batorego", jego zaś samego określa jako inicjatora perpetuum mobile fobii religijnych na Kresach – i ani słówka więcej. A wszak Janowicz nie może nie wiedzieć, jakie miejsce zajmuje ów monarcha w naszej polskiej świadomości powszechnej, a nawet profesjonalnej historiografii[37].

Jednym z elementów dyskursu kolonialnego jest „wprawienie w ruch i podtrzymywanie u podbitych mechanizmu autodeprecjacji"[38]. Oczywiście punkt wyjścia stanowi deprecjonowanie ich przez kolonizatorów. Początkowo narzucane, a w efekcie zinterioryzowane poczucie niższości wobec „hegemona" staje się częścią tożsamości skolonizowanych. Jak zauważa Sowa,

> To oczywiste, że tożsamość zawsze ma charakter kontekstualny i relatywny. Da się ją określić wyłącznie jako wiązkę cech dystynktywnych, a więc takich, które odróżniają nas od innych. Tutaj jednak chodzi o coś więcej: egzystencja podporządkowanych w większym jeszcze stopniu zależy od kontekstu i relacji z Innym, ponieważ to Inny decyduje o tym, jakie cechy stają się dystynktywne, z czym będą porównywane i wedle jakiego probierza oceniana ich wartość[39].

Jak łatwo się domyślić, jako dystynktywne wybierane są te cechy, które pozwalają potwierdzić istotową (nie jakościową) różnicę między kolonizatorem i skolonizowanym. Temat kształtowania się tożsamości w sytuacji spotkania

---

[33] Dokonałam tu przełożenia frazy użytej przez Dariusza Skórczewskiego w odniesieniu do przedstawienia przez Juliusza Słowackiego problematyki ukraińskiej w *Śnie srebrnym Salomei*. Zob. D. Skórczewski, *Teoria – literatura – dyskurs*, s. 253.

[34] Tamże, s. 280.

[35] Tamże, s. 253.

[36] Tamże, s. 261.

[37] *Krzyk rozpaczy*, s. 44.

[38] D. Skórczewski, *Teoria – literatura – dyskurs*, s. 145.

[39] J. Sowa, *Fantomowe ciało króla*, s. 435.

kolonialnego zasługuje na osobną uwagę (inspiracji dostarczyć może kategoria hybrydyczności, sformułowana przez Homiego K. Bhabhę); sygnalizuję go w tym miejscu, ponieważ jedną z form deprecjonowania Janowicza jako autora *Białoruś, Białoruś* było zakwestionowanie białoruskości pisarza. Próbowano tym samym nie tylko uderzyć w jego najczulszy punkt, ale też podważyć jedyny atrybut, który upoważniał go, według niektórych, do wystąpienia w roli autorytetu w dziedzinie problematyki białoruskiej (przypomnijmy, że negując kompetencje historyczne Janowicza podkreślano, iż prawo do wypowiadania się w kwestii białorusko-polskich relacji przysługuje mu wyłącznie z racji autentyzmu i bycia zaangażowanym Białorusinem). Zbigniew Bauer wydaje się pod tym względem najbardziej radykalny, zarzucając pisarzowi, że jego białoruskość jest rodzajem pozy, że się pod nią jedynie podszywa dla jakichś własnych, koniunkturalnych celów:

> Czy pisarz, który w roku 1980 jest „po czterdziestce" miał rzeczywiście społeczne powody, by nienawidzić, jak jego ojciec, „białych rączek" – Polaków? A może jest to u niego zwyczajna p o z a, kontynuowanie czegoś, co jest już ledwie-ledwie zakorzenione w realiach, konstruowanie jakiejś postawy, mającej mu zapewnić własne „ja" – także pisarskie? Ale jakież to „ja" pisarza białoruskiego, skoro Janowicz zaledwie – mogę się mylić o jedną pozycję – dwie książki napisał po białorusku? Jednak twierdzi, że Białystok swoje znaczenie literackie zawdzięcza wyłącznie pisarzom białoruskim… Nie mogę w to uwierzyć[40].

Na znikomą liczbę białoruskich publikacji Janowicza wobec polskich, bez postawienia pytania, z czego wynikać może ta dysproporcja, powołuje się również Wiktor Rudczyk:

> Sokrat Janowicz jest pisarzem białoruskim. Prawda to znana i oczywista. Ale dziwny to pisarz białoruski, który w swym dorobku ma zaledwie d w i e książeczki w języku oryginału, a reszta (15 pozycji bibliograficznych) – to tłumaczenia na polski. W jakiej literaturze, w jakiej zatem kulturze jest on bardziej obecny: w polskiej czy białoruskiej?![41]

W swoim artykule, zamieszczonym, co ważne, w białostockiej gazecie, a więc przeznaczonym dla czytelników oswojonych z lokalnymi, pogranicznymi realiami, Rudczyk podważa nie tylko białoruskość, ale też polskość pisarza, czyniąc to poprzez zakwestionowanie jego językowych kompetencji. Znowu mamy próbę odwołania się do autorytetu przedstawionego jako obiektywny i uniwersalny – w omawianym wcześniej tekście Wydmańskiej-Kurlej była

[40] Z. B a u e r, *Nie tak…*, s. 57. Bauer nawiązuje tu do fragmentu *Białoruś, Białoruś*, który wywołał najwięcej kontrowersji: „Pozbawiony od dzieciństwa własnej narodowości, pierwej próbowałem naśladować coś «ruskiego»; przejmowanie czegoś «polskiego» wykluczyłem od razu. Miałem ku temu powody, że tak powiem, i społeczne. To właśnie z powodu czystych, wyperfumowanych rączek mój ojciec żywił do Polaków niechęć. Być Białorusinem znaczyło uczciwie i ciężko pracować na kawałek chleba. Zabawiać się w światowca mógł tylko alfons i łajdak, ktoś kto nie orze i nie sieje…", s. 92.

[41] W. R u d c z y k, *Na pograniczu kultur*, s. 3.

to „spisana gramatyka", tutaj – „poprawność i czystość języka, prawa gramatyczne". Konieczne będzie zacytowanie dłuższego fragmentu:

> Jako polonista Janowicz powinien wiedzieć, że każdy język rządzi się własnymi prawami gramatycznymi i zwyczajowymi. Nie można, pisząc po polsku, stosować zasad fonetyki białoruskiej, nawet jeśli miałoby to służyć podkreśleniu białoruskości danej osoby, rzeczy lub zjawiska. „Biełastok" w tekście polskim brzmi dla mnie równie dziwacznie, jak „Chajnuwka" w tekście białoruskim. Nikt u nas nie pisze „Roma", lecz Rzym. „Janka Kupała" dla nieobeznanego z literaturą białoruską Polaka jest „babą", a nie „chłopem", Janem Łucewiczem. Po polsku brzmiałoby to lepiej jako Janko (vide: „Janko Muzykant").
> Janowicz pisze: „…Niestety, nie ma już tutaj wspaniałej «Dabra-wieszczańskiej Cerkwi»". Chodzi tu o cerkiew w Supraślu, którą zrównano z fundamentami w zagadkowych okolicznościach". Cerkiew ta – i o tym S. Janowicz również wie – jest już odbudowywana. Ale to zdanie przytoczyłem jako przykład częstego ortograficzno-fleksyjnego poplątania z pomieszaniem, które występuje prawie na każdej stronie tej książki. Po prostu autor przedobrzył w swym galopie publicystycznym i chcąc – po swojemu – dobrze, uczynił ś m i e s z n i e, jak analfabeta w zasadach pisowni polskiej i białoruskiej. Wydawcy, niestety, nie usiłowali go widocznie przekonać, że jest w błędzie, że ta superbiałoruskość w tekście polskim niczemu nie służy[42].

Nie można chyba pójść dalej w deprecjonowaniu *credo* Janowicza, niż wystosowanie zarzutu śmieszności wobec tekstu o takim ładunku powagi, traktowanego przez samego autora jako istotna wypowiedź w ważkiej nie tylko dla niego, ale i dla pewnej społeczności, sprawie. Określenie pisarza analfabetą w obu językach stanowi właściwie akt całkowitego odebrania mu głosu. Potwierdza się teza Spivak: *subalterns* (wykluczeni poza granicę dopuszczanej przez dominujący dyskurs heterogeniczności) nie mogą mówić. Nie przypadkiem przywołuję kategorię heterogeniczności – Rudczyk tytułuje przecież swój tekst *Na pograniczu kultur*, kierując go, jak już wspominałam, do czytelników „Gazety Współczesnej", na co dzień spotykających się z realiami styku różnych religii, etnosów i języków (żądanie językowej sterylności w tych realiach zakrawa na kuriozum, chyba że puryzm byłby metodą kamuflowania poplątanych korzeni i tożsamości). Jest to zatem, jak widać, heterogeniczność w ramach dyskursu kolonialnego.

Podważenie polonistycznych kompetencji Janowicza, potwierdzonych dyplomem Uniwersytetu Warszawskiego, stanowi też sposób na zneutralizowanie subwersywnej wobec dominującego dyskursu mocy mimikry. Przypomnijmy: mimikra to, według Bhabhy[43], (oczywiście w dużym uproszczeniu jego myśli i specyficznego języka) częściowe upodobnienie się podporządkowanego do kolonizatora, kwestionujące zasadność ufundowanej na ich istotowej różnicy relacji

[42] Tamże.
[43] Zob. H. K. B h a b h a, *Mimikra i ludzie: O dwuznaczności dyskursu kolonialnego*, w: t e g o ż, *Miejsca kultury*, przeł. T. Dobrogoszcz, Kraków 2010, s. 79–88.

podrzędności. Mamy więc, przekładając to na sytuację Janowicza, białoruskiego chłopa (czyli z natury, w myśl stereotypu, niewykształconego, biernego, „pożytecznego skądinąd kreta", jak to określił Serczyk, spolegliwego, niewyrafinowanego intelektualnie itd.), który zdobywa najpierw średnie, a potem wyższe wykształcenie oraz pozycję uznanego w kraju pisarza (*Wielkie miasto Białystok*), czyli staje się „polskim panem", intelektualistą. Skoro tak, bezzasadna okazuje się choćby teza o naturalnym (ulubione słowo ze słownika kolonialnego) podporządkowaniu się cywilizacyjnie mniej rozwiniętych Białorusinów oświeconym Polakom. Przypomnijmy, Janowicz podejmuje decyzję o studiach polonistycznych już po swojej konwersji z „tutejszości" na białoruskość. Można zatem powiedzieć, że decyduje się na opanowanie na poziomie mistrzowskim narzędzia „przeciwnika", by potem w niego uderzyć w walce o własną sprawę – oryginalnym językiem *Białoruś, Białoruś* jest przecież polski. Rudczyk wykazuje się zatem nie lada intuicją, próbując wytrącić pisarzowi tę broń z dłoni[44].

Analizując recepcję *Wielkiego miasta Białystok* w kontekście odzewu, jaki wywołała *Białoruś, Białoruś* można powiedzieć, że w odbiorze eseju Janowicza sproblematyzowane zostało to, co w recenzjach literackich miniatur funkcjonowało na zasadzie oczywistego, milczącego założenia. Były one bowiem formułowane niejako z jądra kolonialnego dyskursu, którego pisarz, debiutujący na polskim rynku czytelniczym jako „ludowy twórca białoruskiego pochodzenia", zdawał się w żaden sposób nie negować. „Ludowość" należy tu rozumieć tak, jak proponuje Edward Redliński, zainspirowany wstępem Jerzego Litwiniuka do *Wielkiego miasta Białystok*:

> Sokrat Janowicz jest pisarzem ludowym. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, czytał Faulknera, Camusa, Kafkę, Gombrowicza – ale pozostał twórcą ludowym. Bowiem – cytuję Brechta za Jerzym Litwiniukiem – „Ludowe to nie to, co o ludzie, ale to, co lud obchodzi". A Sokrat Janowicz zgłębia w swoich opowiadaniach to samo, co i lud obchodziło, co było przedmiotem ludowych pieśni i opowieści: zło i dobro ludzkie, uczciwość, zdrada, wierność, miłość, narodziny i umieranie. I szum drzew, i milczenie rzek. Po ludowemu jest Sokrat opętany tajemnicą transcendencji…[45]

(Zwróćmy uwagę na analizowany wyżej motyw szaleństwa). Nie jest to zatem ludowość spod znaku ludowego prymitywizmu czy folklorystycznej stylizacji, jednak jak doskonale, nawet w tej wyrafinowanej formie, wpisuje się ona w schemat białoruskości nierozłącznie związanej z „chłopskością", nie budząc w tej wersji żadnego sprzeciwu.

---

[44] Na marginesie tylko dodam, że sprawa jest bardziej złożona, gdyż mimikra łączy się w rozważaniach Bhabhy z hybrydycznością tożsamości kolonizatorów i skolonizowanych – ich podmiotowości nie można określić na zasadzie przeciwstawienia, mamy tu do czynienia z relacją wzajemnych wpływów i zależności, sytuacją ciągłego negocjowania różnic. Wątek tożsamościowy nie jest jednak tutaj przedmiotem moich rozważań – z racji ważkości i złożoności tematu wymaga osobnego namysłu.

[45] E. R e d l i ń s k i, *Mędrzec w Babilonie*, „Nowe Książki" 1973, nr 20, s. 49.

Ludowość, jako ugruntowany w kulturze europocentrycznej przejaw cywilizacyjnej niedojrzałości i niewinności (od dawien dawna chłopów się oświeca, uświadamia ideologicznie, leczy z wiary w zabobony itd.) wydaje się w polskiej recepcji *Wielkiego miasta Białystok* i samej postaci pisarza częścią innego, kluczowego toposu: dzieciństwa. W niemal wszystkich tekstach powraca fraza, że Janowicz tworzy po białorusku, w języku swego dzieciństwa: „pisze po białorusku, w języku dzieciństwa, języku swoich pierwszych wrażeń"[46]; „Wybrał także pisarz język, w którym tworzy – to język dzieciństwa, to język Krynek"[47]; „Nie jest jedynym w Polsce pisarzem obcojęzycznym, który artystycznie uprawia mowę swego dzieciństwa"[48]; „pisze po białorusku, w języku swego dzieciństwa"[49]; „Bardzo ładnie ujawnia tę swoistość [pogranicza – dop. K. S. M.] Sokrat Janowicz, piszący w języku swego dzieciństwa zwięzłe obrazki prozatorskie"[50]. „Język dzieciństwa" to język, którym można „spłacać dług pamięci wiejskiej ojcowiźnie"[51], podejmować „próbę utrwalenia odchodzącego świata dawnej wiejskiej kultury i obyczaju ludowego"[52], a nawet wykazywać się „refleksyjną precyzją" w „pojemnych zastanowieniach nad ziemią, ludźmi, losem"[53], ale nie prowadzić walkę o swoją tożsamość etniczną. Przywoływanie tego języka to jakby zaklinanie obawy przed dorosłością, próba zatrzymania czasu na etapie dzieciństwa właśnie, z jego niedojrzałością, naiwnością, bezbronnością. To także nieodwołalnie język melancholii, która zakłada, że strata nigdy nie zostanie odzyskana, czyniąc tym samym jej przedmiot całkowicie niegroźnym. Właśnie w stanie takiego bezpiecznego zawieszenia w przeszłości białoruskość wydaje się możliwa do zaakceptowania, problem pojawi się wtedy, gdy pisarz zdecyduje się dorosnąć. Dzieciństwo to także oczywiście topos arkadyjski, figura idyllicznej (w tym kontekście lepiej byłoby powiedzieć: sielskiej) przeszłości, uobecniająca się nie tylko na poziomie indywidualnej biografii Janowicza („anielskie Krynki"), ale też w dziejach polsko-białoruskich relacji, jako symbol mitycznej pokojowej koegzystencji w łonie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Niezwykle interesujące wydaje się przeniesienie dzieciństwa i niedojrzałości na teren poetyki, dokonane przez Henryka Berezę, a skwapliwie podchwycone przez Waldemara Smaszcza i Jacka Pankiewicza jako doskonały klucz do interpretacji specyficznego stylu Janowicza, oscylującego między poezją a prozą:

> Na jego [Janowicza – dop. K.S.M.] decyzję pisania po białorusku (wchodzi tu z pewnością w grę wolny wybór) wpłynęły najprawdopodobniej – pośród wszystkich innych możliwych – także względy czysto literackie. W literaturze takiej jak białoruska nacisk gotowych konwencji artystycznych nie może nie być

[46] J. P a n k i e w i c z, *Wielkie miasto Sokrata Janowicza*, „Magazyn Rodzinny" 1974, nr 3, s. 32.
[47] B. N o w o r o l s k a, *Dwa pogranicza, czyli Sokrat Janowicz*, „Warmia i Mazury" 1978, z. 10, wkładka: *Białystok literacki. Region i literatura*, s. 10.
[48] K. K r z y ż a g ó r s k i, *Nie ma w mieście wesela*, s. 9.
[49] J. T e r m e r, *Miniatury prozą*, „Trybuna Ludu" 1973, nr 321, s. 8.
[50] A. D r a w i c z, *Pogranicze serdeczne*, „Sztandar Młodych" 1973, nr 222, s. 3.
[51] Z. K a z i m i e r c z y k, *„Wielkie miasto Białystok"*, „Gazeta Białostocka" 1973, nr 219, s. 5.
[52] J. T e r m e r, *Miniatury prozą*, s. 8.
[53] A. D r a w i c z, *Pogranicze serdeczne*, s. 3.

> minimalny. Wzmaga to niewątpliwie poczucie artystycznej swobody twórczej, którą nacisk gotowych form literatury musi ograniczać. Instynktowną potrzebą szerokiego zakresu takiej swobody dałoby się wytłumaczyć pisarskie działanie Janowicza na nieuchwytnym pograniczu między poezją a prozą.

Kilka akapitów dalej Bereza komentuje inspiracje Janowicza prozą Izaaka Babla:

> Babel pisze tak, jakby całe olbrzymie doświadczenie artystyczne prozy chciał sprowadzić z powrotem do doświadczenia artystycznego poezji. Janowicz natomiast pisze tak, jakby owo doświadczenie prozy w ogóle nie istniało. Można w tym widzieć odpowiednik różnicy między literaturą rosyjską a białoruską[54].

Stylistyczna wyjątkowość „sokratek", jak określił miniatury literackie Janowicza Jan Leończuk, nie jest zatem efektem kunsztu, wrażliwości czy talentu pisarza, tylko stanowi konsekwencję niedojrzałości, nieukształtowania białoruskiego języka, w którym nie dopracowano się jeszcze wzorców poezji i prozy. Jak widać, nawet dziedzina z pozoru tak neutralna, jak poetyka, ma swoje miejsce w kolonialnym dyskursie.

❋

Jak zaznaczyłam na wstępie, powyższa analiza polskiej recepcji pisarstwa Sokrata Janowicza, dokonana na wybranych przykładach, nie wyczerpuje ani tematu samego odbioru jego twórczości przez polskojęzycznych czytelników, ani nawet możliwości, jakie daje interpretatorom tego zjawiska krytyka postkolonialna. Moim celem nie było też bynajmniej udowodnienie, że Polacy przyjmowali pisarza, jego teksty i działalność z niechęcią (co nie znaczy, że taka niechęć się nie pojawiała). Chciałam jedynie pokazać, jak bardzo wszyscy byliśmy i jesteśmy nadal uwikłani w pewną opowieść o nas samych, naszych relacjach z Innymi i naszej przeszłości. Opowieść, która jeszcze do niedawna wydawała się nam tak niewinna i „obiektywna", że aż stawała się przezroczysta. Jeden z języków, jaki możemy dziś rozpoznać w tej opowieści, to dyskurs kolonialny.

[54] H. Bereza, *Na pograniczu*, s. 299.

Grażyna Charytoniuk-Michiej
BIAŁYSTOK

Obecność Sokrata Janowicza na Białorusi. O potrzebie badań nad recepcją pisarza

Jednym z ważnych, nie wiem, czy najważniejszych, tematów w twórczości Sokrata Janowicza jest Białoruś – kraj, którego historia, według pisarza, zaczyna się wraz z historią Polski. „Biała Ruś [...], pisał Janowicz, poczęła się, jak wiemy to z całą pewnością, w epoce rówieśnej Polsce, nie później aniżeli w 980 roku”[1]. Po drugie, jest to kraj, o którym przeciętni Polacy wiedzieli i wiedzą bardzo mało, albo po prostu nic. Raz jeszcze warto przywołać słowa pisarza: „Białoruś. Co czyta o niej Jaś i co będzie potem wiedział Jan? Dokładnie nic, niczym o Papuasach w Nowej Gwinei...”[2]. Pisana po polsku *Białoruś, Białoruś*, *Terra incognita: Białoruś* i liczne eseje miały służyć przede wszystkim polskiemu, ale i polskojęzycznemu, czytelnikowi. Dzięki temu Sokrat Janowicz w Polsce to nie tylko polski pisarz narodowości białoruskiej czy białoruski pisarz piszący po polsku i po białorusku, to – Pisarz Obojga Narodów.

Na Białorusi Sokrat Janowicz określany jest jako: „польскі беларускі пісьменнік”, „беларускі і польскі празаік, драматург, публіцыст”, „адзін з самых вядомых беларускіх пісьменьнікаў у Польшчы”. Jest więc autorem polsko-białoruskim czy białorusko-polskim piszącym w Polsce. To realne miejsce, w którym żył i tworzył Janowicz w sposób naturalny zdecydowało o przynależności państwowej pisarza.

Oddajmy głos samemu Sokratowi Janowiczowi. Na pytanie Janusza Niczyporowicza o tożsamość, odpowiedział:

> Niedawno Adam Michnik wymienił mnie obok Wasyla Bykowa jako tego pisarza białoruskiego, którego ceni. Niezorientowany czytelnik pomyśli, że mieszkam na Białorusi. A tymczasem jestem tutaj, w Krynkach koło Białegostoku. Od zawsze. Mój świat był światem białoruskim, ale w Polsce, bo tu mieszka część tego narodu[3].

---

[1] S. J a n o w i c z, *Terra incognita: Białoruś*, Białystok 1993, s. 5.
[2] Tamże.
[3] S. J a n o w i c z, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, wybór i oprac. R. Traba, Olsztyn 2001, s. 175.

Jednak pisarz z Krynek niejednokrotnie przekraczał granicę Małej Ojczyzny i Polski, by pozostawić wyraźne ślady w Ojczyźnie etnicznej. Z jednej strony wynikało to z jego przeżywania losu Białorusi i pragnienia spełnienia misji pisarza-patrioty, z drugiej zaś, po prostu, potrzeby zaistnienia na Białorusi.

Sokrat Janowicz jest obecny niemal we wszystkich białoruskich encyklopediach, słownikach pisarzy[4], w katalogach i bazach danych bibliotek. W Białoruskim Państwowym Archiwum-Muzeum Literatury i Sztuki znajduje się archiwum Sokrata Janowicza. Tworzą je dokumenty prywatne autora przekazywane przez niego do Mińska w różnych latach[5]. Spośród archiwaliów na uwagę zasługują między innymi pisane odręcznie w zeszytach formatu A5 czy A4 dzienniki[6]. Regularne ich prowadzenie było czymś istotnym dla samego pisarza. Dnia 21 lutego 1998 roku napisał: „Дзённікі дапамагаюць мне мець пачуццё парадку ў жыцці: нешта запісаўшы, усё роўна што рахунак выпісаўшы за зробленую работу"[7]. Rękopiśmienne dzienniki uzupełniał doklejając wycinki prasowe dotyczące własnej osoby, spraw białoruskich i polsko-białoruskich. Wiele z nich pochodzi z gazet i czasopism ukazujących się na Białorusi. Zbiory archiwalne zawierają także całe teczki artykułów z prasy polskiej i białoruskiej dotyczących pisarza. Te zebrane przez niego materiały są namacalnym dowodem jego obecności nie tylko w Polsce.

Zanim zaczęto publikować Janowicza na Białorusi, znany był tam ze stron tygodnika „Niwa", który dzięki prenumeracie instytucji i osób prywatnych docierał za wschodnią granicę. Publikacje w gazetach i czasopismach wychodzących w BSRR były możliwe za sprawą kontaktów zdobytych dzięki pracy etatowej w Białoruskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym. Z wypowiedzi pisarza wynika, że współpraca z białoruskim środowiskiem literackim nie była intensywna i zbyt owocna. Szczególnie trudna była na początku lat dziewięćdziesiątych, tuż po upadku Związku Radzieckiego i utworzeniu Republiki Białoruś. W wywiadzie przeprowadzonym przez Teresę Zaniewską mówił:

> [...] kontakty [...] kształtują się marnie od jednego nieszczęśliwego przypadku do drugiego. Nieraz zastanawiałem się w czym rzecz. Dochodzę do wniosku, że wszystkiemu jest winna bieda materialna tamtego środowiska, mizerniutkie szanse na wzajemność. Oni nie są w stanie po ludzku zaprosić kogoś od nas. [...] Zupełnie beznadziejnie wygląda to w sferze wizyt przyjacielskich, prywatnych: hiperinflacja pauperyzuje nawet do niedawna przyzwoicie

[4] Zob. np. *Беларускія пісьменнікі (1917-1990). Даведнік*, укл. А. Гардзіцкі, Мінск 1994; *Беларускія пісьменнікі. Біябібліяграфічны слоўнік у 6 тамах*, рэд. А. Мальдзіс, Мінск 1992–1995.

[5] Zob. opis dokumentów *Беларускі дзяржаўны архіў-музей літаратуры і мастацтва. Даведнік*, Мінск 2012, с. 198–202.

[6] Niewielka część dzienników Sokrata Janowicza i ich fragmenty były opublikowane: С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1987–1995 гг., урыўкі)*, Беласток 1997; С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, http://kamunikat.org/download.php?item=4049–1.html&pubref=4049 [dostęp: 03.08.2013]; С. Я н о в і ч, *Дзённікі (05.2005–04.2007)*, „Тэрмапілы" 2007, nr 11, s. 92–109; *Працяг дзённікаў Сакрата Яновіча*, „Тэрмапілы" 2010, nr 14, s. 45–52; С. Яновіч, *Працяг дзённікаў*, „Тэрмапілы" 2011, nr 15, s. 141–147.

[7] С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, s. 6.

> sytuowanych. Wydawnictw natomiast nigdy nie mieli oni w stopniu dostatecznym [...]. Istnieję jako widoczny autor grubo ponad trzydzieści lat, w ciągu których wyjęczałem w Mińsku druk ledwie dwóch książek, gdy tymczasem w Polsce wydałem ich kilkanaście... Akurat wyjeżdżam do Domu Pracy Twórczej „Isłacz" [...]. Po co jadę? Ukazał się *Samosiej* – w oryginale, bo w przekładzie polskim ponad dziesięć lat temu – i chcę tę książkę wypromować u nich. Ot tak[8].

W wydawnictwie „Мастацкая літаратура" ukazały się trzy powieści Sokrata Janowicza, które były obszerniejsze od ich polskich przekładów. Każda z nich została uzupełniona o dodatkową prozę. Były to: *Сярэбраны яздок. Аповесць, апавяданні, замалёўкі, гумарэскі*[9], *Самасей. Аповесць, апавяданні*[10], *Сцяна. Раман, апавяданні*[11]. W Republice Białoruś, czyli już po roku 1989, pisarz był drukowany także w nowej białoruskiej prasie niezależnej, jak „Дзеяспоў", „Наша Ніва", „Arche". Oprócz tego publikowały go także pisma oficjalne, na przykład „Літаратура і мастацтва",„Полымя", „Крыніца".

Sam pisarz Sokrat Janowicz i jego twórczość stały się przedmiotem zainteresowań krytyków literackich, literaturoznawców, uniwersyteckich badaczy literatury na Białorusi. O literacie z Krynek pisano zarówno na stronach oficjalnych, jak i niezależnych gazet i czasopism.Dla przykładu, wiele miejsca poświęcił mu jeden z numerów miesięcznika „Крыніца"(1998, nr 39, s. 2–49), dodajmy, ukazujący się wówczas pod redakcją Uładzimira Niaklajewa. W *Dziennikach* Janowicz odnotował: „Пазваніў Арлоў: ужо выйшаў нумар «Крыніцы», прысвечаны маёй творчасці. [...] (– Арлоў званіў неяк, што гэты нумар распрадаўся на рэдкасць беззваротна, дачыста)"[12].

O Sokracie Janowiczu pisali badacze z wielu ośrodków uniwersyteckich na Białorusi (Mińsk, Grodno, Witebsk, Brześć). Interesowały ich teksty literackie, a w nich głównie problem bohatera, bohatera-Białorusina, cechy gatunkowe, wartość artystyczna (Piatro Wasiuczanka, Iryna Samatoj),[13]a także język jego utworów (Alena Astapczuk)[14]. Niektórzy autorzy porównywali pod względem

---

[8] S. J a n o w i c z, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, s. 21–22.

[9] С. Я н о в і ч, *Сярэбраны яздок. Аповесць, апавяданні, замалёўкі, гумарэскі*, Мінск 1978; zob. S. Janowicz, *Srebrny Jeździec*, przeł. A. Sobecka, Warszawa 1984.

[10] С. Я н о в і ч, *Самасей. Аповесць, апавяданні*, Мінск 1992; zob. S. J a n o w i c z, *Samosiej*, przeł. J. Plutowicz, Warszawa 1981.

[11] С. Я н о в і ч, *Сцяна. Раман, апавяданні*, Мінск 1997; zob. S. J a n o w i c z, *Ściana*, przeł. J. Plutowicz, Olsztyn 1979.

[12] С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, s. 6, 8.

[13] Zob. np. П. В а с ю ч э н к а, *Абрысы мастацкага свету Сакрата Яновіча (хранатоп, іронія, сімвал)*, „Тэрмапілы" 2003, nr 7, s. 101–105; І. С а м а т о й, *Архэтып беларуса ў творчасці Сакрата Яновіча*, „Беларусіка" 2000, nr 15, s. 110–113; І. С а м а т о й, *Светапогляд беларуса ў творчасці Сакрата Яновіча*, w: *Беларуска-руска-польскае супастаўляльнае мовазнаўства, літаратуразнаўства, культуралогія*, Віцебск 2000.

[14] А. А с т а п ч у к, *Адлюстраванне польска-беларускага моўнага ўзаемаўплыву ў творах Сакрата Яновіча*, w: *Супольнасць традыцыі – садружнасць у будучын. Беларуска-польскія моўныя, літаратурныя, гістарычныя і культурныя сувязі. Зборнік навуковых артыкулаў*, Мінск 2012, s. 157–163.

gatunkowym czy stylistycznym pisarstwo Sokrata Janowicza z dziełami innych pisarzy białoruskich, jak na przykład Janki Bryla, Alesia Adamowicza, Maksima Tanka, Miry Łukszy (Aleś Makarewicz, Wolha Nikifarawa, Iryna Samatoj, Tamara Tarasawa)[15]. Niektórzy skupiali się na roli Sokrata Janowicza jako pisarza i prekursora białoruskiej myśli intelektualnej (Halina Tyczko, Adam Maldzis, Walancin Akudowicz)[16] albo zwracali uwagę na oryginalność jego twórczości (Uładzimir Hniłamiodaŭ)[17].

Sokrat Janowicz znany był na Białorusi najpierw jako członek i działacz Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża", następnie niezastąpiony organizator Białoruskich „Trialogów" w Krynkach, które odbywały się dzięki wysiłkom Stowarzyszenia Villa Sokrates, od 2009 Fundacji Villa Sokrates. Zarejestrowane przy Villi Sokrates wydawnictwo zostało dostrzeżone na Białorusi, chociażby ze względu na jego otwartość, niezależność i oryginalność publikowanych tam książek. Uładzimir Papkowicz, tłumacz *Tarasa na Parnasie* na język niemiecki, zauważył:

> Мой Тарас… – побач з іншымі – выйшаў спачатку ў Сакрата Яновіча ў Польшчы ў „Annus Albaruthenicus" 2006, а потым і ў беларускага выдаўца Віктара Хурсіка ў кнізе *Класіка*[18].

Okazuje się, że wydana przez Villę Sokrates w 2004 roku *Białorusinka* Marty Pińskiej (to pseudonim; nie udało się ustalić, kto się za nim kryje) znalazła się w „ТОП-3 самых скандальных беларускіх твораў XXI стагоддзя". Wyjaśnia to następujący fragment:

> Спрэчка вялася ў асноўным наконт мастацкай вартасці гэтага твора, яго магчымага аўтара і перакладчыка. Сапраўднае імя стваральніка дагэтуль застаецца таямніцай, а што да перакладчыка з польскай, дык ім аказаўся Васіль Сёмуха. Шанаванаму літаратару закідалі тое, што ён перакладаў „адначасова Біблію і гэтую парнуху", на што той даў грунтоўны адказ.

---

[15] Zob. np. А. М а к а р э в і ч, *Жанравыя асаблівасці зборнікаў апавяданняў Сакрата Яновіча „Доўгая сьмерць Крынак" і Міры Лукшы „Бабскія гісторыі"*, „Studia Białorutenistyczne" 2007, t. 1, s. 211–225; В. Н і к і ф а р а в а, *Аб тыпалагічных сыходжаннях у жанравай стратэгіі Янкі Брыля і Сакрата Яновіча*, w: *Творчасць Івана Навуменкі: славянскі, еўрапейскі, сусветны кантэкст (да 85-годдзя з дня нараджэння народнага пісьменніка Беларусі, акдэміка І. Я. Навуменкі). Матэрыялы Рэспубліканскай навуковай канферэнцыі*, Мінск, 16 лютага 2010 г., рэд. С. С. Лаўшук, Мінск 2010, s. 363–368; І. С а м а т о й, *Творчасць Сакрата Яновіча і традыцыі лірычнай прозы Янкі Брыля*, „Тэрмапілы" 2005, nr 9, s. 232–236; Т. Т а р а с а в а, *Экзістэнцыяльны кампанент беларускай аўтабіяграфічнай прозы (Алесь Адамовіч „Viхі"; Максім Танк „Дзённікі"; Сакрат Яновіч, „Не жаль перажытага")*, „Studia Wschodniosłowiańskie" 2007, t. 7, s. 33–50.

[16] Zob. np. С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, s. 8.

[17] У. Г н і л а м ё д а ў, *Феномен творчасці Сакрата Яновіча*, w: *З крыніц. Зборнік артыкулаў (матэрыялы з канферэнцыі прысвечанай творчасці Сакрата Яновіча*, (Беласток, 8 чэрвеня 1996 г.), Беласток 1996, s. 4–11.

[18] У. П а п к о в і ч, *Недаганяючараду…*, http://prajdzisvet.org.osiris.neolocation.net/interview/16-nie-dahaniaju-charadu.html [dostęp 21.04.2010].

Выдадзеная „Беларуска" намаганнямі Сакрата Яновіча адразу на беларускай і польскай мовах у Беластоку[19].

Pisarza z Krynek radował kontakt z białoruskością. Tam na Białorusi miał wiele spotkań autorskich, promocji książek. Jednak najważniejsze były szczere rozmowy, już nieoficjalne. W *Dzienniku* pod datą 3 marca 1998 zapisał:

Лёгкі выезд у Беларусь (25.II.–1.III). Цяпер там не цягаюць у гасцініцу, не спойваюць; не маюць за што. –
На прэзэнтацыю „Сцяны" (27-га, музей Коласа). „Мастацкая літаратура" нарэшце выдала гэту кніжку, падрыхтаваную да друку яшчэ Рубанавым. Чамусьці захавалі трохі тарашкевіцы ў самім рамане, а ў апавяданнях ужо не…
Публіка нешматлікая, наогул штатная, і крыху апазіцыянераў з ліку маладых (напр. Славамір Адамовіч […].
Важнае для мяне было не „Сцяна" – гэты паўтор „Доўгай сьмерці Крынак" – а кантакт з Быкавым, Арловым, Мальдзісам; потым, у вяртанне, з Чобатам[20].

Jednym z ostatnich, a może i ostatnim wydarzeniem poświęconym Sokratowi Janowiczowi na Białorusi było spotkanie z okazji jego siedemdziesięciolecia, zorganizowane przez Archiwum-Muzeum Literatury i Sztuki w Mińsku. Towarzyszyła mu wystawa pod tytułem „Не жаль пражытага". Relację z tego spotkania zdała Hanna Zapartyka w liście do redakcji „Czasopisu"[21].

W Krynkach odwiedzili Janowicza niemal wszyscy intelektualiści z Białorusi; drzwi jego domu zawsze były otwarte. I nie ma co się dziwić. Był przecież mentorem i mediatorem w sprawach ważnych i trudnych. Oto jedna z nich:

Заначаваў У. Някляеў (з Сэнюхам). Прыехаў пагаварыць са мною, як яму далей быць у Польшчы. Мая парада: арганізаваць нешта сталае, але непалітычнае. Ладказваю: беларускае літаратурнае выдавецтва ў Варшаве. Невялікае, 5–6 кніжак у год, але такіх, якія дапаўнялі б асартымент у кнігарнях РБ. Пачаткі такой ідэі ўжо ёсць у выглядзе маёй мінулагодняй карэспандэнцыі з польскім МЗС (…) Ён думае пра Інстытут беларускай культуры; добра, змясцілася б у ім гэтае выдавецтва! […][22].

Szczególnie cenił sobie spotkania z przedstawicielami białoruskiej inteligencji, wywodzącymi się raczej nie z centrum (z Mińska), lecz z prowincji,

[19] Н. М а н ц э в і ч, *„Няма чаго саромецца"*, http://budzma.by/news/nasta-mancevich-nyama-chaho-saromecca-fotarepartazh.html [dostęp 07.09.2012].
[20] С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, s. 6.
[21] H. Z a p a r t y k a, [List do Redakcji], „Czasopis" 2007, nr 1, s. 50–51.
[22] С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, s. 10.

bo to właśnie w nich czuł pokrewne dusze. (Na marginesie warto dodać, że dla Janowicza „prowincjonalizm to kwestia ducha, nie geografii”[23]).

Mimo widocznej i wyraźnej obecności Sokrata Janowicza na Białorusi, nie do końca czuł się on tam pisarzem spełnionym i docenionym. Przede wszystkim zaistniał w Polsce i na Białostocczyźnie. Mówił o tym w artykule Macieja Chołodowskiego: „Od początku mojego świata tkwię w Polsce, w białorusko mniejszościowej Białostocczyźnie. Najpierw u krytyków warszawskich zaistniałem jako pisarz, potem dopiero u mińskich”[24].

Poza tym miał świadomość, że dla Mińska Białostocczyzna ze swoją literaturą jest prowincją. Nieraz pisał o tym w *Dziennikach*. 15 listopada 1999 odnotował:

> Хоча супрацы Булгакаў з „Архэ” (ліст). Калі ласка! Інтэлігэнты. Пачынаюць там заўважаць польскую беларускую літаратуру. У іх стэрэатып: усё, што па-за сталіцаю, другаснае”[25], natomiast 13 grudnia 1998 – „У „ЛіМ” ад 1-га – Праблема Тарашкевіча. Галіны Тычкі захапленне „Арыштам”. Але гэта Мінску ўсё роўна нічога не значыць. Ім правінцыйнасць надалей геаграфічная катэгорыя[26].

Bardzo go zdziwił zapis w *Dziennikach* Maksima Tanka, bądź co bądź, dojrzałego pisarza białoruskiego, który Sokrata Janowicza zauważył dopiero pod koniec ubiegłego wieku[27].

Doskonale zdawał sprawę z tego, jakie miejsce zajmuje jego twórczość w literaturze białoruskiej:

> Mniej zgryźliwie natomiast spoglądam na jakieś swe zagnieżdżenie się w literaturze białoruskiej. Żywię nadzieję, że wnoszę do niej owe „sokratki”, dla których nie widzę groźnej, jeśli chodzi o poziom, konkurencji; dołączam do tego „poemaciki prozą”, jak nazwał ktoś z krytyków, niektóre moje krótkie prozy. Czas jakiś pobędą w jej obiegu niewątpliwie takie nowele, jak *Tania*, *Skarb w Puszczy Jaćwińskiej*, *Srebrny jeździec*, może powieść *Samosiej* (bo co do powieści o opowieści *Ściana* brak mi jakiejkolwiek zrozumiałej pewności siebie). Ciekawa sprawa z moimi esejami: w Białorusi specjalnie nie interesują się nimi i ja to rozumiem, bo są adresowane do Polaków, służą poniekąd oświecaniu ich przede wszystkim w problemach Białorusi, a dla samych Białorusinów są po prostu nudnawe (pomijając formę). Ten gatunek umiera młodo[28].

Wypowiedź ta jest początkiem czy wstępem do badań nad obecnością Sokrata Janowicza na Białorusi. Temat ten wymaga ogromnej pracy bibliotecznej

---

[23] S. J a n o w i c z, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, s. 175.

[24] M. C h o ł o d o w s k i, *Ostatni Mohikanin. Sokrat Janowicz*, http://sonca.org/ostatni-mohikanin.-sokrat-janowicz.html [dostęp 23.06.2013].

[25] С. Я н о в і ч, *Дзённікі (1995–2000)*, s. 11.

[26] Tamże.

[27] Tamże, s. 6.

[28] S. J a n o w i c z, *Ojczystość. Białoruskie ślady i znaki*, s.21.

i archiwalnej. Ważne byłyby spotkania i rozmowy po tamtej stronie granicy z tymi, którzy znali pisarza z Krynek i wraz z nim współuczestniczyli w tworzeniu literatury białoruskiej. Uporządkowanie materiałów w formie bibliografii mogłoby służyć głębokiej analizie recepcji Janowicza na Białorusi. Uwzględnić należałoby przy tym kontekst historyczny i zmieniające się warunki polityczne. Bo Sokrat Janowicz to pisarz-świadek niejednej przemiany w XX i XXI wieku.

Anna Sobecka
GDAŃSK

Sokrat

Znałam Sokrata Janowicza – gdyby liczyć tę znajomość latami czy dekadami – długo, bo od końca lat siedemdziesiątych. Był w niej okres niezwykle intensywnych kontaktów, gdy łączyła nas wspólna praca nad przygotowaniem do druku opowiadań i dłuższych form prozatorskich. Zaowocowało to kilkoma książkami, z których *Małe dni* i *Srebrny Jeździec* są mi szczególnie bliskie, a wiem, że także autorowi dawały satysfakcję.

Dziś trudno byłoby mi powiedzieć, w jakich okolicznościach poznałam Sokrata. Na pewno wcześniej znał go mój mąż Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, poeta i krytyk. Kontakt nawiązaliśmy właśnie przez Andrzeja. Jeśli nie byłam tego pewna, zabierając się, na prośbę dr Grażyny Charytoniuk-Michiej, do napisania kilku zdań do tego tomu, wątpliwości rozwiewa zachowana korespondencja. Oto bowiem w liście Sokrata z 2 IX 1978 r. czytam:

> Паважаная Ганна Сабецкая, вельмі добрае між намі супрацоўніцтва ўдаецца! Я надта задаволены нашым знаёмствам. Здаецца мне, што і Вы падобных адчуванняў... І падумаць толькі, што ўсё тое досыць выпадкова пачалося: з просьбы накіраванай Анджэю, каб парэцэнзаваў Чыквіна «Неспакой» (у сакавіку г.г.).

To zresztą jeden z niewielu zachowanych listów Sokrata do mnie, pisanych w języku białoruskim. Zazwyczaj pisał je po polsku. Jedynie tytuły swoich utworów, gdy przywoływane były w oryginale, podawał w języku białoruskim. Listy pisane były ręcznie (piórem) albo na maszynie.

Wcześniej tłumaczyłam już trochę prozy białoruskiej (na początku pojedyncze opowiadania Janki Bryla dla dwutygodnika „Nadodrze"). Kto wpadł na myśl, bym przełożyła na język polski także coś z prozy Sokrata? Czy sam pisarz czy może mój mąż? Nie pamiętam. Bo korespondencja, która się zachowała, i którą dziś odczytuję, od początku – i właściwie przez cały czas – dotyczyła najpierw wyłącznie, a potem w największej mierze, spraw związanych z tym, co Sokrat pisał, a ja tłumaczyłam.

Zachowane listy pozwalają mi przywołać tamte lata współpracy z Sokratem.

Najstarszy jej ślad – to dopisek pod tekstem tłumaczenia miniatury *Moja przystań*, z uwagami autora, z datą 14 IV 1978 r. Brzmi tak:

> Proszę Miłej Pani! To tylko propozycje – - – Czytałem z przyjemnością! Mówiąc inaczej, jest Pani bliska „dziesiątki"; proszę opanować niecierpliwość, drżenie ręki przy celowniku etc. I ciągle pamiętać, że autor, niczym kwoka, jest instynktownie zazdrosny o swoje i dużo nie ma racji, zazwyczaj.

Razem z tą miniaturą zostały spięte: *Zamyślenie w podróży* i opowiadanie *Przemówienie na zebraniu oszustów*, na którym Sokrat dopisał: „Piszę do Pani osobny list…"

Dalej czytam dopisek Sokrata pod tekstem opowiadania *На даўняй Сасновай* – adresowany jednak nie do mnie, lecz do mojego męża: „Andrzeju, czekam odpowiedzi od Twej żony. Napisałem list, polecony… Sokrat 15.V.78"[1].

Tekst opowiadania to kopia maszynopisu oryginału w języku białoruskim. Tak wtedy się pracowało. Dziś korespondencję przesyłamy pocztą internetową, potrzebny tekst na domowej drukarce można w kilka chwil wydrukować w potrzebnej liczbie egzemplarzy. Wtedy utwory Sokrata otrzymywałam w maszynopisie (czasem, jak pisał, był to jedyny egzemplarz, który mu pozostał – choć trudno w to może uwierzyć, ale przecież kserokopiarek jeszcze nie było, a na maszynie do pisania można było jednorazowo otrzymać sześć kopii, po ich wykorzystaniu należało właściwie przepisywać tekst na nowo…). Po przetłumaczeniu, razem z tekstem przekładu odsyłałam oryginał autorowi. Na moich tłumaczeniach Sokrat nanosił swoje uwagi i przysyłał z kolei maszynopis tłumaczenia do mnie.

Jak z tego wynika, miniatury, opowiadania i opowieści pisarza były zatem najpierw publikowane w przekładzie na język polski[2].

Rozpoczęta w ten sposób korespondencja do końca roku 1978 była niezwykle intensywna. Dziś mogę o tym mówić tylko na podstawie listów i kartek Sokrata. Moje do Niego listy pisałam, oczywiście, w jednym egzemplarzu, ręcznie, i na pewno ich treść dotyczyła tekstów, które otrzymywałam do przekładu.

Kolejny list nosi datę 8 VI 1978 r. Oto obszerne fragmenty:

> Szanowna Pani!
> Próbki przekładów mojego czytałem, spodobały mi się, poczyniłem na nich, ołówkiem, propozycje i uwagi, odesłałem jeszcze rano – - – Pisanie listu odłożyłem do wieczora.

---

[1] Dziś tego listu, tu wspomnianego, nie mogę odnaleźć. Na pewno go nie wyrzuciłam ani nie zniszczyłam, więc z pewnością powinien gdzieś być! Może tajfun przeprowadzki zamiótł go w inne niż należy miejsce, i kiedyś go, przypadkiem, odnajdę.

[2] Nie dotyczyło to opowieści historycznej *Srebrny Jeździec*, wcześniej opublikowanej w wydanym tego roku właśnie w Mińsku tomie prozy Sokrata. Potem jak wiadomo, ukazała się książka o tym samym tytule. Znalazły się w niej jeszcze dwie opowieści historyczne: *Skarb w Puszczy Jaćwieskiej* i *Skrouba*.

Czy mogłaby Pani zabrać się, ostro!, do tłumaczenia? Chodzi o jakieś ± 100 stron; to byłaby Pani część w planowanym tomie opowiadań i nowel, „Czytelnikowi", p. Klemensowi Górskiemu, który oczekuje c a ł o ś c i … gdzieś w lipcu.
Obecnie, „wyczyszczam" nowelę *Tania*, ok. 40 str., z myślą o zaproponowaniu jej – właśnie Pani – do tłumaczenia (w ramach owych 100 str.)
Z chęcią będę autoryzował Pani translacje. „Na czysto" proszę zaś sporządzać maszynopisy w trzech egzemplarzach i dostarczać ich mnie; kompletuję. Aha, koniecznie podpisywać je, każdy: przełożyła… (będą teksty różnych tłumaczy, w sumie jeszcze ze 100 str.) poproszę p. Andrzeja o napisanie posłowia, potem, po skompletowaniu – - –
Serdecznie pozdrawiając – S. Janowicz[3]

Następny list Sokrata datowany jest 17 VI 1978 r.:

Szanowna Pani! Pojutrze wyjeżdżam z żoną na urlop do Jantara i jest to powód, że piszę do Pani pomimo nieotrzymania odpowiedzi na moje, zresztą inne, propozycje. – Mianowicie, czy zechciałaby Pani wysłać kilka swoich tłumaczeń mojego na konkurs literacki „Warmii i Mazur" w Olsztynie? (Bardzo mnie do tego konkursu namawiał Willan!) W terminie do 30 czerwca br [całe zdanie podkreślone na czerwono]. Trzebaby każdą rzecz przepisać w 3 egz., i sygnować jakimś pseudo (godłem). Do tego dołączyć kopertę z tymże godłem, do której, jak Pani wie, należy włożyć swój i mój adresy. (Teksty – anonimowo!) Adres: Redakcja „Warmia i Mazury", Aleja Zwycięstwa 32, 10-578 Olsztyn, Konkurs „Miniatury".
Z poważaniem, S. Janowicz.
P.S. Wracamy do Białegostoku 5.VII.

Jak z dalszej korespondencji wynika, prośbę Sokrata musiałam wypełnić i posłać teksty na ten konkurs, bo oto w cytowanym już wcześniej, a pisanym po białorusku, liście z 2 IX 1978 r. donosił mi Sokrat:

Вы ўжо ведаеце, што мы выйгралі галоўную прэмію ў літаратурным конкурсе ім. Ю. Леандовіча. Журы гэтага конкурсу старшыневала Ганна Краль, кажуць, з «Палітыкі». Гэта і Ваша перамога, як перакладчыка майго тэкста. Гэта і Вы выйгралі! ---

A jeszcze przed urlopowym wyjazdem, 20 VI pisał Sokrat:

Szanowna Pani, przesyłam mini-powieść „ТАНЯ". W celach przymiarkowych. Jeśli nie spodoba się – proszę natychmiast odesłać. Jeśli zaś przypadnie do gustu – przełożenie jej potrzebne byłoby za miesiąc, ok. 30 lipca najpóźniej. Właśnie do tomu, o który prosi „Czytelnik"". No, rozpisałem się do Pani niczym Jurka do Tani…. (vide: „Таня"). Serdeczności! Sokrat – 20/VI.1978 r. (P.S. Wracam z Jantara 5.VII.)

[3] Z tego posłowia nic ostatecznie nie wyszło; czy zrezygnowało wydawnictwo czy autor, tego już nie wiem.

Po powrocie Sokrata z urlopu w Jantarze otrzymałam od Niego króciutki list, pisany 17 VII 1978 r.:

> Droga Pani, chciałbym wiedzieć, czy Pani zdąży z tłumaczeniem mojego w lipcu (?) Z przyjemnością przeczytałem Henryka Dalidowicza, w tłum. właśnie Pani! („Nadodrze", 1–15.VI.) Chcę proponować „Odrze" lub „Życiu Literackiemu" kawałek mojej powieści pt. *Сцяна*, ale nikogo nie znam w tych redakcjach. Czy p. Andrzej zechciałby zaopiekować się mną? [*Сцяна* ukaże się w „Pojezierzu", pod koniec roku – dop. A. S.]. Proszę o list. Z serdecznością, S. Janowicz

Następny list był obszerny, poruszał w nim Sokrat kilka spraw. Przede wszystkim, oczywiście, w dalszym ciągu kwestie tekstów, które mają wejść do planowanego tomu prozy. Ponieważ jednak pisany był 26/27 VII 1978 r., zawierał też życzenia imieninowe dla adresatki, w sympatycznej formie, uzupełnione informacją:

> A na imieniny Pani, „на Ганну", będę na odpuście w Mokrym k/Bielska Podlaskiego, z Tanią, na przyjęciu w zaprzyjaźnionym domu; i wypiję kieliszek gorzały za zdrowie Pani!

Zapowiadał też:

> Wkrótce nadeślę Państwu tom swych opowiadań i nowel, który już ukazał się w Mińsku (*Сярэбраны яздок*). Bardzo starannie przygotowywałem go do druku; ponadto trafił mi się dobry redaktor w osobie Uładzimira Damaszewicza, świetnego prozaika zresztą. No i Janka Bryl dał piękne posłowie.

W tym liście znalazła się też informacja o inicjatywie wydawniczo-literackiej Sokrata:

> Przygotowuję się do wydawania pisemka literackiego polsko-białoruskiego, które na razie, będzie szczuplutkie i małe (ok. jednego arkusza). Chciałem nazwać je: MOSTY – МАСТЫ, ale Smaszcz przekonał mnie, że lepiej: REWERS – РЭВЕРС, z niejaką – już! – tradycją (jeden REWERS już był wł. u nas, w listopadzie ub.r.). Proszę zaproponować coś do REWERSU – nie mojego i nie o mnie! – może z BSRR-owskiej literatury (ok. 1,5–3 str.). REWERS będzie taką polsko-białoruską „Literaturą na świecie" [sic!]. Wyłącznie!

W nocy 11 VIII 1978 r. pisał Sokrat, co i dziś odczytuję z satysfakcją:

> Droga Pani Anno, przekłady są dobre, co zauważy Pani po ilości moich uwag, które, w zasadzie, dotyczą li tylko niezrozumień. Jednakże, ze mnie żaden znawca polszczyzny, dlatego dobrze by było pokazać te teksty np. p. Andrzejowi (Oryginału już nie wysyłam, bo i po co.) W dniach 16–29 sierpnia nie ma mnie w domu; oczekuję przesyłki od Pani w dniu 30.VIII. (wysłać 26.VIII.) Przygotowanie książki uległo opóźnieniu, więc siłą rzeczy pośpiech traci swój sens. A teraz – jeszcze

jedna propozycja: czy zechciałaby Pani spolszczyć opowieść *Сярэбраны яздок*? Bóg dałby – do 30.VIII. Lub 5.IX.br. To łatwiejsze od *Тані*, mniej poetycko-esejowate… (Książkę z tą opowieścią wysłałem do Pani). Proszę o szybką odpowiedź (pocztówkę?), do 15.VIII., lub telegramem z jednym wyrazem: Zgoda… Aha, proszę zwrócić mi wszystkie oryginały opowiadań (jeśli zostały u Pani). Serdecznie pozdrawiając, Sokrat.

Praca nad tomem prozy przygotowywanym do wydania w „Czytelniku" przeciągała się. Kolejna propozycja w tej sprawie, w liście z 2 IX 1978 r.:

Рыхтаванне кніжкі «Чытэльніку» адбываецца ў мяне з неспадзяваным «скрыпам». Маю бяду з… перакладчыкамі. Шмат перакладзенага – іншымі! - я не магу ўключыць у гэту кніжку. Таму не магу, што слаба зроблены пераклады, і г.д. (Гэтыя мае заўвагі, вядома, не датычаць вас.)
Укамплектоўванне кніжкі, словам, зацягваецца. У сувязі з тым, звяртаюся да вас з просьбай: перакладзіце, калі ласка, яшчэ крыху маіх рэчаў. Штосьці каля трыццаці старонак. Апавяданняў. Вы ўжо трапілі ў транс майго, і Вам павінна быць лягчэй…
Патрэбны мне польскія пераклады наступных тэкстаў з тома «Сярэбраны яздок» (які Вы маеце): «Гутарка Сучаснага з Хворым», «Шэпт…», «Філосаф», «Сон бюракрата», «Намёк».
Паважаная Ганна! Ці змаглі б Вы зрабіць пераклады гэтых рэчаў, скажам, на працягу аднаго тыдня часу? Пачынаючы зараз жа.
Таксама патрэбны мне пераклады і іншых тэкстаў, машынапісных, якія Вам дасылаю я. А менавіта: 1. «Смехі», 2. «Перадразмоўе», 3. «На высокім паверсе», 4. «Калі гаварыць аб Зайздровічу…», 5. «Гутарка з незнаёмай», 6. «Як прамарнаваць сваё жыццё (два спосабы)». Пералічаную шасцёрку апавяданняў трэба было б, таксама, хутка!.. Пані Аня, хацелася б мне ўжо ў палове верасня аддаць камплект машынапісаў кніжкі ў выд. «Чытэльнік». У палове верасня. «Сярэбранаго ездака» Вы ўжо зрабілі і таму маю надзею, што ў Вас знойдзецца часу на гэту экстрэмную работу. Перажываю я зараз т.зв. нож на горле. Паратуеце мяне? Зробіце да 12-13.IX? Зрабіце!!! Шчыра Ваш, Сакрат Яновіч.

Tempo terminów wydaje mi się dzisiaj dość mordercze…. A tu ledwie kilka dni później, 7 IX, pisze Sokrat pod tekstem miniaturki *Думка – не конь!*:

Pani Aniu, oto opowiadania, których tłumaczenia zdyskwalifikowałem przy ostatecznym układaniu tomu. Pani zrobi je na pewno dobrze. Bowiem, rzecz nie tylko w tzw. talencie, co w zwykłej solidności… Pani z szacunkiem podchodzi do tekstu autorskiego i to jest b. ważne!
I jeszcze – z *Сярэбранага ездака: На пахаванне*.
I to już naprawdę koniec. – Sokrat[4]

[4] O które dokładnie zdyskwalifikowane teksty chodzi, nie wiem w tej chwili, oryginały maszynopisów wróciły zapewne do autora.

Kolejny list, z 11 IX, potwierdza, że przekłady części przynajmniej opowiadań, o których była mowa zaledwie kilka dni wcześniej, dotarły do Autora:

> Pani Aniu, przeczytałem: *Sen biurokraty*, *Aluzja*, *Rozmowa W. z Ch.*, *Filozof*, *Szept*…. Zastrzeżenia minimalne. Tekstów nie odsyłam; przepisuje je na czysto moja Tania (w 3 egz.). Mam wrażenie, że następne teksty nie musi mi Pani przysyłać do autoryzacji. Niech Pani od razu przepisuje je na czysto (tzn. w 3 egz.) i wysyła do mnie; *Srebrnego jeźdźca* też (idzie do tej samej książki!)
> Będę szczęśliwy, kiedy otrzymam od Pani wszystkie teksty, by wreszcie móc złożyć książkę w „Czytelniku". Niech mi Pani wysyła nawet po 2–3 opowiadania (już przepisane „na czysto") Dobrze? Serdeczności – Sokrat.

Tłumaczenia opowiadań najwyraźniej były wysyłane przeze mnie sukcesywnie, jak sugerował Sokrat. Najdłużej sprawa ciągnęła się ze *Srebrnym Jeźdźcem*, co nie dziwi, bo i tekst dłuższy i o innym charakterze, to w końcu opowiadanie historyczne…

Po tygodniu (18 IX 1978 r.) – otrzymałam telegram: „SREBRNY JEZDZIEC CZYTELNIKOWI NIEZWLOCZNIE NA CZYSTO TRZY EGZEMPLARZE JANOWICZ".

Obszerny list z końca września (26 IX) dotyczy kilku spraw. Z tego, co pisze Sokrat, musiałam Go pytać o Aleksego Karpiuka. W liście zawarte są też sugestie, gdzie mogłabym posłać gotowe tłumaczenia opowiadań, by (zanim ukażą się w książce) opublikować wcześniej w czasopismach literackich: „Odra", „Życie Literackie", „Tygodnik Kulturalny" i inne. Ale najważniejsze dotyczy oczywiście książki:

> Szanowna Pani Aniu, *Srebrnego Jeźdźca* otrzymałem. Dziękuję. Przekład dobry; oczywiście, w trakcie redagowania książki zawezwą Panią do wydawnictwa, na czyszczenie stylu, jak to zazwyczaj… […]
> O Kalinowskim wiadomo b. mało (vide: Kordowicz, *Konstanty Kalinowski*, Łódź 1955). Konspiracja! W *Srebrnym* prawdziwe są tylko nazwy i nazwiska oraz domniemanie historyków, iż „Mużyckaja Prauda" była drukowana k. Sokółki… O Antoszce Janowiczu wiem tyle tylko, że to był mój pradziad i … nieziemski hulaka, który tyranizował rodzinę (przezwaną: Antoszki). Wracam do Antoszki nie raz, np. w *Samosieju* To ważne. – A fakty? Fakty zmyślone.

Prace nad książką przygotowywaną do wydania w „Czytelniku" trochę trwały. Dopiero w lutym następnego roku (7 II 1979 r.) Sokrat informował:

> Szanowna Pani, książka nasza w „Czytelniku" została przyjęta dobrze; recenzował A. Mencwel. Dałem jej tytuł *Małe dni*. Do obróbki redakcyjnej pójdzie w przyszłym miesiącu; panie redaktorki chorują. Zdaje się, że *Srebrnego Jeźdźca* trzeba będzie wydawać osobno. Tak mi doradzają ze względu na zachowanie kompozycji książki, m.in. i Mencwel. Mam jeszcze jedną opowieść historyczną, *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej*, ale wymagającą dopracowania (roboty ok. miesiąc). Zaplanujemy?

Tak też się stało. Choć wydanie tej książki odsunęło się w czasie, ukazała się dopiero w 1984 roku.

A tymczasem na początku października (7 кастрычніка) 1978 roku Sokrat pisze o wspominanym już wcześniej projekcie „Rewersu", do którego wysyłałam widać jakieś przekłady, ponieważ czytam:

> Паважаная пані Ганн, мы «Рэверс» выдалі да друку, вядома, самае цудоўнае апавяданне Мележа з дасланых Вамі, менавіта, пра вяпрука. Калі выйдзе «Рэверс» і ці які-небудзь наш вяпрук не перашкодзіць гэтаму? – адзін Бог ведае. Намагаемся! Таму рэшту апавяданняў вяртаем Вам, каб Вы мелі магчымасць «прадаць» іх яшчэ каму… (…) Шчыра Ваш – Сакрат.

Dopiero po kilku miesiącach („w nocy z 7 na 8 /kobiecego/marca 1979 r.") mógł Sokrat napisać:

> Pierwsze wydanie „Rewersu" – z wielkim bólem-krzykiem! – wreszcie się ukazało. Teraz komponujemy drugie wydanie, do którego planujemy opow. Mieleża w Pani tłumaczeniu, o prześwietnym wieprzku…

W tym samym liście czytam m.in.:

> Wczoraj miałem telefon od p. Marii Iwaszkiewicz, redaktorki właśnie tomu opowiadań, któremu nadałem tytuł *Małe dni*, z miłą wiadomością, że bardzo spodobały się jej tłumaczenia dokonane mianowicie przez Panią! Pani Iwaszkiewicz proponuje też, byśmy pomyśleli o następnej książce, też w „Czytelniku", a składającej się z opowieści *Srebrny Jeździec* i *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej* (opowieść, nad którą teraz posiedzę, podobnie jak nad *Tanią*, bardzo teraz chwaloną także i przez p. Marię). Czy Pani mogłaby przetłumaczyć *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej*, tę wersję, którą opracuję tej wiosny? To byłaby – w przypadku Pani – robota do jesieni, do końca września. […] Jeśli Pani mogłaby przetłumaczyć mi do końca marca jeszcze z dziesięć stroniczek moich rzeczy do *Małych dni* – termin p. Iwaszkiewicz i p. Górskiego – byłbym bardzo wdzięczny Pani za możliwość wzbogacenia tomu najnowszymi rzeczami i w ostatniej chwili przed zamknięciem. Niech Pani da znać, choćby krótkim telegramem w rodzaju ZGODA. Pozdrawiając serdecznie – Sokrat.

Musiałam wysłać telegram, bo „na Józefa ´79" datowana jest kartka, towarzysząca najwyraźniej maszynopisowi któregoś z najnowszych opowiadań, w której pisał Sokrat:

> Pani Aniu, wyślę jeszcze 2–3 teksty, mniejsze od tego. Wszystkie będą potrzebne mi (w przekładzie) za 10 dni; nie później… *Małe dni* są już na zamknięciu, lada tydzień.

Ale dopiero dziesięć dni później (29 III 1979 r.) wysłany został kolejny list, z zapowiadanymi tekstami:

> Szanowna Pani Aniu, przesłałem Pani cztery rzeczy: *Дзесяцізапавецце, Раман Стэфкі, Петрыкаў дабрабыт і Дырэктароўшчына*. Niech Pani od razu przepisuje swoje tłumaczenia tych tekstów – w 3 egz., z marginesem ok. 3 cm. Są one potrzebne, jak się to mówi – na wczoraj. Wydawnictwo już chciałoby zamknąć kompletowanie tomu *Małe dni*... Niech się Pani postara, bardzo Panią o to proszę, zrobić przekłady tych rzeczy dosłownie do pierwszych dni kwietnia.
> Żeby jakoś wyglądać sympatyczniej w oczach Pani, powiadamiam, iż wczoraj miałem telefon z „Regionów": kupują nowelę *Tania* w tłum. właśnie Pani /honorarium obiecali wypłacić już w maju b.r./.
> Pracuję nad *Skarbami w Puszczy Jaćwieskiej*; mam już pięć stroniczek nowej wersji. Jak tak dalej pójdzie, do połowy maja się wyrobię... Pozdrawiając – Sokrat.

Datę 2 IV nosi kolejny list, pisany wyraźnie z uczuciem ulgi:

> Droga Pani Anno, dzięki stokrotne za przekłady! Otrzymałem – z wyjątkiem opow. *Петрыкаў дабрабыт*, które, być to może, nie dotarło do rąk Pani; dlatego wysyłam kopię. Po przetłumaczeniu tego opowiadanka – proszę od razu przesłać owe 3 egz. maszynopisu na ręce p. Klemensa Górskiego: Wydawnictwo „Czytelnik", ul. Wiejska 12 A, 00-490 Warszawa /z króciutkim liścikiem informującym, iż ów tekst jest ostatnią moją propozycją do tomu *Małe dni*/. Oryginał zaś zwróci mi Pani zwykłą pocztą. Co jeszcze? *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej* jakoś się pisze... Dziękuję za ofertę, o którą zadbała Pani w „Literaturze". Oby się powiodło. [...] Do następnego odezwania się, Tania moja pozdrawia Panią – Sokrat.

Sprawa publikacji w czasopismach przełożonych już opowiadań Sokrata powraca także w kolejnych listach i kartkach pocztowych. Więc: adresy redakcji i redaktorów, pomysły, gdzie jeszcze w Polsce można zaproponować prozę Sokrata, albo – tak jak w kolejnym liście – już o publikacji:

> Wycinek z pierwszej majowej „Literatury" dołączam do tego listu, i dla Pani. Pani dobre tłumaczenia w druku wyglądają jeszcze lepiej; miło mi tak komplementować, bo to... jest także prawdą.

I jeszcze dopisek w tym samym liście:

> P.S. Przed godziną dzwonił do mnie Hołda: gratulował mi tego, że „Literatura" nareszcie „odblokowała się" na moje nazwisko; kiedyś była taka chryja, że wyrzucono moje z łamów tego pisma, bo ... dziesięć lat temu wyrzucono mnie z Partii i z pracy, dzięki koleżkom, oczywiście... Podobno Karaś pomógł w zamieszczeniu tych tekstów. Wspominam Pani o tym dlatego, że już nie bardzo wierzę w redakcje, i być to bardzo może, że najbardziej pomógł mi nie Karaś / miły człowiek, nic do niego nie mam/, lecz niejaka pani Sobecka – - – S.J. 16/V.79.

Na marginesie – zupełnie nie znam kulis tej decyzji, okoliczności związanych z publikacją opowiadań Sokrata w „Literaturze". Faktem natomiast jest, że sekretarzem redakcji pisma był w tym czasie Bolesław Soliński, z którym się znaliśmy, bo wcześniej pracował w Zielonej Górze i jako naczelny „Nadodrza" zamieszczał na łamach tego dwutygodnika moje pierwsze przekłady z literatury białoruskiej. Zapewne więc bezpośrednio na jego nazwisko, a nie ogólnie na redakcyjny adres, wysyłałam teksty Janowicza; być może to on miał decydującą opinię w tej sprawie. Ale jak dokładnie było – nie pamiętam.

Przewijają się też w naszej korespondencji różne aktualne sprawy.

Musiałam pisać do Sokrata z pytaniem o dostępność w Księgarni Radzieckiej w Białymstoku literatury w języku białoruskim (w Zielonej Górze takiej księgarni nie było), bo w kolejnym liście, z maja 1979 roku, otrzymuję dobrą wiadomość w tej sprawie:

> Księgarnia wpisała Panią dzisiaj na swoją listę – pierwsza partia książek białoruskich wkrótce będzie w drodze do pani. Sam wybrałem to, co Pani otrzyma. M.in. – ballady białoruskie, I tom słownika etymologicznego, powieść – piękną! – Adamczyka, słowotwórstwo ludowe; literatura białoruska a rzeczywistość etc. Dopilnuję, by nasza księgarnia „radziecka" pamiętała o Pani.

„Nasze gospodarstwo literackie rozrasta się – pisał Sokrat w maju 1979 roku – i stąd wzrastająca objętość naszych listów, ich rzadkość, zdawkowość, rzeczowość, i wszystkie inne cechy, będące pochodnymi owego morderczego wynalazku ludzi, jakimi stał się czas".

A w „Czytelniku" powoli, powoli dojrzewają *Małe dni*, i znów narasta irytacja autora. W lipcu 1979 roku pisze:

> Droga Pani Anno, czy uwierzy mi Pani, że zaczynam się już bać tłumaczenia moich tekstów, do tego stopnia często nie poznaję samego siebie w innych wersjach językowych! Uwaga ta dotyczy też mojego tomu *Małe dni*, którego autoryzowanie dopiero co zakończyłem z ognikami wściekłości-szalenizny w oczach i odsyłam „Czytelnikowi". Przede wszystkim – ubóstwo leksykalne, nie liczenie się z odcieniami znaczeniowymi i emocjonalnymi poszczególnych słów i form, nie kwapienie się do ustalenia inności semantycznych u fonetycznie jednakowych jednostek leksykalnych w białoruszczyźnie i polszczyźnie, itd., itd. Nawet duch utworów często jest przepędzany gdzie pieprz rośnie...
> Proszę mi wybaczyć to poirytowanie. Zawszeć to zdrowiej wykrzyczeć się, niźli tłamsić to-to w sobie, zwłaszcza jeśli się ma swoje lata i pordzewiałe serce-wieńce-nerwy – - –
> Wysyłam Pani równo dwadzieścia stroniczek *Skarbów w Puszczy Jaćwieskiej*, co znaczy, że jeszcze pracuję nad ukończeniem tej noweli przygodowej /będzie tego nie więcej jak trzydzieści stron/. I niech Pani, Pani Anno, na Boga pamięta o tym, że jest to jedyny egzemplarz tej rzeczy! – Dalsze dziesięć stron, czyli resztę, dostarczę Pani jeszcze w lipcu. Zrobiłbym tę rzecz już dawno, gdyby nie

wsp. nawała kłopotów z tłumaczami; z Panią jakoś najmniej, chociaż też różnie bywało. No ale to są koszty wychowywania nowej kadry translatorów z języka białoruskiego; litwiniukowie, co osiągnęli już doskonałość, niestety ramoleją zgodnie z wymogami wieku.

Tę irytację wyczytać można także w kolejnym liście, dołączonym do tekstów opowiadań po redakcyjnej „obróbce", do ponownego przepisania:

Otrzymuje Pani 22 /dwadzieścia dwa/ teksty z tomu *Małe dni*. Czas na ostatnią redakcję polską ze strony tłumaczy i jednoczesne przepisanie na czysto mamy do połowy września a nawet i do ostatniej dekady tzn. do 20.IX.b.r. Na linotypy pójdzie to w pierwszych dniach października. Aha, po przepisaniu proszę także o zrobienie dokładnej korekty, by móc bez dodatkowego czytania z miejsca wysłać te teksty do „Czytelnika" jako bezbłędne i „doczytane". Być może wydawnictwo tu i ówdzie przesadziło ze swymi zastrzeżeniami, od których aż gęsto, a które pozostały jako ważne po skonsultowaniu ze mną. Oczywiście, przy okazji trzeba jeszcze raz dokonać szlifu stylistycznego, już z punktu widzenia tłumacza, który odpowiada za moje /wobec/czytelnika polskiego.

Gdy czytam teraz ten list, domyślam się, że musiał towarzyszyć sporej przesyłce – te 22 teksty z tomu *Małe dni*, a przecież nie tylko, bo list otwiera jednak sekwencja dotycząca nowej książki:

Połowę *Skarbów w Puszczy Jaćwieskiej* wysłałem, tzn. str. 1–20. Obecnie kieruję na ręce Pani str. 21–30. Opowieść ta nieco rozrasta mi się, ale nie przekroczy 40 stron. […] Pracuję nad tą rzeczą bardzo powoli – to przeróbka wcześniejszej wersji *Skarbów*, z *Zahonów*, a właściwie napisanie jej od nowa, tej opowieści. Nie lubię gdy w moim dorobku plączą się teksty słabe, bardzo słabe… Jeszcze żyję, więc odrabiam grzechy literackie młodości.
Kilka dni temu p. Maria Iwaszkiewicz ostatecznie potwierdziła mi wolę „Czytelnika" zredagowania mojej następnej książki, planowanej na rok 1982, a składającej się ze *Srebrnego Jeźdźca*, *Skarbów w Puszczy Jaćwieskiej* i ewentualnie trzeciej opowieści – którą już mam zamiar napisać: 15-ty wiek, Jagiellonowie, moje Krynki w marcu 1434 roku, wznowienie unii między WXLit. a Coroną etc. razem ok. 150 str. Proszę Panią o przetłumaczenie tych wszystkich m. rzeczy – *Srebrnego* ma Pani za sobą, ale być może wartowałoby jeszcze raz posiedzieć nad nim, żeby każdy niuans oddać po polsku – i to będzie Pani książka, już „zaklepana". Tak ją chyba zatytułujemy – *Srebrny Jeździec*…

W ślad za tym – list z 2 października z ostatnią partią opowieści *Skarb w Puszczy Jaćwieskiej*, w nim informacja:

Pomału będę się zabierał do następnej – marzec 1434 roku w Krynkach… Mam nadzieję, że za jesień uporam się z nią (± 30 str.) Zdaje się, że nie jestem w dobrej formie, skoro tak długo pisałem *Skarb…*, a więc – proszę o cierpliwość.

W tym samym liście monit o dosłanie *Tani* (po ostatnich poprawkach, przepisanej) do *Małych dni*. List przyszedł już na nowy adres, bo we wrześniu 1979 roku zmieniliśmy miejsce zamieszkania, przenosząc się z Zielonej Góry do Gdańska.

Kolejna kartka, z 14 X 1979 r., m.in. zawiera w związku z tym informację: „W Gdańsku jest Towarzystwo Białoruskie, ul. Długi Targ 8/10".

W następnym liście, z datą 22 X 1979 r., adres BTS-K się powtarza.

> *Skarb w Puszczy Jaćwieskiej* przesłałem na Pani ręce – już w całości. Pisałem tą [sic!] opowieść na nowo i długo, z ambicją na bogactwo odcieni wyrazowych, czyniąc stawkę – trochę eksperymentalnie – na synonimy. Czy ma Pani słownik synonimów białoruskich? Niech Pani spróbuje nawiązać kontakt z gdańskim Towarzystwem Białoruskim //Długi Targ 8/10//. Zdaje się, że posiadają tam coś w rodzaju biblioteki… Więc może są i słowniki?!

Problem ze słownikami, w tym białorusko-polskim, niewątpliwie utrudniał pracę nad przekładami. Zwłaszcza gdy chodzi o opowieści historyczne Janowicza. Zresztą, rzecz nie tylko w synonimach. Sokrat Janowicz był kimś więcej niż człowiekiem niezwykle wrażliwym na urodę i bogactwo języka; on sam to bogactwo pomnażał. Stąd dla tłumacza wynikały dodatkowe trudności, by w języku polskim odnaleźć odcienie semantyczne słów najbardziej zbliżone do intencji autora, najlepiej oddające jego zamysł. W tym samym liście pisze:

> Odsyłam Pani oryginał przekładu opowieści *Srebrny Jeździec*; pierwsza kopia pozostaje u mnie, zaś druga błąka się gdzieś po redakcji „Regionów", która początkowo nie mogła się zdecydować na wybór do druku *Srebrnego…* czy *Tani*. Moja wnikliwa lektura translacji *Srebrnego Jeźdźca* upewniła mnie w tym, że powinna Pani jeszcze raz, spokojnie sprawdzić poprawność swojego przekładu całego tekstu tej opowieści.

Dziś widać wyraźnie, jak słuszna była decyzja wydawnictwa, by tę opowieść z tomu *Małe dni* wyłączyć. Tłumaczenie do tej książki dokonywało się pod presją czasu; późniejsze poprawki, praca nad znalezieniem odpowiednich odcieni języka, tak dla Sokrata ważnych, z pewnością wyszła tekstowi na dobre.

Na początku roku 1980 nowa książka przygotowywana dla „Czytelnika" została skompletowana. W liście z 29 I 1980 r. pisze Sokrat:

> Mam już napisaną trzecią rzecz do zamierzonej książki [*Скроўба* – dop. A.S.]. To będzie o wiele trudniejsza do spolszczenia – nawet w stosunku do *Skarbu…* Pisałem ją bowiem językiem archaizowanym. […] Wiem, że nie byłem zbyt miły względem wysiłków translatorskich Pani. Bardzo mi przykro! Trudno mi jednakże obiecać poprawę – stary już ze mnie koń – ale chcę z całym naciskiem oświadczyć, iż cenię Pani solidność, i we współpracy z Panią widzę perspektywy także dla siebie…

Ostatecznie tekst *Скроўбы* otrzymałam dopiero w marcu 1980 roku. W liście z 9 III tego roku czytam:

> Przesyłam Pani do spolszczenia trzecią i ostatnią zarazem rzecz do zamierzonej książki – opowiastkę *Скроўба*. Już po odleżeniu i ostatecznym szlifie (liczy 20 str.). Ponieważ akcję osadziłem w 1434 r., pisałem językiem archaizowanym; i dlatego dołączam ks. St. Murzynowskiego *Historyja żałosna a straszliwa...* jako ew. pomoc przy tłumaczeniu itd. To będzie najtrudniejsza Pani praca! – Książka ta nasza zyska na „rozmaitości" stylistycznej i tematycznej (*Srebrny Jeździec* – 1864 r., *Skarby w Puszczy Jaćwieskiej* – projekcja w XVI w., *Скроўба* – początek XV, a właściwie jeszcze XIV w.). [...] W ten sposób będziemy mieli książkę ± 120 str., i z tytułem *Srebrny Jeździec*? Pani Iwaszkiewicz chce mieć ją – w 3 egz. maszynopisu – gdzieś w czerwcu... Żeby w przyszłym roku spokojnie wydać.

Kolejny list (datowany: 27 красавіка 1980 г.) kwitował moją przesyłkę z tłumaczeniem *Skarbów w Puszczy Jaćwieskiej*: „Пераклад *Скарба* дайшоў да мяне. Дзякуй! Буду ўчытвацца. Зраблю гэта ў першай дэкадзе мая".

Jest w nim też akapit dotyczący innej – ważnej dla mnie – kwestii: „На днях закончыў я рэцэнзыю на *Золак, убачаны здалёк* Брыля. Вельмі пахвальную! Гэта добрая Ваша ініцыятыва, Ваш падказ кракаўскаму Літаратурнаму выдавецтву!!!" List kończy się słowami: „Вітаючы Вас з цёплай вясною і перадаючы Вам добрае слова ад Тані – Сакрат Яновіч".

Dziś odczytuję te listy z prawdziwym wzruszeniem, choć nie brak w nich sygnałów zniecierpliwienia, gdy nie dość szybko odsyłam gotowy przekład lub nie dość zadowala on Autora. Jak w liście z 13 V 1980 r., gdy pisze:

> Pani Anno, przesyłam autoryzowany tekst przekładu polskiego *Skarbu w Puszczy Jaćwieskiej*. Pracy z tym było więcej, niż się spodziewałem. Pani wyzwalanie się z niewolniczych zależności tłumacza względem oryginału posuwa się co prawda zbyt opornie, lecz z widocznymi już rezultatami. Braki w kunszcie Pani – bardzo typowe. Nie każde, podobne brzmieniem do polskiego słowo białoruskie musi akurat mieć identyczne pole semantyczne, to po pierwsze. Po drugie zaś – nawet w przypadku owych „identyzmów", należy bardzo uważać na ich kontekst zdaniowy (trochę jak w angielszczyźnie). I po trzecie – podobne w sumie relacje pod tym właśnie względem zachodzą także między zdaniami! [...] W pierwszej połowie czerwca pewnie nie będzie mnie w Białymstoku; zamiaruję pognać do Białorusi. To tak dla informacji Pani. Z najlepszymi życzeniami, Pani i Andrzejowi, Sokrat.

Gorące lato 1980 roku nie pozostawiło śladu w korespondencji, ale już 1 września Sokrat upomina się o gotowy przekład całej książki, dodając: „Trochę spieszę się dlatego, że 10 września – jak dotychczas – mam zaklepany wyjazd do Moskwy i Mińska w sprawach wydawniczych".

Z Moskwy (11 IX 1980 r.) przychodzi widokówka z pozdrowieniami i nawiązaniem do tego, co najważniejsze zostało w kraju: „Przed wyjazdem tu – 9.IX. – byłem w «Czytelniku»: czekają naszego *Srebrnego Jeźdźca*. Wracam 24.IX. Sokrat". Kolejny monit przychodzi zaraz po powrocie Sokrata z ZSRR, na pocztówce datowanej 24 X. Moja odpowiedź musiała być niezwłoczna. Ale też dziś czytam kolejny – obszerny, na trzech stronach maszynopisu – list z początku listopada, nie wiedząc, o czym musiałam sama do Sokrata pisać. On z kolei nawiązuje do sprawy, która dopiero miała (dzięki rozmaitym „życzliwym")„wybuchnąć", a o której wtedy chyba nie bardzo miałam pojęcie. Ale też nie wiem, czego dotyczyły moje zarzuty, które wspomina tu Sokrat… Przytaczam fragmenty:

> Szanowna i droga Pani Anno, list Pani [z 27 X – dop. A.S.] przeczytałem kilka razy, tak mnie zaskoczył. Przyznam, że niewiele mam na swoją obronę wobec Pani zarzutów. Chyba to tylko, że „obchodziłem" niedawno dziesięciolecie tzw. „sprawy Janowicza". Brak mi sił na to, by chociaż ogólnikowo nadmienić Pani w sposób zrozumiały, w czym rzecz. Może kiedyś, przy okazji i w przyszłości, gdy uciszę się – - – […] Taka już była moja zasrana sytuacja autorska, że godziłem się na wszystko, by być obecnym na rynku literackim. Wstydzę się, iż w tą [sic!], poniżającą mnie sprawę wciągnąłem Panią!

Dziś, po latach, nie wydobędę z pamięci ani kontekstu, ani szczegółów, których te zdania mogły dotyczyć. Dalej w liście – detale dotyczące planów ze *Skarbem…*:

> […] jeśli idzie o przesłane mi tłumaczenie *Skarbu w Puszczy Jaćwieskiej* – już nie mam zastrzeżeń. – Po dostarczeniu mi *Srebrnego jeźdźca* (zgadzam się na poprawki na starym maszynopisie) i *Skrouby*, powstanie z tego „trójnowelowa" książka w przekładzie Pani, umowy zaś z Panią i ze mną podpisze „Czytelnik" dopiero w pierwszym kwartale przyszłego roku…

Tu jeszcze m.in. informacja o ostatecznej zawartości tomu *Małe dni*, zatwierdzonego już do druku i – choć gorzka konstatacja – to jednocześnie i nadzieja związana z inicjatywą wydawniczą, jaką był *Rewers* (widocznie pytałam o jego losy w swoim liście):

> Niestety, antybiałoruska polityka miejscowych władz spowodowała zawieszenie wydawania tego tytułu. Teraz, kiedy frazesy nacjonalistyczne przestały mieć znaczenie, walczymy o jego „odwieszenie" i uważam, że uda się –––.

W następnym liście (z 13 XI 1980 r.) Sokrat powraca do swojej sytuacji:

> Lata prześladowań mnie, które ostatecznie ustały, jak mniemam, dopiero dziś i teraz wykształciły we mnie ów osobliwy „pierwiastek krzywdy", refleks agresji obronnej etc. No, ale Bóg z nimi, z tymi czasami! Może nie wrócą? W tym roku

> już po raz trzeci będę za granicą. Nagle puszczają mnie, nagle nie ma „haków na mnie"...

Do tego listu dołączony był wycinek z wywiadem, jaki dla miesięcznika „Kontrasty" przeprowadził Sokrat z redaktorem naczelnym „Niwy" Jerzym Wołkowyckim (z okazji dwudziestopięciolecia tygodnika).

Jeszcze przed zapowiadanym wyjazdem Sokrata do Londynu przychodzą szczotki korektorskie *Tani* do czytelnikowskiego tomu *Małe dni* – w liście autor oczywiście nalega na ich szybką lekturę i poprawki, bo czas pospiesza.

Kolejne kartki (w tym obiecana widokówka z Londynu), potem listy i – na początku roku 1981 – ponaglające telegramy, bo moja praca nad przekładem *Skrouby* przeciągała się. I wtedy rozumiałam, i teraz, zwłaszcza teraz, rozumiem doskonale autorską niecierpliwość, ale pamiętam też swoją domową sytuację. Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia 1980 roku zmarła nagle, na zawał serca, mama Andrzeja, mieszkająca z nami. Z tego szoku wychodziliśmy wszyscy: i Andrzej, i ja, i dzieci, powoli, stopniowo, i długo. I na pewno niełatwo mi było w tej sytuacji skupić się na sprawach przekładu, zwłaszcza *Skrouby*, opowieści historycznej, archaizowanej... Potrzebny był czas, bym się mogła z powrotem zanurzyć w rzeczywistości wykreowanej przez Sokrata i tłumaczenie dokończyć, dopieścić. Po pewnym czasie wszystko wróciło do normalnego rytmu. Korespondencja z Sokratem też. Przychodziły widokówki, kartki, listy (w jednym z nich: formularze deklaracji poparcia dla inicjatywy założenia stowarzyszenia o nazwie „Stowarzyszenie Opieki nad Zabytkami i Rozwojem Białoruskiej Kultury Materialnej w Polsce"; myślę, że taką deklarację, wypełnioną, odesłałam, ale czy na pewno?). Przysyłał mi wycinki ze swymi relacjami z wędrówek po „białoruskich bezdrożach". Po kolejnym pobycie w Londynie, który nazywa „małym ośrodkiem białoruskości", otrzymałam kilka miłych pamiątek.

W listopadzie 1981 roku pisał:

> Cóż u mnie: ciągły brak czasu. Ponadto angażuję się w odrodzenie białoruskie w Białymstoku (staram się nie ugrząść w sprawach drugorzędnych. [...] Teraz „orzę" książkę-esej *Białoruś, Białoruś* (dla „Iskier"). Już ją „sfastrygowałem" i wyładniam na czystopis (piszę po polsku, bo to nie literatura przecie!). Rzecz o związkach białorusko-polskich w dziejach.

Informacja dotycząca *Srebrnego Jeźdźca*, która musiała dla Sokrata być ulgą i radością, a i dla mnie niewątpliwie też – w kolejnym zachowanym liście, który przytaczam tu w całości (pisany łacinką):

> Biełastok, 19-III-1982. Paważanaja Anna Sabeckaja, 16-ha ja byu u wyd. CZYTELNIK i maju Wam dobryja wiesci: SREBRNY JEŹDZIEC pryniaty da druku! Umowu pryszluć pierad Wielikadniem. Kali budziecie jaje adsyłać paśla padpisańnia, dyk zaznaczcie u asobnym pismie, kab autarskuju karektu słali

jany Wam a nie mnie. Bo heta Wy autar polskaha tekstu hetych reczau, nie ja. Pawinny heta zrazumieć u tym CZYTELNIKU…
Budziecie kali znou jechać u Maściski, zawitajcie da mianie. Buduć nowyja sprawy. – Dobra?
Witańni Andżeju – Wasz Sokrat[5]

(Tu uwaga: „Maściski" – to pomyłka, prawidłowa nazwa mojej wsi rodzinnej na Sokólszczyźnie brzmi Mościcha. Na lato planowaliśmy wyjazd tam całą rodziną. Do tego nawiązuje też Sokrat w kolejnym liście, z 21 VI 1982 r.):

[…] w piątek byłem w „Czytelniku". Nasza książka jest przygotowywana do druku /umowy obiecali na początku lipca/. Marudnie to marudnie, ale pewnie! – Maszynopis książki z uwagami redaktora mam odebrać z końcem czerwca; nie chce mi się wlec do tej cholernej Warszawki /!/Może Pani wyręczyłaby mnie przy okazji swej eskapady urlopowej, jak rozumiem, do Kraju Białostockiego? Przy tejże okazji zabrałaby Pani tam swoją umowę właśnie… Co Pani na to? […] No więc do – ewentualnego – zobaczenia się w Białymstoku… Mało brakowało do tego, bym przyjechał na spotkanie do gdańskiego BTS-K, 19.06., ale … odwołano. Sokrat

Jak się to skończyło, nie pamiętam, chyba z tego planu nic raczej nie wyszło, bo: gdzie Rzym, gdzie Krym… Mieszkałam w Gdańsku. Do rodziców jeździłam przez Białystok, ale czy wtedy, z Gdańska, przez Warszawę?

Tymczasem praca nad książką w wydawnictwie opóźniała się, tym razem z powodu choroby redaktorki. Na widokówce z datą 19 VII pisał Sokrat: „[…] tekst książki z poprawkami redaktorskimi nieprędko będzie, ponieważ p. Iwaszkiewicz trafiła do szpitala na operację woreczka żółciowego. Trzeba będzie poczekać, niestety".

Kolejna kartka w teczce z korespondencją Sokrata – to pocztówka świąteczna z życzeniami na nowy rok 1983 „od Sokrata z Tanią", gdzie pisze też m.in.: „ciągle wspominamy naszą wizytę u Was".

Nawiązuje tu do sytuacji na początku listopada tego roku, gdy po spotkaniu w siedzibie BTS-K (tym razem doszło do skutku!) razem z Michałem Szachowiczem odwiedzili nas w mieszkaniu na gdańskiej Morenie. Pozostał po tym biesiadnym, gawędziarskim wieczorze wpis w domowej księdze gości. Zacytuję go tutaj:

Мілым Васькевічам, Ані і Анджэю, з падзякаю сардэчнаю за памяць, за цярплівасць з нецярплівымі, і за надзею на тое, што яшчэ ёсць сэнс, не прападае, бо так хочацца ў нешта верыць, каб не толькі жыць – Сакрат Яновіч, 7 лістапада 1982.

[5] List napisany na maszynie, tylko podpis odręczny.

A niżej: „Дарагім Васькевічам з сардэчнай падзякай за цеплыню і вялікае сэрца – Міхась Шаховіч, 7 лістапада 1982 год".

Z tego też dnia została mi dedykacja Sokrata na powieści *Samosiej*, wydanej w przekładzie Jerzego Plutowicza przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w 1981 roku: „Мілай Пані Анне Сабэцкай-Васькевіч з сардэчнай памяццю аб нашым супрацоўніцтве польска-беларускім, Сакрат Яновіч, у Гданьскім БТ-СК, 7.XI.1982 г".

Tamten wieczór – długi, ciepły, pełen wzajemnej serdeczności, rozmów poważnych i niepoważnych, zakrapianych, a jakże – pozostał mi w pamięci bardzo wyraźnie.

Nie pamiętam natomiast okoliczności, w jakich doszło do osobistego poznania Sokrata, tyle że na pewno było to w Białymstoku, gdy mnie w mieszkaniu przy ul. Skłodowskiej podejmował śniadaniem złożonym z jajecznicy i kawy. To było jeszcze w czasach, gdy mieszkaliśmy w Zielonej Górze… Ja po nocnej jeździe pociągiem odwiedziłam Janowiczów, choć pani Tania była w pracy, i we dwójkę z Sokratem – jak przez mgłę to widzę – rozmawialiśmy, o czymże by innym? – o białoruskiej prozie, w tym oczywiście, o perypetiach samego gospodarza.

Potem spotykaliśmy się jeszcze niejeden raz. Sokrat bywał w Trójmieście, na spotkaniach literackich (dobrze pamiętam to w Teatrze Miejskim w Gdyni za dyrekcji Krzysztofa Wójcickiego), na spotkaniach z tutejszymi Białorusinami.

Dużo później odwiedziłam Sokrata i Tanię w Krynkach, gdy wrócili tam na stałe, i po tym spotkaniu pozostało mi kilka fotografii robionych w ogrodzie, przy studni. Nagraliśmy wtedy także długi wywiad, który ukazał się w Radiu Gdańsk w cyklu „Pasje". To było jedno z kilku nagrań z Sokratem. Jego barwny i niełatwy życiorys, pełne pasji zaangażowanie w „białoruskość", jego bogaty język, niebanalna polszczyzna, którą się posługiwał, humor i niestandardowe, oryginalne opinie – wszystko to kusiło wprost, by każdą okazję do rozmowy z mikrofonem wykorzystać. Gdy się więc zdarzały, wykorzystywałam. I późniejsze lata znajomości, już nie tak intensywnej, to były głównie „radiowe" spotkania. Gdy miał już wyrobioną „markę" w środowisku literackim, intelektualnym, pisał przecież Sokrat ważne teksty publicystyczne po polsku, jak choćby wspominaną, słynną *Białoruś, Białoruś*. Zyskał też wspaniałych tłumaczy do przekładów swoich tekstów literackich. A mnie pochłonęły całkowicie radiowe powinności… Radio jest zaborcze i ma własne reguły, wymagające nierzadko podporządkowania wszelkich zainteresowań i zamiarów.

Poza tym – mieliśmy już telefon (tzn. Janowiczowie mieli telefon także i wtedy, gdy moje kontakty z Sokratem się zaczęły, natomiast w naszym mieszkaniu telefon pojawił się dopiero w końcu lat osiemdziesiątych, na Morenie w Gdańsku), a to komunikację znacznie ułatwiało, ale też listy krążyły już rzadziej…

W późniejszych latach to nasilenie korespondencji z końca lat siedemdziesiątych i pierwszych osiemdziesiątych znacznie więc osłabło. Nasze kontakty się rozluźniły, ale każde spotkanie było wielką radością. Jak na przykład to podczas uroczystej konferencji z okazji pięćdziesięciolecia Białoruskiego Stowarzyszenia

Literackiego „Białowieża” w Białymstoku. Przegadaliśmy wtedy znowu długie wieczorne godziny…

Pozostały listy, kartki i telegramy, pozostały dedykacje na książkach: serdeczne, niektóre tak pochlebne, że krępowałoby mnie przytaczanie ich. Pozostała pamięć…

Pozostał mi Sokrat w pamięci jako człowiek refleksyjny, ale i impulsywny. Skupiony na sobie twórca, żądny sukcesu i walczący o niego, i jak wielu artystów, wrażliwy na własnym punkcie. Zarazem jednak chętny do rozmowy, na każdy temat, ironiczny, pełen poczucia humoru. Ale też z czasem świadom swojej roli „klasyka” i autorytetu w środowisku białoruskim w Polsce.

Lucyna Aleksandrowicz-Pędich
WARSZAWA/BIAŁYSTOK

Miniatury Sokrata Janowicza w przekładzie na język angielski Shirin Akiner

Długo przed tym, zanim w XXI wieku Sokrat Janowicz stał się znanym w Europie twórcą literatury białoruskiej w Polsce oraz animatorem spotkań pod inspirującym wezwaniem do Trialogu w Villa Sokrates, jego twórczość była już, we fragmentach, dostępna w języku angielskim. Staraniem grona białorusko-angielskich czytelników i przyjaciół pisarza, w roku 1984 w Londynie ukazał się zbiór *Miniatures*[1], wydany przez The Anglo-Byelorussian Society, a sfinansowany przez Byelorussian Charitable Trust. Zbiór został opracowany i przetłumaczony przez Shirin Akiner. Książka to zgrabny, smukły tom zawierający oryginały i tłumaczenia trzydziestu mini-opowiadań, o długości od pół do trzech stron, które są poprzedzone obszernym wstępem na temat pisarza oraz sytuacji Białorusinów w Polsce.

Tłumaczka (będąca z zawodu naukowcem, specjalistką od Azji Środkowej i języków słowiańskich, a prywatnie także osobą zaprzyjaźnioną z londyńskimi Białorusinami) oraz inni inspiratorzy jej przedsięwzięcia podjęli się zadania udostępnienia prozy poetyckiej Janowicza czytelnikom anglojęzycznym, w przekonaniu o szczególnym znaczeniu twórczości pisarza dla kultury białoruskiej. Jak wynika ze wstępu, Shirin Akiner ceniła w Janowiczu zarówno talent pisarski, jak i jego „oddanie własnej kulturze poprzez decyzję pisania po białorusku" **[14]**. Wszak Janowicz mógł pisać i pisał także po polsku – nie tylko mieszkał w Polsce, ale nawet ukończył studia polonistyczne. W podobnym tonie wypowiadał się Arnold McMillin, recenzent tomu, rozpoczynając recenzję z 1988 roku od oświadczenia, iż „Sokrat Janowicz jest obecnie jednym z najbardziej oryginalnych i utalentowanych pisarzy białoruskich, a z pewnością liderem znacznej ich grupy żyjącej w etnicznie białoruskiej wschodniej Polsce"[2].

---

[1] S. Janovic, *Miniatures,* przeł. S. Akiner, London 1984. Strony do cytatów z książki są podawane w tekście artykułu, w nawiasach po cytowanych fragmentach.

[2] A. McMillin, *Janovic, Sakrat. Miniatures*, „The Journal of Byelorussian Studies" 1988, s. 72. http://belarusjournal.com/sites/default/files/JBS_1988_8_Reviews.pdf [dostęp: 01.01.2014].

Warto jednak spojrzeć na efekt pracy Shirin Akiner w oderwaniu od uwarunkowań z lat osiemdziesiątych XX wieku, które doprowadziły do tłumaczenia *Minatur* Janowicza na język angielski i zobaczyć w powstałej anglojęzycznej wersji coś więcej niż wypowiedź pisarza reprezentującego mniejszość narodową z bardzo odległego wówczas zakątka Europy. Inicjatorzy anglojęzycznego wydania prozy Janowicza kierowali się w znacznej mierze motywacją związaną z przynależnością pisarza do mniejszości narodowej, aczkolwiek uznanie dla jego talentu pisarskiego było istotnym czynnikiem wpływającym na decyzję o tłumaczeniu i publikacji. Obecnie na *Miniatures* można patrzeć jako na tekst literacki w oderwaniu od tła politycznego, w jakim powstało tłumaczenie i ukazała się książka. *Miniatures* należy też widzieć w kontekście szczególnej roli tłumacza literatury pięknej, trafnie sformułowanej przez wybitnego teoretyka przekładu literackiego, Jiříego Levý'ego, jako połączenie pracy twórczej i odtwórczej.

> Celem pracy tłumacza jest, zdaniem autora *Sztuki przekładu* [Jiříego Levý'ego – dop. L.A.P], zastąpienie jednego materiału językowego innym, w związku z czym wszystkie językowe środki artystyczne musi on kształtować samodzielnie. Na tej płaszczyźnie staje się więc twórcą. Przekład, pojmowany jako dzieło, jest artystyczną r e p r o d u k c j ą, jako proces jednak jest oryginalną t w ó r c z o ś c i ą. Jako gatunek artystyczny sytuuje się zatem na granicy między sztuką odtwórczą i twórczą[3].

Czytając *Miniatures* przede wszystkim jako tekst artystyczny (a nie przyczynek do sytuacji narodowo-politycznej pisarza) mamy więc do czynienia z dziełem duetu twórców Janowicz/Akiner.

Przekład prozy Janowicza na język angielski zaowocował dwoma oczywistymi efektami. Z jednej strony istnieje książka, wydana wyraźnie jako proza pisarza białoruskiego tworzącego w roli przedstawiciela mniejszości narodowej w Polsce. Zaświadcza o tym obszerny wstęp, dotyczący nie tylko samego Janowicza, ale sytuacji mniejszości białoruskiej na ziemiach polskich, przedstawionej w perspektywie historycznej sięgającej Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz z omówieniem sytuacji nauczania języka białoruskiego we współczesnej Polsce i z innymi szczegółami. W zakończeniu *Wstępu* tłumaczka podkreśla, że Sokrat Janowicz jest

> pisarzem białoruskim nie tylko dlatego, że pisze po białorusku, ale ponieważ cała jego osobowość jest oparta na poczuciu własnej tożsamości białoruskiej. Nie stara się jej świadomie wyrazić, jest naturalną częścią jego spojrzenia na świat [**14**].

Białoruskość prozy Janowicza została wyeksponowana poprzez dwujęzyczny charakter wydania, a więc nawet czytelnik nieznający języka białoruskiego

[3] P. B u k o w s k i, M. H e y d e l, *Przekład – język – literatura,* w: t y c h ż e, *Współczesne teorie przekładu. Antologia*, Kraków 2009, s.11.

cały czas, przewracając kartki książki, jest świadom, iż ma do czynienia z prozą pisarza tworzącego w tym języku. Z drugiej strony tekst angielski *Miniatur*, od chwili gdy dokonano przekładu i wydano go drukiem, istnieje samoistnie, i łatwo można sobie wyobrazić odbiór tego tłumaczenia bez wpisania go w ramy konkretnego wydania książkowego. Tekst może zaistnieć w nowym wydaniu, w pirackiej kopii, ale też w odbiorze czytelnika, który zignoruje wstęp, a fragmenty cyrylicą na kartkach po lewej stronie książki będzie traktował jedynie jako swoiste ilustracje.

Warto skądinąd zacytować w tym miejscu opinię recenzenta *Miniatures*, Michaela Purglove[4], który, wypowiadając się entuzjastycznie o prozie Janowicza i pozytywnie o tłumaczeniu Shirin Akiner, skrytykował koncepcję tomu, uznając, że ogranicza ona potencjalne czytelnictwo: specjalistom od języka białoruskiego nie jest potrzebne tłumaczenie, ale jednocześnie nie-specjalistom wystarczyłby sam tekst angielski. Takie wydanie dwujęzyczne, w odczuciu recenzenta, jest atrakcyjne tylko dla osób znających inne słowiańskie języki, a do czytania białoruskiego potrzebujących anglojęzycznej ściągi.

Proza *Minatures* duetu Janovic/Akiner, czytana z punktu widzenia literatury światowej, wpisuje się w formę określaną mianem cyklu opowiadań. Koncepcja cyklu opowiadań (a nie zbioru, polegającego na zamieszczeniu różnorodnych opowiadań w jednym tomie) zakłada pewną całość tematyczną oraz „równowagę pomiędzy indywidualizmem każdej historii a potrzebami większej jednostki narracyjnej"[5]. W cyklu opowiadań każda historia powinna być niezależna, ale jednocześnie czytelnik oczekuje od zbioru pewnej spójności, wzmocnienia efektu istnienia większej całości. W prototypach cyklu opowiadań, europejskich klasykach, takich jak *Dekameron* Boccacia lub *Opowieści kanterberyjskie* Geoffreya Chaucera, klamrą spinającą opowiadania była narracja zewnętrzna, a same opowieści cechowała duża różnorodność. W literaturze dwudziestowiecznej zbiory opowiadań zaczęły ewoluować w kierunku formy hybrydowej, bardziej przypominającej powieść, nadal jednak umożliwiającej odrębne funkcjonowanie poszczególnych opowiadań-rozdziałów. Łącznikami pomiędzy pojedynczymi tekstami mogą być postacie, miejsce, sytuacje, problemy. U laureatki Nagrody Nobla z 2013 roku, kanadyjskiej pisarki Alice Munro w tomie *Za kogo ty się uważasz* lub chińsko-amerykańskiej pisarki Amy Tan w *Klubie Radości i Szczęścia* opowiadania w cyklu połączone są powtarzającymi się głównymi postaciami. W powieści-cyklu opowiadań Amy Tan łącznikiem są także tematy: adaptacja emigrantów chińskich do rzeczywistości amerykańskiej i relacje chińskich matek ze zamerykanizowanymi córkami. W literaturze amerykańskiej o cykliczności często decyduje powtarzalność wątku, klimat lokalny, typ postaci. Charakterystyczne jest powtarzanie się podobnych epizodów w życiu różnych

[4] M. Purglove, *Miniatures*, „Modern Language Review" 1985, Vol. 80 Issue 3, s. 768.

[5] E. Konopka, *„Klub Radości i Szczęścia" Amy Tan jako nowa forma literacka w postetnicznym kanonie prozy amerykańskiej*, w: *W kanonie prozy amerykańskiej. Od Poego do McCarthy'ego*, red. L. Aleksandrowicz-Pędich, Warszawa 2011, s. 215.

bohaterów pojawiających się w opowiadaniach, które zresztą, w następstwie stosowania krótkiej formy, często wydają się mieć charakter drugoplanowy. Uważa się też, że „cykl opowiadań rozpięty pomiędzy dwoma gatunkami literackimi [opowiadanie i powieść – dop. L.A.P.] dobrze oddaje istotę grupy etnicznej zawieszonej pomiędzy dwiema rzeczywistościami kulturowymi – rzeczywistością rodzimej nacji, której problemy porusza, oraz rzeczywistością większej społeczności, do której skierowany jest przekaz literacki"[6]. W kontekście etniczności w literaturze amerykańskiej klasycznymi przykładami przytaczanymi do zilustrowania tej formy literackiej są *Dzieci wuja Toma* afro-amerykańskiego pisarza Richarda Wrighta, *Leki na miłość* Louise Erdrich, pisarki o korzeniach indiańskich czy *Kobieta wojownik* pisarki chińsko-amerykańskiej Maxine Hong Kingston. Ale klasykiem formy cyklu opowiadań pozostaje *Miasteczko Winesburg* Sherwooda Andersona, pisarza, który nie reprezentował mniejszości etnicznej. Zatem cykl opowiadań, nawet jeśli chętnie z twórczością pisarzy etnicznych kojarzony, nie jest im wyłącznie przypisany. Proza Janowicza w *Miniaturach* wydaje się zresztą trochę pokrewna właśnie realistycznemu opisowi prowincjonalnego życia, jednostkowego a zarazem wspólnego, zawartego w znakomitym cyklu Sherwooda Andersona. Klimatem zadumy nad losem wiejskiego bohatera zbiorowego, przedstawionego poprzez indywidualne życiorysy, proza Janowicza przypomina też cykl Jana Kasprowicza *Z chałupy*, wprawdzie wierszy, ale o charakterze narracyjnym i dużej zwartości tematycznej. Angielscy recenzenci jego *Miniatur* doszukują się w nich podobieństwa do prozy Turgieniewa (*Senilia*), „znacznie subtelniejszych szkiców Sołżenicyna *Krokhotnyye rasskazy*", opowiadań Izaaka Babla[7] czy też szkiców obozowych Lva Konsona[8]. McMillin uważa, że liryczność i subtelność obrazów kreowanych przez Janowicza góruje nad prozą Turgieniewa.

Mielibyśmy kłopot z *Miniaturami* Sokrata Janowicza jako prozą wyrażającą specyfikę sytuacji mniejszości narodowej – etniczność nie jawi się w nich centralnym zagadnieniem. Zakładam tutaj, że tekst istnieje bez wstępu, który w konkretnym wydaniu *Miniatures* z roku 1984 lokalizuje Janowicza i jego prozę w określonej rzeczywistości narodowościowo-politycznej. W anglojęzycznych tekstach opowiadań są pewne sygnały czytelne dla polskiego lub białoruskiego odbiorcy, na przykład użycie „Biełastok" zamiast „Białystok", jak w opowiadaniu *Encounter* [*Spotkanie*] „I came upon them by chance, in a women's dress shop on Linden Street in Biełastok" [31]. Dla czytelnika anglojęzycznego różnice w nazwie mogą jednak nie być równie oczywiste – na historycznej mapie kultury Zachodu Białystok, jeśli w ogóle jest rozpoznawalny, to jako Bialystok, znaczący ośrodek kultury żydowskiej sprzed Zagłady. Współcześnie Białystok/Biełastok raczej nie jest miastem, które byłoby przez czytelnika anglojęzycznego kojarzone z określonym miejscem na mapie Europy. Także zachowane przez Akiner używanie przez

[6] Tamże, s. 216.
[7] M. Purglove, *Miniatures*, s. 768.
[8] A. McMillin, *Janovic, Sakrat. Miniatures*, s. 72.

Janowicza białoruskich imion [Żorżyk, Jurka, Vieranika, Siarhiej, Julik] dla niewprawnych anglojęzycznych odbiorców słowiańszczyzny nie będzie wystarczająco oczywistym tropem narodowości. Czy zatem czytelnik anglojęzyczny odbierze *Miniatures* jako prozę o doświadczeniu Białorusinów w Polsce?

W zacytowanym fragmencie („I came upon them by chance, in a women's dress shop on Linden Street in Biełastok") interesujący jest zastosowany przez tłumaczkę zabieg przetłumaczenia nazwy ulicy. W oryginale białoruskim mamy „пры Ліповай" **[30]**. Użycie „on Linden Street" niejako oddala „Biełastok" od słowiańskości. Taki drobny zabieg tłumaczki, jak zastosowanie nazwy „Linden Street" przyczynia się do ogólnego wrażenia, że głównym tematem opowiadań w *Miniatures* jest zawieszenie nie pomiędzy białoruskością i polskością, ale pomiędzy tożsamością wiejską i doświadczeniem życia w mieście. Ta zwartość tematyczna stanowi o możliwości postrzegania *Miniatures* jako cyklu opowiadań, ale raczej nie odnoszących się specyficznie do doświadczenia mniejszości narodowej, lecz do innej istotnej zbiorowej narracji.

W stosowaniu nazw ulic tłumaczka nie jest zresztą konsekwentna, ponieważ zmienia strategię. W opowiadaniu *Wedding Night* używa nazwy „Elektrycna Street", aczkolwiek można tu wyobrazić sobie tłumaczenia na „Electric/al Street" **[43]**. Z kolei w opowiadaniu *Church Street*, dotyczącym ulicy Kościelnej, mamy konsekwentnie nazewnictwo angielskie: Church Street, Linden Street, Warsaw Street. W tej miniaturze istotą jest zresztą miejskość jako taka, niezależna od geopolitycznej lokalizacji.

Temat relacji pomiędzy doświadczeniem życia wiejskiego i miejskiego dominuje w całym tomiku. Anglojęzyczny czytelnik miniatur Janowicza w przekładzie Shirin Akiner czyta prozę przesiąkniętą tęsknotą za przyrodą. Bohater miniaturki *After the Holiday* [*Po wakacjach*] wraca po miesięcznym pobycie nad jeziorem Zelwa z głową wypełnioną obrazami błękitu, zieleni, światła i ciszy. Przyroda w prozie Janowicza jest metaforą życia – jak w opowiadaniu o Jadzi, która wyszła za mąż na Stasia, gdyż „had reached that point in life where spring ends and summer begins" **[41]** [osiągnęła ten moment w życiu gdy kończy się wiosna i zaczyna lato] (opowiadanie *The Third Season* [*Trzecia pora*]). Jadzia jest jak wisienka, flirtująca ze słońcem. Tekst *Anticipation* [*Przewidywanie*] o marcowej pogodzie przypomina o rytmie przyrody wyznaczającym rytm życia, także w mieście, i oczekiwaniu związanym z zapachem gleby, zielenieniem się pól, szmerem drzew **[59]**. Pory roku służą do odliczania czasu – w miniaturce *To a Soldier* [*Do żołnierza*] rozważania o tęsknocie za synem-żołnierzem rozpoczynają się od zdania, w którym ostatnia zima jest wyznacznikiem rytmu spotkań: „Your mother and father are old, son, they haven't seen you since winter" **[63]** [Matka i ojciec, synu, są starzy, nie widzieli cię od zimy]. Wspomnienia z dzieciństwa zawarte w tekście *In the Depths of Childhood* [*W głębi dzieciństwa*] to poetycki opis przyrody – dojrzałych jabłek, pszczół, maków, trawy, zieleni i błękitu, zapachów prostego wiejskiego życia, jednym słowem sielanki dzieciństwa. Do krainy sielskiego, nasączonego przyrodą wiejskiego świata narrator-autor posyła własne dzieci w miniaturce

Summer in Mokraje [*Lato w Mokrym*]. Pod pewnym względem jest to opowiadanie wyjątkowe, gdyż występuje w nim nawiązanie do białoruskości związanej z wakacjami w wiosce u matki: „Without Byelorussian discussions it's not summer! That's why summer in Mokraje is so wonderful" **[87]** [Bez białoruskich dyskusji to żadne lato. Dlatego lato w Mokrym jest tak cudowne]. Najważniejsza pozostaje jednak przyroda, z której na wsi można czerpać pełnymi garściami.

Mieszkańcy miast są niekiedy wyalienowani od przyrody – w miniaturce *The Birch-tree at the Window* [*Brzoza u okna*] głównym elementem jest poetycko opisana brzoza ignorowana przez zapracowanego gospodarza. Także tęsknota rodziców zostawionych na wsi za dziećmi, które ruszyły w świat, zostaje wyrażana opisem doznań związanych z przyrodą: w miniaturce *To My Son* [*Dla syna*] matka przeciwstawia głośny asfalt, symbolizujący odejście do miasta, mgłom poranka i zapachowi lip. W opowiadaniu *Letters to Daddy* [*Listy do tatusia*] tęsknocie za ojcem, który wyjechał do pracy, towarzyszy obraz wron siedzących na drutach telefonicznych w pobliżu drzew lipowych.

Obrazy i metafory związane z naturą zastosowane w *Miniatures* mają charakter uniwersalny. Przywoływane w opisach cechy przyrody i pór roku dotyczą centralnych i północnych części Europy czy wręcz szerzej – półkuli północnej, ale nie mają silnego osadzenia w konkretnym miejscu. Nazwy geograficzne i własne przywołują klimat okolic Białegostoku, ale nie wydaje się on dominujący. Niektóre elementy, silnie charakterystyczne dla regionu podlaskiego w tekście oryginału, giną w tłumaczeniu. Przykładowo w bardzo krótkim opowiadaniu *Hope* [*Nadzieja*] zdanie z oryginału „Аж устаў дзень белы і зазванілі ў царкве – на нядзелю." **[64]** w przekładzie brzmi „The bright day has grown weary and the church bells are ringing for Sunday" **[65]** [Jasny dzień zmęczył się i dzwony w cerkwi biją na niedzielę], a więc kluczowe dla lokalnego kolorytu słowo „cerkiew" zostało zgubione w tłumaczeniu przez użycie znaczeniowo szerszego w języku angielskim wyrazu „church", mogącego się odnosić także do kościoła katolickiego lub protestanckiego. Zarówno przyroda, jak i los człowieka migrującego z wiejskich terenów ku miastu osiągają w tekście angielskim wysoki poziom uniwersalności, oderwany od lokalnego obyczaju i kolorytu.

W niektórych miniaturach obrazy wiejskiego świata są głęboko liryczne i przesiąknięte pozytywnymi uczuciami, jak wspomnienia dzieciństwa opisywane jako „the green world of contentment, beneath the azure of joy" **[29]** [zielony świat zadowolenia, pod błękitem radości] w tekście *My Own* [*Moje własne*]. Praca żniwiarza zostaje przedstawiona jak sielanka w miniaturce *The Reaper* [*Żniwiarz*]. Ale wiejska rzeczywistość nie zawsze jest idealizowana. W opowiadaniu *An Unfortunate Accident* [*Nieszczęśliwy wypadek*] bezimienna bohaterka umiera przedwcześnie po niespełnionym życiu, gdyż matka nie pozwoliła jej związać się z chłopakiem, którego kochała, ale wmanipulowała ją w małżeństwo z bogatym kuzynem. Na biednej wsi pieniądze są ważniejsze niż uczucia.

Konflikt pomiędzy wsią a miejską brutalnością przedstawia z kolei opowiadanie *Mother Went to the Doctor* [*Matka pojechała do lekarza*], w którym

starsza wiejska kobieta w podróży autobusem do miasta doznaje upokorzenia z powodu nieuczciwego konduktora i panujących w podróży złych warunków. Opowiadanko *Vicia has gone away to school* [*Wicia pojechał do internatu*], będące listem matki do syna w internacie, wylicza niebezpieczeństwa czyhające w mieście – prąd elektryczny symbolizujący groźne dla życia maszyny, złodzieje, chuligani. Brak listu od syna na końcu opowiadania sugeruje jednak, że głównym niebezpieczeństwem jest alienacja od rodziców, wywołana wyjazdem do internatu i podjętym miejskim stylem życia. Listu od córki w mieście wygląda matka wypowiadająca się w miniaturce *Repudation* [*Odrzucenie*]. Bolesna obcość pomiędzy rodzicem a dzieckiem przedstawiona jest w niewiele dłuższym tekście *He Came* [*Przyjechał*], portretującym matkę i syna onieśmielonych wzajemnym oddaleniem w momencie spotkania, wywołanym przez jego migrację do miasta. Tekst skonstruowany został wokół podwójnego oddalenia – wsi od miasta oraz syna od matki, którzy stali się sobie na tyle obcy, że nie potrafią się zdobyć na dotyk. Misternie zakreślony portret wzajemnej alienacji sugeruje, że syn, planujący małżeństwo, będzie się wstydził przedstawić matkę miejskiej żonie. Miejskie dzieci i wiejscy rodzice to powtarzający się temat miniaturek Janowicza.

Czytelnik miniatur Sokrata Janowicza w tłumaczeniu Shirin Akiner nie odniesie wrażenia, że miejski świat jest groźny i zły. Z perspektywy wiejskich obserwatorów wydaje się wprawdzie niebezpieczny, ale powtarzającym się motywem w cyklu opowiadań są obrazy i sugestie życia w mieście jako środowisku, które nie jest wrogie. W opowiadaniu *After the Holiday* [*Po wakacjach*], mimo iż temat tekstu to wspomnienie piękna przyrody nad jeziorem, gdzie rodzina spędzała urlop, powrót do miasta nie jest połączony z żadną traumą ani negatywnymi doświadczeniami, ponieważ życie w mieście zostaje skojarzone z miłością małżeńską. Także w opowiadaniu *Wedding Night* [*Noc poślubna*], obok koszmaru przebywania na co dzień w zatłoczonym mieszkanku, kołacze się miłość do żony. W opowiadaniu *Remembrance* [*Pamięć*] bohaterką jest Ola, która wyjechała do miasta z rodzicami jako dziecko, a teraz wraca z mężem, aby przywieźć wieniec na grób dziadków. Narracja sugeruje dostatnie i szczęśliwe życie Oli. Opowiadanie *The Later Life of Mańka and her Death* [*Późniejsze życie Mańki i jej śmierć*] wręcz przeciwstawia tragedię i ciężki los związany z wiejskim otoczeniem perspektywie miasta: mąż Mańki, Ryhor, został zamordowany przez Niemców w czasie wojny, ona sama poczęła dziecko w efekcie gwałtu dokonanego przez morderców męża, a następne trzydzieści lat spędziła ciężko pracując na gospodarstwie. Jednak umiera u córki, o wiele mówiącym imieniu Nadzieja, zabrana przez nią do Warszawy. Tajemnicę pochodzenia córki Mańka zabiera ze sobą do grobu, pozostawiając Nadzieję w metropolii, co w konstrukcji opowiadania ma silny wymiar symboliczny. Z kolei miniaturka *Church Street* [*Ulica Kościelna*] jest wyjątkowym peanem na cześć miasta, opisującym piękno miejskiej ulicy, wprawdzie wynikające między innymi z faktu, że istnieją na niej sady, ale nie tylko. Pisarz z zachwytem mówi o ulicy Kościelnej w kategorii *flâneur* – zachwyca go sam fakt spacerowania wzdłuż tej ulicy, a nawet jej nazwa robi na nim wrażenie:

„somehow imposing and self-assuring" [jakoś imponująca i pewna siebie] **[77]**. W opisie narrator dobiera drobne elementy zwykłego/niezwykłego doświadczenia spaceru ulicą Kościelną, które składają się na pozytywny obraz miasta.

Prozę Janowicza w przekładzie Shirin Akiner czyta się dobrze, bez odczucia fałszu przeniesienia do innego medium językowego. Natomiast wydaje się, że tłumaczce czasami zabrakło umiejętności uchwycenia wyjątkowego talentu Janowicza do zwartości i oszczędnego użycia słów, będącego szczególną siłą jego miniatur. W tekście *Encounter* [*Spotkanie*] narrator opowiada o przypadkowym natknięciu się w sklepie na dawnego kolegę. Kluczową postacią podczas tego spotkania jest żona kolegi, której obecność zdaje się wpływać na niemożność nawiązania sensownego kontaktu. Siła opowiadania polega na szkicowym zarysowaniu sytuacji, dającym czytelnikowi pole do dopełnienia atmosfery przypadkowego, nieudanego spotkania. Żona w oryginale białoruskim jest opisana w trzech słowach, przy pomocy równoważnika: „Жонка, як кветка" **[30]**. W tłumaczeniu Akiner używa pełnego zdania „His wife was like a flower", które oddaje treść, ale jest pozbawione nieco zjadliwej zwartości oryginału. W miniaturce *Hope* [*Nadzieja*] wprowadzające zdanie po białorusku także ma zwięzłość, której brakuje rozwlekłemu tłumaczeniu angielskiemu: „Пад Беластокам, у вёсцы, забава" **[64]** – „Near Biełastok, in the village, there is merry-making" **[65]**. Ciekawie natomiast udaje się tłumaczce zachować efekty onomatopeiczne w opowiadaniu *The Reaper* [*Kosiarz*]. „Дай пажыць, дай пажыць! Жні- пажні! Жні-пажні!" **[26]** jest przetłumaczone jako „Come and reap! Come and reap! Reap-reap! Reap-reap!" **[27]**. Recenzent tomu, Arnold McMillin[9] twierdzi, że tłumaczenie jest „prawie dokładne" i podkreśla, iż tekst angielski czyta się płynnie. Michael Purglove[10] w swojej recenzji zwraca uwagę, że tłumaczka zdołała odtworzyć poetyckość prozy Janowicza. Sama Akiner we wstępie do wydania podkreśla, że aby w pełni docenić jakość poetyckiej prozy Janowicza, należy go czytać w oryginale. Tłumacze lubią takie oświadczenia, bo szczególnie w prozie poetyckiej, bogatej w idiomy, trudno o ten sam efekt w języku tłumaczenia. Nie zmienia to faktu, że w przypadku mało znanych języków narodowych tekst może zaistnieć tylko w tłumaczeniu. Dopiero *Miniatures* Janovic/Akiner mają szanse wyjść poza białorusko-polskie opłotki. Zina Gimpelevich[11], pisząc o białoruskiej literaturze w diasporze, konstatuje, że oczywistym powodem, dla którego „białoruscy pisarze na obczyźnie mają niewielki wpływ na literaturę światową jest fakt pisania prawie wyłącznie po białorusku". W tym samym akapicie wymienia jednakże prozę Masieja Siadniou i Sokrata Janowicza jako tworzącą most pomiędzy białoruską literaturą na wygnaniu [„Belarusan literature in exile"] a literaturą światową.

Miniaturki Sokrata Janowicza w tłumaczeniu Shirin Akiner stanowią cykl opowiadań o uniwersalnym charakterze, którego głównym tematem jest transfer

[9] Tamże, s. 72.

[10] M. P u r g l o v e, *Miniatures*, s. 768.

[11] Z. G i m p e l e v i c h, *Belarusian Literature of the Diaspora*, „Canadian Slavonic Papers" 2002, Vol. 44, s. 345.

bohatera zbiorowego ze środowiska wiejskiego do miasta, pokazany jako doświadczenie miękkie. Adaptacja do miasta wydaje się stosunkowo bezbolesna, poszkodowani w tym procesie są głównie starzy ludzie, pozostawieni na wsi i wyczekujący na listy od dzieci z miasta. Silny w *Miniaturach* głos narratora-pisarza kreuje postać bohatera, który w tkance miejskiej odnajduje swoje miejsce nie tracąc pierwotnej tożsamości, reprezentowanej przez pamięć krajobrazu, a także częste eskapady na niezmieniającą się wieś.

Uniwersalizm prozy Janowicza wynika także ze szczególnego znaczenia piękna przyrody, które jest tłem lub centralnym tematem jego miniaturek. Wieś zostaje wyidealizowana, ponieważ nie kojarzy się z trudem uprawy roli, ale z mistycznym doświadczeniem piękna.

4

Archiwalia

Мяне расчульвае толькі літаратура,
ні каханне, ні якая жанчына, а тэкст.

Sokrat Janowicz
KRYNKI

Stulecie oszołomów[1]

Stefan Kiszkiél[2] umarł ze starości, nie chorując. Był on jednym z tych nielicznych, co widzieli całe stulecie, urodziwszy się w roku tysiąc dziewięćsetnym. Kiedy wydawało się, że najgorsze już było: polskie powstanie i wojna z Turkami, zamach na cara i bunty czerni w miastach, głód gdzieś w Rosji i pogromy w guberniach białoruskich. Nic straszniejszego stać się już nie mogło. Choć pojawienie się dróg żelaznych dobra nie wróżyło.

Kiszkiél nie raz przeklinał los, licząc na spokojniejszy żywot. Chociażby taki, jaki wiedli jego dziadowie za pańszczyzny. Jego chłopska natura pragnęła ładu, jednoznacznych zasad, gdy z początkiem jego ziemskiej drogi nadchodziły czasy, kiedy nawet Słowo Boże niczego nie gwarantowało.

Zbliżał się wiek dwudziesty. Z początku cicho i niezauważalnie. W cerkwi i miasteczkowym kościele nadal modlono się za imperatora. Podobnie w meczetach i bożnicach, ale tam Stefan nigdy nie zaglądał, bo i po co. W kościele, owszem, pojawiał się – z okazji ślubów tudzież pogrzebów krewnych z katolickiej gałęzi rodu, sam będąc prawosławnym (z dawnych unitów).

Aż tu jednej zimowej niedzieli na miasteczkowym rynku Żydzi wznieci-li rewolucję. Rychło dołączyli do nich inni *wujkowie*, których krzyki i lament utkwiły Stefanowi w pamięci. Opiwszy się darmową wódką ze splądrowanego sklepu monopolowego, śpiewali na całe gardło. Obawiać się Stefanek nie miał czego: gdyby pomknął między gumna, nikt by go nie dogonił. Niebawem z Sokółki przyszli sołdaci i rozpędzili ten fest. Kogoś zabrali do więzienia i, jak później mówiono, pognali na Sybir. Więzienie Stefanek wyobrażał sobie podobnym do kamiennej piwnicy na podwórzu koło ogrodu, zaś Sybir niczym porośnięte piołunem Łapickie Hory, widoczne nad garbarniami. Dziecięcych zabaw nie zapamiętał, może dlatego, że rodzice mieli gospodarstwo i nie rozpieszczali go.

---

[1] Fragmenty książki, na którą składać się będzie przekład powieści *Хатняе стагоддзе* (Крынкі 2008) i tekstu *Крынкі ў сорак пятым* („Czasopis" 1/2011) Sokrata Janowicza.

[2] W niektórych słowach – by zachować oryginalny akcent – wprowadzono głoski akcentowane.

Stefan nie rozumiał jeszcze, dlaczego Moskale turlali *ciotki*, zarzuciwszy im spódnice na głowy, a nie *wujków*, których bili. Niezrozumiałe było też to, że dzieci dzielą się na chłopców i dziewczynki. Lepiej byłoby bez dziewczynek-płaks. Że bociany przynoszą dzieci, w to wątpił, widząc bocianie gniazdo na stodole bezdzietnej Zolki Wilczycy. **[str. 17]**

❊

Dzieciństwo pozostawiło wonny głód i dygotliwy chłód. Przenikliwy smutek jesiennych zastodól. Pod strzechą na poddaszu Wadzím wieczorami łapał senne wróble i rozdawał je chłopięcej zgrai; szli potem pod chatę Czabana-karciarza, wrzucali mu je przez uchylony lufcik w rogu chaty. Do późna w nocy tliła się u niego poświata od lampy naftowej, za szybami majaczyły postacie hultajów rżnących w oczko. Wróbelki ćwierkały jak zjawy, nalatywały na lampę gasząc jej płomień. Zaraz któryś z mężczyzn wybiegał na podwórze i żartownisie rozbiegali się, gdzie kto mógł. Po plecach mrowiło od niedozwolonego uczynku. Strachu nie było, bo roześlony mężczyzna, zaniewidziawszy nagle w ciemności, mógł jedynie domyślać się, dokąd biegną szkodnicy, skąd słychać nocne trzaski w ogrodzie. Dopełniała się rozkosz szkody. **[str. 19]**

❊

Dorastanie nie wydaje się tak ciekawym, jak dzieciństwo. To, co ważne zaczynało się dziać nie wśród kolegów, ale między chatą, stodołą i chlewem. Stefan coraz rzadziej wychodził na ulicę, nie miał kiedy. Starzejący się rodzice liczyli na jego pomoc, często złościli się na niego z obawy o gospodarstwo. Stefan czuł się coraz bardziej wyobcowany, ciągle spodziewał się ich narzekań, wymówek.

Za pierwszej Polski cała nadzieja była w ziemi. Stefan coraz to słyszał o spokorniałych tutejszych gimnazjalistach czy nawet oficerach armii rosyjskiej, co, zepchnięci na boczny tor, zapomniawszy o książkach i pagonach, jęli wyrzucać gnój z chlewów i wlec się za pługiem przez pola. Później spotka ich w dorosłym życiu zawsze gładko ogolonych, ale i przygarbionych swoim losem. Trzymali fason, elegancko ubrani szli w niedzielę do cerkwi, niczym do elitarnego klubu, by śpiewać z żonami i córkami-pannicami w chórze, regentem[3] którego został diakon byłego grodzieńskiego garnizonu. Polakom do niczego nie był potrzebny, więc wrócił na ojcowiznę. Śpiewy wywodził cudownie, na głosy. Kobiety pochylając głowy czyniły znak krzyża, gdy soprany i alty znikały pod falą grzmiących basów; zwłaszcza tych należących do braci Jurczyków: młodszego, byłego studenta, i starszego, byłego porucznika lejbgwardii. W ten czas wszystko było byłym. **[str. 27]**

[3] R e g e n t – dyrygent chóru cerkiewnego.

✻

Po przysiędze Stefan Kiszkiél dostał kilkudniowy „urlop". W domu o służbie w wojsku opowiadał tak:

— Najgorsza zaraza w naszej rocie to kapral Wodecki, Mazurysko spod Łomży. Wrzeszczy: „Drużyna, baczność!" Myślę: a żeby ciebie cholera wzięła! Ale cóż, wyprężam się, jak wkopany. Drze się Wodecki: „Ruskie kurwy, na prawo patrz!" Myślę: a skręć kark, psie! A on jakby to usłyszał: „Wyżej pyski i wybałuszać oczy tak, jakbyście gołą babę zobaczyli!" Myślę: czego tak się drzesz!?... Ustawia nas czwórkami i rozkazuje: „Na prawo zwrot! Równym krokiem marsz!" Idziemy, a przed nami kałuża, to ją obchodzimy. A tu Wodecki jak nie zawyje: „A dokąd to! Nie dałem takiego rozkazu! Drużyna, stój!" No i postaliśmy w błocie... Aż tu słyszymy: „Padnij!" – - –

Posłuchać Stefana przychodziła sąsiadów pełna chata. Po polskich słowach każdorazowo rozlegał się gromadny jęk: „a-ja-jaj! A-ja-jaj!" Najbardziej chyba dziwiła mowa kaprala Wodeckiego, bo tutejszy ksiądz ani pan i panienki we dworze tak się nie odzywali. Prawda, znęcali się kiedyś nad ludem ciwuni[4], ale ci klęli po naszemu. Polską mowę księżom i panom zesłał Pan Bóg z niebios. A tu, proszę, słychać od Stefanka coś takiego... **[str. 29]**

✻

Pewnego razu, a było to jeszcze bez Piłsudskiego w Warszawie, w dzień targowy wlazł na furmankę na rynku białoruski poseł Wołoszyn i dawajże donośnie nawoływać. Zbiegli się ludziska, słuchać. Przyszli obydwaj policjanci, służbowo, w czapkach z długimi okutymi daszkami i rzemykami pod brodą. Patrząc wilkiem na posła do polskiego Sejmu. Gdyby tak któryś z chłopów wgramolił się na wóz z przemówieniem, wnet ściągnęliby go na ziemię i spałowali (tak, że tyłek nie zmieściłby się potem w spodniach!). Ale Wołoszyna nie wolno im było tknąć, choć i gównojadem on był, ze słomianych Harkawicz. Polityk! Oho, polityka! Stefan patrzył na gniewnego Wołoszyna i na coraz bardziej rozeźlonych policjantów, co stali przed wozem, niżej, bezsilnie zwiesiwszy głowy. Szemrano w tłumie, ale po cichu, by nie dać pretekstu do aresztowań. Żydzi psioczyli po rosyjsku na polskie władze i zaraz chowali się za chłopskimi plecami.

Stefan przecisnął się do przodu, bliżej mówcy. Ogarniał go zachwyt. Nie tak istotne było, co mianowicie mówił Wołoszyn: po raz pierwszy spotkał człowieka, który się nie boi! „O, gdyby zostać takim politykiem!" Dla tego mógłby i w więzieniu posiedzieć. Zupełnie nie takim jak teraz poważaniem i szacunkiem by się cieszył. Od polityki bił nadprzyrodzony, niebiański blask, jak od świętych obrazów.

[4] Ciwun – zarządca, ekonom w Wielkim Księstwie Litewskim.

Coś nieskończenie mądrego. Słów Wołoszyna z Harkawicz Stefan tak samo nie rozumiał, jak i kazań w cerkwi. Słów zginających kark do pokłonu.

Poseł, nagadawszy się, zamilkł i dosyć nieudanie zeskoczył w końskie „jabłka". Naród ruszył w jego stronę jak do bácieczki[5] w święto Chrztu Pańskiego po święconą wodę. Stefan potknął się w tej szturchaninie i nie wiedząc jak znalazł się na ziemi. Uratowało go to od piekących policyjnych pałek. Umorusany błotem momentalnie porzucił politykę i potruchtał do domu. Słysząc za sobą połajanki, trzask hołobli, rżenie wyrywających się koni, komendy: „Rozejść się!". Najstraszniej zawodziły kobiety. Gdzieś piszczało dziecko, zupełnie jak prosiak uwięzły w płocie. Obróciwszy się ujrzał już tylko tuman kurzu na podobieństwo wirów unoszących się nad gościńcem podczas wichury, gdy niczym czart jakiś wyskoczył stamtąd Franek-Licharadka: „Ludzie!" — zawył tubalnie. — „A licha na was nie ma! Wołajcie bolszewików!".

To dodało Stefanowi skrzydeł, poszybował w dół Grodzieńskiej przeskoczywszy zagrodę Anisimowiczów i dawszy nura w Jurczykowe maliny. Doskonale bez sensu. **[str. 34]**

Na podwórzu – bliżej chlewika – sterczał szeroki pień spiłowanej jabłoni. Od dawna rąbano na nim; wokół słały się wióry, rozpalano nimi w kuchni. Narąbać drew było dosyć łatwo, pocięte na kawałki kłody rozszczepiały się pod własnym ciężarem na siekierze odwróconej ostrzem do góry. Ręka za to drętwiała przy rąbaniu chrustu; namachasz się, zanim narąbiesz. Chociaż nie było to zajęcie dla kobiet, nie uważano go za ważne. Matka Olga odpędzała Stefana do domu, złoszcząc się: — „Idź, buty rób człowiekowi, sama porąbię, w pęczki powiążę, pod ścianą poukładam…" Stefan oponował, ale w duchu odpowiadało mu to matczyne rozkazywanie. Przy szyciu butów nie powinny mu drżeć palce: żeby się nie skaleczyć i dokładnie ciąć ranty. Przed Gromnicami napomknął rodzicom, że można by kupić furę drew, czym wywołał kłótnię na cały dzień. Starzy zakrzyknęli: — „Pieniądze cię zaswędziały! Owies w tyłek zakłuł!".

Złotówki nie po to są, żeby wygodnie żyć, ale żeby zamożnieć. Chowano je w posażnym kufrze, zamknięte na klucz przed dziećmi i przypadkowymi złodziejami. Zasobny w złoto chłop równy jest panu we dworze, a nawet mądrzejszy od niego; pan wyprzedaje oto majątek na roznegliżowane ladacznice, na długi karciane w grodzieńskich pokojach. Na politykę, straciwszy rozum. Car uciskał polskich panów. Sami mu pod nóż leźli. Kto im kazał wzniecać powstania? Źle było jeść skwarki i popijać gorzałką? Pchły gryzły w nakrochmalonej pościeli? Żonka uciekła z kochankiem? I cóż z tego, że uciekła, sto innych było na jej miejsce, chętnych do dobrobytu!…

[5] B a c i e c z k a – „ojczulek" (od „baczyć"), prawosławny ksiądz.

Pieniądze święte są. Na papierowych malunki, jak te ikonki omodlone przez cierpiących przodków. Banknoty tchną kwaśnym potem, śnią się ukrzyżowaniem. Ileż nieszczęścia w tych obrazkach, urzekających bezdusznością, banalnych. Nadajemy im sens i zdaje się nam, że to wiekopomne. Próżne pytanie, skąd wziął się człowiek i dokąd go niesie.

W czas kryzysu przyjechał do Anisimowiczów swojak z Ameryki. W cerkwi stawał obok ławy, co wzdłuż ściany; bolały go nogi i kiedy nie klęczał, przysiadał. Dziwiły się Amerykaninowi również dzieci, patrzyły na jego tłusty tyłek i plecy w drogiej marynarce, na lśniące trzewiki i wygoloną szyję, policzki z odstającymi uszami. Wyjechał on tam jeszcze za cara i mówił po rosyjsku ładniej niż bácieczka, z niezwykłą miękkością wymawiając *sudár'* (czyli *pan*). Tak też go przezwano. Rodzinne strony odwiedził, będąc już na emeryturze. Poprosił Jurczyka, by ten zawiózł go na poletka; płakał na nich, podtańcowywał, całował miedze; nikt, nawet Anisimowicze, nie wierzył w jego zdrowe zmysły. Tęsknota emigranta za ojczyzną – o czymś takim Stefan słyszał po raz pierwszy. Za czym tu tęsknić, żyjąc dostatnio?

Sudár narobił zamieszania rozgłosiwszy, że jest wdowcem i chce znowu się żenić, tym razem z tutejszą kobietą. Mówił o nieznanym aborygenom życiu emeryta, zabezpieczeniu na starość. Ludzie nie dopytywali się, co to takiego, i bez tłumaczenia widać: białoruski Amerykanin żyje w dostatku; białe rączki i buźka, wyperfumowany jak modnisia. Choć to nie wypada, żeby mężczyzna wylewał na siebie kwiatowe aromaty! Jednak zakotłowało się u Anisimowiczów – jak tu nie wypuścić z rąk bogatego, chętnego do żeniaczki Amerykanina. Wiek nie miał tu znaczenia! Stawką był los! Wiadomo, że potrzebuje, by ktoś opiekował się nim na starość i w pożądanym duchu. Żeby w prawosławiu dokonać żywota. Ot i cała mądrość!

Babom Sudár jawił się inaczej: jako wehikuł, dzięki któremu z chlewów do czekoladą płynącej Ameryki dostać by się można. Ale którą z ciotek naraić Sudarowi, kiedy każda z już owdowiałych sczerniała jest, rozlazła, z pooraną twarzą, spracowana cierpiętnica? Chętnie wydano by za niego je wszystkie hurtem, wtedy gospodarstwo wzmocniłoby się, ubyłoby w nim marzących o jego podziale… Sejmikowali Anisimowicze zajadle, aż któryś z młodszych podał myśl: oddajmy za Sudara… Anię! — „Cóż z tego, że trochę za młoda!? Niebrzydka jest, spodoba się. Mężczyźni już jej nie zdziwią. Nie ukrzywdzi jej w pościeli. Może tam sobie jeszcze kogoś przypoznać, byle nie czarnego… Młoda, to i chorować nie będzie, a Sudarowi siostrą miłosierdzia się stanie. Długoż on nie pociągnie, Ania wzbogaci się po nim, za dolary ziemi nakupimy, no i któregoś z nas zaprosi… Ech!…"

Dziewczyny o zgodę nikt nie pytał. Nie tyle za mąż ją wydawano, co się jej pozbywano z domu. Córka jest stratna, nie to, co syn. Ania zresztą rozchichotała się, kiedy wyjawiono jej cały plan. Przestać nie mogła, aż wydusiła z siebie: — „A co ludzie powiedzą!?" — „Jak to co?" — obruszyli się na nią bracia i rodzice. — „Zazdrościć będą!" A ona na to: — „Przecież on mógłby być moim dziadem!" A oni: — „Lepszy bogaty dziad niż bosy pięknis. Niczego ci nie zabraknie w tej Ameryce, żyć nie umierać! A jak przyjdzie pora, drugi raz za mąż wyjdziesz, i za takiego, jakiego sama zechcesz…"

Ania nie płakała i nie złościła się. Zamilkła, a to oznaczało, że będzie jak będzie. Anisimowicze żyli zgodnie i zaraz obmyślili, jak wyswatać Sudarowi dziewczynę ze swego rodu. Nie było to skomplikowane: bierz Anię, to pożyjesz przy jej czułej opiece, serdeczniejszej niż w szpitalu. Za młoda jest, by uganiać się za mężczyznami, nie poznała ich smaku. Na co ci jakaś burkliwa kobieta? Bierz Anię!

W miasteczku powiadano o Aninym zamążpójściu. Ona nawiedzała czasem w snach Stefana, bezgłośnie chichocząc, jak gdyby wpraszając się do pościeli. Wreszcie odbył się ślub Sudara z Anią – nie tu, ale w tej jego Ameryce – po czym wszelki słuch o dziwnej parze zaginął. Zresztą Krynki dotknęły pożary. Na Pohulance płonęły fabryki, za które ich właściciele inkasowali potem niezłe odszkodowania. W oddalonym od Kiszkielów końcu ulicy spalił swój dom szwagier Franka-Licharadki. Padał wtedy mokry śnieg i durnowaty Franek miotał się w samej koszuli, zatrzymując biegnących do pożaru: — „Aha, nie miał kto podpalić chaty, a teraz wszyscy lecą się pogrzać! Oj, ludzie, ludzie!…”

Chodziły słuchy, że policja złapała podpalacza. A jakże, Żyda. **[str. 52]**

Raz komisarze w miasteczku zorganizowali mityng. Z małej ciężarówki rozdawali jakąś gazetę wydrukowaną po rosyjsku. Dlaczego nie po białorusku? A dlatego, że i władza była nie białoruska, nie stąd. Na trybunę owiniętą czerwonym płótnem do poduszek postawiono jakiegoś tutejszego durnia, który po parobczemu plótł o jasnym jutrze przy Stalinie: na śniadanie ciasto z masłem i szklanką miodu, na obiad pieczone prosię z ziemniakami i micha tłustej kapusty, wieczerza z jajecznicy ze skwarkami, a do białego chleba kieliszek na sen. Dziewczęta niech czytają wiersze towarzysza Puszkina o miłości, gdy tymczasem chłopcy opowiedzą ojcu o bohaterstwie nieustraszonego towarzysza Czapajewa, od szabli którego biali oficerowie dziesiątkami padali, niczym snopy żyta, albo i dwunastkami, jak wiotki owies.

Gospodarska publika rechotała, myśląc, że to komedia z Grodna. Kiedy dotarło do niej, jak jest naprawdę, prędko się przerzedziła. Tylko Franek-Licharadka dalej siedział przed trybuną. Krzyknął na całe gardło: „A żeby tego lowelasa Puszkina!”. I zaraz potem: „Bić tego bolszewika Czapajewa!”. Nie wiadomo po co dorzucił jeszcze: „Nie pij gorzałki na noc, bo swojej babie rady nie dasz!”.

Uspokajano Franka: „Nie nada tak gawarít’, tawariszcz!”. A on coraz głośniej i głośniej: „Jaki ja tobie towarzysz, łachmanie ty niedorzeczny?!”. Wreszcie zostawili Licharadkę samego, a on dalej narzekał: „Oj, ludzie, ludzie! Sam jeden za wszystkich muszę wysłuchiwać takiego bałwana i jeszcze durniejszych!”. I ze słowami: „Idę i ja do domu” podreptał ulicą Rynkową, przy której mieszkała jego porywcza siostra Regina. Komisarze zaś poprowadzili swojego tępaka do knajpy, na pół litra pachnącej chlebem wódki.

Władza robotniczo-chłopska, zastąpiwszy pańską, nie od razu wyszczerzyła kły na Białorusinów. Zajęło jej trochę czasu, by rozkwaterować się u co zamożniejszych rodzin, wprowadzając tubylców w zdumienie swoją pochwałą tutejszego dobrobytu. Zdało się ludziom, że nie taki diabeł straszny, jakim go malują. Do płótna z portretem Stalina ktoś przypiął wodzowi pod wąsy skraweczek słoniny i wierszyk:

Stalinku, Stalinku,
Jedz słoninku.
Dwadzieścia lat gospodarzył,
Ni razu nie zaskwarzył.

Żart powisiał, bo nowi włodarze po polsku nie rozumieli. Kiedy w sprzedaży pojawiły się, nieznane za Polaków, gumowe buty i śniegowce dla uczniów, na płóciennym przywódcy wszystkich narodów ktoś nabazgrał komentarz:

Obuci w gumę chodzimy,
Stalina-Gruzina chwalimy. **[str. 73]**

Wyglądało na to, że wielkoludy – Berlin i Moskwa – spokojnie obok siebie nie usiedzą. Na wsi i *bohatyrowie*[6] bili się o przyoraną na szerokość pługa miedzę. Stefanowi obrzydły narzekania wynikające z rozważań o wojnach. Niechby nawet nastała ta niezrozumiała dla nikogo zagrodzieńska Litwa, byleby tylko dało się spokojnie żyć i chować dzieci. Ale gdzie tam! – zawsze komuś ci Białorusini potrzebni.

Na razie sowieci nie zabraniali coczwartkowych kiermaszów, widząc w nich okazję do mityngowej propagandy. Naród nazwał rynek – Komedią. Nikt już tam nie zajmował się handlem, gospodarze nie przywozili zboża ani trzody, nie było słychać kwiku prosiąt, krzyku gęsi. Tłum *wujków* i *ciotek* nieustannie rechotał, gromadząc się wokół komediantów, którzy pojawili się z przyjściem nieśmiałych jeszcze sowietów. Porządku pilnowali dwaj konni milicjanci, tak jak i powinno być w miasteczku podniesionym do rangi *rajcentrum*. Gapił się na nich lekko stuknięty szlachcic z leśnego chutoru głośno komentując:

Jejmość szykuj dupę,
Bo kozaki jadą.

Pierwsze miesiące z czerwonymi mijały dosyć wesoło. Nie wiadomo skąd zjawili się propagandyści, jakby zamierzenie. Nauczycielka skandowała:

[6] Bohatyr (bahatyr) – bogaty, posiadający dużo ziemi gospodarz.

Bracia chłopi!
Bierzcie widełki,
Idźcie orać!
Niech żyje kołchoz! Hur-r-ra!!!

Po co przychodzili na Komedię mężczyźni i kobiety? I Stefan? Nawyk przechadzania się po cotygodniowym kiermaszu pozostawił po sobie chęć wyjścia z domu. Chaos wywołany upadkiem Polski okazał się zupełnie innym, niż to sobie wyobrażano. Władza sowiecka zdała się z początku nieprawdopodobnie niepoważną. Można by pomyśleć, że oto przyszły jakieś duże dzieci, które zaraz zastąpione zostaną solidnymi urzędnikami w rodzaju tych carskich czy polskich. Nikt nie przeczuwał bandytyzmu władzy, pojawienia się państwa obliczonego na unicestwienie całych nacji. Narodowe sentymenty ludzi sowieci mieli gdzieś. Pewnego dnia wszystkich na Komedii przebił Franek-Licharadka swoim wierszykiem:

Za cara bułki jadano,
Herbatą popijano.
Jak przyszli Polacy – jedli chleb trojaki,
Czarny, biały i nijaki.
Nastali sowieci –
dupa przez gacie świeci.

Gromki śmiech przelewał się długo, niczym wodospad. I zaraz ludzie rozeszli się, każdy w swoją stronę. Podskórnie wyczuwało się, że oto Komedia dobiega końca. Tej nocy znikły z miasteczka rodziny burmistrza, komendanta policji, krewni nadleśniczego i – zdaje się – rodzina skupującego padlinę Hryszki Skórodziercy. Ktoś podpatrzył, jak wieziono ich o północy samochodami na stację w Grodnie. Tam około tygodnia trzymano jako „wrogów ludu" w bydlęcych wagonach, póki nie zapełniono ich innymi Polakami.

Bezpieczniej było niczym się nie wyróżniać. Stefan zwinął swój warsztat i ukrył na wyżce w chlewiku. Narzędzia i gwoździe szewskie okręcił szmatami nasączonymi oliwą i zakopał pod wiśnią. Schował też szewskie kopyta. Teraz z matką Olgą dbał o codzienne sprawy. Mania chodziła do szkoły dziesięcioletniej, a młodszego brata szykowano na pioniera, żeby na Kiszkielów nie padło podejrzenie, że w czymś się z władzami nie zgadzają. Trochę uspokajało to, że Manin znajomy to wykapany sowiet, duszą i ciałem. Przy nim nauczyli się, jak należy zachwycać się Komsomołem, ojcem Stalinem i wąsatym Budionnym; przed mrozami nie mogli już nachwalić się Woroszyłowa, pierwszego strzelca ZSRR.

Po raz drugi wywózki na Sybir miały miejsce w lutym. Potem to już nikt nie liczył. **[str. 77]**

*

Wiejskie i miasteczkowe dziewczyny lgnęły do pagonów, srebrzystych i złocistych. Odprowadzały na białostocki gościniec obwieszonych medalami kawalerów, spoglądając pogardliwie na takich jak Stefan, swoich siermiężnych rówieśników. Wojna dała im szansę zostać żonami oficerów. Poszli ci porucznicy na Warszawę i Berlin i już nie wrócili. [...] Może ten i ów zawitałby z powrotem, ale Stalin zakazał żenić się z niesowietkami. [...]

Dziewczyny ze wsi i miasteczek nie rozumiały Rosji. Nie z ich losem było zrozumieć ten tragiczny kraj. Wszystko mierzyły swoją miarą, dziwiąc się potem, że je oszukano.

Rosja chwali się wojnami. Nie dobrobytem, którego nie miała i mieć nie będzie. Wojuje i wojuje, jak jakiś chuligan. Zresztą wojować łatwiej niż pracować. A już najbardziej bezproblemowo jest pić. Oczywiście, bez zakąski, bo i skąd ją brać... **[str. 108]**

*

Krynki w czterdziestym piątym

W Krynkach roku czterdziestego piątego lato było upalne. Kobiety, wziąwszy dzieci, szły z sierpami żąć zboże; mężczyźni jeszcze nie wrócili z wojny. Kulawy pastuch wyganiał krowy na grząski łęg, chłopcy pilnowali świń na miasteczkowym wygonie, tam też pobekiwały owieczki. Dziewczynki zajmowały się kurami z zadziornymi kogutami; podrastały kurczęta. Wstawać trzeba było o świcie; roje much nie dawały spać. Żniwiarze w południe posilali się tłuczonymi ziemniakami ze zsiadłym mlekiem, po czym drzemali krótko w cieniu ustawianych po dziesięć snopów. Wodę czerpano dzbankami ze źródła w dolinie.

Podlotki zwoziły potem suche snopy do stodół, żyto młócono na chlebną nowinę z mąki namielonej w żarnach. Bąble na dłoniach od cepa nie goiły się, mdliło w dołku. Młócący mogli zjeść po skrawku zjełczałej słoniny zasolonej w beczułce. Soli często brakowało, dlatego mięso obłaziły białe robaczki-salniczki, które łatwo było odgarnąć. Lepiej było przy kopaniu ziemniaków – pieczono je w ogniu z łętów i popijano chlebowym kwasem. Jesienna pogoda pod wysokim niebem sprzyjała nad podziw. Może i dlatego, że do zapłakanych żon powracać zaczęli mężowie – czy to z niemieckiej niewoli, czy z polskiego wojska, albo wyłgawszy się od niewolniczej pracy u sowietów. Ratowali się ludzie jak mogli, prawdami i nieprawdami, byle ujść cało. W Krynkach otwarto polską szkołę dla katolików, białoruską dla prawosławnych. Repatriowane zza linii Curzona szlachcianki nauczały nawet języka francuskiego, śmieszącego uczniów aż do bólu brzucha. Na lekcjach prawa Bożego smarkacze dokuczali córkom bácieczki (księdza jako

kawalera uważano za bezdzietnego). Pojawiły się leśne bandy, kiedy już sowieci wycofali się z Polski. Bo z politrukami żartów nie było i dotąd rabusie siedzieli cicho.

W świąteczne dni słychać było taneczny tupot, rżała harmonia w niespalonej przez Niemców bożnicy. Skora do bitki młodzież gromadnie zawodziła, nażłopawszy się samogonu (pędzić nauczyli się za okupacji). Erotyczne piski siksz przeszywały wieczorny mrok bezludnych zaułków. Ujadanie psów przelewało się falami przez miasteczko, miauczały zdziczałe koty. Dzieciarnia zabawiała się łapaniem nietoperzy oślepionych latarkami.

Władza ludowa, rewolucyjnie zajmując burżujskie mienie, zorganizowała w pańskim dworze szumny fest ze zwalającą z nóg popijawą. Nazajutrz miasteczkowa hołota rzuciła się do dworskich sadzawek wybierać koszami ryby. Nachapawszy się tłustych karpi i linów, ruszono do sadu rąbać jabłonie, śliwy i czereśnie w przekonaniu, że pan mógłby jeszcze chcieć wrócić. Te chłopskie rabunki zakończyły się podpaleniem długiej stodoły i karczowaniem bujnie rosnącej szypszyny. Na złość panu zapaskudzono głęboką studnię, zarżnąwszy w tym celu owczarka. Krynki balowały ponad tydzień, po czym przyjechał z powiatu oddział milicji i zaczęły się aresztowania połączone z pałowaniem sabotażystów. Niektórzy z zatrzymanych wówczas „kontrrewolucjonistów" nie wrócili; ciskali się już gdzie indziej, ponoć na przymusowych robotach w kopalniach węgla, gdzieś pod czeską granicą.

W Krynkach wyburzano wypalone podczas przejścia frontu mury na cegłę dla odbudowy Warszawy. Wywożono ją szarwarkowymi furmankami na kolej. Przyjeżdżali jacyś naczelnicy i pili na umór w miejscowej knajpie, częstując tutejsze latawice. Jeszcze po północy charczały ochrypłe śpiewy.

Krynczanie o mało nie zgłupieli od tak wyczekiwanej nowiny, że miasteczko od Polski odłączone nie będzie, że kołchozu można się nie obawiać. Granica państwowa z białym orłem wykręciła poza ogrody przedmieścia Okopy, zahaczywszy o jeziorysko Starego Młyna i odciąwszy czyjeś ule z kąśliwymi pszczołami; z powrotem nie przybiegł już nawet podświnek. Czasami jednak wybuchała panika, że granicę przesuną aż pod Białystok. Wykupywano wtedy w sklepach sól i naftę, żeby było czym świecić, gdy enkawudyści zaczną wyłączać prąd (elektrownię wysadzili w powietrze bezmyślni siemianowscy partyzanci, pracowała tylko jedna turbina).

Bawiono się z tej radości, że nie będzie już musu witać kwiatami obdartych bolszewików, co w trzydziestym dziewiątym niszczyli Polskę; kto nie był leniem, wyjeżdżał z rodziną dalej, na poniemieckie ziemie Prus Wschodnich i nad Odrę. Ciągnęli przez Krynki repatrianci z ogolonymi głowami, całując bruk ulic wdzięczni za wolność. W przeciwnym kierunku wlokły się czerwonoarmiejskie tabory z naszabrowanymi w Niemczech dobrami, konfiskowanymi potem bezlitośnie przez sowieckich pograniczników. Skutek tego był taki, że Krynki utonęły w nieprawdopodobnej masie wszelkiego drogiego badziewia, zbywanego przez

żołnierzyków za butelkę samogonu i bochenek domowego chleba z kawałkiem słoniny. Co sprytniejsi wzbogacili się.

Uspokoiwszy się w końcu mieszczanie postanowili trzymać się państwa Polaków – Stalin jeszcze żył. Nabierała impetu powszechna samopolonizacja, wzmocniona mimochodem przez przyjezdnych kremlowskich agitatorów, namawiających Białorusinów do zrzekania się polskiego obywatelstwa i wyjazdu do sowieckiego raju. Znikła szkoła białoruska. Chłopcy i dziewczęta zaczęli zawzięcie „pszekać", chorując na podpanków. Na potańcówkach gołowąsy krzyczeli: „Baczność! Niech żyje Polska!". Powtarzali komendy zasłyszane od rodziców, co służyli w przedwojennym wojsku Piłsudskiego: „Biegiem marsz!" i „Polski my naród, polski lud..."

W czas sianokosów w nocy przyszła banda i wystrzelała aktywistów władzy ludowej, razem chyba z pięciu. Chowano ich uroczyście w niedzielę; grała orkiestra strażacka w błyszczących hełmach. Ksiądz się nie pojawił, żeby poświęcić. Tylko bácieczka z psalmistą.

W Krynkach pojawili się uciekinierzy zza Świsłoczy; wynajmowali się do pracy na wdowich gospodarstwach. (Potem rodziły się im bękarty.) Byli to mężczyźni pełni werwy; wszyscy wypatrywali wojny, kiedy to Anglia-Ameryka pójdzie na Stalina; mówili, że w lasach wylądował wielki desant, przebija się na Grodno i Wilno, że „kaput" będzie politrukom! Wieczorami dudniły w chmurnym niebie samoloty. Powiadano, że jakoby bombardowano lotnisko wojskowe, co na rachawickim polu; że do białostockiego szpitala wożono rannych lotników...

W czterdziestym piątym pachniało prochem. Wchodzili na miny pastuchowie, rozrywało krowy a owieczki doszczętnie. We dworze paliła się sterta zboża. Chodziły słuchy, że od Warszawy idą zbrojni Polacy bić bolszewicką swołocz. Znad morza przyjechali samochodem Szwedzi z beczułką tranu dla uczniów i czekoladkami dla nauczycielek. Agitatorzy poznikali, jakby nigdy ich nie było. W gminie robiono spis ludności, wydawano dokumenty.

Na rynek zgoniono patriotyczny tłum, by świętował jakąś warszawską rocznicę; tutejsi mieli tylko jedno w głowie: że zostaną Polakami i nikt już nie będzie mógł ich zapędzić do kołchozu. Łopotały na wietrze biało-czerwone flagi i bielał wielki wizerunek orła. Wójt promieniał rumianymi z przepicia policzkami. Jego sekretarz chwiał się w oficerskich butach z angielskimi obcasami i w zielonych „galifé" (pękatych kawaleryjskich spodniach). Cudnie świeciło słońce, majaczył szereg „mazurskich" pograniczników; przylgnął do nich dupiasty doradca z powiatowego UB. Uduchowiona pani deklamowała święty wiersz.

Wielodzietną biedotę obdzielono dworskimi hektarami zgodnie z dekretem rolnym, przyznając jednocześnie pożyczki na zakup koni pociągowych. Kłócili się ci oberwańcy o co żyźniejsze poletka, okładając się wzajemnie dębowymi kijami. (Najbardziej pożądane były te równiejsze, pod Rozbójnikiem.) Rozkopywano żydowskie place szukając złota schowanego w piwnicach, teraz zasypanych gruzem.

Nadchodziła zima. Po polskich świętach odbyła się szkolna choinka dla uczniów; na świerkowych gałązkach nauczycielki ponawieszały cukierków w kolorowych papierkach i pierników; grajek z Pohulanki rżnął poloneza, a wychowawczynie namawiały chłopczyków, by ci prosili panieneczki do tańca i chodzili parami wokół świetlistej, wyciętej w Hrabszowym Lesie choinki. Uprzejmie objaśniały małym golcom prawidła savoir-vivre'u. Dziewczęta, jako bardziej rozwinięte, doprowadzały do płaczliwości nienawykłych do „rycerskości" smarkaczy w domotkanych ubraniach. Kierowniczka wydawała komendę „grand-danse!" i uczennice na wszelki wypadek krążyły damulkami jak podwiewane. Następnie dziecięce towarzystwo przeszło do klasy; tam na ławki pozesuwane w długie stoły woźne przynosiły kubki gorącej herbaty. Cukru, który wydawał się szwedzkim, sypano dużo, ale niezręcznie małymi łyżeczkami.

Wyczekując Maślenicy wesołe kompanie dzwoniły w te święte dni jeżdżąc saniami jeszcze przed ruskim Nowym Rokiem. Wsławiali się rozbojem bandytowaci nadrzeczańcy. Parli przez rynek na koniach z uzdami, udając kozaków albo ułanów. Bez siodeł padali od nagłego bólu w jajach. Zapalając od węgielków słomę igrali z płomieniami, ponad łęgami palili smolne żagwie, niczym pańscy parobkowie podczas sanny pod kościołem. W Wielką Noc Zmartwychwstania Pańskiego. — „Z drogi, chamy!"

Krynki nadal cieszyły się prawami miejskimi, choć bez magistratu i burmistrza. Młodzież dokształcała się na prywatnych lekcjach u pedagogów. Ci reagowali na pogłoskę, że wójt szuka już budynku dla przyszłego liceum. Jeden z krawców – chyba Wojszel? – wymyślił ozdobną czapkę bez daszka – dekiel dla licealistów (z niebieskim otokiem). Pracę mieli szewcy robiący pantofle uczonym pannom i trzewiki paniętom. Na zabawach tańczyli oni „Fale Amuru" w swoim gronie, gardząc prostackim towarzystwem pohulańców i plantańskich zabijaków. Roznosił się duszący zapach perfum.

Szewcom kończyły się zapasy chromowanej skóry, juchtu i twardej podeszwy pozostałe z ryzykownych geszeftów z Żydami w kryńskim getcie; Niemcy powywozili Żydów po przegranej bitwie pod Stalingradem. Ci, co przed wojną pracowali w garbarniach, brali się za potajemne wyrabianie skór w chlewach, produkując chromopodobne zwoje; popyt ze strony „mazurskich" spekulantów rósł, bo ci nadal przyjeżdżali do fabrycznych do niedawna Krynek, kusząc obcesowo rzemieślników garściami pieniędzy. Nocowali w opuszczonych chatach, przepędzając szczury. Śmieszyły krynczan ich łomżyńska wymowa i niski wzrost przysadzistych niedonosków. Przy tutejszych kobieciskach byli jak malcy.

Wnet skumali się z tym „mazurstwem" zagranicznicy z niedalekich wiosek, pełni nadziei na rychłą wojnę Amerykanów z sierpem-młotem. Czujnie nasłuchiwali huku bombowców na rozświetlonym księżycem niebie; kiedy od ulewnych deszczy rozmiękały gościńce, niepokoili się tym utrudnieniem dla spodziewanego przejścia wielkich czołgów sherman, które niechybnie wgniotłyby w błoto pijanych „czubaryków". Ze zdobycznych aparatów „Philips" słuchali zachodnich stacji, audycji w języku polskim. Śnił się im generał Anders na białym koniu w galopie.

Głód nie ciotka, wlekli się zagraniczni „kacapi" w pole na nieprzypisane nikomu ugory, żeby orać-siać i zbierać choć cokolwiek, kopać ziemniaki, łuskać groch. Pomału urządzali się i nawet golili znalezioną brzytwą, namacawszy na śmietniku odłamek lustra; nie wypada iść na mszę zarośniętym aż po oczy.

Amerykanie wystawili ich do wiatru, przeto zaczęli oni wyjeżdżać na wschodniopruską daremszczyznę, póki jeszcze nie było za późno, by osiąść gdzieś pod Olsztynem, zmieniwszy imię i postarawszy się o dobre dokumenty. Przyhołubiwszy jakieś niczego sobie kurwiątko.

W przedżniwny czas mniej rozgarnięci młodzi mieszczanie posyłali swaty do posażnych chłopek, chętnych wkręcić się do kryńskiego miasta; własne mieszczanki celowały w zamążpójście w Białymstoku albo w poniemieckim „burgu". Gruchotały po bruku korowody żeleźniaków z młódkami-ślicznotkami w bielutkich welonach, rzucającymi w tłum garście cukierków.

W czterdziestym piątym licznie się żeniono, doganiając zmarnowane w czas okupacji lata i nie trwożąc się już nocnymi wywózkami na Sybir, na „białe niedźwiedzie".

Tańcom nie było końca. **[str. 122]**

Połowa dwudziestego wieku na naszej wsi wydawała się czymś niezrozumiałym. Rodziły się dzieci, które nie chciały żyć jak ich ojcowie. Dla nich to nie miało sensu. Z gospodarstwa po prostu trzeba było uciekać, co zresztą nie było trudne. Państwu potrzebne były fabryki i tylko fabryki, bez których idea światowej rewolucji nie była realną; chłopstwo uważano za coś „reakcyjnego", wartego jedynie zniszczenia. Dzięki klasie robotniczej można było budować flotę wojenną w Gdańsku i Szczecinie, produkować samoloty i czołgi w Warszawie i pod Warszawą, armaty na Śląsku, amunicję pod Krakowem, w Łodzi tkać materiały na umundurowanie armii. Zaledwie piąta część gospodarki pracowała na życiowe potrzeby narodu. Czym mogła się tu przysłużyć wieś? Przede wszystkim młodymi rękami swoich synów i córek. Ale wtedy ludzie tak nie myśleli.

Co innego było ważne: porzucić ziemię i rodzinny dom. Stefan Kiszkiél przeczuwał to widząc, jak pilnie uczą się w Białymstoku Andrzejek i Mania. Dostawali oni piątki nie z miłości do nauki. O dobrze płatnej pracy marzyli, o tym, żeby zostać w mieście. Najlepiej przy głównej ulicy, niech wszyscy widzą, że oni już nie we wsi. Stefana to złościło. Nie myślał, że dom buduje tylko dla siebie, że przyszłym dzieciom okaże się on niepotrzebny, do tego stopnia, że nawet nie będzie komu go sprzedać! Ludzi nie będzie!

Wiejską połowę minionego wieku porównać można do tonącego statku, na którym łodzie ratunkowe przeznacza się przede wszystkim dla ludzi młodych, co jest racjonalne. Tysiącletni feudalizm, cywilizacja dworu i stodoły doprowadziła do bezruchu etniki i myśli. Po rewolucjach i wojnach zastygła wieś zaczęła

się kruszyć, co można uważać za postęp. Problem braku chleba przestał istnieć. Zauważyła to i matka Olga: — „Gospodarzy coraz mniej i mniej, a chleba jakoś wystarcza!" Wieś zrównywała się z pamiętnym żydowskim miasteczkiem, w którym żyło się na ogół biednie, ale nikt nie głodował. A u chłopów zdarzało się, że umierali, zwłaszcza kątnicy[7]. Długo mówiono o jednej rodzinie, o śmierć której carscy żandarmi obwiniali pana. Co było nowością, bo dotąd władze nie interesowały się losem biedoty.

Do komunistycznej władzy miano tylko jeden żal: dlaczego jest taka głupia? Mimo że daje pracę w fabrykach, mieszkania w blokach, młodzieży możliwość nauki, awanse na dyrektorów, przydziały produktów, urządzeń domowych (lodówek!) czy samochodów (syrenek).

Głupota władzy sprowadza się do opustoszenia wsi. Kiszkielowie mieli nadzieję, że rząd opamięta się, zmądrzeje. Wierzyli plotkom, że sowieci już rozpędzają kołchozy przekonawszy się, że karmią one jedynie leni. Docierały nowiny, że otwierają znowu cerkwie, pozwalają wrócić z Syberii popom.

Kiszkielowie, jak i inni, nie mogli uwierzyć, że władza może być najgłupszą z głupich. Historia uczyła, że i carowie mieli swój rozum, i panowie. Więc nie może to być, żeby u prostych ludzi, jakimi okazali się sowieci, rozumu nie było w ogóle. Ani trochę! **[str. 139]**

Tak się w przeszłości składało, że zawsze była nadzieja na poprawę. Nawet za pańszczyzny. Teraz, w końcu dwudziestego wieku, nadziei takiej nie ma. Najwidoczniej dlatego, że życie stało się bardzo sytym, zamożnym. W ciągu jednego pokolenia. Jak cud z niebios.

Dziadom na cmentarzu postawiono wielkopańskie pomniki. Rodziców nie przygniata już gospodarska robota ponad siły. Dzieci porozjeżdżały się po kontynentach. Wnuki gniazdują w odległych krainach, w których nigdy nie zaznano kopiącej w tyłek pańszczyzny ani dającej po gębie samowoli. W krajach, gdzie ludzie zawsze jedli chleb i bułki. A jeśli nie zawsze, to od dawna.

Stefanowi było dziwnie na duszy. Chętnie poszedłby śladem tych, co zaczęli żyć dla dzieci i chwalić się swoim z tej przyczyny niedostatkiem. Dzieci dziękują, choć mają rodziców za frajerów.

Dwudziesty pierwszy wiek dla Stefana Kiszkiela zacznie się zniknięciem. Chata zapadnie się, koło komina wyrośnie brzoza, pod podwalinami wykopią nory lisy. Płot osunie się w czarnośliwiu, pozwalając wynurzyć się dębowym słupkom, niczym pogańskim bożkom. W zakątku za chlewem zarośnie pokrzywami traktor, pokryją się rdzą pługi, sprężynówki i brony. W przegniłych ścianach chlewa rozrośnie się bujnie czarny bez. Na stodolisku pojawią się – nie

[7] K ą t n i k – mieszkający kątem u gospodarza.

wiadomo skąd – dzikie jabłonie. Trzeba będzie uważać na żmije; lubią one wygrzewać się na słońcu. Zbudowany w miasteczku dom zasiedli cudza rodzina, odkupiwszy od Stefana również plac. Nie będzie już chciał chodzić tą ulicą, zobaczywszy jak nowi właściciele nadzwyczaj udanie dokończyli urządzanie obejścia, postawiwszy też murowane ogrodzenie.

Złości Stefana brak szacunku dla rodzinnego dobytku, zajadłe wyrzucanie przez młodych do jam szaf, stołów, taboretów, kredensów, przegródek. Fanatyczna walka młodzieży o pieniądze na wszystko nowiutkie, modne. Zdobyć, co tylko możliwe, wyniszczając do cna wieś. Wyprowadzając z niej ostatnie kapitały. Oskubawszy rodziców. Bez skonania wsi miejski dobrobyt dzieci pozostałby utopią. Ciekawe, na czym zasadzać się będzie rozkoszny byt wnuków? Już bez wsi. Porosłej tymczasem lasem. Bez wsi nie byłoby miasta. Ale to miasto rozrastając się pochłania wieś. W przyrodzie gatunek zjada gatunek. Białoruszczyzna – to padlina dla Rosjan i Polaków?

Na powalonym próchnie zazielenia się nowa roślinność, wątła, ale żywotna. Stefanowi Kiszkielowi zda się czasem, że i on staje się taką kłodą; rozpada się w proch ustępując miejsca naturze nowego, innego już czasu. A czy sami ludzie zmienią się? Daj, Boże, by zmądrzeli. **[str. 157]**

przełożył: Jarasłàu Janovič
janowicz@poczta.onet.pl

Sokrat Janowicz
KRYNKI

Listy Sokrata Janowicza do Jana Leończuka (wybór)

Białystok, w grudniu /21/1976 roku

Jasiu Drogi,

stęskniłem się za Tobą w sposób wręcz… irytujący! Bardzo mi zależy na szybkim widzeniu się – ale nie z pustymi rękami, tylko z plikiem dokumentów, przygotowania których, co prawda bez entuzjazmu, podjąłeś się jako Sekretarz Zarządu Klubu ZLP[1].

Trudno – organizacja wymaga rytmu; zwłaszcza, w fazie pourodzinowej, kiedy to jest trochę obszczekiwana przez zawistników i intrygantów, rzucających się – niczym pchły na świeże ciałko.

Dołączam – plik dokumentów, na zachowanie w archiwum Klubu.

Na razie potrzebne są trzy skoroszyty:

„Sprawy wychodzące" vice versa „Pisma wychodzące".

„Pisma przychodzące".

„Plany" vel „Plany i Sprawozdania".

„Protokoły posiedzeń Zarządu".

A więc – cztery skoroszyty. Schludnie prowadzone, bo co i raz będą potrzebne, to tu, to tam…

Czekam Ciebie, wypełnionego radością i solidnym uśmiechem.

Traktuj ten liścik jako swoistą dyspozycję. Dobrze?

Serdecznie Twój – *Kracio* [podpis odręczny]

---

[1] Klub Literacki Związku Literatów Polskich przy Oddziale ZLP w Olsztynie powstał w 1976 r. (wcześniej istniał Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, gdzie działał również Janowicz). Prezesem klubu dwukrotnie był Sokrat Janowicz, potem tę funkcję przejął Wiesław Kazanecki. Działalność Klubu, zawieszona w stanie wojennym, została wznowiona w 1986 r. z Eugeniuszem Kurzawą jako prezesem. Samodzielny Oddział Związku Literatów Polskich utworzono w Białymstoku w 1989 r. Pierwszym prezesem został Władysław A. Serczyk. Na ten temat zob.: E. Szulborski, *Kształtowanie się środowiska literackiego w Białymstoku*, „Białostocczyzna" 1999, nr 4; K. Sawicka-Mierzyńska, *Wiesław Kazanecki jako pracownik „Kontrastów" i „Białostockiego Informatora Kulturalnego"*, w: *Twórczość Wiesława Kazaneckiego*, red. M. Kochanowski, Białystok 2010.

Załączam: 5 dokumentów.

Sokrat Janowicz
15 – 097 Białystok
Ul. M.C. Skłodowskiej 6 m. 12[2]

Białystok, dnia 14 lutego 1978 roku

Wydawnictwo „Czytelnik"
W Warszawie[3]

Zwracam się z uprzejmą propozycją wydania tomu moich opowiadań w objętości około 10 arkuszy autorskich. Na proponowany tom złożyłoby się około 50 tytułów moich rzeczy, napisanych zarówno w konwencji prozy epickiej jak i liryczno-filozoficznej. Powstały one w ciągu ostatnich lat i tylko niektóre z nich, objętościowo mniejsze, ukazały się na łamach pism literackich. Tłumaczyli je: Jan Czopik-Leżachowski[4], Jerzy Litwiniuk[5], Edward Redliński, Jerzy Plutowicz[6] i inni.

Większość proponowanych do tego tomu opowiadań przetłumaczy Jan Leończuk, który jest nie tylko interesującym młodym pisarzem, lecz i znakomitym translatorem z języka białoruskiego, w żywiole jego urodzonym i wychowanym.

Zamierzoną pracę kolega Leończuk ukończy najpóźniej w miesiącu czerwcu bieżącego roku.

Jeśli idzie o treść wspomnianych opowiadań, stanowiących o proponowanym tomie, to można by ją podzielić następująco:

— godność człowieka jako wartość uniwersalna w zderzeniu z przejawami drapieżności w życiu codziennym;

---

[2] Adres nieaktualny.

[3] Na kopii listu, wysłanej Leończukowi, w nagłówku ręczny dopisek Janowicza: „Jasiu, moje nowe rzeczy – u Szachowicza. Czy nawiązałeś kontakt z Gąsiorowskim? Sokrat – 13.III.78 r. P.S. – Gdzie «Nadodrze»?" [podkr. – Autora listu].

[4] Jan Czopik-Leżachowski (1938–1977) – poeta, prozaik, tłumacz, pracownik Polskiego Radia. Na stałe związany z Wrocławiem i Warszawą. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Autor powieści *Dolina dzwonów* (Warszawa 1968), *Zabrońcie się żegnać* (Warszawa 1964), opowiadań *Lipiec po maju* (Warszawa 1972) i trzech tomików poezji. Przełożył zbiór miniatur Janowicza *Zapomnieliska* (Wrocław 1978).

[5] Jerzy Litwiniuk (1923–2012) – tłumacz urodzony w Krzemieńcu, mieszkał i pracował w Warszawie. Autor pierwszego polskiego przekładu *Kalevali* z języka oryginału. Znakomity tłumacz prozy rosyjskiej, w tym braci Strugackich, przekładał także z języka białoruskiego, ukraińskiego, litewskiego, estońskiego. Dokonał wyboru opowiadań (niektóre z nich także przetłumaczył) do polskiego debiutu Janowicza, zbioru *Wielkie miasto Białystok* (Warszawa 1973). Znajduje się tam również wstęp jego autorstwa.

[6] Jerzy Plutowicz (1947) – poeta, eseista, tłumacz. Urodził się w Bielsku Podlaskim, od 1976 mieszka w Białymstoku. Publikuje w „Twórczości" i „Charakterach". Wydał m.in. zbiory: *Niegdyś to znaczy nigdy* (Warszawa 1975), *Pusty zegar* (Białystok 1987), *Kotlina* (Białystok 1998), *Miasto małe jak łza* (Nowa Ruda 2012). Poza opowiadaniami Janowicza przetłumaczył dwie jego powieści: *Ściana* (Olsztyn 1979) i *Samosiej* (Warszawa 1981). Członek ZLP. Na jego temat zob. *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, cz. II, red. B. Piechowska-Szczebiot, Białystok 1995, s. 180–196.

— odwieczne dążenie człowieka do szczęśliwości na tle załamań tradycyjnych struktur społeczności wiejsko-miasteczkowych, wchłanianych w procesie urbanizacji oraz uniformizowania życia ogólnospołecznego;
— zamulanie korzeni człowieczeństwa przez potok miałkich spraw codziennych, warunkujących elementarną egzystencję fizyczno-psychiczną;
— ciągłe rozdarcie moralne jednostki nie poddającej się kryzysowi rezygnacji, będącego częstym wysiłkiem ciśnień społecznych, w jakich on przebywa;
— zamyślenia literacko-filozoficzne nad relatywnością sensu życia i miłości, żywota poczciwego i podłości, itd.

Do niniejszej propozycji, będącej ogólnym skonspektowaniem zamierzonej książki, dołączam plik publikacji tych opowiadań jako próbkę mojej poetyki /ponieważ będą mi potrzebne przy układaniu tomu, proszę o ich zwrot na mój adres domowy/.

Z poważaniem
Sokrat Janowicz

✻

8 kwietnia 1978 r.

Jasiu,

boję się poprawiać całości! Zdziwiłeś mnie – jako poeta zwartej wymowy [podkr. – Autora listu]. Rozcieńczasz, drogi mój! Odpoetyczniasz. Zaczynam podejrzewać Cię o ordynarne lenistwo, Jasiu.

Przede wszystkim, muzyka zdania! No i precyzja; bezzbytecznosłowie [podkr. – Autora listu] liczy się tu najbardziej. A Ty, zamiast przekładu, zaledwie – tłumaczysz ich treść [podkr. – jw.], a i to – częstawo – na odwyrtkę. Co Ci się stało?

U mnie jest rytm, utajona dosadność; każde zdanie czytane po kilkanaście razy, i jeśli mi nie brzydnie (ono), – uznaję je za dobre.

Skup się! Proszę! Zlituj się nade mną!!!

Kracio (podpis i list – odręcznie)

✻

8 kwietnia 1978 r.

Jasiu,

tłumacz te, które jeszcze nie były przez nikogo ruszane. To opowiadanko akurat jest – i to w *Wielkim mieście Białymstoku*. Co prawda, w nieco innej wersji, wcześniejszej. Przyjrzyj się jednak, jak z nim radził sobie W.W. jako tłumacz

mojego [podkr. – Autora listu]. Mając całe tomisko mojego, możesz przyjrzeć się i do innych rzeczy, które znalazły się w *Wielkim mieście Białymstoku*. W celu – porównań.

– Skąd u Ciebie, Jasiu, białorutenizmy?

– Podoba mi się Twoje obrazowanie!

– Ale te białorutenizmy! „W bok", „już, już, już", „my" (wystarczy: „byliśmy")

– Jest coraz lepiej – - –

Zdaje się, że – podkreśliłem te rzeczy, których nikt nie ruszał (w spisie treści).

Sokrat [podpis i list – odręczne]

Ps. Nie poddawaj się ciśnieniu oryginału! Pisz równolegle, ale po polsku. Niech Cię nie zmyli identyczne brzmienie niektórych słów…

✻

W domu, w maju (19-tym) 1978 r.

Jasiu, co we Wrocławiu, –

Na odwrocie masz początek mego listu do cwaniaka S.; ale szczęśliwie powstrzymałem się. Jestem – nie choruję „na konstytucję" – doświadczony, odporny na myślenie polityczne, a także na prowincjonalne sukinsyństwo i moralny bandytyzm.

Zakochałeś się [podkr. Autora listu]. Miłość jest istotą życia. Każdy powinien mieć swoją Kirę. Bez niej jesteś, Człowieku, tylko „przewodem pokarmowym", „napełniaczem wychodków…" (Leonardo da Vinci).

Bardzo [wiele? – dop. D. Z.] się spodziewam – po Twojej przyjaźni ze Staszkiem Srokowskim[7]. Dużo złego mu uczyniono, zdaje się, że nie „pękł".

Co z Twoją propozycją w Ossolineum? I co z moimi *Zapomnieliskami*? Jak Ci idzie polszczenie sokratków?… Trudno mi się pisze odręczny list. Niestety, mam tylko białoruską maszynę do pisania…

W piątek, 26 maja, postaram się wręczyć Ci medal im. Ig. Krasickiego; Jurek Grygorczuk, art.-plastyk, obiecał skończyć do tego dnia grawerowanie napisu…

Ciągle piszę; przerabiam teraz mini-powieść *Таня*, dla Ciebie i „Czytelnika". Niedawno wysłałem Tobie – *На даўняй Сасновай*, z glossami korespondencji…

[7] Stanisław Srokowski (1936) – poeta, prozaik, dramaturg, scenarzysta, tłumacz, działacz „Solidarności", urodzony we wsi Hnilcze na terenie dzisiejszej Ukrainy, od 1968 mieszka we Wrocławiu. W licznych utworach (wydał m.in. dziesięć tomów poetyckich, dwadzieścia pozycji prozatorskich, książki dla dzieci) porusza m.in. temat dramatycznych relacji polsko-ukraińskich. Autor biografii Rafała Wojaczka. W latach 1977–1981 redaktor naczelny czasopisma „Kultura Dolnośląska".

Pozdrowienia od Plutowicza, Falickiego, Czykwina, Szachowicza, Taranienki, Artymowicz[8]… Pozdrawia – Tania; wspominamy Cię.

Brak mi Ciebie!

Kracio – [podpis i list odręczne]

W domu, 12 sierpnia 1978 roku

Jasiu,

Niestety, z ewentualnym tłumaczeniem mojego musisz jeszcze poczekać. Z tego, co już zrobiłeś, nadaje się do zaproponowania „Czytelnikowi" zaledwie kilka rzeczy, zrobionych dość przyzwoicie.

Nie możesz pozbyć się ciśnienia oryginału. Sypiesz białorutenizmami, nie tylko w warstwie spójnikowo-przysłówkowej, lecz, co gorsza, w składni. Tego „Czytelnik" nie przetrawiłby… I nikt na świecie zresztą.

Wybacz, że namówiłem Ciebie do tej „afery". Wierzyłem, że podołasz… Nie mam do Ciebie żalu. I Ty, proszę, nie miej do mnie.

---

[8] Bogusław Falicki (1960) – poeta, redaktor, animator kultury. Pochodzi z Mazur, mieszka i pracuje w Warszawie. Debiutował w „Poezji" w 1971 r. Janowicz uważał go za „bardzo interesującego poetę". Zob. S. Janowicz, *Prowincja jest koniecznością*, w: J. Kamiński, *Metafizyka prowincji*, Białystok 2000.

Jan Czykwin (1940) – białoruski poeta, tłumacz i historyk literatury. Od 1969 r. związany z Uniwersytetem w Białymstoku (najpierw jako Filią UW), z przerwą w latach 1985–1997, gdy był pracownikiem UW. W 1998 r. otrzymał tytuł profesora. Debiutował w 1957 r. na łamach „Niwy", opublikował dziesięć tomów poetyckich w języku białoruskim, ponad 200 artykułów i cztery książki naukowe (jego zainteresowania badawcze to literatura rosyjska i białoruska). Jest członkiem m.in. Związku Literatów Polskich, w 1989 r. został prezesem Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża". Redaktor naczelny serii wydawniczej „Biblioteka BSL". Na temat Jana Czykwina i innych białoruskich poetów Podlasia zob. T. Zaniewska, *Podróż daremna. Szkice o poezji białoruskojęzycznej w Polsce*, Białystok 1992 i tejże, *A dusza jest na Wschodzie: polsko-białoruskie związki literackie*, Białystok 1993. Zob. też: W. Smaszcz, *„Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie moja ojczyzna…" (w kręgu poezji Jana Czykwina)*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, red. zbiorowa, Białystok 1990, s. 37–50.

Michał Szachowicz (1953) – znany także jako Michał Paszowski, białoruski dziennikarz, poeta, prozaik, wydawca, absolwent filologii białoruskiej UW. Redaktor „Niwy" i „Kontrastów". Członek ZLP i Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża". Na jego temat zob. J. Leończuk, *Próba szkicu portretu literackiego Michała Szachowicza*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, s. 227–234.

Janusz Taranienko (1954) – poeta, prozaik, krytyk literacki, nauczyciel, absolwent warszawskiej polonistyki, przez całe życie związany z Białymstokiem. W latach 1977–1987 asystent na polonistyce Filii UW w Białymstoku. W stanie wojennym działał w opozycji (w 2000 r. otrzymał nagrodę Ministra Kultury za „Obronę Wolnego Słowa"). Publikował m.in. na łamach „Nowych Książek", „Poezji", „Nowego Wyrazu", „Miesięcznika Literackiego" i prasy lokalnej.

Nadzieja Artymowicz (1946) – mieszka w Bielsku Podlaskim, poetka białoruska, absolwentka filologii białoruskiej na UW, członkini ZLP i BSL „Białowieża". Opublikowała m.in.: *Rozdumy* (Białystok 1981), *Z niespakojnych daroh* (Mińsk 1993), *Adpływaje spakojnaje nieba* (Białystok 1999). Tom *We śnie bólu słowa* (Białystok 1979) przetłumaczył z białoruskiego Jan Leończuk. Na jej temat zob. J. Leończuk, *W stronę nadziei*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, cz. II, s. 23–38.

O wartości każdego życia stanowią też i omyłki. Przeliczenie się.
Szczerze Twój

Sokrat [podpis i cały list – odręcznie]

Ps. Muszę koniecznie szybko [podkr. – Autora listu] mieć z powrotem wszystkie swoje, (białoruskie), teksty. Dostarcz mi je natychmiast. (16.VIII. wyjeżdżam na urlop) – „Вяртанні", etc.

✻

Białystok, dnia 7 czerwca 1979 r.

Jasiu Drogi,

Nie wiem na jakim etapie jesteś ze sprzedawaniem na siłę wśród swoich studentów tych kilkudziesięciu egz. *Ściany* i prawie tyluż *Zapomnielisk*… Jeśli na żadnym, to wstrzymaj tę poniżającą mnie akcję. Bardzo żałuję teraz tego, że wpadłem na ów głupi pomysł proszenia Ciebie o wyprzedaż owej „masy handlowej" jaka pozostała mi po żałosnym wernisażu moim w dniu 18 maja b.r. – Skoro jestem lekceważony przez Czytelników, nie powinienem wmuszać im swoich rzeczy pisarskich! Nie życzę sobie, aby moimi książkami podcierano się, niczym darmowymi biletami do teatru.

W sensie organizacyjnym umówmy się tak: we czwartek wieczorem zabieram z lokalu Klubu ZLP wszystkie owe *Ściany* i *Zapomnieliska* jakie pozostaną tam. I jeszcze jedno: wołałbym nie składać jakichkolwiek dedykacji tym Twoim studentom, bowiem ich reagowanie na imprezy literackie wskazuje na to, iż nie są warci naszej uwagi, nie mówiąc już o szacunku do nich jako przyszłych – pożal się Boże! – humanistów. /Taka M., niegdyś cudowne dziecko studenterii Twojej, waży się dyskutować o *Wielkim mieście Białymstoku* nie znając tej książki nawet z wyglądu i do dziś!/

Trochę podsumowuję – przed urlopem letnim – swoje doświadczenia jakich doznałem za czas działalności w Klubie ZLP. Trzyletni okres. Musiałem przełknąć wiele przykrości, będących także rezultatem – podobnie jak i w Twoim przypadku – nie zwracania uwagi na robione mi świństwa. Generalnie rzecz biorąc, jest to słuszne, ale… Owo „ale" znaczy, że nie można być zbyt liberalnym. Nie z ludźmi takiej kultury.

Jasiu, od piętnastego czerwca jestem na wczasach. Do końca miesiąca.
Życzę Ci dobrego lata!

Kracio – *Краўё* [podpis odręczny po biał.]

*

13. VIII. 1979 r.

Jasiu,

przeczytałem *Mariona*[9]. Jakoś tego Marionka, jako bohatera, nie zauważyłem. Równie dobrze – tak mi się wydało – można by dać tytuł, np. Kilim zwidzeń.

Strasznie dużo krwi! – A tak w ogóle, chyba zbyt już „gęsto" sypiesz metaforyką itp. nawałnicami; przestaje to być, miejscami, rozplątywalne Czytelnikowi. Istne kłęby-kłębowiska słów – pojęć, kategorii, porównań…

Ty robisz jeden, kardynalny błąd: przejmujesz się opiniami innych, bo pragniesz natychmiastowego uznania, które przychodzi z reguły już nie wtedy, kiedy się go pragnęło… Dziecinny Ty – Natychmiastowski? Z białoruska – powiedzmy – Natychmiastowicz.

No, powściekaj się trochę na ten mój list, – Poemat podoba mi się [podkr. – Autora listu], ale nie będę rozpisywał się o tym; chcę zwrócić Twą uwagę na zjawiska w *Marionie* według mnie niedobre. I tyle. (I tłumaczyć będę.)

Marion kojarzy mi się z krwawym befsztykiem lub widokiem mózgu porażonego wylewem krwi albo miażdżycą: taki mięsno-krwawy.

Więcej Ci nie napiszę, bo mówiłem Ci nie raz: lubię obcować z poezją, nie lubię zastanawiać się nad nią. Jestem właśnie taki prawosławny w kwestiach stosunku do sztuki słowa: uczucie ponad rozumem.

Wracam z Mińska ok. 25 sierpnia.

Jednak wpadnę do Łubnik[10], ok. 5 września.

Kracio [podp. odręczny]

*

25. II. 1980

Jasiu, Ty melancholijny bałaganiarzu, (którego coraz bardziej rozumiem)! Trzeba przesłać Ciołkiewiczowi ankietę debiutów, dostarczoną nam przez Waśkiewicza[11]. Zrobisz to?…

Z tą prośbą do Ciebie, byś postudiował dokumentację Klubu, ja nie żartowałem. Nie chcę być niezastąpionym prezesem naszego Klubu [podkr. – Autora listu]! To byłoby samobójstwem dla mnie i strasznym paraliżem dla kierowanej

[9] Poemat nie ukazał się w formie omawianej w liście.

[10] Rodzinna wieś Jana Leończuka.

[11] Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (1941–2012) – poeta, krytyk, edytor; redaktor dwumiesięcznika „Autograf"; autor i redaktor kilkudziesięciu książek; laureat Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza (2007), przyznawanej przez ZLP, odznaczony Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" (2009) przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

przeze mnie organizacji (sclerotikus – chuius – pierdolensis). Choć dla wielu, wygodnym… itd.

Chcę pomału usuwać się w cień; czas na to już najwyższy. Wiesz, spróbujmy uprosić Wieśka Kazaneckiego, by zechciał łaskawie wstąpić do naszego Klubu i kandydować w marcu 81 r. na jego prezesa [podkr. – Autora listu]. Moim zdaniem, byłoby to dobre wyjście z sytuacji, kiedy to drapieżny nacjonalizm zaczyna rozsadzać naszą, z takim trudem skleconą organizację ZLP-owską. Przewidujmy [podkr. – Autora listu]

Trzymaj się! *Kracio* – [dop. odr. po polsku]

❊

Białystok, dnia 28 lutego 1980 r.

Oświadczenie

Oświadczam wobec Zarządu, iż nie wyrażę zgody na ewentualne wysunięcie mojej kandydatury w przyszłorocznych wyborach do władz naszego Klubu Literackiego Związku Literatów Polskich.

Jest rzeczą oczywistą, że – w warunkach trwale narastającego nacjonalizmu w mieszanym narodowościowo Białymstoku – ja, jako Białorusin i pisarz białoruski, w takiej sytuacji winienem uznać się za działacza wysoce niepożądanego, którego aktywność zacznie obiektywnie szkodzić dalszemu życiu naszej organizacji. W dodatku, uważam się za w pełni usatysfakcjonowanego faktem kierowania tym Klubem w najtrudniejszych dlań, pierwszych latach jego istnienia.

Sokrat Janowicz

❊

Białystok, dnia 30 czerwca 1980 r.

Naczelny Zarząd Wydawnictw
w Warszawie

Klub Literacki Związku Literatów Polskich w Białymstoku prosi o zezwolenie jednorazowego wydania drukiem „Sprawozdania literackiego Klubu Związku Literatów Polskich w Białymstoku w piątą rocznicę jego istnienia”[12] w objętości

[12] Brak informacji na temat dalszych losów tego pomysłu.

sześciu arkuszy drukarskich /czyli 96 stron plus okładka/formatu A-5 i w nakładzie 310 egz., na papierze własnym.

„Sprawozdanie" obejmowałoby prezentację jednym lub kilkoma utworami twórczości wszystkich dwudziestu pięciu członków naszego Klubu uzupełnioną notami bio-bibliograficznymi i materiałem ilustracyjnym. Zbiór ów zostałby poprzedzony refleksją krytycznoliteracką, poświęconą miejscu białostockiej organizacji młodoliterackiej w życiu literackim ogólnokrajowym.

Kolegium redakcyjne wydania składałoby się z członków Związku Literatów Polskich – Włodzimierza Pawluczuka, Wiesława Kazaneckiego, Sokrata Janowicza, Jana Czykwina. Recenzentami zostaliby – Henryk Bereza[13] i Andrzej Mencwel, czołowi krytycy polscy.

W sytuacji, kiedy Region Białostocki dopiero zaczyna przezwyciężać skutki minionych zaniedbań w swym rozwoju kulturalnym, – ukazanie się wsp. „Sprawozdania" miałoby duże znaczenie dla dalszej dynamizacji miejscowego życia literackiego i umysłowego.

Nasze środowisko, które nie od dzisiaj już zostało zauważone w kraju szeregiem nazwisk utalentowanych autorów – np. Edwarda Redlińskiego, Włodzimierza Pawluczuka, Wiesława Kazaneckiego, Sokrata Janowicza, Jana Leończuka, Bogusława Falickiego, i in. – całkowicie zasługuje na to, by ustosunkować się przychylnie do tej jego inicjatywy edytorskiej, której głównym celem jest wybiórcza prezentacja jego całości, zresztą po raz pierwszy tak pomyślana.

Za Zarząd
Sokrat Janowicz

*

W słoneczny, nareszcie, poranek 12 lipca 1980.

Jasiu, dzięki Ci serdeczne za listy z 7 i 8 lipca. Trzeba pisać listy, to porządkuje nasze myślenie i uczucia, choć są także i niebezpieczne /o czym dobrze wiem, niestety/. Cóż: kto się wilków boi, ten do lasu nie chodzi! A jak można przeżyć życie swoje, nie będąc choćby jeden raz w lesie? Nie, to niemożliwe, t.zn. – kalekie.

Odesłałem Ci Twój *Sen odarty*[14] z moim białoruskim „podradkoûjem", które najwidoczniej zmyliło Ciebie: nie tłumaczyłem *Snu* na kolanie! Zajęło mi to coś koło tygodnia czasu, szlifowania, czytania na głos /kilka razy i w różnych okolicznościach – to wobec Smaszcza, to wobec Szachowicza, to wobec artysty-plastyka Dawidziuka z Łodzi, to wobec Tani… Wsłuchiwałem się w tzw. brzmienie, poprawiałem, poprawiałem!!!/

[13] Henryk Bereza poświęcił prozie Sokrata Janowicza szkic *Na pograniczu*, w: t e g o ż, *Związki naturalne. Szkice literackie*, Warszawa 1978, s. 300. Wcześniej ten tekst ukazał się na łamach „Tygodnika Kulturalnego" 1973, nr 40, s. 4.

[14] J. L e o ń c z u k, *Sen odarty*, z polskiego na białoruski przeł. S. Janowicz, Białystok 1981.

Owo „podradkoûje" było tylko początkiem początku! – W cenzurze jednak mocno deliberują nad Twym poemacikiem, jak wiesz już. Ano zobaczymy.

W Bryla się wczytaj: to bliska nam dusza… Solidnie zrecenzuj jego *Witraże*[15]. To pisarz, którego grzech byłoby zlekceważyć! A do „Profili" napisz o nim w ogóle, coś w rodzaju eseju n/t lektur jego rzeczy. Obiecałeś. Bądź rycerzem. Gentelman nigdy nie staje po stronie wygrywającej, powiadają Anglicy. To powiedzenie pasuje do naszego Bryla.

Dziesiątego odwiedził mnie Falicki, Boguś. To była ciężka wizyta, dla mnie. Bogusławowi nie udał się romans z OSSOLINEUM /z Soszyńskim/, z „Czytelnikiem"/z Górskim/. Wyglądało na to, że ja jestem winien temu wszystkiemu… Boję się, że u Bogusia rodzi się po trosze spiskowe widzenie rzeczy i spraw tego świata, spada do poziomu sierżanckiego myślenia. W czym mogę mu na pewno pomóc? Ano wydając *Kropelkę*[16], jemu. I na to on przystał, choć nie bardzo ochoczo, bo to, panie, ani sławy zbyt dużo, ani pieniędzy – wcale! Gdybym to ja tkwił, niczym Nawrocki[17], w jakimś wydawnictwie bezpośrednio – na głowie bym stanął, a Falickiego przeforsowałbym jeszcze lepiej, niż uczyniłem to za czasów mojego „głosu" w „Pojezierzu"[18]. No tak.

Twój pomysł nocy literackiej nad Narwią zaintrygował mnie. Od piętnastego ma być w mych stronach Trziszka[19]; zawlókłbym go i na tą noc. Co ty na to? Chce on pisać esej o naszym środowisku literackim…

Jedenastego byłem w Warszawie: Ministerstwo KiS w osobie p. Kochańskiego przyobiecało naszemu klubowi dużo serca, inicjacjom wydawniczym.

– Kracio *Kracio* [dop. odr.]

1985-02-26

– Гэта не ёсць так, Ясь, што на Цябе – „эмбарга". Ніякага „эмбарга" і на нікога. Справа тут куды прасцейшая ды трагічнейшая, атрофія… жыцця? Каб Ты тое ведаў як мне цяпер нічога ды нікуды не хочацца!!! Я сам сябе ўжо баюся за тое, бо як далей жыць, нічога не хацеўшы!?

Няма цяпер сэнсу гаварыць пра жалі да Цябе, да іншых; яны былі не большымі і не меншымі, чымсьці зазвычай бываюць у людзей, у тых, якія

[15] J. B r y l, *Witraże*, wyboru dokonał i z białoruskiego przeł. S. Janowicz, Warszawa 1979.
[16] Tomik nie ukazał się.
[17] Aleksander Nawrocki (1940) – już od lat 60. pisarz, tłumacz, krytyk, redaktor, wydawca.
[18] W 1979 r. w Olsztynie „Pojezierze" wydało tomik Bogusława Falickiego *Próba generalna ucieczki*.
[19] Z y g m u n t T r z i s z k a (1935–2000) – prozaik, publicysta, krytyk związany z nurtem chłopskim.

нешта разам робяць, чыняць. Гэта ўжо гісторыя, пры тым дробная. Часы ідуць такія, што напраўду невядома, як жыць і куды кінуцца.

У мяне цяпер ніхто не бывае, і я нікуды не хаджу. Часамі так, як у тую Варшаву, палезу іншы раз, бо час ад часу аднаўляецца ўва мне нешта накшталт веры ў сэнс. Хацелі палякі, варшаўскія, пачуць, як тут, у нас, у гэтым Беластоцкім Краі ёсць безнадзейна, дык, калі ласка – пачулі. Я ім сказаў так: і мы не без віны, але заўсёды болей вінаваты той, хто мацнейшы. Як старэйшы брат у радзіне, для прыкладу кажучы. „Уступі маладзейшаму, ён мае права быць дурнейшым і несправядлівейшым!" Але дзе там: слабы заўсёды больш дастане па гарбе! Такая лёгіка гісторыі, (трохі напісаў быў я аб тым, можа калі прачытаеш у нечым такім „з рук в рукі").

Не варта, Ясь, дыскутаваць нам. Трэба пачакаць, эпохі дзеля таго трэба, часу а часу! Таму давай будзем жыць, як жылі дагэтуль: помніць адзін пра аднаго, і нічога больш апрача таго. Я, прынамсі, змучаны надоўга і не хочацца выходзіць на спатканне з нікім. Вяртаюся я у Крынкі, пакуль што духам сваім, а потым і фізічна. Так о!

Спачуваючы лёсу Твайму, і Бацькам – *Крацё.*

П.С. Дзякую за выразку з „Госьця Н". Мэлянхалійная, смутная.

[*przekład*]

1985-02-26

To nie tak, Jasiu, że jest na Ciebie „embargo". Nie ma „embarga", na nikogo. Sprawa jest znacznie prostsza i bardziej tragiczna, atrofia…życia? Żebyś tylko wiedział, jak mi teraz niczego ani donikąd się nie chce!!! Sam siebie już się boję z tego powodu, bo jak żyć dalej niczego nie chcąc?

Nie ma teraz sensu mówić o żalach do Ciebie, do innych; były one nie większe, nie mniejsze niż to zazwyczaj bywa między ludźmi, którzy razem coś robią, czynią. To już historia, a przy tym drobna. Czasy idą takie, że naprawdę nie wiadomo, jak żyć i w co się angażować.

U mnie teraz nikt nie bywa, i ja do nikogo nie chodzę. Czasem, jak do tej Warszawy, powlokę się, gdy powraca we mnie coś w rodzaju wiary w sens. Chcieli Polacy, warszawscy, usłyszeć, jak tu, u nas, w tym Kraju Białostockim beznadziejnie, to, proszę bardzo – usłyszeli. Powiedziałem im tak: i my nie jesteśmy bez winy, ale zawsze bardziej winien jest ten silniejszy. Jak, na przykład, starszy brat w rodzinie. „Ustąp młodszemu, on ma prawo być głupszym i bardziej niesprawiedliwym." Ale gdzie tam: słaby zawsze bardziej oberwie po grzbiecie! Taka jest logika historii (trochę napisałem o tym, może kiedyś przeczytasz w jakimś „z rąk do rąk").

Nie warto, Jasiu, dyskutować. Trzeba poczekać, epoki na to trzeba, czasu a czasu! Dlatego żyjmy, jak do tej pory: pamiętajmy o sobie i nic więcej. Przynajmniej ja jestem zmęczony na długo i nie chcę wychodzić na spotkanie z nikim. Wracam do Krynek, na razie duchem, a potem i fizycznie. Tak oto!

Współczując losowi Twojemu, i Rodzicom – *Kracio*

P.S. Dziękuję za wycinek z „Gościa N.". Melancholijny, smutny.

[przełożył Jarosław Janowicz]

Krynki, 11 czerwca 1996

Jasiu Kochany,

Mile zaskoczyłeś mnie owym podarkiem jubileuszowym. Ta „ikona", przedstawiająca sokratowisko, już jest umieszczona w moim gabinecie: nad fotelem dla gości.

Co do nieporozumień leończukowsko-janowiczowskich. Polakom chodzi o demokrację i nam też. Z ogromną różnicą jednakowoż, musimy bowiem jednocześnie stać się pełnowymiarową nacją, czego nie muszą Polacy właśnie, bo nią są od dawna.

Zniknięcie polskich Białorusinów natomiast jeszcze się da wyhamować, co daj Boże! Moskwie zawsze zależało na tym, by nas tutaj nie było, a to z dwu powodów: im nas mniej, tym dla niej lepiej w ogóle, i po drugie, nasze rozpłynięcie się w polskim żywiole upraszcza, wręcz znakomicie, stosunki z „panskoju Warszawoju", rozwiązując jej – Moskwie – ręce w traktowaniu przez nią polonii wschodniej, zwłaszcza w Białorusi. Zamyka się w ten sposób gębę Belwederowi, że „damy waszym Białorusinom u nas tyle, ile wy u siebie naszym Polakom". Skoro jeden element w tym równaniu /typu: A + B =/ odejdzie, to nie ma samego równania.

Wchłonięcie Białorusi przez Ruskich postawi sołdata w Grodnie, a nie jak dotychczas – w Smoleńsku. Stąd żywotnym interesem Polski jest to akurat, aby do tego nie doszło. Nie dojdzie, jeśli Białoruś stanie się białoruska. Kiedy jej państwowość z czysto terytorialnej przekształci się w narodową, biało-czerwono-białą. Słabnięcie Litwo-Białorusi w dawnych czasach, konanie Pogoni zawsze zniżało lot Orłu Białemu, albo wręcz padał on na ziemię. Nieszczęściem Białorusi jest jej położenie geopolityczne, sytuacja bramy z Europy i do Europy/Napoleon też poszedł był nie na Petersburg/. Dziesięciomilionowa niepodległość białoruska – oto rzeczywiste przedmurze.

Moje żale do Polaków białostockich, to wyrzekanie na głupotę brata. Który w swym egoizmie narodowym nie rozumie, że ociera się o kolejną powtórkę

historii, za każdym razem krwawszą. Chamura białoruski zaś, myśląc głównie brzuchem, uważa narodowość za synonim grubej pajdy z masłem i szynką, i dziwi się, że białoruskość może służyć Polsce.

Ściskam Cię! – Sokrat. [dopisek odręczny]

Сакрат Яновіч

Максімы[1]

Я ў слова *не веру. Я літаратурны атэіст…*

Мне *дае раскошу думаць над словам. Мне здараецца перапісваць адну фразу цэлы месяц.*

Пісьменнік – *гэта пакутнік слова.*

Гатунак… – *гэта ёсць размеркаванне аўтараў па шуфлядах.*

У мяне *няма натхнення, у мяне ёсць праца.*

Не можа *быць так, што культуру робяць задарма, а дзверы ці вокны за грошы.*

Культура *павінна каштаваць. Культура не можа быць бясплатнай.*

Адукацыя – *гэта ёсць выпрацоўка здольнасці самастойна думаць.*

Калі *чалавек закончыўшы вучобу перастае чытаць кнігі і думаць, то ён не зразумеў, ён закончыў гэты ўніверсітэт.*

Інтэлігент – *гэта чалавек, у якога ёсць пачуццё місіі. Без гэтых ілюзій няма інтэлігентаў, чалавек пачынае жыць мэтамі – нажэрціся і распладзіцца.*

Культура – *ёсць рэч неабавязковая.*

Грошы *не трымаюцца інтэлігентамі. Бо інтэлігент – гэта апостал. Бо звычайны чалавек жыве страўнікам.*

Я на сваю *бібліятэку і кабінет гляджу як на лабараторыю.*

---

[1] Наконт „Максімаў" Сакрата Яновіча. Яны запісываліся мною [Віталь Карнялюк – przyp. red.] або – падчас, або – пасля гутарак з Сакратам, ці пасля яго прамоў на розных сустрэчах. Першы такі раз быў у 2002 г. у Гайнаўцы, калі Сакрат выступаў, як госць канферэнцыі для беларускіх і польскіх настаўнікаў. Тады, таксама выступалі Алесь Чобат і Алёна Глагоўская. А потым было немала сустрэч, калі можна было пачуць гэтую, напраўду, афарыстычную мову Сакрата Яновіча. Часам ён паўтараў гэтыя думкі і выказванні ў пэўных інтэрпрэтацыях, але іх сутнасць заставалася той жа самаю. Таму – галоўнае – гэтыя максімы – менавіта выказванні Сакрата, а не мой перафраз, ці прыблізны ўспамін. Я сам некаторыя з іх ужо неаднаразова цытаваў, пры нагодзе, ў вуснай ці пісьмовай формах.

(У Польшчы) *суд кіруецца законамі, а не тэлефонамі.*

А праўда, *гэта такая халера – вісіць на крыжы, яна заўсёды непрыемная рэч.*

Вы *знайдзіце хоць бы адну кніжку, але кніжку геніяльную, каб яна была аб шчасці – няма такой кніжкі. Радасць не развівае чалавека. Уцякайце ад людзей, якія не ўмеюць смуціцца, бо яны не вельмі разумныя. Але ўсё ў меру. Смутак павінен быць інтэлігентным.*

Фактаграфія *ёсць як цагліна, як вапна, якую бярэш і будуеш дом.*

Мы *самасеі...*

Расейцы *ад калыскі хворыя імперыялізмам.*

Мяне *расчульвае толькі літаратура, ні каханне, ні якая жанчына, а тэкст.*

Каб *чытач пачаў думаць, то трэба яго абразіць.*

Важна *першая фраза, першы абзац. Чытача трэба чымсьці захапіць.*

У вас, *як і ў нас ёсць дывізія паэтаў, якіх трэба растраляць.*

Бог – *гэта любоў, Бога не трэба баяцца, гэта язычнікі баяцца Бога.*

Нацыянальнасць – *ёсць катэгорыя культуры. Хам не мае нацыянальнасці.*

Культура – *гета рэзультат свабоднага часу.*

Тутэйшасць – *гета свядомая праднацыянальнасць.*

Мы *асуджаны, каб быць нацыяй, бо маем такую культуру.*

Кожная *мова – гэта філасофская сістэма.*

Буду *жыць, аж да сваёй смерці.*

Віталь Карнялюк
ГРОДНА

Слова пра Сакрата

Няма яшчэ адлегласці, каб казаць напоўніцу пра Сакрата Яновіча, бо нельга пакуль ахапіць ўсё тое, што ён паспеў зрабіць для нашай культуры. Але не ўспамінаць Сакрата Яновіча – немагчыма. Што крок ў жыццёвай мітусні згадваюцца тыя ці іншыя яго словы. Афарыстычныя сакратавы выразы. „Будзе ўсё добра, толькі не трэба нічога рабіць", — ўсьміхаўся Сакрат, і... прыступаў да чарговай новай справы. „Буду жыць ажно да сваёй смерці", — падбадёрваў ён сабе, глынаючы чарговую жменю лекаў ад невылечнай хваробы, і рушыў весці экскурсію па Крынках, падымаючыся нават на вышыню Шыбеніцы. „Мы асуджаны, каб быць нацыяй, бо маем такую культуру", — гэтыя яго словы, пэўна, сапраўдны рэфрэн жыцця. Такую наканавасць Сакрат адчуваў увесь час і адначасова, паўсюль, дзе гэтаму было супрацьстаянне, ён быў першы змагар. І словам, і справаю.

Мне пашчасціла ведаць Сакрата Яновіча больш за дзесяць гадоў. І ўвесь гэты час адчуваць ягоную прысутнасць у сваім жыцці. Такую сапраўдную школу беларускасці. Трэба было ехаць у Крынкі, каб з асалодай пачуць сакратавы разважанні. Дарэчы, выказванні былі часам жорсткія і вельмі спрэчныя, але ніколі не абыякавыя, без уселякай позы, з жыцця, з рэчаіснасці.

Пры сустрэчах, Сакрат паварочваўся рознымі сваімі бакамі. У Сакрата-краязнаўца можна было даведацца цікавінкі пра тапаніміку края. Ад Сакрата-палітыка пачуць бескампрамісныя – наводмаш – ацэнкі ўчынкаў дзеючай улады. Сакрата-публіцыста атрымлівалася чытаць па ягоных рэгулярных зацемках „Быць сабою". А потым, пры нагодзе, удалося пазнаёміцца з рукапісамі-машынапісамі гэтых маленькіх часопісных твораў. І зразумець вартасць ягоных слоў: „Мне дае раскошу думаць над словам. Мне здараецца перапісваць адну фразу цэлы месяц", ці вось гэта: „Пісьменнік – гэта пакутнік слова", „Я на сваю бібліятэку і кабінет гляджу як на лабараторыю", „Кожная мова – гэта філасофская сістэма".

З Сакратам было і проста, і складана адначасова. Проста, бо людскаць узаемаадносін, што ўсталёваў сваімі паводзінамі Сакрат, супакойвала і давала ўпэўненасць. Быццам высокія ягоныя словы пра тое, што „інтэлігент – гэта чалавек, у якога ёсць пачуццё місіі", набывалі ў яго асобе такое натуральнае ўвасабленне, што ў праўдзівасць іх ужо верылася назаўжды. Складанасць жа была ў жаданні, хоць неяк адпавядаць гэтай вышыні слоў і спраў, да якіх пакрысе дакранаўся кожны візіт у Крынкі.

Сакрат ўвесь час згадваў пра свае кантакты з моладдзю, і цешыўся тым, што яго слухаюць ў самых розных аўдыторыях. Але ці можна было яго не слухаць?! Яго словы – выразы. Яго прыклады з жыцця – формулы паводзін. Трапнасць выказванняў узбройвала і давала ўпэўненасць. „А праўда, то такая халера – вісіць на крыжы, яна заўсёды непрыемная рэч…", – згадаў неяк Сакрат. Пазней, калі ён знайшоў у сабе мужнасць сказаць пра свае пакутлівыя стасункі з савецкай польскай „дэфінзівай", гэтыя словы набылі праўдзівае пацверджанне.

Пасля кожнай сустрэчы з Сакратам хацелася рабіць больш, і больш. Гледзячы на яго энергію і прагу да жыцця, разумелася, што па-за мітуснёй жыцця заўсёды павінна быць справа. І яе трэба паспець зрабіць. Як гэта робіць Сакрат. А то, як жа! У Крынках, пасутнасці – у вёсцы – выходзяць кнігі, часопісы, штогод ладзіцца міжнародная навуковая канферэнцыя, адбываюцца імпрэзы! Рухавік Сакрата складаўся з яго таленту, волі і добрай апантанасці, без якой, ніколі не падымаецца ніводная справа. А яшчэ з растворанага ва ўсё сутнасці яго жыцця разумення пра сябе, што „мы самасеі". А значыць, толькі сам кожны павінен рабіць сваю працу. А сваю працу рабіў Сакрат годна, па самаму вялікаму рахунку, бо на кану для яго стаяла ўся нацыянальная культура.

У шторазовых сустрэчах наплюсаўваліся ўсё новыя слаі сакратавай постаці. Праз асобу Майстра, цераз захапленне ягонай дзейнасццю, ўсё паварочвала да галоўнага – да ягонай літаратуры. Каб, нарэшце, радуючыся кожнаму трапнаму Яновічаваму слову, выразу ці сказу, чытаць і перачытываць ягоную непаўторную песню пра Крынкі, ўвасобілі для пісьменніка беларускі край ўсходняй Польшчы, усю яго Бацькаўшчыну.

Віталь Карнялюк

Гутарку і аўдыёзапіс вялі
Віталь Карнялюк і Вітаўт Парфёненка
(Крынкі, Дом Сакрата Яновіча, 07.07.2012.)

Карпюк

Віталь Карнялюк: *Спадар Сакрат, вы сябравалі з Аляксеем Нічыпаравічам Карпюком?*
Сакрат Яновіч: Ну так можна сказаць… Ну, Карпюк быў… партызан. Меў партызанскі характар. І з ім было цяжка дыскутаваць, але можна было. Я першую кніжку яго прачытаў і захапіўся ёю – гэта *Данута*. А потым – *Пушчанская адысея*. Карпюк быў для мяне чалавекам нешчаслівым. Ён усё чагосьці баяўся. І таму з ім была, ну такая…болей цяжкая гутарка. Але быў максімальна шчыры. Максімальна шчыры. Я любіў з ім гаварыць, сустрэўся з ім некалькі разоў. Ён быў у Беластоку, быў у маім доме – я тады ў Беластоку жыў у цэнтры горада, і арганізаваў яму аўтарскія сустрэчы ў дамах культуры. Ён адчуваў сябе тут добра, бо адчуваў, што ім тут цікавяцца, цікавяцца аўтары, цікавяцца людзі мастацтва. Тады ў Беластоку існавала такое літаратурнае асяроддзе маладое. Я ў Беластоку, у той час, арганізаваў літаратурны клуб, у якім знаходзілася каля дваццаці чалавек. І гэта было добра.

Карпюк для мяне заўсёды быў чалавекам, якога я лічыў сваім земляком. Адну з яго кніжак я пераклаў на польскую мову. Гэта былі яго ўспаміны з роднай мясціны, бо ён быў родам з-пад Гарадка. Гарадок – гэта такое мястэчка недалёка ад Крынак, а яго родная мясціна называлася Страшава. І я яго цаніў перадусім за тое, што ён гаварыў праўду,… але гаварыў гэту праўду для мяне толькі. Бывала часам, што прасіў, каб нікому іншаму не казаў пра гэта, што пачуў я ад яго.
Вітаўт Парфёненка: *Мы займаемся падрыхтоўкаў кніжкі пра Браніслава Ржэўскага. Яны былі добра знаёмы з Карпюком. Здзіўляе, што Карпюк нічога ў сваіх успамінах не згадывае пра Ржэўскага…*
СЯ: Тое, што Карпюк замоўчваў пра гэтага чалавека, ну то, я гэта разумею. Ён звычайна баяўся. Карпюк баяўся, бо да Карпюка цэлы час чапляліся. Мелі такія ўлады жалі нейкія, прэтэнзіі… Можа яшчэ таму, што ўлады ў Гародні мелі Карпюка, як то кажуць, даволі, бо ён ім вельмі надакучаў сваім такім праўдалюбствам. Карпюк меў арыентацыю ў эўрапейскай літаратуры, бо ён па адукацыіі быў англістам, і ведаў, і чытаў шмат па-ангельску.

Калі я даведаўся, што ён (Карпюк) захварэў ракам, то я зразумеў, што гэта для мяне і не дзіва. Бо ён быў нервовы, узбуджаны заўсёды вельмі[1].

[1] А.Н. Карпюк памёр ад рака 14.08.1992 г., Гродна (Grodno).

Хоць ён бываў тут, у Беластоку, даволі часта, я бываў у яго, таксама, у доме. І быў я таксама ў доме Элізы Ажэшкі, дзе Карпюк апекаваўся маладымі аўтарамі – Данутай Бічэль, паэткай Вольгай Іпатавай,... і там яшчэ хлопец, Юрка Голуб.

ВК: *У літаратуры можна сказаць, што вы разам з Аляксеем Нічыпаравічам – аднадумыцы?*

СЯ: Мне адразу згадваецца кніжка, якую я пераклаў на польскую мову, знайшоў выдаўца тут. Гэта была кніжка пад назваю *Вершалінскі рай*. Кніжка напісаная месцамі вельмі кепска – і тыя слабыя кавалкі з кніжкі той я ужо не перакладаў. Я потым пытаўся: чаму ты так: месцамі добрая літаратура, месцамі – слабая? Ён казаў мне: бо іначай цэнзары не дазволілі б яе апублікаваць. І таму я – казаў ён, – для цэнзараў, для ўладаў. Таму былі ўрыўкі... атэістычныя. Урыўкі, у якіх была іронія з людзей рэлігійных. І разумею, чаму ён гэта пісаў: бо ён быў у свой час, у Гародні, нейкім шэфам атэістычнай арганізацыі...[2] Я кніжку гэту перакладаў. Толькі канцэнтраваўся на тых урыўках кніжкі, дзе была літаратура, а не прапаганда якаясь там, бо літаратура ёсць чымсьці такім інстынктыўным. Адразу адчуваецца, дзе аўтар – мастак слова, а дзе проста агітатар нейкі. Я сам, для яснасці скажу – я сам не вельмі веруючы, і так было заўсёды, але не люблю, калі хтосьці робіць жарты з веруючых. Бо гэта трэба шанаваць. Чалавек верыць, і добра, што верыць, добра, што мае нейкую ідэю, ці, як то кажуць, Бога мае. Бо калі, як то пісаў калісьці Талстой ці Дастаеўскі, што калі няма Бога – то ўсё дазволена.

ВК: *Наколькі у Вас былі магчымасці бачыць разам Алексея Карпюка і яго жонку Іну Анатольеўну Карпюк?*

СЯ: Такіх магчымасцяў я не меў, але ўспомнілася мне, што, калі мне ўдалося перакласці і выдаць кніжку *Вершалінскі рай*, то быў выдаўцом яго польскай кніжкі Тадэуш Слабадзянэк; ён бацькоў меў асуджаных у Сібіры..., і Слабадзянэк, як памятаю, пастараўся Іне Анатольеўне за кніжку гэту нешта каля 500 даляраў. І калі ён быў у Гародні, то ёй асабіста гэта ўручыў, і яна ўзрадавалася гэтымі грашыма і сказала: „Будзе за што паставіць помнік Аляксею на могілках!"

Гэта была жанчына вельмі далікатная. І калі я там некалькі разоў бываў, то яна пакідала нас двух і выходзіла ў іншы пакой, каб я не звяртаў увагі на тое, што яна чуе, аб чым я кажу. Такія жанчыны нават у нас бываюць рэдка! Бо адчувалася, што гэта жонка Карпюка была такой інтэлігенткай. Гэта рэдка бывае. Яна мела пачуццё такту. А магчыма яшчэ і таму, што лічылася з тым, што Аляксей чымсьці там знервуецца і нагаворыць розных эмацыянальных слоў.

[2] У 1977 г. ў Гродне быў адкрыты Рэспубліканскі музей атэізма і гісторыі рэлігіі на чале з А.Н. Карпюком.

Васілёк

ВК: *Якія абставіны вас звялі з Міхасём Васільком?*
СЯ: Гэта адбылося так. Я вяртаўся тады з Мінска (тады я часта ездзіў у Мінск і ў Гродна, бо ў Мінску тады яшчэ жыў мой сваяк і кампазітар Юрка Семеняка, і там сваякі былі, якія адсюль у 46-м або 47-м годзе ўцяклі у Савецкі Саюз, а ў Гародні на вуліцы Гогаля, званай „Пьяны вугал", жыў мой швагер, які быў жанаты з дачкою майго бацькі – Оляй Крэчэк). І калі я затрымаўся, вяртаючыся з Мінску ў швагра, у Олі, то я падумаў, што маючы час трэба яшчэ з кімсьці пазнаміцца. І тады я наведаў Міхася Васілька. Адзін раз у жыцці я яго пабачыў.

І ён мне сказаў шмат такіх, цяжкіх для мяне праўдаў, што… „Ведаеш, Яновіч, – ён гаварыў да мяне – Яновічык. – „Ведаеш, Яновічык, цяжкая справа, бо Саветы не любяць нашай культуры. Не любяць, цярпець не могуць! Але куды яны падзенуцца, мусяць палюбіць". Нешта ў такім стылі ён мне гаварыў, але ўражанне ад сустрэчы з ім было такое, што ён вельмі хворы. Вельмі кепска выглядаў. Быў такі змучаны, зніштожаны. Гэта мог быць пачатак 60-х, пэўна, але я не пэўны…

ВК: *Наколькі вам творчасць Васілька блізкая?*
СЯ: У Беластоку жыло тады некалькі інтэлігентаў беларускіх. Гэта быў Сідаровіч, гэта быў Кавальчук, гэта быў Клімук. Яны любілі дэкламаваць вершы з „Маланкі". Адзін з тых вершаў, я нават трохі памятаю, пачынаўся так: „Добра помню на Іллю я пайшоў касіць, Узяў я косу і смалю за раку…" Неяк так… Я разумею, што гэта быў твор Васілька…

…Справа ў тым, што вершаў не вельмі памятаю, бо я вершаў не любіў. Я любіў прозу, апавяданні. Брат маёй жонкі Аляксандр Хомчык (тады ён быў студэнтам у Сопацкой акадэміі мастацтваў), неяк у 61-м ці 62-м годзе прывёз кніжку перакладзеную на польскую мову, якая мела, памятаю, загаловак *Конармія*. Яе аўтарам быў Ісаак Бабель. І фактычна я дзякуючы гэтай кніжцы пачаў пісаць. Бо я раней быў электратэхнікам і рабіў у фабрыцы, у Беластоку, у баваўняным камбінаце, і калі я што пісаў, то я пісаў або на польскай, або на рускай мове. Бо мая мама мела дзве тоўстыя кніжкі. Гэта былі збор твораў Пушкіна, і другая кніжка – збор твораў Лермантава. І мая маці чытала іх, любіла чытаць гэта. А з тых маміных кніжак я па сёння памятаю некалькі вершаў. Напрыклад, Пушкіна: „Нет весь я не умру, мой прах в заветнай ліры…" і гэтак далей, і лермантаўскі тэкст *Прашчай немытая Расія* або *В угрюмом ушчэлье, гдзе Терек…* Я тады, маючы тэхнічную адукацыю, ўяўляў сабе, што пішуць вершы нейкія людзі вельмі натхнёныя. Я не меў гуманітарнай адукацыі. І калі мой швагер, Аляксандр прывёз мне гэтую кніжку *Конармія* і *Адэскія апавяданні* я чытаў гэтую кніжку не адрываючыся ад яе і раптам я ўсвядоміў сабе, што Ісаака Бабеля Адэса, і мае Крынкі – гэта тое самае. І тады я першы раз напісаў мініяцюрку такую пра Крынкі. Успамін такі. Гэта быў 62-гі год. Ад 62-га году я пачаў сапраўды пісаць.

І тады я жывучы ў Беластоку, бо ў Беластоку я жыў роўна пяцьдзесят лет – поў веку, у Беластоку тады адчынілі настаўніцкі інстытут, беларускую філалогію. І там быў такі дырэктар гэтай філалогіі Радзіюкевіч, быў такі цудны настаўнік і мовазнавец Бірыла, быў такі гісторык беларускай літаратуры, які апынуўся тут на заказ школы гэтай – інстытута. Прозвішча яго… халера? Я яго сына спаткаў ў Полацку…Ну ўспомню, можа потым… І было ўжо тады двух выпускнікоў савецкіх універсітэтаў. Гэта быў Мікола Гайдук, літаратар і ён быў рэдактарам маёй першай кніжкі пад загалоўкам *Загоны*[3]. Была такая Ліда Базылюк, мовазнавец. Абое яны ўжо даўно не жывуць, але памятаюцца. І ў гэтым інстытуце было каля трыццаці або больш настаўнікаў. Бо тады на Беласточчыне былі беларускія школы. Беларускія не з назваю! І сярэднія былі. Дзве… ну, тры было. Бо ў Гайнаўцы ліцэй быў беларускі, ў Бельску ліцэй быў. Дырэктарам быў Яраслаў Кастыцэвіч. І быў яшчэ педагагічны ліцэй у Бельску, таксама беларускі. Бо тады, цікавая рэч, што ўлады арганізавалі школы, не дапускаючы нават думкі, што могуць быць іншыя. Я памятаю, што калі я быў студэнтам гэтага інстытута (а прынялі мяне перадусім таму, што ўжо пісаў трохі, быў аўтарам ужо, бо тэхніка-электрыка прыймаць у настаўніцкі інстытут…) існавала рэдакцыя тыднёвіка „Ніва", і ў той рэдакцыі толькі адзін чалавек даваў рады пісаць на беларускай мове. Гэта была Вера Леўчук[4]. І трэба было яшчэ аднаго чалавека. І тады згледзілі мяне, бо я меў тады такую ідэю-фікс, менавіта, ведаючы трохі нямецкую мову, тэхнічную, я перакладаў нямецкія тэксты па электатэхніцы на беларускую мову, і дасылаў тое ў Мінск (смяецца). І каторасці году я атрымліваю з Мінску тэлеграму. Памятаю яе, як сёння: „Мы в переводах на белорусский язык не нуждаемся". І тады я маючы практыку, бо трэба было ўжо, будучы студэнтам, ужо ездзіць у школы на практычныя заняткі, прызначылі мяне ў школу ў Рыбалах. Гэта за Заблудавам. То калі там былі ўрокі па арыфметыцы і па чытанню…, фізіка яшчэ. А я быў заіка. І перастаў заікавацца, як выйшла мая першая кніжка, бо маці мая кажа: „Божа, мой Божа! Як цябе запросяць, то як ты людзям будзеш чытаць! Заіка такі!" І тады я трапіў на добрага лекара. Рашкоўскі называўся. Лекар – выпускнік Кіеўскага медыцынскага інстытута. Гэта быў сапраўдны інтэлігент, той Рашкоўскі быў сапраўдным такім лекарам, доктарам, і ён мне растлумачыў: „Слухай, ты можаш гэту заікавасць сваю лёгка пазбыць. Трэба спяваць. Як не маеш дзе, то ідзі ў поле за Беласток, і каб ніхто цябе не чуў, каб не падумаў, што ты ашалеў, або што… спявай. Справа ў тым, што у 39-м годзе немцы бамбілі Крынкі, і я перажыў тады шок. Дзікі шок! Маці тут думала, што я ўжо памру. Мне ўсё запальвалі грамнічныя свечкі… І гэты Рашкоўскі мяне так вылячыў.

---

[3] Мікола Гайдук (1931–1998) – з 1959 г. працаваў у агульнаадукацыйным ліцэі з беларускай мовай навучання імя Б. Тарашкевіча ў Бельску-Падляшскім спачатку як настаўнік беларускай і лацінскай моў, з 1965 г. быў дырэктарам гэтага ліцэя. Публіцыст, журналіст.

[4] Вера Леўчук (Валкавыцкая).

Я меў кепскі голас…Я любіў спевы, любіў хадзіць тут у Крынках у царкву, або ў Беластоку ў гэты Мікалаўскі сабор, бо там прыгожа спявалі.

Чобат

ВК: *Якія рысы прываблівaюць Вас ў гэтым чалавеку?*
СЯ: Рысы інтэлектуальныя. Гэта быў вельмі таленавіты хлопец, яшчэ чую, што жыве, але алкагалізм яго знічтажае. Я любіў яго тэксты. Бо тэксты ён пісаў вельмі інтэлігентныя, вельмі глыбокія. Я тут яго пераклаў шмат на польскую мову.

Ён тут у мяне бываў часта, такіх інтэлігентаў як ён, то ў нашым беларускім асяроддзі, і ўвогуле ў Беларусі, то гэта – некалькі чалавек. Гэта ўнікальны талент
ВК: *Зараз вы маеце кантакт з ім?*
СЯ: Не…
ВК: *Як вы ставіцеся да твору* Зямля Св. Лукі*, які перакладалі?*
СЯ: Ведаеш, я скажу так, што калі я бяруся за пераклад якой кніжкі, гэта значыць, што я яе вельмі цаню, што яна вартая ўвагі. Гэтая кніжка… у гэты момант мне цяжка сказаць, чым яна мяне прываражыла, але гэта мусіла быць нешта вельмі добрае. Можа мне прыпомніш, аб чым яна?…

…Я люблю гэтакія тэксты, бо я сам шмат напісаў тэкстаў аб Крынках. Уся справа ў тым, што кожная мясціна патрабуе легенды. Калі няма легенды, то такая мясціна робіцца мёртвай. То таксама, што няма нацыі, калі няма свядомасці ўласнай гісторыі. Таму я кажу, што беларусаў няма яшчэ, бо ў іх няма пачуцця мінулага. Няма нацыі. Бо нацыя ўзнікае тады, калі паяўляецца свядомасць мінулага, калі паяўляецца гісторыя. Калі няма гісторыі (я гавару тут аб чымсьці масавым, а не адзінкавым), бо у нас, беларусаў гісторыя ёсць, але гэта гісторыя існуе ў нас элітна. Звычайны чалавек не мае пачуцця гісторыі, звычайнаму калхозніку непатрэбна гісторыя, яму патрэбна „чарка і скварка" і на гэтым ён абмяжоўваецца…

І таму, я гэтую кніжку Чобата, можа асабліва не памятаю, бо яна дачыла акурат Скідаля, але яна мне спадабалася. Спадабалася таксама, як скажам мае кніжкі пра поўныя лёсу Крынкі, або аповесць або раман *Самасей* ці *Наша тысяча гадоў*. Люблю такія кніжкі… Але Чобат мне памятаўся перш за ўсё, як паэт і, як эсэіст. Яго разважанні аб беларусах – незвычайныя! Я ад Чобата вельмі шмат што ўзяў у думках. Было так, ён аднойчы мне кажа: „Слухай, а нашто хаму нацыя? Што ты прычапіўся да нацыі?" А я ўсё тлумачыў, што народ, які не ёсць нацыяй, не будзе развівацца, не мае будучыні. А Чобат: „Ну і добра, што не мае! Ну туды яму і дарога!"
ВК: *У практычнай дзейнасці, з Чобатам, як працавалася?*
СЯ: Супрацоўнічалася з нім вельмі добра. Перадусім таму вельмі добра, што я яго разумеў, і яго тэкст, яго эсэ вельмі мне падабаліся. Я іх чытаў

і перачытваў некалькі разоў, і публікаваў вельмі ахвотна. Я змагаўся за тэксты Алеся Чобата, таму, бо часам здаралася так, што нейкі рэдактар пачаў крывіцца, што можа гэта не так,... можа тое? То я, выкарыстоўваючы, тое, што я старэйшы, я пачыныў крычаць і прымушаць, каб узяў, і фактычна ўсё, што ён напісаў у галіне эсэістыкі апублікавана. Усё гэта можна было б неяк адчытаць і выдаць нейкую кніжку яго эсэ.

ВП: *Ці закончыць Чобат свае кнігі, аб якіх згадвае ў гутарцы з Д. Бічэль?*

СЯ: Мусіць, але ведаеце ў чым справа: Алесь Чобат умее глыбока думаць. Уся бяда ў тым, што нашы людзі наогул, не заўсёды, але наогул не ведаюць культуры. Бо я ўсё так часам пытаю: „Добра, але скажы, што ты чытаў? Якія кніжкі? Бо культура – гэта любоў да кніжкі. Калі ты будзеш выслеплівацца ў тэлевізар, ці ў нейкую іншую цацку, то з табою будзе бяда – ты не будзеш развівацца. Бо толькі кніжка, толькі слова, як я гаварыў – мой атэістычны бог. Бо слова – гэта Бог, слова – гэта пачатак усяго. Няма слова – няма нічога. Так як учора я Віталю тлумачыў, я спачуваю гэтым нашым няшчасным беларусам, бо гэта – няшчасныя людзі. Яны не разумеюць, што без нацыі нікуды яны не зойдуць. Нікуды. Гэта будзе пустыня. Толькі нацыя дае дынаміку развіцця, толькі нацыя. Няма нацыі – няма нічога.

Данута Бічэль

ВК: *У вас шмат кніг Дануты Бічэль. Пры якіх абставінах вы пазнаёміліся з гэтай беларускай паэткай?*

Цераз Карпюка. Бо тады ў доме Ажэшкі быў абласны аддзел саюза пісьменнікаў. Там памятаю, што былі гэтыя паэты. І Дануся была. І Карпюк надта ганарыўся маладымі: „От гэта таленты! Гэта таленты! От гэта наша будучыня!" Ну, меў рацыю. Бо гэта так ёсць.

Так што я з ёю некалькі разоў спаткаўся. І ў яе там на кватэры яшчэ тады жыў яе муж (Эрык). І потым яна бывала ўсяго некалькі разоў, тут у Беластоку.

Яна, як мастак слова – добры ёсць! Добры ёсць. Хоць даволі такі няроўны. Бо ў параўнанні з Чобатам у Данусі ёсць вершы, або тэксты вельмі добрыя, вельмі моцныя, і вельмі слабыя, адначасна. Бо ў Алеся Чобата кожнае напісанае ім слова ёсць, як звон. Яна пэўна захутка піша, бо ў літаратуры нельга хутка пісаць. Нельга. Трэба памалу пісаць.

Чобат ёсць запамінальны, а Дануся Бічэль – ня вельмі. У яе ёсць тэксты, напэўна, добрыя, але кажу, што Дануся – няроўная, няроўная. Добра, моцна і слаба. Моцна і слаба. Можа захутка піша, можа замнога піша? Бо Чобат якісь – як звон.

ВП: *Данута кажа: Я пішу для тых шасці чалавек, якія мае кнігі чытаюць...*

СЯ: Так, і ў пэўным сэнсе мае рацыю. Бо я, як гісторык літаратуры, ведаю, што бывалі паэты, якія – літаральна для аднае-дзвух асоб пісалі.

ВП: *Як Уршуля Радзівіл, якая пісала для хатняга ўжытку...*
СЯ: Так, але гэта ўжо графаманія. Бо...літаратура, літаратурны працэс, ёсць такі, што патрабуе клімату. Гэта мне адразу ўспомніўся Адам Міцкевіч, які калісьці сказаў, што ў мой час у Польшчы і ў Літве было дзве тысячы паэтаў, але напраўду застаўся адзін.
ВК: *У Дануты, як яна кажа, і гэта не адзіны выпадак, не ўсталяваліся духоўныя стасункі паміж дзеячамі беларускай культуры і іх дзецьмі... Чаму, як вы лічыце? Што яна зрабіла, каб такое духоўнае адзінства было?*
СЯ: Ну, я думаю, што яна зрабіла ўсё, што магла. Яна мае характар такі, як, як мая Таня сказала, порсткі. Значыць порсткая. Рашучы такі. А яе дзеці? Гэта мне не навіна! Я чуў аб тым, аб яе праблемах. Я калісьці падумаў, нават, так: „Ну добра, дзеці, але ж ваша маці дасягнула! Гэта – постаць! Гістарычная постаць! Данута Бічэль – гэта гістарычная постаць! Важная постаць, еўрапейская постаць. А, вы, дзеці – хто такія?! Што вы значыце? У адным Беластоку ёсць сто сорак мастакаў, а калі казаць пра жывапіс, то дзе не згадаеш, то: „А! – Лёнік Тарасевіч!" Усё! Па-за Лёнікам Тарасевічам няма мастакоў. А ў статыстацы ёсць – сто сорак. І тое самае будзе з тымі дочкамі.... Мастаком трэба нарадзіцца. Трэба мець пачуццё місіі. Без пачуцця місіі няма мастацтва. Можаш быць фізікам, матэматыкам, чым хочах, але не мастаком. Як мы гаворым, мне ўспомніўся Янка Брыль – добры мастак слова. Яго сын, як я чуў, стаў нейкім фізікам у Японіі, ці што... Пры яго росце, у гэтых японцаў, ён як велікалюд. Або тут, у Польшчы, таксама, гэта ёсць. Я будучы, раней яшчэ арганізатарам Саюзу пісьменнікаў, меў такую ідэю, што выхоўваць буду,...але гэта ўсё фікцыя. Не выхаваеш чалавека. Я магу сказаць так: „Я выхоўваўся сам. Я сам сабе выхаваў. Бо з боку бацькоў, бо яны былі рамеснікамі – маці была краўчыхаю, бацька шаўцом быў – і я нават у маладыя гады не ведаў, нават, што існуе нейкая літаратура. Пра Янку Купалу ці Якуба Коласа я нават ня чуў. Нацыі стварае горад, а не вёска. Ніколі – вёска. Бо вёска – гэта этнаграфія. А этнаграфія, то гэта яшчэ не нацыя. Мы бачым тое, што калісьці ўсе тут гаварыі на беларускай мове, але яны аб гэтым не ведалі, што гавораць на беларускай мове.
ВП: *Па перапісу 1897 г. у Саколцы 92% насельнікаў было беларусамі. Я прайшоў тут (у Крынках) па вёсцы і пачуў, што яны па-беларуску размаўляюць...*
СЯ: Так, але яны аб гэтым не ведаюць. Справа ў тым, што польская мова ўсё яшчэ існуе, як мова паноў. Гэта мне ўжо абрыдла слухаць. Там адзін у Крынках кажа: „Што да мяне па-мужыцку гаворыш! Па-польску да мяне! Я па-польску ўмею таксама". Злуюць. А калі я тлумачу, што мы беларусы, то яны кажуць: „Якія мы беларусы!? Мы свае людзі!" Альбо да мяне: „Яновіч! Мы чулі, што ты беларус..." Калі быў юбілей мой і сабраліся ўсе Крынкі ў жыдоўскай бажніцы і я да іх гавару па-беларуску, але іх гэта не здзівіла. Бо я свой чалавек (смяецца). Але ёсць, ёсць, прынамсі жменька тых, якія ўжо маюць інтэлектуальную такую патрэбу. У бібліятэцы ў Крынках спадарыня Юркевіч кажа, што ўсё часцей прыходзяць людзі просяць тваю кніжку. Але

не польскую, а беларускую. Мала гэтых чалавек, можа пяць, можа шэсць, але ўжо ёсць. А памятаю я па вайне, як прыйшлі сюды Саветы, то ў Крынках было дзве школы – польская для католікаў і беларуская для праваслаўных. І мае калегі мне вельмі зайздросцілі.

Быкаў

ВК: *У вас шмат дакументаў, якія нагадваюць пра вашы кантакты з Васілём Быкавым. У Ганны Запартыкі ў вашым архіве ліставанне з Быкавым. Якія адносіны былі ў вас з Васілём Быкавым?*
СЯ: Гэта былі адносіны сына да бацькі. Я глядзеў на Быкава як на некага Бога нашай мовы. Я з ім сустракаўся некалькі разоў. Першы раз у Гродне. Памятаю, што было так: ён нешта мне тлумачыў. Але ён ўсё азіраўся і мы ішлі ў поле, і ён мне сказаў, што пры цяперашняй тэхніцы падслухоўвання, нават на некалькі кіламетраў могуць чуць. А пасля я з ім сустрэўся ў Мінску ўжо, на кватэры яго. Ну тады ён рыхтаваўся ехаць у Фінляндыю[5].
ВК: *Якія тэмы вы звычайна падымалі пры сустрэчах?*
СЯ: Гэта былі пісьмы ад Быкава вельмі кароткія, вельмі лаканічныя. Ён там не разводзіўся нейкімі тэмамі. Быкаў быў пераконаны, што Беларусь не мае будучыню. Гэта ён, між іншым, мне растлумачыў, што калі няма нацыі – то няма будучыні, бо толькі нацыя стварае будучыню.

І Быкава яшчэ я бачыў, калі старшынёй Беларусі быў Шушкевіч. То Быкаў тады з Шушкевічам прыезджаў у Беласток. Там і іншыя былі, але і ён быў. З Быкавым гутаркі былі ня вельмі разлівістыя. Ён быў ціхі, ціхі. Я памятаю яго як чалавека, якому не вельмі хацелася тлумачыць, такому хлопчыку, як я. Бо я тады быў хлопчыкам… Бо колькі я тады мог мець лет?.. Ну каля 30-ці.

…Мне ён казаў, што „ў Беларусі няма яму месца. Яшчэ ёсць людзі, з якімі можна гаварыць.. Ну то – Масква. У Маскве ёсць з кім гаварыць. У Беларусі няма з кім гаварыць. Гэта ўсё якіясь ці калхознікі. Усё якіясь баязліўцы. Усё чагосьці баяцца?!" А я гэта ўспрымаў як такую, нават, выкрутку, што ён не хоча разводзіць са мною, але чым далей я жыў, тым больш згаджаўся. Там на сцяне (паказвае ў бок свайго кабінета) ў мяне ёсць партрэт Быкава. І пад партрэтам выразка яго слоў, што калі Беларусь можа выратаваць, што толькі мова. І нішто больш.
ВК: *У сваёй кнізе* Доўгая дарога дадому *Быкаў згадывае пра кантакты з вамі. Але вы казалі неяк, што Быкаў згадаў не пра ўсе стасункі з вамі. Можа штосьці дапоўніце?*
СЯ: …Я думаю, што ён (В. Быкаў) трохі баяўся кантактаў са мной. Бо я ужо даўно не падабаўся ўладам, перадусім таму, што я такі беларус. І мне многа

[5] В. Быкаў з'ехаў у Фінляндыю у 1997 г.

разоў казалі: „Сакрат, чаму ты такі беларус? Ужо час быць палякам! Час быць палякам”. І гэта ўсё канчалася авантурай. Бо я не хацеў быць палякам. І яны да мяне: „Ты дэбілу, ты дурню! Ужо час быць палякам! Якая табе халера? Што ты псіхічна хворы, ці што!?” Гэта была тыпова савецкая гутарка. Гэта былі саветы польскамоўныя.

Я думаю яшчэ так, што я быў тады занадта малады і занадта наіўны, каб са мной сур’ёзна гаварыць. Думаю, што так. Потым ён пачаў ездзіць ў Еўропу. І я з ім кантакта не меў.

ВК: *Які з твораў Быкава мае на вас асноўнае ўражанне?*

СЯ: Хіба толькі адзін. Гэта партызанскі твор… Я зараз не памятаю…назву кніжкі. Але там выступае жанчына…. А рэшта, то было не ў маім стылі, бо гэта ўсё былі ваенныя творы…. Прыпавесці Быкава трохі мяне здзівілі, бо гэта як бы фантазія… Бо не было такіх выпадкаў… Я трохі ведаю беларускіх адраджэнцаў. Бо тут яны былі… Жамойцін быў такі… Але каб самагубствы… Гэта было непараўнальна з палякамі. Непараўнальна. Бо гэта быў рух польскі магутны, усенародны. Палякі – гэта народ, у якіх менталітэт шляхецкі, дваранскі.

ВК: *Як вы лічыце, гэты крок, калі ў 1988–89 гг. Васіль Быкаў падтрымаў беларускі рух адраджэння і далей быў яго духоўным лідарам – гэта, на ваш погляд, быў лагічны крок ці нейкі зігзак гісторыі?*

СЯ: Я думаю, што ён хутка зразумеў, што гэта ўсё нерэальнае. Што гэты „калгасны” народ не патрабуе ніякага абуджэння. Ён кіруецца жыватом. Гэта – жываты, гэта не людзі. Не хачу абражаць нашых людзей, але – жываты. Самае важнае – наесціся. Я разумею, што гэта важнае. Бо чалавек, каб жыць, то павінен есці, але калі толькі на гэтым канчаецца? Каб наесціся…?! Я ў свой час шмат ездзіў па Еўропе і сустракаўся з эмігрантамі, уцекачамі ад Саветаў, то толькі аднаго спаткаў у Берліне і аднаго ў Парыжы сярод беларусаў, якія не гаварылі аб тым, дзе тут зарабіць, дзе тут нахапацца. У Парыжы – такі Наўмовіч, а Берліне – мастак Тарановіч[6]. А ў Берліне жыве беларускіх мастакоў нешта з поўсотні. І яны не думаюць катэгорыямі, што вернемся ў Беларусь. Не вернуцца! Яны ўсе пазіцыі мацуюць, каб застацца ў Нямеччыне.

Шырма

ВК: *У вас ёсць фота Рыгора Шырмы. Як яно ў вас з’явілася?*

СЯ: …Гэта было так. Бадай у 58 ці 57 годзе стала магчымым ездзіць у Савецкі Саюз. І я паехаў у Мінск. Гэта тады мала каштавала. І я паехаў у Мінск, бо ў Мінску, як я ўжо казаў, жыў тады мой блізкі сваяк, кампазітар Юрка Семеняка. Яны жылі тады на вуліцы Савецкай. Гэта было недалёка

[6] Алесь Тарановіч (Алесь Эроціч) – беларускі мастак, публіцыст, жыве з 1994 г. у Берліне.

ад Чырвонага касцёла. Яны мелі там пакойчык. І ў тым самым доме жыў Рыгор Шырма. І маці Юркі кажа: „Тут побач жыве Рыгор Шырма. Ідзі да яго". Я пайшоў да Шырмы. Прадставіўся яму, хто я і адкуль. Ён усцешыўся нават. Казаў, што ў часы як саветы анэксавалі Беласток, ён хор меў. І што песня *Ой рэчанька*... запісана на Беласточчыне, у ваколіцах Нараўкі[7]. Вось так пагаварылі. Ён яшчэ запрасіў мяне на другі дзень. Я схадзіў на рэпітыцыю яго хору ў Оперным тэатры. Там гэтыя жанчыны сталі прызнавацца, што яны з Польшчы альбо з Беласточчыны. Было так сардэчна, добра. Але ён мне кажа: да вайны я многа ездзіў. Памагаў яму Янка Шутовіч з Вільні[8]. Успамагалі яшчэ беларускія арганізацыі: давалі грошы на дарогу, ежу. Але ўсе гэтыя людзі зазначалі, што яны не думалі, што так будзе. Яны на Саветаў маліліся. Савецкія людзі здавалася... А тут – арышты і ў Сібір... Мне тут адзін расказваў, што ён уцёк да Саветаў. Палякі яго хацелі арыштаваць за камуністычную дзейнасць... Гэта цікавая рэч, што беларусы ў той час былі вельмі камуністычныя і на гэтым пагарэлі страшна. Гэты камунізм зглынуў усё.

Шырма, ён мне сказаў так: „Мы перад вайною не думалі, што будзе так кепска. Не думалі". Ён адчуваў (гэта быў 1957–58 год), што беларусаў, беларускай нацыі не любяць. І мне потым гэта тлумачыў мой сваяк: „Прыйдзі да мяне, але толькі, калі маеш гаварыць па-беларуску, то лепей гавары па-польску".

Ларыса, Янка і Юрка Геніюшы

ВК: *У сваіх успамінах* Не жаль пражытага *вы згадваеце пра Юрку Геніюша, з якім былі звязаны ў літаратурным аб'яданні „Белавежа". Ці ведалі вы маці Юркі, Ларысу Антонаўну Геніюш?*

СЯ: Так, яна прежжала тут, сюды ў Беласток, да сына, да Юркі і была ў нас. Яна, як жанчына была вельмі эмацыйная. Тут ёй арганізавалі сустрэчы. Ездзіла па Беласточчыне. Яна мяне здзівіла тым, што вельмі, вельмі так эмацыйна ўсё успрымала. Я потым бываў у іх, у Зэльве. Гэта было вельмі даўно. Янка быў яшчэ жывы[9]. Ён быў лекарам. Ён часта ўстрымліваў Ларысу, што занадта нервуецца. Я чуў, калі ён казаў, каб не перажывала. Бо калі я быў у Зэльве, то былі яны абое і я. І там усё была такая гутарка, аб тым, што там нейкія людзі яе асочваюць, шпіёняць за яе домам. Наогул, настрой быў такі, што бяда! І яна згадвала, што хоча аднавіць яе чэхаславацкае грамадзянства, але пасольства Чэхаславаччыны адкручвалася ад таго, усё абяцала ёй, але нічога не рабіла ў тым напрамку. І яшчэ было

---

[7] „Ой, рэчанька, рэчанька, чаму ж ты ня поўная, Чаму ж ты ня поўнай з беражком ня роўная. Лю-лі лю-лі лю-лі з беражком ня роўная, Лю-лі лю-лі лю-лі з беражком ня роўная..."

[8] Янка Шутовіч (1904–1974) – беларускі літаратуразнавец, выдавец, грамадскі і культурны дзяч. З лютага 1941 да лістапада 1944 быў загадчыкам Беларускага музэя ў Вільні.

[9] Янка Геніюш (1902–1979) – беларускі доктар, бібліяфіл, палітык, муж паэткі Ларысы Антонаўны Геніюш.

такое, што калі я ў іх быў, адзін або два дні з начлегам, штораз прыходзіла нейкая суседка, і Ларыса казала, што гэта прыходзіць шпіёнка ад НКВД, каб падслухаць аб чым мы гаворым. Як суседка, цераз вуліцу, то прыходзіла не пытаючы.

А яе муж быў вельмі ўраўнаважаны, спакойны. Ну, можа спакойны – то пэўна не. Больш, больш маўклівы. І усё казаў, час ад часу: „А, аб гэтым ты магла бы не гаварыць". Сібір, лагер – там іх ганялі на вырубкі лесу. Уцёкі былі. Лавілі, растрэлівалі. Увогуле – жахі! Гэта быў лагер амаль што гітлераўскі. А іх сын, Юрка, народжаны яшчэ там, ў Празе, ён гадаваўся як бы сіратою[10]. Бо калі іх арыштавалі ў 48-м, хіба, годзе, то польская амбасада перакінула яго ў Польшчу, у Вроцлаў, здаецца, і там ён жыў. Я з ім напісаў некалькі спольных зборнікаў для аматарскага тэатру на Беласточчыне. П'есы. Я тады пісаў п'есы, бо лічыў, што гэтаму тэатральнаму руху, які быў тады папулярны, трэба даць новы рэпертуар. Бо тады яны ставілі савецкія творы. Але гэта было неяк штучна, надумана – прапаганда такая нахабная. А мы пісалі, памятаецца мне, п'есу *Люцынка-Інжынерыха*, або *Не пашанцавала злодзею*. Але з Юркам Геніюшам я тады напісаў хіба дзве п'есы дзецям, вучням – школьнаму тэатру.

ВК: *Той факт, што Павел Міклашэвіч з Крынак, выклікаў Ларысе Антонаўне цікавасць да Крынак?*

СЯ: Так, яна, калі была тут, у Крынкі прыезджала. І прыезджаў, таксама сын Юрка.

ВК: *А Міклашэвічы яшчэ жывуць у Крынках?*

СЯ: Нейкі сваяк яшчэ жыве. Але ён толькі чуў, што ў яго сваячка – пісьменніца…. Яна, Ларыса, шмат расказвала пра Міклашэвічаў, што яе дзед быў кемлівым чалавекам, які яшчэ да вайны накупіў шмат зямлі. Нешта каля 300 гектараў. Навакольныя мужыкі лічылі яго панам. Яму не магло паздаровіцца, бо як ішлі Саветы, то мужыкі абрабавалі Міклашэвічаў[11].

Жыве ўнук Ларысы. Пра якога яна ўспамінала часта ў вершах. Называла яго імем – Міхась. Ён цяпер у Беластоку – лекар-ветэрынар.

…А Юрка загінуў трагічна. Я памятаю, што меў слова над яго магілаю, і гэта слова было апублікавана ў ньюёркскай „Беларусі", за што меў прэтэнзіі Юркі Туронка, што я дапусціў тое, што надрукавалі, бо гэта не для паперы… Але Юрка Туронак – ціхі, ціхенькі чалавечак, бо ён баяўся перадусім за сябе, бо ён быў тады журналістам ў часопісе „Замежныя рынкі", ён там пісаў артыкулы, дзе якія ў Еўропе замежныя рынкі. Калі б стала вядома, што ён звязаны ці спачуваў Юрку Геніюшу, ці са мною… Бо Туронак напісаў паштоўку такую, што ён не хоча знаць і ведаць мяне. Я на гэта махнуў рукой, бо я ведаю, чаго ён баіцца.

---

[10] Юрка Геніюш – (1935–1985) – сын Ларысы і Янкі Геніюшаў, беларускі паэт, аўтар зборніку паэтычнае прозы „На пачатку было толькі слова".

[11] Ларыса Геніюш прысвяціла свайму дзеду П. Ф. Міклашэвічу верш *Гудзевічы* і немала згадвала ў сваіх нарысах *Крынкі* і *Дзед Павел* (гл. Л. Геніюш, *Выбраныя творы*, Мінск 2000).

ВК: *Вядома, што Ларыса Геніюш не мае рэабілітацыі з боку беларускага правасуддзя...*
СЯ: І не можа мець...
ВК: *Як вы лічыце, гэта характарызуе Ларысу Геніюш, ці гэта кажа пра правасуддзе?*
СЯ: Гэта характарызуе ўлады. Яна мне казала, якую ролю яна адыгрывала ў часы вайны. Яна была накшталт сакратаркі беларускага эміграннскага ўраду. Згадваўся міністр ці прэм'ер Грыб, яшчэ хтосьці[12]. Пасля вайны чэхаславацкія ўлады да яе нічога не мелі, бо ніякіх ваенных злачынстваў не дапусцілася. Яе арыштавалі толькі ў 1948 годзе і то арыштавалі яе савецкія ўлады, а не чэхаславацкія. І ў Мінску яе судзілі і асудзілі. Для ваеннага злачынства гэта нічога не значыла, але для таго, каб дыскрэдытаваць эміграцыю беларускую, якая ўцякала ў Нямеччыну, а потым ў Злучаныя Штаты Амерыкі. Яе выпусцілі з таго лагера ўжо, калі памёр Сталін, а можа нават ў часы гэтай хрушчоўскай адлігі[13]. Яе там, Ларысу Геніюш, у Зэльве той, савецкія ўлады асабліва не праследавалі. Выдала кніжку вершаў *Ад родных ніў* і *Невадам з Нёмана*. Калі думаць аб тым, як савецкія ўлады адносіліся, перашкаджалі ўехаць у Чэхаславаччыну – гэта сведчыць пра тэрарызм. Улада так не мусіць рабіць. Улада, каб мела падставы пасадзіць Ларысу Геніюш, то пасадзіла б. Але вось так надакучваць... Я гэта разумею. Бо сам перажываў падобныя перыяды, асабліва ад 1970 году, калі рабілі ўсё, каб я не мог мець работы, каб не меў за што жыць, каб дзеці былі бедныя. Жонка хварэла тады. Увогуле, ад 1970 году фактычна па сёнешні час мне было цяжка. І толькі знайшоўся адзін такі чалавек, мастак, Лёнік Тарасевіч, які вырашыў успамагаць мне. І, як я казаў ужо – найбольш мне дапамаглі палякі. Каб не палякі, мяне свае людзі убілі бы, задушылі бы, утапілі бы ў лыжцы вады. Палякі мне найбольш памаглі, такія як Віктар Варашыльскі, Ян Гушча, Яцэк Пура, Мысьліўскі[14]. Гэтыя людзі, якія маглі выдаваць кніжкі мае, і гэтыя кніжкі – тут каля сарака выданняў. І быў такі час у часы Шушкевіча, што савецкія выданні выдалі мне, добра выдалі, дзве аповесці. Дапамог у гэтым Брыль. Каб не Брыль, то Саветы зарэзалі б мяне тупым нажом. Але Брыль меў слова, голас меў. Ён выдаў тады тры кніжкі – зборнік выбраных апавяданняў пад загалоўкам *Сярэбранны яздок*. А пасля выйшла тоўстая кніжка мая *Самасей*. Затым – *Сцяна*. А калі я пачаў арганізоўваць гэты еўрапейскі цэнтр беларускай культуры[15], надумаўся выдаваць для Еўропы, бо Еўропа не падазравала аб існаванні Беларусі, нават ніхто ні чуў аб культуры такой. Мая канцэпцыя была такая, што пра беларускую

---

[12] Т а м а ш Г р ы б (1895–1938) – беларускі палітычны і культурны дзеяч. У 1934–1938 гг. працаваў у Празе загадчыкам Беларускага заграніччнага архіва.

[13] Ларысу Геніюш вызвалілі з заключэння ў 1956 г.

[14] В і к т а р В а р а ш ы л ь с к і (1927–1996) – польскі паэт, празаік, перакладчык; Я н Г у ш ч а (1917–1966) – польскі паэт празаік. перакладчык; В е с л а ў М ы с ь л і ў с к і (нарадж. 1932) – польскі пісьменнік.

[15] Гаворка ідзе пра таварыства Villa Sokrates.

культуру, асабліва пра беларускую літаратуру я стараўся публікаваць тэксты на еўрапейскіх мовах. А пра еўрапейскую культуру я намагаўся публікаваць на беларускай мове. Гэта значыць, што еўрапейцы, іншаземцы, як Арнольд Макмілін давалі мне тэксты пра еўрапейскую літаратуру на беларускай мове. А пра беларускую літаратуру на мовах Еўропы… пасля ўжо знайшліся вельмі добрыя людзі, як прафесар Будапештскага універсітэту Лайеш.

ВП: *Гэтыя ўсе людзі былі беларусістамі?*

СЯ: Так, гэта пасля аказалася, што ў Еўропе існуе жменька інтэлектуалістаў, якія цікавяцца беларускай культурай. Але трэ было іх знайсці. Напачатку я знайшоў толькі двух…

Брыль

ВК: *Мы зараз ўспомнілі, што вам дапамог выдаць кнігі на Беларусі Янка Брыль. Даваайце пагаворым зараз пра Янку Брыля. Ёсць шмат кніг з аўтографамі Янкі Брыля. Як даўно вы знаёмы з Іванам Антонавічам Брылём?*

СЯ: Маё знаёмства з Брылём, памятаю, адбылося недзе ў пачатку 60-х гадоў. Тады я быў у Мінску. Тады я ездзіў часта ў Мінск. Памятаю, што яшчэ тады жыў Максім Танк. Ён быў сакратаром, бадай, Саюзу пісьменнікаў. Быў Ніл Гілевіч. Паяўляўлся камсамольскі паэт Някляеў. Яго жартам называлі „камсамольцам". І тады мне запамяталася нешта такое, што ў Саюзе пісьменнікаў, што ў гэтым будынку, што і цяпер ёсць, гэтыя жанчыны-сакратаркі гаварылі ўслых па-беларуску. А калі мы адышліся некуды ў бок, яны ў момант пераключаліся на рускую мову. І тады Брыль гэта заўважыў і ў пэўны момант да гэтых жанчын кажа: „Што, стаміліся роднай мовай?" Яны так засароміліся! Але тады… у той час яшчэ жылі людзі… Я памятаю, што я быў у Вязынцы на купалаўскае свята. І там я меў гутарку з нейкай жанчынай… Я рускую мову разумею, але ў мяне няма навыку гаварыць па-руску… Я ў яе запытаўся нешта. І тады звярнуў на мяне ўвагу Максім Танк. Прыгледзіўся, што нейкі чалавек, а па адзенню і па модзе, было відаць, што гэта не „савет", бо „саветы" тады апраналіся вельмі кепска; то ён падыйшоў да мяне і запытаў „адкуль я". Я сказаў, што я з Беласточчыны, прыехаў у Вязынку, што гэта мяне цікавіла. Ён трохі здзівіўся. У пэўны момант ён сказаў, што ў Беластоку ён бываў, калі Беласток быў пад Савецкім Саюзам у 1939–40-м годзе. І што ён там мае знаёмых у Польшчы – пісьменнікаў, якія цікавяцца беларускай літаратурай. І сапраўды ў Польшчы тады, у Лодзі існавала выдавецтва, якое спецыялізавалася толькі ў беларускай літаратуры. І там галоўную ролю, у выдавецтве гэтым, адыгрываў Ян Гушча. Гэта быў такі высокі…. які так гучна гаварыў на беларускай мове. Дэманстратыўна, нават. І быў яшчэ Ігар Сікірыцкі, і яшчэ можа, хто… І ў той час арганізавалася беларуская філалогія ў Варшаўскім універсітэце. Яе арганізавала Яблонская.

Яна, вядома, не адчувала ніякіх перашкодаў. Смела гэта ўсё рабіла. І цяпер існуе гэтая філалогія. Але гэта не тое. Ёсць такі Алесь Барскі, але гэта чалавек, які не будзе ісці з боем за беларускую філалогію. Ён шчаслівы, што жыве ў Варшаве. Яму там добра, ён мае там нейкую пенсію. Але… Бачыце, справа заўсёды патрабуе аўтарытэту. Абы хто не можа за гэта ўзяцца, бо яго ніхто не паслухае. Патрэбны аўтарытэт…

ВК: *Вяртаючыся да постаці Янкі Брыля… У сваёй кнізе* Не жаль пражытага *вы называеце Янку Брыля „графам". Увогуле, якім быў Янка Брыль?*

СЯ: Ён, наколькі я яго ведаў, быў чалавекам вялікага гонару. Гэты быў чалавек, які не меў асаблівай адукацыі, але быў начытаны вельмі. І ўмеў думаць. Ён не пераносіў „савецкага чалавека". „Савецкі чалавек" – гэта жулік, хамула, гэта – п'яніца. Ён, я думаю, не вельмі добра адчуваў сабе ў гэтай савецкай рэчаіснасці. Але ён не меў іншага выйсця. Я быў на яго кватэры некалькі разоў. Яго жонка (таксама была такая моцная інтэлігентка) і дзеці… Сын ў пэўны момант запамятаўся і загаварыў па-руску, але Янка Брыль толькі на яго глянуў і той адразу пераключыўся на беларускую мову. Сыну было 15–16 гадоў… Я гэта вельмі разумеў, бо ў гэтым доме было бы немагчыма, каб хтосьці з нас загаварыў не на сваёй мове. Янка Брыль быў арыстакрат ад нараджэння, хоць народжаны, як селянін.

ВК: *Гэтыя людзі, якія былі старыя інтэлігенты. Наколькі яны былі ў той час шчырыя?*

СЯ: Я думаю, што яны да канца не маглі быць шчырымі. Калі гаворыць пра Танка, то мне ўспомніўся яго даўні верш: „Мы прыйдзем… твае песняры, не з торбай песень жабрачых, вернемся з далёкіх дарог, сядзем на новым парозе…" Я думаю, што Саветы ўступіўшы ў гэтую Заходнюю Беларусь у 1939-м годзе, яны, пэўна, спрабавалі зламаць усіх. Але Максім Танк тады быў замала знаны. А Чорны ці Купала пад „саветамі" адпачатку былі. Бо гэта Мінск, а не Вільня ці Гародня. Там жа круціўся, як мог Колас-Міцкевіч. Як яму ўдавалася?

Якляеў

ВК: *Постаць Уладзіміра Якляева, якая яна для вас – як чалавека і як літаратара?*

СЯ: Ён у мяне тут быў, у гэтым доме ў Крынках. Гэта было, хіба ў 1970-я гады. Я памятаю, як ён любіў хадзіць па маім агародзе, па гэтым садзе… Ён у Польшчы меў надзею, што створыць нешта накшталт Інстытута беларускай культуры – у Варшаве або ў Беластоку. Але, калі аказалася, што гэта ўтопія, то тады ён з'ехаў у Фінляндыю ці Швецыю.

Я меў уражанне такое, што Якляеў мог бы быць добрым дырэктарам Інстытута беларускай культуры ў Варшаве, і я, нават, акцэнтаваў гэта ў гутарках з палякамі. А, як аўтара, я яго асабліва не ведаў, і хіба, не цаніў. Ну, Якляеў… Ён мяне цікавіў перш за ўсё як дзеяч, як актывіст беларускай

нацыі, бо я разумею, што беларускай інтэлігенцыі трэба памагаць усяляк. Бо без інтэлігенцыі мы не вылезем, мы загінем. Бо гэты вясковы народ – ён сам сябе загубіць зза кавалка хлеба. І маё знаёмства з Някляевым было такое даволі эпізоднае.

ВП: *Мы ведаем Някляева, як паэта-песенніка…*

СЯ: Ведаеш, я слухаю гэта ўважліва, бо гэта, што я чую – вельмі важна, бо гэта сведчыць аб тым, як мы тут жывем у адарванасці ад Беларусі і гэтая адарванасць, я бачу, паглыбляецца. Бо беларуская дзяржава не патрабуе нас, мы для беларускай дзяржавы – непатрэбшчына. Рэспубліцы Беларусь беларусы на Беласточчыне ёсць лішнім цяжарам. І калі ў нас тут выходзяць часопісы, беларускія кніжкі, ў школах вучаць. Калі, нават, школы ратуюцца – уводзяць прадмет „беларуская мова", і тады гэта школа робіцца нацыянальна меншаснай і яе нельга ліквідаваць. Яна робіцца недатыкальнай. Гэта толькі дзякуючы ўладам тут, а не Лукашэнку.

ВК: *Наколькі вы ведаеце, як ацэньваюць дзеячы беларускай эміграцыі, становішча на Беларусі? Як вы атрымліваеце гэтую інфармацыю ад першых асобаў, з першых вуснаў?*

СЯ: Адносіны беларускіх дзеячаў у Еўропе, таксама як да Савецкага Саюза ёсць такое самае. Гэта значыць – негатыўнае. Яны лічаць, што я марную грошы. Яны лічаць, што польскі ўрад дае мне штогод 25 тысяч злотых на выдаванне „Annus Albaruthenicus", бо польскаму ўраду залежыць на тым, каб паказаць, што Польшча цікавіцца беларускай культурай. Польшча цікавіцца! Бо Лукашэнка ўсё робіць, каб паказаць, што не цікавіцца беларускай культурай! Яму беларуская культура непатрэбная, а нам чамусці патрэбная. Палякі штогод фінансуюць 26 беларускіх арганізацый у Польшчы. І выдаткоўваюць на гэтыя арганізацыі некалькі мільёнаў злотых.

Дыяспара… Я асабліва не цікавіўся. Мне нават не залежыла на кантактах з беларускімі дзеячамі там, недзе ў свеце. Бо я ведаў, па-першае, што іх вельмі мала – гэта лічаныя адзінкі: ў ЗША ёсць, я там некалькі разоў быў, у той Амерыцы. Але гэтыя дзеячы, якіх я ведаў, каля Нью Йорка ці Чыкага ці Дэтройта, гэта дзеячы, якія хворыя комплексам, гэтыя дзеячы баяцца, што ў часы акупацыі былі нейкімі калабарантамі. Яны ўсе хворыя на комплекс, што каля іх круццяца савецкія шпіёны, савецкая агентура, што кагосьці хочуць выкрасці, вывесці да саветаў і там зарэзаць тупым нажом… Я меў кантакт не з дыяспарай. Гэтая дыяспара мяне нудзіла. Па-першае, яна слабая інтэлектуальна. У Нью Йорку мне найбольш падабаліся Данчык і яго маці[16]. Бо гэта былі больш-менш нармальна адукаваныя людзі. А рэшта – перапалоханыя гэтым Савецкім Саюзам, гэтай савецкай агентурай,

[16] Гаворка ідзе пра Багдана Андрусішына (мян. Данчык) (нар. 1958) – беларускага спевака і журналіста ў ЗША і Чэхіі, супрацоўніка Беларускай службы Радыё „Свабода" у Празе і яго маці Юлію Андрусішыну – унучатую пляменніцу братоў Антона і Івана Луцкевічаў, якая жыве ў Нью Йорку.

гэтым шпіянажам. Усё гэта можа і так, але яны там выдаюць такія газэткі! Як „Беларус", але гэта вельмі слабенькія: там няма што чытаць – такія сельскія газеткі. Ну Кіпель – гэта інтэлегентны чалавек[17]. Там яшчэ Запруднік[18]. Але такіх Кіпеляў там некалькі чалавек. А мяне цікавіла тое, што ёсць напраўду важнае – гэта кантакт з еўрапейскімі інтэлектуалістамі, тыпу як Макмілін, тыпу як той немец, які пісаў да мяне пісьма, то такой культуры беларускай моваю, як ніхто!

Пазняк

ВК: *Зірнем на постаць Зянона Пазняка. У вас кнігі яго. У яго ёсць эпіграма на вас. Вы добра знаёмы з Пазняком?*
СЯ: Хм (усміхаецца) Ён тут у мяне адзін раз толькі быў.
ВК: *Які Пазняк не на трыбуне?*
СЯ: Ён пэўна добры фатограф, але як дзеяч то ён нічога не дасягне, бо дзеяч – гэта асобны тып чалавека. Дзеяч – гэта такі чалавек, за якімі ідзе вулічны натоўп. Ідзе так званы народ. Бо Пазняк добры спецыяліст, але не палітык. Калі б ён быў палітыкам, бо палітык гэта зусім іншая асоба. Ён за разумны на палітыка, бо палітык дзейнічае зусім іншымі паняццямі. Палітык уздзейнічае перадусім на эмоцыі. Калі глянуць, што робяць ва ўсім свеце палітыкі! А Пазняк – інтэлігент, сапраўдны інтэлігент. І ён занадта лагічны для палітыка, бо ў палітыцы не абавязвае логіка. Гэта, як глянуць, што робіцца ў свеце палітыкі! У Пазняка не было дасведчанасці ў палітыцы. ...Ён адыграў велізарную ролю, бо ён даў, або стварыў паняцце Адраджэння. Гэта ён! Быў яшчэ такі Голубеў Валянцін, і яшчэ была такая Валя Трыгубовіч[19]. Памятаю, як Валя вадзіла мяне ў нейкія завулкі. Адбываўся канспіратыўны сход апазіцыі. І я ёй тады тлумачыў, што калі апазіцыйная канспірацыя добрая, але толькі на пачатку. Бо калі канспірацыя будзе цягнуцца доўга, то нічога з гэтай апазіцыі не будзе. Яе проста органы бяспекі разгромяць. Век апазіцыі не больш як два-тры гады. Бо як цягнецца даўжэй, то гэта толькі на руку рэжыму, які будзе гаварыць: „О, у нас апазіцыя ёсць!" Але гэта апазіцыя гаўнаватая.
ВК: *Зянон Пазняк, як літаратар існуе?*
СЯ: Паводле мяне ён існуе як мысліцель, як думальнік, а не як літаратар. Бо літаратар – я не памятаю яго асаблівыя тэксты. Але як мысліцель, то так. Усе іншыя, хто былі вакол яго, як кажуць, да пятак не дарастаюць. Ён

[17] Гаврка ідзе пра Вітаўта Кіпеля (нар. 1927) – беларуска-амерыканскага грамадзкага дзеяча і публіцыста ў ЗША.
[18] Янка Запруднік (нар. 1926) – беларускі грамадска-палітычны дзеяч, гісторык, палітолаг ў ЗША.
[19] Валянцін Голубеў (нар. 1956) – беларускі гісторы і палітык. Валянціна Трыгубовіч (нар. 1947) – беларускі мастацтвазнаўца, даследчыца творчасці мастакоў беларускай дыяспары ЗША і Канады.

умеў думаць, але умець думаць, гэта яшчэ не палітык. Бо палітык, калі ты пачынаешь валодаць масамі, вуліцай, натоўпам. Бо палітыка, гэта натоўп. Калі няма за табою натоўпу – няма палітыкі. Гэта ж трэба глянуць, як адбываліся рэвалюцыі, ну хаця б тая бальшавіцкая. Гэта ж быў бунт натоўпу!

Купала і Колас

ВК: *Вы маеце твор* Самасей. *А хто вашы настаўнікі па жыццю? І якое месца сярод гэтага займае творчасць Купалы і Коласа?*
СЯ: Гэтае слова „самасей" створанае мною і толькі мною. Самасей вынікала з таго, што калі я пачынаў думаць пра свой лёс, то я ў пэўны момант зразумеў, што ніхто мне не дапамог. Пасля, калі я пачаў нешта значыць, памочнікі знаходзіліся, але спачатку я – самасей. Можа я ўзяў гэта слова са слоўніка маёй вуліцы. Бо на маёй вуліцы ў Крынках былі нешлюбныя дзеці. І іх часам называлі: „Ну ты куды пайшоў, ты, самасей". Хто яго бацька ці маці, пэўна здагадваліся, але то былі самасеі. Мая роля ці маё фармаванне ў літаратуры адбывалася дзіўна. Я хацеў быць электраманцёрам, я стаў ім. Я хацеў быць баксёрам – я амаль стаў: да першага накаута (усміхаецца). Я хацеў быць лётчыкам, у Беластоку быў такі самалёт – „кукурузнік" і я раз толькі выляцеў. З інструктарам. Федзюкевіч называўся. Самалёт упаў на кусты. Страху было многа, але мы не разбіліся. А потым я вырашыў, што буду радыётэлеграфістам ваенным і стукаў гэтай Морзэ... І канчаючы школу задумаў я стаць афіцэрам і пайшоў я ў камендатуру ў Беластоку, на прыёмную гутарку. А я быў заіклівы. Яны слухалі-слухалі і кажуць: „Не, не можаце быць афіцэрам, бо пакуль вы аддасце каманду, то вайна скончыцца". І смяюцца. А мне было найцяжэй вымаўляць словы на гукі „К", „Г", „Т".

Закончыў я тэхнікум. Выслалі мяне пад украінскую мяжу. Там я сутыкнуўся з украінскім рухам, у той час ужо. Там была такая дачка адной гаспадыні, яна мяне завяла ў іншы пакой і паказала вялізны партрэт Багдана Хмяльніцкага. І сказала мне: „А чаго ты сюды прыехаў? Павертайся до сэбэ назад". Я вярнуўся. За апошнія грошу купіў білет на Беласток. Ехаў уноч.

...Колас быў эпік. Я яго чытаў кніжкі. Напрыклад, *У палескай глушы*. А Купала ўздзейнічаў на маю эмацыянальнасць. Купала быў прарокам. А Колас быў добры дзядзька, які цікава пісаў аповесці і ... ўсё. Бо Колас не меў за сабою легенды мучэніка. А Купала – меў.

Караткевіч

ВК: *Нельга не закрануць постаць Уладзіміра Сямёнавіча Караткевіча. Вы былі з нім знаёмы?*

СЯ: Быў, але з ім меў знаёмствы бадай толькі два разы. Першы раз я з ім пазнаёміўся ў кватэры Адама Мальдзіса. Там былі імяніны. А другі раз калі мы ехалі на паўночныя азёры. З яго жанчынай Валяй, інтэлігенткай такой!

Я думаю, што яго можна раўняць, як у польскай літаратуры з Генрыкам Сянкевічам. Бо Сянкевіч напісаў фантазіі. Бо так напраўду ў гісторыі не было. Але Сянкевіч стварыў палякам пачуццё гісторыі. І тое самае Караткевіч даў нам пачуццё гісторыі: ці гэта будзе тэкст *Каласы пад сярпом тваім*… Караткевіч даў беларусам тое, чаго не даў ніхто іншы. Ані Чорны – навэліст, натураліст. Ані яшчэ быў такі пісьменнік…

ВК: *Вы мелі з Караткевічам перапіску?*

СЯ: Магчыма я і напісаў нейкае пісьмо, але ён не адрэагаваў.

Барадулін

ВК: *Мы не згадалі імя Рыгора Барадуліна. Наколькі гэты паэт можа разглядацца, як магчымы класік? Ці гэта не такая постаць, як Купала і Колас?*

СЯ: Ён добры аўтар, але… толькі добры. А які ён пакіне след у сваім часе, то гэта зусім іншая тэма. Я, як гісторык літаратуры ведаю, што былі аўтары, якіх пры жыцці на руках насілі. А цяпер аб іх ведаюць толькі спецыялісты. Гэта час, безлітасны час. Я згадваў, што ёсць аўтары, што шмат пішуць, і аб іх я ведаю, што следу аб іх не застанецца. А ёсць аўтары, аб якіх можна думаць, што будзе. Я ў польскай літаратуры ведаў цэлы шэраг аўтараў, а цяпер аб іх ніхто не ведае. І наадварот.

ВК: *Каго варта прачытаць зпасляваенных польскіх аўтараў?*

СЯ: Лем, ну так, Лем. З тыповых літаратараў, напэўна застануцца ў польскай літаратуры Юліан Тувім, Канстанцін Галчынскі. З маладзейшых – сялянская літаратура. Найбольш вядомы – у перспектыве часу – Веслаў Мысьліўскі. Нядаўна памёр Генрых Бэрэза[20]. І быў яшчэ мой перакладчык – Ян Чопік[21].

Культура і інтэлігенцыя

ВК: *Вы таксама, як Васіль Быкаў бачыце, што з нашай культурай абсалютная невыкрутка і перспектывы няма?*

СЯ: Я чамусьці згодзен з Васілём Быкавым. Але я маю такія агаворкі: культура, як такая – есць несмяротная. Нацыя можа загінуць, але не культура. Даволі глянуць на гісторыю Еўропы – рымляне зніклі, егіпцяне зніклі, але лацінская і егіпецкая культура ёсць. Культура – перадусім цывілізацыя. Бо што такое цывілізацыя? Еўропа падзяляецца на тры

[20] Генрых Бэрэза (1926–2012) – польскі літаратурны крытык, эсэіст, рэдактар штомесячніка „Twórczość".

[21] Ян Чопік-Лежахоўскі (1938–1977) – польскі паэт і празаік.

цывілізацыі: Цывілізацыя горада – гэта Англія, Нямеччына, Нідэрланы, Італія, Францыя. Але ў гэтай цывілізацыі горада яшчэ ёсць тое, што ці ангельская. ці нямецкая не толькі цывілізацыя горада, але цывілізацыя палацаў. А цывілізацыя толькі горада – Чэхія, Бельгія. Бо чэхі ўзніклі як нацыя мяшчанская, гарадская, і толькі з горада расплывалася гэта чэская нацыя на правінцыі. У Празе ў палове 19 ст. выдавалася каля 70 чэскамоўных часопісаў! І усе яны знаходзілі пакупніка!

І цывілізацыя – сялянская. Сялянскія нацыі – фіны, украінцы, прыбалты, беларусы. Але справа ў тым, што мы сталі калоніяй. Гэта вельмі важна, бо паланізацыія Беларусі адбывалася напрыканцы 16 ст. Палякі сталі панамі нашага лёсу. А потым іх замянілі маскалі. Але эфект той жа самы, толькі іншамоўны. Скажам, Балканы, там – цікавая сітуацыя з грэкамі, бо грэкі – гэта Візантыя, асобны свет. Але былі гэтыя няшчасныя славяне – сербы, славакі, балгары. І цікава, што ўсё залежала ад ступені цывілізацыйнага развіцця. Я ўчора глядзеў спектакль з Варшавы і падумаў, з Варшаваю ёсць так: Польшча – гэта Варшава і ваколіцы. А Беларусь, Украіна для палякаў – гэта правінцыя, у якой невядома, ці ўмеюць чытаць і пісаць. Палякі існуюць у канфрантацыі з Расіяй, для палякаў Расія – гэта Масква і Пецербург. А па-за гэтым няма людзей.

ВК: *Вы сустракалі ў жыцці інтэлігентных людзей. Якія гэта інтэлігентныя людзі?*

СЯ: Я ў Еўропе адкрыў, што паняцце інтэлігенцыі, то гэта паняцце, якое выйшла ад нас, а не ад Францыі. Можна сказаць так – паняцце інтэлігенцыі створана рускімі. Я сустракаў шмат інтэлігентных людзей. Але як іх адрозніць? Вельмі проста – пачуццё місіі! Любоў да кніжкі! Хто любіць чытаць, чытаць добрую літаратуру! У рускіх гэта – Дастаеўскі, перадусім – Чэхаў. Любіць культуру можна, калі любіш чытаць, калі любіш кніжку. Калі табе кніжка непатрэбны цяжар, то ты ніколі не будзеш інтэлігентам. Як гэта сталася, што варварства ліквідавала хрысціянства? Бо храсціянства навучыла чытаць і пісаць. Бо гаварыць пра тое, што ўжо у рымскі час рымляне ўмелі чытаць і пісаць, і другой правінцыяй была Палесціна, а далей, большасць не умелі чытаць і пісаць, але не жыды. Жыды ўсе ўмелі чытаць і пісаць, ад малога.

Рознае

ВК: *Раскажыце пра вашы сустрэчы.*

СЯ: Я сустрэч меў многа. Сустрэчы ў Польшчы – у Варшаве, у Кракаве, у Гданьску, у Лодзі, у Познані, у Шчэціне… Мяне ўспрымалі як чалавека, які стварыў нейкую такую ілюзію. Я ў некаторых універсітэтах у Польшчы меў выклады. У Любліне мяне разумеў найлепей Рышард Радзік, бо ён трохі разумеў гэтую ўсходнюю псіхалогію. А ў Еўропе, як меў выклады ў Швецыі ці ў Англіі, то аб гэтым не заіківаўся, бо слухачы, калі пра гэта казаў, толькі пазяхалі. І часам падумаецца, Божа мой! У якім дурным свеце я жыў! Гэта ж

псіхапаты! Гэта ж ненармальныя людзі! Цікава, што як усё памалу змяняецца! Бо пакуль будуць гэтыя „савецкія” людзі, то будзе ўсё так, як ёсць. Гэта справа ў тым, як я часам падумаю: будучыня Беларусі – ў могілках. Трэба чакаць, пакуль гэтыя людзі, якія плачуць… Імперыі распадаюцца даволі хутка, але памяць пра іх доўгая. Доўга жыве!

Юрка Ляшчынскі
БЕЛАСТОК

У Беларусі не народ стварае дзяржаву, а дзяржава народ

17 лютага 2014 г. мінула першая гадавіна смерці Сакрата Яновіча. Вашай увазе прапануецца інтэрв'ю, якое Сакрат Яновіч даў Юрку Ляшчынскаму для беларускай радыёперадачы Польсага Радыё Беласток „Пад знакам Пагоні" 29 кастрычніка 1991 года.

Юрка Ляшчынскі: *Калі гаворым пра асобу Сакрата Яновіча – тады асацыюецца ён з беларускай палітыкай ці ўсё-такі з літаратурай?*
Сакрат Яновіч: Я думаю, што я літаратар. Я хачу быць літаратарам, я ім ёсць і цвёрда пастанавіў, што ім буду. Палітыка – гэта мая прыгода. Палітыка – гэта нешта такое, што ўварвалася ў маё жыццё недзе, скажам, 10 гадоў таму назад, мо і раней трохі, і я стаўся прымушаны займацца палітыкай, прымусілі акалічнасці. Я скажу так, бо не было каму лепшаму за мяне займацца палітыкай. Таму я стаўся палітыкам. Але ў мяне таленту палітыка няма. А я дастаткова стары, каб ведаць, што ў мяне ёсць талент літаратара, талент пісьменніка не бывае. Заўсёды адзін.
ЮЛ: *Таму давайце тады пагутарым пра літаратуру. Прыгода з літаратурай пачалася ў Вас з юнацкіх гадоў.*
СЯ: Наколькі памятаю, сапраўды, пачаткі былі ў канцы дзяцінства ці юначасці, пад канец пачатковай школы, калі хадзіў у 6 ці 7 клас. Тады пачаў пісаць вершы, бо так заўсёды бывае напачатку, што ўсе пішуць вершы, хто думае займацца літаратурай. А пасля толькі адны перастаюць пісаць, другія пішуць надалей. Трэба было напісаць тут для нашага палітычнага руху, ну нейкі гімн. І сталася так, як не раз у маім жыцці бывае, што выконваю тое, чаго не хачу, а што ёсць патрэбнае. З маёй палітычнай дзейнасцю так сталася з гэтым гімнам. Я такі гімн напісаў пад загалоўкам *Беластоцкая прысяга*.

Не просім ласкі ані змілавання,
Самі мы возьмем лёс нам належны,

Будзем народам, бо айчыну маем,
На век беларускім свету незалежным.

На памяць продкаў усе даем прысягу,
Не гнуць каленяў ў часы трывогі,
Доля нам не пані, за нашу знявагу,
Ганьба і пагарда, хай ратуюць Богі.

Крыўдзе не дамося, прэч адгонім ліха,
Пойдзем мы шляхамі, да жыцця і славы,
Разам і наперад, хто сядзіць там ціха...
Наш штандар высока і трубяць фанфары.

Не просім ласкі ані змілавання,
Самі мы возьмем лёс нам належны,
Будзем народам, бо айчыну маем,
На век беларускім свету незалежным.

Во такі гімн напісаў я на зломе васьмідзесятых і дзевяностых гадоў. Калі мы ўсе ішлі ў палітыку. Стваралі сваю партыю БДА, ці ішлі ў выбары.
ЮЛ: *А літаратура? Яна заўсёды была з Вамі?*
СЯ: Я пачаў існаваць у літаратуры недзе ў пачатку 60-ых гадоў, калі з'явіліся мае тэксты, мае творы, якіх я і сёння, калі часам чытаю, не саромлюся. Гэта па прычыне, што яны добрыя на маё адчуванне, на мой густ, вядома.
А ўсё папярэдняе, што я напісаў у пяцідзесятыя гады, – гэта зялёныя былі рэчы, вельмі зялёныя, няспелыя, што, зрэшты, не дзіва, бо я тады меў 20 пару гадоў, а што чалавек можа ведаць і разумець у 20 пару гадоў. Ну, вельмі мала. Літаратуры ёсць патрэбнае жыццё. Дасведчанне. Трэба трохі пажыць на свеце, бо кніжкі трэба чытаць, але ад самога чытання кніжак чалавек яшчэ не здабывае той разумнасці, якая патрэбная ў літаратуры. Пісаць творы – то трэба мець ужо нейкае такое глыбейшае, я б сказаў, разуменне жыцця чалавека.
ЮЛ: *Маеце за сабою некалькі дзесяткаў творчых гадоў, але многім чытачам, а і мне таксама, найбольш вядомыя Вашыя мініяцюры. Не апавяданні ці драмы.*
СЯ: Таму відаць, што яны мне найлепш удаюцца і што ў мініяцюрах спраўдзіўся найлепш мой літаратурны талент. Я і сам ад нейкага часу ўсведамляю сабе, што калі што-небудзь застанецца з маёй творчасці, калі што-небудзь перажыве самога мяне – то гэта мініяцюры. Хоць на пачатку гэтых 20 гадоў ці 20 пару, то ён не мае і не можа мець аж так яскравай свядомасці, у чым ён менавіта найлепшы. Таму напачатку трэба спрабаваць сіл у розных гатунках літаратурнай творчасці. Я таксама гэта рабіў. Напісаў некалькі аповесцяў, два раманы, шэраг драматычных твораў, але час паказаў, што я павінен пісаць перад усім мініяцюры. Большую, як то кажуць, палову жыцця маю ўжо за сабою. Ужо мне трэба жыць ашчадна, трэба лічыць свае сілы, якіх засталося не так многа. І таму мне трэба канцэнтравацца на гэтым адным.
ЮЛ: *Часта ў Вашых творах праяўляеца матыў Крынак, малой бацькаўшчыны.*

СЯ: Крынкі – гэта мая родная мясціна. Мая малая айчына. У Крынках я пазнаў свет. У Крынках я пазнаў смак хлеба і смак вады, смак матчынай ласкі, смак бацькоўскай апекі, смак сяброўства, навукі, кніжак...Усё пачыналася ў Крынках. У Беластоку я толькі жыву. У Беластоку я знайшоўся толькі таму, што ў Крынках не было для мяне хлеба. І нічога па-за гэтым.
З кожным пісьменнікам так ёсць, што піша пра сваю родную ваколіцу. Адам Міцкевіч пісаў пра Наваградчыну, бо ён ад Наваградка. Таксама Аляксандр Пушкін пісаў пра Санкт-Пецярбург і Пскоўшчыну,бо ён адтуль. І ў кожнага аўтара ёсць гэта малая айчына. Я з Крынак узяўся і ў Крынкі ўсё жыццё сваё вяртаюся. Хоць цераз, скажам, амаль паўвеку, калі я знаходжуся ў Крынках, а ў Крынках знаходжуся часта, я ў іх зноў пачынаю жыць так напалову, то Крынкі мне ўжо робяцца чужымі. Яны ўжо апалячаныя мноства. Ужо змяніўся дух. Я ўжо там пачынаю быць чужы чалавек. Прыходзіць ужо новае пакаленне, якое не ёсць беларускае. Я ўжо з ім не маю паразумення, не маю кантакту, я ўжо ім як бы чужаземец. І гэта ёсць мая драма, але не толькі мая. Гэта ёсць драма цэлага майго пакалення беларусаў, якія робяцца такімі чужынцамі ў сваім доме.
ЮЛ: *Пару гадоў таму напісалі Вы славутую скаргу на гіторыю «Элегія беларуская». Ці сёння [канец 1991 года – ред.] пагаджаецеся з напісаным тады?*
СЯ: І так, і не. Гэта значыць, што мы, беларусы, так адрозніваемся ад народаў іншых, што ў нас не народ стварае дзяржаву, а дзяржава стварае народ. У нашым выпадку гэта Рэспубліка Беларусь, ці яна хоча таго, ці не хоча – створыць і стварае беларускую нацыю. А не наадварот, як у палякаў ці літоўцаў, дзе народ выходзіць на вуліцы тысячамі і мільёнамі і стварае сваю дзяржаву. Сваю незалежнасць. У Беларусі сотні тысяч, мільёны не выходзілі і не выйдуць на вуліцы, каб адбудаваць Беларускую Незалежнасць. Беларуская Незалежнасць нам як бы лёсам пасланая, як бы гісторыяй пасланая, як бы гэта была расплата гісторыі перад намі. Гэтай вяльможнай пані, якая дае нарэшце справядлівасць нашаму народу за гэтыя вякі паніжэння, праследаванняў, зніштажэння, знішчэння, бо ж мы, беларусы, знішчаныя гісторыяй, і як бы ў гісторыі абудзілася сумленне. Быццам яна падумала, што за ўсе гэтыя пакуты, за ўсе гэтыя вякі цэлыя гэтых смерцяў, пажараў, спусташэнняў дае нам сёння шчасце мець сваю дзяржаву, сваю незалежнасць, дае нам шчасце быць народам. Бо мы будзем народам ад гэтага моманту, калі Рэспубліка Беларусь стала незалежнай, то мы ўжо будзем народам, мы ўжо нікуды не падзенемся. Я нават і скажу больш. Калі б мы нават і не хацелі быць народам, калі б мы нават плакалі, што не хочам быць народам, што не хочам быць беларусамі, то мы ўжо і так імі будзем, бо ёсць беларуская дзяржава. Нарэшце!

Ганна Запартыка
МІНСК

„Каб не шукалі свайго ў чужых"
(Па лістах архіўнага фонду Сакрата Яновіча)

Імя Сакрата Яновіча ў гісторыі Беларускага дзяржаўнага архіва- -музея літаратуры і мастацтва (БДАМЛМ) згадваецца ад пачатку 1980-х гадоў. Першае знаёмства адбылося завочна. Магчыма, Сакрат Яновіч звярнуўся спачатку ў Саюз пісьменнікаў БССР з прапановай перадаць у Беларусь сваю архіўную спадчыну, бо ў картцы фондаўтваральніка застаўся такі запіс: „Па рэкамендацыі Саюза пісьменнікаў БССР пісьменнік пераслаў дакументы ў адрас архіва". Адбылося гэта на самым пачатку 1981 года, а 28 лютага таго ж года ён напісаў у архіў-музей ліст:

> Спадзяюся, што ўсё, пасланае мною ў адрас Вашага архіва, Вы атрымалі акуратна. [...] Беларускіх пісьменнікаў членаў Саюза польскіх пісьменнікаў зараз налічваецца чатырох. Творчасць іх ужо займае трывалае месца ў культуры, і таму, так я лічу, быў бы сэнс усіх іх ахапіць Вашай архіўнай апекаю. Беларуская рэспубліка з'яўляецца тым цэнтрам, да якога натуральным чынам імкнецца і будзе імкнуцца ўся сусветная беларусеча, не толькі з Еўропы[1].

Больш дзесяці гадоў (далей былі паступленні ў 1985, 1987, 1989, 1990, 1991, 1993, 1994 гг.) збіраліся матэрыялы для першага вопісу архіўнага фонду Сакрата Яновіча. Справа выглядала так: дакументы пісьменнік дасылаў поштай, прывозіў сам пад час творчых вандровак у Беларусь, перадаваў праз знаёмых. У 1995 г. архіўны фонд прайшоў навуковую апрацоўку, што дало магчымасць сфарміраваць 493 справы, якія ахапілі перыяд з 1944 г. да 1994 г. і змясцілі 3276 дакументаў. Першы вопіс фонду мае сем раздзелаў: Рукапісы твораў; Пераклады твораў Сакрата Яновіча; Перапіска; Біяграфічныя матэрыялы; Матэрыялы пра пісьменніка; Матэрыялы, сабраныя С. Яновічам; Выяўленчыя матэрыялы. У дакументах кожнага з гэтых

[1] БДАМЛМ, справа фонду № 294, л. 1.

раздзелаў асвятляецца жыццё і дзейнасць фондаўтваральніка, выяўляецца кола яго інтарэсаў, службовыя, сваяцкія, сяброўскія сувязі.

Самае вялікае паступленне дакументаў С. Яновіча ў БДАМЛМ адбылося ў ліпені 2007 г. у дні правядзення „Беларускага трыялёгу". Гэта была мая першая вандроўка ў Крынкі, якая захавала ў памяці цеплыню сустрэчы і сардэчнасць гаспадароў дома Яновічаў. Архіў быў такі вялікі, што за дапамогай аб яго дастаўцы ў Беларусь давялося звяртацца ў Генеральнае консульства Рэспублікі Беларусь у Беластоку. Пасля некаторую колькасць дакументаў, а таксама штомесячнік „Czasopis", гадавік „Annus Albaruthenicus" С. Яновіч дасылаў поштай. У канцы ліпеня 2009 года адбылася яшчэ адна мая паездка ў Крынкі, дзе я прыняла ўдзел у „Беларускім трыялёгу" з дакладам *Асабісты архіў Сакрата Яновіча і яго роля ў ацэнках літаратурна-грамадскага жыцця Беласточчыны*[2]. З той вандроўкі прывезла 875 здымкаў. Гэта быў апошні падарунак Сакрата Яновіча архіву-музею і мая з ім апошняя сустрэча.

Навуковая апрацоўка названай часткі архіўнага фонду С. Яновіча была завершана ў 2010 годзе. Яго вопіс № 2 уключае 8512 дакументаў і мае 7 вялікіх раздзелаў, крыніцы якіх даюць падставы меркаваць аб шматграннай літаратурнай і грамадскай дзейнасці С. Яновіча ў другой палове 1990-х – 2009 гг. Рукапісы кніг, літаратуразнаўчых і публіцыстычных артыкулаў, выступленняў, інтэрв'ю, перакладаў і інш. з'яўляюцца адной з самых значных частак дадзенага збору і сведчаць аб тытанічнай працы аўтара.

Сваю гістарычную місію выконваюць дакументы, якія адлюстроўваюць дзейнасць літаратурнай старонкі газеты „Ніва" – „Белавежа", штомесячніка „Czasopis", беларускага літаратурнага аб'яднання Villa Sokrates, гадавіка „Annus Albaruthenicus" і актыўны ўдзел С. Яновіча ў іх стварэнні, арганізацыі працы, рэдагаванні матэрыялаў. Найбольш поўна прадстаўлены раздзел Villa Sokrates, а БДАМЛМ стаў адзіным сховішчам, якое набыло права валодання архівам гэтага ўнікальнага літаратурнага аб'яднання.

Шчырай праўдай пра сябе, пра свае жыццёвыя і грамадскія клопаты, сваіх паплечнікаў, а праз гэта – адлюстраваннем гісторыі цэлай эпохі, напоўнены дзённікі С. Яновіча. Першая частка дзённікаў, ад 04 лістапада 1951 да 08 чэрвеня 1990 г., прадстаўлена іх ксеракопіямі з дададзенымі да іх біяграфічнымі дакументамі і артыкуламі пра С. Яновіча (усяго 19 сшыткаў). З 06 лістапада 1990 і да 22 чэрвеня 2007 г. у архіў-музей паступілі арыгіналы сшыткаў (усяго 9). Адсутнічаюць запісы з сакавіка 1976 г. да снежня 1987 г. Іх, як і арыгінальныя сшыткі вышэйназванага перыяду, С. Яновіч перадаў на захоўванне ў Скарынаўскую бібліятэку ў Лондане.

Дзённікі я пачаў весці ад канца шасцідзесятых гадоў, калі зарыентаваўся, што гэта можа мець значэнне. На сёння ўсіх іх трыццаць тры сшыткі,

[2] Г. З а п а р т ы к а, *Асабісты архіў Сакрата Яновіча і яго роля ў ацэнках літаратурна-грамадскага жыцця Беласточчыны*, „Annus Albaruthenicus" 2010, t. 11, s. 157–168.

з якіх дваццаць дзевяць захоўваюцца за мяжою (у ваеннае становішча ў Польшчы пагражала майму архіву канфіскацыя тайнай паліцыяй)[3]

– падае гісторыю ўнікальнага рукапіснага дакумента сам аўтар ва ўступе да кнігі *Дзённікі* (1987–1995).

Актыўная дзейнасць С. Яновіча ў грамадскіх, палітычных, літаратурных справах вымагала вялікай перапіскі з дзеячамі Польшчы, Беларусі, многіх краін свету. Захавалася звыш васьмісот копій лістоў С. Яновіча і каля трох тысяч лістоў, напісаных С. Яновічу амаль пяцюстамі карэспандэнтамі.

Першая і самая галоўная задача, якую дапаможа вырашыць асабісты архіўны фонд Сакрата Яновіча, – гэта ўсебаковае вывучэнне яго шматграннага таленту, спасціжэнне яго творчай лабараторыі, асэнсаванне ідэйна-філасофскай пазіцыі. Адчыняюць фонд аўтографы аповесцяў *Трое*, *Сярэбраны яздок*, *Ён і іншыя*, *Скарбы ў Ятвяжскай пушчы*, *Самасей*, а таксама машынапісы з аўтарскімі і рэдактарскімі праўкамі, карэктуры зборнікаў, сшыткі, нататнікі, газетныя выразкі, якія ўтрымліваюць каля двухсот трыццаці арыгінальных твораў, напісаных з 1958 да 1993 г. Другую частку рукапіснай спадчыны складаюць творы ад пачатку 1990-х да 2007 г.: *Dolina pełna losu*, *Duch hetmanów*, *Bycie sobą*, *Запісы веку*, *Не жаль пражытага*, *Хатняе стагоддзе*, а таксама шматлікія апавяданні, эсэ, вершы, абедзьве версіі п'есы *Арышт*.

Прыкметнае месца ў творчасці Сакрата Яновіча займаюць пераклады. У архіве захаваліся пераклады твораў Артура Конан-Дойла з англійскай мовы, Івана Пташнікава, Янкі Брыля – з беларускай на польскую, апавяданняў Станіслава Вагуркі, Віктара Варашыльскага, Анджэя Мулярчыка, Тадэуша Ружэвіча – з польскай мовы на беларускую. У апошні перыяд пісьменнік актыўна перакладаў творы Сяргея Дубаўца, Уладзіміра Конана, Уладзіміра Арлова, Анатоля Сыса і іншых на польскую мову, многіх польскіх аўтараў на беларускую мову.

Уважлівае вывучэнне дакументаў фонду назаўсёды ўмацоўвае думку, што ў асобе Сакрата Яновіча беларусы мелі не толькі рэдкага таленту пісьменніка, але і самаахвярнага падзвіжніка беларускай нацыянальнай ідэі. Праблеме беларускай мовы і беларускай асветы Сакрат Яновіч прысвяціў ці не большую палову публіцыстыкі. Боль за родную мову, за яе лёс праходзіць праз усю яго творчасць. Ён ніколі не быў пасіўным фіксатарам думак, заўсёды меў адвагу да канкрэтных дзеянняў. У далёкім 1983 г. С. Яновіч напісаў у рэдакцыю газеты „Літаратура і мастацтва" ліст, дзе паміж многімі, цалкам аб'ектыўнымі, заўвагамі ёсць і такія радкі:

І так, паважаныя Суродзічы, не трэба забывацца, што наш народ прачнуўся і хоча людзьмі звацца. Ён мае слаўную гісторыю, а чаму гэты народ,

[3] С. Яновіч, *Дзённікі* (1987–1995 гг., урыўкі), Беласток 1997, с. 9.

> ягоная мова і гісторыя лічыцца нечым непатрэбным, а мова мовай унтэрмэншаў. У Менску няма беларускіх школ! Ці гэта ленінская нацыянальная палітыка?
> Вы пішаце часта-густа пра дружбу народаў. Але дзе ж тая дружба, калі іншыя мову брата, хай сабе і малодшага, лічаць мовай унтэрмэншаў. У БССР ёсьць рускія тэатры, ёсьць для іх часапісы, але для беларусаў у родным краю амаль што няма, бо калі ёсьць дзе такі, дык абавязкова мусіць працаваць на рускай мове. Я не супроць рускага народу і іхняй культуры, але такія адносіны да нас беларусаў вельмі крыўдзяць нас, хто пачуваецца роўнапраўным сябрам суседніх народаў[4].

Захавалася і яго палымяная прамова на XVIII сустрэчы беларусаў Паўночнай Амерыкі ў 1988 г.:

> Мова – гэта адзеньне духа, кажучы па-багушэвічаўску. Нас распраналі, каб мы голымі хадзілі. Каб за чужыя транты хапаліся. Дзікімі бегалі, ад роднага адбегшыся. Кінулі заставацца сабою, блуднымі сынамі пашвэндаліся... Нацыя парабкаў і фурманаў? Не!”[5].

Архіўны фонд С. Яновіча – сапраўдная скарбонка твораў і дакументаў літаратурнага аб’яднання „Белавежа”. Гэта і зразумела, бо ад самага пачатку пісьменнік прымаў актыўны ўдзел у яго заснаванні і далейшым развіцці.

Даследчыкам гісторыі Беларускага грамадска-культурнага таварыства ў Польшчы, у вялікай ступені, можа таксама залежыць ад архіўнага фонда С. Яновіча, дзейнасць якога была цесна звязана з гэтым таварыствам. У 1959–1962 гг. пісьменнік працаваў загадчыкам арганізацыйнага аддзела Галоўнага праўлення БГКТ, у 1988–1990 гг. быў сябрам прэзідыума таго ж праўлення. Гэтыя гады дзейнасці БГКТ і знайшлі адлюстраванне ў дакументах яго архіва.

Значная доля крыніц архіва Сакрата Яновіча прысвечана штомесячніку „Czasopis”. Становіцца зразумелым кантэкст падзей, звязаных з яго выданнем, арганізацыйнымі праблемамі рэдакцыйнага калектыву, выпрацоўкай праграмнай канцэпцыі. У дадатак гэтаму, у архіве актыўнага яго рэдактара і аўтара адклаліся карэктуры асобных нумароў, творы У. Арлова, У. Конана, А. Чобата і інш. з рэдактарскімі праўкамі С. Яновіча і ў яго перакладзе на польскую мову.

У кантэксце фонду асобную нішу займаюць дакументы беларускага літаратурнага аб’яднання Villa Sokrates. З вялікім жаданнем адшукаць выток ідэі яго стварэння, самы яе пачатак, гартаю дзённікавыя запісы С. Яновіча. Запіс ад 28 жніўня 1998 г.:

---

[4] БДАМЛМ, ф. 294, воп. 1, адз. зах. 162, л. 8.
[5] Тамсама, ф. 294, воп. 1, адз. зах. 82, л. 1.

Сёння – фэст у Востраве, на Зельну. Марны, бо і народу амаль няма ўжо. Прыехаў Юрка Хмялеўскі (астраўлянін ён). Хоча, каб „Czasopis" рабіць у маёй тут хаце (трохі як Гедройц у Maisons-Laffitte…). Калі ласка. Але мне ад гэтага не весела. Ці вытрывае ён у гэтым рашэнні? Малады, не ў стане прадбачыць арг. паслядоўнасцяў таго[6].

29 жніўня 1998 г. – наступны запіс:

Раздумваючы пра ўчарашнюю гутарку з Юркам – падумалася: а каб пачаць стварацъ фонд Villa Sokrates!? Міжнародны, з перспектывай на спонсара недзе ў Еўрапейскай уніі. У рамках успамажэння тоеснасці малых народаў Еўропы. – Пішу на гэты конт Юрку.
Не прапала б *villa Janovič* пасля маёй смерці"[7].

Ліст да Ю. Хмялеўскага быў напісаны ў гэты ж дзень:

Юрка, галіўшыся раніцай я перадумваў Твой учарашні візіт, гутаркі наконт размяшчэння рэдакцыі „Часопіса" у маім крынкаўскім доме. Гэта Твая ідэя. Як памятаеш, не новая, ужо ў мінулым годзе *т*ы нешта такое казаў быў мне. Яна штораз больш падабаецца для мяне.Пачынаючы бачыць сувязь з ёю майго даўняга клопату – што будзе з сядзібаю Сакрата Яновіча, калі паўміраюць ейныя насельнікі?! у сохнучых Крынках хто яе купіць? Нават за паўдарэмную цану… Тут ужо паявіліся пакінутыя хаты.
Дык вось: давай запачаткуем міжнародны фонд з беларусазнаўчым профілем, Villa Sokrates. Еўропа зразумее. Заснавальнікі: Яновічы, Хмялеўскія, Тарасевічы. Капітал на пачатку сімвалічны, па некалькі сот злоты ў год. Дзеля фармальнасці. Членаў-сяброў павінна быць мала. Не больш юрыдычнага мінімуму. Стаўка на спонсара з Еўрапейскай уніі. Праграмная падстава: спомненае беларусазнаўства, а канкрэтна – напрыклад – сімпазіёны зацікаўленых беларушчынай літаратараў і публіцыстаў малых народаў Еўропы, асабліва беларускай літаратурай як другой у Польшчы. Белавежаўскай.
Чакаю візіту нейкіх французаў. Затым італьянцаў (у лістападзе групы Г. Кардацца з Вэнэцыі). Немцы!
З мінулагодняга кракаўскага Трыялогу маю адрасы правансальцаў, брэтонцаў, карсіканцаў, баскаў… Там, у Кракаве, Villa Decius (быў такі ў іх асвечаны дзеяч, прозвішчам Дэц). Як чуў Ты ад мяне, час-часом нешта ладзіць тая Віла за грошы спонсараў з Нямеччыны, Францыі. Вядома, мы такіх, як яны, ўплываў мець не здолеем, але сякія-такія ўсё ж вырабім сабе. Праз пару гадоў.
У двухтысячным годзе бачу вачыма ўявы пяць-шэсць пісьменнікаў з нацыянал-меншаснай Еўропы ў нашай Віле, на тры-чатыры дні з тэмай:

[6] Тамсама, воп. 2, адз. зах. 53, л. 62.
[7] Тамсама, л. 63.

беларуская літаратура ў еўрапейскай сям'і. Фінансы: 10 тыс. даляраў. Спонсар…? Сакрат"[8].

Вельмі хутка аўтар ідэі заняўся падрыхтоўкай яе рэалізацыі. Цесна звязваў яе з пераездам у верасні 1998 г. у яго крынкаўскі дом рэдакцыі „Czasopisa".

Першыя абароты Villa Sokrates. Рэдакцыя „Czasopisa" абжываецца ў маім доме ў Крынках (Сакольская, 9). Сёння моцна напрацаваўся з Юркам, фінальна рыхтуючы лістападаўскі нумар[9]

– запісаў у дзённіку С. Яновіч 29 кастрычніка 1998 г. Наступны запіс да гісторыі Villa Sokrates сустракаем 2 студзеня 1999 г.:

Так сказаць: дзень „Czasopisa". Прыхільны водгук у сённяшняй „G. Wyb. – Gazeta w Białymstoku" (з падказкі Дамброўскага напісаў Халадоўскі). Гэтыя два хлопцы былі, сёння якраз, у мяне – бралі інтэрв'ю на заказ Міхніка, ад якога Халадоўскі перадаў мне канфідэнцыйную звестку наконт спамажэння, таксама фінансавага, будучай Villa Sokrates. Трэба брацца, значыць, за фармальную рэгістрацыю (погалас ужо пайшоў). Ужо час![10]

І ўжо запіс наступнага дня:

Цэлы божы дзень над праектамі дакументаў па рэгістрацыі Villa Sokrates. І над рыхтаваннем высылкі патрэбным людзям „Czasopisa" новага выгляду (№ 1/1999). Скураю адчуваю пералом у сваёй сітуацыі, час ісці ў свет[11].

18 сакавіка 1999 г. лаканічны запіс: „Добра, што Акруговы суд прызнаў Villa Sokrates, фіналізуе рэгістрацыю (да канца сакавіка)"[12]. І вось чаканае:

Villa Sokrates ужо ўзаконена (2. IV). Можна арганізоўваць фінансы. Скарбнікам – Лёнік. (…) Насвяткаваліся! Учора. Юрка і Лёнік – пераначаваўшы – сёння, усе мы трох, афармілі ў крынкаўскім банку conto Villa Sokrates. Нарэшце finite[13].

З гэтым „finite" пачыналася вялікая ўсепаглынальная праца, вынікі якой цяжка пераацаніць. Была вялікая радасць ад хутка ўвасобленай задумы. Дзённікавыя запісы адлюстравалі гэты светлы, „камфортны", у прадчуванні добрых вынікаў вартай справы, настрой яе аўтара.

---

8 Тамсама, адз. зах. 73, л. 8.
9 Тамсама, адз. зах. 53, л. 73.
10 Тамсама, л. 94
11 Тамсама.
12 Тамсама, л. 110.
13 Тамсама, л. 116. Запісы ад 07.04.1999 і 13.04. 1999 г.

Захаваліся і афіцыйныя дакументы да гісторыі ўзнікнення і станаўлення Villa Sokrates: статут, спіс устаноўцаў, дакументы аб рэгістрацыі. І да ўсяго – невычэрпнае багацце архіва Villa Sokrates: перапіска з дзеячамі літаратуры і мастацтва Еўропы і свету, у тым ліку Беларусі і Польшчы, дзяржаўнымі ўстановамі аб дзейнасці аб'яднання, аб падрыхтоўцы канферэнцыі „Беларускі трыялёг", аб выданні зборніка „Annus Albaruthenicus", усяго каля 2000 тыс. лістоў. Захаваліся і матэрыялы зборніка „Annus Albaruthenicus" ад 2000 да 2007 г.: старонкі карэктуры з праўкамі і заўвагамі С. Яновіча, аўтарскія рукапісы і інш.

Сакрат Яновіч меў свой адметны голас у літаратуры і месца ў грамадскім руху, уплываў на палітыку ўзаемадачыненняў Беларусі з Еўропай і цэлым светам. Свой партрэт на фоне эпохі і саму эпоху ён напісаў з ашаламляльна нелітасцівай да сябе і іншых шчырасцю ў сваіх творах, дзённіках, лістах, напісаў з захапленнем і сарказмам, мудрасцю і душэўнай цеплынёй, непрымірымасцю і ўседаравальнасцю. Аб'ектыўнасць, якая стала творчай манерай аўтара гэтага ўнікальнага архіўнага збору, дае вялікі прыклад будучым пакаленням.

5

Świadectwa, wywiady, pamiątki

Фактаграфія ёсць як цагліна, як вапна,
якую бярэш і будуеш дом.

Katarzyna Pacuk
BIAŁYSTOK

Studenckie „ocalić od zapomnienia"

Pisać o Sokracie Janowiczu nie jest łatwo. Znano go w środowisku literackim i akademickim, ale nie był doceniany przez rodaków i współmieszkańców Krynek, z których pochodził. Tworzył na styku dwóch kultur: polskiej i białoruskiej. Pielęgnował białoruskość, „los, który przydarzył się konkretnej nacji, ale nie daje się sprowadzić ani ograniczyć do jej dziejów"[1]. Stawał w obronie nie tylko narodowości jako takiej, ale języka, historii i białoruskiej kultury.

GRÓB SOKRATA JANOWICZA. FOTO: K. PACUK

Taki zarys postaci pisarza, prozaika, eseisty, publicysty, autora reportaży, tłumacza literatury białoruskiej można spotkać w wielu publikacjach na jego temat. Jednak jaki był Sokrat Janowicz i co kochał najbardziej, mógł powiedzieć jedynie on sam. Wypowiadał się nie tylko poprzez twórczość, ale również w listach, wywiadach i osobistych notatkach. Chcąc zdobyć jak najrzetelniejsze informacje, postanowiłam pojechać do miejsca urodzenia prozaika – do Krynek. Dzięki pomocy wielu życzliwych osób, bliskich samemu pisarzowi, udało mi się dotrzeć do materiałów wysyłanych do Białoruskiego Państwowego Archiwum – Muzeum Literatury i Sztuki przez samego pisarza. Pomocne przy stworzeniu pracy stały się również fragmenty niektórych wywiadów przeprowadzonych z Sokratem Janowiczem w latach 1982–2005.

Podróż do Krynek uświadomiła mi, że odpowiedź na pytanie, kim był Sokrat Janowicz, powinna przywoływać „dwie miłości" literata: Krynki i „Trialog".

---

[1] D. Kulesza, *To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza*, „Annus Albaruthenicus" 2012, s. 23.

1. Pisarz Obojga Narodów

Sokrat Janowicz zadbał o to, by po jego śmierci pozostały materiały, które mogłyby się złożyć na rzetelną biografię. W 1987 roku rozpoczął współpracę z Białoruskim Państwowym Archiwum – Muzeum i przez cztery lata (1989, 1990, 1991 oraz 1993) słał tam dokumenty. Dzięki temu mogłaby powstać biografia autora do 1992 roku.

Sokrat Janowicz Kanstantinawicz[2] – pseudonim Adolf Kastryca, Kolka Spuch, Aleksander Antaszewicz, Kostuś Jankouski – urodził się 4 września 1936 roku w miasteczku Krynki, wówczas należącym do powiatu grodzieńskiego, obecnie do województwa podlaskiego. Tworzył głównie w języku białoruskim. Tłumaczami pisarza na język polski byli przede wszystkim: Wiktor Woroszylski, Jerzy Litwiniuk, Jan Huszcza oraz Andrzej Drawicz[3]. Autor zbioru opowiadań *Zagony* (1969), które w 1973 roku zostały przetłumaczone i ukazały się pod tytułem *Wielkie miasto Białystok*, szkiców powieściowych: *Srebrny Jeździec* (1978), *Ściana* (1979) i *Samosiej* (1981), miniatur literackich: *Małe dni* (1981), *Zapomnieliska* (1978), satyr osadzonych w realiach rodzinnej wsi: *Trzecia pora* (1983), *Miniatures* (1984), czy eseju *Białoruś, Białoruś* (1987)[4], skoncentrowanego na problemach Białorusinów w Polsce. Po roku 1990 opublikował także: *Douhaja śmierć Krynak* (1993) oraz *Listouje – listowie* (1995)[5].

Należał do pokolenia, któremu dzieciństwo zabrała wojna, a młodość przypadła na lata ciężkiego okresu odbudowy powojennej.

Janowicz od zawsze udzielał się publicznie i pragnął popularyzować kulturę białoruską w Europie. Już jako siedemnastoletni chłopak, w latach 1953–1956, organizował podziemnie związki białoruskich patriotów. W tym samym roku rozpoczął pracę jako dziennikarz w białoruskim tygodniku „Niwa", a dwa lata później w czerwcu brał udział w założeniu Stowarzyszenia Literackiego pod nazwą „Białowieża". Prężnie działał w Białostockim Ośrodku Korespondencyjnym Klubu Młodych Pisarzy. W 1970 roku został członkiem Związku Literatów Polskich[6]. Założył Stowarzyszenie Villa Sokrates, z siedzibą w rodzinnym domu przy ulicy Sokólskiej 9 w Krynkach. W 2000 roku rozpoczął organizację Trialogów oraz wydawanie periodyku „Annus Albaruthenius". W czerwcu 2003 roku został laureatem polskiej Nagrody im. Andrzeja Drawicza. Do śmierci żył i tworzył w Krynkach. Zmarł 17 lutego 2013 roku.

Jak pisze Jurkowa – autorka naukowo-technicznego opracowania dokumentacji dotyczącej pisarza – dzięki dostarczonym materiałom zostały sformułowane czterysta dziewięćdziesiąt trzy „sprawy" związane z Janowiczem. Cenne materiały nadesłane przez pisarza zostały usystematyzowane i zarchiwizowane.

---

[2] Nazwisko patronimiczne Sokrata Janowicza.

[3] P. B r y s a c z, *Benefis Sokrata Janowicza*, „Kurier Poranny" 3.09.2005, s. 3.

[4] W. S m a s z c z, *Sokrat Janowicz*, w: *Zbliżenia. Portrety białoruskich pisarzy*, Białystok 1990, s. 59.

[5] http://kamunikat.org/Janowicz_Sokrat.html&lang=PL [dostęp 10.06.13].

[6] Materiał biograficzny zaczerpnięty z dokumentacji pochodzącej z Białoruskiego Państwowego Archiwum-Muzeum Literatury i Sztuki.

Do muzeum-archiwum trafiły m.in.: artykuły, notatki, rękopisy, listy, zdjęcia rodzinne, programy sesji literackich i wiele innych dokumentów, pokazujących pracę literacką Janowicza i jego oddanie kulturze białoruskiej.

2. „Chciałem zostać rolnikiem[7]" — Sokrat Janowicz sam o sobie

Początkowo Sokrat Janowicz wcale nie zamierzał zająć się pisarstwem. Zapytany w jednym z wywiadów o to, kim chciał zostać w dzieciństwie lub we wczesnej młodości, odpowiedział jednoznacznie, że rolnikiem. Zawód ten był traktowany przez niego z szacunkiem i uznaniem. Wspomniał nawet, że dążąc do osiągnięcia założonego celu, czerpał wiedzę z „Rolnika Polskiego". Był przeciwny pracy, jaką oferował Białystok. Miasto kojarzyło mu się z leniami, żulami i wszelkimi łajdakami, którzy nic nie robią, a chleb mają[8]. Na nic jednak zdały się jego starania. Miłość do literatury była silniejsza.

Zainteresowanie pisaniem zaczęło się od dużego, dziewiętnastowiecznego tomu utworów zebranych Aleksandra Puszkina. Pierwsze wiersze powstały pod wpływem młodzieńczej miłości. Jednak zapał poetycki szybko minął, gdyż – jak sam wspomina w jednym z wywiadów: „dziewczyny zniechęciły mnie do poezji, śmiały się z moich ognistych poematów"[9].

Kolejną inspiracją dla pisarstwa Sokrata Janowicza stały się *Opowiadania odeskie* Izaaka Babla, odkryte dzięki pomocy brata jego żony. Pozwoliły one nieco inaczej spojrzeć na Krynki, które stały się dla niego „miniaturką bablowskiej Odessy" – odzwierciedleniem kultury polsko-białorusko-żydowsko-tatarskiej.

Janowicz miał dość żartobliwy stosunek do literatury. Starał się, by jego słowa nie było górnolotne. Miały trafiać do „zwykłego" czytelnika. Pisząc najczęściej w języku białoruskim, był świadomy śmieszności, jaką mogą budzić tłumaczenia. Jego zdaniem literatury nigdy nie da się przetłumaczyć idealnie. Podczas wieczoru autorskiego w Książnicy Podlaskiej w 2001 roku podał doskonały przykład na poparcie tezy o niedoskonałości tłumaczeń. Wspomniał o tłumaczeniu Pisma Świętego dla chrześcijańskich Eskimosów:

> Po pierwsze w Biblii tyle kryminałów, zabójstw, a Eskimosi wszak mają niespecjalne pojęcie o takich rzeczach. Po drugie: Baranek. U Eskimosów owiec nie ma. Więc jak przetłumaczyć Baranka? Stanęło na tym, by użyć pojęcia pingwin...[10].

Zajmowanie się słowem jest zatem według samego pisarza zajęciem ryzykownym. Szczególnie na pograniczu. Wydrukowane słowo inaczej odczyta

---

[7] A. J a b ł o ń s k i, *Rozdwojenie inspiracji*, „Nowa Wieś" 1982, nr 8, s. 3.
[8] K. R o s i ń s k i, *Problem polsko-białoruski załatwią cmentarze*, „Magazyn Poranny" 22.01.1999, s. 9.
[9] A. J a b ł o ń s k i, *Rozdwojenie inspiracji*, s.3.
[10] M. Ż m i j e w s k a, *Polski Białorusin*, „Gazeta Wyborcza" 11.11.2001.

Polak, a inaczej Białorusin. Obaj, o czym Janowicz wiedział, stanowią dwa różne światy, bliskie, ale skłonne do nieporozumień.

Najważniejszym miejscem dla pisarza był oczywiście dom rodzinny. Do Krynek z Białegostoku powrócił na stałe w 1994 roku. Mieszkał tam z swoją żoną Tatianą i dwoma synami. Dom przy Sokólskiej 9 był dla niego w pewnym sensie pogańską świątynią i muzeum. Janowicz gromadził liczne pamiątki, portrety rodzinne, listy, dyplomy, nagrody od czytelników. Uważał, że każdy kąt, ściana w jego mieszkaniu są częścią historii. Był bardzo przywiązany do miejsca zamieszkania. Mawiał, że jego dom jest otwarty dla wszystkich mądrych ludzi[11]. Ta idea ziściła się. Przy Sokólskiej 9 w Krynkach założono Stowarzyszenie Villa Sokrates, a już po śmierci pisarza podjęto inicjatywę stworzenia w nim muzeum poświęconego literatowi.

3. „Jestem chory na Krynki"[12]

Krynki były niewątpliwie inspiracją dla pisarza. Nie tylko ze względu na swoją wielokulturowość. Janowicz w 1982 roku w wywiadzie dla „Nowej Wsi" stwierdził, że „wieś białostocka popełnia samobójstwo"[13], a tragizm temu towarzyszący pozwolił zaistnieć jego sztuce. Zwrócił uwagę na problem migracji ludności ze wsi do miast. Ubolewał nad wypieraniem się tradycji i pozbywaniem wspomnień, związanych z rodzinnym domem. Sokrat Janowicz za wszelką cenę starał się bronić białoruskości. Wiele razy słyszał: „K… mać, czas już przestać być tym Białorusinem"[14]. Miał chwile słabości i chciał się poddać, ale jak sam wspominał: „[…] nie raz myślałem sobie «dobrze, poddaję się». To zawsze było tak jakoś wieczorem. Rano wstaję i myślę sobie «O nie, co ja jestem jakiś gówniarz?!»"[15].

Krynki dawały mu siły do dalszego działania. Choć mieszkańcy niezbyt dobrze o nim mówili: „wrócił z miasta, nie powiodło się", uważali go za przegranego, który w dodatku miał później dziwny sposób zarabiania pieniędzy… głową[16], to on sam uważał, że powrót do miasteczka był sukcesem. Właśnie związek Krynek i języka białoruskiego, a właściwie – jak mówił Janowicz – dialektu ukształtowanego na bazie zachodniej końcówki języka białoruskiego, przyczynił się do powstania unikatowego języka literackiego pisarza. W rodzinnej miejscowości poznał także ludzi, którzy – jak się później okazało – byli wszędzie tacy sami, jak w tym niewielkim miasteczku. To ono niewątpliwie było dla niego centrum świata, do którego stale wracał – czy to z Ameryki, czy z Europy[17]. Dzięki Krynkom istniał jako autor.

---

11 P. B r y s a c z, *Benefis Sokrata Janowicza*, s. 3.
12 *O Krynkach myślałem na Manhattanie*, „Kurier Sokólski" 13.04.2004, s. 7.
13 A. J a b ł o ń s k i, *Rozdwojenie inspiracji*.
14 K. R o s i ń s k i, *Problem polsko-białoruski załatwią cmentarze*, s. 9.
15 Tamże.
16 P. B r y s a c z, *Benefis Sokrata Janowicza*, s. 3.
17 *O Krynkach myślałem na Manhattanie*, s. 7.

VILLA SOKRATES.
FOTO: K. PACUK

Tam wśród „cichego listowia i przejrzystych krynic”[18] rodziły się najznakomitsze pomysły pisarza.

4. Trialog

„Ja nie będę mógł spokojnie umrzeć, nie wiedząc o tym, że jednak spróbowałem coś zrobić poza własną twórczością”[19] — te słowa Sokrata Janowicza doskonale odzwierciedlają jego chęć działania i ratowania kultury białoruskiej.

Pomysł na utworzenie Stowarzyszenia Villa Sokrates zrodził się w głowie pisarza po powrocie z Willi Decjusza w Krakowie. Janowicz doszedł do wniosku, że na Białostocczyźnie też potrzebna jest inicjatywa, która nie dopuści do zaprzepaszczenia białoruskości. Miała być to – jak sam mówił: Akademia Platońska u Sokrata Janowicza[20]. Stowarzyszenie założył w 1999 roku wspólnie z Jerzym Chmielewskim i Leonem Tarasewiczem. Ich zdaniem Villa Sokrates miała służyć do „wybijania dziury pomiędzy białoruską kulturą a resztą Europy”[21].

---

[18] Tamże.
[19] K. Rosiński, *Problem polsko-białoruski załatwią cmentarze*.
[20] M. Chołodowski, *Piszczymy*, „Gazeta Wyborcza” 05.01.1999.
[21] P. Brysacz, *Benefis Sokrata Janowicza*, s. 3.

Rok później, w lipcu, zaledwie cztery kilometry od Krynek, w Łapiczach, po raz pierwszy Janowicz zorganizował Trialog. Spotkania miały przede wszystkim przyciągnąć tłumaczy, krytyków, badaczy literatury białoruskiej, pisarzy, którzy już coś wiedzą o białoruskich twórcach. Jak mówił sam pisarz: „celem spotkań jest zadomowić w Europie literaturę białoruską, która literatury owej nie zna, a powinna”[22]. Z biegiem lat do Łapicz zaczęło przyjeżdżać coraz więcej gości, z czego Janowicz niezmiernie się cieszył[23]. Pisarz chciał też, by po spotkaniach pozostawało coś, co mogłoby „pójść dalej w świat”. Podsumowaniem rozmów o języku, tożsamości, warsztacie tłumacza i o tym, jak kultura białoruska reprezentowana jest w poszczególnych krajach i odwrotnie: jaki jest obraz tych państw w literaturze białoruskiej[24], stał się periodyk „Annus Albaruthenicus”[25].

Niewątpliwe Sokrat Janowicz wzbudził sobą „falę życia”, bo choć pod koniec swoich dni przestał już tak prężnie działać, jego spuścizna nadal pracuje, potwierdzając swoje znaczenie dla białoruskości, którą pisarz chciał za wszelką cenę ocalić od zapomnienia.

„Jeśli nie ma szans na głośny krzyk, to trzeba przynajmniej piszczeć. Villa Sokrates to właśnie taki pisk sprzeciwu, bo Białoruś jest skazana na istnienie”[26] — Sokrat Janowicz.

---

[22] M. Ż m i j e w s k a, *Dialog na siedem narodów*, „Gazeta Wyborcza” 28.07.2005.
[23] Wspomnienia Lucyny Jurkiewicz.
[24] M. Ż m i j e w s k a, *Trialog w Łapiczach*, „Gazeta Wyborcza” lipiec 2004.
[25] M. Ż m i j e w s k a, *Dialog na siedem narodów*.
[26] M. C h o ł o d o w s k i, *Piszczymy*.

Jan Maksymiuk
PRAGA

Sokrat Janowicz i zagony pamięci

1.

Sokrat Janowicz, który w tym roku obchodzi swoje 75-lecie, wciąż nie porzuca pisania. W 2008 roku ukazała się jego obszerna powieść *Chatniaje stahoddzie*. Aż kusi, aby tę książkę nazwać łabędzim śpiewem pisarza, bowiem jego aktywność literacka trwa już pół wieku. Ale z Sokratem Janowiczem z góry nic nie wiadomo. Kto w 1999 roku przypuszczał, że nakładając na siebie w naszych prowincjonalnych warunkach ciasne oświatowo-wydawnicze chomąto z etykietkami „Trialog białoruski" i „Annus Albaruthenicus", zdoła tak ciągnąć aż przez 10 lat?

Dlatego też nie chcę mówić o Sokracie jako pisarzu, który już się „wypisał" i tylko czeka na kanonizację. Mam na myśli kanonizację nie w religijnym tego słowa znaczeniu, ale krytycznoliterackim. Nie chodzi o przyznanie mu miejsca w gronie męczenników literatury białoruskiej, a o miejsce w kanonie, jeśli założymy, że kiedyś ktoś taki kanon stworzy i zatwierdzi. Możliwe, że takiej kanonizacji Sokrat nie doczeka, bo jak sam zaznacza z gorzko-zjadliwą ironią, ciągle jeszcze czeka na czytelników, którzy przeczytają jego książki. A takie zjawisko czytelnicze, delikatnie rzecz ujmując, nie jest zbyt pewne…

… Bo nasz białoruski świat na Białostocczyźnie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza przewrócił się do góry nogami. 25 lat temu książka białoruska na Białostocczyźnie ukazywała się raz na pięć lat, ale wtedy wszyscy jeszcze czytaliśmy po białorusku. Teraz sytuacja się odwróciła – w ciągu roku w Białymstoku wychodzi co najmniej pięć książek po białorusku, ale nikt już niczego białoruskiego nie czyta…

Sokrat przeżył trzy razy po ćwierć wieku. Dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby nasz świat przewrócił się mu do góry nogami co najmniej trzy razy… Sądzę, że ten świat przewrócił mu się na pewno dwa razy. Sokrat nieraz, czy to w rozmowach prywatnych czy w publicystyce, twierdził, że w jego młodzieńczych latach w Krynkach po polsku rozmawiały tylko nieliczne osoby. To oznacza, że polszczyzna tonęła w powodzi białoruskości. A teraz w Krynkach tylko nieliczni potrafią

odezwać się po białorusku. To pierwszy przykład białoruskiego salto mortale, którego świadkiem był autor *Zahonów* i *Samosieja*. A drugi? No, na przykład cała ta historia z budowaniem socjalizmu/komunizmu w Polsce. W 1958 roku Sokrat był oddanym zwolennikiem tak zwanej „władzy ludowej". Dlatego też bez wahania zgodził się zostać tajnym współpracownikiem, żeby tropić wrogów białoruskości wśród Białorusinów. Dziesięć lat później już nie chciał nikogo śledzić. Z tropiciela zmienił się w ofiarę. Innymi słowy, budowniczy przeistoczył się w burzyciela…

Nie mam też pewności co do tego, że po upadku komunizmu Sokratowi Janowiczowi ziemia wreszcie przestała chwiać się pod nogami. Wątpliwości w tej kwestii najmocniej dopadają mnie wtedy, gdy wspominam jego entuzjastyczną społeczno-polityczną aktywność na początku lat dziewięćdziesiątych w Białymstoku, a następnie dyskretne odejście do rodzinnych Krynek, śmierć których tak się opóźnia…

Krótko mówiąc, kanonizacja narodowa Sokrata Janowicza może się nie odbyć. Bowiem po białorusku przestali czytać nie tylko w Białymstoku, ale przestają czytać także w Mińsku. Bo tam ludzie jeszcze bardziej zajęci są pisaniem i wydawaniem książek po białorusku niż u nas, na Białostocczyźnie. Dlatego też na czytanie mają jeszcze mniej czasu.

Sam, prawdę mówiąc, z racji swojej profesji więcej czasu poświęcam na pisanie niż czytanie po białorusku. Więc i mnie, można rzec, niesie ze sobą nurt epoki. Ale wśród tego, co udało mi się przeczytać ostatnio, zmieściły się dwie i pół książki Sokrata Janowicza. Biorąc pod uwagę, że wcześniej, ba, ćwierć wieku temu, przeczytałem półtorej innej książki kryńskiego pisarza, a jedną zredagowaliśmy razem z nim na potrzeby wydawnictwa w Polsce po upadku komunizmu, mogę uważać się za kogoś na kształt półspecjalisty od twórczości autora *Doŭhiej śmierci Krynak*… A jeśli tak, to pozwolę sobie na stworzenie czegoś w rodzaju prywatnego półkanonu Sokrata Janowicza. To znaczy, chcę wskazać te jego pisarskie dokonania, które moim zdaniem mogłyby wejść do narodowego kanonu literackiego. Byłoby to możliwe jedynie wtedy, gdyby Białorusini czytali swoją literaturę i chcieli o niej chociaż od czasu do czasu pomyśleć…

2.

Debiutancka książka Sokrata Janowicza *Zahony* ukazała się w 1969 roku. Nie będę się wysilał na oryginalność i powtórzę to, o czym wyraźnie powiedzieli inni. Najlepsze w tej książce są niewielkie liryczne szkice i akwarele, miniaturki-sokratki, w których jaskrawość realistycznego rysunku łączy się z czymś na swój sposób „symbolicznym", „nieziemskim", „metafizycznym". Znakomitym przykładem tego połączenia jest miniatura *Wałoszka*:

> Kropla błękitu pośród dojrzałego żytniego łanu. Patrzą na nią, nastroszywszy wąsy, zazdrosne kłosy…

Dajesz radość, niebieskooka, i poszum tajemniczej nadziei toczy się po niwie, niepokoi i daje siłę, gdy dopieka los.
Malutki świat sinieje w sklerotycznym odrętwieniu. Sierp śmierci zostawia cię drapieżnym jesiennym wichrom; naigrawają się tłumnie z płatków twojej krasy wdowiej. Rośną świeżość płoszą zimne ulewy...
Garbisz się, bezsilna, nad poryżałą darnią.
I cicha umierasz[1].

Paradoksalnie, właśnie tym tekstom *Zahonów*, gdzie pisarz opowiada jakąś historię i tworzy fabułę ze wstępem i zakończeniem, brakuje wewnętrznego dramatyzmu, którym przesiąknięte są „statyczne" obrazki, jak w cytowanej *Wałoszce*. Teksty epickie *Zahonów*, jak *Skarby Puszczy Jaćwieskiej*, *Tania* czy *On i inni*, które miały opowiadać jakieś interesujące historie, okazały się mało ciekawe i fabularnie „sypkie".

Natura talentu Sokrata w pełni przejawia się w sprawach niedopowiedzianych, nie do końca wytłumaczonych, w obrazkach, które od czasu do czasu wybuchają jaskrawym i krótkim blaskiem i od razu toną we mgle niepamięci. Jeśli udaje się pisarzowi taki rozbłysk wyłowić z ciemności – James Joyce podobne rozbłyski rzeczywistości nazywał „epifaniami" – wówczas powstaje znakomita literatura.

I jeszcze jeden z takich rozbłysków, z niby-fabułą, ale z prawdziwym dramatyzmem i natężeniem odczuwanej i przeżywanej rzeczywistości. Miniatura *W stronę Jurowiec* z książki *Samosiej* (Mińsk, 1992):

Wyszliśmy z Białegostoku, było to w niedzielę. W zakolu szosy – dzikie róże. Zarumieniony głóg. Dalej widać z wiaduktu szyny kolei, rozdzierającej widnokrąg.
W stronę Jurowiec poczerniało, ale jeszcze jesteśmy w słońcu: przy piecu w pobliżu okna wiejącego chłodem.
Pod zagajem chatka dróżnika.
Rozgarniając na ścieżce piasek jak gorący popiół, z przyjemnością przypiekam stopę: takiej suszy nie pamiętają stuletni bajarze. Przyszła pewność, że jutro jesień.
Doszliśmy ścieżynką do Supraśli-rzeki. Chmury przegnało za Wasilków.
Na dnie Supraśli kamień, próbowałem go objąć, ale wyniosło mnie na powierzchnię i brakło mi tchu. Na brzegu, udręczonym przez mieszczuchów, parchy, trawy. Wiatr; woda ciepła do obrzydliwości.
Dałem nura w gąszcz wyobrażeń i ze stromizny zjechałem na głowę w głąb. Z obu stron oczerety do nieba; ze strachu, że mam pod sobą tysiącletnie wyręby, popłynąłem z bystrzyną. Straszno i szczęśliwie. Na zakręcie uderzyłem kolanem o kamień.
Wygramoliłem się, pokryty gęsią skórką.
Dochodząc do Białegostoku, w zakolu szosy narwaliśmy czerwieni na cudowne wino, na zimę.

[1] S. Janowicz, *Modrzanka*, przeł. J. Czopik, w: S. Janowicz, *Zapomnieliska. Miniatury liryczne*, autoryzowany przekład z białoruskiego Jana Czopika, Wrocław 1978, s. 67.

— Kupisz wielką szklaną kulę w plecionce, pięćdziesięciolitrową — powiedziała żona.
Natychmiast się zgodziłem. Szliśmy z koszykiem jesieni w rękach, a chłopcy łapali spóźnionego motyla. W stronę Jurowiec, kiedy obejrzałem się, znów poczerniało, a my – jeszcze w słońcu. Tak było wtedy.
A wczoraj, jadąc służbowym wozem w nieważnej (też służbowej) sprawie, z mostu rzuciłem okiem na Supraśl: błyszczały w niej wczesne gwiazdy. W ucichłej i zbrzydłej taił się kamień.
Wóz szybko pomknął pod górę, przez Jurowce i dalej[2].

Jedna z książek Sokrata Janowicza ukazała się w 1981 roku w przekładzie na język polski pod tytułem *Małe dni*. To byłby dobry tytuł dla zbioru jego wybranych mianiatur – wybranych z *Zahonów* (Białystok, 1969), *Samosieja* (Mińsk, 1992) i *Doŭhaj śmierci Krynak* (Białystok-Bielsk, 1993). One stanowiłyby pierwszą pozycję Janowiczowskiego kanonu (według Jana Maksymiuka, rzecz jasna).

3.

Powieść *Ściana* ukazała się najpierw w polskim przekładzie w 1979 roku. Wersja białoruska wyszła w zbiorze *Doŭhaja śmierć Krynak*, czternaście lat później. Jakoś namówiłem Sokrata, żeby białoruską *Ścianę* skrócić – nie radykalnie, ale mimo wszystko znacząco. Redagując tę książkę wyrzuciliśmy ze *Ściany*, jeśli dobrze pamiętam, około trzech rozdziałów spośród trzydziestu czterech czy trzydziestu pięciu. Wydaje mi się, że wersji białoruskojęzycznej przybyło dramatyzmu, chociaż nie na tyle, żeby zdecydowanie przyspieszyć leniwą narrację i zagęścić fabułę.

Ściana to niezła książka, ale krótko mówiąc, niewyjątkowa i niekanoniczna dla Janowicza. Odczuwa się w niej atmosferę stagnacji i nudy „realnego socjalizmu" Polski lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ale tylko atmosferę. Autorowi nie udało się stworzyć wyraźnego obrazu „szarego człowieka" epoki.

Główny bohater powieści o wymownym nazwisku Ściapan Sumleniewicz [*sumleńnie* po białorusku oznacza *sumienie*, *przyzwoitość* – red.] próbuje walczyć z zakłamanym systemem, uosobieniem którego jest anonimowa „spółdzielnia". Na jej czele stoi równie anonimowy „prezes". Jest sprawą oczywistą, że Sumleniewicz przegra na wszystkich frontach, i w pracy, i w życiu rodzinnym – pod koniec system wpakuje go do więzienia w celach wychowawczych. Ale główny bohater to postać na tyle papierowa i abstrakcyjna, że nie wywołuje w czytelniku ani empatii, ani nawet żywszego zainteresowania.

Abstrakcyjność systemu, z którym zderza się Sumleniewicz – „człowiek bez właściwości", jeśli nie liczyć jego ślepej wiary w istnienie jakiejś uniwersalnej,

[2] S. J a n o w i c z, *W stronę Jurowiec*, przeł. W. Woroszylski, w: S. J a n o w i c z, *Listowie*, Białystok 1995, s. 57, 59.

pozasystemowej sprawiedliwości – mimo woli wywołuje skojarzenia z niejasnymi i przygnębiającymi udrękami, których doświadczają bohaterowie Franza Kafki. Ale w powieści Janowicza dominuje nie duch absurdu i poczucie winy głównego bohatera, jak u Kafki, lecz racjonalność i wiara, można by powiedzieć, w swoją niewinność i lepszą przyszłość. I tylko od czasu do czasu przebłyskuje element groteski i czarnego humoru, jak w tej oto scenie z narady spółdzielczej:

> — I ja proszę o głos — pisnął ktoś z tłumu.
> — Po kolei, e, koledzy, po kolei — prezes postukał ołówkiem w szyjkę karafki z wodą. Zebrani słuchali brzęku w pełnym poszanowania milczeniu. — No, proszę bardzo, e, ty — wskazał chętnego.
> — Dziękuję, drogi prezesie! — wskazany wyskoczył jak przymrozek o poranku. — Fakt zgody na wygłoszenie mych słów, jakże nic nie znaczących, jakże niegodnych nawet jednej sekundy uwagi kochanego prezesa, fakt ten, wiekopomny dla mnie, pozostanie w mej wdzięcznej pamięci na zawsze, jako najwyższy przejaw ogólnoludzkiej łaski. Fakt, bez którego niemożliwe jest uzmysłowienie mego dalszego rozwoju, będzie zapisany złotymi zgłoskami w… w… hm… w…
> — W mózgu — podpowiedziano z sali.
> — W mózgu! Mało powiedzieć w mózgu, w sercu go zapiszę, moje wy dzieci i wnuki! Gdyż, pomyślcie sami, że… ile bylibyście warci bez ojcowskiej troski prezesa, który żyje w każdym z nas. Prezes i spółdzielnia to synonimy…
> — To jest, jak? — zapytał prezes.
> — Synonimy — orator zbladł.
> — E-e… lubię, e, krytyczne słówka pod moim adresem — spokojnym tonem oznajmił prezes. — E-e-e… No, co tam jeszcze? Mówcie, e…
> — Proszę wybaczyć, od uroczystego wzruszenia zaschło mi w gardle — głucho wybełkotał mówca. — Niech żyje nasz prezes!
> — Niech żyje!
> — Niech żyje!
> — Hu-ra-a-a!
> Wykrzyczeli się do woli. Słabsi chwytali się za lewą stronę piersi, mimo że serce znajduje się mniej więcej pośrodku.
> W atmosferze wyczuwalnego napięcia na całą wysokość podniósł się mężczyzna potężnej budowy, o którym Stefan usłyszał szept: O, to jest ten.
> — Pięknie mówić nie potrafię, koledzy, zresztą nie w tym, myślę, rzecz — nabrał oddechu. — Powiem wprost, przedmówca powinien być chociaż trochę uczciwy, to znaczy wspomnieć, że wystąpił we własnym imieniu i tylko we własnym. Gdyż my wszyscy, tutaj zebrani — wykonał obszerny gest ręką — zdecydowanie i ostro piętnujemy jego bezczelny atak na prezesa, na zgrupowane wokół prezesa kierownictwo spółdzielni i nas, zgrupowanych wokół kierownictwa. — O-ten powiódł wzrokiem po twarzach obecnych, zmartwiałych od wewnętrznego napięcia. — Niech on — w tym momencie wskazał swego poprzednika grubym palcem — te swoje syjonimy zawiesi w szalecie na gwoździu! A i w szalecie, mimo wszystko, jest to dla nich zbytni honor.
> — Słusznie.
> — Przypiec zarazę rozpalonym żelazem!

— Wyrzucić paskudztwo ze spółdzielni!
— Won! Won! Won!
— Uspokójcie się, koledzy — poprosił O-ten. — Najpierw należałoby określić istotę wrogich podkopów, wymierzonych przeciwko…
— Ja… ja… ja, ja, ja — zerwał się przedmówca. Niechcący przewrócił na stół flakon z kwiatami, z którego wylała się woda i popłynęła na notesy uczestników narady. Ja… — zachwiał się i jak podcięty zwalił się na podłogę. Zemdlonego wyniesiono na korytarz i przekazano pod opiekę sprzątaczki.
— Siadajcie, koledzy — O-ten uprzejmie poprosił tych, którzy wynieśli niegodziwca i w tej chwili stali spłoszeni przy progu. — Wrogowie naszego kolektywu, jak zauważyliście, zostali całkowicie izolowani — przemawiał dalej. — Taki sam los czeka także ich następców, których bez wątpienia wykryjemy, owe gnidy na zdrowym, pełnym życia ciele.
O-ten zamyślił się. Jak krowa odpędzająca muchy ogonem wzbraniał się przed falą oklasków, niecierpliwie wymawiał jakieś słowa, które ginęły we wrzawie. Grupa gości podbiegła do niego, serdecznie ściskano mu dłonie, poklepywano po plecach. Wreszcie, bezbronnego, pochwycono na ręce i podrzucono pod samiuteńki sufit. Rozkraczony przeleciał nad głowami i spadł na długi, konferencyjny stół, tłukąc szklanki, butelki z lemoniadą, tace z jabłkami; przybory do pisania rozleciały się jak odłamki. O-temu zwalił się na brzuch ogromny żyrandol, o który zaczepił padając.
Leżał z wytrzeszczonymi oczami jak kozioł[3].

Gdyby cała powieść byłaby napisana w takiej konwencji, można by ją było zaliczyć nie tylko do Janowiczowskiego kanonu, ale i do kafkowskiej tradycji literatury białoruskiej.

Niedawno, czytając po raz kolejny *Ścianę*, ponownie pomyślałem sobie o tym, co przychodziło mi do głowy już w 1993 roku, gdy przygotowywaliśmy z Sokratem powieść do druku. Scenę narady spółdzielni zainspirowały, bez wątpienia, posiedzenia Zarządu Głównego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Białymstoku. Zarówno ja, jak i Sokrat, każdy w swoim czasie, byliśmy etatowymi pracownikami tego Towarzystwa.

4.

Powieść *Samosiej*, która ukazała się w polskim przekładzie w 1981 roku, a po białorusku w 1992, w dużym stopniu powtarza fabularną kolizję ze *Ściany*.

Bohater *Samosieja*, Andrej Antoszka, pracuje w przedsiębiorstwie państwowym, gdzie popada w konflikt z anonimowymi „kierownikiem" i „dyrektorem". Działania Antoszki pod względem psychologicznym są bardziej przekonywujące niż zachowanie Sumleniewicza w *Ścianie*. W *Samosieju* znacznie wyraźniej jest przedstawione tło rodzinne, społeczne i etniczne w życiu głównego bohatera.

[3] S. J a n o w i c z, *Ściana*, tłum. J. Plutowicz, Olsztyn 1979, s. 141–143.

Antoszka to miasteczkowo-wiejski Białorusin, co jest znaczące dla jego losu (w *Ścianie* pochodzenie białoruskie Sumleniewicza było tylko wspomniane i nie miało istotnego znaczenia dla rozwoju akcji).

Sokrat pozwolił swojemu bohaterowi urodzić się w Krynkach i deptać trawę w tych miejscach, gdzie kiedyś chadzał sam. Autentyczność geograficzna *Samosieja* czyni tę powieść mniej abstrakcyjną i bardziej dynamiczną niż *Ściana*. Chociaż tu nici wątków raz po raz rozrywane są przez liryczne odstępstwa, wycieczki w przeszłość, zapisy z dziennika, sny i marzenia głównego bohatera i odautorską eseistykę.

W *Samosieju* Sokrat Janowicz zaczął odkrywać formę narracji, którą z powodzeniem wykorzysta w swoich innych książkach – mieszaninę fikcji literackiej z esejem i lirycznymi wtrętami. Jeśli chodzi o strukturę, *Samosiej* to książka znacznie swobodniejsza niż *Ściana* i o wiele ciekawsza.

W *Samosieju* Sokrat Janowicz po raz pierwszy wyraźnie sformułował jeden z centralnych tematów swojej twórczości – erozję białoruskiej tożsamości w miejskim pejzażu i białoruską miłość-nienawiść do „wielkiego miasta Białystok".

Antoszka, podobnie jak Sumleniewicz, przegrywa walkę z systemem i „dyrektorem". Ale w tej walce zdobywa nowe doświadczenie w postaci dojrzalszych poglądów na swój los i życiowe priorytety oraz odnajduje „sens ludzkiego istnienia". Pod koniec powieści, pijąc z kumplem przy okazji remontu domu rodzinnego w Krynkach, Andrzej Antoszka zaczyna patrzeć na swe życie w mieście nowymi oczami. Awans społeczny, który wcześniej wydawał mu się niemal najważniejszym elementem w jego miejskim życiu, zaczyna niknąć wobec poczucia innej „szczęśliwości":

> A matka siadła naprzeciw i Andrzej zobaczył – lecą łzy, toczą się z oczu jak ziarna grochu. Rozczuliła się. A on wtedy zrozumiał pytanie, które mu kiedyś zadała: Jaką korzyść przyniesie ludziom to, że zostaniesz dyrektorem? (...)
> Objąwszy Stasia, spoglądał na rozpłakaną matkę, śpiewając, dotknął nagle nagiego sensu istnienia – poczucia szczęścia! Poczucia, które wyraźnie nie wypłynęło dotychczas. Przepełniony szczęściem nie upijał się. Szczęśliwość ta nie miała nazwy – ona jest, tyle że jest.
> Wrócił do Białegostoku. Po raz pierwszy popatrzył na miasto, jak na coś bliskiego, własnego. Wysiadł z niebieskiego autobusu i wspominając śmierć ojca szedł – aleja 1 Maja, Sienkiewicza, Dzierżyńskiego, Skłodowskiej-Curie, Kalinowskiego... Do tego momentu nie był przygotowany, aby myśleć o nowej ojczyźnie, mimo że przeżył w niej dwadzieścia pięć lat[4].

Samosiej to bez wątpienia kanon Janowiczowskiej twórczości. Podobnie jak jego miniatury.

[4] S. Janowicz, *Samosiej*, tł. J. Plutowicz, Warszawa 1981, s. 283.

5.

Lata osiemdziesiąte, pomimo problemów związanych ze stanem wojennym i trudnościami ekonomicznymi kraju, dla Sokrata Janowicza – zarówno jako burzyciela (komunizmu), jak i budowniczego (niezależnej idei białoruskiej) – okazały się bardzo dobrym okresem. Z jednej strony zajmował się podziemną działalnością wydawniczą i drukował „Biełaruskija dakumienty" niezwykłą dla białostockich Białorusinów łacinką, z drugiej – pisał dla Polaków zarys historii Białorusi i idei białoruskiej pod tytułem *Białoruś, Białoruś*. Szkic ukazał się w wersji książkowej w 1987 roku w wydawnictwie „Iskry". Obszerne fragmenty tego tekstu były wcześniej dostępne czytelnikom w czasopismach.

Białoruś, Białoruś – to wielki literacki i propagandowy sukces autora. Książka stała się podręcznikiem dla wszystkich polskich publicystów, którzy po Janowiczu próbowali pisać o polsko-białoruskich relacjach. A takich z czasem było coraz więcej, bo w latach osiemdziesiątych w środowisku polskich intelektualistów na dobre zakorzeniła się idea Jerzego Giedroycia, mówiąca o potrzebie „wyciągania za uszy" Białorusi z niebytu i zapomnienia, i szukania jej miejsca w politycznym i kulturowym dyskursie epoki. Nowa Europa, jak wszyscy wówczas odczuwali, nie mogła obejść się bez Białorusi.

Janowicz przekonał Polaków, że Białorusini mają swoją historię i predyspozycje do tego, żeby stać się narodem europejskim. Z Białorusinami było trochę gorzej. Z dzisiejszej perspektywy w książce *Białoruś, Białoruś* można wskazać wiele naiwności albo po prostu pomyłek, podobnie jak i w programie odrodzenia narodowego, sformułowanego przez Białoruski Front Ludowy w Mińsku w roku 1989 i 1990. Ale książka Janowicza nie była manifestem politycznym czy programem działania, a obszernym esejem, rozmową z czytelnikiem, zapisem osobistych wspomnień i marzeń, reportażem z nierealnej podróży do XVI wieku i z realnych wyjazdów autora do Krakowa czy Mińska w wieku XX.

Styl tej książki, w której osobiste miesza się z narodowym, prywatne z publicznym, teraźniejsze z przeszłym, daje wielką estetyczną satysfakcję czytelnikom. Oto typowy przykład:

> Kraków stale przewija się w dziejach białoruskich, i by je jakoś po swojemu opowiedzieć, będę wracał do tego miasta zarówno wyobraźnią jak i swą cielesną bytnością. Ot, choćby poszukać na cmentarzu wojskowym z dwudziestego roku grobu Aleksandra Pruszyńskiego, pisarza i czołowego budowniczego idei białoruskiej, który jest powszechniej znany pod pseudonimem Aleś Harun. Odszedł w wieku dokładnie Chrystusowym, wycieńczony zesłaniem nad syberyjską Lenę i dobity potem dwulicową polityką Piłsudskiego wobec zielonej w sprawach bytu niepodległego Białoruskiej Republiki Ludowej, tej próby zrealizowania przez zaszczuty chłopski naród aspiracji do suwerenności.

> Inicjując w lipcu 1953 roku trochę filomacką imprezę, Sajuz Biełaruskich Patryjotau (Związek Patriotów Białoruskich), wiedziałem, że krakowską Alma Mater ukończył i uzyskał w niej tytuł doktora nauk wyzwolonych Franciszek Skaryna, syn kupiecki z Połacka (Połocka) i ojciec Renesansu na Białorusi. Wygłosiłem wtedy o nim referat, w przedżniwną niedzielę upalnego lata na poddaszu pożydowskiej chaty, u Hryszy Harbuza, w moich cudownych Krynkach; mówiłem do kilku kółkowiczów z tamtych początków insurekcji kulturalnej polskich Białorusinów. Kto wie — gadaliśmy — czy Skaryna nie przejeżdżał ongiś akurat przez Krynki, to miasto zygmuntowskie na szlaku z Litwy do Korony?...[5]

Proporcje między osobistym i ogólnym, czy teraźniejszym i historycznym, wymierzone są niemal idealnie. Wydaje mi się, że to najbardziej udana ze wszystkich Sokratowych książek. Niewątpliwy kanon pisarza.

6.

Dolina pełna losu ukazała się w 1993 roku w Białymstoku pod szyldem Rady Programowej Tygodnika „Niwa".

Początek lat dziewięćdziesiątych to chyba najlepszy okres dla białoruskiego ruchu wydawniczego w Polsce. Po pierwsze, państwo dawało pieniądze na wszystko, co tylko Białorusini chcieli wydać; po drugie, w szufladach białoruskich autorów leżały zapasy tekstów z lat minionych i było co wydawać. Potem sytuacja zaczęła się zmieniać. Mimo że państwo kontynuowało szczodrą politykę wydawniczą wśród mniejszości, białostoccy Białorusini po kilku latach nie mieli już czego wydawać. Dlatego poczynając gdzieś od połowy lat dziewięćdziesiątych na Białostocczyźnie zaczęto drukować coraz więcej autorów z Białorusi albo też różnorakie wspomnienia i publicystykę bez szczególnych ambicji literackich.

Dolina pełna losu to początek końca białoruskich sukcesów wydawniczych na Białostocczyźnie.

Książka częściowo ma charakter wspomnieniowy. Sokrat wraca w niej do epoki migracji naszego ludu ze wsi do miasta – do drugiej połowy lat czterdziestych i pierwszej połowy pięćdziesiątych. Oglądamy tę epokę oczami młodziutkiego Sokrata, który opuszcza Krynki i zaczyna naukę w technikum elektrycznym w Białymstoku. I ten sam proces obserwujemy oczami starego Sokrata z perspektywy minionych czterdziestu lat. W wyniku takiego chwytu literackiego otrzymujemy dosyć niestrawną mieszankę „powieści o dojrzewaniu" z końca stalinowskiej epoki z socjologicznym szkicem, któremu rzadko udaje się przekroczyć granicę pomiędzy literackim esejem a publicystycznym felietonem. Oto przykład takiego mało strawnego i wątpliwego socjologizowania:

---

[5] S. Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 8–9.

> Pięciokrotny wzrost ludności Białegostoku, w którym aktualnie mieszka co drugi tubylec, unaocznia nie tylko sukces odbudowy tuż po wojnie i emancypację dołów społecznych, ale także rozmiary klęski wojny z chłopstwem, pozornie tylko wygranej. Nie może być dobrze w państwie, w którym robienie chleba poniża i hańbi, przeistacza się w źródło nędzy. Wyprzedzająco niejako słyszę, że w Ameryce na stu obywateli zaledwie czterech siedzi na roli, a dają oni tyle zboża, że mają co sprzedawać nawet do wygłodzonej przez bolszewizm Rosji. Ta prawda pochodzi z gatunku manipulowanych, sprawdzalnych cyfrowo, jednakże wypłukanych z kontekstu moralnego. Jankesi nie stoczyli się do takiego dna i wodorostów, żeby wybuchać śmiechem nad mozołem uprawiania ziemi, podeptania jej świętości. Chichot Pana Boga nad naszym debilizmem jest rezygnacją z wybawienia nas. Nie wystraszymy się perspektywy tragicznego końca, wszystko nam zwisa i powiewa, porzucamy nasze wioski do ostatniego domostwa. Dziewczyn już nie ma w opolach i nie skusi ich do powrotu łatwe i bogate zamęście na Wschodniej Ścianie; przedkładają staropanieńską wegetację w schludnej aglomeracji. Odrzuty kawalerskie pociągną na hektarach jeszcze lat dziesięć-piętnaście, pędząc żywot brudnych pustelników na włościach. Ostatni Mohikanie. Umierać będą śmiercią trapera, bezpogrzebowo[6].

Podobnie jak Sokratowe Krynki, wiele wsi Ściany Wschodniej umiera już dosyć długo, ale żadna z nich jeszcze nie umarła. I nie jest do końca jasne, czy nasi Mohikanie wymrą całkowicie. Raczej nie. Komunizm drugiej połowy XX wieku wyciągnął prawie wszystkie życiowe soki z naszych wsi, podobnie jak 150 lat temu z angielską czy niemiecką prowincją zrobiła kapitalistyczna rewolucja przemysłowa. Wieś tam i tu zmieniła się, ale nie umarła. To, co u nas bezpowrotnie zniknęło wraz z transformacją wsi, to nasza baza, etniczna protoplazma, z której wyłaniali się ludzie na kształt Sokrata Janowicza albo Leona Tarasewicza. Obecnie szanse na to, aby u polskich Białorusinów zjawiły się podobne osobowości, ma tylko miasto.

Nie chodzi mi tu o to, aby polemizować z apokaliptycznymi proroctwami Sokrata. Rzecz raczej w tym, że w *Dolinie pełnej losu* nie ma tej eleganckiej lekkości stylu i polotu myśli, które z okładem znajdziemy w książce *Białoruś, Białoruś*.

7.

W 2008 roku pojawiła się dotychczas ostatnia książka Sokrata Janowicza, *Chatniaje stahoddzie*, która wcześniej była publikowana w „Czasopisie" w odcinkach.

To najambitniejszy pomysł pisarza, nasza chłopska epopeja rozciągnięta w czasie na cały XX wiek. No, przynajmniej w formie deklaracji mamy powieść o całym wieku XX, ale w rzeczy samej *Chatniaje stahoddzie* opowiada mniej więcej po kolei o pierwszej połowie XX wieku. O jego drugiej połowie Sokrat pisał

[6] S. J a n o w i c z, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993, s. 133–134.

w książkach, o których była mowa wyżej. Tak więc tworząc *Chatniaje stahoddzie* autor najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że nie warto się powtarzać.

Główny bohater *Chatniaha stahoddzia* Ściapan Kiszkiel jest jednocześnie i antybohaterem tej książki. Jego rola w powieści sprowadza się w zasadzie tylko do formalnego zogniskowania różnorakich wątków fabularnych i ocen społeczno-historycznych autora wokół jednej konkretnej postaci. Ściapan jest antybohaterem w tym znaczeniu, że nie odgrywa żadnej aktywnej roli ani w Historii wielką literą, ani w historii, o której opowiada książka. Życie przecieka mu między palcami i toczy się obok niego. A on płynie z prądem i tylko patrzy, żeby nie dać się wciągnąć w jakiś wir, z którego już nie zdoła się wydostać. W powieści służy jako swoista tuba, przez którą Sokrat wypowiada swoje poglądy i proroctwa.

W książce znajdziemy fragmenty prozy wysokiej próby. Na przykład scena bójki o miedzę:

> Od tamtego dnia Stefana nurtowała myśl, jakim będzie jego życie. [...] Na Popowszczyźnie, o miedzę, pobili się Anisimowicze: Antyfon orczykiem przygrzał Siamowi po łbie, aż ten krwią się zalał. Zaraz zwarły się ich baby, u Siama same dziewczęta. W końcu Antyfonczykowie pokonali Siamki, chociaż te i kąsać potrafiły. Silniejszy Antyfon przepędził Siama w popowy owies, baby rozdzielił a synów pochwalił. Przyorana przez Antyfona do jego pola miedza tak i została przy nim. Siamowie – co to mówili „siam" zamiast „sam" – odszczekiwali się z daleka; Siamowa zadarła spódnicę, pokazując Antyfonowi tę nagość, którą zazwyczaj pożądane jest haniebnie całować. Antyfon splunął i odwrócił się. Obydwie rodziny pozaprzęgały konie do wozów i – cały czas przeklinając – rozjechały się do domów. [...] Stefan zamierzał żyć inaczej. Z szewstwa pojawiły się już jakie-takie pieniądze;[...][7] **[str. 39]**

Sokrat jest tu rozpoznawalny w stu procentach.

Albo jeszcze jeden epizod z początku wojny niemiecko-sowieckiej, kiedy to Niemcy wpadli w Ściapanowe strony:

> Wojactwo hurmem wziąwszy Manię pod pachy poprowadziło ją, by powalić na wyschnięty owczy gnój, zadzierając na niej spódnicę. Dla higieny seksualnej, jak określali gwałty niemieccy lekarze. Skończyłoby się to niepohamowanym rabunkiem i gromadnym miętoszeniem poczerwieniałej jak piwonia Mani, gdyby nie wszedł na podwórze cybaty pułkownik. „Halt!" — wrzasnął. — „Achtung, Soldaten: Sowjetische Frau – Syphilis! Weg! Schneller!" W tejże chwili wystrzelili sobie raz i drugi z armatki przeciwpancernej artylerzyści, słowiańscy Ślązacy, co nieopodal zatrzymali się na noc. Przyprowadzili do namiotu wdowę z córką (nie miał kto ich bronić). Po owych katowickich pancerniakach rechotał w tej kryjówce, kto chciał. „Komm, panienka." Na służbie i po służbie. Trzeciego bodaj dnia Niemcy wyruszyli dalej, w stronę Wołkowyska. Od nich obie dostarczycielki rozkoszy przytaszczyły do domu wory z konserwami, mlekiem w proszku,

[7] Przełożył Jarosław Janowicz.

> bochenkami chleba w folii, chroniącej przed wysychaniem, i zapas kondomów, na wszelki wypadek. Uginając się pod ciężarem zdobyczy, szły na skróty przez wybujałe konopie. Ze dwa tygodnie nigdzie nie wychodziły, dopóki nie przybył tu batalion Ukraińców; ci – niedojone byczki – brali pod siebie nawet babcie, rzecz niesłychana. Wreszcie odkomenderowano ich pod Mińsk i nastał względny spokój, okupacyjny porządek. Byłych sowieckich żołnierzy, co znaleźli schronienie we wdowich gospodarstwach, długo jeszcze nie niepokojono.[8] **[str. 86]**

Podobnych fragmentów w książce znajdziemy znacznie więcej. Czyta się je z wielką przyjemnością.

Ale książka, szczególnie jej druga część, aż do bólu przesiąknięta jest suchą publicystyką. Sokrat zmusza swego Ściapana, który nie ukończył nawet podstawówki, do rozważań o problemach, jakie nie każdemu magistrowi filologii polskiej przyjdą do głowy. Na przykład o proporcji elementu żydowskiego w elitach Niemiec czy Wielkiej Brytanii w XIX wieku. Albo o przyczynach niepowodzenia w budowie państwa narodowego na Białorusi.

„Ożenek Stefana Kiszkiela przeszedł jakoś niezauważenie. Na dobrą sprawę nie wiadomo było nawet, skąd on babę wziął i jak się nazywała”[9] – pisze Sokrat na 129. stronie. Jego Ściapan miał wówczas około pięćdziesięciu lat, możliwe, że i pięćdziesiąt z hakiem. Kto jak kto, ale autor powinien wiedzieć, skąd jego bohater wziął sobie babę. Ale ta baba w drugiej części powieści, która gdzieś w połowie zmienia się w antypowieść, do niczego nie jest potrzebna. Bo tylko by przeszkadzała Ściapanowi/Sokratowi w szukaniu analogii między faszyzmem i komunizmem albo w rozważaniach o globalizacji i jej wpływie na przygraniczne terytoria.

Chatniaje stahoddzie to powieść i antypowieść, to, jeśli można tak rzec, sukces i porażka autora za jednym zamachem. To coś bardzo szczególnego, czego nie było w literaturze białoruskiej ani w XIX, ani w XX wieku.

Jest to jednocześnie kanon i jego zaprzeczenie.

Mamy tylko jednego Sokrata. Boję się, że nie będziemy mieli drugiego pisarza takiego formatu. Bowiem nasz świat w XXI wieku zamiast zdrowego ziarna rozsiewa puste plewy, z których nic nie wyrasta na zagonach naszej pamięci.

Praga, 1–2 września 2011
przełożyła: G. Charytoniuk-Michiej

---

[8] Przełożył Jarosław Janowicz.
[9] Przełożył Jarosław Janowicz.

Radosław Romaniuk
WARSZAWA

W stronie Sokrata. Na marginesie prozy i eseistyki Sokrata Janowicza

Żaden z dwudziestowiecznych polskich pisarzy nie mógłby napisać modlitwy do słowa, którą stworzył Sokrat Janowicz. Modlitwy w sensie dosłownym (otwierającej wybór prozy *Trzecia pora*, w przekładzie Jana Czopika), i tej w sensie metaforycznym, jaką była cała jego białoruskojęzyczna twórczość. Język białoruski nabierał w niej wymiaru liturgicznego, w odróżnieniu od codziennej polszczyzny. Sam Janowicz z pewną dozą przewrotności lubił deprecjonować polszczyznę, uznając ją za narzędzie publicystyki. Język, którym można zarobić na chleb artykułem do wysokonakładowej gazety, co w ostatnich latach życia coraz częściej mu się zdarzało i wprawiało w pewną dumę jako zrealizowany projekt „życia z pisania". Zrozumiały dla tych, którymi gardził, łatwo sprawdzalny. Wróćmy jednak do słowa.

Janowicz posiadał pierwotny stosunek do słowa. Polscy pisarze nie odkrywają słowa, tak mu się nie dziwią, nie smakują go, nie gładzą, nie obwąchują, nie modlą się do niego. Jest dla nich oczywiste. Wymyślone przez Kochanowskiego, szlifowane w satyrach biskupa Krasickiego. Nabrało kapłańskiej mocy u Mickiewicza, giętkości u Słowackiego, szaleństwa u Krasińskiego, u Norwida – powietrza, u Leśmiana – zapachu. Słowo Przybosia i Staffa, Gałczyńskiego i Tuwima, Herberta i Miłosza, Kraszewskiego, Sienkiewicza, Reymonta. Aż trafiło do telewizji i gazet, i nikt mu się nie dziwi, bo jest słowem powszednim. Janowicz potrafi zachwycić się tym, że w słowie mieszka całe życie (słowo prowadzi przez życie, samo jest formą życia). Ma świadomość związku słowa i świata, tego, że można wstąpić w świat przez słowo: świat dzieciństwa, lat chłopięcych, młodości. Dla Janowicza jest to białoruskie słowo, ale zachwyt potrafi przekazać po białorusku i po polsku. Zachwyt uniwersalny, zrozumiały w każdym języku.

Dzięki *Modlitwie* wchodzimy do świątyni. (Co zresztą we wspomnianej *Trzeciej porze* zapowiadają stylizowane na ikony motywy okładki). W świątyni panują zaś zasady świątyni. Musimy nastroić się na janowiczowską nutę, rytm tej prozy. Wrócić do naiwnej, dziecięcej wrażliwości. Przyjąć metafory, które poza

świątynią mogłyby być określone jako jarmarczne, banalne, a tu istnieją na innych prawach, prawach świątyni. Jest w niej Janowicz lirykiem i to najistotniejsza jego wypowiedź o życiu.

Ale nie jedyna. Sokrat Janowicz, stając się pisarzem białoruskim, wybrał alternatywny rodzaj życia, trudny i narażający na kompleksy „przegranej", „dziwaka". A także na to, że wokół widzieć będzie ludzi, którzy poszli inną drogą i doszli gdzie indziej. Porównanie z nimi mogło być psychicznie trudne. Ważnym wymiarem jego prozatorskiej twórczości jest krytyka. To po prostu portret, stara jak sztuka słowa metoda lustra ustawionego na gościńcu. Gościniec jest białostocki i podbiałostocki, zaś defilują po nim rozmaite postaci z generacji autora, które łączy jeszcze jedno: białoruskość i chęć pozbycia się jej. Traktowany jak życiowe wyzwanie awans z cywilizacji białoruskiej-wiejskiej do miejskiej i polskiej. Są to właściwie straszne opowiadania, obrazki na miarę białoruskiego Gogola, dotkliwe i zapadające w pamięć czymś złym i wstydliwym. Janowicz, kreśląc je, jest bezlitosny. Ale jak zawsze u inkwizytora – gorliwość w piętnowaniu grzechów kryć może problem z owym grzechem. Nawet istniejącym potencjalnie, jako pokusa, żal, wyobrażona alternatywna droga. Przychodzi na pamięć zdanie przywołanego Nikołaja Gogola, który w *Korespondencji z przyjaciółmi* pisał o swych *Martwych duszach*: „Od wielu moich świństw wyzwoliłem się przez to, że oddałem je swoim bohaterom, wyśmiałem je w nich i zmusiłem innych, by także się z nich śmiali". To najlepszy przykład literatury rozumianej jako oczyszczenie, tutaj w sensie najściślej religijnym – jakościowej zmiany związanej z oddaniem tego, co jest uznane za brudne i grzeszne. Wielu artystów wykonywało podobną operację (przemiana, doskonalenie się), obcując z aniołami. Dopiero na przykładzie Gogola widać, że możliwy jest akt odwrotny – stwarzanie bohaterów niby stada wieprzy („wokół same świńskie ryje"), aby zepchnąć je wewnętrznie do otchłani. Nawet gdyby w pierwszej chwili analogia myśli wielkiego Rosjanina i pisarza z Krynek wydawała się nieco zaskakująca, warto się nad nią zastanowić, bo inaczej sytuuje wiele próz Sokrata Janowicza, które są nie tylko obrazkiem socjologicznym, satyrą i krytyką. Kryją znacznie więcej.

Poczucie własnej wartości (uzasadnione) i słuszności obranej drogi sprawiają, że wyczuwa się w Janowiczu pogardę wobec swych bohaterów sprzeniewierzających się białoruskiemu dziedzictwu. Chce, żeby byli inni. Oni natomiast chcą czegoś innego. Pamiętam, jak podczas przeprowadzonej w Krynkach rozmowy dla miesięcznika „Nowe Książki", który poświęcił pisarzowi okładkę i opublikował zespół materiałów o nim, redaktor Andrzej Bernat (spotkanie to pozostawiło go pod wielkim wrażeniem pisarza) rzucił myśl, że Janowicz mógłby stać się białoruskim Marquezem, utrwalając w swej narracji koleje i barwy świata białostockiego pogranicza. Ta piękna perspektywa powracała w rozmowie kilkakrotnie, pisarz czuł się komplementowany. Rozmowę przerywał zresztą parę razy, schodząc do robotników, którzy wybierali wówczas przepełnione szambo lub naprawiali jakąś kanalizacyjną awarię. Wracał dość zdenerwowany (chodziło oczywiście o pieniądze), racząc nas monologiem na temat ludzi, którzy są jedynie

napełniaczami szamb. Teraz, wspominając to pierwsze nasze spotkanie w 2001 roku (po kilku latach intensywnej korespondencji), sądzę że Sokrat Janowicz nie mógł być białoruskim Marquezem. Nie z powodu braku jakichkolwiek literackich darów (talent narracyjny, obserwacja, rozumienie – wszystko to miał), lecz właśnie z powodu pogardy, którą jako mechanizm obronny wykształciło w nim życie w „Wielkim Mieście Białystok". Był tym życiem zarażony, nie mógł go elegijnie opiewać.

Chętnie je natomiast tłumaczył, zużywając na to w ostatnich latach życia więcej energii niż na pisanie prozy. Miał temperament społecznika, „zwierzęcia politycznego", choć stronił od polityki, rozczarowany jej reprezentantami. Sferą, w której mógł spożytkować swą pasję i aktywność, była eseistyka historyczna. Jego niepowtarzalny styl, pomijając rzecz jasna samą ekstrawagancję pisania o białoruskim narodzie, tworzy mariaż naukowej dociekliwości, pasji historyka-amatora i częstokroć emocji zgoła nieprzystojnych historykowi.

Należy zacząć od tego, że Janowicz jest Białorusinem osobliwym. Z Polską związany więzami urodzenia, z Białorusią łączy go kultura wschodniego zakątka Białostocczyzny, kultura białoruskiej mniejszości narodowej. Przestrzenią własną, jego własną historią, jest więc wspólna historia Białorusi i Polski, w niej może odnaleźć treść takich pojęć, jak tożsamość i patriotyzm. W jego peregrynacjach historycznych odgrywa znaczącą rolę jeszcze jeden element: jest to świadomość milczącego korowodu przodków, których wegetacja „słowiańskiego niewolnika, Białorusina" jawi się pisarzowi jako życie bardziej zwierzęce niż ludzkie, najściślej związane z psychicznym terrorem podstawowej potrzeby chleba. Najlepszy, poetycki portret owego milczącego pochodu, nakreślił Bolesław Leśmian w naśladowaniu wiersza *A kto tam idzie…* białoruskiego poety Janki Kupały:

Szli tędy ludzie biedni, prości –
Bez przeznaczenia, bez przyszłości,
Widziałem ich, słyszałem ich!…

Szli niepotrzebni, nieprzytomni –
Kto ich zobaczy – ten zapomni.
Widziałem ich, słyszałem ich!…

Szli ubogiego brzegiem cienia –
I nikt nie stwierdził ich istnienia.
Widziałem ich, słyszałem ich!…
[…]

(*Ludzie*)

Znaczącym rysem pisarstwa Janowicza jest wiec przywracanie przeszłości i godności narodowi, o którym przed kilkudziesięciu laty prof. Maria Rudzińska-Froelichowa pisała, iż naznaczony jest historią jedną z najsmutniejszych i najtragiczniejszych w Europie – narodowi, który „w ciągu XI wieku tworzył

własną kulturę, brał udział w życiu umysłowym Europy, potem zamarł całkowicie, żeby po długich wiekach zacząć żmudną pracę tworzenia się od początku".

Ten skomplikowany związek pisarza i narodu, człowieka i historii, krystalizuje niepowtarzalny stop emocjonalny eseistyki autora *Białoruś, Białoruś*. Po pierwsze, Janowicz łączy rekonstrukcję historii i jej tworzenie. Temperament pisarza każe mu w sytuacji, gdy czegoś nie wiadomo, domyślać się, czego to mianowicie nie wiadomo. Poza tym, praca literacka polega na przenoszeniu fenomenów ze sfery przemijania bez znaku wartości w sferę sensu i wartości. Toteż autora interesuje nadawanie wartości, nie zaś pogoń za wielkimi faktami. Z wydarzeń historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów buduje przestrzeń białoruskiej pamięci, kod historyczny swego – jak określa – „narodu z narodu".

Po drugie, pisarz opowiada historię własną, nie ukrywając subiektywizmu i emocji, wręcz pielęgnując duchowe komplikacje, pojawiające się na styku jednostka-naród, dzięki którym patriotyzm Janowicza w pełni zasługuje na autoironiczne miano „choroby" na Białoruś. Subiektywizm eseisty jeszcze raz przypomina ponowoczesne wątpliwości na temat statusu historii, której coraz częściej wypada przyznać wartość opowieści, narracji, najściślej związanej z postacią autora. Wizja to nieco archaiczna – historii średniowiecznych kronikarzy i wajdelotów – choć po złudzeniach nowoczesności należałoby przyznać słuszność nieaspirującym do prawd obiektywnych racjom cząstkowym.

Po trzecie, bardzo skomplikowany jest adres tych esejów. Janowicz bowiem kierował swą publicystyczną działalność aż do trzech grup odbiorców, co za każdym razem odmieniało nieco jej profil. Pisał o historii Białorusi, w języku białoruskim, dla Białorusinów. Pisał o Rzeczypospolitej Obojga Narodów i białoruskim weń śladzie, po polsku, dla Polaków. Pisał wreszcie o białoruskiej i polskiej historii, w języku polskim, kierując swą pracę do odbiorców z kręgu białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce, włączając do tej grupy przypadek Polaka-zasymilowanego Białorusina, egzemplarz często spotykany na Białostocczyźnie. W pierwszym wypadku jego teksty próbują włączyć się w nurt kształtowania się świadomości narodowej. Dzięki nim, można śmiało przypuszczać, Janowicz stanie się jednym ze współczesnych duchowych liderów białoruskiego narodu, co już się zresztą dzieje. W wypadku drugim, sytuacja białoruskiego pisarza w Polsce skazuje go na ciągłe objaśnianie, kim właściwie jest. Tak więc również we własnym interesie i nie tylko z konieczności, powtarza Janowicz oczywistości, że taki naród jak Białorusini istnieje, że nie są owi Białorusini jakąś „odmianką rosyjską" ani zrusyfikowanymi Polakami, że posiadają literaturę i liczącą dziesięć stuleci odrębną kulturę. Wyrok, skazujący go na powtarzanie oczywistości, ciąży nad wszystkimi eseistycznymi tekstami pisarza, których wewnętrzną dynamikę osłabiają powtórzenia i powroty do tych samych postaci i faktów.

Wreszcie sytuacja najciekawsza: adresatem publicystyki historycznej Janowicza są mieszkający na Białostocczyźnie członkowie białoruskiej mniejszości narodowej – w znacznym procencie wyłącznie polskojęzyczni, w których świadomości Białoruś istnieje jako prymitywna chłopska kultura podhajnowskich czy

podbiałostockich wsi – stygmat, którego wraz z awansem do grupy wykształconych konsumentów kultury polskiej (tak „wysokiej", jak i „masowej") należy się czym prędzej pozbyć. Oczywiście Janowicz nie aspiruje do zawracania naturalnego procesu asymilacji. Białoruskość nie jest dla mięczaków – powtarza – i wkraczając na delikatny grunt indywidualnych kompleksów i aspiracji, przedstawia ową białoruskość jako sprawę honoru, wierności przodkom. Zarówno w wypadku białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce, jak i teoretycznej większości na Białorusi, chodzi tu o problem pozbycia się kompleksu niższości – który zazwyczaj próbuje się likwidować poprzez akces do kultury dojrzalszej, wyższej, jaką jest kultura polska czy rosyjska.

Janowicz lansuje model Białorusina oddanego misji kształtowania samego siebie, model Białorusina pasjonata, walcząc tym samym z obojętnością i letniością większości ziomków, traktujących białoruskość jak garb, który w kulturalnym świecie Białegostoku najlepiej ukryć. Białoruskość wymaga silnego charakteru – to zdanie pisarza niemal już legendarne.

Świadomość narodowa Białorusinów zawsze była domeną samokształcenia i wyboru. Jednym z wątków rozmów z Jerzym Chmielewskim *Nasze tysiąc lat* jest jej krystalizacja. Janowicz opowiada, jak z osłupieniem odkrywał, że istnieje białoruska historia, kultura, literatura, możliwy jest patriotyzm tego wówczas bezpaństwowego narodu. Do dziś, mimo wieloletniej pracy szkół z językiem białoruskim i mniejszościowych periodyków, sytuacja nie uległa zmianie, bycie Białorusinem – mówił pisarz – wymaga wytrwałej walki o siebie, o to, by nie ugrzęznąć w małoduszności, nie zadowolić się łatwiejszym byciem „jak wszyscy".

Pierwszym etapem białoruskiej edukacji musi być historia, trud docierania do źródeł pamięci dziejowej. Janowicz prezentuje rzadkie stosunkowo spojrzenie na materię historii oczyma nie badacza, lecz potomka bohaterów opowieści, który na podstawie dostarczonego przez naukowców materiału musi zrekonstruować sens i psychologię wyborów przodków. Białoruską historię czyta, co chwila zwracając wzrok w stronę rodzinnych Krynek. Drzewo rodzinnej genealogii zastępuje genealogia narodowa, tylko w tle dziejów Białorusinów na Białostocczyźnie można zobaczyć cienie anonimowych i niemych przodków. Stąd pasja jego historycznej eseistyki. Przynosi ona wizję autorską, żywą, nacechowaną emocjami, choć prawo dygresyjnej gawędy i charakterystyczny rabelaisowski styl sprawia, iż ambitny czytelnik, chcąc z historycznej opowieści Janowicza złożyć względnie spójną wizję białoruskiej przeszłości, prędzej czy później musi skapitulować przed mnogością dygresji i rozbuchanym żywiołem języka pisarza z Krynek.

Niekwestionowaną zaletą publicystyki autora *Białorusi, Białorusi* jest jej odwaga w walce ze stereotypami. Janowicz pogodził się już z faktem, iż skazany jest na burzenie mitów – od tych podstawowych, wręcz żenujących, jak to, że Białorusini nie urodzili się wczoraj, nie są owocem rusyfikacji czy innych inicjatyw rosyjskiego zaborcy, przez podawanie w wątpliwość ustaleń naukowych o charakterze dogmatycznym, aż do powątpiewania na temat słowiańskiego typu antropologicznego przodków Białorusinów. (Autor *Naszego tysiąca lat*

przychylał się w tej kwestii do koncepcji upatrujących w Białorusinach antropologiczny typ bałtyjsko-jaćwieski, kulturowo ukształtowany wszak w słowiańszczyźnie, tak że Mickiewicz mógł widzieć weń naród najgłębiej słowiański).

Janowicz usiłował wygospodarować Białorusinom własne historyczno-kulturowe miejsce, niezależne od wpływów Polski i Rosji. Jednakowo jak z opinią o bliskim pokrewieństwie czy wręcz identyczności z Rosjanami, polemizował z możliwością istnienia na Białostocczyźnie kulturowych perspektyw rozwoju prawosławia polskiego, oderwania go od podglebia białoruskiej kultury. O wiele dłuższą listę kwestionowanych przez pisarza obiegowych poglądów może zakończyć opinia o nim samym jako znawcy wsi i jego twórczości jako kontynuacji wiejskiego wątku w polskiej i białoruskiej literaturze.

We współczesnej polskiej kulturze, w której pozytywistyczny ideał pracy u podstaw i problemy kształtowania się świadomości narodowej są wspomnieniem pogrzebanym w nieczytanych książkach, zdania o narodowości jako kwestii honoru zabrzmią archaicznie, a ich idealizm, skompromitowany „patriotycznym" dyskursem narodowego szowinizmu i walk etnicznych końca XX wieku, może wydać się niepokojący. Janowicz jednak, obserwując współczesność Białorusi przez pryzmat problemu chleba, proponuje coś, co można nazwać nacjonalizmem ekonomicznym. Prezentuje białoruską ideę narodową jako najpewniejszy sposób zdobycia owego upragnionego, tyleż symbolicznego, co realnego, chleba. Nie można efektywnie pracować nie na własnej ziemi, nie na własny rachunek. „Gdyby naród Białoruski nigdy nie istniał – pisze – to należałoby go wymyślić, a to dla dobrej przyszłości ludzi żyjących pomiędzy Grodnem a Mohylewem, Pińskiem a Witebskiem". Kultura, język, symbole i świadomość narodowa są kaprysem sytości, naddatkiem stabilnej ekonomicznie egzystencji, ale nie sposób osiągnąć tej stabilności bez minimum wysiłku w sferze życia społecznego, który ukształtuje poczucie życia we własnym państwie, pracy na własnej ziemi.

Janowicz jest więc takim prorokiem odrodzenia narodowego, który ściśle wiąże sferę idei i ekonomię. Doskonale widać to w jego diagnozach na temat przyszłości mniejszości białoruskiej w Polsce. W tym wypadku przemiany kulturowe (z najpoważniejszą z nich: śmiercią białoruskiej wsi) zostały zafundowane przez przemiany ekonomiczne: próby uprzemysłowienia regionu, powstawanie nastawionych na przemysł miast i migrację niemal całego pokolenia mieszkańców wsi Białostocczyzny. Wieś trzymała się jako tako, ograniczona jednak czasem biologicznego życia jej mieszkańców. Janowicz, przez całe dziesięciolecia zaciekły wróg białoruskiego „nuworyszostwa" na białostockich parkietach – stosunku do życia, który bolał i poniżał jego samego – w tej sprawie zwraca wzrok ku „Wielkiemu Miastu Białystok", jako kolebce nowoczesnej białoruskiej kultury. Umiejętność akceptowania konieczności doprawdy heroiczna! Gdy zagłębić się w artystyczną prozę tego autora, nie sposób nie stwierdzić, że uprawiając publicystykę zmienia on osobowość. Tam zwrócony ku przeszłości, tutaj gotów jest błogosławić to, iż białoruska wieś ginie, wraz z niskim poziomem życia i biedą, przemieniającą ją w wylęgarnię ludzi „nienawidzących samych siebie".

Oglądając w telewizji Eskimosów, którzy mieszkają w igloo, zawsze zastanawiam się, dlaczego nie przeniosą się gdzieś na Południe – pisał w *Dziennikach* Zygmunt Mycielski. W wypadku mniejszości białoruskiej w Polsce do podobnego zjawiska doszło, ze wszystkimi negatywami sytuacji aklimatyzującego się na Południu Eskimosa. (Głównie tym, że nie zyskując zalet człowieka Południa, zatraca pozytywne cechy mieszkańca Północy). Teraz – sądził Janowicz – stworzy on nowoczesną eskimoską kulturę. Wiara ta odróżnia autora *Ojczystości* od piewców ginących kultur, skazanych na katalogowanie tego, co mija, ginie w unifikującym się świecie. Janowicz czeka na Białorusina nowoczesnego, pozbawionego psychicznego terroru chleba, wykształconego i samoświadomego, który będzie równorzędnym partnerem przedstawicieli narodów zjednoczonej Europy i wzbogaci ją o jeszcze jedną, istotną i nową jakość.

Raz jeszcze wrócę do początku. Niewielu jest współcześnie pisarzy – może skazani są na to przedstawiciele małych kultur – którzy z taką mocą jak Sokrat Janowicz wierzą w trwałość kultury. Nawet jeśli możliwa jest naturalna śmierć narodu – powtarzał – stworzona przezeń kultura pozostanie. Taką nadzieję wiązał ze swoją pracą artystyczną. Z pisaniem w języku białoruskim. A eseje? Cóż, mógłby powtórzyć westchnienie Miłosza: „Ileż to razy miałem usta zamknięte dlatego właśnie, że wyłoniwszy się z mglistych obszarów, o których podręczniki i książki rzadko podają wiadomość, a jeżeli, to fałszywą, musiałbym zaczynać od początku. […] Jeżeli trudno albo przykro tłumaczyć, kim jestem, trzeba pomimo to próbować". I robi to nadal, na szczęście dla nas wszystkich.

Анатоль Брусевіч
ГРОДНА

Камень, кінуты ў ваду: некалькі штрыхоў да партрэта Сакрата Яновіча

Пра літаратуру памежжа і яе парадоксы

Мастацтва, народжанае на стыку адразу некалькіх нацыянальных традыцый, вабіць да сябе з падвойнай сілай. Яно заўсёды парадаксальнае і па гэтай прычыне нікога не можа пакінуць абыякавым. Безумоўна, парадаксальнасць „памежнага" мастацтва, асабліва вербальнага, вельмі часта ляжыць па-за сферай чыста літаратурных фактараў. Класічны прыклад – творчасць Адама Міцкевіча, або Чэслава Мілаша, якія сёння не ўпісваюцца ў рамкі ніводнай нацыянальнай літаратуры, па колькі іх постаці ў пэўны момант зрабілася не толькі сімваламі высокага мастацтва, але і палітычнымі сцягамі.

У найноўшай гісторыі „памежнай" літаратуры ёсць яшчэ адна постаць, якая рызыкуе ператварыцца ў падобны сцяг-сімвал. Гэта постаць Сакрата Яновіча (1936–2013), якому таксама давялося прайсці праз жыццёвы і творчы шлях, забрукаваны рознага кшталту парадоксамі. Было ж наканавана, напрыклад, нарадзіцца ў Крынках акурат у тыя часы, калі мястэчка перажывала, мякка кажучы, не самы лепшы перыяд сваёй гісторыі. Воляй злога лёсу будучы літаратар на працягу першых васьмі гадоў жыцця пабываў грамадзянінам некалькіх дзяржаваў, пры гэтым нікуды не з'язджаючы. Такая акалічнасць не магла пазней не паўплываць на фармаванне творчай свядомасці С. Яновіча. І яна, канешне, паўплывала. Паўплывала прыкладна ў той самай ступені, як на А. Міцкевіча нараджэнне ў поствэкаэлаўскія часы на Наваградчыне, або на Ч. Мілаша нараджэнне ў Шатэйнях, на скрыжаванні старажытных гістарычных краінаў – Жмудзі і Літвы. Зрэшты, у адрозненні ад А. Міцкевіча і Ч. Мілаша, С. Яновіч не такі маналітны, бо свядома абірае шлях беларуска-польскага пісьменніка – піша як па-беларуску, так і па-польску. А. Міцкевіч і Ч. Мілаш у сваю чаргу сярод культурнага шматгалосся, у якім нарадзіліся, выбралі наймацнейшы голас – польскі. Аднак усіх

трох пісьменнікаў аб'ядноўвае цікавая рыса: ні А. Міцкевіч, ні Ч. Мілаш, ні С. Яновіч не мелі сапраўднай, адзінай маці-радзімы. Гэта, бадай, найвялікшы парадокс любога літаратурнага і культурнага памежжа.

Возьмем таго ж А. Міцкевіча. Ён нарадзіўся ў 1798 годзе на беларускіх землях, што складалі ядро Вялікага Княства Літоўскага, разам з княствам уваходзілі ў федэрацыю Рэч Паспалітая, але пасля апошняга яе падзелу ўжо тры гады як належылі Расійскай імперыі. Безумоўна, дзяржава-захопніца не магла лічыцца радзімай паэта. Не магла лічыцца радзімай у поўным сэнсе гэтага слова і Рэч Паспалітая, бо і ў часы свайго фармальнага існавання гэтае палітычнае ўтварэнне не было нечым цэласным і даволі абстрактна ўспрымалася жыхарамі Літвы. Радзімай сталася міфічная Літва, услаўленая А. Міцкевічам і ў *Баладах і рамансах*, і ў *Дзядах*, і ў *Пане Тадэвушу*.

Што да Ч. Мілаша, то ён, як і А. Міцкевіч, увесь час звяртаў увагу на свае ліцвінскія карані, падкрэсліваў, што ён паэт з Літвы. Тым самым, следам за сваім вялікім папярэднікам, Ч. Мілаш чарговы раз згадваў пра існаванне мноства духоўных каштоўнасцей, якія засталіся ад колішняга Вялікага Княства Літоўскага і без якіх аблічча сучаснай еўрапейскай культуры было б невыразным. Дзякуючы менавіта гэтаму, паэт знайшоў сваю айчыну. Гэта была Еўропа, Rodzinna Europa. А яшчэ для Ч. Мілаша радзімай сталася мова: „Moja wierna mowo [...] Byłaś moją ojczyzną, bo zabrakło innej"[1].

Для С. Яновіча радзімай сталася Беларусь. Аднак не треба блытаць радзіму пісьменніка з вядомымі дзяржаўнымі ўтварэннямі. Беларусь С. Яновіча нельга атаясамліваць, з БССР, альбо з РБ, якія абвітыя калючым дротам, увесь час ляжалі і цяпер ляжаць на ўсход ад Крынак. Радзіма С. Яновіча – міфічная краіна, часткова прыдуманая ім самім, часткова пазычаная ад іншых творцаў, здабытая з глыбіняў уласнай свядомасці і народнай культуры. Радзіма С. Яновіча – terra incognita, белая пляма, якую пісьменнік праз усё жыццё намагаўся прадставіць свету як нешта шматколернае, часам нават вясёлкавае. Але гэтая міфічная краіна існавала толькі ў свеце тэкстаў, замыкалася выключна ў мове. Гэта значыць, для С. Яновіча, як і для Ч. Мілаша мова ставалася сапраўдным, рэальным светам, радзімай, па-за якой – пустэча, выгнанне. Зрэшты, і сам пісьменнік у адным з інтэрв'ю прызнаваўся, што існуе ў мове. А дакладней, у двух мовах – у беларускай, з якой нарадзіўся, і ў польскай, з якой выхоўваўся, дарастаў[2].

Так ці інакш, але ўсё пачыналася з мовы. Прыгадаем, што шлях да сваёй прыватнай Беларусі С. Яновіч пачаў з працы ў „Ніве" – вядомым сёння беластоцкім тыднёвіку беларускай меншасці ў Польшчы. Гэта быў 1956 год – год заснавання газеты, таму, вядома, у выдання мелася безліч праблем, звязаных перш за ўсё з недахопам матэрыялу і недастатковым узроўнем валодання журналістамі беларускай мовай. І С. Яновіч, валодаючы

---

[1] Cz. M i ł o s z, *Poezje wybrane*, Warszawa 1981, s. 111.

[2] *Сакрат Яновіч: як я стаў беларусам* [дак. фільм], reż. Пётр Садзіньскі, http://www.youtube.com/watch?v=XvbajNFVhgI [dostęp 20.05.2013].

ў аднолькавай ступені як беларускай, так і польскай мовай, выконваў вялізны аб'ём працы, звязанай з перакладам польскіх тэкстаў, а таксама як журналіст, пішучы для „Нівы" артыкулы на разнастайныя тэмы. Пазней пісьменнік назаве іх „страшэнна наіўнымі, дзіка надуманымі тэксцікамі і апавяданнямі"[3], але без іх напэўна б не паўсталі тыя сур'ёзныя кнігі, якія прынеслі С. Яновічу шырокую вядомасць, у тым ліку і па-за беларускамоўнай аўдыторыяй.

Пра кнігі, выдадзеныя ў Беларусі, чытацкую аўдыторыю Сакрата Яновіча і некаторыя іншыя моманты

Разважаючы над чытацкай аўдыторыяй С. Яновіча, варта заўважыць: яна не дзеліцца паводле моўнага прынцыпу. Так, у пісьменніка частка кніг выйшла па-беларуску, а частка – па-польску. Ёсць яшчэ кніга, перакладзеная на англійскую мову – *Miniatures* (London 1993) і кніга ў перакладзе на італьянскую мову – *Miniature* (Venezia 1997). Аднак С. Яновіч не пісаў для беларусаў і палякаў, тым болей для англічан і італьянцаў. Як і Ч. Мілаш, ён стваральнік універсальнай, звышнацыянальнай літаратуры, разлічанай перадусім на чытача-інтэлектуала. А вось у выбары тэматычнага і ідэйнага напаўнення твораў С. Яновіч блізкі да А. Міцкевіча. Пра што б ні пісаў вялікі рамантык – атрымлівалася пра Літву (Беларусь). Пра што б ні пісаў вялікі беластачанін – атрымлівалася пра Беларусь (Літву).

З іншага боку, як гэта не прыкра сцвярджаць, універсальны літаратар С. Яновіч так і застаўся пераважна рэгіянальным пісьменнікам. Асабліва, калі мець на ўвазе беларускамоўныя кнігі аўтара. Большасць з іх з'явілася ў беластоцкіх, альбо ў іншых „хатніх" выдавецтвах, асела на руках у мясцовых і нешматлікіх „заяздных" аматараў прыгожага пісьменства, не зрабіўшы вялікага, гучнага рэзанансу па-за лакальным літаратурным працэсам. З польскамоўнымі кнігамі, канешне, іншая сітуацыя: яны выходзілі як у рэгіянальных, так і ў сталічных выдавецтвах, маючы добры шанс апынуцца ў хатняй бібліятэцы паляка з любой часткі краіны. Зрэшты, сітуацыя з міграцыяй кнігі ў Польшчы значна адрозніваецца ад сітуацыі ў той жа Беларусі. У Польшчы рэгіянальныя і сталічныя выдавецтвы маюць амаль роўныя магчымасці данесці чытачу сваю прадукцыю і таму аднолькава „ўплываюць" на імідж і папулярнасць пісьменніка. А вось у Беларусі, каб „прагучаць", трэба выдацца ў Мінску. Рэгіянальныя выдавецтвы да сённяшняга дня ўспрымаюцца беларускім чытачом (таксама як і чытачом-беларусам) з вялікай доляй скепсісу і недаверу. А як вядома, пісьменніку статус рэгіянальнага, нацыянальнага, еўрапейскага альбо сусветнага прысвойвае ўсё ж такі не крытык, а чытач. Таму беларускамоўны свет С. Яновіча

[3] Тамсама.

застаецца светам лакальным, светам „меншасці", гэткімі загонамі, сутнасць і характар якіх пісьменнік яскрава раскрыў яшчэ ў 1969 годзе ў сваёй першай кнізе. Не змянілі асабліва сітуацыю і тры кнігі, выдадзеныя ў Мінску, бо на вялікі жаль, беларускае слова і ў Беларусі застаецца словам меншасці. Акрамя таго, па самых розных прычынах цікавасць да кнігі стала падае, ды і „чытач цяпер не той, што быў раней"[4], як адзначыў у сваім апошнім інтэрв'ю С. Яновіч.

Першай кнізе, выдадзенай у Мінску яшчэ ў часы БССР – у 1978 годзе пашанцавала не болей, чым дзвюм другім, што з'явіліся ўжо ў Рэспубліцы Беларусь. Рэч ідзе пра кнігу *Сярэбраны яздок*. З аднаго боку, чытач быў яшчэ „той", не сапсаваны масавай літаратурай, ды і пісьменнік, няхай сабе і з суседняй Польшчы, і быццам бы беларус, тады яшчэ ўспрымаўся як „заходні", нават крыху экзатычны, таму несумненна цікавы. З другога боку, выдалі ўсяго 6 тысяч асобнікаў. Сёння такі тыраж быў бы файным, а на тыя часы гэта не выглядала шчодра. Да слова, кнігі Васіля Быкава і Уладзіміра Караткевіча ў тыя гады ў той самай *Мастацкай літаратуры* выходзілі накладамі ў дзесяткі разоў большымі.

Кніга *Самасей* выйшла з друку ў лепшую пару. Быў 1992 год – уздым нацыянальнага адраджэння, цікавасці да ўсяго беларускага, тым болей да літаратуры беларускага замежжа. Аднак у гэтыя самыя часы з'явіліся і другія новыя, цікавыя аўтары, выданні, нават цэлыя літаратурныя плыні і накірункі, якія па-просту рассеялі ўвагу чытача. Не, С. Яновіч не згубіўся на стракатым фоне тагачаснага літаратурнага працэсу. Знайшоў свайго чытача і ягоны *Самасей* (так як знайшоў некалі ўдзячную аўдыторыю польскамоўны пераклад *Самасея*, выдадзены на 11 гадоў раней за арыгінал[5]), але стацца зоркай першай велічыні на беларускім парнасе пісьменніку з Падляшша зноў не ўдалося – занадта многа зорак запалілася побач у адначассі. Акрамя таго беластоцкі аўтар па-ранейшаму пазіцыянаваў сябе як стваральнік універсальнага мастацтва, а значыць не ваяваў за нейкую канкрэтную аўдыторыю, як гэта рабілі многія ягоныя калегі па літаратурнаму цэху.

Праз пяць гадоў, у 1997 годзе ў *Мастацкай літаратуры* была выдадзена трэцяя кніга С. Яновіча, назву якой даў раман *Сцяна*. Акрамя згаданага раману кнігу традыцыйна аздобілі кароткія апавяданні, кампактнасць якіх (сціскванне зместу без страты мастацкасці) даўно палюбілася чытачу. Але на гэты раз чытацкую ўвагу мусілі заняць не дасканала адшліфаваныя мініяцюры, а цалкам новы жанр ад С. Яновіча. Беластоцкі пісьменнік паўставаў ва ўсёй красе ў абліччы раманіста. Раман С. Яновіча *Сцяна* паводле ўсіх мастацкіх законаў не менш дасканалы за ягоныя „фірменныя" карацелькі. Цікавы раман і тым, што гэта адзін з нямногіх узораў літаратуры экзістэнцыялізму ў беларускім вербальным мастацтве. Класічныя творы,

[4] Тамсама.
[5] Гл.: S. J a n o w i c z, *Samosiej*, tł. J. Plutowicz, Warszawa 1981.

вытрыманыя ў гэтым накірунку, належаць аўстрыйскаму пісьменніку Францу Кафку, ды французам Жану-Полю Сартру і Альбэру Камю. І ў раманах Ф. Кафкі, і ў кнігах Ж. П. Сартра, і ў творах А. Камю, і ў *Сцяне* С. Яновіча бачым тое самае: кволы чалавек паўстае супраць магутнага зла, у выніку чаго чалавека чакае непазбежная параза, аднак сэнс такога змагання не ў перамозе, а ў самім змаганні.

Паводле спосабу адлюстравання сутнасці свету і чалавечага быцця ў ім, для С. Яновіча самым блізкім усё ж будзе Ф. Кафка, што, зрэшты, можна вытлумачыць тым полікультурным раздарожжам, на якім давялося выбудоўваць уласную мастацка-эстэтычную сістэму каардынат абодвум пісьменнікам. Дарэчы, пра некаторыя кропкі судакранання рамана *Сцяна* са светам герояў аўстрыйскага экзістэнцыяліста згадвае Ян Максімюк. Праўда крытык лічыць, што „ў рамане С. Яновіча дамінуе ўсё ж не дух абсурду і пачуццё вінаватасці галоўнага героя, як у Ф. Кафкі, а рацыянальнасць і вера ў, так бы мовіць, сваю невінаватасць і лепшую будучыню”[6]. Цяжка пагадзіцца з такім бачаннем рамана С. Яновіча. Думаю, намаганні Сцяпана Сумленевіча змяніць свет вакол сябе, як і спробы Юзафа К. адшукаць справядлівасць, поўняцца аднолькавай паводле сваёй наіўнасці і верай, і рацыянальнасцю. Вера абодвух герояў ў рацыянальнасць аднолькава разбіваецца аб сцяну абсурднага, ірацыянальнага свету. Не лішнім будзе таксама дадаць, што вобраз сцяны (муру) – адзін з ключавых у вобразна-матыўнай парадыгме літаратуры экзістэнцыялізму. Напрыклад, пад такой назвай – *Le Mur* у 1938 годзе выйшаў зборнік апавяданняў Ж. П. Сартра. Назву кнізе дала аднайменная навэла, якая ў рускамоўных перакладах вядомая як *Сцяна*, а ў беларускамоўным яе варыянце, здзейсненым Зміцерам Коласам, называецца амаль як і ў арыгінале – *Мур*. Што ж да *Сцяны* С. Яновіча, то, як ужо згадана, у мінскім выдавецтве *Мастацкая літаратура* яна з’явілася ў 1997 годзе. Але гэта не было першае выданне. Першы варыянт раману пабачыў свет яшчэ ў 1979 годзе, прычым, як і аповесць *Самасей*, спачатку ў перакладзе на польскую мову[7]. Беларускамоўную *Сцяну* чытач змог пабачыць толькі ў 1993 годзе ў кнізе *Доўгая сьмерць Крынак*[8]. Дарэчы, гэтая кніга паводле зместу мала чым адрозніваецца ад мінскага выдання. У мінскай *Сцяне* спачатку ідзе раман, потым – апавяданні. У *Доўгай сьмерці Крынак* – усё наадварот: спачатку апавяданні, пасля раман. Апавяданні ў кнігах пададзены тыя самыя, толькі ў іншым парадку. Адзінае, у мінскай кнізе знікла цікавае апавяданне, напісанае таксама, дарэчы, амаль у „кафкаўскім” стылі. Яго назва – *Страшны канец Антона*. Затое дабавіліся чатыры новыя тэксты (*Скроўба*, *У адным няскончаным асабняку*, *У мястэчку* і *Няўдалы шпацыр*), даволі розныя паводле апавядальнага зместу, але блізкія ідэйна, бо кожнае

[6] Я. М а к с і м ю к, *Сакрат Яновіч і загоны памяці*, http://litaratura.org/neabavyazkovyya-chytanni?artid=95 [dostęp 20.03.2013].

[7] Гл.: S. J a n o w i c z, *Ściana*, tł. J. Plutowicz, Olsztyn 1979.

[8] Гл.: С. Я н о в і ч, *Доўгая сьмерць Крынак. Апавяданьні, аповесьць*, Беласток-Бельск 1993.

ўздымае ўлюбёную тэму літаратуры экзістэнцыялізму – адчужанасці і самаадчужанасці чалавека. Такім чынам, кнігу С. Яновіча *Сцяна*, што з'явілася на кніжных паліцах Беларусі ў 1997 годзе, можна назваць фактычна другім выданнем беластоцка-бельскай *Доўгай сьмерці Крынак*. І гэтаму другому выданню зноў крыху не пашанцавала. Яно магло б стацца нават сенсацыяй, але ў гэты самы час выходзіць кніга з аналагічнай назвай – *Сцяна* В. Быкава. Быкаўская *Сцяна* мелася таксама паўстаць у *Мастацкай літаратуры*, аднак рэдактары дзяржаўнага выдавецтва адмовілі народнаму, але апальнаму на той момант пісьменніку. Кніга выйшла ў незалежным выдавецтве „Наша Ніва". Зразумела, што ўся пазалітаратурная гульня, якая суправаджала выданне кнігі В. Быкава, зрабіла яе надзвычай запатрабаванай нават сярод тых, хто даволі стрымана ставіўся да айчыннага прыгожага пісьменства. І на фоне ўсёй гэтай гульні іншая, не меньш высокая і такая ж магутная *Сцяна* С. Яновіча апынулася па-за належнай увагай як чытачоў, так і літаратурных крытыкаў.

Пра творчасць Сакрата Яновіча, як аб'ект даследвання

Кнігі С. Яновіча яшчэ дачакаюцца свайго даследчыка. Паводле творчасці гэтага аўтара несумненна паўстануць грунтоўныя манаграфіі. І не толькі літаратуразнаўчага характару. На сённяшні ж дзень праца ў гэтым кірунку выглядае крыху сціпла. Прынамсі ў навуковых выданнях Рэспублікі Беларусь постаць С. Яновіча згадваецца не так часта, як хацелася б. З іншага боку, яго імя фігуруе ў такіх значных энцыклапедычных даведніках, як *Беларускія пісьменнікі (1917–1990)*[9], альбо шасцітомны бібліяграфічны слоўнік *Беларускія пісьменнікі*[10]. Не забыліся ўключыць пісьменніка і ў 18-томную *Энцыклапедыю Беларусі*[11].

Нельга не згадаць, што С. Яновічу была нават прысвечана цэлая міжнародная навуковая канферэнцыя, прыўрочаная да яго 60-годдзя (Беласток, 8 чэрвеня, 1996 г.), на якой выступілі такія вядомыя даследчыкі беларускай літаратуры, як Уладзімір Гніламёдаў (Беларусь), Базыль Бялаказовіч (Польшча), Арнольд Макмілін (Вялікабрытанія) ды Норберт Рандаў (Германія). Матэрыялы канферэнцыі выйшлі асобнай кнігай[12] і ўяўляюць сабой цікавыя і даволі разнастайныя назіранні за словам беластоцкага аўтара.

---

[9] Гл.: *Беларускія пісьменнікі 1917–1990*, укл. А. Гардзіцкі, Мінск 1994.

[10] *Беларускія пісьменнікі. Біябібліяграфічны слоўнік у 6 тамах,* пад рэд. А. Мальдзіса, Мінск 1992–1995.

[11] А. Мальдзіс, *Яновіч Сакрат*, (у:) *Беларуская энцыклапедыя*, т. 18, кн. 1, Мінск 2004, с. 274.

[12] Гл.: *З крыніц. Зборнік артыкулаў (матэрыялы з канферэнцыі прысвечанай творчасці Сакрата Яновіча)*, Беласток, 8 чэрвеня 1996 года), Беласток 1996.

Сярод даследчыкаў з Беларусі, што сказалі сваё важкае слова пра Сакрата Яновіча, акрамя згаданага У. Гніламёдава, можна згадаць Пятра Васючэнку, які мае некалькі змястоўных артыкулаў на гэтую тэму, у тым ліку *Абрысы мастацкага свету Сакрата Яновіча (хранатоп, іронія, сімвал)*[13]. У названай працы, дарэчы, вельмі дакладна акрэсліваецца месца С. Яновіча ў беларускім літаратурным працэсе і перспектывы навуковага, літаратурна-крытычнага і мастацкага асэнсавання спадчыны творцы. У сваім артыкуле П. Васючэнка называе таксама сваіх калегаў, чыя сфера навуковых інтарэсаў перасякаецца з мастацкім светам беларуска-польскага пісьменніка:

> Сёння, пры змененых геапалітычных і культурных дэкарацыях, мастацкі кантэкст Сакрата Яновіча папоўніўся за кошт крытыкаў, якія паслядоўна і ўдумліва даследуюць яго творчасць, прычым не спыняюцца на стадыі ідэнтыфікацыі, – гэта Я. Чыквін, В. Варашыльскі, Я. Максімюк, М. Тычына, У. Конан, загадкавы Д. Стывен, аўтар гэтых радкоў[14].

Асобна варта закрануць яшчэ адну важную тэму ў „сакраталогіі" (аўтарства гэтага „тэрміна" належыць П. Васючэнку): узаемадзеянне мастацкіх светаў С. Яновіча і Янкі Брыля. Адразу згадаем, што апошняму давялося прадстаўляць беларускай (савецкай) чытацкай аўдыторыі кнігу С. Яновіча *Сярэбраны яздок*, напрыканцы якой Я. Брыль змяшчае зацемку *Замест пасляслоўя*. У ёй аўтарытэтны беларускі пісьменнік даволі высока ацэнівае свайго маладзейшага калегу з Польшчы. Дарэчы, Я. Брыль быў першым, хто звярнуў увагу на наяўнасць пэўных рысаў у творчасці С. Яновіча, якія сведчаць пра яскравы талент пісьменніка-мадэрніста. Але ў часы панавання сацыялістычнага рэалізму Я. Брыль, зразумела, паказаў гэтыя рысы як „недахопы росту" беластоцкага аўтара:

> […] сям-там у яго зашмат бывае надзеі на падтэкст, крыху залішняя для прозы, а то і выразна знарокавая, ледзь не штучная паэтычнасць, мнагавата часамі стамляючай інверсійнасці…"[15].

Зрэшты, „недахопы", названыя Я. Брылём, можна адшукаць і ў яго ўласнай прозе, асабліва ў кароткіх апавяданнях. Увогуле, паміж пісьменнікамі, як аказалася, шмат агульнага. Каб не так, ці стаў бы С. Яновіч перакладаць на польскую мову брылёўскія мініяцюры, якія ў 1979 годзе выйшлі ў Варшаве асобнай кнігай?[16] Можа б і стаў, але каб не было такога падабенства ў мастацка-эстэтычных сістэмах аўтара арыгіналу і самога пера-

---

[13] П. В а с ю ч э н к а, *Абрысы мастацкага свету Сакрата Яновіча (хранатоп, іронія, сімвал)*, „Тэрмапілы" 2003, № 7, с. 101–105.

[14] Тамсама, с. 102.

[15] Я. Б р ы л ь, *Замест пасляслоўя*, (у:) С. Я н о в і ч, *Сярэбраны яздок. Аповесць, апавяданні, замалёўкі, гумарэскі*, Мінск 1978.

[16] Гл.: J. B r y l, *Witraże*, wybór i tł. S. Janowicz, Warszawa 1979.

кладчыка, атрымалася б, відаць, цалкам іншая кніга, магчыма, не цікавая польскаму чытачу. Тут жа адзначым, што праблема брылёўска-яновічаўскіх стасункаў не была абдзелена ўвагай літаратуразнацаў. Нельга ў сувязі з гэтым не прыгадаць даследчыцу з Віцебска Ірыну Саматой, аўтарку некалькіх публікацый пра беластоцкага пісьменніка, у тым ліку артыкула *Творчасць Сакрата Яновіча і традыцыі лірычнай прозы Янкі Брыля*[17]. Таксама можна згадаць гарадзенскую даследчыцу Вольгу Нікіфараву і яе працу *Аб тыпалагічных сыходжаннях у жанравай стратэгіі Янкі Брыля і Сакрата Яновіча*[18].

PS

Прафесар Універсітэта ў Беластоку, паэт, перакладчык, гісторык літаратуры Ян Чыквін у кнізе *Далёкія і блізкія* напісаў такія словы:

> Зараз кожная гаворка пра творчасць Сакрата Яновіча непазбежна цягне за сабою цэлы шэраг жывых, актуальных літаратурных і пазалітаратурных праблем, якія – як тыя кругі на вадзе – хутка расходзяцца ад вузкага цэнтра, ад літаратурнага аб'яднання „Белавежа", дзе выспяваў талент пісьменніка, да самых розных аспектаў прыгожага пісьменства, беларускай культуры і нацыянальнага жыцця[19].

Гэта чыстая праўда: творчая плашчыня С. Яновіча настолькі шырокая, што, выкарыстоўваючы метафару камня, кінутага ў ваду, кругоў павінна хапіць не на адно грунтоўнае манаграфічнае даследванне.

А яшчэ сваіх даследчыкаў чакае глыбіня, на якую будзе апускацца кінуты камень. Цікава, ці дасягне камень дна?

---

[17] Гл.: І. С а м а т о й, *Творчасць Сакрата Яновіча і традыцыі лірычнай прозы Янкі Брыля*, „Тэрмапілы" 2005, № 9, с. 232–236.

[18] Гл. В. Б. Н і к і ф а р а в а, *Аб тыпалагічных сыходжаннях у жанравай стратэгіі Янкі Брыля і Сакрата Яновіча*, (у:) *Творчасць Івана Навуменкі: славянскі, еўрапейскі, сусветны кантэкст (да 85-годдзя з дня нараджэння народнага пісьменніка Беларусі, акдэміка І. Я. Навуменкі). Матэрыялы Рэспубліканскай навуковай канферэнцыі, Мінск, 16 лютага 2010 г.*, пад рэд. С. С. Лаўшук, Мінск 2010, с. 363–368.

[19] Я. Ч ы к в і н, *Далёкія і блізкія. Беларускія пісьменнікі замежжа*, Беласток 1997, с. 167.

Jerzy Plutowicz
BIELSK PODLASKI

Przejścia nie ma

Zadomowić się w Białymstoku – rzecz dla przyjezdnego niełatwa – to, co ważne, jak głosiła czarna legenda, zawarowane było dla swoich, tu lub w okolicach miasta urodzonych, zasiedziałych, zabezpieczonych siecią powiązań rodowych, kumoterskich. Przybyłem do Białegostoku w połowie lat 70. ubiegłego wieku – wyobrażałem sobie, że na chwilę, szczelinę w dziejach, aby zakotwiczyć się po tułaczce, wymacać twardy grunt – okazało się, że przybyłem na stałe… Lubimy określać, nazywać swój los – my, świadomi inteligenci – jako ukształtowany wolną, swobodną decyzją; niepomni przestrogi mądrego Odo Marquarda o przypadku, serii przypadków, które nasze biedne życie określają, nasycają barwami, kształtami i koniecznościami.

Znalazłem się w Wielkim Mieście Białymstoku świeżo po debiucie książkowym, ale, cóż za ironia losu, w tym siermiężnym Białymstoku debiut ów pozostał nierozpoznany, jak się zdaje, po prostu nieprzeczytany przez publiczność zaglądającą do ksiąg wszelakich. Białystok jawił mi się wówczas bytem na kształt uliczki wiejskiej, z siedzącymi na ławeczkach przed chałupami babciami-staruszkami, które przyglądają się obcemu przechodniowi – ciekawe, kim on jest i dokąd to tak sobie idzie. Ale ciekawość ta pozostaje bez konsekwencji. Pierwsze wrażenie, zjawa – bywa jednakże myląca.

Nie mogę przecież pominąć tak ważnego zjawiska w Białymstoku, jakim był salon u Zosi i Sławka Pezowiczów – prawdę mówiąc salon ów stanowiły pokój z kuchnią mieszkanka przy Sienkiewicza, w bloku nad restauracją Grodno – ale spotykali się w nim ci, którzy na przyjaźń Zosi i Sławka pracą i talentem artystycznym musieli zasłużyć. Pamiętam długie dyskusje na tematy nie tylko kultury, lecz także polityki, wydarzeń krajowych ważnych dla bytu Ojczyzny. Któż nie przewinął się przez salon – od Jacka Kuronia poczynając po choćby studenta psychologii Bogdana Białka – dziś twórcę i wydawcę cenionego periodyku „Charaktery".

Poprzez salon Pezowiczów – Zosia[1], socjolożka, i Sławek, obiecujący poeta – zbliżyłem się do pisarza białoruskiego Sokrata Janowicza, którego świetne *Zahony*

[1] Zofia Lewicka-Pezowicz (1946) – socjolożka, działaczka solidarnościowej opozycji, zajmowała się m.in. organizowaniem pomocy prawnej represjonowanym po 1981 r.,

w języku białoruskim i wydane w przekładzie na polski *Wielkie miasto Białystok* – zbiory krótkich tekstów, nowel, drobinek poetyckich, a jakże ważnych – urzekły mnie.

Sokrat zaliczany był do grona pisarzy świetnych – jak Edek Redliński, który właśnie wydaną powieścią *Konopielka* wkroczył do grona pisarzy najważniejszych. Był tam także Włodek Pawluczuk – dziś szanowany profesor – który *Wierszalinem…* zabłysnął. W tym kręgu obracali się autorzy bez tekstów, jak choćby znakomity szyderca i kpiarz Andrzej Łucyk, czy mędrzec – zakochany w muzyce ludowej, lecz także w kulturze Ukrainy – Zbyszek Nasiadko[2] (jedynie wysokiego wzrostu poeta Wiesiek Kazanecki chadzał odrębnymi ścieżkami).

Całe to towarzystwo w poglądach na świat i siebie w świecie deklarowało się wówczas jako szeroko pojęta lewica – ale jak w PRL-u bywało – przez tępych urzędasów ludzie ci traktowani byli jako wrogowie Systemu. System był podejrzliwy wobec osobników, którzy odważali się na szczere dyskusje światopoglądowe – cenił tych, co mierni, ale wierni. Cóż to był zresztą za System, jeśli jego przedstawiciele, owa czerwona burżuazja, chlubiła się posiadaniem willi, samochodu i jachtu – stan posiadania wykwalifikowanych robotników bogatych krajów Zachodu. Wbrew temu, co głoszą niektórzy niezbyt mądrzy antykomuniści – Polska ówczesna była naszą jedyną Ojczyzną, wprawdzie krajem zależnym od Wielkiego Brata, ale kwitła w nim oryginalna kultura, wychodziły interesujące książki i filmy – innej Ojczyzny nie mieliśmy. Kiedy Juliusz Mieroszewski ogłosił był w paryskiej „Kulturze", że do rozpadu ZSRR dojdzie w perspektywie raczej bliższej niż dalszej, dlatego Polacy już teraz powinni zadbać o poprawne stosunki z Litwinami, Białorusinami czy Ukraińcami – nawet najzaciętsi wrogowie Systemu uważali ów pogląd za chory wytwór osobnika niespełna rozumu. Upadek Systemu wydawał się nierealny.

Towarzystwo spod znaku salonu pozostawało opozycją względną, podobnie jak opozycyjność KOR-u czy „pierwszej" Solidarności z lat 1980–81. Sokrat już wówczas był postacią znaczącą, wyróżniającą się – zdarzało się, że obdarzano go cechami, właściwościami z pięknych rejonów mitu. Skłócony z władzą, odejść musiał z redakcji białoruskiego tygodnika „Niwa" – do legendy należało jego poszukiwanie pracy, gdy żaden z dyrektorów licznych przecież zakładów i instytucji nie chciał go, jako podejrzanego osobnika, zatrudnić (wtedy nie wiedzieliśmy, że była to zemsta Służby Bezpieczeństwa za odmowę współpracy – o czym dalej). W oczach młodej cyganerii artystycznej był człowiekiem doświadczonym przez życie, co umiejętnie przekuwał w jakże świeże teksty literackie. Był klasykiem – w poglądach politycznych zachowywał mądrą trzeźwość, niezależność. Zdarzało się, że gdy ktoś z jego rozmówców szczególnie ostro atakował zasady Systemu – Sokrat potrafił

współpracowniczka KOR, organizatorka struktur białostockiej „Solidarności", autorka w podziemnym „Biuletynie Informacyjnym", kolporterka wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu; od 1987 na emigracji w Kanadzie.

[2] Zbigniew Nasiadko – publicysta, poeta, pieśniarz i znawca folkloru, prezes Towarzystwa Muzycznego „Słopiewnie" w Białymstoku.

zaoponować: nie zapominajcie, że to właśnie w epoce realnego socjalizmu dokonało się podniesienie klas poniżonych, otwarty został masowy dostęp do nauki, pracy i władzy. Natomiast gdy ktoś zagalopował się w pochwale Systemu – wtrącał ze smutkiem: nie zapominajcie, że egzystujemy w państwie policyjnym, że socjalizm w ZSRR przyczynił się, poprzez nasiloną rusyfikację, do wyniszczenia białoruskiego narodu. Narodziny Solidarności także traktował ostrożnie – Białorusini obawiali się obudzenia polskiego nacjonalizmu, tego wrednego, spod znaku endecji – polski nacjonalizm był synonimem narodowego ucisku, nietolerancji.

W poglądach na wielką politykę Sokrat był bliski Leszkowi Kołakowskiemu, który w inteligentnym eseju opisał, jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą. Można określić taką postawę jako rodzaj epikureizmu, wybór złotego środka, mądrego umiaru. Powracając do przyziemności – Sokrat oczywiście lubił biesiady w interesującym towarzystwie, lecz obce mu były przedłużone alkoholowe seanse, z jakich znana była cyganeria. Jeśli ktoś po transie biesiadnym zjawiał się w jego mieszkaniu przy Curie-Skłodowskiej – mógł liczyć na życzliwą opiekę, lecz także na porady życiowe, włącznie z zawstydzającymi przestrogami. Bywał duszą towarzystwa, znany był z poczucia humoru.

Opowiadano, że jako dziennikarz „Niwy" zdobywał się na niecodzienne „zrywy". „Niwa" miała swoją siedzibę w domu prasy przy Wesołowskiego (dziś Suraska). W trakcie owych euforycznych zrywów zwracał się do wszystkich znajomych, nie wyłączając rodowitych Polaków, po białorusku. Pracownicy domu prasy na jego widok rzucali się do ucieczki (ponoć jedynym, który nie unikał rozmowy po białorusku był rodowity Kurp – Zbyszek Nasiadko).

Opowiadał mi Sokrat, że w stanie wojennym SB przeprowadziło w jego mieszkaniu rewizję. Dokładny Sokrat sprawdził później przepisy prawne i okazało się, że na rewizję w domu nadal zgodę musiał wydać prokurator, z jedynym zastrzeżeniem, że w stanie wojennym mógł to być prokurator wojskowy. Natomiast rewidujący go takowego nakazu nie okazali. W związku z tym Sokrat udał się do siedziby SB i poprosił, by nakaz rewizji mu przedstawiono. — O, cholera — powiedział oficer, do którego zwrócił się Sokrat — nakaz jest w szufladzie, do której klucz ma sekretarka. Niestety, jak na nieszczęście, właśnie wyjechała z Białegostoku na miesięczny urlop. — W takim razie zgłoszę się za miesiąc — powiedział Sokrat. Ale po miesiącu Sokrata już do owego oficera nie wpuszczono — ponoć także przebywał na urlopie. W taki oto sposób Sokrat uzyskał spokój, tajne służby zaprzestały nękania.

Był sumienny i dokładny, wręcz drobiazgowy w dokładności – zrażał więc do siebie, irytował tych, co umysłowo niechlujni, rozchełstani, pogrążeni w bylejakości, niesłowni, zakłamani. Miał kłopoty ze zdrowiem, ale nie lubił opowiadać o swych dolegliwościach, skarżyć się, narzekać, obwiniać o swą dolę „zły świat". Jako prezes białostockiego klubu literackiego zatroszczył się o młodych pisarzy – „wychodził" u władz, niejako wymusił – a to przyznanie mieszkania, a to zamianę na większe – o co w epoce PRL-u nie było łatwo – mawiał, że każdy pisarz powinien mieć własny kąt do twórczości.

Białoruś była jego życiem, być może największą miłością, jeśli nie obsesją. Dla idei białoruskiej gotów był na wszelkie poświęcenie, wykazywał przy tym odwagę i nieustępliwość. Opowiadano, że w sprawach białoruskich bezustannie nachodził sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Kiedy do dostojników zaprzestano go wpuszczać – potrafił przez kilka godzin siedzieć na krzesełku pod drzwiami wysokich gabinetów, w oczekiwaniu, aż wreszcie przydatny dla sprawy narodowej dostojnik wyjrzy. Miał świadomość zagrożeń, na jakie narażony był lud białoruski – zwłaszcza zagrożenia rusyfikacji i polonizacji. Ale pamiętam jego gniew: napisałem sporo książek, dałem je narodowi; jeśli język białoruski zanika, nie jest to moja wina – czyniłem co mogłem – dowodzi to tylko małości białoruskiego społeczeństwa. Zresztą – dodawał – w naszych czasach pisanie po białorusku świadczy o odwadze. Świadomie kreował się na narodowego przywódcę – pisarza, działacza, pedagoga. Białoruś była jego misją. Książeczką *Białoruś, Białoruś* – rodzajem białoruskiej kroniki Kadłubka, bajarza, a nie historyka – wyśnioną, wypłakaną Białoruś współtworzył. Kiedy wyraziłem mu swoje wątpliwości co do wagi zawartych w książeczce argumentów – odpowiedział: — Przeginano przez wieki całe na białoruską niekorzyść – starałem się więc w książce to i owo odgiąć, wyprostować.

Pytano go ponoć w SB, czy to prawda, że dąży do oderwania Białostocczyzny od Polski – przez miasto przebiegła złośliwa plotka, że grupka białoruskich działaczy wystąpiła do władz ZSRR o odłączenie białostockiego – miał odpowiedzieć: — Tak, to prawda, ja będę prezydentem nowego państwa, a Aleksander Omiljanowicz ministrem spraw wewnętrznych. Miał dużą urazę do Omiljanowicza, że sprawie białoruskiej przeszkadzał, jeśli nie szkodził. Omiljanowicz zresztą – w pierwszym okresie działalności „Niwy" – rzecz nie do końca wyjaśniona – był podobno delegowany do pracy w redakcji przez SB. Sokrat, jako młody dziennikarz, zgodził się na współpracę z SB, jak sądził, dla dobra państwa i młodego ustroju. Gdy zorientował się, że działalność ta może szkodzić bliskim mu ludziom – jako człowiek uczciwy – nie wahał się zerwać tej współpracy. Myślę także, że łudził się, iż współpracę ze służbami obróci na korzyść białoruskiej sprawy – naiwny to był pomysł. Miał przeciwko sobie bezwzględny aparat wyćwiczony w zdobywaniu informacji, w łamaniu ludzi – o ile mi wiadomo żadna gra z funkcjonariuszami bezpieki nie kończyła się po myśli zagrywającego.

Stracił pracę, poddawany był szykanom ze strony służb – przez dłuższy czas żadnego zajęcia nie mógł znaleźć – przyjęto go w końcu w jakiejś spółdzielni do zbijania skrzynek – była to ciężka praca fizyczna, w dodatku nisko płatna.

Los byłych współpracowników bezpieki jest dziś wałkowany w nieskończoność – ochoczy dziennikarze prześcigają się w potępieniach, byłych agentów traktują jako przestępców, niegodnych miana człowieka. Nie dostrzega się, jak wielu tych współpracowników stało się ofiarami Systemu. Tak jakby w niepamięć odchodziło, że to System oplatał społeczeństwo siecią agentów, penetrował każde środowisko, zwłaszcza opiniotwórcze, posądzane, podejrzewane o niezależną myśl. Pozostając przy polityce realnej, znanej u nas choćby z pism Carla

Schmitta, wolno chyba zadać pytanie: jakież państwo nie korzysta z usług tajnych współpracowników? Zrywając kontakty z SB Sokrat wykazał się nie lada odwagą – o czym jego nieprzyjaciele zapominają bądź nie chcą wiedzieć.

Był pisarzem na miarę tych najlepszych, jak Wasil Bykau chociażby. Mawiał ze smutkiem: ci, po stronie białoruskiej, lekceważą nas, pisarzy białoruskich Podlasia. Mają bowiem własną hierarchię ważności literackiej i patrzą na nas z góry – jakże niesłusznie. Dorobił się wyraźnego, oryginalnego stylu pisarskiego, operował bogatym, soczystym językiem, współtworzył białoruski język literacki. Zdarzało mi się czytać teksty białoruskie pisane wymuskanym, poprawnym językiem, lecz miałem wrażenie obcowania z językiem umarłym – niby z łaciną w Średniowieczu. W najlepszych tekstach Sokrat osiągał precyzję, zwięzłość choćby Ernesta Hemingwaya bądź Izaaka Babla. Kiedy ukazała się jego pierwsza książka w Mińsku na Białorusi zauważyłem, że niektóre teksty, w porównaniu z białostockimi *Zahonami*, zostały zmienione – polegało to na „rozwodnieniu" zapisu precyzyjnego, zwięzłego, aż po popadnięcie w wielosłowie. Sokrat na moją uwagę westchnął, że to redaktorzy tomu uparli się, ponoć do stylu Sokrata czytelnicy na Białorusi nie są nawykli – dlatego redaktorzy zmuszeni byli nadać tekstom większą czytelność.

Sokrat niezbyt wysoko cenił poezję i poetów, nie był surowy tylko dla najświetniejszych, jak Janka Kupała, Maksim Bahdanowicz czy Aleś Razanau, niemniej sądził, że świetlana epoka poetów, bardów narodu, wieszczów – bezpowrotnie przeminęła. Pamiętam, gdy rozmawialiśmy o nowym tomiku jakiegoś poety i Sokrat powiedział: — Cóż to jest? Przeczytałem go w godzinę, wszystkie nowe tomiki nie są zbyt czasochłonne – zastanawiam się teraz, czy godziny tej nie zmarnowałem. Sam jednakże pisał przepiękne „poetyckie" miniaturki – być może w tych drobinkach osiągał prawdziwe mistrzostwo. Bohater najlepszych miniaturek był uwikłany w Los Człowieka, przekraczał okowy prowincjalizmu ku dalom, horyzontom najszerszym. Sokrat był autorem kilku większych powieści, ale traktował je jako „worek" w rozumieniu Witkacego – do powieściowego worka można wrzucić wszystko: i ciekawe historie, i filozofię, i socjologię, i psychologię. Nie przywiązywał szczególnej wagi do powieści jako wyrafinowanej konstrukcji formalnej – w ujęciu choćby Władimira Nabokowa. Nie znosił też, nie lubił, nie tolerował filozofii jako wybujałego mędrkowania, zanurzonego w abstrakcyjnych, zimnych formułach, bujania w obłokach ponad ludzką rzeczywistością grzechu i upadku. Cenił trzeźwość, spojrzenie uważne i czujne na tragedię naszego bytu. Nade wszystko Białoruś była dla niego bytem przez zły los doświadczonym, niekorzystnie położonym miejscem na Ziemi, przez które nawałnica dziejów przetaczała się w starciach Zachodu ze Wschodem, wraz z przemarszami wojsk, zniszczeniami dorobku pokoleń, cierpieniem ludu pod obcym panowaniem.

Sokrat był świadomy tragicznego losu młodej białoruskiej inteligencji w czasach stalinizmu – liczni pisarze, ale także szeregowi inteligenci skazywani na śmierć pod absurdalnymi zarzutami bądź zsyłani w głąb Rosji bez prawa powrotu do republiki Białorusi, zastępowanie w urzędach i instytucjach języka

białoruskiego przez rosyjski. Ci, co pozostali – zastraszani, przymuszani do pokory, czołobitności wobec Systemu. Sokrat wiedział, że sytuacja Białorusinów w Polsce była o niebo lepsza, dlatego martwiły go przypadki zapominania o narodowych korzeniach. Sokrat nie cenił tych, co – zagubieni i zakompleksieni – żyją we własnym wąskim światku, separują się od spraw, problemów Polski i Europy, zarzucał im popadanie w zaściankowość, w prowincjonalizm. Marzył o inteligencji białoruskiej otwartej na świat, obdarzonej szerokimi horyzontami, aktywnej i twórczej. Marzył o Białorusi jako nowoczesnym kraju europejskim – wobec Wschodu zachowywał podejrzliwość, obawiał się o idące stamtąd zagrożenie totalitaryzmem.

Pamiętam, gdy zjawił się u mnie z propozycją, bym przetłumaczył na język polski jego powieść *Ściana*, krytyczną zresztą wobec naszej rzeczywistości lat 70. Potraktowałem to jako wyraz zaufania do mnie, mimo że język białoruski miałem opanowany w sposób bierny, nigdy nie używałem go w domu rodzinnym. Był to mój pierwszy tak poważny kontakt z żywym językiem białoruskim, podczas pracy nad tekstem odkrywałem tajniki tej mowy. Sokrat potrafił podtrzymać mnie na duchu, jego zachęta sprawiła, że z pierwszym przekładem poradziłem sobie nad wyraz dobrze. Potem przyszła kolej na powieść *Samosiej* – cenię zresztą ją wyżej od *Ściany*. Potem wybierałem już sam do przekładu liczne nowelki, „noweletki" – praca nad nimi sprawiła mi dużo radości.

Przyznał mi się później, że zachęcając mnie do trudu tłumacza miał nadzieję, iż niebawem sam zacznę pisać po białorusku – przypominał mi, że wszak korzenie mam tutejsze. Pod tym względem rozczarowałem go – pozostałem wierny mojej drugiej Ojczyźnie – językowi polskiemu.

Kiedy przeniósł się na stałe do rodzinnego domu w Krynkach – nasze kontakty rozluźniły się, ograniczały się do rozmów telefonicznych. Wyznał mi z żalem, że nie pisze już poetyckich miniatur, „sokratek", przestały nachodzić go żywe obrazy dzieciństwa, młodości. Świadomy jestem, że próby wytłumaczenia tego faktu, choćby z użyciem aparatury psychoanalitycznej, okazują się zawodne. Być może pewien rodzaj literatury ma źródło w niezwykłych zdarzeniach, przygodach, których doświadczał autor – literatura rodzi się z nadmiaru, z erupcji energii, pędu życiowego. Lecz literatura wynika także z szarości dnia, ze stanów depresji, choroby. Miał chyba rację Martin Heidegger, gdy dowodził, że najtrudniej jest poznać samego siebie, prawie tak trudno jak kogoś bliskiego. Wciąż – jako samotnik – irytował, drażnił, prowokował. Myślę, że w ostatnich latach życia jego energię, aktywność wyparły sprawy organizatora spotkań, sympozjów w Krynkach – Villi Sokrates. Przeobraził się w żywą instytucję kulturalną, która wyparła lirykę – być może zaangażował się w służbę idei, poświęcił siebie – najgłębsze ja – dla sprawy. Twórczość artystyczna w jego przypadku wymagała specyficznego luzu, z dala od kłopotów, udręk codzienności.

Opowiadał mi, że przed laty, w trakcie podróży po Polsce, wędrując jakąś dróżką, ścieżynką natknął się na tablicę z napisem „Przejścia nie ma". Ale przejście przecież istniało, nie grodziła szlaku żadna brama czy bariera. Zirytowała

go ta tablica, ruszył więc naprzód, ścieżka doprowadziła go do ukrytego wśród lasów eleganckiego ośrodka wypoczynkowego dla prominentów PRL-u.

Wyczuwałem, że w ostatnich latach życia brakowało mu słów otuchy, kiedy otaczała go atmosfera sensacji – po ujawnieniu jego związków ze służbami specjalnymi. Oczekiwał na sprawiedliwy werdykt opinii publicznej. Gdy oddalamy się coraz bardziej od osoby pisarza autentycznego, jakim był – pozostają ważne teksty. Pisał je z myślą, by nadać im trwanie przedłużone, by nie stały się drukami okolicznościowymi, nie przepadły w zapomnieniu. Warto więc zakończyć wspomnienia cytatem z polskiego wieszcza: „Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie…"

„Reszta jest milczeniem".

styczeń 2014

Алесь Тарановіч
BERLIN

У Крынках у Сакрата

Снег з Расейшчыны, дождж з Паляччыны…
Анатоль Сыс

Саслізгваючы з зямлі, ноч мялела, як рака.

Світанак нясмела камячыўся на парозе.

Ружовае цела маладой раніцы млела ў густой расе.

Усё застыла – зацягнутае шызым попелам кастрышча, роўнядзь сажалкі, чорны гмах лесу.

Лёгкі вэлюм перадсвітальнай цішыні раскалоў голас першай птушкі.

У вільготнай глыбіні лесу нараджаюцца хвалі птушыных арый – развітанне з гэтымі мясцінамі будзе праходзіць пад крэшчэнда птушынага спеву.

Машына імчыць нас праз змрок лесу па пустэльнай дарозе.

Мільгаюць палі, ручаі, пералескі, вёсачкі, сялібы.

З першым промнем сонца імгненна запрацавала помпа, накачваючы нізіны туманам.

Цяжкі, ртутны бляск ракі ў пасмах малочнае пары..

Раптоўная выява-ўспышка застыла фатаграфіяй.

Супрасль.

Беласнежны сабор на крутым беразе зіхаціць, адліваючы ружовым, як руанскі сабор Манэ, як касмічны карабель на старце.

Чатыры чалавекі ў машыне ў захапленні.

Дарога спяшаецца пад колы.

Пачалася балбатня вясёлых фарбаў дня…

Беласток.

Прыгожы, зялёны горад, дзе старажытная архітэктура суседнічае з сучаснай. Падумалася, кім былі б зараз мае новыя знаёмыя, каб не сказаў Сталін у свой час сакраментальную фразу:

— Панцеляймон, падары!

Каб не аддаў першы сакратар ЦК Кампартыі Беларусі Беласточчыну з яе пяцістамі тысячамі беларусаў Польшчы…

Колы машыны ўпэўнена мацаюць дарогу…

Прыгожы касцёл на пагорку.

Вышкув.

Лайаш падаў голас:

— Тут у 1920-годзе чырвоны польскі ўрад пад кіраўніцтвам Дзяржынскага і Мархлеўскага чакаў вынікаў бітвы за Варшаву. Драпалі потым, што было сіл…

Хутка і сама Варшава.

Вялізныя нямецкія гандлёвыя супермаркеты на ўскраіне.

Ашаламляльна прыгожы цэнтр горада, такі ж мадэрновы, як «Potsdamer Platz» у Берліне.

Лайаш паспявае за 4 хвіліны ўзяць квіток і дабегчы да цягніка.

Мы з Томасам радуемся за яго.

Шпацыруем па цэнтры. Не пазнаю нічога. Якія перамены!

Чытаю: «Галерэя сучаснага мастацтва Катажыны Напяркоўскай» і далей адрасы філіялаў. Ба-а-а! Ну, Катажына, ну малайчына, паднялася!

Калі ж гэта было… Ды амаль 20 гадоў таму назад. Першы наш выезд за мяжу з выставай. У яе маленькай галерэі карціны віселі нават у паветры… Пасяліла нас у сваёй загараднай віле. Зграбная, актыўная, праўдзівая грандэса, як гавораць палякі…

У Польшчы ўсё тады было дэфіцытам.

Гіганцкі савецкі кірмаш на стадыёне ў Варшаве. Пад гукі «Ласкавага мая» палякі змяталі ўсё. Вакол крымінал, бойкі, самавольства…

Яшчэ не верыцца, што ўсё завяршылася, згарнулася ў тонкую спіраль, у звышшчыльны завіток, у кропку, з якой з’явілася.

Замігацелі шматкі ўспамінаў…

Пра Сакрата чуў даўно.

Маўляў, жыве ў Польшчы ў Белавежскай пушчы дзіўны беларускі пісьменнік.

Не ўпісваецца ў агульнапрынятыя схемы.

Незалежны чалавек, групуе ў сябе на віле нетрадыцыйна думаючых літаратараў і інтэлігентаў. І штогод выдае нейкі дзіўны «Annus», каб прачытаць які, трэба валодаць рознымі мовамі. Беларусы там пішуць на еўрапейскіх мовах, еўрапейцы – па-беларуску.

І толькі Алесь Разанаў пры сустрэчы ў Берліне растлумачыў, што і як.

І тут раптам – запрашэнне.

Аўтобус доўга віхляў па лясных дарогах і нарэшце выплюнуў трох незнаёмцаў на пустым аўтавакзале ў Крынках…

Адчуваю, што паролем павінны быць словы «Сакрат Яновіч» і «Беларускі трыялог». У адказ усмешкі. Знаёмімся.

Лайаш з Вугоршчыны.

Томас з Нямеччыны.

Мова – польска-беларуская. Шукаем хату Сакрата.

І першы мясцовы жыхар, якога мы сустрэлі, яе нам паказаў. Хата, як на малюнку.

Сустракае добразычлівая, ветлівая гаспадыня.

Вось яна – доўгачаканая сустрэча.

Сакрат:

— Жыву на злосць лёсу і на радасць людзям!

Вочы выпраменьваюць святло, густыя бровы шаўковымі вусеніцамі цягнуцца да пераносся. Размаўляе павольна, узважваючы кожнае слова. У голасе адчуваюцца ноткі металу. Сапраўдны дэміург.

Незалежнае мысленне, меркаванне, дзеянне.

Канфлікты як з мясцовымі бюракратамі, так і з таўстазадымі службоўцамі ад літаратуры з Саюза пісьменнікаў Беларусі. 10 гадоў ён цягне гэтую лямку – робіць «Беларускія трыялогі».

Змяніў чатыры грамадзянствы. У трыццаць дзявятым польскае змяніла савецкае, у сорак першым – нямецкае, у сорак пятым зноў польскае. Зусім як жыхары Эльзаса, якія пры жыцці аднаго пакалення гэтак жа чатыры разы змянілі грамадзянства.

І мой бацька бачыў у родным Мінску розныя войскі – царскае, кайзераўскае, белапольскае, чырвонае, Вермахт, савецкае.

Сакрат Яновіч:

— Сёння вялікіх польскіх пісьменнікаў няма. А пры цары былі. Генрых Сянкевіч, напрыклад, жыў на расійскія ганарары…

Едзем на вілу, віхляючы па лясных дарогах сярод самотных хат. Сустракаюцца і закінутыя сялібы…

Месцы Каліноўскага і Грынявіцкага.

На ідэальна падстрыжанай лясной паляне стаіць двухпавярховы гмах у стылі фахвэрк. Побач невялікая сажалка з крыніцай.

Усё як і ўяўляў…

Тут ужо годзе народа.

На заўтра – канферэнцыя.

За сталом, прарастаючы каранямі і шалясцеючы суфіксамі, льецца польская гаворка – працоўная мова прадстаўнікоў розных краінаў. Потым адзін за другім пераходзяць на беларускую. Успамінаецца чыёсьці:

— Алкаголікі слоў і жрацы залатой эйфарыі…

Ёсць людзі – майстры на сто працэнтаў. І гэтыя людзі сабраліся тут. Мне падабаюцца такія людзі. З імі заўсёды лёгка.

Ва ўсім адчуваецца высокі прафесіяналізм і атмасфера зычлівасці.

З імі адчуваеш сябе шчаслівым і абароненым.

Рышард Радзік:

— Сёння беларус становіцца расейцам не выходзячы з хаты з дапамогай ТБ.

Ветэран вілы. Тонкі эстэт. Музыка дакладнай фразы і пульсуючай думкі, якія перадаюцца ідыёмамі і інтанацыямі, думкі абдумваюцца з хуткасцю кампутара.

Лявон Тарасевіч:

— Палітыкі прыходзяць і сыходзяць, а творцы застаюцца.

Мы з ім скончылі ў адзін год мастацкія акадэміі. У свой час я напісаў першы ў Беларусі артыкул пра яго жывапіс.

Апошні раз мы сустракаліся ў Берліне гадоў пяць назад. Зараз ён прафесар у Варшаве. У яго прамовах, як і ў жывапісе, ёсць адмысловы рытмічны малюнак.

Адбойны малаток інтэлекту не падвёў яго яшчэ ні разу.

Пані Войт. Любасная ўсмешка рыфмуецца з узлётам веек.

Добра быць жанчынай у Польшчы! У адрозненне ад Нямеччыны, тут на яе абвальваецца шквал кампліментаў.

Юрась Хмялеўскі. Удумлівыя вочы. Тактоўны, стрыманы, ураўнаважаны. Адчуваецца, што ён уладар кампутарнага лесу і сакральных далін.

Пальфальві Лайаш з Будапешта. Аказваецца, у вугорцаў прозвішча гэта адначасова і імя. Буйны, з тонка акрэсленым, пародзістым тварам арыстакрата і чыстымі аксамітнымі вачамі. Заўсёды гаворыць толькі па сутнасці.

Польская – без акцэнту.

Томас Вайлер. Мой «зямляк» з Карлсруэ. Статны, спартыўны, з вачамі, як у лані. Паліглот. Мяккі говар. Ягоная расейская мова – без акцэнта, гэтак жа, як і польская.

Любы чалавек утойвае ў сабе масу нечаканага, таму разгадка яго такая цікавая. Аказваецца, Томас жыў і працаваў у «маім» Мінску, праходзіў там альтэрнатыўную службу!

Ганна Кандрацюк, Гандзя, як завуць яе тут. Пісьменніца, журналістка. Тонкае пачуццё літаратурных выяў, глыбокае веданне менталітэту жыхароў Пушчы.

Яе кніга адкрыла мне вочы на гэтых людзей.

Міхась Урублеўскі:

— Этнічная Беларусь знаходзіцца ад Беластока на Захадзе, ад Бранска на Усходзе, ад Оўруча на Поўдні, ад Вялікіх Лук на Поўначы. Усе чатыры

гэтыя гарады сёння Беларусі не належаць. Ён сканцэнтраваў мазаіку часу і прасторы.

Юры Вашкевіч. З ім мы былі яшчэ на беларускіх з`ездах у Вільні ў пачатку перабудовы. Мужны, сімпатычны твар загартаванага байца, нібыта жывы партрэт рымскага цэнтурыёна. Вострыя фармулёўкі і эпітэты вылятаюць з яго без якой-небудзь напругі.

Януш Корбель. Барада, як куст бэзу, шапка кучаравых валасоў.
Чалавек часоў Стэфана Баторыя. Мяккі, смачны, заспакаяльны гаварок.
Сама дабрыня і спагадлівасць.

Віталь Карнялюк. Высокі, атлетычны. Бліскучы агат вачэй.
Патрыёт сваёй Гародні. Як праўдзівы інтэлігент рэфлексуе на ўсё.

Эўгеніюш Кабац. Дыпламат па прафесіі і па натуры. Гэта ён першым стаў зваць Сакрата «Чарнарускі князь». Вытанчаны знаток вінаў, асабліва італьянскіх.

Дні спрасаваныя дашчэнту. Сустрэчы – дыспуты. Дыспуты – сустрэчы.
Вадаспады пачуццяў. Апёкі сустрэч. Крэшчэнда знаёмстваў.
Дзіды пытанняў. Стрэлы адказаў. Вялікае мастацтва – не страціць чысціню і свежасць успрымання. Так, «Annus Albarutenicus» – гэта новае. Незвычайнае новае са знакам плюс. Новы дух.
Новае мысленне.
Не мы ў Еўропу, а яна да нас.
Кожны год таямнічая віла на ўскраіне Белавежскай пушчы прыцягвае ўвагу інтэлектуальных еўрапейцаў.
Пражываючы ў сталіцы, мы заўсёды адчувалі сябе на местачковым узроўні, а ён здолеў прыўнесці ў мястэчка дух сталіцы.
Пасля абеду выдаўся вольны час.
Вырашыў вывучыць наваколле. Ад гасцініцы ў лес у бок беларускай мяжы вядзе лясная дарога.
Барада дажджу завісла на твары дня.
Вецер зводзіў хмары лбамі.
Ім было цесна на небе, і яны з`ядалі сонца і лета.
Лес прыемна павеяў волкай лістотай і духмянай грыбніцай. Сосны, дубы і ліпы мудрагеліста разлапілі вялізныя галіны.
Ствалы хвояў абплылі шкіпінаравай смалой. Слязіліся вочы лета.
Густое, як дзікі мёд, цягучае паветра, настоенае на водары траў…
Лес радзее.
Адкрываецца краявід, адксераны з палотнаў Каро.
Сялібы пад вялізнымі, купчастымі ліпамі.

Гнёзды буслоў на слупах. Людзей няма. Рваная дзірка ў аблоках хутка напаўняецца небам.

Там, за лесам – сплюснутасць прасторы па вертыкалі і разбег па гарызанталі.

Вялікае, адкрытае, месцамі забалочанае поле.

Гэта мяжа.

Буслы – эмігранты там і тут.

Нязвыкла.

Упершыню гляджу на беларускую тэрыторыю з таго боку. Хто я ім? А яны для мяне? Цягну сябе сам, як трактар па жыцці. Кінуць бы ўсё і пасяліцца б тут, на сялібе, сярод белавежскіх беларусаў, якія размаўляюць па-польску.

Закінуць у балота сотавы тэлефон з Sim-картай, SMS, друкарку, плэер, кампутар з E-mail ды інш. Усю гэтую электроніку, якая накінула на цябе сетку і высушвае мазгі.

Збегчы б з гэтага вялізнага горада, які палюе за тваёй душой, расстаўляючы пасткі. Апрануць ватоўку, боты, узяць стрэльбу, вуды, шнуры, лавіць рыбу, паляваць на кабаноў, садзіць бульбу, касіць канюшыну… Як тады, на Вілейшчыне.

Гладышы.

Старажытнае мястэчка. Тры тысячы жыхароў. Раней было нашмат больш… Засталіся толькі старажытныя габрэйскія могілкі.

Некаторыя камяні амаль цалкам сыйшлі ў зямлю. Ёсць і праваслаўныя могілкі з надпісамі па-расейску, і нават з «ять».

Сакрата ў Гладышах ведаюць усё, і стары і малады. Ліст можна пасылаць напісаўшы толькі Крынкі – Сакрату.

Будзьце спакойныя, дойдзе.

У наваколлях вілы, побач з беларускай мяжой знайшоў невялікае азярцо ў чаротавай асадзе. Мне, старому рыбаку, яно спадабалася. Вырашыў рэлакснуць.

У выніку – добры шчупак. Душа прышыта да аблокаў!

На віле перапалох. Усе фатаграфуюцца з рыбінай. Не вераць, што сам злавіў.

Купіў, маўляў, у мясцовых.

Так, купіў. У русалкі! Бачылі б вы, якіх судакоў я лаўлю на Шпрэі ў Берліне…

Пад вечар біялагічны маяк завісае ў крайнім становішчы.

Заход да непрыстойнасці наліўшыся чырвоным «Merlot», глядзіць з-за краю лесу.

Хвоі апрануліся ў залатыя парыкі.

Паветра таксама перапранулася ў вячэрні крэпдышын.

Выява вялізнага дня згарае, як у печы. Вогнішча размясцілася пад нагамі ў вялізных ліп на беразе сажалкі.

На ім ў вялізным катле тушыцца «неспадзяванка», якую рыхтуюць гаспадары Марэк і Міра Маршалкі.

Маршчыны ночы мякка апусціліся паміж хатамі і лесам. Святло месяца лягло на лісце папаратніка. Нізкае неба з цяжкасцю ўтрымлівае абвал зорак.

Разжалілася гітара. Успамінаем ангельскія і польскія песні 60-70-х гадоў.

Марэк Маршалэк:

— У васьмідзясятым жадаў з'ехаць. Пакуль рабіў пашпарт, увялі ваеннае становішча… Сябры зараз па ўсім свеце жывуць… — Усміхнуўся: — А мне і тут добра. Адна дачка ў Даніі, другая – у Мексіцы.

Хутка ў Чэхію паедзем, потым у Вугоршчыну.

Вогнішча адлюстроўваецца ў вадзе.

У готыцы лесу лунаюць начныя птушкі.

Душа спявае ў такт гітары, ночы і лесу, адчуваю, што станаўлюся цэнтрам сусвету.

Накіроўваю вочы ў вышыню, бачу месяц, які пакутуе ад малакроўя, шукаю вачамі анёлаў на іх залатых шляхах…

Апошняя фраза Сакрата:

— Дзяды з магілаў жыццём дыхнулі…

Цягнік Варшава – Берлін. Перапоўнены.

Едзем разам з Томасам.

Кітайская сям'я гаворыць па-польску.

Натоўп дзяцей гадоў па 10–12 таксама гавораць па-польску. Трое сталых з імі – па-нямецку. Праз паўгадзіны ўжо ўсе гавораць толькі па-нямецку.

Польскі падлетак сядзіць з лэп-топам у руках і ў слухаўках. Засяроджаны.

Такі ж юны бялявы немец з лэп-топам, у слухаўках і з мікрафонам, сядзіць насупраць. Тоўстая бабуля, якая размаўляе з маладзіцай па-польску, здымае з яго слухаўкі: «Wills du was essen?» Ён гнеўна адштурхоувае яе руку, маўляў, не лезь не ў сваю справу.

Усю дарогу, пяць гадзін, ён не здымае слухаўкі і не адрываецца ад лэп-топу.

Новае пакаленне.

Кампутар ім замяняе бацьку, маці, бабулю, сяброў і сябровак.

Познань.

Мільгае прыгожая старажытная нямецкая архітэктура. Вакзал запушчаны да такой ступені, нібы сто гадоў не рамантаваўся.

Да нас падсаджваецца старая полька. Разгаварыліся. Яна добра памятае вайну.

Жылі тады ў Варшаве. Маці за тое, што карміла габрэйскіх дзяцей, забілі эсэсаўцы.

Зачапілі яе словы:

— Вы, беларусы, добры народ. Колькі вас папалілі, пазабівалі, а вы ўсё забылі.

А вось мы, палякі, не можам…

Берлін.

Аплікацыі сабораў у велічна бягучай Шпрэі.

Людзі сагнуліся пад цяжарам панядзелка.

Дзесьці ўдалечыні сірэны паліцыянтаў захлёбваюцца плачам, перакрываючы астатнія гукі.

Выходжу на перон.

Балбатня вясёлых фарбаў.

Горад зацягвае ў сваю мітусню.

Акварэльныя немкі. Група хлопцаў. Касматыя погляды. Здаравенныя камамберныя рожы. Аліўкавыя целы. Беласнежныя саколкі. Залатыя ланцугі. Пасажыры «мандарынавай травы». Туркі.

Сардэчна запрашаем у Кройцберг!

Побач са станцыяй мост. Таксама, як і станцыя, ён завецца «Janowitz Brücke». Магутная рака коціць пада мной свае велічныя воды.

Семсот метраў да маёй хаты. Не верыцца, што яшчэ ўчора ўвечары сядзеў з Яновічам ля вогнішча. Ён ведае пра гэты мост.

Мяне чакае праца «ад А да Я», складаныя адносіны з «partizip zwei», жанчыны з пароды баракуд, якія выплёхваюць навалу пытальнікаў і клічнікаў, турэцкія і арабскія наркадылеры на станцыях метро, джазавыя фугі ў ангельскім садзе, мудрыя вочы Норберта Рандава, старажытныя парталы на вуліцах, людзі са слядамі прышчэпак ад зорнай хваробы на венах, чыя паэзія выконвае ім функцыю бронекамізэлькі, турчанкі са знешнасцю Ганны Кандрацюк, дажджы, якія прасочваюцца ў ранішнія газеты, піва “Holstein”, мужчыны, якія цалуюцца ўзасос, горы чарнавікоў… пісьменніцтва – выпрабаваны метад лячэння душы, апошнія эсэ ў якіх сканчаецца ланцужок жыцця Марка, сірэны паліцыянтаў, судакі, ляшчы і яшчэ шматлікае, нанізанае на агульнае жыццё непазбежнасці…

Берлін

Сяргей Чыгрын
слонім

Аб гэтым казаў мне Сакрат

З беларускім пісьменнікам з Беласточчыны Сакратам Яновічам я пазнаёміўся 22 красавіка 1989 года ў Слоніме, хаця яго творы ў беларускім беластоцкім тыднёвіку „Ніва" чытаў даўно. Тады ён з групай гарадзенскіх літаратараў наведаў Слонім, пабываў у рэдакцыі раённай газеты, дзе адбылася творчая гутарка пра сучасны стан беларускай літаратуры, пра ўзаемаадносіны літаратур краін-суседзяў. У канцы сустрэчы Сакрат дастаў з партфеля сваю кнігу на польскай мове *Białoruś, Białoruś* і хуценька паставіў аўтограф: „Паважанаму Сяргею Чыгрыну на памятку. Сакрат Яновіч. 22.04.1989. Слонім".

У другой палове 2000-х гадоў сустракаўся з ім часцей. Ён любіў гутарыць з тымі, хто прыязджаў з Беларусі, асабліва з тымі, хто жыў не ў Мінску, а ў беларускай правінцыі, як, напрыклад, я. Хаця, і мы ўсе гэта добра ведаем, з Сакратам Яновічам размаўляць любілі многія, і ён любіў і паважаў усіх. Праўда, з ім не так і проста было размаўляць, асабліва ў апошнія гады яго жыцця. Ён быў шмат чым незадаволены і пра гэта адкрыта казаў. Але спадар Сакрат быў шчаслівы і радаваўся тым, чым ён займаўся, радаваўся сустрэчам, радаваўся БЕЛАРУСКАСЦІ, якою жыў. Ён заўсёды быў адкрыты, як дзверы ў бацькоўскую хату. Не ведаю, можа толькі з асобнымі людзьмі ён мог адкрыта гутарыць, разважаць, казаць праўду-матку. Вядома, ён быў і застаўся сучасным чалавекам у літаратуры і жыцці. Іншая рэч, што ён, як старэйшы па гадах, любіў свой час, сваё пакаленне. Але Сакрат Яновіч любіў і нас, хаця прэтэнзій да маладых і не толькі да творчых людзей, у яго было нямала. Неяк сядзім з ім, гутарым, а ён кажа: „Вось унучка ў мяне, калі ёй трэба злотыя і хоча, каб я ёй даў, размаўляе са мной і просіць іх у мяне па-беларуску. А калі злотыя ёсць, дык тады па-польску". „І вы, вядома ж, адразу ёй даяце злотыя?" — кажу. „Даю, бо на роднай мове ласкава пытае. Як тут не даць!", — адказвае Сакрат.

Сакрат Яновіч, мне здаецца, сам сабе пярэчыў. І гэтае пярэчанне прысутнічала ў яго пастаянна. Прыгадваецца яго герой Сцяпан Кішкель з кнігі *Хатняе стагоддзе* (Крынкі, 2008).

> Выклікае злосць у Сцяпана непашана да бацькоўскіх пажыткаў, заядлае выкідванне маладымі ў ямы шафаў, сталоў, табурэтак, крэдэнсаў, перагародак. Фанатычнае змаганне моладзі мець грошы на ўсенька навюткае, моднае. Што – магчымае, вынішчаючы датла вёску. Выводзячы з яе апошнія капіталы. Абсцябаўшы бацькоў. Без пагібелі вёскі гарадскі дабрабыт дзяцей застаўся б утопіяй. Цікава, на чым будзе грунтавацца раскошны быт унукаў? Без вёскі ўжо. Уросла́й тым часам лесам. Без вёскі не было б горада. Але той жа горад, разрастаючыся глынае вёску. У прыродзе гатунак паядае гатунак. Беларушчына – гэта падла расейцам і палякам?...

І ў той жа час, калі я з ім рабіў інтэрв'ю у 2008 годзе, у гутарцы Сакрат Яновіч казаў: „Крынкі – гэта мой свет... Крынкі для мяне – адкрыццё... Што Крынкі, што Варшава – усюды можна выдаваць добрыя кнігі..." Вядома ж, Сцяпан Кішкель у *Хатнім стагоддзі* казаў вуснамі Сакрата. І казаў тое, што тады думаў аўтар, што думаў, наогул, пры жыцці.

Я ў Сакрата пытаўся, а чаму вашыя бацькі далі вам такое рэдкае імя – Сакрат? Можа, гэта ў гонар старажытнагрэчаскага філосафа Сакрата? Ці ведалі вашы бацькі пра грэчаскую філасофію?

— Гэта мяне маці так назвала. Яна была ў бежанстве ў Расіі за Самараю. Там пэўны час хадзіла ў расійскую школу. І аднойчы яе настаўніца пасадзіла са сваім сынам за адну парту. А таго сына звалі Сакрат. Мама дрэнна вымаўляла словы па-расійску, дык ёй заўсёды дапамагаў сын настаўніцы. І калі мае бацькі вярнуліся з тае няшчаснае Расіі на Радзіму, і калі мама выйшла замуж і нарадзіўся я, то яна заўпарцілася і ахрысціла мяне Сакратам. Хаця яна зусім не разумела і не ведала пра Сакрата нічога. Але ў яе памяці заўсёды быў той расійскі хлопчык Сакрат.

— А бацька не быў супраць, каб яго сын насіў такое імя?

— А бацька ўвогуле не ведаў, у чым справа. Ды яго гэта мала цікавіла. Як назвала жонка – так і добра.

— А ў школе з вас не смяяліся?

— Спачатку смяяліся, бо не разумелі майго імя. Называлі мяне — крот. Але аднойчы святар Антон Савіч у сваёй пропаведзі згадаў, што быў такі грэчаскі філосаф, які пацвердзіў, што чалавек мае душу, што мудрасць — аснова высокамаральных учынкаў. Тады ўсе ад мяне адсталі.

— А цяпер вы, мабыць, з гонарам носіце імя Сакрата? Дый гучыць — Сакрат Яновіч! А ні Юрка Яновіч ці Міхась Яновіч...

— Пэўна так! Бо гэта імя не штодзённае. Дый Юркаў і Міхасёў цэлыя копы, а Сакрат у Беларусі адзін...

Сакрат Яновіч напісаў шмат добрых кніг. Я неяк у яго спытаў, а які ўплыў на вашую творчасць аказала літаб'яднанне „Белавежа", што існуе ў Беластоку? І наогул, што дала вам „Белавежа"? „Белавежа" дала мне шмат, дзякуючы першаму рэдактару беларускага тыднёвіка „Ніва" Георгію Валкавыцкаму, першаму кіраўніку. Ён на пачатку існавання аб'яднання быў адзіным чалавекам, які добра арыентаваўся ў літаратуры. А я меў тэхнічную адукацыю, я – электратэхнік. Але, дзякуючы Валкавыцкаму і майму швагру, які некалі прывёз кніжку Бабеля на польскай мове, я стаў пісьменнікам. Я прачытаў кнігу Бабеля з цікавасцю. Валкавыцкі даў паняцце, што такое літаратура, а Бабель паказаў мне, што можна пісаць не пад Пушкіна, не пад Міцкевіча, а пад маё мястэчка Крынкі, што на Беласточчыне", — адказаў тады спадар Яновіч.

Падчас сустрэч з Сакратам Яновічам, я стараўся запытацца ў яго пра ўсіх, хто быў родам з яго Крынак. Пытаўся і пра Янку Геніюша з Ларысай Геніюш. Неяк не вельмі ахвотна іх успамінаў ён, але ж, калі я спытаўся, то шаноўны Сакрат павінен быў адказаць. Ён казаў, што з Ларысай Геніюш двойчы сустракаўся. Першы раз, дзякуючы Аляксею Карпюку з Гродна, калі наведалі ў Зэльве Ларысу і Янку Геніюшаў. А пасля яна была ў Беластоку ў сына, дзе яны таксама мелі сустрэчу. Гутарка тады была трагічная. Бо яе жыццё было трагічным.

> У Беласток паэтка прывезла мне стэнаграму выступлення Аляксея Карпюка на V з'ездзе Саюза пісьменнікаў БССР у Мінску 13 мая 1966 года. Яна была ўзрушана гэтым выступленнем. І я напісаў ліст Аляксею, выказаў сваю згоду з яго меркаваннямі і падтрымку. Але ж Аляксей Карпюк быў наіўным чалавекам і пачаў гэтым пісьмом хваліцца, што, маўляў, малады аўтар з Беласточчыны падтрымлівае яго. І тады зацікавілася мною савецкае КДБ. І я з-за гэтага страціў працу, быў беспрацоўным. Але мне шмат дапамагалі палякі, — адкрываў мне тайну Сакрат Яновіч. — З палякамі лёгка гутарыць, дамовіцца пра канкрэтную справу, а вось з беларусамі – цяжка. Палякі цяпер выдаюць цэлую бібліятэку беларускай літаратуры, а з боку ўладна-савецкай Беларусі ідзе толькі хамства...

Пытаўся ў яго я і пра Юрку Геніюша. І вось што ён прыгадаў:

> Юрка Геніюш у Беластоку жыў са мною побач. А я ў Беластоку пражыў 50 гадоў. Пазнаёміліся мы праз тыднёвік „Ніва", я працаваў журналістам, а ён туды часта заходзіў. Мы разам нават выдалі адну кнігу п'ес пад загалоўкам *Зборнік сцэнічных твораў* (Беласток, 1976).

Я пытаўся пры жыцці ў Сакрата Яновіча, чаму ён не працягвае пісаць п'ес, на што ён адказаў, што ніколі не збіраўся быць драматургам, а на напісанне п'ес яго натхніў і накіраваў Юрка Геніюш, таму і напісалася некалькі п'ес.

У Крынках Сакрат Яновіч пісаў найчасцей прозу і вёў свае дзённікі, бо заўважыў, што дзённікаў ніхто не пісаў. Пісаў ён у апошні час вельмі марудна. Ды, як ён казаў, наша сялянскае асяроддзе не любіць пісаць дзённікаў. Ён запісваў факты, якія адбываліся і якія хутка знікнуць, і пра іх ніхто не будзе нічога ведаць. А для нашчадкаў жыццёвыя факты трэба захаваць. І ён занатоўваў іх.

У апошні час Сакрат Яновіч часта мне казаў, што беларускую літаратуру, культуру, мастацтва трэба еўрапеізаваць. Таму што ўвесь час беларуская літаратура з'яўляецца філіяй рускай, а так не павінна быць. Пры жыцці неяк між іншым спытаў я ў прафесара Алега Лойкі: паэзія якой краіны самая магутная ў свеце: Ён адказаў: польская, а на другім месцы — беларуская. Пытаюся: а расейская? Адказвае, што расейская не, бо яна бальшавіцкая, камуністычная, савецкая і г.д. Алег Лойка пераклаў двухтомнік анталогіі польскай паэзіі *Напярэймы: ад Буга да Варты* (Мінск 2003), куды ўвайшлі вершы, пачынаючы ад Цыпрыяна Норвіда, Марыі Канапніцкай і да Марціна Галася – разам 180 аўтараў. Працягваючы думкі Сакрата Яновіча, ды і руская літаратура ўзнікла пад уплывам еўрапейскай. І прывёў мне прыклад з рускім паэтам Аляксандрам Пушкіным. Скажам, каб зразумець Пушкіна, трэба ведаць французскую літаратуру. Калі яе не ведаеш, то Пушкіна дасканала не зразумееш. Бо Пушкін рос у асяроддзі французскай культуры. Яго маці ненавідзела расійскую мову. Яна Сашу Пушкіна, калі ён размаўляў па-расійску, нават біла! І напачатку ён пісаў выключна па-французску. Але хто нам аб гэтым сёння і пры бальшавіках казаў? Ніхто… У Савецкім Саюзе пераважаў расійскі шавінізм…

Сакрат Яновіч быў суб'ектыўным і розным і ў адносінах да беларускай культуры. Успамінаю яго радкі з дзённіка, якія былі апублікаваныя ў „Czasopisie" у № 07–08 2004 года і якія мяне вельмі ўсхвалявалі (я пра гэта пісаў), калі я прачытаў іх. Яны не даюць спакою мне і да сённяшніх дзён. А справа ў тым, што Сакрат Яновіч прыгадаў тое, як падчас сустрэчы са студэнтамі Брэсцкага ўніверсітэта Ян Чыквін вясною 2004 года сказаў (дослоўная цытата па дзённіку Сакрата Яновіча):

> Янка Купала не быў той веліччу, якая нам уяўляецца: з мізэрнай адукацыяй, нядбайным пяром, з засцянковай ненаеднасцю, лёгка „куплены" саветамі і штучна ўзвышаны імі, тармазіў таленты, напр. Багдановіча, Арла. З перапевамі Młodej Polski".

Вось аказваецца, якім быў наш беларускі песняр Янка Купала! Пры сустрэчах я некалькі разоў пытаўся пра гэта ў Сакрата Яновіча і ён пагаджаўся з Янам Чыквінам. А сказанае пра Янку Купалу добра пракаментаваў па маёй просьбе народны паэт Беларусі Рыгор Барадулін: „Янку Купалу саветам так і не ўдалося зрабіць сваім. Давялося знішчыць фізічна… Але Янка Купала – неба беларускай нацыі. А неба хапае на ўсіх…"

Вось такім і застаўся ў маёй памяці Сакрат Яновіч. У нечым я пагаджаўся з ім, у іншым – не. Але да сённяшніх дзён памятаецца яго рэпліка: „Толькі нацыя мае будучыню, ніколі насельніцтва, зазвычай бяздумнае, бо кіруецца не душою, а жыватом, тоўстай кішкаю…”

Кастусь Бандарук
ВАСІЛЬКАЎ

Жаль, што ужо пражытае[1]

Год пасьля сьмерці Сакрата Яновіча мне хацелася б найперш проста і звычайна сказаць, што мне яго не хапае. Быў маім сапраўдным настаўнікам і сябрам. Цягам доўгага знаёмства быццам бы і нагаварыліся, але-ж калі б Сакрат жыў, вельмі хацелася б яшчэ і яшчэ раз прынамсі яго паслухаць. Пасьля ягонай сьмерці бывала, што прасілі мяне нешта сказаць, узгадаць, напісаць пра Сакратава жыцьцё і творчасьць. Другое лепш ведаю за першае, бо чалавек-неразгаданая істота, а Сакрат быў нешаблоннай натурай. Найбольш памятаю тое, што тычылася непасрэдна мяне. Не скажу, што гэта ён усьвядоміў і прышчапіў мне беларускасць, бо не было такой патрэбы. Яна была ў душы з таго „басаножнага» малалецтва і без яго. „Басаножнасьць» гэта адзін з ягоных тэрмінаў-пэрлінаў, якія мне заўжды вельмі падабаліся. Я памятаю тыя шматлікія, нясьпешныя размовы пра літаратуру і жыцьцё, парады і заўвагі датычныя пісанага слова. Сакрату чамусьці здавалася, што і ў мяне ёсьць паэтычны талент і ён „заўпарціўся", каб яго разгарнуць і падштурхнуць да росту. Сакрат падахвочваў як мага болей пісаць, хваліў асабліва за паэтычныя мініяцюры, у якіх ён сам спецыялізаваўся. Мне на ўсё жыццё запамяталася ягоная фраза: „каб добра пісаць трэба быць нешчасьлівым". У адрозьненьне ад шчасьця, у няшчасьці жыцьцё не скупіцца. Зрэшты, гэта аказалася праўдай, бо муза пераважна вярталася да мяне толькі ў цяжкія хвіліны. Сам Яновіч казаў, што ён пачаў пісаць часткова з тае прычыны, што моцна заікаўся і гэты дэфэкт хацеў кампэнсаваць пісаным словам. Думаю, што гэта была усяго толькі адна з прычынаў. Хутчэй тут маем дачыненьне з біблейскай ісьцінай, што „ад паўнаты сэрца вусны гавораць». Каб пісаць, трэба мець што сказаць і мець чым падзяліцца. Тое, што Сакрат задумаў, у нас абодвух не атрымалася, бо альбо тое евангельскае зерне было занадта

[1] У сваіх пісаных і гавораных тэкстах Кастусь Бандарук карыстаецца „тарашкевіцай", клясычным правапісам, паколькі лічыць яго больш характэрным і правільным, чым так званая „наркамаўка", якая была задуманая, каб наблізіць беларускую мову да расейскай і гэтым самым паспрыяць поўнаму выкараненьню беларушчыны [przyp. red.].

кволае, альбо глеба трапілася неспрыяльная. У любым выпадку – дагэтуль займаюся родным словам і нават – паводле сакратавай фармулёўкі, ад яго „ем хлеб".

Калі згадваю тую думку пра няшчасьце як стымул да творчасьці, то хачу сказаць, што па-мойму Сакрат сам быў нешчасьлівым. Не маю на увазе асабістага, сямейнага жыцьця, бо яго нюансы звонку небачныя. Калі свой цыкль успамінаў Сакрат назваў *Не жаль пражытага*, дык я няўпэўнены, ці сапраўды ён нічога не шкадуе. Рэдактар Юрка Хмялеўскі у прадмове трапна адзначыў, што ён (Сакрат) „зашмат у сваім жыцьці упаткаў усялякага ліха, розных бедаў, стрэсаў, хваробаў і няшчасьцяў, каб пад старасьць узяць ды лёгка пра іх забыцца, сьцерці з памяці". Безьліч непрыемнасьцяў упаткала яго не толькі ад палякаў пры уладзе, ад якіх залежала пастаянная праца, сякі-такі заробак, выданьне кніжкі, але і ад свайго асяродзьдзя: перасваранага, няздольнага аб'яднацца і дамовіцца у самай дробнай справе. Сакрат стаў ахвярай самім сабою выбранага жыцьцёвага шляху: быць сабою і быць беларусам. Заставацца сьведамым і бяскампрамісным беларусам азначала унутраную эміграцыю, духоўнае дысыдэнцтва. Да таго-ж ён сам разумеў, што „з мастацтва, з літаратуры – не наясіся». Прааналізаваўшы жыцьцё і творчасьць нават найвялікшых волатаў думкі я прызнаў яму рацыю. („Бачучы, што дачка цікавіцца мастацтвам, я усё-ж угаварыў яе абраць бізнэсава-адміністрацыйны коледж", што аказалася добрай падказкай).

Увогуле бачу і адчуваю, што настальгіяй, сумам, задуменнасьцю, гнятлівым пачуцьцём нязьдзейсьненых задумаў і плянаў пранізаныя бадай усе ягоныя творы. Можа гэта гены, а можа хваравітае дяцінства ды малалецтва ў ваеннае ліхалецьце паўплывалі на сфармаваньне ягонага характару. Можа складаны выбар жыцьцёвага шляху, вучобы і прафэсыі. У любым выпадку адкульсьці прыйшла да яго тая учэпістая апантанасьць родным словам і не пакінула да канца ягоных дзён. Яно стала яго стыхіяй, „Радзімай" і „рэлігіяй". Ён кранальна выказаў гэта такім незабыўным тэкстам:

> Слова матчынае, ты мая сляза. Мая трывога ў вечары кахання чыстаквяцістага, у садзе юнацтва. І чарнабрывы позірк дзяўчыны сарамлівай, і бяссонне зорнае. Ты, як лёс, паўстаеш у далягляцдзе нязбытным. Слова роднае, суме мудры! Мая радасць неўгамонная, што часамі лунае вясёлкаю на небе краіны майго прызначэння. І няспешна павучаеш мяне жыць сваім розумам, і гасцінцам ісці шырокім праз гады раз дадзеныя... Ты, як той сябар шчыры, не пакінеш і ў няшчасці. Я табе толькі, слова ты маё беларускае, веру ды кланяюся. Бог ты мой! Ты мая рэлігія!

Ды не кожная рэлігія збаўляе і Радзіма аказваецца не маці, а – мачыхай.

Сакрат (як дарэчы і я сам паўтары дзесятка гадоў пазьней) адчуў сябе беларусам у падлеткавым узросьце. Дэбютаваў на старонках „Нівы», як бадай усе нашы падляскія аўтары. З таго моманту у ягоным жыцьці адбыўся

пераварот. Зроблены ім тады выбар у карысьць беларускай мовы і літаратуры асацыюецца мне з выбарам біблейскага Майсея. Перад ім былі два шляхі: адзін гэта стабільнае, бясьпечнае, выгаднае і заможнае жыцьцё, а другі няпэўны, рызыкоўны, поўны самаахвярнасьці. І ён ступіў на гэты другі шлях. Паводле чалавечых мерак, гэта быў памылковы выбар, але у сэнсе вышэйшых каштоўнасьцяў – правільны выбар.

Не толькі Сакрату, але і яго вучням, да якіх залічаю сябе, бадай ніколі не было спрыяльнага часу. Беларуская сьвядомасьць йшла уразрэз з польскай, культурнаай экспансіяй. Мы ня мелі і дагэтуль ня маем апірышча ў моцнай, багатай, чыста беларускай дзяржаве. Нам ніхто ніколі не прапанаваў нечага накшталт „карты паляка". Сама Беларусь асацыявалася ў нас з варварскай савецкасьцю, а цяпер асацыюецца з прымітыўным, але па-свойму недурным калгасьнікам-Лукашэнкам. Іншага нам ня дадзена. Ні адным ні другім не пахвалішся. Цяжка быць беларусам у чужой краіне, калі беларушчына амаль дашчэнту спляжаная ў самой Беларусі. Зрэшты цяжка быць патрыётам Рэспублікі Беларусь, калі чалавек жыве на гэтым сьвеце даўжэй, чым існуе гэты афіцыйны назоў дзяржавы. Для мяне таксама гэта гучыць гэтак-жа недарэчна, як быць патрыётам Расейскай Фэдэрацыі, „саюзнай дзяржавы", альбо Эўразьвязу. Не хачу быць патрыётам дзяржавы беларускай толькі з назвы, бо магу не пасьпець за зьменамі ейных афіцыйных назваў, ладу, кіраваньня ды ідэалёгіі. Не мог Яновіч і я не магу быць патрыётам краіны, якая бясконца спасылаецца на свае савецкія традыцыі, альбо на Другую Усясьветную вайну, якая для нармальных людзей даўно закончылася, толькі ніяк ня можа закончыцца для саветаў. У пачатку 90-х гадоў Сакрат пережыў момант эйфарыі, калі раптам на Беларусь звалілася незалежнасьць. Ён спадзяваўся, што калі ёсць незалежная дзяржава, то будзе жыць і беларускасць. Памыліўся. Нават я не быў у гэтым упэўнены.

У выніку лепш застацца на этапе іррацыянальнай і мэтафізычнай любові да Беларусі як да ідэі ды ідэалу. Вось таму Сакрат і яму падобныя не знаходзілі і не знаходзяць разумнага адказу на пытаньне нашых польскіх сяброў – чаму беларусы пераважна гавораць па-расейску і чаму значная частка, калі ня большасьць беларусаў, не даражыць сваёй незалежнасьцю і не надта хоча яе.

Гэтая раздвоенасьць засталася нават у тых, хто разам з адукацыяй і перасяленьнем у горад ахвоча палянізаваўся, адкінуўшы сарамлівы баляст свайго галотна-вясковага, няпольскага паходжаньня. Жывучы ці то ў Варшаве ці ў Амэрыцы, яны ўсё роўна адчуваюць (што-праўда – жывуць, як людзі) сваю беластоцкую вёску яны пакінулі, але вёска не пакінула іх. Ад аднаго адыйшлі, да другога – не дайшлі. У „людзі" у сэнсе адукацыі ці бізнэсу, то многія выйшлі, але-ж, як казаў Яновіч, „у першым пакаленьні інтэлігэнта не бывае".

Гэтая апантанасьць беларушчынай была ў ім бязьмежная, шчырая і глыбокая, і як кожная апантанасьць ці каханьне – іррацыянальная. Гэта не была любоў да Беларусі як краіны. Яго злосціла сваёй расейскасцью і саветчынай,

і БССР, і Рэспубліка Беларусь. Ён там кепска сябе адчуваў. Памятаю, што калі вяртаўся з паездкі да сваіх знаёмых ці нейкай далейшай сям'і на Гарадзеньшчане, то доўга не мог супакоіцца ад тае паўсюднай расейшчыны. Казаў, што амаль не бывала застольля, каб з прычыны мовы не паспрачаўся з гаспадарамі, а тыя і так не разумелі, пра што яму расходзіцца. Дзівак ды усё. Як кажуць „каждый по-своему с ума сходит". Дык і езьдзіў туды усё меней, ажно цалкам перастаў. Беларусь Сакрат (як дарэчы і я) не атаясамляў з краінай, але з ідэяй. Беларусь для яго – гэта беларуская культура, найперш літаратура. Гэта яе ён папулярызаваў як мог. Сакрат увесь час тлумачыў добраахвотную русіфікацыю і паланізацыю беларусаў іхным пачуццём няпаўнавартаснасьці, халопскім, лакейскім менталітэтам. З гэтай рысай нацыянальнага характару беларусаў ён ніяк не мог зьмірыцца. Да таго-ж назіраў, што ён не ў стане гэтага зьмяніць ні сваім жыцьцём, ні творчасьцю.

З моманту, калі сам адчуў сябе беларусам у пасьляваенных, ужо не-жыдоўскіх, Крынках, Сакрат з болем сэрца назіраў, што вакол адбываецца няўмольнае выкараненьне беларушчыны. Яму найперш расходзілася пра тутэйшых, сваіх беларусаў. Тыя за мяжою усяго кілямэтар на ўсход хвалявалі яго усё меней, як заведама пройгрышная справа. Яго душу гнятла тая *Доўгая сьмерць Крынак*, якая пачалася хутка пасьля ягонага нараджэньня. Месца жыдоў занялі жыхары навакольных вёсак, а Крынкі, некалі горад, ператварыліся у трохі большую вёску. Усяму свая прычына, а мястэчка змарнела з часу, як не стала у ім жыдоў з іхным гандлем і прадпрымальніцтвам. Тут не было будучыні. Самі бацькі раілі дзецям бы той Мардацік: „Ты поля й хлява не трымайся. Шукай месца на фабрыцы. Лепшае жыцьцё было у горадзе, а самым даступным і блізкім быў «вялікі горад Беласток»". Ужо у першыя месяцы вучобы у Беластоку, успамінаў Сакрат, ён

> пабачыў іншае жыццё, крыху польскага свету. Кантраст аказаўся каласальны: людзі там меліся непараўнальна лепей ад крынкаўцаў, прычым не так цяжка працуючы. Усё здалося падобным да таго, што чым страшней тыраеш, тым галаднейшы ты. Так прабівалася ў свядомасць жаданне аднак драпаць у горад. З кожным днём мацнейшае, гледзячы, як бацькі мучацца на гаспадарачцы, некалькігектаравай усяго, будучы пазбаўленымі Народнай Уладаю свайго капіталістычнага рамяства – бацька баяўся адкрыта шаўцаваць, а маці краўцаваць.

Зьехаўшы у горад людзі неахвоча прызнаваліся да свайго вясковага паходжаньня, абадранства і басаногай галечы. Не было сэнсу захоўваць і родную мову, трэба „пшэкаць» (бо-ж не зь беларускай мовы хлеб есьць Беласток).

Яновіч хутка прыкмеціў, што найбольш заядла

> ганьбавалі родным бясхлебавічы...бо чым жа маглі яны ганарыцца? Цяжка кіраваць да іх жаль, бо проста ратаваліся ад бацькоўскай нэндзы. А, зрэшты, знакамітая гэта ілюстрацыя навуковай праўдзе аб тым, што нацыю стварае буржуазія, людзі, у якіх адсутнічае праблема хлеба. Нацыянальная свядомасць, як вядома, ёсць прадукт культуры; сама голая культура нікога не накарміла. Гэта польская культура сцісла звязаная з кар'ераю, не беларуская (у саветаў усяму варунак – руская!).

Пачуцьцё няпоўнавартаснасьці выхадцаў з вёскі было паўсюднае. Прага вырвацца з гэтага асяродзьдзя назаўжды – усеагульная. Яновіч назіраў за гэтым з уласьцівай яму аўтаіроніяй: сам не быў лепшы, толькі ён гэта усьведамляў, а іншыя – не. У апавяданьні *Вёскішча, багіня ганьбы* пра вясковае вясельле бадай ключавой была думка, што нават праца на фабрыцы была кар'ерай, тым лепшым сьветам. Тыя новагарадзкія вясельныя госьці сьпешна разьвітваліся на сьвітанку з маладою параю „усё роўна што баючыся пачуць ад яе: «Забярыце нас адсюль, молім, забярыце!»“ Колькі псыхалягічнай праўды у кароткім тэксьце *Гутарка з маці*. На разьвітаньне „Маці наклала была ў маю модную сакваяжыну «Кантынэнталь» – цыбулі, буракоў, бульбы. Мне, памятаю, хацелася расьсьмяяцца ад таго: відаць, няшмат я тады разумеў з жыцьця”.

У творчасьці Яновіча прасочваецца не гэтулькі уласная біяграфія, колькі яго асабістае сьветаўспрыманьне, яго склад думак, яго шкала каштоўнасьцяў. Гэта ідэаліст, які хацеў-бы, каб заўсёды перамагала праўда і справядлівасьць, каб дабро узнагароджвалася, а зло – каралася. Але гарадзкі лад жыцьця адрозны ад вясковай прастаты і упарадкаванасьці. Выхадзец з асяродзьдзя, дзе ўсе пра усіх ўсё ведаюць, акунаецца ў гушчэр пераплеценых лёсаў і неадназначных характараў. У натоўпе – падзелу на чорнае і белае – недастаткова. Аказваецца, што сумленнасьць Сьцяпана Сумленевіча пабудавала паміж ім і грамадзтвам „сьцяну” адчужанасьці. Больш таго, што яшчэ больш небясьпечна для такіх, як Сумленевіч, паміж ім і сыстэмай. Такія людзі, якія зашмат думаюць, высоўваюцца з шарэнгі, бясконца чагосьці хочуць, усё ім нешта не падабаецца – падазроныя і вартыя павышанай увагі. Ён спрабуе даказаць канфармісцкаму, бяз'ідэйнаму чыноўніку-пракурору, што хоча „быць сабою”, што яго хвалюе „распад грамадзянскіх асноваў”, што з такіх людзей, як ён

> сьмяюцца й кпяць! Да чаго даходзіць: маральнае здароўе лічыцца ненармальнасьцю! Жыць у супольнасьці абазначае верыць у сапраўднасьць застольных сьцвярджэньняў: „Міліцыя арыштоўвае цябе не за тое, што ты ўкраў, але за тое, што ня ўмеў украсьці!”

Андрэй Антошка, герой *Самасея*, гэта усяго толькі новагараджанін, але ў ім больш вяскоўца засталося, чым мяшчаніна – набылося. Гэта

раздвоеная асоба, поўная супярэчнасьцяў. У ім і высокае і нізкае, добрае і дрэннае, чорнае і белае. Аднак у ім глыбока ўкаранелы прынцып элемэнтарнай прыстойнасьці. Ён разумее непрымальнасьць даносаў, паклёпаў, шантажу і прыніжэньня чалавека. Гэта ізноў-жа супрацьлеглае той вясковай закамплексаванасьці, але Яновічавы героі – жывыя людзі і таму яны такія шматадценевыя. У Антошкі мноства высноваў-афарызмаў, у якіх адчуваецца спадчынную, народную кемлівасьць і мудрасьць. У *Самасеі* аўтар зьмясьціў бадай найболей сваіх філязафічных роздумаў і тыповых для яго абагульненьняў. Некаторым яны падаюцца занадта радыкальным, катэгарычным маралізатарствам, але гэта ад пражытага альбо пачутага, як таго пра Расею, якая тройчы цягам аднаго стагодзьдзя прыходзіла і зыходзіла заўсёды са зброяй у руках:

> Расея хваліцца войнамі. Не дабрабытам, якога не мела і мець не будзе. Не з яе розумам сытна жыць. Ваюе і ваюе, бы нейкі хуліган або бандыт. Зрэшты, ваяваць лягчэй, чым працаваць. А ўжо цалкам беспраблемна піць. Вядома, без закусі, бо і адкуль тая закусь можа брацца...

Якраз у гэтыя дні канца сакавіка 2014 году гэтыя словы мне падаюцца ледзь не прароцкімі.

Я няўпэўнены, што ў творчасьці Яновіча можна лічыць галоўным здабыткам. Можа *Сярэбраны яздок*, можа *Dolina pełna losu*, можа *Трэцяя пара*, *Nasze tysiąc lat*, *Хатняе стагодзьдзе*, а можа *Białoruś, Białoruś*? Напэўна гэты апошні зборнік эсэ па-польску шмат каму з творчых польскіх элітаў усьвядоміў, як мала яны ведаюць пра Беларусь, абмяжоўваючы яе тым абразьлівым „панскім» паняцьцем „крэсаў». Можа з прычыны таго, што многія творы Яновіча былі перакладзеныя на польскую мову пра яго казалі, што ён „паказвае беларусам шлях да захавання ўласнай тоеснасьці і да блізкасьці з палякамі". Яшчэ некаторыя называюць яго „пісьменнікам абодвух народаў", хаця я не цямлю, у чым гэта выявілася.

У любым выпадку, калі б Яновіч спыніўся у 69-м годзе толькі на сваіх „Загонах", гэтага хапіла б, каб увайсьці у гісторыю літаратуры, як аўтар міняцюраў, вершаў прозай, альбо паэтычнай прозы, трапна (ня памятаю кім) названых „сакрацікамі". Яны сталі непаўторным і непадробным Яновічавым стылем. Там адчуваецца цярплівыя пошукі і карпатлівае шліфаваньне самага трапнага, сакавітага, ёмкага слова, каб яно увабрала у сабе і замяніла абшырнае апісаньне, каб выказала поўны спектр пачуцьцяў, вобразаў і уяўленьняў. У імкненьні да максымальнага нешматслоў'я і адначасова прыгажосьці выявіўся словатворчы талент Сакрата. Калі кажа „вылюдзіўся", дык значыць „выйшаў у людзі" дзякуючы сваёй кемлівасьці, працавітасьці альбо нават круцеляватасьці, хітрасьці. Ён назіраў у аднагодкаў прагу „зажыць як людзі", таго, што цяпер называем „сацыяльным павышэньнем", каб паводле Сакрата, для прыкладу" выпырхнуць у пахучы

гурт польскіх паняў". Характэрыстыка яго герояў неверагодна лаканічная, але шматзначная: „кумпястыя буфетчыцы", „цягавіты хлопец", „дачка брыняла", „гаспадарка выадпаведнілася", „музыка шампанілася", „сьцежка ніцела", „лоб украпеў", „клункастая постаць", „гарэлчыныя сябры", „пеўневыя хвасты аеру". З крынкаўскай шматэтнічнасьці ўзяліся ў яго тыя словы, што засталіся пасьля немцаў і жыдоў: „вэрхал", „рыхтык", „гешэфт". Не паўсюль гэтыя словы зразумелыя, але ў маёй пад-крынкаўскай вёсцы яны былі ў гутарковым ужытку.

Шкада, што Яновіч не пажыў даўжэй пры не-камуністычнай Польшчы, той ужо далучанай да Эўразьвяза. Інакш кажучы, альбо за рана нарадзіўся, альбо за рана памёр. Пару дзесяцігодзьдзяў мы саромеліся прызнавацца, альбо прынамсі без канкрэтнага пытаньня не прызнаваліся ні да свайго вясковага паходжаньня, ні да беларускасьці. Людзі ўсё больш свабодна перамяшчаюцца, і сьвет адкрываецца шырэй, чым некалі вясковае загуменьне. Праўда, пусьцеюць, адміраюць нашы вёскі, сьведамых беларусаў усё менш і менш. Затое неяк лягчэй дыхаць. Вальней і камфортней сябе адчуваем маючы за сабою і ў сабе прынамсі нашую „малую Айчыну" кшталту той-жа Беласточчыны.

Пра Сакрата Яновіча пішуць: пісьменнік, інтэлектуал, грамадзскі і палітычны дзеяч. Не. Што тычыцца палітыкі, дык ён зацікавіўся ёю і уцягнуўся ў яе ў 80–90-я гады, але у яго з гэтым не атрымлівалася ні у канспірацыі, ні адкрыта. Гэта не была ягоная стыхія. Ён яе не разумеў і непатрэбна за яе браўся, калі балатаваўся ў дэпутаты альбо стварaў беларускую партыю. Для мяне ён найперш выдатны літаратар, майстар слова і арыгінальнай думкі. Ён казаў: „Уваскрэсьнем у нашых дзецях". Да гэтага яшчэ дадам, што застанецца і ніколі не памрэ напісанае ім.

Сакавік 2014, Васількаў

Dariusz Kiełczewski
BIAŁYSTOK

Droga na Ostrołękę. Moje spotkanie z Sokratem Janowiczem

Na okładce ostatniej książki, sygnowanej imieniem i nazwiskiem „Sokrat Janowicz”[1], widzimy tego pisarza i eseistę, jak odchodzi od nas samotnie pustą drogą wiodącą przez pola. I okładka, i tekst wewnątrz napisane są wersalikami, co oznacza w „netykiecie” krzyk; sugerują, że mamy do czynienia z odchodzeniem mistrza, którego zapewne podziwiano i przynajmniej czasem stawiano na piedestał, lecz którego nikt nie zrozumiał, a nawet jeśli, to nie przejął się jego przesłaniem. Trzeba je więc raz na zawsze wykrzyczeć i wyrzucić z siebie, gdyż zawiera w sobie prawdy potrzebne właściwie każdemu. Nie wiem, czy takie były intencje Leona Tarasewicza, który kształt graficzny publikacji zaproponował, lecz ja interpretuję to dzieło w taki sposób. Myślę jednak, że taki ogląd postaci Sokrata jest nieco zbyt pesymistyczny. Kiedyś sam spotkałem go po drodze i kilka istotnych rzeczy autor *Wielkiego miasta Białystok* mi uświadomił, co przedstawię w niniejszym tekście.

Dla większości moich kolegów z nieistniejących „Kartek” Sokrat Janowicz był postacią szczególnie ważną, którą w 2004 roku uczciliśmy organizując benefis. Atmosfera była znakomita, bohater w świetnej formie opowiadał swoje niepowtarzalne historie, których ja też zwykle słuchałem z zapartym tchem, choć nigdy potem nie byłem w stanie odtworzyć prawie nic z ich treści. Było pięknie, błyskotliwie, ale rzadko udawało mi się coś zapamiętać.

Dla nas, ludzi z „Kartek”, Sokrat Janowicz był osobą-instytucją. Był jednym z mentorów młodej redakcji, która początkowo niewiele miała do powiedzenia poza prowokacyjnymi tekstami i wywiadami, a także nieco jeszcze koślawymi próbkami poezji i prozy. Potem, choć się okazało, że przemawia coraz poważniej i coraz dojrzalej, nadal była traktowana jako grupka niehigienicznie prowadzących się, dość podejrzanych typów atakujących zastane środowisko, w którym dominowała tradycyjna dykcja katolicko-patriotycznej orientacji. Było tak, choć

[1] S. Janowicz, *Utwory wybrane*, Krynki 2011.

wbrew pozorom wielu „kartkowiczom" z tą dykcją było po drodze. Wystarczy po prostu wnikliwie przeczytać wiersze Artura Szczęsnego albo Jerzego Nachiły, ale chyba czytano je nieuważnie, gdyż „Kartki" zostały jednoznacznie odrzucone. Siłą rzeczy pismo zwróciło się więc ku autorytetom trzymającym się (bądź też trzymanym) na uboczu, zwłaszcza Sokratowi Janowiczowi, oraz ku autorom niemieszczącym się w dominującym nurcie, jak Janowi Kamińskiemu albo potem Jerzemu Plutowiczowi, czy też miejscowym autorom białoruskim, którzy wydawali się w tamtym okresie zamknięci w mniejszościowym getcie. Było nam z sobą po drodze, a marginalizowanie wszystkich naraz jeszcze bardziej jednoczyło. Znaczenie dla budowy tych więzi miało też miejsce urodzenia naczelnego „Kartek", Bogdana Dudko, który urodził się i mieszkał tuż przy granicy z Białorusią. Była tuż za miedzą, a pozostawała jakby dzika i nieznana. Idealna sytuacja dla każdego redaktora – „jako pierwszy odkryję czytelnikowi ten świat". Kiedy zjawiłem się w redakcji, nie do końca sobie uświadamiałem, że poznawanie literackich światów naszych sąsiadów będzie tym, co po „Kartkach" zostanie jako jedna z najbardziej istotnych wartości. Przyszedłem, jak sądziłem, do pisma młodoliterackiego i potem czasem trochę irytowałem się, gdy wewnątrz numeru było coraz więcej mało znanych autorów z innych krajów kosztem tych, których najbardziej lubiłem i ceniłem. Należy jednak podkreślić, że początkowo „Kartki" były pismem typowo młodoliterackim, w którym nikt nie zamierzał eksplorować tutejszości i prowincji. To pojawiło się z czasem, jako skutek pogłębiających się więzi oraz zapewne też dlatego, że w pewnej chwili z pismem spotkał się Sokrat Janowicz.

Przełomową cezurę stanowił rok 1997, kiedy pojawiła się w piśmie obszerna prezentacja młodej literatury białoruskiej, uzupełniona malarstwem, fotografią, a także tekstami piosenek rockowych[2]. Przegląd ten był czymś wyjątkowym na tle środowiska młodej literatury, które otwierało kolejne pisma, wyrastające jak grzyby po deszczu i publikujące zawsze tych samych autorów. Przyjęto ten pomysł bardzo chłodno. W swoim słowniku literackim Paweł Dunin-Wąsowicz określił „Kartki" jako zmarnowane pismo z obrazkami. Pojawiły się zarzuty, że pismo rozpoczęło cyniczną grę ze sponsorami i będzie zapewne drukować każdego, kto da pieniądze na publikację. Opowiadania Adama Hlobusa *Demonokameron*[3], w którego promocję „Kartki" się zaangażowały, zostały uznane przez Dariusza Nowackiego za pornograficzne historyjki, świadczące najpewniej o tym, że młodzi literaci z Białorusi niewiele mają do powiedzenia. Przyznam, że sam też nie byłem zbyt przekonany do tego pomysłu. Gdy po latach czyta się „białoruski" numer „Kartek" uderza, że, po pierwsze, większość tekstów jest mocno zaangażowana politycznie, sprawiając wrażenie zbyt publicystycznych, co stwarza groźbę szybkiego „zestarzenia się", zdjęcia i obrazy – za często pretensjonalne, a tłumaczenie znacznej ilości tekstów nieprzekonujące. Poza tym bardzo niewiele

[2] „Kartki" 1997, nr 1.
[3] A. H l o b u s, *Demonokameron*, red. i posł. J. Maksymiuk, przeł. B. Dudko i in., Białystok 1998.

lubianej przeze mnie prywatności „barbarzyńców" oraz postmodernistycznej intertekstualności i zwyczajnej erudycji. Przy tym wszystkim dziś uważam, że numer pozostaje jednak bardzo wartościowy. Jest to pierwsza tak odważna próba eksploracji miejsca urodzenia redaktorów i współpracowników „Kartek", które w większości przypadków wiąże się z pograniczną tożsamością. Wtedy nie postrzegałem tego jak należy i nie uważałem, że jest to w jakikolwiek sposób ważne, sądziłem nawet (a złośliwe recenzje dawały do tego powody), że osłabia to pozycję pisma na krajowym rynku. Uważałem, że wszystko to dzieje się z powodu bardziej towarzyskich, niż merytorycznych przesłanek. Spojrzałem na to inaczej dopiero wtedy, gdy przyszło mi się spotkać z Sokratem Janowiczem twarzą w twarz.

Było to w 2000 roku w Ostrołęce. Obaj zostaliśmy zaproszeni przez Wojciecha Woźniaka, redaktora naczelnego pisma „Pracownia"[4] na promocję kolejnego numeru, w którym obaj opublikowaliśmy teksty. Spotkanie z Sokratem było dla mnie niespodzianką, kolejną było to, że Wojtek poprosił mnie, bym zabrał Go swoim autem do Białegostoku, na co oczywiście przystałem, choć czułem się nieco skrępowany i zakłopotany. Z tyłu głowy kołatały myśli – to jest właśnie ten Sokrat, od którego Bogdan zaczyna listę gości „kartkowych" spotkań, a który wciągnął go w tę białoruską poezję i kulturę jako taką, odmienną od naszej, traktowaną w kraju bardziej jak ciekawostka, niż poważna twórczość. Towarzyszyło mi (potwierdzane recenzjami) przeświadczenie, że nasze pismo ma przecież potencjał, by stać się jednym z najlepszych młodych pism, a te wschodnie konotacje trochę w tym przeszkadzają. O czym rozmawiać, żeby nie sprawić sobie nawzajem przykrości i nie zacząć się sprzeczać? Czy wypada wspomnieć, że białoruska literatura do mnie niezbyt przemawia, bo wolę brytyjską i amerykańską, a tym samym wolałbym, żeby gościł u nas Craig Raine albo Derek Mahon. A zamiast tego korowód Janowicz-Wierszalin-Narodnyj Albom-Wolski- NRM-Krywi. I Orkiestra Pod Wezwaniem Św. Mikołaja (na prowincji gra się do ucha na ludowo, a nie rockowo). I obowiązkowo „Basowiszcza". A ja wolałbym koncert Laurie Anderson. Byłem wtedy w takiej fazie, że zamiast rzeczywistego charakteru pisma widziałem manierę. W zachowaniach moich białoruskich przyjaciół i znajomych dostrzegałem nie tyle przywiązanie do własnej kultury, ile ostentację – możemy rozmawiać o różnych rzeczach, recenzować, krytykować, ale to, co białoruskie jest niepodważalne i nie podlega dyskusji. Z samej białoruskości już jest dobre. Kibicujemy książkom napisanym przez Białorusinów dlatego, że są białoruskie, a nie po prostu wartościowe. To samo zresztą z każdym innym rodzajem twórczości. Kiedy raz w radiu potraktowałem pewną białoruską książkę w sposób poważny, to znaczy rzetelnie przedstawiając zalety i wady (niestety, te drugie przeważały) już następnego dnia dowiedziałem się, że połowa białoruskiego środowiska w mieście ma do mnie o to żal. Jakby stosowanie taryfy ulgowej było moim obowiązkiem, a rzetelna krytyka niestosownością.

[4] Pismo „Pracownia" było wydawane w Ostrołęce w latach 1989–2003.

Mieliśmy więc jechać z Ostrołęki do Białegostoku, kłębiły się we mnie te myśli, chciałem nawet porozmawiać z Bogdanem o tym, czy koniecznie tak dużo Wschodu musi być na naszych łamach…

To nie było w dodatku moje pierwsze spotkanie z Sokratem. To pierwsze skończyło się rozczarowująco. Miało miejsce w latach osiemdziesiątych, gdy studiowałem polonistykę, a charakter wyłącznie literacki. Na zaliczenie przedmiotu „Teoria kultury" kilka osób zaproponowało, że napisze pracę zaliczeniową o tożsamości białoruskiej w oparciu o książkę Janowicza *Białoruś, Białoruś*.[5] Lekkie zaskoczenie: jednak Białorusini mają swojego pisarza i to, jak stwierdzono na zajęciach, wybitnego. Białoruskość nie sprowadza się zatem do tygodnika „Niwa", którego czytelników ani autorów wtedy w ogóle nie znałem, uczęszczania do cerkwi, spożywania słoniny i ziemniaczanej kiszki oraz do zestawu ludowych piosenek, śpiewanych przez niektórych moich znajomych wieczorem podczas akademikowych imprez, co nie zawsze wzbudzało mój entuzjazm. Dotarłem do książki, co w tamtych czasach nie było łatwe, przeczytałem ją i wrażenia miałem niejednoznaczne. *Białoruś, Białoruś* jawiła mi się jako rzecz wykrzyczana, trochę histeryczne wołanie „nie widzicie nas, nie znacie, nie doceniacie, przecież tu jesteśmy, obok was, razem z wami, a traktowani jak ludzie drugiej kategorii, na siłę spolszczani i rusyfikowani". Była w tej książce także dziwna egzaltacja, która w moim odczuciu przejawiała się przede wszystkim w poszukiwaniu korzeni białoruskich wszędzie, gdzie się da, w sugestii, że na wschód od Wisły, a już na pewno wzdłuż całej Narwi i Biebrzy, a potem dalej na wschód, aż gdzieś pod Smoleńsk, wszyscy to tak naprawdę Białorusini, którzy po prostu o swojej białoruskości zapomnieli lub zostali do tego zmuszeni. Najbardziej symbolicznym przejawem tej egzaltacji była w książce sugestia, że Mickiewicz chętnie napisałby w Inwokacji „Białorusi ojczyzno moja", ale obawiał się cenzury. Przecież gdyby wieszcz obawiał się cenzury, nie napisałby w *Panu Tadeuszu* ani słowa, być może nigdy nic by nie napisał. W ten sposób książka wpisywała się doskonale w moje ówczesne, jakże stereotypowe i krzywdzące, wyobrażenia o białoruskości: że to taki trochę hybrydowy twór, język, w którym słowa rosyjskie przemieszały się z polskimi, podobnie z alfabetem, zasadami gramatyki, historia tworzona trochę na siłę w oparciu o opowieść o prowincjonalnym przecież Gródku jako pierwszym znaczącym mieście na Białostocczyźnie, co miało sugerować, że to Polacy są tu obcy, a Białorusini u siebie. Sami zresztą niektórzy moi ówcześni znajomi Białorusini unikali jak mogli używania własnego języka, ktoś mi nawet wspominał, że w liceum język białoruski był dla niego znienawidzonym przedmiotem. Zapewne miało to związek z kolejnym stereotypem, mocno wtedy rozpowszechnionym: jesteś Białorusinem, to jesteś czerwony, a i pewnie wysługujesz się władzy, opowiadając o swoich przyjaciołach panom w służbowych garniturach. Taka była atmosfera tamtego czasu.

W dodatku książka była bardzo nieprzyjemna dla mnie jako Polaka (tak to wtedy odczuwałem). To przecież my mieliśmy być narodem skrzywdzonym,

[5] S. Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987.

rzuconym między agresywne Niemcy i jeszcze bardziej agresywną Rosję, germanizowanym, rusyfikowanym, konsekwentnie pozbawianym elit. Tymczasem z książki Janowicza wynikało, że wcale nie byliśmy lepsi, ponieważ jesteśmy równie agresywni i tak jak nas próbowano zrusyfikować, tak my polonizowaliśmy Białorusinów, w dodatku bardzo skutecznie i całkowicie zamazując wszelkie ślady prawdziwej tożsamości odebranych bohaterów. Strona po stronie odkrywałem białoruskie życiorysy niektórych polskich bohaterów narodowych i nie było to dla mnie wygodne. Nie byłem wtedy na taką lekturę i takie prawdy przygotowany.

Ruszyliśmy z ostrołęckiego rynku, przejechaliśmy przez miasto, dojechaliśmy do dzielnicy Wojciechowice, wyjaśniłem, że o tym miejscu jest jeden z przeczytanych przeze mnie na spotkaniu wierszy, pokazałem przystanek stojący tam, gdzie niegdyś był pożydowski dom, w którym się urodziłem, a potem kościół, w którym zostałem ochrzczony. Sokrat zwrócił uwagę, że to przerobiona na kościół cerkiew i zażartował, że już wie, dlaczego przeniosłem się do Białegostoku. I zaczął opowiadać. Najpierw o tym, że fascynują go samochody, choć nigdy żadnego nie posiadał ani nawet nie prowadził. Uznał, że możność kupna auta przez każdego jest dowodem na to, jak bardzo zmieniło się życie. U nas jak w Krynkach ktoś kupił sobie pierwszą taksówkę, cały dzień jeździł po mieście, potem trąbiąc klaksonem jeździł w kółko po rondzie aż mu się paliwo skończyło. To była radość! Dziś już nikt się tak nie cieszy. Wtedy cieszyło wszystko, bo powszechną naturalną rzeczywistością była upokarzająca bieda. Kiedy byłem mały, panowała taka nędza, że w szkole musiałem chować przed kolegami kanapki, bo mi je kradli. Oni nie mieli ze sobą nic do jedzenia, a ja chleb z serem, miodem, a bywało nawet, że z kiełbasą, bo moi rodzice mieli poważane zawody, fach w rękach, więc zarabiali więcej niż inni. W dodatku moja matka zawsze miała wiele pomysłów, żeby dorobić jakieś pieniądze. Kiedyś na przykład wzięła na kwaterę i wyżywienie meliorantów. Siedzieli u nas całe wakacje, a potem aż do końca jesieni. Matka im gotowała to, co u siebie, a oni byli Polakami, to chyba im nie bardzo to gotowanie pasowało, bo raz jesienią poprosili, żeby ugotowała im porządnego rosołu. Akurat się zielonki zaczęły, matka poszła do lasu, nazbierała, ugotowała porządny rosół, a oni przychodzą i pytają, co to jest. To matka, że to rosół, a oni, a gdzie kura, gdzie oka, gdzie makaron i pietruszka? I zaczęli tłumaczyć, o jaką zupę im chodziło, bo podała grzybową, a nie rosół. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem sobie, że to tak właśnie jest. Mówisz o tym samym, ale to nigdy nie jest to samo, jeśli mieszkasz gdzie indziej. I zawsze trzeba o tym pamiętać. Moja matka nie uszanowała tego, że oni pewnie wolą inną kuchnię i że rosół dla nich to coś innego, niż dla niej. Ale teraz wiem, że jeśli nas, Białorusinów, nigdy nikt nie szanował, to nieporozumienie z rosołem łatwo można jej wybaczyć.

Wyjaśniłem, że na Kurpiach nie byłoby to żadnym nieporozumieniem, gdyż mianem rosołu nazywa się i zupę na mięsie drobiowym, i zupę z zielonek. Sokrat odpowiedział, że go to nie dziwi, gdyż Kurpie bardzo mu przypominają Białorusinów.

Wskazał na podobieństwo domów, które i tu, i tu są budowane z drewna, mają podobny układ wnętrza, są bogato zdobione na zewnątrz (okiennice) i wewnątrz, zwłaszcza przez wycinane z papieru wycinanki, które są oparte na identycznych motywach i mają prawie identyczną formę. W strojach ludowych jest dużo czerwieni. W tańcach pojawiają się zbliżone motywy muzyczne. Nawet układ podwórka w gospodarstwie i przywiązanie do czystości są jednakowe. Jedno, co dzieli Kurpiów i Białorusinów, to fakt, że ci pierwsi byli zawsze wolni, drudzy zawsze mieli nad sobą pana. Kurp jest wolny, dumny i niezależny, Białorusin pokorny, skryty i przywiązany do władzy. Wszystko dlatego, że Kurpie mieli odwagę uciec przed pańszczyzną do lasu – z Mazowsza, Mazur, Podlasia. Nikt ich nie ścigał, bo puszczę trudno przebyć, jest to niebezpieczne, a jeśli są jakieś grunty, to same piaski, na których niewiele wyrośnie. Potem jeszcze z Puszczy Kurpiowskiej zrobiono królewszczyznę i Kurpie byli już całkiem bezpieczni. Umieli też wypędzić z puszczy tych, którzy na nich napadali. Pokonali Szwedów i bardzo długo walczyli w Powstaniu Styczniowym. Natomiast Białorusini mieli do wyboru – albo być chłopem pańszczyźnianym, albo spolszczyć się czy też zrusyfikować i zostać ziemianinem. Białoruskość kojarzyła się z chłopstwem, czymś, co jest gorsze, a bycie szlachcicem to cywilizacyjny awans, postęp, coś lepszego. I tak zostało do dziś. Jeśli Białorusin trafi do miasta, dostanie te swoje trzy pokoje w bloku, kupi telewizor i taksówkę, od razu myśli, że on już jest polski pan i do swojego narodu przestaje się przyznawać. Nieważne, że dalej chodzi do cerkwi (a Polacy są katolikami) i że na co dzień rozmawia z rodziną po białorusku. On już jest Polak i basta. Poza tym Białorusini źle się czują bez władzy. Jak stracą władcę, to zaraz sobie coś wynajdą. Taki Łukaszenka to porządny władca, ojciec narodu, niepijący, uprawiający sporty, ze swojską łysiną i wąsem, co to gdy trzeba po głowie pogłaszcze, pocieszy, a gdy trzeba, to krzyknie, pięścią w stół uderzy, złodziei zamknie, no i jeszcze światowo po rosyjsku, a nie po chłopsku mówić nakazał. Sama radość. To prawdziwa władza. I tu Sokrat gorzko skonstatował, że gdy Białorusin dociera do władzy, to prawie każdy zachowuje się jak Łukaszenka, jeśli tylko mu wystarczająco dużo władzy dać. I że dobrze wie, że większość Polaków postrzega jego rodaków tak samo. Jako ludzi wiernych i posłusznych każdej, nawet najgorszej, władzy oraz jako nacjonalistów. Często słyszę, że jestem nacjonalistą, ponieważ mieszkam w Polsce, a piszę po białorusku, i tak samo w Krynkach rozmawiam po białorusku w sklepie albo na ulicy. A czy ja mieszkającego w białoruskim przecież Gródku Polaka nazywam nacjonalistą, ponieważ mówi po polsku? Język białoruski jest moim ojczystym językiem, dlaczego mam go nie używać, zwłaszcza, że w Krynkach wszyscy go znają? Jestem Białorusinem, więc mówię po białorusku. Chcę mieć prawo nazywać rosołem to, co Polacy nazywają zupą grzybową. To takie proste, a jednak to nacjonalizm. A może to dlatego, że jestem nieposłuszny i nie dałem się spolszczyć? A pan jest kurpiowskim nacjonalistą?

Wyjaśniłem, że w przypadku Kurpi nie można mówić o narodzie. To po prostu chłopska kultura, która zachowała swoje tradycje i stara się je kultywować. Sokrat odparł, że pojęcie narodu jest kategorią względną oraz że w przypadku

Mazowsza, gdyby historia się potoczyła inaczej, pewnie byłaby mowa o narodzie mazowieckim. Gdy Polacy oblegali w średniowieczu Płock, ludzie na murach obronnych krzyczeli do nich: jeszcze wam się odwdzięczymy, Lachy przeklęte. Stwierdził też, że dawny język mazowiecki był brzmieniem i w słowotwórstwie bliższy białoruskiemu niż polskiemu, zwłaszcza na wschodnim Mazowszu. Po białorusku mówili też wszyscy Litwini, ponieważ współczesny język litewski wywodzi się ze Żmudzi. Stąd wniosek, że gdyby Krzyżacy zawojowali Żmudź, nie byłoby z czasem Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale tak naprawdę Wielkie Księstwo Białoruskie, a Litwini po odzyskaniu niepodległości trochę podrasowali historię pod własne potrzeby. To nie było powiedziane wprost, ale wisiało w powietrzu. Ale Polacy założyli Unię z Litwą, rozprawili się z Krzyżakami, a potem całą Litwę i Białoruś konsekwentnie i bardzo skutecznie spolszczyli, wprowadzając swój pańszczyźniany ustrój. A czego nie dokończyli Polacy, zrobili Rosjanie. Nawet Ukraińcy mieli więcej szczęścia i zachowali silną tożsamość narodową. O Białorusinach wie się tylko tyle, że rządzi tam Łukaszenka, zwalczają swój własny język i jeżdżą do Polski sprzedawać tytoń i alkohol. Czy jest pan świadomy, że to Białorusini ponieśli jako grupa narodowa największe straty podczas drugiej wojny światowej, nie licząc Żydów? Nikt tego nie wie i nikogo to nie obchodzi. Niemieckie oddziały, które pacyfikowały powstanie warszawskie, najpierw trenowały na Białorusi. Czytałem nawet gdzieś, że wspominali, iż w Warszawie zachowywali się w całkiem cywilizowany sposób w porównaniu z Białorusią. Tak było, ale to też nikogo nie obchodzi. To naprawdę trudne, gdy nikt nie chce znać twojej historii, a nawet twoi rodacy nie chcą rozmawiać we własnym języku. Jeśli się mówiło o Rzeczypospolitej, to najwyżej trojga narodów. A gdzie czwarty? Jesteśmy narodem skrzywdzonym i zapomnianym. No, ale dosyć już narzekań starego człowieka, co to do rodzimych Krynek wrócił, czyli przegrał, bo bloku nie dostał, taksówki nie ma i na wieś znowu przyjechał. Ot, taki nieudacznik. Kiedyś mnie to wszystko bardziej obchodziło i pewnie bym nawet pokrzykiwać zaczął. Miałem poczucie misji. Myślałem, że jeśli się upomnę o Białoruś, to ktoś to zobaczy, doceni i zacznie działać razem ze mną. No i wtedy książki inaczej się pisało i wydawało. Okładki projektowane przez artystów, korekta staranna, bo korektor po premii dostawał za każdą literówkę. Książka to była świętość. Teraz to jest towar. Każdy może sobie zaprojektować, złożyć, a zła redakcja i literówki już nikogo nie dziwią. I znowu narzekam, panie Darku.

Opowiedział mi, że dzięki Wojtkowi Woźniakowi dość dobrze poznał Kurpie. Podobało mu się silne poczucie kurpiowskiej tożsamości. W wielu wioskach stare zadbane domy, których nikt nie rozbiera. Myszyniecka procesja z okazji Bożego Ciała, na której ludzie w strojach ludowych: od staruszków, co nigdzie nie dziwi, aż po kilkuletnie dziewczynki i chłopców, co już nie jest oczywiste. Odpowiedziałem, że u nas to normalne, ponieważ sam w liceum śpiewałem kurpiowskie pieśni, tańczyłem ludowe tańce i recytowałem miejscową poezję, choć wtedy nie byłem zbytnio tym zachwycony, a moja siostra jako dziecko marzyła o stroju kurpiowskiej panienki, podobnie jak wszystkie koleżanki. Wyjaśnił mi,

że jego zdaniem to dalszy ciąg tej kurpiowskiej wolności, która nie była dana Białorusinom. I że, z całym szacunkiem dla kultury Kurpiów, sami mieszkańcy Puszczy Zielonej zatrzymali się na pewnym etapie. Wycisnęli z siebie, ile się dało, ale chłopska kultura nigdy nie rodzi się i nie rozwija sama z siebie, gdyż chłopi są tradycjonalistami. Rozwój kulturze zapewnia dwór oraz miasto. Tam istnieje atmosfera dla twórczości, powstają nowe pomysły i trendy, a im większe miasto, tym większy ruch i rozwój. Dlatego właśnie Białorusini są w szczególnie trudnej sytuacji, ponieważ, jak każdy naród, mają ambicję zbudowania własnej kultury i tożsamości, ale jedynymi fundamentami, do których mogą się odwołać, pozostają tradycje chłopskie. A na tym nie da się zbudować niczego nowego i świeżego. Dlatego trzeba mozolnie tworzyć swoją elitę, zaakceptować swoją chłopskość, ale zarazem ją w pewnym sensie odrzucić, przełożyć na coś, co będzie nowe i twórcze. Wtedy będzie się traktowanym na równi. Ale to praca dla kolejnych pokoleń, o ile się nie roztopią w Polsce i w Rosji.

W tym momencie przypomniało mi się spotkanie w Sejnach poświęcone filmom dokumentalnym o mniejszościach narodowych w Polsce. Leon Tarasewicz zarzucał wtedy dokumentalistom, że przedstawiają Białorusinów, Ukraińców, Litwinów jak ludzi gorszej kategorii, którzy zajmują się rzeczami trzeciorzędnymi: a to spór o nazwę miejscowości, a to ciekawostka, bo jakiś dziadek na starość strusie hodować zaczął, a to znowu chłopcy na gęśliczkach i piszczałkach grają, choć on zna tylko takich, którzy grają na gitarach elektrycznych i perkusji. Podkreślił, że to jest podejście wynikające z przekonania o własnej wyższości, a on chciałby widzieć w dokumentach normalny świat, normalnych ludzi z problemami takimi samymi, jak u innych. Chciałby widzieć prawdę, a nie cepelię.

I wtedy gdzieś chyba między Łomżą i Wizną uświadomiłem sobie, że ja sam rozumuję tak samo. Publikuję twórczość białoruską i zapraszam Białorusinów, ale w istocie traktuję to głównie jako towarzyską ciekawostkę oraz ani chcę, ani nawet zamierzam dokładnie poznać i zrozumieć ich twórczość, sposób myślenia, preferowaną przez nich dykcję. Uświadomiłem sobie, że szukam inspiracji w dalekim świecie, do którego być może nigdy nie dotrę, a nic nie wiem ani o kulturze białoruskiej, ani ukraińskiej, ani litewskiej (no, może poza tym, że Lwów, Brześć i Wilno kiedyś były nasze, polskie). Także, że w istocie sam jestem takim polskim panem, który chętnie by całe kresy spolszczył, żeby rosół wszędzie znaczył to samo, a takie kartacze były raz na zawsze kartaczami, a nie jakimiś tam zeppelinami (choć na Kurpiach ta potrawa się pyzy nazywa). Pomyślałem też, że nie szanuję regionu, z którego sam się wywodzę, gdyż długo nie przyznawałem się do niezłej znajomości kurpiowskiego folkloru, a nawet czyniłem spore wysiłki, by pozbyć się charakterystycznego akcentu, przestać używać regionalizmów i zlikwidować skłonność do mazurzenia. Wspierali mnie w tym zresztą moi nauczyciele, którzy konsekwentnie tępili mówienie w szkole gwarą.

Po drodze rozmawialiśmy jeszcze na wiele tematów. Było trochę anegdot. Rozprawialiśmy też o planach wydawniczych, padła propozycja tłumaczenia moich wierszy na język białoruski. Ale to już były tematy mniej ważne.

Nie spotkaliśmy się więcej z Sokratem. Miałem nawet wrażenie, że mnie unika. Może mnie nie zapamiętał, może obawiał się, że się za bardzo otworzył, możliwe też, że nie podobały mu się moje wiersze, a przez delikatność nie chciał się wprost wycofać z danych obietnic wydawniczych. Albo po prostu nie podobała mu się moja radiowa recenzja książki, w którą osobiście się zaangażował, a ja ją skrytykowałem. Lecz w tym ostatnim przypadku sam jest sobie trochę winny, gdyż nie chciałem traktować tej powieści (bo to była powieść) jak etnograficznej ciekawostki.

Niedługo potem pojechaliśmy z Bogdanem do Wilna, żeby ustalać szczegóły wydania książki Herkusa Kunciusa *Moja walka Bambino*[6] oraz litewskiej edycji „Kartek". Potem byli autorzy z krajów byłej Jugosławii, potem z jeszcze kilku innych regionów Europy. Po drodze Bogdan wymyślił formułę, a ja nazwę festiwalu „Świat na Uboczu", w który bardzo się zaangażowaliśmy. Nawet nikt na nas nie utyskiwał. Recenzje były dobre. W samym Białymstoku nas chwalono, co dotąd było prawie niemożliwe. Wielokulturowość zaczęła być modna. Dużo później zredagowałem jedną z książek Białorusina Michała Androsiuka[7], choć to pewnie za duże słowo, gdyż była tak dobrze napisana, że nie bardzo miałem co redagować. Zacząłem też odtwarzać pamięć o swoim regionie, która mi się gdzieś po drodze zagubiła.

Kiedyś myślałem, że swoją tożsamość światopoglądową można poukładać jak patchwork: trochę stąd, trochę stamtąd, stosownie do tego, co w danym momencie pasuje. Dziś sądzę, że jest zupełnie inaczej i że nasza tożsamość wypływa z miejsca, gdzie żyliśmy, kształtowaliśmy się, a nowe elementy po prostu się filtruje, przetwarza i czasem powstaje z tego nowa wartość. Kiedyś rozumowałem w sposób etnocentryczny, byłem dumny z naszej polskiej kultury, a te na wschód od niej chyba trochę lekceważyłem; jakaś Białoruś albo Ukraina, toż to radzieckie republiki po prostu… Dziś wiem, że tym samym przyznawałem prawo do traktowania mnie w taki sam sposób przez innych. I jeśli chcę być dobrze traktowany przez nich, sam muszę ich tak traktować. W dodatku tym, którzy nigdy nie mieli własnego państwa, a jeśli już się ono pojawiło, to koślawe, więcej się wybacza.

Tego wszystkiego zacząłem się uczyć od spotkania z Sokratem. Chyba niezły wynik, jak na samotnego człowieka odchodzącego na okładce w dal polną drogą, z którego wieloma tezami nadal się kompletnie nie zgadzam.

---

[6] H. Kuncius, *Moja walka Bambino*, przeł. I. Korybut-Daszkiewicz, Białystok 2001.
[7] M. Androsiuk, *Wagon drugiej klasy*, przeł. M. Rębacz, Białystok 2010.

Krzysztof Gedroyć
BIAŁYSTOK

Polscy i ruscy patrzą na siebie

Wspominam Sokrata, wspominam siebie i życie na pograniczu w polsko-ruskim klimacie Białegostoku i Podlasia. To jest całość, inaczej się nie uda.

Sokrat przez jakiś czas pracował jako magazynier w Zarządzie Aptek w Białymstoku. Z tamtego okresu pochodzi powtarzane przez niego wspomnienie, że „gdy popadł w niełaskę u władz – zbijał skrzynki". Nieposłusznego Sokrata należało ukarać. Wcześniej Sokrat-dziennikarz-literat był posłuszny. O Sokracie-magazynierze dowiedziałem się od mojej mamy. Mama także była zatrudniona przez Zarząd Aptek. Jako farmaceutka w aptece.

Sokrata-literata poznałem, zdaje się, w 1974 roku. W lokalnym środowisku był dosyć znany. Dziennikarz białoruskiej „Niwy" i autor pierwszych książek. Dla wielu Białorusinów był postacią kłopotliwą i niejednoznaczną. Także dla dziennikarzy z „Gazety Białostockiej", której po grudniu 1970 roku nadano tytuł „Gazeta Współczesna". „Gazeta Współczesna" była partyjną, peerelowską tubą propagandową. Dziś tak można powiedzieć. Wtedy była jedyną gazetą codzienną w Białymstoku. Kolejne białostockie pokolenia dowiadywały się z niej o świecie. O jedynie prawdziwej i słusznej interpretacji świata. Internetu wówczas nie było… (gdyby ktoś z ludzi młodszych czytał ten tekst). Były dwa programy telewizyjne i cenzura. Nie było wolności politycznej, a wolność osobista przydarzała się ludziom wyjątkowo rzadko. Niektórzy, było ich w Białymstoku niemało, przyjmowali tę gazetową wykładnię całkiem serio. A czym była „Niwa"? Dla mnie pismem redagowanym przez ruskich w obcym języku. Dla Sokrata? Zapewne ważnym fragmentem białoruskiego świata. Odradzającego się, lecz wciąż zagrożonego wyginięciem.

W 1974 roku byłem po drugim roku historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Wakacje spędzałem u rodziców w Białymstoku. Z nadmiaru wolnego czasu, żeby przeżyć coś nowego, ale przede wszystkim po to, by spróbować pisać i być czytanym, zgłosiłem się do „Gazety Współczesnej", że może mógłbym

coś dla nich popisać. W efekcie pisywałem głównie kilkuwierszowe notatki z życia miasta.

Ojciec był załamany moim pomysłem. Ojciec nie miał złudzeń. Od powojnia Polska żyła pod sowiecką okupacją. Należało się trzymać prostych zasad: nie dać się zabić lub uwięzić i nie zadawać się z komunistami (partyjnymi), którzy są po prostu nikczemnymi poplecznikami Rosji albo cynicznymi karierowiczami. Podzielałem jego przekonania, ale pragnienie pisania, mojego pisania, które ktoś przeczyta, było silne. Chciałem pracować w słowie! Takie zajęcie. Dziś zastanawiam się, może ojciec myślał o zhańbionym nazwisku? Może przewidywał, że komunizm w Polsce się nie skończy, będzie trwał długo, a jego dzieci powinny jakoś sobie ułożyć życie? Był rozdarty i smutny, jak wielu Polaków w ostatnich stuleciach, którym towarzyszył etyczny i praktyczny wysiłek: jak układać się z Rosją okupującą Polskę, najpierw z Rosją carską, później z Rosją komunistyczną i z jej krajowymi poplecznikami – „sługusami Moskwy". Dylematy obywateli kraju podbitego.

Gdy miałem już dość pisania o czerstwych bułkach w państwowych sklepach spożywczych, napisałem satyryczny felieton *Nuda*. Że w Białymstoku jest nudno, a gdy jest nudno, różne straszne rzeczy przychodzą ludziom do głowy. I ten felieton wydrukowali. Mój życiowy przyjaciel, Bogdan Białek, powiedział, że Sokrat felieton przeczytał i chętnie spotka się ze mną. Poszliśmy we dwóch z Bogdanem na spotkanie, do kawiarni „NOT" przy Skłodowskiej.

Dlaczego Sokrat chciał się ze mną spotkać? Kim ja w końcu byłem, żeby Pisarz chciał ze mną rozmawiać? Sokrat nas badał, chciał dowiedzieć się, co mamy w głowach, w sercach, w zamiarach. Kim jesteśmy? Byłem zadowolony. Pisarz zwrócił na mnie uwagę za sprawą mojego pisania.

Sokrat chciał trzymać rękę na pulsie, wiedzieć, co w lokalnej trawie piszczy. Czuł się literacką i polityczną osobistością po przejściach, po okresie niełaski z trudem powracał do kulturalnego obiegu, nadal jednak doświadczając przykrości, jako partyjny odszczepieniec. Nie pamiętam szczegółów tamtej rozmowy. Także wówczas wspomniał o zbijaniu skrzynek. Mówił o tym bez rozczulania się, jakby chciał, żeby ten obraz o nim świadczył. Pozycja jego osoby w szczególny sposób urosła – został doceniony przez aparat opresji jako polityczny przeciwnik. Miałem wrażenie, że spotkałem się z człowiekiem dumnym, odrębnym i samotnym.

Pamiętam moje myślenie w tamtej epoce. Gdy spotykałem nowych ludzi, pojawiało się we mnie pytanie: czy on (ona) należy do PZPR? Do komunistycznej partii władzy. Z mojego punktu widzenia, z punktu widzenia mojej rodziny była to najważniejsza cecha człowieka w PRL-u i najprostsza odpowiedź na pytanie, kim jesteś. Wstąpienie do partii komunistycznej było przekroczeniem linii oddzielającej Polskę polską od Polski sowieckiej. Było jak mafijny chrzest. Porządny Polak nie ufał partyjnym, mógł się po nich spodziewać wszystkiego najgorszego. Nie wiedziałem, czy w tym czasie Sokrat był w PZPR. Być może zwrócił już partyjną legitymację czy też został z partii wyrzucony. Wiedziałem, że długie lata

należał do NICH. Jego los nie był moim losem, jego strategia życiowa była zagadką, a jego położenie było konsekwencją wcześniejszej politycznej decyzji o zapisaniu się do PZPR. Pisarz, intelektualista uwikłany w PZPR. Jak wielu w tamtych czasach.

W Białymstoku utarło się przekonanie, że każdy ruski to komunista i wróg Polski. Ciekaw jestem, jak partyjni ruscy myśleli w tamtych czasach o Polakach katolikach? Że biorą na nich słuszny odwet za przedwojnie? Za chłopską biedę i poniżenie? Za zarozumiałość klasy panów? I ta ICH radość ze społecznego awansu, z lepszego życia! Z udziału „swoich ludzi" we władzy! Niektórzy ruscy chcieli być bardziej polscy niż Polacy i polonizowali się na wyścigi, bo w Polsce Gomułki i Moczara u władzy musieli być Polacy.

Regularnie od lat przemierzam trasę Warszawa-Białystok, w okolicach Ostrowi Mazowieckiej łapię białostockie radio i jest to pierwszy sygnał, że zbliżam się do mojej krainy. W 2007 roku przez radio usłyszałem komunikat, że Sokrat przyznał się do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. O tym, że zachowały się materiały o jego współpracy z SB i wcześniej lub później wyjdą na jaw, dowiedział się dwa lata wcześniej. Zaraz potem nadano w radiu jego wypowiedź. Niefortunną, pomniejszającą znaczenie tego faktu. Potem śledziłem ciąg dalszy tej historii. Napaści na Sokrata-TW („każdy ruski to donosiciel i zdrajca!") i jego publiczne odpowiedzi. Opowiadał o swoim rozpoznaniu rzeczywistości w tamtych latach, o swoich białoruskich, politycznych celach i o ówczesnym stanie swojego umysłu. Było mu przykro, czuł się ofiarą politycznych manipulacji, był rozżalony i zrezygnowany. Wiele osób ze środowiska białoruskiego było wtedy wręcz załamanych tą wieścią. Nie mogły uwierzyć, czuły, że Sokrat-autorytet zdradził.

Jak grzyby po deszczu objawiały się w latach 90. i po roku 2000 kolejne fakty, mówiące o tym, które osoby z lokalnego życia publicznego były TW (według IPN). Ich tłumaczenia były w większości pokrętne i żałosne. Wielu uniknęło ujawnienia (np. tzw. osoby niepubliczne lub księża).

Całkiem niedawno przeczytałem pismo, które w 1970 roku Sokrat skierował do SB, że rezygnuje z dalszej współpracy jako TW. Dołączył do niego obszerne uzasadnienie. To dokument szczególny. Trzeba było mieć niemało odwagi, żeby otwarcie wyłożyć swoją prawdę o tajnej policji i – pośrednio – o partii komunistycznej, nie mając za sobą zaplecza politycznego i bytowego, gdzie można by się schronić i liczyć na wsparcie. Sprzeniewierzył się organizacji i ludziom, którym wiele zawdzięczał. Należało go dotkliwie ukarać.

Przeczytałem też pismo Sokrata z 1971 roku, gdy w okresie karnego bezrobocia kajał się w najgorszym sowieckim stylu przed sekretarzem partii komitetu wojewódzkiego. Prosił o wybaczenie błędów i powtórne przyjęcie do partii. Pismo człowieka zaszczutego, pozbawionego pracy, przypartego do muru. Czy upokorzył się dla zachowania minimum materialnej egzystencji, dla białoruskiej idei, dla możliwości pisania i publikowania, dla pisarskiego ego?

Jaki jest pożytek ze stawiania takich pytań? Rozkładania Sokrata na czynniki pierwsze, analizowania, jakby był preparatem pod mikroskopem? Chcemy jednoznacznych rozstrzygnięć. Chcemy ocenić Sokrata-człowieka. Chcemy, by dobry pisarz był porządnym człowiekiem, lojalnym obywatelem i pod tymi warunkami jesteśmy w stanie go akceptować. Literatura i życie autorów łączą się jednak na wiele sposobów, sprawiając publiczności kłopot. Pokazują, jak jałowe są wysiłki, by jednym kluczem otworzyć wszystkie zamki.

Pomyślałem, jak okropnie musi się czuć Sokrat. Był już nie tylko Sokratem-pisarzem, był założycielem białoruskiego Maisons-Laffitte w Krynkach. Ikoną białoruskości. Postanowiłem do niego zadzwonić. Powstrzymywała mnie obawa, że będę natrętny, w końcu spotkaliśmy się tylko parę razy, ostatnio gdy z Jerzym Plutowiczem odwiedziliśmy go w domu. Namyślałem się, po co właściwie dzwonię? W gruncie rzeczy imponował mi jego białoruski upór i ciekawiła nieodgadniona ruskość. Co mu powiem? Powiedziałem, że chcę mu dodać otuchy. I potem już rozmawialiśmy o sprawach błahych. Czy było mu raźniej? Nie wiem.

Mam w sobie ruską cząstkę za sprawą dziadka unity i wiele dystansu do narodowych zapalczywości. Narodowe euforie to szkodliwe skłonności, koncentrują umysł na jednym, ograniczają spojrzenie. W równym stopniu męczą mnie polskie i białoruskie zadęcia, jako objawy narodowego otumanienia, źródło nieszczęść. Obserwuję tożsamościowe tromtadracje, folkowe lansy, przebieranie się w narodowe ciuszki, pozowanie do zdjęć na tle Historii Narodu. Jak wiele jest w tym niepokoju z powodu nieprzynależenia?

Przesadne lgnięcie do gromady narodowej, religijnej, seksualnej, futbolowej czy jeszcze innej oraz naskórkowe poczucie bezpieczeństwa, gdy wreszcie znajdziemy się w podobnym towarzystwie, nie są w stanie rozwiać doskwierających wątpliwości życia, z którymi można uporać się raczej w pojedynkę. Sam dawałem się łapać na tożsamościowe haczyki. Z tych rozterek napisałem wiersz *Do przyjaciół Białorusinów*, żeby zelżało we mnie tożsamościowe napięcie. Do wszystkich znanych i nieznanych mi Białorusinów na Podlasiu. I do Sokrata-Białorusina. Jakżeby inaczej.

Sokrat-Białorusin był opętany białoruskością. Z diabłem by się dogadał – u początków aktywności żył i działał w piekielnym PRL-u. Taka dola, taki białoruski los. Białoruskość na Podlasiu to nie jest polskość *à rebours*. To inny widnokrąg, inna przestrzeń egzystencjalna, kulturowa, religijna. Polakom trudno pojąć, że tak było od początku, jeszcze trudniej przyjąć, że tak się sprawy mają nadal. Wielu Białorusinów nie lubi różnych przejawów polskości i Polaków. O tym, że wielu Polaków nie lubi Białorusinów, pisać nie trzeba. Polacy niewiele wiedzą o Białorusinach, mając przekonanie, że wiedzą wszystko. Nie wysilają się, by dowiedzieć się. Dla wielu Białorusinów, Polacy to ONI. To się widzi i czuje. I to jest… zwykłe, codzienne, chociaż niezbyt miłe. Bywało znacznie gorzej. Taki pejzaż.

To oczywiste i normalne, że mniejszości, wszelkie mniejszości, nie podzielają przekonań i celów większości. Jeśli respektują konstytucję i prawo, dzieje się to z korzyścią dla obu stron. Polska dla Sokrata nie była tym samym, czym była

dla polskich środowisk wolnościowych. Spostrzeżenie banalne, jednak mam wrażenie, że po polskiej stronie ma miejsce jakiś absurdalny żal do Białorusinów, że nie są tacy sami…, nie są Polakami i katolikami.

Gdy w 2007 roku Sokrat objaśniał w „Gazecie Wyborczej" okoliczności swojej współpracy z SB, „[…] określając środowisko, w którym wówczas pracował [m.in. „Niwa", BTSK – dop. K.G.], stwierdził, że «wszyscy byli albo z SB, albo współpracowali». Z wypowiedzi Sokrata Janowicza wynika też, iż nie poczuwał się on do żadnej winy, ponieważ «środowisko białoruskie dobrze mnie zrozumie, bo – jak się wyraził – ono ciągle głosuje na SLD»" – zacytował Sokrata w 2009, wyrzucając mu brak poczucia winy, historyk z IPN[1]. Głosować na SLD oznaczało tęsknić za PRL, nostalgicznym ziemskim rajem wielu Białorusinów.

Stanowisko wyrażone przez Sokrata uwiera większościowe, polskie i katolickie przekonania o tym, jacy powinny być członkowie mniejszości narodowych w Polsce, obywatele państwa polskiego. Ale członkowie mniejszości nie muszą pytać większości o zdanie na swój temat. Chociaż – siłą rzeczy –codziennie układają się z większością, doświadczając skutków swoich działań i deklaracji.

W Cisówce, podczas sesji wyjazdowej „Kartek", gdy Bogdan Dudko przywoływał wspólnotę kulturową mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego, Sokrat-prorok grzmiał ciężkim słowem na Białorusinów, żeby się wzięli za siebie i otrząsnęli z uległości: to, czego doświadczacie, doświadczacie na własne życzenie! Otrząsnąć się z uległości, to dostąpić życia w godności i wolności. O tym chyba marzył Sokrat. Narodowy patos był mu wówczas obcy, zwracał się bezpośrednio do pojedynczych ludzi, Białorusinów – świadomych obywateli – kształtujących swoje życie. Samozwańczo wziął za nich intelektualną odpowiedzialność. Było dla niego jasne, że jest ich przewodnikiem. Mądrym ojcem, świeckim batiuszką. Wolny jak Białorusin! Chciał kimś takim być. Był?

W Teatrze Dramatycznym im. A. Węgierki, na imprezie „Kuriera Porannego", gdy Sokrat-zwycięzca odbierał nagrody, żartował ze sceny, że pomimo choroby planuje długie życie. Podobało mi się zawsze, że mówiąc zacinał się, w jego mowie powstawała szczelina, pauza, przez którą czułem rozległość myśli, upór, dalekosiężne projekty i trud chwytania polskich i białoruskich słów.

Najważniejsze są jego książki. Jaka będzie ich siła oddziaływania, zadomowienie w literaturze i kulturze, które bierze się z uniwersalności treści, pojemności i atrakcyjności formy. Czy będą czytane? Przez kogo? Przez Białorusinów, Polaków? Młodych, starych? Jaka będzie przyszłość Villi Sokrates prowadzonej przez następców? Inne sprawy zblakną, jak pokazuje historia literatury i świata. Pozostają dzieła.

Dlaczego piszę o nim Sokrat, byliśmy przecież na pan? Ale, pan Sokrat? Mój Sokrat. Nasz Sokrat? Swój. Zaciekawia i fascynuje jego ruska inność. Nie mniej

[1] K. Sychowicz, *Z archiwum IPN. Parę złotych na wódkę i zagrychę*, http://www.debata.olsztyn.pl/z-archiwum-ipn/615-par-zotych-na-wodk-i-zagrych-sp-1166734386.html [dostęp: 20.09.2014] lub „Debata" 2009, nr 1, s. 8–12.

niż równoległa polska inność doświadczana przez Sokrata i Białorusinów. Polscy i ruscy ludzie, mieszkańcy jednej krainy, patrzą na siebie.

Dziękuję Tomaszowi Danileckiemu
za wnikliwe rozmowy i cenne uwagi o sprawach,
które poruszam w tekście.

Głęboka analiza współrzędnych

Rozmowa z Leonem Tarasewiczem, przeprowadzona 24 maja 2014 r. w Krynkach (Villa Sokrates, dom Sokrata Janowicza). Rozmawiały: Danuta Zawadzka, Grażyna Charytoniuk-Michiej i Katarzyna Sawicka-Mierzyńska; z udziałem Pawła Grzesia.

Leon Tarasewicz: Dobrze, to co wy chcecie ode mnie?
Danuta Zawadzka: *Chcemy o Sokracie Janowiczu, dużo. Może zaczniemy od domu. W jednym z wywiadów Janowicz, zapytany o powrót tutaj, do Krynek, powiedział, że to jest powrót do domu dzieciństwa, ale on go musi przebudować, żeby wpuścić swoją energię w tę ojcowską geografię rzeczy. Czy wy (Fundacja Villa Sokrates), którzy objęliście w posiadanie dom dzieciństwa Janowicza, będziecie go przebudowywać? W jakim kierunku?*
LT: Przebudowywać nie zamierzamy, chyba że coś będzie służyło praktycznej stronie, co nam narzuci technologia. Jedynie chcemy zlew przenieść za ścianę, żeby zrobić tam kuchnię. Bo dużo rzeczy budowało się w tamtych czasach ze względów praktycznych i z materiałów takich, jakie były dostępne. Osobiście nie będę żałował zlewu w miejscu, gdzie siedzimy sobie i dyskutujemy przy stole. Nie musi być zlewu, pralki i innych rzeczy, jak to mamy w starszych domach. W tej chwili przychodzimy już do innych domów, inaczej funkcjonujących. Jestem na przykład terroryzowany przez rodzinę, bo jak zajeżdżam do nich, każą mi oglądać łazienki. A mnie te łazienki gówno obchodzą. Ale taki przyszedł czas. Tak że nie, nie będziemy wiele zmieniać. Postaramy się wykorzystać każdy z zastanych detali, ale nadając mu inną formę, bo zmienia się sens funkcjonowania budynku. Dlatego krok po kroku staram się znaleźć rozwiązanie, zamieniać czasami znaczenie niektórych elementów; na przykład, co zrobić z tą boazerią, która była w pewnym czasie synonimem statusu ekonomicznego, a powoli odeszła w cień. W Hajnówce choćby, moda na boazerię zakryła malarstwo Zenka. Domy w ogóle się zmieniają, ewoluują, naśladują coś, co jest synonimem bogactwa, marzenia. Tak zawsze będzie, dopóki społeczeństwo nie stanie się na tyle ekonomicznie i intelektualnie rozwinięte, że zrobi własne projekty. Ale na to trzeba minimum czterech pokoleń, a u nas dopiero rośnie to czwarte. Architektonicznie naśladujemy wzorce

z Beverly Hills, co widać dookoła pod Białymstokiem. Buduje się taki dom, w jakim się pracowało u kogoś, kiedy się jeździło zarabiać pieniądze. I to jest niezmiernie ciekawe, bo ten dom, w którym jesteśmy, był robiony identycznie. Bo to nie jest dom, w którym Sokrat się urodził. Dom Janowiczów znajdował się przy ulicy wychodzącej z Krynek do Białegostoku, po lewej stronie. Kiedy ojciec Sokrata wrócił z Niemiec, zbudował dom, jakiego w Krynkach wtedy nie było. Charakteryzuje się tym, że ma większe okna, jest wyższy. W tamtych czasach zbytkiem, luksusem było budować wysoki dom, bo ciepło uciekało do góry. To był sposób na spełnienie marzeń ojca Sokrata. Siedlisko stoi na działkach, gdzie znajdowały się trzy domy żydowskie. Ważny jest fakt przemieszczenia się do centrum, w stronę rynku. To jakby awans społeczny.

Gdy Sokrat ponownie tu zamieszkał, otrzymywał stypendium, do którego przyznania przyczynił się Jacek Kuroń. Dzięki tym pieniądzom dom został pokryty od środka boazerią. Sokrat mógł pokazać sąsiadom, że z pisania można żyć, zarabiać i mieć ważną pozycję w społeczeństwie. W tych małych środowiskach zawsze tak jest. Też przez to wszystko przeszedłem. Mama zawsze rzucała hasło: „czamu robisz zaŭsza jak nie ŭ ludziej". I to był synonim tego, że ludzie mają swój ranking, w którym bez skrupułów oceniają innych. Dzisiaj są jakieś „X-Factory", „Mam talent", a wtedy to była grupa ekspansywnych kobiet czy mężczyzn, którzy wartościowali najbliższy świat. Do twórczości było bardzo daleko. Wracając do tematu domu, Sokrat dzięki boazeriom zrobił sukces. Na miarę wyobrażenia społeczności o sukcesie.

My też się staramy, by to pomieszczenie, a znajdowała się tu kuchnia gdzie odbywały się rozmowy, było nadal rodzajem agory, gdzie można się spotkać i dyskutować. Jedno miejsce już adaptowaliśmy na potrzeby bardziej spokojnych, kameralnych spotkań. W pokoju, gdzie Sokrat pisał i pracował planujemy zrobić bibliotekę, w której umieścimy najbardziej nam potrzebne książki oraz teksty tych pisarzy, którzy byli blisko Sokrata. Dzieła Puszkina powinny być w oryginale, bo od Puszkina zaczynał Sokrat kontakt z literaturą, jego ojciec, jak się okazuje, także go czytał. Przy tym porządkowaniu różnych papierków znalazł się list, w którym redakcja gazety dziękuje bardzo za nadesłane wiersze ojcu Sokrata.

DZ: *Czyli też pisał?*

LT: Dla nas wszystkich też było to zaskoczeniem. Nie wiem, jaka to była gazeta. Jednak ojciec Janowicza miał odwagę wysłać do redakcji nie literackiej, ale jakiejś gazety typu „Przyjaciółka" swoje wiersze.

DZ: *Ale pracuje też Pan nad ogrodem, buduje ogród.*

LT: W tym jest sens symboliczny, a po drugie, ma to także głębsze znaczenie. Od pewnego momentu było wiadomo, jeszcze za życia Tani i Sokrata, że dużego, klasycznego ogrodu, tak zwanego warzywniaka, nie dadzą rady już utrzymać, bo to zbyt wielkie obciążenie dla starych ludzi. A ja już zacząłem pracować z daliami. Hodowałem je w Waliłach i powoli tu zaczynałem dosadzać, z roku na rok zmniejszając powierzchnię, na której można by było robić ogród (warzywny). Siedzenie staruszków na kolanach w słońcu, pielenie było jakimś heroizmem.

Dosadzając kwiaty stopniowo ograniczyliśmy powierzchnię ogrodu, w zeszłym roku rosło tu już 380 dalii. To, co dziś robimy w ogrodzie, stanowi kontynuację tamtych działań. Teraz musimy wykonać podstawową rzecz, czyli wyrównać teren ogrodu żeby to, co kiedyś miało bruzdy, górki, doły wyprostować. Postaramy się tę płaszczyznę nieracjonalną dla ogółu sąsiadów zagospodarować tylko kwiatami. W różnych społeczeństwach, zwłaszcza rolniczych, jeśli jakaś czynność nie przynosi pieniędzy, postrzegana jest jako głupia. Mówi się, że to jakieś pańskie ruchy, pańskie czynności, niepotrzebne fanaberie. I to, co w tej chwili robimy poprzez wytwarzanie płaszczyzny, gdzie będą tylko same dalie, będzie pielęgnowaniem pamięci o Sokracie i Tani, ale także zmianą kulturowych przyzwyczajeń mieszkańców Krynek. Dużo pojawi się nowych elementów, choćby brama od strony Kaukaskiej, żeby można było tu wjechać na wewnętrzny parking. Czasy się zmieniają, tak samo zamieniono kiedyś stajnie końskie na garaże samochodowe. Tak i my musimy to robić, bo trudno przy Villi Sokrates zatrzymać się samochodem. Otrzymaliśmy obietnicę, że jeśli teren naprzeciwko zostanie wystawiony na sprzedaż, to będziemy mogli mieć pas ziemi na jeszcze większy parking. To są takie czynności, które krok po kroku robimy.

DZ: *Sokrat, mówiąc o swoim domu dzieciństwa, też deklarował, że chce i musi go zmieniać, bo cywilizacja idzie do przodu. Skończył zdaniem, że właściwie dom stanowi istotę ojczyzny. Kiedy tutaj wrócił, starał się ten dom prowadzić tak, żeby działo się w nim coś, co jest istotne dla ojczyzny, tak jak on ją pojmował. A czym ma być ten dom teraz?*

LT: Nie przyjmujemy, że Sokrata nie ma. On jest cały czas obecny. Definiowanie tego domu jako czegoś ponadindywidualnego, a zarazem bez Janowicza, wydaje się trudne. Niejako wisi też nad nim ciężar polskiej literatury: ten dom, ten dwór, ojczyzna. Jeżeli dziś w tym domu znów jest wiele osób, spełnia się marzenie Sokrata. Ojczyzna składa się z liczby mnogiej.

DZ: *To prawda, ojczyzna pochodzi od ojcowizny. Ale kiedy odbywały się tu „Trialogi", Janowicz jednak usiłował uczynić z tego miejsca ważne dla Białorusinów centrum.*

LT: Białoruskie Centrum Intelektualne. W tej chwili „Trialog" bardziej spełnia ideę Sokrata. Wtedy te „Trialogi" odbywały się najczęściej w Łapiczach, nie tu, w Krynkach, i w bardzo wąskim gronie. Obecny „Trialog" jest otwarty dla szerszego społeczeństwa, uczestniczy w nim więcej ludzi. I właśnie tu, w Krynkach. To, co Sokrat założył jest przez nas kontynuowane. Chociaż pewne rzeczy nas zaskakują, np. kiedy drukowaliśmy „Annus Albaruthenicus" , zamieszczając w nim wypowiedzi, jakie padły podczas „Trialogu", w języku oryginalnym występującego, pojawiły się naciski, aby te różnojęzyczne teksty były tłumaczone na język polski. Za czasów Sokrata nie było takiej presji. Dzieje się też inaczej, kiedy przez urzędników ministerialnych jest liczony procent słów białoruskich w danym tekście czy wydaniu. Przy okazji przedstawienia „Antyhony" , mając do czynienia z przedstawicielem administracji polskiej, który wyrażał takie właśnie wątpliwości, mówiłem, że jeżeli ja, Leon Tarasewicz, robiłem scenografię, to jest już 50 procent białoruskości. Zdarzają się dziwne sytuacje. W Gródku, jeszcze w 1989

roku, kiedy wydawaliśmy „Haradockija Naviny", musiałem zamieszczać polemiczne artykuły, bo zarzucano nam, że jak można polskimi literami pisać w tym prymitywnym białoruskim języku. Musiałem argumentować, że nie wiedziałem, że na Bobrownikach kończy się kultura łacińska. I dlaczego nie mają pretensji do Niemców i do Francuzów, że piszą polskimi literami. Wychodzą wtedy takie debilizmy, że człowiek nawet nie wie, jak się ustawić, żeby argumentować. Myślę, że dzisiejsze „Trialogi" są bardziej otwarte na społeczeństwo Krynek i zarazem mają większy zasięg, jeżeli chodzi o udział intelektualistów z zewnątrz. Zatem kontynuujemy dzieło Sokrata, a wyciągnięcie tego na poziom międzynarodowy pozwala „Trialogowi" wpisać się silniej w tworzenie współczesnej europejskiej myśli intelektualnej. Sokrat cały czas miał tę ideę, żeby język białoruski był także językiem europejskim, na równi z innymi. Dlatego te „Trialogi" były drukowane tak, a nie inaczej, czyli w języku oryginalnym bez tłumaczeń. Chodziło o to, aby tylko tematyka dotyczyła białoruskości. Chociaż wiemy, jak Europa patrzy na innych mniejszych.

DZ: *Taki to punkt widzenia Europy, wszyscy tu jesteśmy mniejsi.*

LT: Tak. To było ważne i Sokrat był tym rycerzem, który walczył o słowo białoruskie. Chociaż było to za bardzo zamknięte. Pojawiali się tu ludzie, którzy przyjeżdżali i odjeżdżali, ale nie uczestniczyli później w tych przestrzeniach, w których Sokratowi przyszło żyć codziennie. Widzę, że „Albaruthenicus" jakoś rozchodzi się w Polsce, zyskując uznanie różnych ludzi. Stał się dostępny i dorównał swoją formą innym kulturalnym czasopismom. My zajmujemy się estetyką, i ja, i Paweł , i Jurek Osiennik , zatem dla nas ważna jest każda wydrukowana litera i wszystko, co za tym idzie. To już taka choroba zawodowa. W końcu ja te doktory i profesury mam z historii sztuki, a nie z malarstwa, także nie potrafię patrzeć na napisy liter, ulic, znaków obojętnie, bo one dokładnie pokazują, jaka jest cywilizacja. Tak jak w ornitologii, kiedy słyszę, jak odzywają się ptaki, zaraz w głowie uruchamia się cały system znaczeniowy. Myślę, że „Trialog" w tej chwili ewoluuje w dobrą stronę, uczestniczy w tym teatr i sztuki plastyczne, które dla Sokrata miały raczej małe znaczenie. On raczej lekceważył współczesną sztukę, stawiając przede wszystkim na słowo drukowane. I tu był zawsze koniec dyskusji. Jeżeli przechodziło się do znaczenia, idei słowa, wtedy można było iść dalej i ciągle dalej. Sztuka wizualna była mu raczej obojętna, ona nie istniała w jego kryńskiej Ojczyźnie. Myślę, że w całym ich pokoleniu zabrakło artysty. Jeżeli byli malarze w Białymstoku, to pełnili oni funkcję dekoratorów, jednak nie pojawił się ani jeden artysta, który by wyszedł poza tę formułę dekoracji. Ukazywała się książka, to trzeba było zrobić okładkę, ale kształt litery, cały skład liter nie miały znaczenia. Od okładki był na przykład Gajl. Potem pojawił się Pietruczuk i inni. Każdy dwór ma swoich artystów.

DZ: *Pan jest artystą bez dworu?*

LT: Nie. W poniedziałek mam być na kolacji u Prezydenta. Muszę powiedzieć, że w tym kraju większego dworu nie ma. Trzeba jechać poza Polskę, żeby być na innych dworach. Jako artyści jesteśmy przyzwyczajeni do tego. Zaczynając od Franciszka Skaryny, który pojechał z Połocka do Padwy. Ale jednak między

dworem czeskim a duńskim te literki drukował, bo tam tego potrzebowali, nie mówiąc o innych, którzy pojechali do Moskwy. I dzięki temu, że ich stamtąd wygonili, powstał dwór w Zabłudowie. Dzisiaj trudno go tam znaleźć. Nie wiem, czy dziś istnieje dwór zabłudowski, jaka jest Rada Gminy, wójt i dom kultury. Ale czasem los niesie taki chichot historii, że jednak w tym Zabłudowie dzisiaj piszą książki i drukują już nie w Zabłudowie wprawdzie, ale gdzieś w Polsce. Mam na myśli fakt, że zamieszkali tam rodzice Ignacego Karpowicza, pisarza, jakby nie było, z białoruskimi korzeniami. I mimo wszystko słowo Karpowicza właśnie stamtąd się rozchodzi na świat. Taka ironia, że coś się wycina, jakiś chwast, a potem latami ktoś w tym miejscu sadzi trawniki i inne rzeczy, ale ten chwast wreszcie kiedyś znowu wyrośnie. Byle więcej było takich białoruskich chwastów. Z dzieciństwa pamiętam, jak przeżyłem szok, że w sosnowym lesie rosła róża. Prawie jak obrazek z malarstwa romantycznego. A rosła róża dlatego, że przed wojną były tam dacze żydowskie. I ta jedna róża się uchowała. Las wyrósł, a ona, walcząc z całą przyrodą, aby później przy sprzyjających warunkach zakwitnąć, została. Tak samo jest ze słowem i wszystkimi kulturami, które się kurczą do małej formy. Może to być na przykład haft ludowy, pieśni, opowiadania.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *Jak się w ogóle Panowie poznali? Bo Sokrat tak ładnie napisał, że to było jak miłość od pierwszego wejrzenia.*

DZ: *I dodał jeszcze, że odniósł się do Pana jak do pierworodnego w rodzinie zagrożonej bezdzietnością.*

KSM: *Bez protekcjonalizmu, paternalizmu. Według Sokrata była to od razu partnerska relacja, mimo różnicy wieku.*

LT: Gdy spotkaliśmy się, ja byłem tym młodym, naiwnym, początkującym. A on był już poobijany po wielu bitwach. Sokrat dla nas wielu wtedy, w tej fali polskiego romantyzmu solidarnościowego, pełnił ważną rolę. Myśmy wychodzili z domów robotniczych albo wiejsko-robotniczych. Nasi rodzice biorąc pod uwagę fakt, że nie było w Polsce takich szkół białoruskich, jakie Polacy mieli podczas zaborów carskich, mogąc uczyć się polskiego, niewiele nam przekazali. Byliśmy pozbawieni podstawowych elementów, niezbędnych przy nauce języka. I w czasie studiów, można powiedzieć, robiliśmy dwa fakultety. Mieliśmy nawet takie buńczuczne marzenie i chęć, razem z Jankiem Maksymiukiem, żeby pójść na filologię białoruską. No, ale było kilka powodów, dla których zastanawialiśmy się, czy Barszczewski wytrzyma nasze fizjonomie. Występowaliśmy wtedy publicznie w kontrze wobec oficjalnej struktury BHKT (BTSK) i poezji na życzenie władz. Nawet tworzyliśmy taki „Białoruski Uniwersytet". Chyba w formie koszulki przechował się ten znak, na którym widnieje Franciszek Skaryna, a dookoła Białoruski Uniwersytet. I myśmy się zjeżdżali na te lekcje historii. Prawzorem tego był rajd „Baćkaŭszczyna". Ten rajd miał taką konstrukcję, że robiliśmy niby rajd turystyczny…

DZ: *Rowerowy?*

LT: Pieszy. Polegało to na tym, że w miejscu, gdzie przyjeżdżaliśmy, był wykład z historii wygłaszany przez kogoś dla nas znaczącego: Antoni Mironowicz, czy Mikołaj Hajduk, czy Sokrat. Potem miał miejsce „element socjalizujący", który

łączył w sobie naukę piosenek, języka, czyli muzyka, śpiew i seks przy pomocy alkoholu, jak we wszystkich studenckich środowiskach. Tam było bardzo dużo pomieszanych rzeczy. Można powiedzieć, że „Baćkaŭszczyna" stanowi prapoczątek „Basowiszcza". Była też prapoczątkiem wspomnianego wyżej uniwersytetu i późniejszej formy naszego działania partii politycznej. Z tego wyrosło Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne itd. I w tym wszystkim Sokrat był dla nas tą osobą, od której dużo dowiadywaliśmy się o historii. Był też przykładem moralności, swoistym reprezentantem całej tej sfery patosu narodowego. To jakoś się uzupełniało. Zjawiłem się u niego, aby omówić kolejny etap rajdu. I tak już poszło.

W wielu sytuacjach byłem troszeczkę izolowany w środowisku warszawskim. Na Akademii Sztuk Pięknych byłem jedynym studentem gdzieś z Białostocczyzny. Na innych uczelniach oni wszyscy lądowali już po liceach białoruskich, z Bielska czy Hajnówki. I znali się studenci między sobą. A ja rozpocząłem swoje poszukiwania mniej więcej od drugiego roku studiów, jak mi zaczęło „nie stykać" w wielu wypadkach. Intelektualnie zacząłem szukać różnych rzeczy. Powiedzieli mi, że jest takie towarzystwo białoruskie (BTSK). Poszedłem tam, gdyż byłem zrezygnowany. Pierwsze kroki skierowałem do Instytutu Sztuki, bo znajdowały się tam zapisy muzyki ludowej z całej Polski. Okazało się, że z terenów między Augustowem a Białowieżą nic nie ma. Później trafiłem na ulicę Senatorską, do klubu, który wyglądał jak karykatura rosyjskiego klubu, z taką miniaturą na ścianie: na czarnym tle pędzące konie. I tam łaskawie panujący w tym okresie Teodor Golonko powiedział, że nie mają takich płyt. Popełnił błąd, dając mi numer telefonu do człowieka, który miał je mieć. W ten sposób trafiłem do Jurka Turonka, co skończyło się tym, że przegadaliśmy wiele godzin przy medium czystej wódki. Wyszedłem od niego mając już bardzo dużo poukładane w głowie i trzymając w ręku *Wierszaliński raj* Alaksieja Karpiuka. Zacząłem też składać, krzesełko do krzesełka, litery w tym języku.

Pamiętam, że mama po paru latach nauki wypisała mnie z języka białoruskiego. Nie wiem, jak teraz, ale w tamtym czasie funkcjonował taki mechanizm państwowy, w którym co roku rodzice musieli napisać oświadczenie, że wyrażają zgodę na to, żeby dziecko uczyło się w szkole języka białoruskiego. Była też pewna presja, na przykład pani z rosyjskiego twierdziła, że białoruski przeszkadza w nauce języka rosyjskiego, albo na lekcje przeznaczano dwie ostatnie godziny, kiedy inni chłopcy grali w piłkę, a ty musiałeś się uczyć.

DZ: *Takie niesprzyjające warunki.*

LT: Takie niesprzyjające warunki, które się zemszczą bardzo. Efekt w sumie jest taki, że Jurek Turonek umówił mnie szybko z Jankiem Maksymiukiem, fizykiem. I tak żeśmy na tej ulicy Pięciolinii na Ursynowie rozpoczęli składanie gazet i innych pomysłów. Marzeń było bardzo dużo: Janek miał być naczelnym „Niwy", ja miałem być redaktorem graficznym. Tylko że to wszystko nie wyszło. Sytuacja zaczęła się wtedy bardzo szybko rozwijać. Los nas zepchnął do jednej rzeki z Sokratem. Było to nieuniknione, tym bardziej że skończyłem w 1984 roku Akademię i przyjechałem tu, zacząłem mieszkać w Waliłach i aktywnie uczestniczyć w tutejszym

życiu. Kiedy zastał nas 1989 rok, Sokrat był przewodniczącym BDA , a ja działałem w strukturach regionalnych Gródka. Moja koncepcja przegrywała z koncepcją kolegów. Trzeba było najpierw zdobyć władzę w rejonie, a potem dopiero iść dalej, ale oni uważali inaczej. Efekt tego taki, że do dziś chyba żaden z nich nie jest w stanie być politykiem białoruskim w Białymstoku. A ja w 1989 roku na 20 radnych miałem 17 swoich. Wiele rzeczy się zmieniło. Można było i historię swoją drukować w Gródku, i wielką historię związaną z Chodkiewiczami. Ta bajka historyczna jest przepiękna. Włącznie z klubem sportowym. Dochodziło do jakichś głupot. Zaproponowałem dla klubu sportowego nazwę „Hryf" jako „Gryf", był też znak Gryfa. Ostro wystąpiono, że nie będzie nam Tarasewicz jakichś znaków białoruskich wciskał. A ironia losu jest taka, że w 1555 roku ten znak Chodkiewicze dostali od Cesarstwa Niemieckiego (wtedy Karol IX) i od Papieża. Tak więc bardziej namaszczonego Zachodem i katolicyzmem symbolu nie można było wymyślić. Zdarzały się takie sytuacje, ale też ważne (z psychologicznego punktu widzenia) i dające poczucie pewnego komfortu, że nie musisz prosić o słowo białoruskie, ale po prostu wydzielasz z budżetu pieniądze i drukujesz sam. Pewne rzeczy w tamtym okresie nie przeszły, na przykład propozycja, żeby przy wjeździe do gminy z trzech stron ustawić tablice z napisem: „Witamy w Gminie Gródek" w trzech językach. Wydawało się logiczne, żeby był to białoruski, polski, angielski, ale pomysł spotkał się z negatywnym odbiorem. Skąd wziąć na to zgodę? Wjeżdżając dziś do Michałowa możemy zobaczyć kamień, na którym siedzi orzeł, a naszych znaków nie ma. To jest mentalna granica do przekroczenia. Dlatego myślę, że i Sokrat trwał tu, na tym froncie walczącym o codzienne bycie. Nie mamy tego, czym dysponuje każdy, kto ma własne państwo, rzeczy, na które nawet nie zwraca się uwagi, takie jak na przykład napis. A w naszym przypadku trzeba było samemu walczyć, dbać o każdy element białoruskości.

Potem była muzyka rockowa w formie prapoczątków naszego disco polo, to wszyscy o Białostocczyźnie wiemy. Ciekawą rzeczą było, że przyjeżdżały zespoły z Mińska i miały swoją odrębną propozycję, tworzyły własną jakość na bazie choćby Lady Pank. Wytworzyły się białoruskie grupy rockowe, byliśmy z nimi zaprzyjaźnieni. Ale nie było cały czas zespołu, który mógłby przełamać słowo białoruskie z białostockimi problemami, zupełnie innymi niż te, o jakich śpiewały grupy z Białorusi. Czego innego szukaliśmy w treści muzyki rockowej niż ludzie wywodzący się ze świata mińskiego. Tak rozpoczął się proces budowania zespołu RF Brahi, który, mimo wszystko, mógł być oparty o Gródek. Mieliśmy władzę, chociaż pani dyrektor domu kultury bardzo nienawidziła tego zespołu, musiała go tolerować. Była sala, gdzie muzycy mogli próbować, ja zadbałem o sprzęt, na którym można było grać, bo w domu kultury raczej go nie było, przynajmniej nie na wystarczającym poziomie. Dzięki temu mogła powstać muzyka rockowa, także z udziałem Sokrata Janowicza. Pomagał nam przy tekstach.

DZ: *Są gdzieś te teksty?*

LT: Zespół miał taki system, że wszystkie rzeczy, które były przez niego wytworzone, wychodziły na zewnątrz sygnowane jako RF Braha. Nikt niczego nie

wyszczególniał. Musieliśmy mieć pomoc z wielu stron, aby te teksty były aktualne i dotyczyły różnych problemów, jak na przykład utwór *Akademik* o świecie dziewczyny, która kończy studia. Trudno o tego typu obserwacje z mojej perspektywy, chłopaka kończącego studia. To są inne światy. Pomagała przy tym Marylka Bazyluk. Te piosenki trafiały do ludzi, ze *Schizofrenią* na czele. Dzięki rockowej muzyce, dzięki tym tekstom, przyswajaliśmy naszej pisanej białoruszczyźnie nowe słowa. W polskiej muzyce Kazik adaptował słowa codzienne. Były wulgaryzmy, które w literaturze i w piosenkach przestawały być wulgaryzmami, a u nas ciągle wzbudzały opór, wiele rzeczy trzeba było przełamywać. Ten czas był bardzo owocny. Szkoda, że politycy go zlekceważyli i nie pomogli stworzyć stanowiska „białoruskiego polityka" w parlamencie polskim. Bo w wariancie ukraińskim Mirek Czech otrzymał takie wsparcie i bardzo się sprawdził. Dzisiaj mądrze i skutecznie działa. W tamtym czasie Sokrat mógłby być senatorem i cieszyć się szacunkiem także polskiego środowiska. Wielu nie zawsze się to udaje po dzień dzisiejszy.

DZ: *Dzisiaj trudno z szacunkiem do polityków, coraz trudniej chyba...*

LT: Jaki czas, taka polityka. Mam szacunek do niektórych polityków. Z ostatniego tygodnia minister Trzaskowski, który stanął na czele akcji kierowania powodzią i do końca, bez paniki, z godnością przeprowadził wodę przez całą Polskę przy okrzykach, że wszystko jest złe, wszystko nie działa. I kolejny raz Polacy nie wiedzą, co mają, plując na swoją współczesność, bo w innych krajach, chociażby bałkańskich, powodzie są bardzo częste i pozostawiają corocznie duże straty. Nie wiem, czy nie będę pierwszą osobą, która wypije z ministrem i podziękuje mu za taką działalność i pracę. Na identycznej zasadzie Polska nie popadła w kryzys, jaki inne kraje miały w Europie. A przeszliśmy tę fazę kryzysu tak, że troszkę zwolniliśmy, jeśli chodzi o rozwój przemysłu. Ale tak naprawdę ludzie nie wiedzą, co to kryzys. Bo jak ktoś może wiedzieć, jak wygląda kryzys, kiedy go nie miał. Wiem, co to znaczy być politykiem. Sam byłem politykiem, co prawda gminnym. Uważam, że od XVI wieku Polska nie miała takiego sukcesu politycznego, jak w tej chwili. Jeżeli ktoś zrobi coś lepiej, wtedy będę mówił, że jest lepiej. A jeżeli ktoś nie zrobił, a mówi, to mu nie wierzę.

DZ: *Gdyby miał Pan komuś opowiedzieć życiorys Janowicza, na co by Pan zwrócił uwagę? Kto to był?*

LT: Materiał na film. Andrzej Wajda mógłby nakręcić film o takim chłopaku z małej miejscowości, który miał przede wszystkim problem z adaptacją w swoim własnym środowisku. Sokrat w pewnym momencie miał problemy z chodzeniem w dzieciństwie, a później doszło jąkanie, które nie pomagało w pozyskaniu akceptacji środowiska chłopców. Wydaje się, że dzieciństwo jest kolorowe, ale ono jest brutalne, zwłaszcza w kwestii akceptacji ludzi, którzy są w jakiś sposób ułomni. Przez fakt, że rysowałem, zajmowałem się jakimiś takimi dziwnymi rzeczami, też to odczułem. Trzeba było kraść i palić papierosy jak każdy inny chłopak z podwórka, bo inaczej pozostawało się wykluczonym, reszta się nie liczyła.

DZ: *Pan tego nie lubił: kraść, pić, palić papierosy?*

LT: Ja wiem, zaczęliśmy palić gdzieś tak od siódmego roku życia. Ale za to rzuciłem palenie papierosów mając lat szesnaście.
DZ: *Czyli była to jakaś poza narzucona przez grupę?*
LT: Tak, tak zawsze jest w stadzie. To taki sport. Spotykało się wieczorem i zastanawialiśmy się, w którym sadzie będziemy kraść jabłka po wypiciu dwóch butelek taniego wina czy czegokolwiek, co akurat mieliśmy. Historia czasami jest bardzo ironiczna, pamięta Pani, co opowiadałem o róży w lesie. Wiele lat później, w takim mieście Lügde za Hannoverem wszedłem do domu, gdzie w kuchni na ścianie zobaczyłem zdjęcia tego ogrodu i tej babci, u której najtrudniej było ukraść jabłka. Taki mały robi się czasem świat. W każdym razie to bardzo kształtowało osobowość Sokrata w tamtym czasie, w dzieciństwie. Zmuszało także do refleksji. Nie ma mowy o twórczości, jeśli nie ma refleksji. Obserwuję to przy pracy ze studentami. Zawsze jest tak, że na artystę wyrasta najczęściej ten, który pokonuje duże trudności psychologiczne, zdrowotne. Wyrastają na artystów właśnie ci nieudolni, z prowincji, a nie ci, co wszystko wiedzą, wszystko mają. Refleksja jest im niepotrzebna, nie ma na nią miejsca. To był ten świat w Krynkach, z całym jego kosmosem małego miasteczka. Gdy się w nim mieszka, wtedy się go nie docenia. Późniejsza podróż Sokrata z Krynek do szkoły, w jakiś sposób bardzo romantyczna. Bo jeżeli się w nocy wyjeżdżało furmanką i szło się za tym koniem, i jechało się, i nic, i tylko ta puszcza. Szło się nocą do świtu. Pamiętam, Sokrat kiedyś opowiadał, jakiego doznał szoku, bo będąc w Krynkach myślał, że cały świat rozmawia po białorusku. Znam to zjawisko, bo moja mama żyła z taką świadomością. Zapuszczając się w odległe od domu tereny, typu Białystok, nie tłumaczyła swoich żądań i pytań na polski, ale osiągała cel. Nie robiła tego z patriotyzmu, ani z jakiejś miłości do języka, bo na tej ulicy, na Wysrance, gdzie się wychowałem, na Stacji Waliły, wszyscy mówili po białorusku, łącznie z oficerami Piłsudskiego, repatriantami itd. Biorąc pod uwagę, że Kamiński ze Szczecina zrobił się prawosławny, istnieje szansa, że może za dwa-trzy lata zacznie mówić po białorusku. Polityk, jak mu to potrzebne, łatwo zmienia zdanie. Kiedy zaczynał w Łomży, mówił: „Polska dla Polaków", ale dziś jest inaczej. Chyba trzeba być ze Szczecina, wtedy ma się taką elastyczność i podatność na zmiany. Wracając do historii Sokrata, myślę, że to Białystok go ukształtował, utwierdził w białoruskości.
KSM, Grażyna Charytoniuk-Michiej, DZ: *Jak to rozumieć? W jakim sensie Białystok „wytworzył" Sokrata?*
LT: W Białymstoku Krynki, to, co z nimi związane, zaczęły nabierać dla niego wartości. Choćby decyzja o studiowaniu polonistyki jako języka, bo w tamtym czasie, jeśli ktoś studiował polonistykę, to po to, by być nauczycielką. Chłopcy wybierali takie studia, żeby móc zostać inżynierem. My byliśmy pierwsi: ja studiowałem coś, z czego chleba raczej nie ma, a Janek Maksymiuk fizykę, ale nie zajmował się nią, tylko językiem angielskim. Całe szczęście, że Sokrat już wtedy, o jedno pokolenie wcześniej, podjął taką decyzję, bo dzięki temu na forum białostockiej agory literackiej wyróżniał się głęboką świadomością językową przede wszystkim, znał konstrukcję języka. Dzięki temu mógł montować swoje nowe

słowa. Często miałem takie refleksje, rozmawiając z Sokratem, że on jakieś słowo wymyślił, że nieprawidłowo go użył. A okazywało się, że zgodnie z zasadami gramatyki wszystko było w porządku. Ja brałem język zasłyszany, a Sokrat go tworzył. Studiowanie polonistyki, przy jednoczesnym zgłębianiu białoruskiego, to był dla niego czas przewartościowania świata, tym bardziej że, jak wspominałem, w środowisku rówieśników nie był akceptowany. Później tworzenie „Niwy", takiej a nie innej…

DZ, GChM, KSM: *No właśnie, mógłby Pan coś więcej powiedzieć o Janowiczu w „Niwie"?*

LT: Wszyscy powinni wiedzieć, że była stworzona przez służby bezpieczeństwa, przez ludzi odwołanych jeśli nie z partii, to ze służb bezpieczeństwa w 1957 roku, bo inaczej być nie mogło. I mieć pretensje, że ktoś współpracował ze służbami w tamtym czasie, to tak, jakby dzisiaj mieć żal, że „Basowiszcze" jest finansowane przez służby bezpieczeństwa, bo dostaje pieniądze na organizację imprezy od państwa. Nawet gdyby ta młodzież była bardziej aktywna, chciała buntować się przeciwko temu i zorganizowała inne środki, to i tak nic to nie zmieni. Moim marzeniem jest scenografia z dużego znaku Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, tak, aby każdy wiedział, w jakiej sytuacji tak naprawdę jesteśmy. Ale nie: my teraz nie jesteśmy już współpracownikami służb, a wtedy ludzie byli i to było złe, a przecież nie było innego wariantu wtedy i dziś. Dopiero gdy Sokrat się zorientował, że szkoły białoruskie zanikają, że państwo robi tę białoruskość tylko formalnie, a nie realizuje tego, co on sobie wymarzył, rozpoczął samodzielne budowanie godności białoruskiej. Chcę zauważyć, że nikt spośród Indian z tego naszego rezerwatu białostockiego tego nie zrobił, tylko On. Byli różni świadomi ludzie, ale to byli ludzie z innym zapleczem, jak Jerzy Geniusz , który miał matkę taką, a nie inną, żadna nie pisała lepszych wierszy białoruskich od niej, czy Jurka Łatyszonek, który przyjechał z Oszmiany, czy Jurka Turonek , którego ojciec wydawał czasopismo chadeckie. Dzisiaj wydaje się dziwne, że istniała jakaś białoruska chadecja. Miałem to szczęście, że poznałem i Stankiewicza, i Szukiełojcia, którzy chodzili do świątyń katolickich i prawosławnych. Odbudowanie tego wszystkiego tu na Białostocczyźnie, naszego białoruskiego dziedzictwa, było bardzo trudne, tym bardziej że materiałów nie było dużo, a część z nich pochodziła z ustnych przekazów. Mieliśmy problem ze zbudowaniem białoruskiej świadomości historycznej. Istniała jedynie książka Kosmana, która była jedną wielką bajką o Republice Białoruskiej, ale nie o Białorusi. Chyba w 1982 roku trafiły do nas kserokopie wykładów profesora Ihnatoŭskaha z Uniwersytetu w Wilnie z 1925 roku. Dopiero wtedy rozpoczęła się swego rodzaju rewizja naszych poglądów, myślenia, samoistnienia.

Ja w życiu interesowałem się albo historią, albo przyrodą, beletrystyka mało mnie dotykała, zaczęła do mnie przemawiać od niedawna. Od jakichś pięciu-sześciu lat słucham w samochodzie audiobooków. I słucham takich rzeczy, których w ciągu nauki nie udało mi się przeczytać jako lektur szkolnych. Może nie dlatego, żebym nie czytał, ale było dużo innych rzeczy, które robiłem. A żeby czytać, to trzeba było znaleźć czas, siąść i czytać. Wydawanie książek w postaci

audiobooków to według mnie znakomity wynalazek. Na przykład nie wiedziałem, że *Znachor* jest tak szowinistyczny, jak się go słucha, ten język jest straszny. Jakie są tam okropne, prawie faszystowskie poglądy, a jak się oglądało filmy, to wychodziło to nawet fajnie. Jestem osobą, którą technologia dogania później. Już wszyscy słuchają muzyki na dyskach, a ja myślę, że jeszcze na taśmie coś jest. Zawsze chciałem posłuchać w oryginale literatury rosyjskiej, w Petersburgu okazało się, że są nagrania, ale wszystko już w MP3. Kupiłem mnóstwo tych płyt rosyjskich i dopiero potem w samochodzie wymieniałem odbiornik, żeby można je było odtwarzać.

DZ: *Chciałby Pan Janowicza wydać na audiobooku?*

LT: Na pewno wydamy. Uważam, że to byłoby bardzo dobre. Są to skondensowane zdania, refleksyjne, które zyskują przy wielokrotnym czytaniu, trafiają do czytelnika. Andrzej coś ma z tego, Stasiuk.

KSM: *A ma Pan jakiś ulubiony tekst Sokrata?*

LT: Jest to opowiadanie *Wałoszka*, o „kwiatku", który często powraca w moim życiu. Na przykład ostatnio w Iranie chciałem kupić samowar tu, do Krynek. Wszystko zobaczyłem, obejrzałem. Pan mówił, że jutro od ósmej otwierają, a nie było sensu brać od razu. Okazało się, że pojawiły się inne zobowiązania i nie było możliwości, żeby przyjść i kupić. Jest to taka filozofia zostawiania rzeczy, do których już nie wrócisz. Wziąłem samowar trochę mniejszy, w innej formie, przywiozłem. Ale to nie tamten. Tamten był większy. Takie sytuacje często powtarzają się w życiu. Teksty Sokrata są na pograniczu przypowieści, mądrości. I ta pielęgnacja słowa. Dobrze jest zobaczyć, jak on pisze, jego rękopisy. To są kolejne skreślenia. Jeśli chodzi o mnie, myślałem, że praca magisterska będzie ostatnim wypracowaniem, które piszę. Potem mnie pokarało, że muszę pisać kolejne teksty, recenzje. Nie udało mi się od tego uciec. Ale jak przychodzi mi pisać własne teksty, to stosuje identyczną, jak Sokrat, technologię. Potem na komputerze nie jestem w stanie zrobić selekcji czegokolwiek. To na papierze kreśli się, zmienia, zamienia. Na papierze utrwaliła się ta cała szarpanina Sokrata… Nikt za bardzo nie mógł mu ręki podać, być dla niego partnerem. Najczęściej jak piszesz, jak potrafisz coś napisać po białorusku, to już jesteś członkiem „Białowieży" , jesteś już literatem. Każdemu z nich przydawano jakieś wartości, które ciężko było pozbierać [w jakąś całość, program, sztukę – dop. red]. Znam tę atmosferę, bo jak trafiłem na Wydział Malarstwa po latach, miałem do czynienia z malarzami, którzy w życiu nic nie zrobili, za to niszczyli wszystko wokół i każdego, żeby nic nie było, żeby na tym tle istnieć. To środowisko było podobne. Pojawiła się taka furtka dla Sokrata, który mógłby ją lepiej wykorzystać, chociaż nie wiem, jak można było to zrobić. Był moment, kiedy Sokrat się spotkał i z Myśliwskim, i z innymi pisarzami polskimi, i oni dawali mu odbicie lustra, w którym mógł się skonfrontować i odskoczyć od zamkniętego białoruskiego środowiska. Sokrat był wtedy dla nich partnerem. Ktoś miał do mnie pretensje czy ironizował, że ja Adama zapraszam na „Trialog", ale to dopiero Adam [Michnik – przyp. red.] tu, podczas „Trialogu", ustawił miejsce Sokrata w literaturze polskiej. Nikt stąd, a są tacy, którzy by mogli, tego nie

potrafił. Dobrze, że taki głos z zewnątrz się pojawił. Kiedy ukazała się książka *Białoruś, Białoruś* wielu ludziom przewartościowała myślenie o Białorusinach. Zdania, które są tam wypisywane, dla Polaka pozostają w wielu przypadkach nie do przyjęcia. Dobrze, że ktoś zobaczył, że można na to spojrzeć inaczej.

DZ, KSM, GChM: *Z perspektywy polskiego Białorusina?*

LT: Białystok miałby silną pozycję, gdyby na wiele rzeczy patrzył z trzech stron, chociażby na historię. Bo zupełnie inaczej historia wygląda, jak się zna białoruski kontekst, rosyjski, polski. Jest to nasza ogromna siła w stosunku do ludzi w Warszawie, którzy nigdy tego nie będą widzieć. Także w czasach PRL-u ten podwójny czy potrójny punkt widzenia źle był widziany, dawało to pożywkę ludziom chorym na ambicje, służalczym, jakby rodem z Czechowa, którzy pracowali w służbach bezpieczeństwa i kontrolowali Sokratowi korespondencję. A Sokrat żył cały czas z wiarą, żeby jak najwięcej dokumentów, rękopisów się zachowało. Wysyłał to wszystko do Londynu. Ze mnie, jak jechałem do Londynu, od razu zrobił kuriera. To były przewiązane sznurkiem tobołki, które miałem zawieźć. Ale ja sam, też tak wychowany, najwięcej obrazów osadziłem we Wrocławiu w Muzeum Narodowym. Bo wiem, że zawsze tam będą, nic im się nie stanie. Wrocław będzie jednym z większych miast w Polsce, jak był kiedyś w Rzeszy Niemieckiej, jako drugie co do wielkości.

DZ: *Białystok jest niebezpieczny, jest miejscem przechodnim?*

LT: Najgorzej jest, jak w domu ciągle zmieniają się mieszkańcy. Często wyrzuca się wszystko, nie uświadamiając sobie znaczenia tych rzeczy. A każdy przychodzący niszczy. Każdy nowy ścina stare drzewa, sadzi własne. Na przykład, po co ci Sowieci weszli do Supraśla, żeby te freski zniszczyć. To taki przykład barbarzyński. Za każdym razem barbarzyńcy coś niszczą. Aleksander Macedoński, jak zobaczył Persepolis, to tak się zdenerwował, że kazał wszystko zniszczyć. Trzeba być prymitywnym żołnierzem, żeby wydać taki rozkaz. To samo robił Atylla i każdy następny.

DZ: *Myślę, że to nie zawsze wynika z prymitywizmu, tylko ze strachu. Niszczy się wtedy, kiedy upatruje się zagrożenie. Jeśli czuje się bezpiecznym, to się nie niszczy, bo to, co zastane, wzbogaca.*

LT: Nie wiem, czy to jest zagrożenie? Niezrozumiałe jest niebezpieczne.

DZ: *Takie urojone.*

LT: Urojone. W każdym razie to bardzo kształtowało. Sokrata poznałem już kiedy mieszkał w Białymstoku, jak był poddawany rewizjom, poniżany przez takich „ludków". I okazuje się, że to trwało ciągle, chociaż system się zmienił. Nie pamiętam nazwiska tego kapitana, który jeszcze w ostatnim dniu przed śmiercią zadzwonił do Sokrata, skrzyczał, zbeształ.

Paweł Grześ: Do dzisiaj anonimy przychodzą do Villi Sokrates. Potem ten człowiek już zaczął się podpisywać. Jest to mowa maniaka. Po piśmie można poznać, że to starszy człowiek.

DZ: *Adresuje do Sokrata?*

PG: Villa Sokrates. On wie, że już Sokrata nie ma. Wszystko jest w kontekście białoruskim, Białorusi.

LT: W każdym razie Sokrat bardzo się szarpał. Zmieniał, przewartościowywał wiele rzeczy. Rozpuszczano więc, niejako w odwecie, przez służby, plotki. Ludzie mnie pytają: co można sądzić o białoruskości Sokrata, skoro jego córki nie mówią po białorusku. To jedna z plotek, bo wiadomo, że Sokrat nigdy nie miał córek. Znam bardzo dobrze ten mechanizm. Inny przykład, tym razem dotyczący mnie: na „Basowiszczu" podeszła do mnie dyrektorka Radia Racja Romaszewska i mówi: „Znowu Pan się nie zgadza, bo wszędzie, gdzie Pan się pojawi, wszystko jest niszczone, jest kłótnia, niezgoda" itd. Pierwszy raz ją widziałem na oczy. Wtedy poszedłem na scenę, wręczyłem nagrodę, a nagrodzony deklaruje do mikrofonu: „Ja budu izuczt' biełoruskij jazyk". Wychodzę i mówię Romaszewskiej: „Widzisz, szybciej jak myślałaś, się przekonałaś". I to są te mechanizmy. One wszędzie podobnie funkcjonują. Jak się obronić? Ja mam łatwiej, jestem mobilny, mam większą przestrzeń. Nie muszę się stykać w czterech ścianach z tymi ludźmi. Sokrat wciąż był w Białymstoku, a wyjazd gdzieś do innego miasta to była dla niego wyprawa. Był taki czas, że pełniłem rolę jego kierowcy i bodyguarda, pamiętam, jak jeździliśmy do Gdyni i innych miast. A samochód to dobre miejsce, najlepiej się w nim rozmawia. Jest czas. Na podstawie tych rozmów z Sokratem zrozumiałem, że to skazanie jedynie na Białystok stanowiło źródło jego chorób, pojawienia się cukrzycy, która była konsekwencją innych dolegliwości. Brała się z tego stresu, oporu. Bo żyjesz w otoczeniu, w którym musisz ciągle być czujny, odpowiadać na ciągłe ataki. Ptak sikorka w naturze żyje przeciętnie dwa lata, a w klatce osiem. Ma zapewnioną miskę i spokój, nie ma drapieżnika. Ten powrót do Krynek, gdy matka potrzebowała opieki, i on, który mógł tu przejechać. Zresztą ja nie pamiętam, ale był taki moment, kiedy młodsi koledzy pozbawili go pracy w „Niwie". Głośno nie mówisz, ale czujesz, że coś się dzieje nie tak. On przyjechał tu. Chciał, żeby świat wyglądał inaczej. W tych dyskusjach podczas jazdy samochodem przekonywałem go, aby brał świat takim, jakim jest, że marzenia się nie ściągnie na ziemię. A rzeczywistość taka, jaka jest, jest łatwiejsza do zaakceptowania. Wystarczy tylko przeanalizować współrzędne.

DZ: *Czego dotyczyły te marzenia, złudzenia?*

LT: Marzenia chociażby takie, żeby chłopi mieli świadomość historyczną. Ja mu tłumaczyłem, że nigdzie na świecie chłop nie ma świadomości narodowej. Przy pomocy państwa i propagandy jakoś można to osiągnąć. I to nie zawsze. Niech Pani zauważy, że ostatnio są dopłaty unijne, a jednak wszystko zwala się na Unię Europejską. To widać po naszym środowisku. Ten podział stworzył się niejako naturalnie: byli ludzie, którzy mieli za sobą kulturę wiejską i utożsamiano to z białoruską wsią, a przecież wieś o podobnych kamieniach i piasku jest wszędzie. Ale była też grupa osób, które wywodziły się z małych miasteczek i które miały z Sokratem kontakt i się przyjaźniły. Dziś my, czyli ta grupa, budujemy tu Villę Sokrates, a inni ciągle kultywują białoruską kulturę w aureoli kultury wiejskiej. Na dzień dzisiejszy istnieją dwa tak zdefiniowane światy. Nie trzeba tu mówić o wyższości. Sokrat bardzo cierpiał na brak partnerów dla siebie. Stąd cała ta korespondencja, którą prowadził, chociażby z Giedroyciem czy pisarzami

z Białorusi. Niektórzy przyjeżdżali do niego. Ale on nie mógł sobie pozwolić na taką mobilność, jak ja, który jadę na noc do Lublina, żeby z rana nie musieć stamtąd wyjeżdżać. Tam ustalam wszystko, wieczorem jestem w Warszawie, potem z Warszawy przyjeżdżam tu, do Krynek. Tak wtedy się nie dało, inny był czas, inaczej płynęło wtedy słowo.

DZ: *Porozmawiajmy o słowie Sokrata. Pan ceni jego eseistykę, przy pomocy której budował świadomość Białorusinów, czy bardziej „sokratki",* Samosiej*?*

LT: Z nami jest tak, wrócę do czasów zaborów, przepraszam że my Białorusini musimy wykonywać różne rzeczy, które społeczeństwo polskie wykonywało w czasie zaborów. Kultura była tylko przy dworze i musieli o nią dbać, budować sami w warunkach innej [obcej – dop. red.] administracji. My jesteśmy w bardzo podobnej sytuacji. I ja bym wolał osobiście, aby Sokrat zajmował się twórczością stricte literacką, ona przez swój uniwersalizm jest nam wszystkim bardzo potrzebna. A te różne „pisania", wystąpienia historyczne robił, bo nie było komu. W pewnym momencie sam byłem zaprzęgnięty do takiego zadania, bo w Gródku o Chodkiewiczach, o ich historii, to ja pisałem w odcinkach do gazety, bo moi koledzy historycy powiedzieli, że nie będą gminnymi pisarzami. I trzeba było robić to samemu, tak jak wiele innych rzeczy robiliśmy. Powstały jednak teksty historyczne Sokrata. Myślę, że gdybyśmy byli zdrowsi jako naród, inni mogliby je pisać, a Sokrat zajmowałby się tylko literaturą. To o wiele ważniejsze. Często ludzie sobie tego nie uświadamiają. Ja, gdy zajmuję się innymi rzeczami, chociażby projektowaniem znaku dla województwa podlaskiego, który jest teraz w różny sposób gwałcony przez kolejnych plastyków, mam poczucie, że czas, który na to przeznaczam, miałby dla nas większe znaczenie, gdyby został poświęcony na pracę artystyczną. Tak samo Sokrat wykonywał różne rzeczy społeczne. Nie mówię o tym momencie romantycznym, kiedy chodził po wsiach i odwiedzał domy kultury białoruskiej, wędrując od domu do domu. Wszystko to takie prawie dziewiętnastowieczne. Tu pracujesz społecznie, a konfitury dzielą panowie na etatach i tyle. Dla mnie najcenniejsze u Sokrata są te rzeczy związane z literaturą, chociaż inni mądrzy, z tytułami profesorskimi, w Białymstoku, uważają inaczej. Mamy demokrację i każdy ma prawo do swojego głosu. I dla nas, Pawła i Jurka, te rzeczy artystyczne są najważniejsze. Tamte można odłożyć, przeczytać. Tym bardziej że to było czasami trochę takie wyrobnictwo, żeby tekst był w „Czasopisie". Z drugiej strony te teksty przynosiły pieniądze, które Sokrat cały czas z trudem pozyskiwał. Był ciągle niedoinwestowany. Nie miał sytuacji, która pozwalała nie myśleć o pieniądzach. A jak się pisze na czas i na ilość, wtedy trudno tworzyć.

DZ: *Ale* Terra Incognita *czy* Białoruś, Białoruś *to nie są teksty wyrobnicze. To są naprawdę ważne teksty.*

LT: Ważne teksty, bo był ważny czas. To nie powstaje samo. W historii Polski jest wiele przykładów elit, które swoje życie poświęcały walce narodowej. Lepiej żeby Paderewski grał, Baczyński też bez sensu zginął w Warszawie. Tak samo, jak ludzie w czasie „Solidarności" poświęcali czas na walkę, a można byłoby…

Adam naprawdę lepiej pisze, niż jest politykiem. Polityk to cynik wyrafinowany. A z Adama nie zrobi się cynika. Wiem, ile kosztuje bycie politykiem, jaką cenę się płaci. I jaką ohydną pracą jest manipulowanie ludźmi. Mimo wszystko Sokrat był spełniony, bo zostaje osobą ważną w literaturze, a nie politykiem. Na razie nie widzę takich, którzy by mogli go zastąpić. Na przykładzie Ignacego [Karpowicza dop. red.] widzimy, że możliwa jest inna droga. Istnieje trampolina, od której mógł się odbić tylko dlatego, że była oparta o ludzi w centrum Andrzeja Stasiuka, „Czarne". Można było to robić prawie niezależnie, wybierać pewne ruchy i dopiero później inni zauważą, na ile jest ważne to, że ten Ignacy u babci Niutki w Słuczance był wychowany w tym języku, a nie w innym.

DZ: *Bardzo ważne Pan rzeczy mówi, bo to nie jest powszechnie oczywiste.*

LT: Absolutnie.

DZ: *My się tylko tak domyślamy, czytając Karpowicza.*

KSM: *Myślę, że* Sońka *jest wyłożeniem karty na stół.*

LT: Nie wiem, bo ja jeszcze *Sońki* nie czytałem.

KSM: *Tam już bohater, Igor, mówi wprost, że był Ignacym.*

LT: Znam *Sońkę* w wariancie opowiadania, rękopisu. Kupiłem książkę. Jest w samochodzie, ale to trzeba przeczytać. W rękopisie Ignacy niektóre fragmenty zapisywał po białorusku. My cały czas dążymy do wzorca ogólnotelewizyjnego, jeśli chodzi o wzór kultury. Mało kto sobie uświadamia, jak dużo tracimy, jako państwo polskie, jako kultura polska, że nie mamy dwujęzycznych nazw. Bo ironia jest taka, że te nazwy u nas są w większości bałtyjskie. To nie są nazwy białoruskie, one są w transkrypcji białoruskiej. To zachowuje cywilizację. A wulgaryzowanie tego poprzez zamianę g na h itd. zubaża polskość, a nie nas, Białorusinów. To co zostało tam, za Bugiem z dawnego województwa podlaskiego jako części Wielkiego Księstwa Litewskiego, ta część Podlasia, gdzie język białoruski zanikł, ale nazwy się zachowały. Są czasami bardzo roztkliwiające, jak Horoszki. To bardzo zubożające także dla literatury polskiej, która cały czas była zasilana przez dopływ, jak nie z Białorusi, to z Ukrainy. A jeśli chodzi o muzykę rozrywkową, to „zasilanie" wychodzi na jaw po pewnym czasie, jak w przypadku Niemena. Okazuje się, że Leszek Możdżer, Paweł Nowak wywodzą się z Grodna, z repatriantów; Kora ze Stanisławowa z nazwiskiem Huk. To są proste mechanizmy, kiedy wiesz, co z czego powstaje, taka energia. Tym bardziej że w każdym kraju, jak pojawiają się wybitni twórcy, to oni są dwu-, trzykulturowi. To norma. Trzeba umieć patrzeć na pewne zjawiska i mieć dystans, bo jak jesteś w środku, jesteś tym zakochanym patriotą, to ich nie dostrzegasz. To tak jak z miłością. Żyją, a dopiero kiedy kobieta odejdzie, mówi się: jak ja mogłem tego nie wiedzieć przez tyle lat. Istnieje parę narodów w Europie, które nie przeżyły stadium normalności, w którym jest państwo, jest język. Dzisiaj nikomu to nie zagraża politycznie, można to wszystko byłoby szybko nadrobić. Tacy ludzie dwu, trzy-kulturowi byliby bez kompleksów i mieliby większy wkład w rozwój kultury. Na dzień dzisiejszy widzę, że na razie to jest niemożliwe. Wtedy Pan Bóg karze, karze inaczej. Wtedy po prostu rodzi się faszyzm i tyle.

DZ, KSM, GChM: *To pesymistyczna diagnoza dla regionu i Białegostoku...*
LT: Ale z tego się wyrasta, to czas przejściowy. I to mnie trzyma. Jestem optymistyczny, jeśli chodzi o białoruskość, jeśli chodzi o Białystok. Jestem optymistyczny, bo wiem, że wyrasta czwarte pokolenie i to czwarte pokolenie musi się zbuntować. Jak obserwuję tę młodzież, to są różowe książątka, które mają wszystko, więc jaki jest sens buntu. Nie ma potrzeby. Jesteśmy w tej sytuacji silniejsi, jesteśmy na tym terenie oparci o swoją własną kulturę, z bogatą przeszłością, tylko ta młodzież jeszcze tego nie wie. Dzięki temu różnimy się od reszty, która nie będzie mogła z nami konkurować w kreacji nowych rzeczy. Wyrośliśmy dzięki temu, że oszukaliśmy cywilizację. Wyrośliśmy na innych cywilizacjach. Sokrat w swoim jednym życiu przeżył dwa. Za to się oczywiście płaci. W jego przypadku chorobą. Ja natomiast mogłem skorzystać z tej cywilizacji, jaka jest w Polsce i tej spoza Polski. Wtedy można szybko się rozwijać.

Proszę spojrzeć, co wokół widzimy, jak szybko budują drogi i chodniki. Białystok jest takim miejscem, które będzie bardzo ważne dla twórczości, także literackiej. Zaczyna się z „niehalo" , a potem jakoś dalej idzie. Tak pilnowano Ukrainy, aby nie było wzorców literatury amerykańskiej, a zapomnieli, że istnieje jeszcze iberoamerykańska. I wszyscy w tym Iwano-Frankiwsku oparli się o nią, i Juryj, i Izdryk, i reszta. Na tym wyrośli. Sztuka rozwija się tam, gdzie krzyżuje się ekonomia z intelektem. Mamy bardzo dobrą pozycję wyjściową, bo jeżeli chodzi o intelekt, to nigdy tylu ludzi nie miało dostępu do edukacji, jak w tej chwili. To jest fenomen, że tylu ludzi ukończyło szkoły itd. Nie należy tego lekceważyć. To ważne, że ludzie są piśmienni i że mogą się rozwijać intelektualnie. Do pełnego rozkwitu brakuje jeszcze tylko tego, żeby przestała istnieć granica. Jeżeli jej nie będzie, to wszystkie drogi pójdą przez Białostocczyznę. A drogi to pieniądze. I wtedy nastąpi szybszy rozwój. Na przykład Łomża nie powinna się przejmować tym, że jest w tej chwili tak odsunięta, za karę, za tę swoja działalność polityczną. Łomża jest na najkrótszej drodze z Petersburga do...
DZ: *Europy.*
LT: I wtedy nie będzie się opłacało zajeżdżać do Białegostoku. To są takie mechanizmy. Żeby istniał Gródek, potrzebna jest droga. Mam świadomość tej polityki. Przecież droga do Bobrownik była już zielona. A teraz mam sklep czynny całą dobę i hotel. Te wszystkie rzeczy wrócą. My jesteśmy w takim momencie zostawienia przez cywilizację z boku.
DZ: *Jak Pan mówi „my", to kogo ma Pan na myśli?*
LT: Myślę konkretnie o tej przestrzeni, która jest po byłym Wielkim Księstwie Litewskim. Nawet te tereny na północ od Supraśli wykształciły takich, a nie innych ludzi. Podarowaliśmy narodowi polskiemu Popiełuszkę. Wiem, z jakich to wynikało procesów historycznych. Pod względem energii i wartości kulturowych jeszcze z tego powstaną wyższe jakości. Niekoniecznie truskawka i kaszanka musi być symbolem tych terenów. To jest krok po kroku.
DZ: *Czyli Pan myśli w kategoriach regionu i mieszkańców?*
LT: Tak.

DZ: *Popiera Pan też myślenie w kategoriach narodowych?*
LT: Ten naród tu mieszka. Jest w to wszystko włączony. I kiedy panują niesprzyjające warunki, trudno, żeby ktoś w takich okolicznościach określał siebie: „jestem Białorusinem", jeśli nikt nad tym nie pracuje. Nad językiem białoruskim szybciej będą pracować różne centra naukowe w Europie niż Białystok. Skracam to sobie, bo wiem, że język białoruski to wartość. Ale nie docenią tego ci, którzy mają kompleksy. Mogę zafundować sobie rozrywkę polegającą na tym, że jadę do Wasilkowa, do mojej rodziny, bo nigdzie takiego śledzikowania nie słyszę. Jako artysta jestem świadomy tego, co niesie ten kawałek ziemi dla cywilizacji. Problemem są spóźnione procesy polityczne, które zostały sprowadzone do zagrodowego patriotyzmu, co powoduje, że nikt nie jest w stanie tego zobaczyć. Jeśli coś jest zrobione, staje się wartością i już nie zginie. Jestem w stanie zrozumieć, ile mogliśmy dać np. narodowi brazylijskiemu, gdzie dzieci Kawalera stworzyły Sepulturę , taki zespół. To wkład przeogromny, kiedy dzieci białoruskich emigrantów zdołały przełamać barierę dominującej anglosaskiej maszyny. Wystarczyło, że zyskały po temu możliwości.

Szkoda mi takich rzeczy, jak nazwy, jeśli coś nie zostało zapisane oryginalnie to trudno będzie je odtworzyć. Konieczna stanie się archeologia, którą będą wykonywać inne ośrodki. Do tego doprowadzili jaśnie panujący. Dochodzi do tego, że jestem w Rydze i znajomi mówią: „Leon, nigdzie nie idź, idziemy na obiad typowo łotewski. Zobaczysz, restauracja łotewska". Zachodzę do restauracji łotewskiej, gdzie stół i krzesła zrobione są z bali jak w Białowieży, chodniki takie jak u nas, wiszą cepy i koszyki do ziemniaków na ścianach, jak u nas i na Kielecczyźnie, wszędzie na tych samych piaskach. Do tego na stole pojawia się kapusta ugotowana z żeberkami i ziemniaki, jako typowe łotewskie patriotyczne jedzenie. Trzeba się tego wyzbyć i wznieść ponad to, co nie jest łatwe.

W Polsce często próbuje się „wyciągać" taką rdzenną, czystą polskość i ta polskość nie wychodzi. Była taka dyskusja w „Trójce", pod hasłem: co możemy dać Europie? No, kuchnię, oczywiście. Pominęli fakt, że będziemy chrystianizować Europę, ale kuchnia jest. Ale kuchnia, czyli co? Pomidorowa. Ale pomidor nie jest polski itd., potem wyszło, że schabowy z kapustą. Okazuje się, że taki schabowy i kapustę jedzą w Niemczech aż do granic Francji. On jest wszędzie. A jak zeszli na placki ziemniaczane i pierogi ruskie, których nie znają Rosjanie, ryba po grecku, sałata włoska, która we Włoszech jest nazywana rosyjską, hamburgery, które nigdy nie widziały Hamburga itd. Jesteśmy bardzo obciążeni końcem XIX wieku, nacjonalizmem, który był wtedy bardzo potrzebny do formowania państw, organizowania rzeczywistości społeczno-politycznej. Dzisiaj on traci sens, ale wpędza w kompleksy i narożnik ludy, które tego etapu nie przeszły. Gdzieś na końcu Rambli w Barcelonie jest napisane: „This is not Spain, this is Catalon". Taki sam problem będą mieć Baskowie, Szkoci itd. Tak samo będą mieć Ukraińcy, tak samo będziemy mieć my. Gdyby ktoś w państwie myślał politycznie o obywatelach, zastanowił się nad tym, którzy z nich są bardziej wydajni, zastosowałby program specjalny, aby Białorusini czuli się Białorusinami. Dałoby

to państwu polskiemu więcej niż ci, którzy są trzymani w przykręceniu. Jako ten „reprezentacyjny" Polak, reprezentując Polskę w Mińsku usłyszałem: „panie Leonie, tam między sobą jakieś kłótnie robicie, a my musimy Pana bronić". Niestety, mam paszport tego państwa i wielokrotnie nie musiałem być dumny z tego, że jestem obywatelem Polski. Na przykład kiedy przebywam w Niemczech, niektórzy nie chcą ze mną rozmawiać, bo jestem z Polski, a Polacy kradną tam kury, ale to wytrzymuję. I to jedyny kraj, Niemcy, gdzie rozmawiam dziś po rosyjsku, chociaż Rosjanie tyle krzywdy wyrządzili naszym narodom. To pewna złośliwość historii, bo kiedyś kpiliśmy z rosyjskiego, używaliśmy tego języka w żartobliwych sytuacjach, a teraz posługuję się nim w Niemczech, gdzie jest dużo emigrantów z Kazachstanu i innych krajów. Język jak język, ale też trzeba było przełamać się i przypomnieć. Bo jest tak, że niektórych historia zostawiła na wschodzie i Białorusini jadąc do rodzin mówią do nich po białorusku, myśląc, że jest to język rosyjski, a Rosjanie, którzy nie mieli kontaktu z Białorusinami, pytają: dlaczego rozmawiasz po polsku? Tak brzmi dla nich białoruski.

DZ: *Gdyby tak Pan przyjechał do Białegostoku i powiedział to studentom...*

LT: Nie takie rzeczy mówię, mówiłem, robiąc z siebie kaowca, jak zapraszają. Najwięcej autografów rozdaje się w Hajnówce. Teraz Białystok ma problem. Kiedyś byli reprezentacyjni artyści: Wiktor Wołkow, Sokrat itd., a dziś okazuje się, że biorą na ambasadora Tyma. Śmiejemy się z tego z Tymem. Ignacy będzie funkcjonował w przestrzeni międzynarodowej, tak jak żyją ludzie w Berlinie, gdzie każdy jest skądś. Białystok przechodzi ciekawy okres, bo ma taką cichą aktywność, bez głosu. Protestuje tańcząc. Taniec się rozwija i to jest forma ekspresji, która wychodzi z tego miasta. Ale trzeba sobie powiedzieć wprost, przeanalizować, kto mieszka w Białymstoku. Tylko trzynaście nazwisk się powtarza, jak np. Słobodzianek. Jego dom stoi, są fundamenty. Z czegoś wychodzi taka osobowość. Edek Redliński też osiągnąłby wyższą pozycję, gdyby nie wyjechał, został. Kiedy wrócił z Ameryki i przyjechał do mnie z Wiktorem Wołkowem, był u mnie również Sokrat. Redliński powiedział wtedy, że Sokrat jednak miał rację, a przecież zawsze mieli do niego pretensje, że upiera się i pisze po białorusku.

Nie wiem, jak ta pograniczność i wielokulturowość odbija się w literaturze, ale jeśli chodzi o sztukę, jest taka przestrzeń artystów z Wielkiego Księstwa Litewskiego, którzy właściwie położyli fundamenty pod ogólnoświatowe malarstwo: Rodko, Chagall, Malewicz, Rodczenko. To jest kontrastowe wobec sztuki, która się rozwijała w Polsce, podobnie jak ja ze swoim malowaniem. Debiutowaliśmy w latach 80. w czasie ekspansji ekspresji niemieckiej, przełożonej na wariant polski. Przez dłuższy czas byłem traktowany trochę jako esteta, ale dało mi to uniwersalność języka, czytelnego poza Polską. Dopiero później zacząłem funkcjonować na wystawach w Polsce wspólnie z innymi rówieśnikami. Żałuję, że dziś nie ma tego świata, jaki był tu u nas przed wojną.

DZ: *To znaczy?*

LT: Tego społeczeństwa wielokulturowego. Ja już go nie pamiętam, znam z opowiadań. Kiedy w 1987 roku znalazłem się w Nowym Jorku, to w piątek od razu

wypaliłem na Williams Bridge zobaczyć, jak ci Żydzi wyglądają. Bo to zawsze były tylko opowiadania, to wszystko zdawało się bajkowe. A tu normalna sytuacja, Żydzi z lisimi czapami i całą resztą. Było obok. W tej chwili Polacy będą mieli ciężki problem z adaptacją do życia wśród innych. Zawsze i wszędzie miasta były wielokulturowe, a my jesteśmy prawie jednokulturowi: od wojny robotniczo-chłopskie społeczeństwo. Powoli niszczyliśmy wszystko, co wyrastało ponad. Dwory już Rosjanie zniszczyli, już nie trzeba było tego robić. Uczestniczyłem w takiej dyskusji w Łodzi, był tam również Weiss, gdzie zastanawiano się, co będzie, jak zaleje nas fala emigracji? Problem polega raczej na tym, kto tu zechce przyjechać? W tej chwili nie jesteśmy atrakcyjnym miejscem, do którego się przyjeżdża i mieszka. Tym bardziej że z tamtej strony pieniądz jest atrakcyjniejszy. Jechanie do Moskwy jest bardziej atrakcyjne niż do Nowego Jorku. Wszystko szybko się zmienia. Jak nie ma wielokulturowości, nie ma wymiany myśli, to człowiek rozwija się wolniej. Dobrze oceniam aktualne wyjazdy ludzi z Polski. Paradoksalnie, dobrym zastrzykiem energii było nawet „bieżeństwo". Z jednej strony patrzymy na to jak na tragiczny *exodus*, wyjazd ludzi z tej ziemi, niemal połowa z nich nie wróciła, z drugiej strony ci ludzie wyjechali gdziekolwiek po raz pierwszy, po raz pierwszy zobaczyli takie duże rzeki, domy. Przywieźli ideę „narodnicką", Hercena itd. To, co mamy koło Bielska, te malownicze okiennice, domy, to pozostałość tamtego wyjazdu, stamtąd zostało przywiezione i naśladowane. Dwudziestolecie międzywojenne było okresem ogromnej aktywności, o czym możemy przeczytać we wspomnieniach Żydów z Gródka. Tyle organizacji, tyle działań wtedy, pozazdrościć. Ci ludzie, którzy teraz wyjechali, dorównają cywilizacyjnie społecznościom wyżej rozwiniętym, jak wrócą będą… część wróci, część się wtopi. Nie martwi mnie, że Scorupco nie rozmawia po polsku. Tacy ludzie nigdy nie byli nośnikami kultury. Ale inni, kiedy wrócą, będą wymagać, żeby inaczej ich traktować w urzędach itd. To wszystko rozwija nas cywilizacyjnie.

DZ: *Czyli nie ma sensu namawiać, żeby nie wyjeżdżali. Sztuką jest, żeby wrócili ci, którzy są najlepsi.*

LT: Tak. Ludzie zawsze wyjeżdżali tam, gdzie były pieniądze, gdzie można było zarobić. W międzywojniu aż do Brazylii, Argentyny. Za moich czasów, jak pamiętam z dzieciństwa, taką rolę pełnił Śląsk, tam ludzie jechali, zarabiali, zakładali rodziny. Kusiły ich pieniądze. Z każdego miejsca ludzie wyjeżdżali do tego najbliższego, które uważali za lepsze, na przykład do Białegostoku. Pamiętam ciekawe zjawisko, chyba w 1989 roku, w takim białoruskim klubie Kraczeuskaho w Nowym Jorku, zacząłem opowiadać o Białymstoku jako mieście emigracyjnym. Reakcją była furia, protest. Nie mogli się z tym pogodzić, a ja im podawałem przykłady, że Białorusini w Białymstoku żyją tak, jak Białorusini w Nowym Jorku. Nie mogli tego zaakceptować. A ja opowiadałem: w domu rozmawiają w jednym języku, a kiedy wychodzą w innym języku. Koncentrują się w świątyniach, które są pierwszym miejscem kontaktu, tam przyjeżdżają, spotykają się, zakładają rodziny, odchodzą. Potem, już jak się pojawią dzieci, następuje stręczycielstwo religijne, żeby swój chłopiec związał się ze swoją dziewczyną. I wytworzyły się

w środowisku białostockich Białorusinów inne zjawiska kulturalne, typowe dla emigracji. W latach 60. w Warszawie, gdy powstało towarzystwo białoruskie, były dzieci, choinki, zespoły, śpiewania. Pamiętam Nowy Rok prawosławny w Pałacu Kultury. Tak samo jest w tej chwili w Białymstoku: teatrzyk, nauczanie, izba regionalna. Bardzo podobne zjawiska. Będąc na miejscu tego nie widzimy, różnica jest zbyt mała, nie ma kontrastu.

DZ: *Pan mógłby pisać.*

LT: Lepiej gdybym został przy malarstwie. To było na „Trialogu" w Łapiczach. Chyba z Łodzi, a może z Lublina przyjechał profesor Radzik, nadgorliwie zmuszający do tego, aby na Białorusi zaszły takie procesy, jak w czasach „Solidarności" w Polsce. Ja mówię: dobrze, ale po co. Bo jak na Białorusi mają zajść takie procesy, jak u nas na Białostocczyźnie, to jako ten Indianin Białorusin, przepraszam, nie mam w tym interesu. Spolonizowanie, spauperyzowanie do takiego stopnia, że nie widzę perspektyw. Dopóki sami czegoś nie zrobimy, będą pojawiały się takie doraźnie pomoce, potrzebne do sprawozdań. Był też Iwanow z Łodzi, językoznawca. Jechaliśmy z konferencji z Białegostoku i on: „Pan tu cały czas o tym białoruskim…" A ja mówię: „Pan nie żartuje, u mnie w Gródku mówią: fajno, Anglicy mówią: fine. Niech pan doceni, jaki to język". A on: „wariat, wariat". A np. „feco" zostało z hiszpańskiego. To jest ciekawe, że „feco" zachowało się w jidisz, bo po białorusku mówi się „drenna", czyli źle. „Feco" zostało w Gródku. W Nowym Jorku w tej chwili mówią już „szmata". „Lelak" jest znany w Białymstoku, podobnie jak „memłon". Zobaczymy, jak to się rozwinie.

Dziś cały teatr geopolityczny się zmienia. Tworzy się struktura aktywności gospodarczej nad Pacyfikiem. Rosja została jakby odsunięta na bok. Wymusza więc, niczym małe dziecko, żeby patrzeć na nią, zwracać na nią uwagę. Płacimy za to wszyscy razem wzięci, nawet trzech naszych oddało życie… jako pierwszego na Ukrainie zabili Białorusina z Mińska, jeszcze dwóch w następnej puli. Pierwszy, którego zabili, był Białorusinem. To jest pole protestu, niezgody. Rewolucja ich zjada, najbardziej aktywnych, to dzieci rewolucji. Żartowałem, że najinteligentniejszym ruchem Rosji byłoby wejście Unii Europejskiej, co Putin zaproponował, jeżdżąc do Brukseli. Oczywiście propozycja nie została przyjęta. Ale wyobraża sobie Pani, że mieszkamy w takiej wielkiej, otwartej przestrzeni, jedziemy do Królewca, Königsbergu. Granice, które są w tej chwili, to taki rodzaj dużej, muzealnej instalacji. Ona już niczemu nie służy. Przepływ informacji i tak następuje, sprawił to internet. Gospodarka także nie zna granic. Kupując każdy litr benzyny na stacji Lukoilu, sponsorujemy państwo rosyjskie. Jeżeli ten olej będzie tańszy i lepszy, to patriota z PiSu będzie pieprzył patriotyzm, zatankuje taniej. W tym wszystkim granice przestają w ogóle mieć sens. Na Ukrainie się okazało, że tak naprawdę tej granicy nie ma. Mają problemy z tym, co mają robić, kto do kogo ma strzelać.

DZ: *To trzeba popierać aneksję Krymu, skoro granice nie są potrzebne?*

LT: Nie. Ja mam przyjaciół, którzy hodują kury na Krymie. Przede wszystkim trzeba dać Tatarom krymskim to, co do nich należy, a nie wbijać ludziom do głów, że to jest odwieczna rosyjska ziemia. To jest mówienie o sprawiedliwości.

A sprawiedliwości nie ma w polityce. Żeby robić politykę, to trzeba mieć pieniądze. Uważam, że są dwa nieprzyznane Noble: mądrze wymyślona przez Jezuitów unia, świetnie działający przez wiele lat mechanizm: wystarczą dwa pokolenia i odchodzi kulturowe znaczenie, człowiek zostaje katolikiem. I drugi Nobel, który powinien być przyznany Niemcom za wagon z Leninem, z pieniędzmi niemieckimi. Zatrzymując Rosję i dopuszczając do tak prymitywnej formy życia, Niemcy wyrośli na potęgę rozdającą cywilizację w Europie. Wszystko powoli się odwraca. My jako mali na obrzeżach cierpimy z tego powodu. Nie ma tak, że nie uczestniczymy w czymś.

Cały czas bardzo dbano o niewystępowanie białoruskich napisów, oprócz jednego, który pojawił się ostatnio, czyli 24 ha, co każdy z nas czyta 24 „hadzin". A teraz prawie połowa reklam jest po rosyjsku. I myślę, że jeżeli komuś tak kłuje białoruski, no to ma w tej chwili w nagrodę rosyjski.

DZ: *Ale to tak jest. Jest to oczywiście złośliwość. Widać uzasadnienie ekonomiczne.*

LT: Zawsze ono było: jakie pieniądze, taki język.

DZ: *Właśnie o to chodzi. Wygląda na to, że nic się nie zmieniło.*

LT: Zapominamy o tym, jak dobrze w tym państwie rozmawiało się po rosyjsku, kiedy były pieniądze robione w Petersburgu. Wystarczy *Lalkę* przeczytać, żeby zorientować się, jak to działało.

DZ: *Nikt nie miał uprzedzeń do rosyjskiego. Ale wtedy nie było całkowitej wolności, były zabory.*

LT: To jest też bardzo wątpliwe.

DZ: *Zabory?*

LT: No nie. W polskich książkach napisane jest, że zabory, zabory… Powstał ich wielki mit. Ale niech Pani sprawdzi ilość ludzi, jaka została zesłana. Bo my mamy zakodowane, że tu etapami zsyłano na Syberię. A jak się przeczyta na temat ilości ludzi zesłanych z tego „rosyjskiego biura turystycznego", to nie była liczba, która by porażała. A społeczeństwo żyło w tym państwie nieźle. Nawet, daj Panie Boże, taką niewolę, ze szkolnictwem przy księciu Czartoryskim. Wystarczy pójść w kierunku Łomży i zobaczyć, jakie powstały budynki. Jaka ta Łomża była w tamtym czasie. Jest takie skrzywienie nasze tutaj, że króla Sasa hołdujemy jako polskiego króla, a już tego Aleksandra, który…

DZ: *Też był obcy.*

LT: Był obcy, ale z drugiej strony dał rozwój przemysłowy, uwłaszczył chłopów. I było to naprawdę całkiem normalne państwo. Tym bardziej że Rosja w czasie rewolucji miała 12 procent zysku na czysto. Nie było tak, jak nam się wkłada do głów, że to było biedne państwo, ubodzy chłopi, dlatego powstała rewolucja. Bez wagonu z markami, którym przyjechał Lenin z Niemiec, to wszystko by się nie zdarzyło. Wystarczy spojrzeć na archiwalne fotografie z tamtych czasów, żeby sobie uświadomić, jaki był poziom techniczny tego państwa. Mamy trochę skrzywione, przez propagandę, spojrzenie na dawną Rosję, a tego typu skrzywienia mogą trwać długo. Tak jak długo trwało, póki język niemiecki zacząłem traktować jak każdy inny. A wcześniej zawsze wychodził Brunner, Kapitan Kloss

i inni razem wzięci. To są ciekawe rzeczy, jak się temu przyjrzeć. Wtedy człowiek zastanowi się, że zabór, owszem, ale czym innym pozostaje kwestia, jak w tym zaborze funkcjonowano.

DZ: *Mogę Pana pocieszyć, bo ma Pan całkowitą rację z tym stereotypowym widzeniem Rosji. Ale teraz już to widzenie romantyzmu polskiego jest trochę inne. Nasza Koleżanka z Zakładu [Elżbieta Dąbrowicz – dop. red.] ma tezę, że istniał osobny okres w literaturze polskiej: oświecenie aleksandryjskie (od cara Aleksandra I i wartości, które się z nim kojarzą, jak wprowadzenie konstytucji). Patrzymy też inaczej na zesłańców. Oni przyzwyczajali się do życia w Imperium, współtworzyli je, robili kariery. Nawet koledzy Mickiewicza, tacy jak Zan. Do tej pory był akcentowany wyłącznie ten cierpiętniczy sybiryzm. Teraz powoli zaczynamy sobie pozwalać na trochę inny stosunek do Rosji. Chociaż nie wiadomo, jak długo, wobec tych wydarzeń, które dzieją się w tej chwili na Ukrainie.*

Dziękujemy za rozmowę.

Więcej takich sosen tu nie ma

Rozmowa z Michałem Androsiukiem,
Wojnówka 6 czerwca 2014 r.
Rozmawiały: Elżbieta Dąbrowicz,
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, Danuta Zawadzka.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *Kiedy się Panowie poznali z Sokratem Janowiczem? Jaki to był moment Pana biografii?*
Michał Androsiuk: Powiem dokładnie, co do dnia [*Pisarz przynosi książkę z dedykacją od Sokrata*]. Poznałem Sokrata przy okazji prezentacji tej książki – *Douhaja śmierć Krynak*[1]. To było 29 lutego 1994 roku. Znaliśmy się wcześniej korespondencyjnie, natomiast osobiście, jak to się mówi „w oczy", poznaliśmy się właśnie w tym dniu. Pamiętam pierwsze słowa, które usłyszałem od Sokrata; on tak na mnie popatrzył, podał rękę i mówi: „ja dumau, szto ty wyszejszy krychu", że jestem trochę wyższy, bo tak mu wynikało ze zdjęć. Natomiast korespondencyjnie znałem się z nim mniej więcej od początku lat dziewięćdziesiątych, gdy zupełnie przypadkowo, nie wiem nawet jaką drogą, trafiły do niego moje wiersze. Kiedyś miałem taki okres, gdy popełniłem kilka, może kilkanaście, a może kilkadziesiąt wierszy, trudno mi w tej chwili powiedzieć, ale były to takie – powiedzmy – młodzieńcze sprawy. Jakimś cudem te wiersze trafiły do Sokrata i Sokrat napisał do mnie list, taki zwykły, tradycyjny, na papierze, nie było jeszcze wtedy internetu – zresztą on nigdy z internetu nie korzystał. W tym liście zachęcił mnie do tego, że powinienem pisać. Moje pierwsze pisanie było po białorusku, to były lata wczesnej młodości, lata siedemdziesiąte, a później, w latach osiemdziesiątych, właściwie przez całą dekadę, nie pisałem nic. Być może gdyby te wiersze wtedy nie trafiły do Sokrata, gdyby on tego listu nie napisał, nie byłoby mnie tam, gdzie jestem dzisiaj. Sokrat mnie jak gdyby przywrócił pisaniu, to było ważne, że napisał do mnie człowiek, który był jakimś autorytetem, postacią uznaną w literaturze; że znalazł czas, i że, jego zdaniem, warto, że powinienem pisać. Od tego momentu wszystko się zaczęło. Pamiętam, że zaraz po tym liście on mnie poprosił o jeszcze. Wysłałem mu kilka wierszy, niedużo, może 4, 5 i po jakimś czasie Sokrat

[1] С. Я н о в і ч, *Доўгая сьмерць Крынак. Апавяданьні, аповесьць*, Беласток–Бельск 1993.

mi odpisał, że to są… niedobre wiersze. Tamte były dobre, a te nie. Początkowo byłem trochę rozczarowany, ale potem pomyślałem, że ten człowiek rzeczywiście mówi prawdę i że ta jego szczerość jest bardzo ważna.

Epizod z wierszami dosyć szybko się skończył i odszedłem ku prozie. Moje wiersze zawsze były „o czymś", miały jakąś fabułę, więc pomyślałem, że skoro mam pisać wiersze z fabułą czy wiersze prozą, lepiej napiszę prozę z odrobiną poezji w tle.

Elżbieta Dąbrowicz: *Sądzi Pan, że to ta negatywna opinia Sokrata skłoniła Pana, by pomyśleć o prozie?*

MA: Nie. Ale Sokrat – wtedy dopiero go poznawałem – zawsze był szczery, nigdy nie udawał, nie wdawał się w konwenanse: że czegoś nie wypada powiedzieć albo coś należy przemilczeć, zachować się dyplomatycznie. W sumie Sokrat nie był dyplomatą, mówił, co myślał.

KSM: *Czy czytywał Pana prozę? Miał Pan jakiś odzew tej lektury? Na przykład przy okazji pierwszego, białoruskiego wydania* Białego konia[2]*?*

MA: Wcześniej miałem taki krótki cykl prozy, chyba w języku polskim, już nie pamiętam, kiedy to było, zdaje się w latach dziewięćdziesiątych, drukowany w „Czasopisie". Nazywało się to *Mateńka Hajnówka*[3]. Sokrat był redaktorem tych tekstów. Pamiętam, że jeździłem do Krynek, do jego domu, siedzieliśmy nad nimi i Sokrat odręcznie coś tam poprawiał. Było tych poprawek sporo, niektóre z nich odrzuciłem, niektóre zostały.

Nie dostałem nigdy od Sokrata jakichś szerszych, wyczerpujących recenzji mojej prozy. U niego to się czasem ograniczało do dwóch słów: „dobra piszesz" i to znaczyło, że jest w porządku, róbmy tak dalej.

KSM: *A czy Sokrat funkcjonował w środowisku białoruskich twórców, dziennikarzy jako autorytet, ktoś, kto patronuje talentom, namaszcza na pisarza?*

Danuta Zawadzka: *Taki „ojciec"?*

MA: W moim przypadku tak. Mogę powiedzieć, że był takim… jak to się nazywa? *Spiritus movens*?

Pamiętam, w 1999 roku było pierwsze „Biaźmieżża"[4], pierwsze „Trialogi". Wtedy ja w zasadzie jeszcze nic konkretnego nie miałem, prócz tego, co było drukowane w „Niwie", nic konkretnego w postaci książki, bo pierwsza moja książka wyszła w 2000 roku[5]. I Sokrat zaprosił mnie na „Trialogi" do Krynek, co też było swego rodzaju nobilitacją: że on mnie zaprosił. Myślę, że to było takie czuwanie Sokrata nade mną, takie trochę prowadzenie za rękę, ale dyskretne: „Mam cię w polu widzenia, pamiętam o tobie". Było też bardzo ważne, że spotkałem ludzi z tej wielkiej, białoruskiej literatury. Pamiętam, to było lato, i całą noc

---

[2] М. А н д р а с ю к, *Белы конь*, Беласток 2006.

[3] M. A n d r o s i u k, *Mateńka Hajnówka. Mediator*, „Czasopis" 2000, nr 1; M. A n d r o s i u k, *Mateńka Hajnówka. Sen komendanta*, „Czasopis" 2000, nr 2.

[4] Pierwsze „Biaźmieżża" było wcześniej, w 1996. Sokrat nigdy w tych seminariach nie uczestniczył.

[5] М. А н д р а с ю к, *Фірма*, Беласток 2000.

przesiedzieliśmy pod jabłonką u Sokrata, stał tam taki stolik, ławeczka, i siedzieliśmy we trzech przez całą noc praktycznie, a niebo było strasznie rozgwieżdżone. Nie było żadnego alkoholu, tylko paliliśmy papierosy, Sokrat chyba mentolowe, jak zawsze. I Uładzimir Niaklajeu[6], a więc wielka postać białoruskiej literatury. A więc taki wielki Sokrat, i wielki Niaklajeu i ja z nimi. Ja pewnie najmniej mówiłem, a bardziej słuchałem ich całonocnej rozmowy.

KSM, DZ, ED [*chórem*]**:** *O czym rozmawialiście?!*

MA: Trudno mi w tej chwili dokładnie powiedzieć, ale ogólnie o tym, że jest źle. Zresztą Sokrat był, jeśli chodzi o widzenie Białorusi i kultury białoruskiej, i literatury białoruskiej, pesymistą. Chociaż na przekór temu pesymizmowi do końca robił to, co robił.

DZ: *To, co trzeba.*

KSM: *Ale ten pesymizm dotyczył tego, co dzieje się po obu stronach granicy, i w Polsce, i na Białorusi?*

MA: No tak. W ogóle wszystkich tych Białorusinów z Białorusi Sokrat określał jednym słowem: „sawiety": „Byli u mianie sawiety, turbujuć mianie sawiety, jeduć u sawiety". On jakoś tak bardzo sceptycznie podchodził do tamtej strony granicy.

DZ: *A dlaczego, jak Pan myśli, oprócz oczywistych powodów, tych politycznych? To jakaś diagnoza – nie wiem – potencjału?*

MA: Może to było również wynikiem jakiegoś rozczarowania, że tamta strona niezbyt uważnie nam się przyglądała czy też nie traktowała nas jakoś tak – na partnerskich zasadach.

KSM: *Ale swoje archiwum Janowicz przekazał do Mińska.*

MA: Ale część chyba do Londynu też?

DZ: *Tak, symetrycznie* [*śmiech*]*. Więc jednak nie zostawił tej Białorusi, czyli nie obraził się na nią do końca...* [*cisza*]

DZ: *O czym rozmawialiście Panowie pod tą jabłonką?*

MA: O Krynkach, które, ongiś tam, jak mówił Sokrat, były białoruskie, rozbrzmiewały kilkoma językami, a polski był chyba najmniej popularny, i które w ciągu tych kilkudziesięciu lat, za życia Sokrata, zupełnie się przebiegunowały, stały się miasteczkiem polskim, polskojęzycznym. O tym, że jest w Krynkach nierozumiany, że w zasadzie jest traktowany...

Najbardziej jest potrzebny wszelakim tym *bomżam*, jak on mówił. *Bomż* to znaczy... To jest z języka rosyjskiego, człowiek bez, jak to oni mówią, *miesta żicielstwa* [biez opriedielonnogo miesta żitelstwa – dop. red.]. Człowiek bezdomny, który grzebie w śmietniku. Zresztą na Białorusi to słowo z rosyjskiego zostało zaadaptowane: *bomż* jako człowiek, który grzebie w śmietnikach i nigdzie nie mieszka. Kloszard, lump. Tak więc Sokrat uważał, że jest najbardziej potrzebny

[6] Uładzimir Niaklajeu (1946) – białoruski pisarz, poeta, redaktor, dziennikarz i opozycyjny działacz społeczno-polityczny, prezes białoruskiego Związku Pisarzy i PEN Clubu. Zmuszony do emigracji, w latach 1999–2004 przebywał w Polsce i Finlandii. Kandydował na prezydenta w wyborach 2010 r., za co spotkały go represje. W języku polskim dostępny jest zbiór jego wierszy *Poczta gołębia: wiersze wybrane*, przeł. A. Pomorski, Wrocław 2011.

im, bo oni przychodzą, żeby im dał dwa złote czy pięć złotych. Na przykład, gdy otrzymał nagrodę Drawicza[7], były tam również jakieś pieniądze, mówił, że wtedy całe to bomżostwo sobie o nim przypomniało i zaczęło przychodzić po jałmużnę.

Sokrat opowiadał o swoim domu, o całej perypetii z remontem, z przebudową, wszelkich wygibasach z fachowcami, majstrami itd. Pamiętam, była też rozmowa na temat tekstów Niaklajewa, tekstów piosenek. Niaklajeu miał w swojej biografii taki etap, gdy pisał piosenki, po prostu był tekściarzem, wziętym tekściarzem. No, ale to już piętnaście lat, gdybym wiedział, że mi się to przyda dzisiaj, starałbym się zapamiętać bardziej [*śmiech*].

DZ: *Pociągnijmy jeszcze pewien wątek. Mówił Pan, że Sokrat nie czuł się dobrze, nie czuł się potrzebny. Z czego to wynikało? Z polonizacji?*

MA: Ale on tego nie traktował z jakąś śmiertelną powagą, nie czuł się tym skrzywdzony. Podchodził do tego z takim, powiedzmy, lekkim dystansem: „a tam, róbcie sobie, jak chcecie, a ja tu jestem, ja robię swoje". Nie czuł się przez to gorzej, a przynajmniej nie okazywał tego, może gdzieś tam wewnątrz było inaczej, ale starał się to ukrywać. On stał jak gdyby z boku, na brzegu tej rzeki Krynki, niech ona sobie płynie, a ja w to patrzę, patrzę tylko w ten nurt.

DZ: *No właśnie, powrócił do Krynek, wrócił tam, gdzie, jak rozumiem, nie czuł się potrzebny.*

MA: No tak, w całej późniejszej publicystyce Sokrata, w tym, co pisał w „Czasopisie", to poczucie cały czas powracało.

DZ: *Taka jego naiwność, że usiłował przekonać do swoich ideałów, do tego, w co wierzył?*

MA: Ale on zawsze powtarzał, że kultura czy literatura jest produktem w gruncie rzeczy elitarnym, nie wszyscy muszą z tego korzystać. To jest potrzebne jakiejś niewielkiej grupie ludzi. Taki, pamiętam, kolejny „konik" Sokrata to pojęcie białoruskiej chłopskości, nie wiem, jak to określić.

DZ: *A jak to jest po białorusku?*

MA: Mużyckość. Mużyckaja Biełaruś czy biełaruski mużyk. Mużyk nie potrzebuje, powiedzmy, kultury, nie potrzebuje literatury, nie potrzebuje książki, on potrzebuje przede wszystkim chleba. Wieś nie stworzy państwa, więc stąd wynikają problemy z białoruską państwowością. Państwo tworzą miasta, natomiast wieś nie stworzy państwa, wieś jest skierowana tylko na produkowanie żywności i na wykarmienie samej siebie.

KSM: *Pan też wrócił na wieś, do domu.*

DZ: *Wraca Pan.*

MA: W pewnym sensie tak. Z tym, że w moim przypadku to jest takie bardziej… fizjologiczne. Ja w bloku mieszkałem, mieszkam – bo w sumie również w tej chwili – nie tak długo, od 2000 roku; wcześniej mieszkaliśmy w Hajnówce w swoim domu, gdzie było własne podwórko, swój kawałek ziemi, gdzie się rano wychodzi

[7] Uroczystość wręczenia Nagrody im. Andrzeja Drawicza odbyła się 17 czerwca 2003 r. w Pałacu Prezydenckim w Warszawie.

i stąpa po swojej trawie. Teraz w tym domu mieszka syn. Ja w bloku się czuję po prostu źle, ciasno, o ile jeszcze mogę wytrzymać zimą, to latem absolutnie nie. Bo nie mam dokąd pójść. Mogę pójść gdzieś w miasto, ale ileż tego miasta, jeśli chodzi o Hajnówkę. Natomiast tutaj wychodzę o czwartej czy o piątej rano, patrzę, tam już dziadźko Wasia poszedł po kurki, chociaż jeszcze wczoraj kurek nie było, a on był taki chory, że w zasadzie na nogi nie stawał, ale dziś już poszedł. Ktoś tam prowadzi konia, ktoś wygania owieczki, tu się budzą ptaki, tam się podnosi mgła, ja sobie siedzę spokojnie, piję tam, na tych schodach, kawę i patrzę na to wszystko. To chyba trochę inny powrót, niż w przypadku Sokrata. Przy czym Hajnówka od Wojnówki też nie jest aż tak bardzo odległa. Hajnówka to nie Białystok, jest bliżej Wojnówki niż Białegostoku.

ED: *A nie marzył Pan o „wielkim mieście"?*

MA: Mieszkałem chyba sześć lat w Białymstoku, do końca 2010 roku, wtedy przyjeżdżałem do Hajnówki mniej więcej raz na kilka tygodni. Ale w sumie to mieszkanie było takie… Albo piwo wieczorami, albo, jak się pracowało w radiu [„Racja" – dop. red.] na poranną zmianę, to wcześnie się chodziło spać, bo o czwartej już trzeba było wstać i być o piątej w studiu, więc ten Białystok jakoś tak umykał mi, przechodził gdzieś obok. Znałem jedną trasę gdzieś tam z osiedla Piasta na Ciepłą i tyle.

KSM: *Jako dziennikarz miał Pan okazję dobrze poznać białoruskie środowisko, być blisko jego problemów, obserwować zmiany. Sokrata już nie ma, jego biografia się domknęła, jest więc czas, gdy można zadawać podsumowujące pytania. Kim zatem był Janowicz dla tego środowiska?*

MA: Dopiero teraz zaczynamy, ja przynajmniej, zaczynam widzieć… Przedtem tak się tego nie zauważało: po prostu jest Sokrat. Może on jest kimś niezwykłym, ale dla mnie w zasadzie nie, bo ja go znam, ja z nim rozmawiam, ja się z nim spotykam. Nie widziałem tego postumentu czy monumentu, czy tej legendy, która gdzieś tam dopiero później się zaczyna rodzić i narastać. Natomiast takim pierwszym sygnałem, takim światełkiem był pogrzeb Sokrata. Był to pogrzeb niezwykły, nie widziałem wcześniej takiego pogrzebu. Masa ludzi, chociaż spodziewałem się, że będzie ich więcej, ale też cała ta otoczka, te biało-czerwono-białe sztandary, młodzież ze sztandarami, kwiatami… To było takie niezwykłe, człowiek zaczął rozumieć, że stało się coś wielkiego, że oto odchodzi ktoś ważny. Świadomość rangi tego, co się wydarzyło, pojawiła się później, kiedy już tego Sokrata nie ma, gdy… nie ma do kogo pojechać. Zdarzało mi się po prostu pojechać do Krynek, tak wsiąść w samochód i pojechać. Posiedzieć z Sokratem i pogadać o byle czym czy posłuchać, bo z Sokratem trudno się rozmawiało, raczej trzeba było słuchać. I ta jego Tania, która gdzieś tam zawsze jest obok, w tle, czuwa nad nim, jak taki dobry anioł, dobry duch, która jest kilka kroków czy krok z tyłu, ale zawsze ma na niego oko. Coś niesamowitego. Oni rzeczywiście tworzyli parę doskonale rozumiejących się i dopełniających ludzi.

KSM: *Ale Krynki nadal są, jest dom. Czy widzi Pan jakichś kontynuatorów dzieła Sokrata?*

MA: Villa Sokrates, jako stowarzyszenie, funkcjonuje, coś tam robią, chociażby ostatni „Trialog" się odbył. Był inny, ale musiał być inny.
DZ: *Byłyśmy tam. Były rozmowy o literaturze, ale wydaje się, że inne sztuki staną się tam teraz również bardzo ważne.*
MA: Ja się przymierzam ciągle do zrobienia takiego reportażu dla „Racji" Krynki paśla Sokrata, Krynki po Sokracie, no ale może jeszcze za wcześnie.
DZ: *To takie niezwykłe, że dom rodzinny, do którego Sokrat wrócił, i o którym mówił jako o metaforze ojczyzny, teraz ma służyć sprawie. Przestał być wyłącznie domem rodzinnym. Wydaje się to bardzo znaczące i rzadkie.*
MA: W naszym białoruskim środowisku ja o takim przypadku nie słyszałem. To pierwszy, przynajmniej znany mi, taki przypadek, gdzie człowiek swoją własność przekazuje jako dobro wspólne.
ED: *To chyba nie jest mużyckie, prawda?*
MA: No raczej nie, raczej nie. Pamiętam, przy okazji promocji tej książki Sokrat powiedział pewną znamienną rzecz, że oto w naszej białoruskiej społeczności wyrośli młodzi ludzie, którzy zajęli się biznesem, zarobili jakieś pieniądze i te pieniądze przeznaczyli na przykład na wydanie tej książki. To była firma „Omega", Walik Selwesiuk, Mirek Ciełuszecki, oni chyba sfinansowali tę publikację. Sokrat mówił o tym, że w jakiś symboliczny sposób przechodzimy od tej naszej białoruskiej mużyckości do skromnego póki co, ale mecenatowania własnej kultury.
ED: *No i w ogóle takie wyobrażenie dobra wspólnego.*
DZ: *Nie prywatnego czy rodzinnego, ale już czegoś więcej.*
MA: No tak, bo Sokrat ma dwóch synów przecież.
ED: *A jak oni zareagowali, nie wie Pan?*
MA: Nie wiem, ale nie było chyba jakiegoś oporu. Sokrat w ten sposób, przekazując swój dom Stowarzyszeniu Villa Sokrates, jak gdyby przekroczył granicę fizycznej śmierci: umieram, i w zasadzie jest koniec. Mieliśmy takiego fajnego autora, nazywał Mikołaj Hajduk, którego cała domowa biblioteka wylądowała w Hajnówce, w piwnicy muzeum. Wszystko zostało zrzucone „na zwałkę", na stos, bo rodzina po prostu się tego z domu pozbywała, te książki nie były nikomu potrzebne. Cała jego wielka biblioteka nie była nikomu potrzebna. Dobrze, że muzeum w Hajnówce przyjęło ten księgozbiór, ale nie wiem, jak został wykorzystany, bo przez wiele lat to leżało tak, że strach było patrzeć[8]. Więc w tym przypadku Sokrat nie umarł, Sokrat jest, żyje w tym domu tak długo, jak długo będzie działać to stowarzyszenie, jak długo będą się odbywały „Trialogi". Oczywiście dużo w tej chwili zależy od ludzi, którzy to robią, czy w tym, co robią, będzie ciągle miejsce dla Sokrata, czy zechcą w jakiś sposób zapełnić to sobą. Ale myślę, że nie, myślę, że nie.
DZ: *Czyli kontynuować jego dzieło, robić to, co on, tylko po swojemu, czyli jakoś integrować, jak rozumiem, tę społeczność białoruską i środowisko?*

[8] Ta sytuacja wynikała z problemów kadrowych i finansowych muzeum. Obecnie archiwum Mikołaja Hajduka jest uporządkowane i zabezpieczone – dop. red.

MA: Były głosy po „Trialogu", że coś tam nie pasuje… A czemu Moczulski, a czemu Michnik, a czemu coś tam jeszcze. Ale ja myślę, że czego by się nie zrobiło, zawsze będą pytania, dlaczego tak, a nie inaczej. Taką mieli chłopcy koncepcję, tak to zrobili.
ED: *Jak Pan myśli, czy pogrzeb Sokrata odegrał rolę integrującą dla całego środowiska białoruskiego?*
MA: Tak, miałem takie poczucie, że w tym dniu jesteśmy wspólnotą.
ED: *Nie było tak, że ktoś demonstracyjnie nie przyszedł?*
MA: Może ktoś nie przyszedł, trudno powiedzieć.
ED: *Chodzi mi o takie znaczące nieobecności. Niczego takiego Pan nie zaobserwował?*
MA: Z wielkich nieobecnych… No, powiedzmy, nie było polityków, ale to może dobrze, bo politycy się zmieniają. Trudno mi powiedzieć, kogo nie było ze środowiska białoruskiego.
ED: *Jeśli nie potrafi Pan powiedzieć, to znaczy, że byli wszyscy, którzy powinni być.*
MA: Było takie poczucie, że ludzie, których nie znam, których widzę po raz pierwszy, są mi bliscy, bo są tutaj dziś.
DZ: *Na skrzydełkach książek, kiedy Pan o sobie mówi czy też autoryzuje to, co napisali inni, określa się Pan jako pisarz białorusko-polski, w każdym razie dwujęzyczny.*
MA: Nie wiem, czy ja się w ogóle określam.
DZ: *No tak, to nie Pana teksty, to wydawnictwo je formułuje* [*śmiech*]. *Chodzi mi też o Pana rolę w białoruskim środowisku, jako pisarza, dziennikarza.*
MA: Pamiętam jak Sokrat kiedyś, chyba w „Czasopisie", napisał: „ja już do końca życia będę pisać po białorusku, a jeżeli jakiś tam Androsiuk chce klęczeć przed polskim czytelnikiem, to niech sobie klęka" [*śmiech*].
KSM: *I co Pan wtedy czuł?*
DZ: *To straszne!*
MA: Trochę się roześmiałem, dlatego że ja na tyle znam Sokrata, że po prostu…
DZ: *To była taka zaczepka?*
MA: To była taka zaczepka. Na przykład strasznie się obrażali na Sokrata – Jan Czykwin, Halina Twaranowicz, Wiktor Szwed – gdy on mówił, że my Biełarusy chamuły, chamuty, mużyki, nam nic nie trzeba, nic nie jesteśmy warci itd. Sokrat bardzo mocno prowokował czasami, natomiast nie wszyscy tę prowokację przyjmowali z pewnym dystansem – jak tak można o samych sobie powiedzieć, to często się słyszało.
ED: *A co on miał na myśli mówiąc, że Pan klęczy?*
MA: Chodziło o *Wagon drugiej klasy*[9], który był napisany po polsku.
ED: *Chodziło zatem o język?*
DZ: *Ale on sam przecież pisał po polsku, tyle że miał ideologię. Pisał po polsku publicystykę, eseistykę, żeby Polacy coś zrozumieli, natomiast literatury nie.*
MA: *Dolina pełna losu*[10] była napisana po polsku, a to jest raczej literatura, to nie jest publicystyka.

---

[9] M. Androsiuk, *Wagon drugiej klasy*, Białystok 2010.
[10] S. Janowicz, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993.

DZ: *Ale on, co widać w wywiadach, miał świadomość, że to jest trudny wybór: albo więcej czytelników i większa szansa dotarcia z niełatwymi przecież problemami, także białoruskimi, albo krąg odbiorców zawężony do osób posługujących się językiem białoruskim.*
MA: Sokrat twierdził w ten sposób: jeśli jestem komuś ciekaw, niech mnie przekładają na inne języki.
DZ: *No i przekładali. Jest taki film o Janowiczu, zrealizowany przez Sadzińskich, który ma tytuł* Jak zostałem Białorusinem[11]*. Myśli Pan, że on rzeczywiście, tak jak sam mówi, zostawał Białorusinem? To również pytanie do Pana: czy Pan się urodził Białorusinem czy nim zostawał?*
MA: Bardziej mogę mówić o sobie, bo o Sokracie mogę powiedzieć to, co wiem od niego. Ja się urodziłem tutaj, tu się wychowałem, te pierwsze lata, i tu zawsze wiedzieliśmy, że jesteśmy jacyś inni niż, powiedzmy, pani w szkole. Języka polskiego uczyłem się mając jakieś sześć lat. Kiedy poszedłem do szkoły, już „jako tako" go znałem i potrafiłem czytać, ale tylko dlatego, że miałem starszą siostrę, która była już uczennicą i mogłem się dorwać do jej książek. Natomiast wielu moich kolegów zaczynało od podstawowych słów i niektórzy mieli problemy z językiem polskim nawet do ósmej klasy. Pojęcie narodowości było raczej mgliste. Nie jesteśmy Polakami, ale w takim razie kim jesteśmy? No, to ruscy jesteśmy. Ale tu była we wsi jedna rodzina, którą się nazywało „ruscy", dlatego że przyszli gdzieś tam, z daleka. Mężczyzna pochodził stąd, a żonę, Rosjankę, przyprowadził ze sobą z niemieckiej niewoli… Dlatego oni byli ruscy. Tam było czterech chłopców mniej więcej w moim wieku i wszystkich nazywaliśmy „ruscy chłopcy". Jak ktoś powiedział: „Gdzie idziesz?" – „Do ruskich", to było wiadomo, dokąd idzie. No ale czemu my ruscy? A oni to jacy ruscy? Ale my to inni ruscy, a oni to ruscy. I taki był z tym problem. Natomiast o tym, że jesteśmy Białorusinami, słyszałem od swojej babki, z tym, że też nie przykładała do tego wielkiej wagi. Pokazywała mi jakiś dokument wydany przez Niemców, jakiś ausweis, gdzie było napisane „Weiβrussland".
DZ: *Czyli to inni określali?*
MA: No chyba tak, chyba tak. Ojciec mówił, że jesteśmy Białorusinami, ale co to znaczy, nie było wiadomo. W zasadzie nawet nie było do czego się odnieść, nie było jakiejś konkretnej Białorusi. No istniała jakaś tam BSSR, Związek Radziecki, ale ta Białoruś to była ruska. Wszystko, co za granicą, też było ruskie, nawet dla tych naszych ludzi. „A kudy idziesz?" – „W Rassiju", na przykład. A jak się gdzieś tam jechało, nie mówiło się, że jadę na Białoruś. Moja babka, która miała siostrę tutaj zaraz za granicą, mogłaby w godzinę piechotą zajść, jechała dwie doby gdzieś tam przez Terespol, Brześć, a to raptem jest siedem kilometrów stąd. Gdzie babko jedziecie? W Biełaruś.
ED: *Chciałam jeszcze dopytać: a ta nauczycielka, ona była stąd, tylko wykształcona, ta, która chciała, żeby dzieci mówiły po polsku?*

[11] *Sokrat Janowicz – jak zostałem Białorusinem*, film Piotra i Anny Sadzińskich.

MA: Z nauczycielami było różnie. Na przykład pierwszy dyrektor szkoły, gdy chodziłem do pierwszej klasy, był gdzieś z Polski. Nazywał się Kazimierz Tałałaj, nie wiem, skąd pochodził, w każdym razie nie stąd. Moja polonistka była… nie wiem, skądś tam. Miałem szczęście, że w takiej małej szkole jak tu, w Starzynie, trafiłem na prawdziwą polonistkę.
DZ: *Co to znaczy?*
MA: Po polonistyce.
ED: *Jaki stosunek mieli nauczyciele do tej miejscowej młodzieży, mówiącej z akcentem, nie odbierał Pan jakiejś niechęci, że to jest coś złego?*
MA: Nie pamiętam nic negatywnego, chociaż mieliśmy taką nauczycielkę, która pochodziła kilka kilometrów stąd, i się dziwowała, czemu wyście nie przyszli do szkoły 7 stycznia, co to u was za święto było. Przychodzę i mówię: Tato, a pani pytała, szto to za świato. A tato mówi: To skaży joj, bladź, szto toje samo, co u was w Czuchach. To zależy od człowieka.
DZ: *Ale to ciekawe, że to właśnie nauczycielka stąd.*
ED: *To zawsze tak działa: neofici są najbardziej gorliwi.*
KSM: *W tekście o Leonie Tarasewiczu Sokrat pisze, że kiedy go poznał, Tarasewicz nie był jeszcze takim Białorusinem „na wyższym poziomie". Czy Pan też wprowadza takie rozróżnienie i czy można wskazać jakiś moment przejścia od bycia Białorusinem „tutejszym", tak go nazwijmy, do tego „na wyższym poziomie"?*
MA: Moja białoruskość się kształtowała dzięki kilku osobom. Na przykład Gienek Wappa[12], Oleg Łatyszonek[13], Gienek Mironowicz[14], Kola Wawrzeniuk[15], Jan Maksymiuk[16].
DZ: *Czyli ważny był ten ruch białoruski z Polski lat osiemdziesiątych?*
MA: Tak. No i oczywiście Sokrat. Z tym że o ile tamci to było bardziej takie kumplostwo, Sokrat był kimś w rodzaju guru: Sokrat tak powiedział, więc tak jest. Pamiętam, szokiem była, w zasadzie dla wszystkich nas, sprawa współpracy Sokrata ze służbami. Pamiętam, że dowiedziałem się o tym, gdy byłem w radiu. Akurat przygotowywałem się do jakiegoś programu, kiedy dotarła ta informacja. Bardzo mi się chciało od razu wziąć telefon i zadzwonić do Sokrata tylko po to, żeby powiedzieć „dzień dobry, jak się czujesz, czy wszystko jest ok, jak zdrowie"

---

[12] Eugeniusz Wappa (1965) – historyk, przewodniczący Związku Białoruskiego w Rzeczpospolitej Polskiej, redaktor naczelny tygodnika Białorusinów w Polsce „Niwa".

[13] Oleg Łatyszonek (1957) – historyk, profesor na Uniwersytecie w Białymstoku, przewodniczący Białoruskiego Towarzystwa Historycznego. Działał m.in. w Białoruskim Zrzeszeniu Studentów, a od 1991 r. w Białoruskim Zjednoczeniu Demokratycznym. Współtwórca Białoruskiego Radia Racja. Autor książek na temat białoruskiej tożsamości historycznej, razem z Eugeniuszem Mironowiczem napisał *Historię Białorusi od połowy XVIII do końca XX wieku* (Białystok 2002, wydanie w języku białoruskim – Białystok-Wilno 2010).

[14] Eugeniusz Mironowicz (1955) – historyk, profesor na Uniwersytecie w Białymstoku, autor książek na temat mniejszości białoruskiej w Polsce.

[15] Mikołaj Wawrzeniuk – dziennikarz TVP Białystok, w latach 1991–1997 dziennikarz „Niwy".

[16] Jan Maksymiuk (1958) – białoruski dziennikarz, eseista i tłumacz. Mieszka w Pradze, pracuje w Radiu Wolna Europa. Admirator i popularyzator języka podlaskiego, w książce *Čom ne po-svojomu?* (Białystok 2014) przedstawia własny projekt jego kodyfikacji.

itd., tylko po to, żeby być z nim, żeby go jakoś wesprzeć. Bo wiem, że w tym momencie miał ciężko. Co dziwne, nie ocenialiśmy go, nie potępialiśmy, nie ocenialiśmy źle. Może dlatego, że trudno w tym momencie postawić się na czyimś miejscu. Tyle siebie znamy, ile nas sprawdzono, jak ktoś powiedział. I zadzwoniłem. To była fajna rozmowa, rozmowa, która nie dotyczyła tematu, takie wyciągnięcie ręki.
DZ: *Pamiętam wypowiedź Sokrata na ten temat w filmie. On tam mówi jak człowiek oszukany, który wiązał z tym jakąś misję, a został oszukany, nabrany.*
MA: Bo pewnie tak było. Wyobrażam sobie, gdybym ja miał 20 lat i ktoś mnie poklepał po plecach, powiedział: słuchaj, tu trzeba ratować świat.
DZ: *Można się skusić.*
MA: Pewnie człowiek… mógłby się na to nabrać.
KSM: *Uświadomiłam sobie właśnie – to właściwie nie będzie pytanie, tylko refleksja, że Pan był już, tak pokoleniowo, w zupełnie innej sytuacji. Przypomniała mi się historia opowiadana przez Sokrata, jak będąc już w szkole średniej, w technikum, po raz pierwszy zobaczył na wystawie w antykwariacie czy księgarni książkę napisaną po białorusku i jak ogromnym to było dla niego zaskoczeniem, bo do tej pory wydawało mu się, że białoruski jest wyłącznie językiem mówionym, domowym. Nieważne, czy ta opowieść jest prawdziwa – była potrzebna jako część mitu budowanego przez Janowicza. Kiedy Pan debiutował, Pana pokolenie, to było już oczywiste, że istnieje białoruska literatura, był Sokrat. Była to też literatura uznana, a nie jakiś rodzaj ciekawostki etnograficznej.*
MA: Tak. Pamiętam, kiedy poszedłem do szkoły, od drugiej klasy mieliśmy obowiązkową naukę białoruskiego. Decydowano o tym w ten sposób, że jak ktoś jest prawosławny, to się musi uczyć białoruskiego, katolik nie musi. Zazdrościliśmy tym, którzy nie muszą, mieliśmy kilku takich kolegów; na przykład Mirek z Wieśkiem grają w piłkę, a my siedzimy na lekcji. Czy wzięli Mirek z Wieśkiem Tereskę i poszli razem do sadu, który był za szkołą, a my musimy siedzieć w klasie. Jeszcze taki dziwny nauczyciel nas uczył, którego nazywaliśmy Dzied Mazaj.
DZ: *Czyli?*
MA: Nie wiem właśnie, co to znaczy [*śmiech*]. Dzied Mazaj, który na przykład wprowadzał nam literę „ja" ze słowa „jaśli". Jakoś to doszło do dyrekcji i dyrektor pytał, dlaczego on uczy dzieci litery „ja" ze słowa „jaśli", skoro jest „jahada" na przykład, jagoda. A „jaśli" to jasełka.
DZ: *Nieprawomyślny.*
MA: Tak. Ta nauka była obowiązkowa, ale literatury białoruskiej polskiej, polskich autorów, w szkole podstawowej nie znaliśmy. Z tym zetknąłem się dopiero w szkole średniej, w liceum białoruskim w Hajnówce.
DZ: *I kto to był wtedy?*
MA: Na pewno był Aleś Barski[17]. Pamiętam spotkanie z Alesiem Barskim… Ja zawsze myślałem, że ja będę pisarzem, w szkole podstawowej. Ja już miałem plan.

[17] Aleś Barski (wł. Aleksander Barszczewski) – poeta, historyk literatury, profesor na Uniwersytecie Warszawskim.

ED: *A skąd to się wzięło, taki plan?*
MA: Nie wiem, skąd to się wzięło, może dlatego, że lubiłem czytać książki. Przeczytałem wszystkie książki w szkolnej bibliotece. Ona była dosyć solidna, bo to była szkoła „tysiąclatka", więc ładnie wyposażona. Przeczytałem wszystkie książki i pamiętam, że na koniec wypożyczyłem coś o uprawie buraków, bo już nie było czego czytać. Dlatego pomyślałem, że ja sobie sam będę pisać książki, bo jest ich za mało [*śmiech*]. I to pragnienie bycia pisarzem szło za mną gdzieś tak do szkoły średniej. Pamiętam, jak ważnym przeżyciem było dla mnie zobaczenie książeczki – *Żniwień słou* to się nazywało – Alesia Barskaha[18]. Człowiek wziął ją do ręki i jakby namacalnie się przekonał, że ktoś stąd może wydać książkę, więc to pragnienie bycia pisarzem wcale nie jest takie beznadziejnie głupie, że to się może stać, że to jest możliwe.
DZ: *Ale to bycie pisarzem wydawało się w Pana rozumieniu takie elitarne, prawie niemożliwe, z kręgu czystych marzeń?*
MA: W młodości morze jest do kolan, jak to mówią, czy pijanemu i more po kolenie, a pijany i młody to mniej więcej to samo. Tyle że to była taka fatamorgana, nie dało się jej dotknąć, tylko się widziało oczyma wyobraźni, a ta książka była czymś konkretnym. Później pojawiły się książki Sokrata, Wiktora Szweda i okazywało się, że można. Dzisiaj w zasadzie każdy może wydać książkę, w tamtych czasach – lata siedemdziesiąte – było troszkę trudniej, troszkę inaczej.
ED: *A Pana rodzice myśleli, że kim Pan będzie?*
MA: Pamiętam, że rodzice chcieli, żebym najlepiej był jakimś fachowcem, który coś potrafi robić. Natomiast moje zainteresowania, które ograniczały się do czytania, nie bardzo im się podobały i w końcu dostałem zakaz wypożyczania książek. Chyba w piątej klasie przytargałem do domu całą *Trylogię*, dwa tomy *Lalki* i *Faraona* i ojciec tak się wkurwił, że mi to wszystko zabrał i schował. Mówił, że trzeba się uczyć też fizyki, przyrody, biologii i różnych tam…, nie tylko książki czytać.
DZ: *Czy są Pana zdaniem jakieś tematy literatury białoruskiej tu, w Polsce, wspólne, jakieś toposy. Na przykład czytając Pana i Sokrata Janowicza można zobaczyć, że obaj piszecie o wędrówce ze wsi do miasta. U Pana to miasto może jest inne, ale jednak pozostaje to temat wspólny,* Sońka *opowiada przecież w* Białym koniu *historię mitycznego drzewa w momencie, gdy przeprowadza się z rodziną do miasteczka. Czy tak jest, czy to jakiś wspólny temat? A drugie pytanie jest takie: czy to jest taki sam temat, jak w polskiej literaturze, na przykład w prozie awansu, jak u Myśliwskiego?*
MA: Ja myślę, że ten temat jeszcze długo za nami będzie szedł, bo to jest chyba najważniejsze z wydarzeń, które stały się udziałem mojego pokolenia. Przejście ze wsi do miasta, nawet tego miasta, które jest bardzo blisko i które swoim przejściem zmieniliśmy, raczej dostosowaliśmy do własnych potrzeb, niż to miasto nas zmieniło. Myśmy bardziej zmienili to miasto niż to miasto

[18] А. Б а р с к і, *Жнівень слоў*, Беласток 1967.

zmieniło nas. U nas w Hajnówce jeszcze do dziś funkcjonuje podział mieszkańców według miejsca, z którego przyszli: ten blok to jest Kuraszewo, ten Berezewo, a tamten to jeszcze inny. W każdym razie na pewno to nas zmieniło, wyrwało z własnych korzeni. O ile jeszcze w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych to był taki krok do lepszego świata, to obecnie już niekoniecznie, pojawiają się wątpliwości, czy na pewno tak. Z kolei pokolenie naszych dzieci jest zmuszone wędrować jeszcze dalej, bo już nawet Białystok nie stwarza im takich perspektyw, które by je zadowalały, więc trzeba uciekać jeszcze dalej, gdzieś tam do Warszawy czy Brukseli.

DZ: *Tak, pisze Pan też o tym.*

KSM: *U Sokrata to jednak trochę inaczej wyglądało, tam miasto bardziej zmienia ludzi, Pan mówi, że to wy zmieniliście miasto.*

MA: Ja mówię o Hajnówce, a u niego jest o Białymstoku. Ja mówię, że myśmy zmienili Hajnówkę, jak gdyby ją kolonizując, rozbudowując, nadymając do granic możliwości, a nawet poza granice możliwości, bo okazuje się, że w Hajnówce jest 10 000 ludzi zbędnych. Miasto na skraju puszczy nie potrzebuje 20 000 mieszkańców. Natomiast Sokrat mówił o „wielkim mieście Białystok".

DZ: *No tak, ale też gorzko dodawał, że ci wszyscy ludzie ze wsi zajmują miejsce wymordowanych Żydów, że dzięki temu jest więcej miejsca, nie trzeba go tworzyć od nowa.*

MA: W Polsce (to dotyczy nie tylko Białorusinów) chyba nie bardzo zdajemy sobie sprawę z tego, że Holokaust jak gdyby oczyścił pole. Cała sfera usług, drobnego handlu, którym zajmowali się Żydzi, została po wojnie do zagospodarowania. O tym się nie mówi.

DZ: *Właśnie to mam na myśli – przejście ze wsi do miasta, czy to jest ten sam temat w literaturze polskich Białorusinów i w ogóle w literaturze polskiej czy też ma on inną wagę w przypadku Pańskiego pokolenia, pokolenia Janowicza. Czy da się Janowicza, Androsiuka czytać razem z Myśliwskim? Czy to będzie wtedy o tym samym problemie?*

ED: *To też trochę takie pytanie o to, czy Białorusin może nie być chłopem? Czy to jednak jest taka kwintesencja białoruskości.*

DZ: *Chodzi o to, że u Sokrata jest też wyraźnie tak, że kiedy on przyjeżdża do Białegostoku, to się dowiaduje, że jest Białorusinem, że to nie jest wyłącznie sprawa awansu społecznego, tylko ważny moment w uświadamianiu sobie, kim jestem. W Pana wypadku już jest inaczej, bo Pan mówi, że to nie stało się wtedy, kiedy Pan pojechał do Hajnówki, do szkoły średniej, bo już w domu było inaczej. Wydaje mi się, że jednak w przypadku Białorusinów nie chodzi tylko o problemy społeczne, o tak zwany awans, cywilizację.*

ED: *Może to jest bardziej pytanie do nas, jako literaturoznawczyń, niż do Pana.*

MA: Ja myślę, że na pewno bliżej Myśliwskiego jest Sokrat niż ja. Ja znajomość z Myśliwskim zakończyłem na *Pałacu* i później nic chyba więcej nie czytałem, *Kamień na kamieniu*.

DZ: *To może porozmawiajmy o granicy.*

ED: *Z Ruskimi?*
DZ: *Z Ruskimi.*
MA: A o samogonce nic?
ED: *Nie ma białoruskości bez samogonki* [*śmiech*].
DZ: *Słuchajcie, ja cały czas mam wrażenie, że my nic nie rozumiemy z tej białoruskości.*
KSM: *No ale zobacz, jaka interesująca rozmowa z tego nierozumienia wychodzi.*
DZ: *Ale to tylko w rozmowach się okazuje, przede wszystkim w rozmowach…*
ED: *I słonina… O, matko!*
MA: [*Pan Michał przynosi wódkę, słoninę, kiełbasę i grzybki*] To jest czar puszczy wszystko.
DZ: *Jeszcze powinna być cebula.*
KSM: *Właśnie, bez cebuli się nie da.*
MA: Cebulka jest, w ogrodzie.
DZ: *Ale niech Pan nie opowiada, widzieliśmy, jeszcze nie wyrosła.*
MA: Ale szczypior jest.
DZ: *Jak Pan tak już kroi tę słoninę, to ja bym chciała zapytać o dziennikarkę, czym ona dla Pana jest. Bo Sokrat powiada w wywiadach…*
MA: Że dziennikarstwo zabija literaturę?
DZ: *Nie, on tam mówi, że dla niego praca w „Niwie" to była szkoła języka, że on się tam nauczył pisać po białorusku i właśnie tam się stał tłumaczem tekstów polskich na białoruski, bo nie wszyscy znali pisany białoruski. On był pierwszym pisarzem białoruskim w „Niwie". A czym dla Pana jest dziennikarstwo? Co Pan myśli o tym „stwarzaniu się" w gazetach?*
MA: [*Pan Michał rozstawia kieliszki*] I to nie ma „nie budu, nie chaczu"…
DZ: *Tak, i „Boh trojcu lubi", to nie na jednym się skończy…*
KSM: *To ja wolę po polsku, „na drugą nóżkę".*
DZ: *Nie mamy wprawy w tej robocie.*
ED: *To jest lepsze niż pisanie.*
DZ: *Panie Michale, tak poza protokołem chciałam zapytać, czy to nie są katolickie obrazy, np. ta „Ostatnia Wieczerza"?*
MA: Być może, że są. To jest wszelka zbieranina, nikt się na tym kiedyś nie znał, przychodzili ludzie, którzy sprzedawali, a matka, babka: „a, światy obrazek, to bierzem".
DZ: *Moja babcia na Lubelszczyźnie też ma prawosławną ikonę.*
MA: Baciuszka kiedyś chodził i mówił, że to są katolickie obrazy, a babka mówi: „są, no to są, co ja z nimi zrobię, wyrzucę?" [*po chwili*] Chciałem się pochwalić: tegoroczne grzybki.
ED: *Nie, no niech Pan nie otwiera, a na zimę?*
MA: Do zimy to jeszcze… [*Pan Michał kroi chleb na leżących na stole książkach Sokrata*] Na Sokracie chleba nie kroił nikt.
DZ: *Ale to jest gest dopiero, chleb kroić na Sokracie. Naprawdę ważny. Ale miało być o dziennikarstwie, jak się ma do pisania. To jest chyba ważny element biografii pisarzy tutaj w regionie, nie tylko białoruskich, np. Kazanecki, Redliński.*

MA: Myślę, że powód jest prozaiczny: trzeba jakoś pieniądze zarobić na życie.
DZ: *No właśnie, bo to też taki trochę wolny zawód, można w miarę swobodnie dysponować czasem.*
MA: Zdarzają się literaci wśród nauczycieli, a szczególnie poeci, bo poezja potrzebuje mniej czasu, można poezję tworzyć z doskoku, tak przy okazji. Natomiast że dziennikarstwo zabija literaturę – słyszałem taką tezę – i coś w tym jest. Na przykład kiedy pracowałem w radiu na co dzień, w ogóle nie mogłem pisać, ponieważ produkowałem codziennie masę jakichś tekścików, komunikatów radiowych, które sam czytałem, gdzie musi być pięć prostych słów, dlatego że słuchacz słyszy tekst raz, nie ma możliwości powrotu do niego, musi zrozumieć za pierwszym razem. Takie najprostsze teksty się pisało i później rzeczywiście był pewien problem, żeby przejść do pisania literackiego.
DZ: *Ale u Janowicza widać ten związek z prasą – jego proza ma taki trochę reporterski charakter, można w niej dostrzec zmysł obserwacyjny, otwarcie na przemiany świata, aktualność. Inna jest w okresie stanu wojennego, inna wcześniej. Wydaje mi się, że u Pana też tak jest, również widać dużo reporterskiego konkretu, z którego potem Pan buduje przypowieści. Może więc ta dziennikarka nie tylko przeszkadza, ale i pomaga?*
MA: Trudno mi powiedzieć, robię pewne rzeczy machinalnie, podświadomie. Kochałem się kiedyś w prozie, zresztą nie tylko w prozie, Tadeusza Nowaka.
DZ: *Właśnie o to też chciałam Pana pytać: co z polskiej literatury, a co z białoruskiej jest dla Pana ważne?*
MA: Czułem taką więź, nie wiem, sympatię, do wiejskości Nowaka. Do tej wsi… jak to powiedzieć? Gęstej, skondensowanej, wręcz dusznej, którą pamiętam jak przez mgłę, bo ta moja wieś już była taka bardziej… przewietrzona, ludzie już się stąd wynieśli, zaczęli uciekać. Nieco tej dawnej atmosfery jednak jeszcze zdążyłem zaznać. Twórczość Nowaka zatem to było coś, co mnie jako pierwsze w polskiej literaturze najbardziej „chwyciło".
DZ: *A Pilot? Marian Pilot?*
MA: Nie. Później był Gałczyński, ale to zachwyt nad jego takim… fiuu, mam was wszystkich gdzieś.
DZ: *No a na przykład Redliński też pisze o takiej „gęstej" wsi? Czy to jest to samo?*
MA: Ja nie wiem, na ile wieś Redlińskiego jest autentyczna. Wydaje mi się, że to zostało zbudowane troszkę na zasadzie stereotypu. Przynajmniej ja już takiej podlaskiej wsi nie pamiętam, choć żyłem w czasie, kiedy powstała *Konopielka*, a przecież my tu awangardą nie jesteśmy [*śmiech*].
DZ: *To prawda, to tutaj, jeżeli już gdzieś, powinna się dziać* Konopielka.
MA: Jeżeli tu już w latach siedemdziesiątych nie było „Konopielki", to trudno mi uwierzyć, że ona istniała gdzieś tam bliżej Białegostoku.
DZ: *Są prace, które mówią o tym, że jest to po prostu bardzo literackie. Czy jest możliwe, żeby Pan uciekł się do takiego zabiegu?*
MA: Ale wieś w literaturze mnie mniej interesuje, bardziej miasteczko.

DZ: *Sokrat też tak mówił, że wiejski rodowód białoruskości to stereotyp, a tak naprawdę to jest lud miejski; z Połocka go wywodził, jeszcze z dawnych czasów, ruskich, staroruskich.*
KSM: *A które teksty Sokrata Pan najbardziej lubi?*
MA: „Sokratki", *Rozmowa z maci* na przykład. Takie cudne rzeczy, na które składa się praktycznie kilka wersów, a jest w nich „to coś". *Dolinę pełną losu* lubię. Czytając to, jeszcze widzę moje pokolenie, które w latach siedemdziesiątych emigrowało do miasta, chociażby do Hajnówki, dostrzegam pewne analogie.
ED: *A są w ogóle takie teksty Sokrata, których Pan nie lubi?*
MA: Niespecjalnie lubię powieść *Ściana*[19]. Tak sobie, powiedzmy.
DZ: *A* Samosiej*? To jest taka z 1981 roku.*
MA: Chyba pierwsza?
DZ: *Wydaje mi się, że ona jest zupełnie inna. Tam też mamy wciąż wyjazd ze wsi do miasta, ale on jest taki niepokojący, ponieważ nie wiadomo, gdzie znajduje się to właściwe miejsce.*
MA: *Ściana* jest taka bardzo… nie wiem, nie potrafię tego nazwać, nie jestem krytykiem literackim, ale mam wrażenie pewnej mechaniczności.
DZ: *Tak, tak samo jest w* Samosieju*, rodzaj wahadła: wieś-miasto, wieś-miasto i nie wiadomo, gdzie ono się zatrzyma.*
MA: Nie sądzę, że jeszcze kiedykolwiek zjawi się nam osobowość, którą można by było położyć na jednej szali z Sokratem. Sokrat był pisarzem – różnie go można oceniać jako pisarza (najbardziej to ocenia czas) – ale przede wszystkim był instytucją. Był osobowością, był takim ambasadorem naszego Podlasia. Pamiętam, jak się wpatrywaliśmy w telewizor, ja, cała moja rodzina, moi znajomi, gdy Sokrat – od Kwaśniewskiego chyba – odbierał nagrodę Drawicza. Ten Sokrat, o tu, którego znamy, jest tam, w Warszawie, patrzy na niego cała Polska i oto cała Polska słyszy, że w Polsce są jacyś Białorusini, dzięki Sokratowi. W ciągu jednej godziny ludzie, tacy zwykli, którzy nie są zainteresowani tym tematem, pewnie więcej się dowiedzieli o Białorusinach, niż przez całe swoje życie.
ED: *No a taka historia, jak w* Białoruś, Białoruś[20], *która jest opowiadana dla nie Białorusinów, dla Polaków, czy Pan się z nią identyfikuje? Czy gdyby Pan miał sam tego typu opowieść stworzyć, czy byłaby taka sama, podobna?*
MA: Nie, nie potrafiłbym tak napisać.
ED: *A czy nie wydaje się Panu, że to jest trochę sztuczne?*
MA: Ojejku, a cała *Trylogia* Sienkiewicza nie jest sztuczna? Jest ku pokrzepieniu serc. Sokrat też coś takiego zrobił, taki był cel tego.
ED: *Tak, tylko czy Pan akceptuje takie intencje, czy wydaje się Panu, że Sokrat jednak trochę przesadził? Że, mimo zbożnego celu, jest to niemal irytujące?*
MA: Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. W ogóle, całą literaturę odbieram w bardzo prosty sposób, przyjmując najprostsze kryteria: albo mi się podoba, albo nie.

---

[19] S. J a n o w i c z, *Ściana*, przeł. J. Plutowicz, Olsztyn-Białystok 1979; С. Я н о в і ч, *Сцяна. Раман, апавяданні*, Мінск 1997.
[20] S. J a n o w i c z, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987.

DZ: *A nie: prawda – nieprawda?*
MA: W zasadzie wszystko może być prawdą.
DZ: *No ale u Sokrata tak jest, że prawda ma być, nawet najgorsza, a nie bajki, tak mi się wydaje.*
MA: Nie, Sokrat miał czasem skłonności do, powiedzmy, konfabulacji, chociażby wyprowadzanie nazwiska „Janowicz" z germańskich korzeni.
DZ: *No tak, to też było mu potrzebne, żeby to nie było wiejskie, tylko jakiś zeslawizowany Skandynaw czy Norman.*
KSM: *To taka świadoma mitologizacja, on dobrze wiedział, co robi, kiedy pisał na przykład* Białoruś, Białoruś.
ED: *Tak, wiem, tylko ciekawa jestem, jak Pan to odbiera.*
MA: Jest takie powiedzenie: miłość ci wszystko wybaczy. Ja nie mówię o jakiejś miłości do Sokrata, ale o rodzaju bliskości. Dobrze się znaliśmy i rozumieliśmy. Istniała między nami na tyle bliska więź, że potrafiliśmy kpić jeden z drugiego. Chociaż ja byłem jak gdyby ten „brat młodszy", Sokrat się na mnie nie gniewał, gdy go szczypałem. Zresztą on mnie szczypał też. „A ty Andrasiuk szto, mużyk u horad pryszou, o jakie kałdunisko nażyu". Gdyby kto inny to powiedział, to pewnie bym się obraził czy zezłościł, natomiast Sokratowi było wolno. Sokrat na przykład bardzo się lubił spóźniać na wszelkie spotkania, seminaria szczególnie. Mieliśmy seminarium literackie w Białowieży, które się odbywa cyklicznie, dwa razy w roku, i to już była norma, że Sokrat przychodzi ostatni. Bo wtedy miał „wejście". Czykwin czasami się wkurzał.
DZ: *A jakie było jego miejsce w grupie „Białowieża"*[21]*?*
MA: W pewnym momencie Sokrat pozostawał troszkę z boku, ale z własnej woli. Był, pamiętam, gdzieś tak w początku lat dwutysięcznych, członkiem zarządu, ale jego udział miał raczej symboliczny charakter. Natomiast Sokrat lubił zabrać głos i powiedzieć coś zupełnie innego niż dotychczas było mówione. W ostatnich latach rzadko pojawiał się na tych seminariach, miał problemy ze zdrowiem, nie zawsze już był na siłach dojechać do Białegostoku. Ale chyba jeszcze w 2012 roku, pamiętam, staliśmy na schodach uniwersyteckich, paliliśmy papieros za papierosem i Sokrat mówi: *„ale* ż ty *kurysz*". [*śmiech*]
DZ: *Ja pamiętam, jak Bogdanowi Dudce*[22] *mówił, żeby się nie marnował i nie pił tyle.*
MA: Nie widziałem tej nowej książki[23] Bogdana.
DZ: *To jest książka dwujęzyczna, gdzie teksty pisane po polsku zostały przetłumaczone na białoruski i uzupełnione fotografiami. Można pomyśleć, że już przyszedł taki etap, że białoruski jest modny, że opłaca się przekładać na białoruski, że literatura pogranicza wymaga komponentu białoruskiego. Bogdan napisał swoje wiersze po polsku, przełożyła je Mira Łuksza, a na pytanie, dlaczego podjął*

[21] Białoruskie Stowarzyszenie Literackie.
[22] Bogdan Dudko (1968) – współzałożyciel i redaktor naczelny Pisma Literacko-Artystycznego „Kartki", ukazującego się w Białymstoku latach 1986–2006.
[23] B. Dudko, *Dolina – znad Narwi i Świsłoczy. Даліна – з-над Нарвы і Свіслачы*, tł. na j. biał. M. Łuksza, Białystok 2014.

taką decyzję, odpowiada: no bo przecież tutaj ludzie mówią w tych dwóch językach i tak powinno być, że żeby do nich mówić, właśnie tak. Wydaje mi się, że to jest bardzo znaczący gest. Nie sądzi Pan, że coś się zmienia, że jest jakaś moda na białoruskość?

MA: „Moda" to chyba za duże słowo. Natomiast Bogdan Dudko – jako Bogdan – jego, w dobrym znaczeniu, wypady w stronę białoruskości, to nie jest nic nowego. Pamiętam, dosyć dawno jeden z numerów „Kartek"[24] był poświęcony literaturze białoruskiej.

DZ: *Czyli to jest jaskółka, która wiosny nie czyni?*

MA: Ja myślę, że to wybór Bogdana, natomiast to nie jest szersze zjawisko i czy takich „Bogdanów" będzie więcej – obawiam się, że nie.

DZ: *Nawet nie chodzi mi o to, że to jest szersze zjawisko, tylko być może pewna cezura, że białoruskość staje rodzajem mody literackiej. Wydaje mi się jeszcze, kiedy Pan mówił o tej dumie przed telewizorem, kiedy Sokrat był odznaczany...*

MA: Wie Pani, ważne jest jeszcze, że nie było wtedy żadnej zawiści, która czasem przecież pojawia się nawet wbrew naszej woli. A w tym momencie ja na przykład nie odczuwałem żadnej zawiści, nie zadawałem sobie pytania: czemu to nie ja.

ED: *Jest też taki stereotyp odnoszący się do chłopów, że są wyjątkowo zawistni – tak przynajmniej czytałam.*

MA: No tak, zawiść stanowi odmianę zazdrości, tylko zazdrość jest jakoś uwarunkowana: gdyby nie ty, to może ja. A zawiść wydaje się bardziej bezinteresowna.

DZ: *Sądzę – wracając do tej dumy – że Podlasie również zyskało, że nie chodzi tylko o mniejszość białoruską. Podlasie zyskało jakąś tożsamość, jakąś twarz w osobie Janowicza, tylko nie wiem, czy to jest twarz powszechnie akceptowana, wspólna. Ja bym chciała, żeby ona była wspólna.*

MA: A dlaczego nie wspólna?

DZ: *Bo na przykład pojawiają się głosy, że pisarzom białoruskim było łatwiej, w okresie PRL-u zwłaszcza. To oczywiście są głosy ze strony środowiska, które się identyfikuje z literaturą polską czy z katolicyzmem.*

MA: Na przykład jednym z powodów, dla którego napisałem po polsku *Wagon drugiej klasy* była chęć przekonania się, może niezupełnie udowodnienia komuś, ale jakby upewnienia się w tym, że ja coś potrafię: napisać książkę po polsku. No bo wiadomo, że po białorusku to każdy potrafi napisać książkę [*śmiech*]. Ale po polsku napisać książkę, to już jest coś.

ED: *Chyba też chodzi o to, że w języku białoruskim jest mniejsza konkurencja i ktokolwiek coś napisze, jest mile witany.*

MA: Można to tak rozumieć. Patrzę na to, co publikuje „Białowieża" i niektóre książki wychodzą jak gdyby na wyrost: wydajmy, może coś z niego będzie.

DZ: *Ale co Pan sądzi o tym, że literatura białoruska, jakby o niej nie mówić, nadaje twarz temu regionowi, jest ważna dla jego tożsamości. My przynajmniej, w krajowym*

[24] „Kartki" 1997, nr 1.

środowisku naukowym, wyraźnie się z tym spotykamy – kultura stąd kojarzy się z kulturą pogranicza polsko-białoruskiego.

MA: A wie Pani, że pierwsza książka poetycka, która wyszła w Białymstoku po wojnie, była białoruska? *Ruń*[25] – tak się nazywał zbiór wierszy. Oczywiście polska historiografia literacka bardzo niechętnie o tym mówi – albo wręcz na ten temat milczy, a tak było. Pierwsza książka poetycka w Białymstoku po wojnie wyszła w języku białoruskim, nie w polskim. Znalazło się tam 17, 19 autorów, już nie pamiętam. Chyba nawet Sokrat tam był.

DZ: *On w ogóle pisał wiersze, ja słyszałam, że był tekściarzem?*

MA: Coś tam powstało, chociaż ja osobiście nie znam żadnego wiersza Sokrata.

DZ: *Leon Tarasewicz mówił, że Sokrat był tekściarzem – pisał teksty piosenek na „Basowiszcza".*

MA: Tego nie wiem.

DZ: *No cóż, przemilczanie faktu, że pierwsza książka poetycka tutaj była białoruska można uzasadnić polityką – to był czas plebiscytów. W ogóle polityka sprawiała, że ważna część naszego dziedzictwa była pomijana. Chciałam jeszcze zapytać Pana o granicę, czym jest dla Pana? Jedna z części* Białego konia *ma taki tytuł, u Janowicza też granica pozostaje ważnym punktem, w obrębie którego wiele się dzieje, ciągle jest przekraczana tam i z powrotem, np. w* Srebrnym Jeźdźcu*. Granica nie jest w sumie u niego żadną granicą, tylko takim bardzo dynamicznym miejscem. U Pana też występuje taka granica imperatorska, Stalinowska, ale Stalin za to pokazany został dość jowialnie, chyba zgodnie z pewną konwencją: taki wujaszek Stalin.*

MA: Ja się z tą granicą już urodziłem. Dla mnie była czymś dziwnym, bardziej może tajemniczym, jakimś tabu, miejscem, którego nie można przekroczyć, bo coś za to grozi. Oczywiście jak nie można przekraczać, to się bardzo chce. Pamiętam, że jako dzieciaki chodziliśmy tak daleko, jak się dało, gdzieś tam za te słupy, bo tam jest ładniejsza poziomka.

DZ: *A były ładniejsze?*

MA: Tak się wydawało. Na przykład sad dworski był przedzielony granicą i najładniejsze jabłonie były po tamtej stronie. Ja co prawda nigdy nie trafiłem w łapy pograniczników, ale kolegom się zdarzało. Pamiętam, był taki Misza Semenczuk, tak go nazywaliśmy, parę lat starszy od mojego rocznika, od mojej klasy, który bardzo sobie chwalił, że tam pójdzie, zawiozą go do Brześcia, jak złapią, dadzą cukierków, i przywiozą do Czeremchy, tam przekażą polskim wopistom (wtedy to był WOP). A ponieważ Misza miał jakieś orzeczenie o niepełnosprawności, to ojca nie karali kolegium. Gdyby było inaczej, rodzic musiałby płacić. Chodziliśmy do tej granicy, podchodziliśmy, ale to było w zasadzie czymś normalnym. Inaczej to wyglądało z perspektywy rodziców, babki szczególnie, która, jak wspominałem, miała siostrę bardzo blisko, tuż za granicą. Oni jakoś nie mogli z tą granicą się pogodzić. Dlaczego tak jest, że ja muszę jechać dwa dni – dwoje sutok, a więc dwie doby, do siostry, tu bym poszła sobie i za godzinę

[25] *Рунь. Зборнік вершаў*, рэд. Г. Валкавыцкі, Беласток 1959.

bym była. Wizyta babki u siostry, jeszcze w latach sześćdziesiątych, pamiętam, to była wielka wyprawa, do której się szykowała cała rodzina. Trzeba było kupić to i tamto, oczywiście zdobyć jakiś paszport, którego nie miało się na co dzień, bo paszport się otrzymywało na wyjazd i trzeba go było oddać. I trzeba było tę babkę zawieźć do Witowa na dworzec, na stację, odprawić, kupić jakieś tam prezenty, bo była jakaś rodzina po tamtej stronie, i złożyć zamówienia, co z tamtej strony ma babka przywieźć. Poza babką nikt nie jeździł. Ojciec nigdy nie jeździł i matka nigdy nie jeździła, tylko babka.

DZ: *A dlaczego, nie chcieli?*

MA: Ojciec nie bardzo już miał do kogo. Babka miała siostrę. Natomiast ja jeździłem na początku lat dwutysięcznych. Pojechałem tam, na te wszystkie wioski, o których babka mi wspominała. Taka podróż sentymentalna. Pojechałem właśnie do tej wsi, gdzie mieszkała babki siostra. Wieś się nazywa Panasiuki. Pamiętam, że tam mieszkało wtedy ze czterdzieści kobiet i dwóch mężczyzn. Mężczyźni umierali o wiele wcześniej niż kobiety, przy czym część tych kobiet było przesiedlonych z Czarnobyla. Ale teraz czytałem relację kogoś, kto tam był i okazuje się, że w całej wsi zostało już może dziesięć osób, nie więcej. Znalazłem miejsce, gdzie stał dom siostry babki, Kseni, zostały tylko kamienie, które służyły jako fundament. Jej mąż był przed wojną polskim oficerem, więc oni mieli tam po prostu przesrane. Dzieci nie mieli. Pamiętam jeszcze, że kiedy ten mąż zmarł, babka chciała siostrę sprowadzić tu, do siebie, już podobno wszystko było załatwione, ale okazało się, że to jednak niemożliwe. I tak ona gdzieś tam dożywała.

DZ: *Czyli dla Pana, mimo ważności granicy, ta część za nią była już bezpowrotnie utracona?*

MA: Tak. Ja zajechałem do świata, który znam ze słyszenia. Ludzie mniej więcej podobnie rozmawiają, chociaż troszkę inaczej. Jednak te dziesięciolecia zrobiły swoje i w naszej, tutejszej białoruskiej gwarze słychać bardziej polski akcent, a tam rosyjski. Chociaż w sumie da się swobodnie rozmawiać. Tam we wsi się oczywiście zebrały kobiety, bo myślały, że to ktoś z naczalstwa – przyjechał jakiś samochód, trzy osoby wysiadły i się rozglądają, to cała wieś się zbiegła, bo to pewnie ktoś z rajkomu[26]. Ale później, jak powiedziałem, że jestem z Wojnówki, a babu Wieru, zapytałem, czy pamiętacie taką, to jej siostra, okazało się, że są osoby, które tę moją babkę pamiętały, jak przyjeżdżała. Jeszcze zaczęły wymieniać z nazwisk swoich znajomych z polskiej strony. Ale dla mnie to już był taki świat odcięty, który się nie przenika. Oni są już inni, ci ludzie. Patrzę na tych tu, moich sąsiadów, oni są inni. Są jakieś płotki, ogródki, kwiatki, a więc taka potrzeba estetyki i poczucie własności: moje jest moje, stawiam płot, dbam o to. Natomiast tam nie, tam jest ulica, płotu w zasadzie nie ma, bo nie wiadomo, do kogo to tak naprawdę należy. Na przykład stoi dom, spadło drzewo, wgniotło dach, więc pytam: co, nie ma właścicieli ten dom? Są tam, dzieci mówią, gdzieś

[26] Rajonny kamitet [komitet powiatowy].

w Mińsku, a to w Brześciu. To czemu oni nie remontują? A oni na mnie patrzą jak na głupiego – a po co? Po co to remontować, to niepotrzebne.
ED: *A jakie wieści stamtąd przywoziła babka?*
MA: Nie pamiętam, byłem zbyt mały. Pamiętam tylko cukierki. Jakoś tam żyją – na takiej zasadzie opowiadała. Nie było żadnych porównań, czy tam jest lepiej, czy gorzej, a przynajmniej nie pamiętam.
KSM: *Taka ładna historia nam się tworzy: od babci, przez Sokrata, takiego symbolicznego ojca, potem Pan. A jak ci młodzi, następni? Jak ich Pan widzi?*
MA: Tak w ogóle to moja rodzina nie pochodzi stąd. Chociaż tam na przykład, po sąsiedzku, też mieszkają Androsiuki. Okazuje się, że to zupełnie inny ród. Mój pradziadek przyszedł z Wierzchowic, Wierchowicz, tu się ożenił, i tu już dziadek mój się urodził. Natomiast jeśli chodzi o rodzinę ze strony matki, dziadek przyszedł też z Białorusi, też tu się ożenił. On pochodził z Omielańca. To było takie specyficzne terytorium, gdzie ludzie się żenili wyłącznie ponad puszczą. Nie było żadnych kontaktów z Bielskiem, w tamtą stronę, gdzie mieszkali „sztokmany", czyli niedobrzy ludzie, hardzi, honorowi, z którymi się nie ma co zadawać: my „puszczańscy" mamy się trzymać siebie. I to tak szło ponad puszczą, aż gdzieś w stronę Brześcia. I wszystko, cała ta tradycja, się później rozwaliło, jak stanęła granica.
DZ: *U Sokrata też tak jest – ktoś powiedział na ostatnim „Trialogu", chyba na zasadzie dowcipu – że jedyna strona świata, o której Sokrat nigdy nie mówi, to Rosja, że ten kierunek nie istnieje.*
MA: Coś w tym jest, rzeczywiście.
KSM: *Myślałam o pokoleniowości ogólnie, nie tylko tej rodzinnej. Co Pan sądzi o młodych Białorusinach? Ma Pan poczucie bliskości z nimi, ciągłości, więzi, tego, że oni coś kontynuują, czy to już zupełnie inni ludzie?*
MA: Jest jakaś grupa. Nie mówiłbym nawet o pokoleniu, raczej pewna grupa w tym pokoleniu, która w jakiś sposób została „trafiona" białoruskością – poprzez kolegów, rodzinę, szkołę. Ale to jest jakaś część. Ja się uczyłem w Hajnówce w liceum, w tak zwanym „białorusie", i pamiętam, że po polsku rozmawialiśmy wyłącznie na lekcjach, natomiast na przerwach tylko pa swojemy. Zdarzało się nawet, że kiedy my, jako pierwszaki, zaczynaliśmy „rżnąć Polaków", panów polskich, to nas starsi chłopcy kopali, za przeproszeniem, w dupę: co się wygłupiasz. Natomiast teraz jak się zachodzi do tej szkoły, to tam absolutnie, w stu procentach jest polskojęzyczna młodzież, która po białorusku rozmawia tylko na lekcjach języka białoruskiego. Więc to się wszystko odwróciło. Rzeczywiście, wśród młodych ludzi jest jakaś moda na białoruskość, na przykład moda na kultywowanie folkloru, ale takiego na wyższym poziomie, nie to, co proponuje Syczewski – festyny ludowe – tylko coś więcej. Oczywiście „Basowiszcza" też zrobiło swoje, bo przez tyle lat wychowało się całe pokolenie, mamy ciągłość pokoleń. To chyba jedyna białoruska impreza, która nie utraciła ciągłości – obecnie robią „Basowiszcza" dzieci inicjatorów festiwalu.
DZ: *Teraz robi to Villa Sokrates chyba?*

MA: Organizacyjnie jest jakoś zaangażowana, bo przedtem jedynym organizatorem był BAS, a teraz pojawiły się jakieś względy finansowe, nie wiem dokładnie, jakieś Pogotowie Kulturalne tam działało.
DZ: *Być może oznacza to, że „Basowiszcza" zyskało inną rangę, zauważono, że jest nośnikiem ważnego przekazu.*
MA: Może tak, może „Basowiszcza" potrzebowało jakiegoś profesjonalnego organizatora, bo to robili studenci bardziej na zasadzie wolontariatu.
DZ: *Ostatnio przyszła studentka i zapytała, czy może przygotować na egzamin z romantyzmu prezentację na temat: Jan Czeczot w polskiej literaturze, w opracowaniach, i w białoruskiej. Zgłosiła się sama, nawet takiego tematu nie było na liście propozycji. Traktuję to jako pewien znak, że, po pierwsze, wolno takie tematy zgłaszać i, po drugie, że dla niej ta kwestia okazała się ważna, i że w ogóle jest możliwe zobaczenie tego z drugiej strony, zwłaszcza że to romantyzm, czyli tradycja jakby stricte polska, centralna, kluczowa dla polskiej mentalności, kultury. Wydaje mi się zatem, że jakiś postęp w uświadamianiu sobie białoruskości się dokonał. Pan powiedział w pewnym momencie, że Sokrat był pod tym względem sceptykiem, pesymistą. A Pan?*
MA: Ja w ogóle o tym nie myślę. W ogóle staram się nie myśleć o tym, co będzie potem, co będzie po nas. Ja sadzę drzewa. *Pinus aristata*, sosna oścista amerykańska, która może żyć 5 000 lat. Sądząc po jej wzroście, ma ich teraz jakieś 10, także jeszcze około 5 000 przed nią. Nie będzie mnie, nie będzie naszej Europy, naszych książek itd., a ta sosna będzie.
DZ: *Ale myśli Pan, że ona będzie pamiętała, że ją posadził Pan, pisarz polsko-białoruski?*
MA: Nie. Ale ktoś pomyśli: skąd tu się wzięła taka sosna, która jest jedyna w całej okolicy.
ED: *Nie powinno jej tu być, a jest.*
MA: Więcej takich sosen tu nie ma.

Dziękujemy za rozmowę.

Noszę w sobie testament Sokrata

Z Jerzym Chmielewskim rozmawiają
Grażyna Charytoniuk-Michiej,
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska i Danuta Zawadzka,
Białystok, 17.09.2014 r.

Danuta Zawadzka: *Proszę nam opowiedzieć o swojej wieloletniej znajomości z Sokratem Janowiczem: jak się zawiązywała, jak się spotkaliście, jak ewoluowała?*
Jerzy Chmielewski: Sokrat Janowicz był dla mnie osobą bliską niemalże od samego początku, bo już jako dziecko i w czasach młodości zetknąłem się przynajmniej z jego nazwiskiem. Nasze miejsca urodzenia i zamieszkania dzieli różnica tylko pięciu kilometrów. Ostrów Południowy to dawne przedmieście historyczne Krynek, o czym dowiedziałem się zresztą później od Sokrata, ma też równie bogatą i długą historię. Łączą nasze miejscowości też więzi rodzinne. Żona Sokrata, Pani Tatiana, pochodziła z rodziny Chomczyków z mojego Ostrowia. Michał Chmielewski, mój daleki kuzyn, redaktor „Niwy", wyswatał Tanię z Sokratem. Potem, raczej w szkole średniej, kiedy uczyłem się w technikum elektrycznym, sięgnąłem po książki Sokrata Janowicza.
DZ: *Czy w tym samym technikum elektrycznym uczył się Sokrat?*
JCH: Tak. Z tym że Pan Sokrat uczył się w innym miejscu.
DZ: *Na Sosnowej?*
JCH: Na Sosnowej, a ja na Grottgera, teraz szkoła mieści się na Tysiąclecia Państwa Polskiego. Pamiętam, pierwsza książka, którą przeczytałem, to były *Zahony*. Byłem wtedy młody, bardziej odczuwałem, niż pojmowałem świat i nawet nie uczyłem się języka białoruskiego. W naszej szkole w Ostrowiu w latach siedemdziesiątych zlikwidowano język białoruski, więc nie miałem przyjemności uczęszczać na te zajęcia. Mówić po białorusku nie musiałem się uczyć, bo mój język rodzinny to białoruski, język prosty zbliżony do literackiego białoruskiego. A czytać i pisać nauczyłem się z „Niwy", bo „Niwa" była zawsze w naszym domu, listonosz przynosił, czekaliśmy na nią. Czytałem ją jako uczeń. Na jej łamach był przecież obecny Pan Sokrat Janowicz. *Zahony* zapamiętałem, można powiedzieć, na całe życie, ten koloryt i taka oryginalna forma tych opowiadań-miniatur, które później określono jako „sokratki". Były dla mnie pewnym odkryciem, ja to smakowałem i do dzisiaj

często wracam do tych opowiadań, które opisują świat także mego dzieciństwa, świat moich rodziców, tę moją małą ojczyznę białoruską koło Krynek. Zanim osobiście zetknąłem się z Panem Sokratem, często go widywałem. Pamiętam obrazki, jak wysiadał z Panią Tatianą z autobusu PKS w Krynkach, jak szedł z przystanku w stronę Sokólskiej, zaglądał do kiosku, kupował tam i rozmawiał po białorusku. On zawsze tylko po białorusku. Chociaż Krynki wtedy całe po białorusku mówiły. Później to się zmieniło, niestety.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *A kiedy zetknęliście się osobiście?*

JCH: Jako uczeń technikum elektrycznego, chyba w trzeciej klasie, byłem świadkiem dosyć burzliwych czasów, czasów pierwszej „Solidarności". Były to czasy ożywione także na polu białoruskim. Ja jako prawosławny (wtedy lekcji religii w szkołach nie było), chodziłem do świetlicy na Lipowej przy Soborze na zajęcia pozalekcyjne, pozaliturgiczne. Któregoś razu na tablicy ogłoszeń przeczytałem, że będą odczyty Sokrata Janowicza na temat historii Białorusi, historii regionu. Zacząłem chodzić na te zajęcia raz w tygodniu. Ten człowiek urzekł mnie wtedy niesamowitą wiedzą. Nie znałem go od tej strony. Był dla mnie dziennikarzem, pisarzem, autorem opowiadań i takim swojskim człowiekiem. A tu w moich oczach stał się wręcz naukowcem.

DZ: *Autorytetem.*

JCH: Tak, autorytetem, bo opowiadał o takiej historii, o której nie było i nie mogło być mowy na lekcjach. Bardzo barwnie przedstawiał całą tysiącletnią historię Białorusi. Z tym, że się jąkał, ale to dodawało charakterystycznego smaku tym odczytom. Dużo ludzi przychodziło wtedy na nie. Bracia Mironowicze byli, pamiętam.

DZ: *Ile Pan miał lat?*

JCH: Osiemnaście. A już na studiach, a studiowałem na wydziale elektrycznym Politechniki Białostockiej, włączyłem się wraz z kolegami do Białoruskiego Zrzeszenia Studentów, należałem do BAS-u. Byłem nawet przewodniczącym koła uczelnianego, pod koniec lat osiemdziesiątych. Sokrat Janowicz był częstym gościem na Zwierzynieckiej w akademikach, gdzie mieszkałem. Pamiętam *atrasiny*, czyli otrzęsiny studentów białoruskich, na które przybył wraz z żoną Tatianą. Spotykaliśmy się także w siedzibie BTSK przy ul. Warszawskiej na prelekcjach w ramach działającego wówczas Klubu Inteligencji Białoruskiej. I jeszcze wybory w 1989 roku, w których Sokrat Janowicz ubiegał się o mandat senatora. Trochę udzielałem się w tej kampanii. Pamiętam, było to w parku, w maju, taki mityng wyborczy na Plantach. Występował ś.p. Krzysztof Putra, ktoś inny to prowadził, zdaje się występował Jan Pietrzak ze swym szlagierem „Żeby Polska…". Oni zachęcali do głosowania na kandydatów Komitetu Obywatelskiego. Rozdano karteczki, na których można było zgłaszać swoje uwagi i ja upomniałem się o informację, że z naszego regionu startuje Sokrat Janowicz na senatora, a Eugeniusz Mironowicz na posła. Tę karteczkę odczytano. Wtedy Krzysztof Putra bardzo ciepło wyraził się o Sokracie Janowiczu. Mówił, że to jest antykomunista. Wówczas była modna taka retoryka.

DZ: *To było ważne być antykomunistą – świat tak się wtedy dzielił na komunistów i antykomunistów.*
JCH: Tak. Chociaż Sokrat nigdy nie używał tego sformułowania, że jest antykomunistą. Miał swoje zdanie. Trochę inaczej się wypowiadał i opisywał tamtą rzeczywistość polityczną. Ale tak wtedy to politycy postrzegali. Zauważyłem, że Sokrat Janowicz jest autorytetem nie tylko w swoim środowisku. Przekonałem się o tym jeszcze bardziej, kiedy spotykaliśmy się z Sokratem na różnych wyjazdach z wieloma osobistościami, na przykład z Jackiem Kuroniem.
DZ: *Chciałabym jeszcze dopytać o okres około 1989 r. Sokrat wówczas startował w wyborach, ale nie dostał się do Senatu. Jak Pan sądzi, czy to był ważny czas dla relacji polsko-białoruskich?*
JCH: Uważam, że to była stracona szansa w naszych relacjach, bo wtedy mniejszość ukraińska wprowadziła swego posła. Został nim Włodzimierz Mokry. W Białymstoku się nie udało, bo Białystok zablokował Sokrata Janowicza.
DZ: *Jednak, mimo na przykład tej przychylnej wypowiedzi Putry? Mówi Pan tu o Polakach?*
JCH: Jacek Kuroń i warszawskie środowisko opozycyjne nalegało na białostocką „Solidarność", aby Sokrata wystawić na liście Komitetu Obywatelskiego. A oni stanęli okoniem i powiedzieli, że w żadnym wypadku się nie zgodzą. Nawet był taki incydent, że w ramach tej kampanii wydrukowano solidarnościowe ulotki po ukraińsku, po białorusku. Sokrat je tłumaczył, wiem, że miał na to bardzo mało czasu. Przez jedną noc to przetłumaczył. Wydano te ulotki w Warszawie w jakimś oszałamiającym nakładzie i przywieziono je do Białegostoku, do Sokrata, do BTSK, bo tam się spotykaliśmy, i oczywiście do Komitetu Obywatelskiego, na Świętojańskiej. Potem się dowiedzieliśmy, że palacz w ciągu jednej nocy je wszystkie spalił. Do dziś je przechowuję.
DZ: *Pytam o ten trudny moment. W materiałach do książki pojawia się myśl, że wtedy coś ważnego się stało w relacjach polsko-białoruskich. Ale są też takie głosy, że te stosunki zaogniły się po obu stronach – ukazywały się antypolskie białoruskie broszury, utwór atakujący papieża. Mówi o tym w wywiadzie Jan Leończuk, który był wtedy blisko i tych wydarzeń, i Sokrata – że ożywiły się emocje po obu stronach i to doprowadziło do nieporozumień.*
JCH: Według mnie te antagonizmy istniały, ale w okolicach roku 1989 nie były one już takie znaczące. Trzeba raczej mówić o roku 1981, 1980. Chodzi raczej o tamten okres. Ale tu też są różne interpretacje. Pojawiają się głosy, że mogło to być wynikiem prowokacji służb. Pamiętam, kiedy studiowałem, nie było żadnych problemów na tle narodowościowym. Okres drugiej „Solidarności" był jeszcze bardziej przyjazny w naszych relacjach.
DZ: *Ale jednak wybory były blokowane.*
JCH: Sokrat wielokrotnie to tłumaczył. Nie mogło być inaczej, bo istnieje zbyt wiele zaszłości. Jeśli pojawiają się emocje, to i demony się ożywiają. Także rany powojenne się nie zabliźniły – kiedy tu mordowano Białorusinów pod przykrywką, szyldem Armii Krajowej. A robili to zwykli bandyci. I to się nie zabliźniło.

DZ: *Tak, Polacy by przypomnieli inne fakty i tak można by w nieskończoność. Ale szansa była i została ona stracona.*
JCH: Nie mówię, że środowisko nasze, białoruskie jest do końca czyste. Różne sytuacje się w życiu zdarzają, ale my jesteśmy mniejszością.
DZ: *Sokrat mówił – tak jak młodszy brat.*
JCH: Tak, albo, jak powiadał, stosunek większości do mniejszości pokazuje, jaka ta większość jest. Dzisiaj przyznaje się rację Sokratowi, że to była stracona szansa.
DZ: *Ja też tak sądzę. Chodzi o to, żeby zrozumieć, jak to się stało. Wróćmy do historii znajomości Panów, którą przerwaliśmy na roku 1989.*
JCH: W 1990 roku wydaliśmy dwa pierwsze numery „Czasopisu", sygnalne, jednorazowe. Nikt wtedy nie przewidywał, że to pismo będzie się ukazywało później, do dzisiaj. I Sokrat Janowicz od razu się włączył. „Czasopis" był dwujęzyczny, pojawił się w nim język polski.
DZ: *Dlaczego?*
JCH: Nam zależało, żeby dotrzeć nie tylko do Białorusinów, ale też do Polaków i do Białorusinów polskojęzycznych, którzy już języka białoruskiego nie znają. Zresztą język białoruski do dzisiaj ma mniejszą siłę przekazu, Sokrat Janowicz też to uświadamiał. Przyłączył się do nas, poparł tę inicjatywę, uznał ją za ważną. Pojawiła się nowa jakość w naszym środowisku, czyli młodzi ludzie. To było też pewnym zaskoczeniem dla starszego pokolenia. Ś.p. Mikołaj Hajduk, nasz i Sokrata wielki przyjaciel, także „Czasopisu", trochę działacz BTSK, redaktor „Niwy", mówił: „Juraczka, my nie dumali, szto tak budzie, my byli upeunieny, szto paśla nas niczoha nie budzie. Kaniec." A tutaj i „Czasopis", i BAS, i „Basowiszcza". Sokrat Janowicz systematycznie publikował u nas teksty publicystyczne i literackie. Z pierwszych numerów pamiętam genialną powieść *Dolina pełna losu*, która ukazywała się w odcinkach. Było to pisane na zamówienie białostockiego wydawnictwa, ale trafiło do „Czasopisu".
Grażyna Charytoniuk-Michiej: *Jak to się stało?*
JCh: Wtedy to już zaczął się „krwiożerczy" kapitalizm, po prostu oszukano Sokrata. Było takie wydawnictwo „Versus", bodajże Dariusza Boguckiego, od którego otrzymał zamówienie. Podpisano umowę, ale nic nie zapłacili. Wydawnictwo zbankrutowało, to był początek lat dziewięćdziesiątych, 1992, może 1993 rok. Pamiętam, wzywa go likwidator, syndyk, i mówi, że mamy pana książkę w masie upadłościowej. Może pan od nas odkupić prawa autorskie. Jak pan pokryje koszty, to my ją wydrukujemy. Sokrat bardzo się obraził. Ja z Jurkiem Kaliną, który wtedy pracował w „Czasopisie", przepisywaliśmy te odcinki. Przepisując tę książkę, wczytując się w nią dokładnie, zrozumiałem, że jest w niej niesamowity język polski, taki inny. No i bardzo ciekawe rzeczy były tam opisywane. Książeczka ta jest jedną z ważniejszych w bibliografii Sokrata Janowicza. Jest według mnie jego najlepszą polskojęzyczną książką. Oprócz późniejszej – naszego wywiadu *Nasze tysiąc lat*. W języku polskim Sokrat też był perfekcjonistą. Dzięki niemu zrozumiałem, czym jest literatura.
DZ: *Bo Pan z wykształcenia jest…?*

JCH: Z wykształcenie jestem inżynierem.
DZ: *Czym zatem jest literatura według Sokrata?*
JCH: On mówił, że literatura to nie publicystyka, dziennikarstwo. Zawsze to odróżniał. Literatura jest dla mnie wtedy, zgodnie z nauką Sokrata, tak mnie uświadamiał, gdy widać wysiłek twórczy, emocje, kiedy widać, że autor nad tym pracował, myślał. To musi smakować, to musi być estetyczne. To obraz, na który patrzymy w wyobraźni poprzez słowa i doznajemy wrażeń estetycznych. Trudno, czytając w gazecie publicystykę, odnosić takie wrażenie. Być może mnie Sokrat trochę za mocno uwrażliwił, bo kiedy szukam dla siebie książek (a często sięgam po nie w tych latach), trudno mi znaleźć tytuły, które oddziałują na mnie w ten sposób. Oczekuję, żeby literatura smakowała.
KSM: *Za dużo bylejakości...*
JCH: Tak, za dużo grafomanii. Takie czasy mamy. Być może są gdzieś perełki, ale trudno teraz je wyłapać. Moją ulubioną książką jest *Kamień na kamieniu* Wiesława Myśliwskiego. Zresztą Myśliwski to też przyjaciel Sokrata Janowicza. Kiedy był prezesem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, zlecił mu napisanie książek – powstały wtedy dwie powieści, *Ściana*, a później *Samosiej*. Dobrze się stało, bo Sokrat był wtedy w trudnej sytuacji finansowej.

Ale wracam do „Czasopisu". „Czasopis" też się zmieniał. Sokrat Janowicz cały czas był z nami. Trzeba zacząć od tego, że „Czasopis" był swego rodzaju ewenementem. Ktoś, kto nie zna kulis jego wydawania, nie uwierzy, że pismo ukazuje się, choć nie ma redakcji. Oczywiście redaktor naczelny musi być. Mieliśmy kiedyś dwa etaty: ja i Jurek Kalina. Pieniędzy ciągle brakowało. Otrzymaliśmy dotację najpierw z Ministerstwa Kultury, potem z MSWiA, wreszcie z Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji. Ona cały czas topniała. Nie pozwalała nam się rozwijać, ale mimo tego udało nam się stworzyć ważny periodyk. To zasługa w znacznej mierze Sokrata Janowicza, który zasilił nas swoimi kontaktami. Swego czasu na przykład organizowaliśmy konkurs na reportaż, w którym przewodniczącym jury był Marian Pilot.
DZ: *Czyli ważne postacie z nurtu prozy awansu chłopskiego w literaturze polskiej były blisko Sokrata – Marian Pilot, Wiesław Myśliwski. On był w tym środowisku jakoś szczególnie znany?*
JCH: Myślę, że to stereotyp, bo Sokrat Janowicz nie zgadzał się z zaliczaniem go do nurtu chłopskiego.
DZ: *Nie o to pytam. Czytałam, że on się nie zgadza i uważa, że to wielka pomyłka, bo jest z miasteczka.*
JCH: Nawet nie to. Zresztą wszelkie szufladkowanie nie jest dokładne.
DZ: *Chodziło mi tylko o to, czy on był w bliskich kontaktach z ważnymi postaciami tego nurtu w polskiej literaturze. Nie mówię, że Sokrat do niego należał.*
JCH: Tak, miał takich przyjaciół właśnie ze środowiska Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Ale przecież jego tłumaczami były znane postacie polskiej literatury – Jan Czopik, Andrzej Drawicz, Jan Huszcza, Wiktor Woroszylski, całe środowisko warszawskie.

GChM: *Odnoszę wrażenie, że Sokrat Janowicz po prostu należał do polskiego środowiska literackiego, choćby z racji przynależności do Związku Literatów Polskich czy jako prezes Klubu Literackiego ZLP. Świadczą o tym wzajemne relacje, liczne tłumaczenia literatury Janowicza na język polski.*
DZ: *Nie wątpię, ale warto ustalić, najbliżej której grupy polskiego środowiska literackiego funkcjonował.*
JCH: Zwraca się uwagę, dlaczego Warszawa. Bo w Białymstoku nie było partnerów. Sokrat zastanawiał się też, dlaczego ja. Co tu ukrywać, był najbardziej rozpoznawalnym pisarzem, nawet nie białoruskim, z Białostocczyzny, nie było nikogo innego. I do dzisiaj też nie widzę nikogo takiego, do tej roli pretenduje Karpowicz. Ale to są inne czasy. Kiedyś Bogdan Dudko w wywiadzie powiedział: „Nikt ponad Sokrata". To trochę przykre, bo Białystok zasługuje na kilku znaczących twórców, warunki dla dobrej literatury są tu sprzyjające – przede wszystkim tygiel kulturowy. Z takiej ziemi powinni wychodzić pisarze. Są przyczyny, dla których się tak nie dzieje.
DZ: *Wróćmy do historii Waszej znajomości.*
JCH: Myślę, że takim przełomowym rokiem był rok 1998. Mieliśmy w „Czasopisie" problemy finansowe, Jurek Kalina poszedł do telewizji, a ja zostałem sam. W pewnym momencie pomyślałem, że utrzymywanie redakcji pisma w Białymstoku nie jest konieczne. Zaproponowałem Sokratowi, żeby przenieść ją do Krynek, do których powrócił on w1994 roku, po czterdziestu latach zamieszkiwania w Białymstoku. Na początku się zdziwił, ale się zgodził. Po odejściu Jurka Kaliny, który był sekretarzem redakcji, zaproponowałem tę funkcję Sokratowi. On bardzo się w to zaangażował. Nie ukrywam, że chciałem też pomóc mu materialnie. To były przecież lata, w których Sokrat nie pracował, a przy tym sam musiał opłacać ubezpieczenie, składki ZUS. To był ciężki czas. Ale korzyść była obopólna. Pamiętam, Sokrat prowadził codzienną korespondencję z autorami, namawiał do pisania. Bardzo mi wtedy pomógł. Sokrat prowadził swoją rubrykę, felieton *Być sobą* (*Być saboju*). Pisał bardzo odważnie. Wielu to czytało. W jednym z felietonów akapit poświęcił powojennym zbrodniom, których dokonywano pod płaszczykiem AK. Bardzo się oburzyło środowisko kombatanckie, jak można szargać taką świętością. Po czym poseł Krzysztof Jurgiel napisał donos do ministra, wywiązała się cała awantura, żeby odebrać „Czasopisowi" dotację. Ale wtedy, dzięki Sokratowi, wstawił się za nami Czesław Miłosz, Jacek Kuroń, środowisko „Tygodnika Powszechnego"…
GChM: *Jerzy Giedroyc.*
JCH: Tak, Jerzy Giedroyc. To uratowało „Czasopis" i możemy do dziś funkcjonować. Bo wtedy, kto wie… już by nie było „Czasopisu". Pewnie wydawalibyśmy coś innego. Ten okres był czasem mojej ścisłej współpracy z Sokratem. Dojeżdżałem do Krynek, poświęcałem na to cały jeden dzień każdego tygodnia. Mieliśmy swój taki kącik w jego pracowni, stał tam komputer. Próbowałem Sokrata nauczyć korzystać z komputera, ale się nie dało. Do końca posługiwał się tradycyjną maszyną do pisania, a ja przepisywałem.

GChM: *Z decyzją zmiany miejsca redakcji z Białegostoku na Krynki nie wszyscy się zgadzali.*
JCH: Niewątpliwie stanowiło to pewne zaskoczenie, ale to była niejako wymuszona sytuacja. Poza tym kto się nie zgadzał? Ten, kto nic nie pisał do „Czasopisu". Tak to tłumaczyłem. Moi koledzy to później zrozumieli.
GChM: *Później „Czasopis" wrócił do Białegostoku...*
JCH: Ta zmiana, tak jak wspominałem, to był moment wymuszony, obiektywny. A skoro później pojawiły się nowe możliwości, sytuacja się wyprostowała, dotację zwiększono, wtedy wynajęliśmy pokój na Lipowej. I tak jest po dziś dzień. Ten okres kilku lat, dwóch czy trzech, działalności „Czasopisu" w Krynkach przerodził się w inicjatywę Villa Sokrates. Wtedy to się narodziło. I to po części moja zasługa.
GChM: *Skąd taki pomysł?*
JCH: Kiedyś z Sokratem Janowiczem pojechaliśmy do Krakowa do Villi Decjusza na konferencję, zresztą bardzo często jeździliśmy. Za to też jestem wdzięczny Sokratowi, że mogłem być razem podczas ważnych spotkań, poznać wielu ważnych ludzi.
DZ: *On Pana zabierał, ale nie tylko Pana, jak się domyślam?*
JCH: Mnie przede wszystkim, ale czasami to ja go zabierałem. Byliśmy w wielu miejscach: na Białorusi, Białostocczyźnie, w Szwecji, Warszawie, Krakowie...
DZ: *Można powiedzieć, że pełnił Pan funkcję sekretarza Sokrata Janowicza.*
JCH: Ja tak to odbieram. To nie było łatwe. Sokrat miał swój charakter. To wymagało umiejętności współżycia, łagodzenia napięć. Nikt nie jest bez błędów. Nawet różnica wieku też ma swoje znaczenie. Wracając do Villi Decjusza, w której była jakaś konferencja na temat wielokulturowości w literaturze. Pomyśleliśmy, dlaczego by nam tego nie zrobić. Powołaliśmy Stowarzyszenie Villa Sokrates. Piętnastu członków: ja, Sokrat, nasze żony, Leon Tarasewicz, trochę ludzi z Białegostoku. Taki był wymóg formalny – piętnaście osób. Wziąłem na siebie tę procedurę, zarejestrowaliśmy stowarzyszenie. W 1999 roku odbył się pierwszy „Trialog", zaczął się ukazywać „Annus Albaruthenicus". Byłem jego redaktorem, bardziej technicznym, Sokrat był merytorycznym. Dla mnie te „Trialogi" były bardzo ważne, te kilkanaście lat, zresztą o tym niejednokrotnie pisałem.
GChM, DZ: *Skąd taka nazwa, samo słowo „trialog", idea?*
JCH: To się brało od trójki, od liczby trzy. Sokrat tak o tym kiedyś mówił. Chodzi o przestrzenie geograficzne: Białoruś, Polska, Europa.
GChM: *I Rosja.*
JCH: Uczestnicy z Rosji też przyjeżdżali, tam przewinęło się około stu osób, i to niezwykłych. Byłem na każdym „Trialogu". Te biesiady literackie – bo taka nazwa funkcjonowała – były bardzo ważne. Dla mnie również, dla mojego rozwoju intelektualnego. Wszystko skrzętnie notowałem, na początku nie zabierałem głosu. Zajmowałem się raczej stroną techniczną, organizacją, rozliczaniem dotacji. Z roku na rok wchodziłem w to środowisko. Niektórzy uczestnicy przyjeżdżali niejeden raz. Zawiązały się znajomości. To byli wybitni ludzie, niektórzy z nich już nie żyją.

GChM: *Gdzie Sokrat tych ludzi wynajdywał? Jak on się z nimi kontaktował?*
JCH: Mało kto sobie uświadamia, jaki miał autorytet i z jakich powodów się nim cieszył. To jest ewenement. On przede wszystkim był obecny w literaturze i wykorzystywał te twórcze kontakty. Trochę jeździł po świecie jeszcze w poprzednim ustroju. Należał do Związku Literatów Polskich, więc tu i ówdzie bywał. Prowadził też bogatą korespondencję. Pisał do ludzi, do których miał tzw. interes intelektualny. Miał taką potrzebę. Niektórzy pisali do niego i te kontakty się rozrastały. „Trialogi" też miały taką ideę: przyjeżdżają ludzie ze świata, a po powrocie propagują to, czego w Krynkach doświadczyli, o czym się dowiedzieli. To drzewo się rozrasta. I to się sprawdziło. Bo ideą „Trialogów" Sokrata Janowicza, jak on to określał, było zadomowienie literatury, a przede wszystkim kultury białoruskiej, w Europie. Były to czasy, kiedy Europa się poszerzała. Sokrata bolało, że Białoruś jest taka konserwatywna.
DZ: *Izoluje się.*
JCH: Izoluje się, tak. A tutaj trzeba ratować kulturę, język, więc wymyślił coś takiego. Przyjeżdżali ludzie ze świata, ukazywał się „Annus", na Zachodzie, w Niemczech, we Włoszech; publikowano antologie poezji białoruskiej. W Budapeszcie mamy grono przyjaciół, na Białorusi oczywiście także.
DZ: *Czy kontakty w krajach, jakie Pan wymienił, odbywały się dzięki Białorusinom, którzy tam mieszkają, czy też były to osoby innych narodowości, które nie znały kultury białoruskiej, zapoznawały się z nią w Krynkach i potem u siebie propagowały tę ideę?*
JCH: Ci przyjaciele Sokrata z Zachodu to w większości nie Białorusini. To naukowcy, tłumacze, którzy tam się interesowali kulturą białoruską, młodzi, starsi, profesorowie, cały przekrój. Nie widzę tam Białorusinów. To byli Niemcy, Włosi, Anglicy, Węgrzy, Amerykanie i wielu Polaków, co oczywiste. Jeśli Białorusini, to raczej z Białorusi i nasi, miejscowi. Sokrat wybierał osoby życzliwe i rzeczywiście interesujące się kulturą białoruską.
DZ: *Nie chodziło chyba tylko o propagowanie literatury czy kultury białoruskiej, ale szerzej – idei otwartości na różnorodność czy na literatury mniejszości w świecie.*
JCH: Temu służyły te „Trialogi". Nie udało się uniknąć polityki, niestety.
DZ: *Dlaczego Pan mówi: „niestety"?*
JCH: Teraz o Białorusi trochę ucichło. Wtedy niemal każdego dnia ten pan z wąsami pojawiał się na czołówkach gazet.
DZ: *Mówi Pan o nim jak o Yetim – „pan z wąsami".*
JCH: Wiadomo o kogo tutaj chodzi. Pomijając ocenę polityczną, bo dzisiaj inaczej się na to patrzy, wtedy w Mińsku cały czas miały miejsce jakieś skandale. Teraz ten reżim jest trochę łagodniejszy. Ci, którzy tu przyjeżdżali, mogli spokojnie się wypowiadać, chociaż też się bali. Mówię o uczestnikach z Białorusi. Był taki pan Jerzy Waszkiewicz z Mińska, ze środowiska mniejszości polskiej na Białorusi, inteligentny człowiek. Był profesor Radzik z UMCSu w Lublinie. Kontakt się urwał. Bo te „Trialogi" nie tylko dotyczyły literatury i kultury, ale historii, sytuacji politycznej. Pojawiały się trudne, bolesne tematy. Ale Sokrat tryskał humorem, był

moderatorem, którego już nikt nie zastąpi. Po każdym „Trialogu" pisałem obszerne relacje do „Czasopisu", zapisywałem anegdoty. Było to coś wspaniałego.
DZ: *Sokrat był niezrównanym gawędziarzem. Z naszej rozmowy wynika, że on Pana wychował, że wychował sobie sekretarza, że wychował działacza i intelektualistę białoruskiego.*
JCH: No, może to za dużo powiedziane.
DZ: *Może wrócimy do roli sekretarza. Jaki był Sokrat dla kogoś, kto bardzo często i blisko z nim obcował?*
JCH: Był przede wszystkim wymagający. Był bardzo twórczy, pracowity, dużo pisał. Sytuacja materialna go do tego zmuszała. Ale też pisał książki. I do tego w zasadzie się przyczyniłem, bo zachęcałem, żeby oprócz tych chałtur do różnych redakcji napisał jedną czy drugą książkę. Za moją namową napisał wspomnienia *Nie żal prażytaha*, częściowo przetłumaczone przez Eugeniusza Kabatca na język polski. Powstał ciąg dalszy, książka *Było jak uczora*. Jako Villa Sokrates wydawaliśmy też książki różnych autorów, na przykład Alesia Czobata z Białorusi z innym spojrzeniem na historię, na rzeczywistość, na Białoruś w ogóle, na związki polsko-białoruskie. My się nie zamykaliśmy. Villi Sokrates chodziło o otwartość, żeby nie zamykać się w kręgu białoruskim. Niestety, część środowiska się zdystansowała wobec naszych poczynań. Zaczęliśmy z Sokratem tę białoruskość rozumieć bardzo szeroko, przy pomocy różnych języków i to było trochę niezrozumiałe, szokujące. Koledzy z Białegostoku patrzyli na to ze sceptycyzmem. Ale to się obroniło…
KSM: *Jakie jeszcze książki wydawaliście?*
JCh: Znajomi Sokrata, moi znajomi, starsi ludzie czasami mieli potrzebę wydać książkę, dawali pieniądze na druk, na potrzeby techniczne i wydawaliśmy. Na przykład tłumaczenie wierszy Alesia Haruna, poety białoruskiego, autorstwa doktora Zbigniewa Gajewskiego, kresowiaka. To emerytowany lekarz spod Warszawy, amator. Ale mi się jego przekład w sumie podobał. Wydaliśmy nawet erotykę, opowiadanie *Białorusinka* Marty Pińskiej. To pseudonim, autora nie będę ujawniał. Z początku nie wiedzieliśmy, kto to jest. Sokrat przysłał do mnie dyskietkę: „Jurka, pahladzi, szto heta jość". Jednak jeśli chodzi o książki, to najważniejszy był wywiad *Nasze tysiąc lat*. To był mój pomysł. Powstawały takie wywiady-rzeki pod koniec lat dziewięćdziesiątych i do dzisiaj się ukazują. Prowadziliśmy wiele rozmów z Sokratem i uznałem, że warto je uwiecznić. Jakieś nieduże pieniądze na to pozyskaliśmy i zaczęliśmy pisać. Trwało to około dwóch lat. Ja układałem pytania, Sokrat trochę mnie naprowadzał, żeby to nie było taką luźną gawędą. Musiała być rozmowa, ale pisana. To wszystko było przemyślane. Czułem obowiązek, potrzebę, aby Sokrat tę swoją wiedzę przekazał. Trzeba było zostawić historię o Białorusi, Krynkach, Ostrowiu i o całym świecie. Taki nasz punkt widzenia. Sam byłem zaskoczony, że ten człowiek potrafił logicznie skomasować taką ilość informacji. Swobodnie władał faktami historycznymi, nie korzystał z internetu, miał własną bibliotekę, dysponował ogromną wiedzą, przede wszystkim historyczną. Książka zawierała kilka rozdziałów, dotyczyła też literatury.

KSM: *Zdecydowaliście się na język polski.*
JCh: Po białorusku tego nie dało się przekazać. Był pomysł, żeby tę książkę na Białorusi przetłumaczyć. Chociaż ukazała się 15 lat temu, wszystko jest w niej nadal aktualne. Podejmowaliśmy tematy, które były ważne wtedy, także te dotyczące sytuacji politycznej na Białorusi. Pytałem o perspektywy, co będzie dalej. Wszystko się sprawdza.
KSM: *Czy myśleliście wtedy o tej książce jako o swoistej kontynuacji* Białoruś, Białoruś*, pisanej już w odmienionych warunkach politycznych, w warunkach wolności słowa?*
JCh: W pewnym sensie tak. Bardzo możliwe, że tamta książeczka stanowiła jakąś inspirację. Ale przede wszystkim napisałem ten wywiad-rzekę pod wpływem wielu lat współpracy z Sokratem. Uważałem, że powinienem to zrobić. Nie tyle uzupełnić, co na nowo ułożyć wiedzę, którą Sokrat posiada. Mam żal, że *Nasze tysiąc lat* nie dociera już do czytelników, szkoda, że młodzież tego nie czyta, że nauczyciele w Krynkach, Gródku, Bielsku, Hajnówce nie podsuwają tej książki swym uczniom.
DZ: *Tutaj wszyscy mamy jeszcze wiele do zrobienia – żeby historia regionu czy historie regionów nie były drugorzędnym tematem. Jak Pana słucham, to wydaje mi się, że* Nasze tysiąc lat *było dla Pana specjalnie ważne. Wydaje mi się, że bardzo ważny jest tutaj tytuł i fakt, że to jest po polsku.*
JCh: Po pierwsze tytuł roboczy był inny. Padło kilka propozycji. Nawet tak prowokacyjny, jak „Kto się boi Sokrata Janowicza", bo początkowo przymierzaliśmy się do wywiadu nieco na inny temat. Ostateczną wersję zaproponował Sokrat, ale to już na koniec. Bo są dwie metody: wymyśla się tytuł i pisze książkę, albo pisze się książkę, a na koniec wymyśla się tytuł.
DZ: *Częściej chyba zdarza się to drugie.*
JCh: Na początku ta książka nie była do końca zaplanowana. Przystępując do pisania, nie zakładałem, że historia okaże się w niej najważniejsza, ale tak się stało.
DZ: *Wydaje mi się, że trzeba było właśnie wyraźnie powiedzieć o istnieniu tego tysiąca białoruskich lat w polskiej historii, powiedzieć po polsku, objąć to jedną narracją.*
JCh: Wracając do tytułu – ktoś zwrócił uwagę (książka już się ukazała), że „nasze tysiąc lat" to nie jest po polsku. Powinno być „nasz tysiąc lat". Z tego powodu Sokrat całą noc nie spał. Tak go to męczyło, czy to jest po polsku. Była to zabawna sytuacja.
DZ: *Ale pokazująca, jak poprawnie chciał Sokrat pisać po polsku.*
JCh: Sokrat bardzo dbał o poprawność językową i kulturę języka polskiego. Mawiał, że dziennikarze dużo na nim zarobili. Jego wypowiedzi były nadzwyczaj poprawne językowo, nie trzeba było ich przerabiać i korygować. U niego podmiot i orzeczenie były na swoim miejscu. Wystarczyło tylko przepisać i ewentualnie skrócić. Zresztą, Sokrat mi uświadomił, że język współczesnych dysput publicznych w mediach jest bardzo ubogi.
DZ: *Ładnie to Pan nazwał, ubogi.*

JCh: Można by dosadniej. Wystarczy przeczytać pierwszy z brzegu utwór Sokrata Janowicza, nawet niekoniecznie z tej wysokiej literatury, by przekonać się, jakiego słownictwa używał.
DZ: *Lekko archaizowanego.*
JCh: Powiedziałbym – oryginalnego. Ale dzisiejsza polszczyzna zeszczuplała.
DZ: *Oczywiście, że zeszczuplała.*
JCh: I wprowadziła szereg naleciałości.
GChM: *A wielojęzyczność w „Annusie" to idea Sokrata?*
JCh: Tak. To na początku budziło kontrowersje. Idea była taka, że publikujemy teksty wygłoszone w języku białoruskim albo polskim w tłumaczeniu na jeden z języków europejskich: angielski, niemiecki, francuski. Streszczenie zamieszczamy po białorusku lub po polsku. A literaturę zachodnioeuropejską czy klasykę dajemy w języku białoruskim. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że tłumacze robili to dla Sokrata bezinteresownie, i to z wielką przyjemnością.
DZ: *Czyli literaturę światową ściągamy do białoruskości. Propagujemy ideę. Będziemy się inspirować literaturą świata.*
JCh: I tak to robiliśmy. Chodziło o to, żeby włączyć literaturę białoruską do obiegu europejskiego. A żeby to zrobić, to trzeba było literaturę europejską przybliżyć.
DZ: *Znaleźć wspólny język.*
JCh: Tak.
DZ: *Pan był z Sokratem do którego momentu?*
JCh: Do końca. Jeszcze dzień przed śmiercią byłem w Krynkach. Byłem przy łóżku w szpitalu, woziłem Sokrata swym samochodem do lekarzy. Obserwowałem, jak gaśnie. To był trudny czas… Ostatni rok przed śmiercią był bardzo trudny. Ostatni „Trialog" 2012 roku był smutny, ale rok wcześniej udało nam się zrobić benefis w Krynkach z okazji 75. urodzin Sokrata. Bardzo się w to angażowałem. Ostatnio oglądałem film, który został wówczas nakręcony. To się należało Sokratowi, był bardzo zadowolony. On zresztą lubił być doceniany w takiej formie, kiedy przyjeżdżają ludzie, politycy, przyjaciele i dziękują. Tego potrzebował.
DZ: *Taką miał definicję twórczości. W wywiadzie* Nasze tysiąc lat *mówił, że literatura zgłębia człowieka, a czyni to na osobie pisarza, więc musi być trochę ekshibicjonistyczna. Bo tam jest sam autor, który siebie obserwuje w różnych sytuacjach. Sokrata nie ma. Co teraz?*
JCh: Czuję pewną pustkę. To wszystko jest złożone. Chciałbym jeszcze coś zrobić. Noszę w sobie testament Sokrata, jakiś dług wobec niego. Mam całą naszą korespondencję. Choć to nie było daleko, pisaliśmy do siebie dla higieny psychicznej. On tak to określał. Czułem przyjemność.
DZ: *Pisał Pan odręczne listy?*
JCh: Mam brzydki charakter pisma. Nie wyrobiłem ładnego charakteru. Pisałem komputerowo, a on ręcznie, ale przeważnie na maszynie.
DZ: *Chciałby Pan te listy wydać?*
JCh: Chciałbym wybrać niektóre spośród nich, bo wiele z poruszanych tam spraw nie ujrzało światła dziennego.

DZ: *Czy mógłby Pan zdradzić, co to jest? Jakich tematów dotyczy?*
JCh: Często dotyczyło to spraw bieżących. Pisaliśmy do siebie od początku lat dziewięćdziesiątych do połowy lat dwutysięcznych, później rzadziej. Może tam nie było dodatkowej wiedzy, która byłaby jakoś ważna. Ale Sokrat opisywał świat, procesy, które wówczas zachodziły. Widać tam też jego postępujące zgorzknienie. To ważne.
DZ: *On jako świadek zmian.*
JCh: Tak, jako świadek zmian. On postrzegał rzeczywistość nie tu i teraz, a jako proces. I druga rzecz, którą jestem winny Sokratowi, to napisanie jego biografii, po polsku. Czas biegnie, ucieka. Rzecz jest ułatwiona, bo w książce *Nie żal prażytaha* on sam wiele opisuje. Nie nawiązuje do spraw związanych ze współpracą z SB, a ja znam to dokładnie i chciałbym także o tym opowiedzieć.
DZ: *To jest bardzo potrzebne.*
JCh: Trzeba, żeby w Krynkach powstało muzeum Sokrata Janowicza. Wiem, że on chciałby, żeby coś takiego działało. Ale nie martwe.
GChM: *Kiedy bywałam w domu Sokrata Janowicza już po jego śmierci, odniosłam wrażenie, że ten dom jest bardzo pusty. Jest w nim mało rzeczy Sokrata. Przecież człowiek nie mógł odejść niczego nie zostawiając. Prawie nie ma książek, nie ma dokumentów, dzienników, korespondencji, rzeczy osobistych… Jest tylko kolekcja lasek. Ale to nie one powinny być główną pamiątką po pisarzu. Bardzo mnie interesuje, gdzie są rękopisy dzienników z lat ostatnich, gdzie jest korespondencja do wydania ostatniego „Annusa" pod redakcją Sokrata Janowicza? Co się z tym stało?*
DZ: *Mogłoby to stanowić początek muzeum, o którym Pan mówił.*
JCh: Dzienniki zaczął pisać w latach siedemdziesiątych.
GChM: *Rękopisy z tamtych lat znajdują się w Mińsku i Londynie. Janowicz pisał dzienniki w zeszytach formatu A5 i A4, często wklejał wycinki prasowe dotyczące swojej osoby, jak i spraw białoruskich. Pojawia się pytanie, czy w „Termopilach" dzienniki zostały opublikowane zgodnie z oryginałem, rękopisem czy to są wybrane fragmenty?*
JCH: Nie. Do druku nie przekazywał swoich rękopiśmiennych dzienników. Traktował je jako ważne informacje, fakty dla pamięci. On po prostu dopisywał, na nowo je pisał.
DZ: *Rozwijał.*
JCh: Rozwijał, albo pomijał niektóre rzeczy.
DZ: *To bardzo interesujące: rzekome kopie dzienników* de facto *nie są kopiami. To kopie czegoś, czego zaczątkiem były dzienniki, a co potem zostało przetworzone. Dotykamy tutaj ważnej sprawy dla czytelnika. Sokrat jeden utwór drukował w wielu wersjach. One zresztą były przekładane na różne języki. Kiedy był Pan z nim blisko, czy zmieniał tekst, na przykład w czasie przekładu, albo jak drukował jakąś kolejną wersję? Czy on to modyfikował, czy wiernie drukował?*
JCh: Mówimy o dziennikach?
DZ: *Mówimy o utworach. Napotkałam informację dotyczącą* Srebrnego Jeźdźca, *że Janowicz do wydania polskiego dopisał dwie pozostałe części. Gdzieś w wywiadzie Jan Maksymiuk mówi, że Sokrat w ogóle często zmieniał swoje teksty w kolejnych wydaniach.*

JCh: To możliwe. Wiem, jak wyglądała jego praca, pisanie. Nie dość, że pisał bardzo wolno: myślał nad każdym słowem, później poprawiał, ręcznie coś tam dopisywał, kreślił, przesyłał to do przepisania na komputerze, wydawnictwo jeszcze raz redagowało. Teraz mówię o sobie: przepisywałem, coś poprawiałem, bałem się ingerować w tekst, odsyłałem mu to do Krynek do korekty. Otrzymywałem zwykle pokreślony, poprawiony egzemplarz. Trwało to długo. Podobnie było z książkami. Sokrat Janowicz tak w ogóle nie napisał dużo książek, nie pozostawił dużego dorobku literackiego. Owszem, tytułów naliczymy około trzydziestu, ale w większości utwory się powtarzają.
DZ: *To bardzo ważne zjawisko pisarskie do opisania przez literaturoznawców, oczywiście.*
JCh: Nie mówię o publicystyce, bo tego napisał bardzo dużo.
DZ: *Miał potrzebę ciągłego przetwarzania jednego tekstu, żeby nie pozostawiać tej ostatecznej wersji.*
JCh: On starał się dążyć do perfekcji.
DZ: *Gdyby Pan miał pięć minut, co najważniejszego trzeba by było o Sokracie Janowiczu powiedzieć?*
JCh: Nie da się tego powiedzieć w ciągu pięciu minut. To był człowiek sam w sobie. Niektórzy mają pretensje, że mitologizujemy albo wywyższamy Sokrata. Liczy się, co człowiek po sobie zostawia. On zostawił po sobie wielką rzecz, on sam siebie zostawił w historii. Jeśli my, potomni, nic z tym nie zrobimy, to wszystko może ulec zapomnieniu. Tego bym nie chciał.
DZ: *My robimy.*
JCh: Ja to doceniam. Po śmierci Sokrata Villa Sokrates przyjęła nieco inny kurs. Jestem pełen podziwu dla kolegów. Wiem, że Sokrat Janowicz też byłby tym usatysfakcjonowany, bo on marzył, żeby w Krynkach działy się rzeczy wielkie. I to się dzieje. Ale sama osoba Sokrata Janowicza schodzi na dalszy plan. I to mnie troszkę niepokoi. Powinienem się do tego włączyć, ale niestety mam wiele obowiązków zawodowych i rodzinnych. Zresztą Sokrat i Leon Tarasewicz trochę ze sobą rywalizowali. Obaj artyści.
DZ: *Każdy ma swoją wizję.*
GChM: Rozumiem ideę Leona Tarasewicza, ale jest to impreza dla świata, a nie dla Krynek.
DZ: *A jaki stosunek miał Sokrat Janowicz do Krynek…*
JCh: On nasze Krynki bardzo kochał i jednocześnie miał ich serdecznie dość. Szczycił się wielką ongiś rangą swego rodzinnego miasteczka o bogatej, przeszło pięćsetletniej, historii. Tu spotykali się możni tego świata, począwszy od odnotowanego w kronikach Długosza „szczytu" z początku XV wieku z udziałem polskiego króla Władysława Jagiełły i księcia litewskiego Zygmunta Kiejstutowicza, brata Witolda. W Krynkach rozwijał się przemysł, przede wszystkim skórzany, kwitł handel, a codziennie rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar żydowski, ruski, polski, tatarski… Swą najbliższą okolicę Sokrat postrzegał jako cudem ocalały skrawek dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wiele zrobił dla przywrócenia wiedzy

o historii Krynek, gdzie została ona dawno zapomniana. Kiedy w Warszawie zaocznie studiował polonistykę, w Archiwum Akt Dawnych odnalazł metryki, lustracje i inne dokumenty dotyczące Krynek sprzed kilkuset lat. Wykorzystał to później w swojej twórczości literackiej, przede wszystkim w przepięknych esejach historycznych. Dociekał dziejów Krynek, a tę wiedzę przelał w drukowane słowa choćby w sympatycznym tomiku *Białoruś, Białoruś* i napisanej wespół ze mną książce *Nasze tysiąc lat*. Korciły go też dokumenty, przechowywane w archiwum w Grodnie, które stały się w pełni dostępne dopiero na początku lat dwutysięcznych. Sokrat poprosił swych przyjaciół z Grodna, aby je przejrzeli. Najpierw poszedł tam publicysta Aleś Czobat. Sokrat niezwykle ekscytował się przysyłanymi przez niego artykułami, napisanymi w oparciu o tę kwerendę. Potem zlecił Witalemu Karnialukowi, historykowi z uniwersytetu grodzieńskiego, napisanie na podstawie tych dokumentów historii Krynek. Sokrat sam to sfinansował. Książka ukazała się jakoś pod koniec ubiegłej dekady. Jest to dość skrupulatny zapis dziejów Krynek przede wszystkim dziewiętnastowiecznych, czasów administracji rosyjskiej. O tej książce jednak w Krynkach mało kto wie. Zresztą została napisana po białorusku, a dla obecnych mieszkańców miasteczka to nie lada bariera.

GChM: *Co się stało, że język białoruski nagle w Krynkach zniknął?*

JCh: Jeszcze do końca nie zniknął, ale po białorusku dziś rozmawia się tu tylko w zaciszu domowym i dotyczy to już jedynie ludzi w podeszłym wieku. Sokrat bardzo to przeżywał. Z trudem się pogodził, że raptem musiał na ulicy i w sklepie rozmawiać po polsku nawet z tymi, którzy wyrośli w mowie prostej, a „język panów" zwyczajnie kaleczyli. Tłumaczył to kompleksami współczesnych krynczan, poczuciem ich niższości, niedowartościowania. Czasem nie wytrzymywał, mówiąc – raczej niesłusznie – że do Krynek dotarł polski szowinizm i za odezwanie się dziś po białorusku „można dostać w mordę". W swym najukochańszym języku na co dzień nie miał z kim rozmawiać – oprócz matki, żony i mnie.

Pamiętam, bardzo zdziwiło to prof. Elżbietę Smułkową, która jako jedna z uczestników pierwszego Trialogu w 1999 roku była zaskoczona, że Sokrat prowadził sympozjon przeważnie po polsku. Wspominała, jak kilkadziesiąt lat temu badała w Krynkach tutejszą gwarę białoruską, która do jej uszu dochodziła wtedy z każdego zakamarka. To, że teraz jest inaczej, to skutek gwałtownych procesów asymilacyjno-polonizacyjnych, jakie zaszły w minionym półwieczu na obszarze całej Białostocczyzny.

GChM: *Czy Sokrat Janowicz przez to, że pozostawał cały czas wierny białoruskości, miał w Krynkach jakieś problemy?*

JCh: Mieszkańcom było to raczej obojętne, oni nie rozumieli tej jego wielkiej miłości. Ale Sokrat Janowicz im na pewno imponował. Był przecież najbardziej znanym mieszkańcem Krynek. Dostrzegały to też władze i chętnie przyjmowały od niego zaproszenie do udziału w Trialogach. Sokrat nowy numer „Annus Albaruthenicus" zawsze najpierw zanosił do urzędu gminy dla wójta (potem burmistrza). Starał się, aby wszystkie jego książki były w kryńskiej bibliotece.

Na początku minionej dekady z inicjatywy Sokrata Krynki nawiązały partnerski kontakt z miasteczkiem Letchin pod Berlinem. A zaczęło się od tego, że jego mieszkaniec przeczytał artykuł w niemieckiej gazecie, napisany przez korespondenta, który gościł w domu Sokrata.

GChM: *Były jeszcze jakieś inne lokalne inicjatywy z udziałem Sokrata?*

JCh: Za najcenniejszą uważam powołanie miesięcznika „Tutaj. W Krynkach i Okolicy". To była głównie moja inicjatywa, ale Sokrat bardzo mnie w tym wspierał. Jako Villa Sokrates prawie przez trzy lata wydawaliśmy niezwykle cenny i poczytny wśród mieszkańców lokalny periodyk. Poruszał on bieżące problemy gminy, ale też wiele miejsca zajmowała w nim tematyka historyczna. Szczególnie sobie cenię, że przy tej okazji udało się nam przywrócić pamięć o kryńskich Żydach. Ściągnąłem wtedy z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie kserokopię „Pinkas Krinki" Księgi Pamięci Żydowskiej Gminy Krynki, spisanej po wojnie przez uchodźstwo w Izraelu i Argentynie. Dzięki nieocenionej pomocy Ewy Wroczyńskiej, wówczas dyrektor muzeum w Tykocinie, która przetłumaczyła tekst książki z jidysz i hebrajskiego na język polski, wydrukowaliśmy ją w odcinkach w miesięczniku „Tutaj".

A ostatnia książka, do napisania której przymierzał się Sokrat Janowicz, miała nosić tytuł *Moje Krynki*...

Po stronie tutejszości jestem całym sercem

Z Ignacym Karpowiczem rozmawiają Katarzyna Sawicka-Mierzyńska i Danuta Zawadzka, Białystok, 28 czerwca 2014 r.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *Twój wuj, Leon Tarasewicz, opowiadając o kulturze białoruskiej na tych terenach, wspomina także o Tobie. Robi to w charakterystyczny dla siebie sposób – korzystając z poetyki paraboli – ale sens tej historii przedstawia się mniej więcej tak: to rodzaj ironii losu i chichotu dziejów, że w Zabłudowie, gdzie nie ma już rodu Chodkiewiczów i nie wiadomo nawet, czy został jakiś ślad po ich dworze, pojawiłeś się Ty, a wraz z Tobą wróciło słowo (w domyśle – białoruskie), które miało być stamtąd wyrugowane. Wydaje się zatem, że Tarasewicz chce Cię włączyć do swojej białoruskiej opowieści, do historii tej zbiorowości. Jestem przekonana, że Ty bardzo byś się tej opowieści przydał, że jesteś jej potrzebny, natomiast chcę zapytać, jak Ty sam w niej siebie odnajdujesz, czy potrzebujesz jej do czegokolwiek? Czy kiedy Leon mówi o Tobie, jakbyś był późnym wnukiem Sokrata Janowicza, który powraca do domu, do siebie, to czujesz, że to jest Twoja opowieść, czy raczej, że ktoś Cię włącza do cudzej, mówiąc po Gombrowiczowsku – przyprawia jakąś gębę?*

Ignacy Karpowicz: Ja mam inaczej niż Leon i inaczej, niż miał Sokrat. Janowicz próbował zbudować i etos i etnos białoruski bardzo czysty, nieskażony ani polskością, ani rosyjskością. Ja natomiast od pierwszej książki, a właściwie odkąd zacząłem myśleć i pisać pierwsze nieudane rzeczy w liceum, miałem takie poczucie, że narodowość, wszystko jedno jaka, to jest coś bardzo niebezpiecznego i stąd nie lubię narodowości. Tak w ogóle, z definicji. Bo to jest często przyczyna i pretekst do robienia różnych paskudnych rzeczy, od wojen po, nie wiem, zsyłki, wysyłki, bieżeństwo, które było u nas; dużo tego się wydarzało, więc nie jestem w stanie ani w narodowości białoruskiej, ani w narodowości polskiej jakkolwiek się zakochać. Absolutnie nie. Czemu zresztą daję dość często wyraz publicznie. Z Białorusią jest o tyle inna sytuacja, że to – przez ostatnie 200–300 lat – naród,

który straszliwie w dupę dostał. Wspaniałe czasy, kiedy cała korespondencja była prowadzona po białorusku, minęły, ten język został potem wyparty.

KSM: *Mówisz o czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego, kiedy to był oficjalny język?*

IK: Tak. Potem już nie zdarzył się taki moment glorii, chwały i odrodzenia. Czyli: narodowości złe, nie lubię, nie lubię polskiej, nie lubię białoruskiej, nie lubię niemieckiej, żadnej nie lubię. A to, co mi się podoba, o czym w *Sońce* też pisałem, to jest identyfikacja, która nie uwzględnia narodu, tak, jak moi dziadkowie. Kiedy za II Rzeczypospolitej był robiony spis ludności, często – nie wiem, jaki to był procent, już nie pamiętam – ludzie nie pisali czy nie mówili, że są Polakami, Rosjanami czy Białorusinami. Oni mówili, że są stąd. I ta tutejszość, „samoswojość", to, że moje żyjące do dziś babcie (dziadkowie pomarli) nigdy nie mówiły, że po białorusku rozmawiają, tylko „pa prostu". To mnie strasznie kręci, to jest jakiś wariant plemienności, który jest mi bliski. I w tym sensie mogę się z radością włączyć w tę narrację, tyle że to jest inna białoruskość. To ten substrat, do którego białoruskość została jakby przydana. Oni zwyczajnie są stąd, mówią w języku „po prostu", a ci różni mądrzy ludzie przyszli i powiedzieli im, że są Białorusinami, bo pasują językowo.

Danuta Zawadzka: *Czyli rozróżniałbyś białoruskość i tutejszość?*

IK: Zdecydowanie tak, i po stronie tutejszości jestem całym sercem, a białoruskość, czyli naród – nieszczególnie. Nie żebym miał coś przeciwko narodowi białoruskiemu, ale w ogóle koncepcja narodu – gdybyż to była koncepcja, niestety zostało to wdrożone, jak wiemy świetnie – w ogóle mi się nie podoba, nie lubię.

DZ: *Paradoks polega na tym, że ta wielka tradycja białoruska wiąże się z pojęciem narodu, tylko że chodzi tutaj o inne jego rozumienie, nie jako etnosu. Mam wrażenie, że Białorusini chcą się odwoływać właśnie do czasów Wielkiego Księstwa i Unii, kiedy pojęcie narodu i tzw. tożsamość „wieloszczeblowa" nie łączyły się tak ściśle z etnicznością. Wtedy ten naród miał charakter polityczny, wiązał się z prawami politycznymi i taki naród nazywał się polskim. Ale można tę polskość było łączyć z wieloma etnosami. Białorusini też odnoszą się do tych czasów.*

IK: Bo to jest chyba ich złoty okres w historii. Jeżeli chce się przejrzeć np. dokumentację, źródła historyczne, to gdzie sięgać – tam. Potem niewiele się wydarzało…

DZ: *Jeśli się wydarzało, to na bardzo krótko, nie udało się zbudować nic trwałego. Mogę zadać bardzo proste pytanie? To wywiad do książki o Sokracie Janowiczu, więc pytanie jest oczywiście takie: kim był dla Ciebie Sokrat Janowicz?*

IK: Przede wszystkim to była osoba – poznałem na studiach kilku takich profesorów czy profesorek – z absolutnie innej epoki. Inaczej mówił, inaczej myślał, inaczej pisał, przez co wydawał się pociągający, dla mnie przynajmniej. Do tego była w nim wspaniała mieszanka, z jednej strony, uważności i powściągliwości, a z drugiej on był bezpośredni, nie nosił – przynajmniej w tym okresie, kiedy go poznałem – żadnych masek. Więc chyba tak, postać wielkiego formatu, z innej epoki.

KSM: *A jak go poznałeś?*

IK: Przez Leona [Tarasewicza – dop. red.]. Kiedyś pamiętam – to była wigilia, kilka lat temu, prawosławna wigilia – ktoś (nie wiem, czy Leon osobiście, raczej

nie, bo polewał, polewał i polewał) – wysłał jeszcze kogoś innego do Krynek, żeby przywiózł nam Sokrata. Leon chciał, żebyśmy mogli dłużej porozmawiać. No i Sokrat został przywieziony. Potem jeszcze w Krynkach kilka razy widziałem Sokrata.

KSM: *W jednym z wywiadów, dotyczącym wydanej ostatnio* Sońki *mówisz, że „wkurwia Cię" – między innymi, bo tam wiele rzeczy Cię „wkurwia" – właściwie dokładnie to samo, co Sokrata, czyli proces wynaradawiania Białorusinów związany z przeprowadzką do miasta i awansem społecznym. Czy tu można mówić o jakiejś inspiracji, czy to jest zjawisko tak oczywiste, że literacka reakcja na nie pojawia się równolegle i niezależnie – np. Michał Androsiuk też o tym pisze.*

IK: Kiedy zacząłem o tym myśleć, wydało mi się to oczywiste, nie czytałem żadnych teoretycznych tekstów. Chyba więc tak po prostu jest, skoro różne osoby wpadają niezależnie od siebie na to samo. Pamiętam, jak kiedyś, zdaje się po tym, jak ukazał się jeden z wywiadów ze mną, ktoś podczas spotkania się przyczepił, że to nie było wynaradawianie, tylko właśnie akulturacja. I to, użyję znowu tego słowa, strasznie mnie wkurwia, bo jednak jest pewna różnica. A tu jest jeszcze taka śliska granica, bo przecież nikt im języka nie zakazywał, tylko tak konstruowano świat, ścieżki awansu społecznego, że były pewne możliwości wyboru, ale akurat nie języka.

KSM: *To jest to, o czym mówi Sokrat – że to większość odpowiada za funkcjonowanie mniejszości.*

DZ: *Czyli Sokrat nie był dla Ciebie po prostu pisarzem, tylko interesującym człowiekiem, który funkcjonuje we wspólnym kręgu towarzyskim? Czy dotarłeś do niego przez teksty?*

IK: Nie, najpierw od strony ludzkiej. Wiedziałem, że jest pisarz, Sokrat Janowicz, przyjaciel Leona, on się przewijał, powiedzmy, towarzysko, ale też miałem świadomość, że pisał, pojawiał się w prasie ogólnopolskiej, w mainstreamowym obiegu, więc nie był to nikt anonimowy. Ale najpierw, jako rzekłem, on jako osoba, a dopiero później teksty. Byliśmy wspólnie [dotyczy rozmówczyń – dop. red.], jeżeli się nie mylę, w Krynkach, na „Trialogu", na spotkaniu, gdzie były – przepraszam: same dziady, żadnej kobiety.

DZ: *Były, na widowni, tam, gdzie ich miejsce* [*śmiech*].

IK: Pamiętacie: zblazowany Stasiuk, ja, Michnik, który wtedy siedział na widowni, Moczulski, i każdy coś tam powiedział, ale jedyne wystąpienie w starym stylu to był Uładzimir Niaklajeu, który wstał i zaczął recytować [**DZ:** *Jak rapsod...*). I dla mnie w prozie Sokrat był postacią z czasów, gdy „pisarz" to znaczyło coś więcej niż „prozaik" na przykład. On rzeczywiście miał ten kaganek (albo diabłu ogarek) przed swoim narodem nieść, oświetlać, wskazywać drogę, przestrzegać i... Odszedł Sokrat. W naszej, akurat polskiej, rzeczywistości, czy w ogóle, ogólnie mówiąc, cywilizacji świata zachodniego, w ogóle nie ma już miejsca na tego rodzaju role, które przypisywane były pisarzowi. Odrobinkę to pokutuje: Panie premierze, jak żyć? Czy: Panie pisarzu, jak żyć?, ale właściwie nikt tego poważnie nie traktuje. A Sokrat – teraz brakuje mi nazwisk, ale pewnie znalazłoby się jeszcze kilku takich – miał poczucie misji wobec swego narodu. Bywając czasem

na Białorusi poznałem różnych poetów i pisarzy – tam jeszcze pokutuje taka, jakby to nazwać, nie kulturotwórcza, tylko narodowotwórcza rola pisarza.
DZ: *Oni tworzą „narrację narodu"?*
IK: Tak.
DZ: *Byłeś na Białorusi?*
IK: Tak, kiedy byłem dzieckiem, miałem tam jakąś rodzinę, jeszcze w poprzednim systemie. Pamiętam kolegę, Olega, który zresztą czasem przyjeżdżał do Słuczanki na wakacje, a czasem była wymiana i ja tam z rodzicami jechałem. No i byłem ze cztery razy na spotkaniach, nawet zeszłego roku, w Grodnie.
DZ: *Są tłumaczenia Twoich tekstów na białoruski?*
IK: Kawałki, kawałki. Leon ma plan, że będzie zasypywać rynek białoruski białoruskimi tekstami wywrotowymi, drukowanymi w Polsce.
DZ: *To też jakaś misja.*
IK: On jest misyjny, ja nie jestem misyjny. To znaczy pewne rzeczy mnie denerwują, mówię o tym, chcę, żeby świat był lepszy, ale nie mam, że tak powiem, „powera" rewolucjonisty.
KSM: *Czyli dla Ciebie to jest w dużej mierze taka rodzinna historia? Bardzo osobista?*
IK: Tak, dla mnie to jest stąd, spoza tych różnych wielkich rzeczy, o których się mówi: naród, tożsamość. Wszystko, o czym opowiadam, było rodzinne i poniekąd plemienne. Wiem, że to słowo nie bardzo tutaj pasuje, pewnie „pozaburzaliby się" ludzie, ale ja tak to odbierałem i odbieram do dziś.
KSM: *W* Sońce *jednak do tych problemów nawiązujesz i ta plemienność, narodowość stanowi istotny element służący negocjowaniu własnej tożsamości. Bo u Ciebie tożsamość – widać to na podstawie konstrukcji bohaterów – jest czymś płynnym, ustalanym, negocjowanym. Poczucie wspólnoty – wybieranej, takiej czy innej – wydaje się ważnym elementem budowania każdej osobistej narracji. Mówisz w pewnym momencie, że bohater* Sońki, *Igor-Ignacy, swoje problemy tożsamościowe „zawiesił na kołku na wieczne nigdy", a jednak one się pojawiły. Trudno uciec przed nasuwającą się paralelą: Ty nad Sońką pracowałeś siedem lat, czy to też jest takie „zawieszenie na kołku" tych problemów czy ten długi proces twórczy ma inne źródła?*
IK: Jednak nie szło tutaj o „zawieszenie na kołku" różnych problemów. Czułem, że *Sońka* musi być tak napisana, żebym był z tego absolutnie zadowolony, a ten pierwszy wariant tekstu w ogóle mnie nie usatysfakcjonował. Długi proces twórczy wiązał się tylko z tym, że musiałem ten tekst długo przepisywać, poprawiać, wyrzucać, wyrzucać, wyrzucać przede wszystkim, ale tu w ogóle tego procesu nie wydłużyły kwestie związane z tożsamością. Odrobiłem to wszystko w liceum. W okolicach późnego liceum już wiedziałem i potem nie miałem potrzeby grzebania się w tym, zwłaszcza jeśli sobie przypomnimy moją żywiołową niechęć do koncepcji narodu i państwa narodowego.
DZ: *No dobrze, więc zostawmy to. Mnie się wydaje, że jest parę rzeczy podobnych, które ja na przykład, jakimś czytelniczym sejsmografem, wyczuwam, jak czytam Janowicza i jak Ciebie czytam. Tą wspólną rzeczą jest złość. Mówiłeś, że to był człowiek, który nie budował dystansu – tak, bo on był bezpośredni, mówił, co myślał, ale też lubił*

prowokować, lubił mówić bardzo wyraziście, lubił mówić o tym, co go drażni, irytuje [**IK:** *Wielkie miasto Białystok*]. *Ta jego – wasza – złość wydaje się bardzo interesująca. Jak wiadomo złość to uczucie zastępcze, wierzchnia warstwa czegoś schowanego. I teraz mówisz, że odrobiłeś te problemy w okolicach liceum, ale jak czytam* Niehalo *to czuję tam złość, tyle że ta złość jest doskonale oderwana od wszelkich okoliczności* [**IK:** Po prostu złość, złość *sauté – śmiech*] *Tak. Natomiast obserwując rozwój Twego pisarstwa można odnieść wrażenie, że poznajemy coraz więcej powodów złości. I* Sońka *– myślę – jest tutaj takim bardzo ważnym punktem w Twojej twórczości, rozpatrywanej całościowo. W związku z tym chciałabym Cię zapytać o* Niehalo*. Czy* Niehalo *ma coś z* Wielkiego miasta Białegostoku *Janowicza? Czy Cię wkurza Białystok z powodów, że tak powiem, Janowiczowych? W* Niehalo *tego absolutnie nie ma.*

IK: W ogóle z *Niehalo* było tak, że pisałem to na innym kontynencie, bez prądu, więc to był taki Białystok wyobrażony. Wszelkie próby uczynienia z Maćka – tak się chyba ten bohater nazywa – jakiegoś *alter ego* są chybione, to w ogóle nie ja. Wyjechałem od razu na studia, dostałem się na dobre studia, więc wszystkie frustracje, które Maciek ma, nie były moimi frustracjami. Znałem natomiast bardzo wielu kolegów i koleżanek z klasy, którzy zostali w Białymstoku i ta frustracja, nienawiść do miasta Białystok, miasta bez perspektyw, ale też właściwie bez prawdziwej historii, to też jest istotne, była mi bliska, miałem z tym regularny kontakt. Tu można by więc podjąć próbę zbudowania jakiegoś rodzaju paraleli. Ale też w *Niehalo* bohater jest u początku swego przegranego życia, więc trochę inaczej dobiera sobie wrogów czy obiekty złości i na przykład nie wchodzi w te wszystkie rozróżnienia czy – o ile sobie przypominam – napięcia, nazwijmy je polsko-kacapskimi.

DZ: *No właśnie, tego w ogóle nie ma, tych napięć nie ma przede wszystkim. I ten brak sam w sobie wydaje się znaczący.*

IK: Tam jest on kontra świat, szczególnie świat z polskim akcentem. Oczywiście to są w większości tacy nowi, zrobieni Polacy, ze wsi.

KSM: *Myślałyśmy o* Sońce *jako metatekście, tekście, który – razem z* Gestami *– pozwala zinterpretować na nowo Twoją twórczość. Czy np. alergia Maćka na etos bogoojczyźniany nie wynika między innymi z tego, że jest to etos kolonizatorów, a nieprzystawalność języka wobec rzeczywistości nie jest większa dlatego, że – jeśli przypomnimy sobie Grześka z* Gestów *– mamy bohatera, który traci swój pierwszy język, bo oduczają go mówić „pa prostu". Oczywiście w* Niehalo *nie jest to problematyzowane, ale to napięcie i złość mogą być większe ze względu na to konkretne miejsce, Białystok.*

IK: Mówisz o *Sońce* bardziej czy tak w ogóle?

KSM: *Tak w ogóle. Bo na przykład są* Gesty*, a w nich bardzo wyrazisty fragment o filecie, czyli człowieku „wybielonym do polskości".*

IK: Teraz próbujesz odnieść to do mnie osobiście, do autora?

DZ: *Do biografii bohatera.*

KSM: *Do biografii ewoluującego bohatera czy ewoluującej biografii Twego bohatera, który jest inny w każdej z tych książek, ale też, z czytelniczego punktu widzenia, układa się w jedną wielką postać.*

IK: No tak, ale w takim razie, jeżeli dobrze bym to czytał, Grzegorz z *Gestów* absolutnie utracił swój pierwszy język, natomiast Igor nie – on go tylko „zawiesił na kołku", wyparł, ale przecież, spotykając Sońkę, wraca do niego. Co będzie w trzeciej części powieści, nie mam pojęcia. Może znowu się wyprze albo okaże się, że jest Hindusem, ha! I co wtedy?
DZ: *Myślę, że to jest bardzo prawdopodobne, że się wyprze, znając Ciebie, bo się za bardzo nam tu coś wyrazistego rysuje, więc pora na jakieś niespodzianki.*
IK: Naprawdę, nie wnikam w tę problematykę. Plemienność, plemienność, tutejszość. To jest coraz piękniejsze, bo jak odejdzie pokolenie moich babć, a ono już jest absolutnie wymierające, to tej luki nie wypełni pokolenie moich – też już nie najmłodszych – rodziców.
DZ: *Tak, oni są już z zupełnie innej bajki.*
IK: Tak, to już inna produkcja, PRL-u, i tego nie będzie, a ja bardzo lubię mniejszych, słabszych, gorszych, wykluczonych i wymierających, więc będę nie za narodem białoruskim, bo mnie on w ogóle nie interesuje, ale za tym wspaniałym, tutejszym, wioskowym światem, który na naszych oczach wymiera. I stąd też można czerpać wspaniałe powody nawet nie do złości, a wkurwienia. Skąd ta złość? Bo to wszystko zostało tak podstępnie zrobione! Gdyby to była taka porządna rusyfikacja, porządna germanizacja czy prusyfikacja – a w ogóle była prusyfikacja, czy ja to słowo teraz wymyśliłem?
DZ: *Nie, nie było.*
IK: No to wykreślamy, wykreślamy. Był bardzo wyraźny atak i odpór. A tu w białych rękawiczkach, powolutku, powolutku, i pufff! nie ma. Poumierają te babcie – dziura.
KSM: *Opowiadasz o plemienności, o ludziach, którzy odchodzą, o małych społecznościach, a z drugiej strony ostatnio mówiłeś – zresztą to widać w* Sońce *– że dostrzegasz drugie oblicze tych społeczności, czyli okrucieństwo, hermetyzm. Przyznałeś też, że kiedyś wierzyłeś w małe ojczyzny, a teraz nie. Jak się ma jedno do drugiego?*
IK: Odpowiem ze wstępem. Musiałem nie tak dawno temu napisać recenzję i w tym celu przeczytać różne książki, między innymi z zakresu szeroko pojętej psychologii. W nich po raz pierwszy natknąłem się na naukowo przedstawioną tezę, którą przeczuwałem już od dawna: każdy człowiek jest osobą dysocjacyjną, czyli coś świadomie mówi, myśli, natomiast ma w sobie rzeczy, które się z tym absolutnie nie zgadzają. Istnieją nawet różne testy, które potrafią to wydobyć. Więc Ty zadałaś pytanie, którego teraz nie będę powtarzać, ale tutaj odpowiedzią byłaby ta dysocjacyjna natura człowieka. Z jednej strony tęsknię, uwielbiam ten etnos, plemienność, wiejskość, to prawosławie połączone z zabobonami, zamawianiem popiołem, szeptuchami, a z drugiej strony świetnie wiem, że jest to zła, duszna, trująca wspólnota, nawet jeśli nie zabija bezpośrednio [**DZ:** *To nie rozwija* {*śmiech*}]. Nie tylko nie rozwija, ale potrafi skutecznie zatruć życie. Chwała i dzięki Ci, Boże, który nie istniejesz, za radio, telewizję i teraz internet! Pamiętam, jak to się wszystko na wsi kotłowało, te ławeczki – ławoczki, te plotki, wymyślanie, międlenie – to było naprawdę trujące, duszne środowisko i niestety to jest druga strona tej arkadii.

KSM: *Można powiedzieć, że całkiem wygodnie się urządziłeś między Warszawą a arkadią.*
IK: Tak, no właśnie i dlatego muszę ciągle jeździć! [*śmiech*]
DZ: *Taka tożsamość mocno „trans-"*
KSM: *Czy Ty w ogóle masz taką potrzebę, żeby się gdzieś czuć u siebie? I gdzie jesteś bardziej u siebie?*
IK: Ale ja się czuję tu u siebie, na Podlasiu.
KSM: *A w Warszawie?*
IK: Też się czuję u siebie, tylko że w Warszawie muszę, żeby czuć się u siebie, muszę Warszawę na wieś przerobić.
KSM: *Na czym to polega?*
IK: To polega na tym, że chodzę tylko na piechotę do, nie wiem, sześciu, siedmiu punktów, jest to jakiś sklep, akurat mieszkam niedaleko teatrów, Teatr Rozmaitości, Warlikowski, ewentualnie metrem dwa przystanki do stacji „Pałac Kultury", do kina. I nic więcej. I wtedy jak mam tylko – ileś tam, bardzo niewiele punktów – to po pewnym czasie Warszawa staje się taką moją wsią.
KSM: *To bardzo ciekawe, bo Michał Androsiuk mówił dokładnie o tym samym w odniesieniu do Hajnówki – że przyjechali wieśniacy do Hajnówki i przerobili miasteczko na swoją wiejską modłę.*
IK: O, czyli to po prostu działa.
KSM: *Wiejska kolonizacja.*
DZ: *To byłaby właśnie kolonizacja w drugą stronę, czyli jakaś odpłata* [*śmiech*].
IK: [*śmiech*] O właśnie, tak, tak, tak, zemsta, odwet! Chyba dzisiaj ukazał się wywiad ze mną w takim lifestylowym magazynie „Harper's Bazaar" (jeszcze tego nie widziałem), któremu dali trochę na wyrost tytuł *Moja wieś Warszawa*[1]. Tam właśnie mówię o tym, o czym Wam teraz: że przerabiam Warszawę na wieś. To jest jedyny sposób, żeby czuć się w miarę komfortowo.
DZ: *Ale czy to jest taki pomysł związany z miejscem urodzenia, tylko dla wybranych, dla tych, którzy rzeczywistą wieś znają, czy Ty uważasz, że to strategia warta szerszego namysłu, żeby po prostu zrobić coś oswajającego z metropoliami?*
IK: Mnie jest łatwo, ponieważ ja przenoszę pewne wzorce, które zostały we mnie wrodzone, gdy jeszcze nie mogłem się bronić. A potem okazało się – kiedy to zrozumiałem – że nie muszę się przed tym bronić, tylko mogę tego użyć, żeby było mi dobrze. Czyli to jest pierwsza część odpowiedzi: po prostu miałem łatwo. A druga część jest taka, że w tym strasznie płynnym, szybkim, niepewnym świecie, ograniczenie, próba samoograniczenia się na każdym poziomie, w tym także ograniczenie liczby miejsc, w których się bywa, jest chyba podstawowym warunkiem jakiegoś minimum zdrowia psychicznego.
DZ: *Jest taka bardzo stara teoria „szczęścia w ograniczeniu", oświeceniowa, Gessnera, taki Szwajcar to wymyślił, teoretyk idylli. Bo idea ograniczenia czy poprzestawania na małym, idea mierności, daje jakieś poczucie kontroli i posiadania własnego świata.*

---

[1] *Moja wieś Warszawa*, z I. Karpowiczem rozm. L. Włodek, „Harper's Bazaar" 2014, lipiec–sierpień.

KSM: *A czy nie przechodziłeś etapu kompleksu wiejskości na studiach w Warszawie?*
IK: Może troszeczkę, ale jakoś to się też zupełnie inaczej odbyło, bo trafiłem „na dzień dobry" w takie środowisko, w którym moja podlaskość, prawosławność, ta plemienność były strasznie egzotyczne. Byłem bardzo atrakcyjny dzięki temu; jeszcze ci Tatarzy, Kruszyniany – moja prababka była Tatarką, stąd te oczy piękne, tatarskie, z fałdą.
KSM: *Czyli to był atut?*
IK: Tak.
DZ: *Leon Tarasewicz mówił, że studia w wielkim mieście to jednak nie była dla niego komfortowa sytuacja, że się tam nie odnalazł.*
KSM: *Ale to było kiedy indziej, sporo wcześniej.*
DZ: *Tak, inne pokolenie.*
IK: Tak, ja już w nowym, kapitalistycznym, dzikim okresie zacząłem studia, no i do tego Leon był od sztuki czystej, więc miał trudniej, ja jednak byłem na takich studiach, gdzie trzeba się uczyć, a nie malować. Przy całym szacunku dla Leona, przepraszam, wytniemy, wytniemy.
KSM: *Tarasewicz ma profesurę z historii sztuki, więc trochę musiał się pewnie pouczyć.*
DZ: *Czy jest w ogóle sens mówić o literaturze w kategoriach miejsca? Bo związek z miejscem jest dla Ciebie istotny, nawet ważniejszy niż z etnosem, więc czy Twoim zdaniem mają sens takie określenia, jak literatura regionu?*
IK: „Małych ojczyzn", było trochę tych określeń…
DZ: *Tak, było, ale „małych ojczyzn" czy „korzenna" to już jest takie trochę nacechowane, ale powiedzmy tak neutralnie – regionu.*
IK: „Kresowa"…, o ho ho.
DZ: *„Kresowa" to już jest* passé*, trąci kolonizacją, kolonializmem.*
IK: Wydaje mi się, że to ma sens, jeżeli ta literatura regionów wyjdzie w czasie przyglądania się tekstom, natomiast w drugą stronę to jest bez sensu i krzywdzące, czyli wychodzenie od regionu i potem doszukiwanie się tego w innych tekstach prowadzi do przekłamań. A jeżeli coś wyjdzie, tak, to wtedy owszem.
DZ: *Zatem kontynuując wątek tej nie wymuszonej, tylko rzeczywiście obecnej w tekstach regionalności, to co Ty sądzisz o literaturze regionu podlaskiego? Istnieje coś takiego dla Ciebie?*
IK: Z regionalnych rzeczy – tutaj Sokrat do tej regionalności trochę by nie pasował, odłóżmy go zatem na bok – jest Gedroyć, Kamiński, Androsiuk, pewnie jeszcze jakieś dwa, trzy nazwiska, których teraz nie pamiętam, ale znam. I ponieważ jestem stąd, mnie to bardzo interesuje, świetnie się bawię, czytając te książki, pewien rodzaj kłopotu czy problemu jest natomiast z, jakby to nazwać, niewłączalnością tych tekstów w główny obieg. Staram się – nie żeby było, że to jest moim założeniem – tę podlaskość i swojskość uczynić interesującą i zrozumiałą dla czytelnika, dajmy na to, z Krakowa. Choćby świetna *Piwonia, niemowa i głosy* – to rewelacyjna książka, tyle że, niestety, jak się już jest w Warszawie, to cóż, tylko emigracja podlaska jest w stanie się bawić na przykład językiem tej prozy.
DZ: *Bo on jest hermetyczny w odbiorze czy po prostu niezabawny?*

IK: Wymaga trochę wysiłku i samozaparcia, jak przy czytaniu Joyce'a *Finneganów trenu*: możesz zagryźć zęby i przeczytać, ale nie będziesz miał z tego frajdy, bo to nie jest przejrzysty język, taki, że płyniesz i tylko od czasu do czasu napotykasz jakieś trudności. Na przykład tak, jak w *Sońce*, gdzie gwarowych wtrętów jest mało, a poza tym jest słowniczek, czyli to jest takie myślenie o czytelniku, który nie pochodzi stąd.
KSM: *To interesujące, co mówisz, bo podczas obrad Kapituły Nagrody Kazaneckiego właśnie Justyna Sobolewska, jako jedna z członkiń jury, była wielką orędowniczką książki Gedroycia.*
DZ: *Ona jest może takim czytelnikiem, który chce się pomęczyć, wyrafinowanym.*
IK: Tak, ona nie jest czytelnikiem niezajmującym się zawodowo literaturą i dla niej rzeczywiście to może być wielka frajda: wreszcie przeczytała książkę, która została inaczej napisana.
DZ: *Powiedziałeś, że Sokrata trzeba by wyłączyć z literatury regionu. Chodziło Ci o to, że nie można go w niej zamknąć?*
IK: Tak, to była postać – przy całym szacunku do nazwisk, które tutaj padły – innego formatu, postać z innej epoki, co jeszcze raz powtórzę. Nie wartościując, po prostu on jest inny, jest z innej planety.
DZ: *Ale u niego też padają takie twierdzenia, że nie ma wielkiego czy poważnego pisarza, który nie jest zakorzeniony w swoim miejscu, ale oczywiście to miejsce nie może go zamykać, ono musi być jakoś przekładalne. Tutaj się zgadzacie z Sokratem. My też tak uważamy, że ta literatura musi być przekładalna, musi być zrozumiała.*
KSM: *To jest po prostu pokazanie, że pisanie jest „skądś", że ten punkt widzenia nie jest jakimś boskim okiem, usytuowanym wszędzie i nigdzie.*
IK: Tak, idealnie obiektywna narracja, nieistniejąca, przezroczysta, bzdura, tego nawet w reportażu nie ma, jak się przyjrzysz.
KSM: *Chodzi o pokazanie, że to jest „stąd", skądś, że to widać w tekście, wpływ miejsca, co nie znaczy, że horyzont jest zawężony wyłącznie do tego „tutaj".*
IK: O to właśnie idzie. Przecież *Sońka* to w dużej mierze rzecz o przełożeniu doświadczenia „stąd" na doświadczenie zrozumiałe dla warszawskiego widza teatralnego. I on kombinuje, ten Igor, męczy się. O to też w literaturze „stąd" idzie: trzeba to uczynić (znaczy, *trzeba*, to jest decyzja każdego autora, każdego twórcy), staram się przynajmniej uczynić to zrozumiałym, nie mówię, że na świecie, bo z tym to jest inna inszość, ale chociaż w Polsce. Jeszcze jedna rzecz mi się przypomniała: nieważne, kto gdzie się urodził, ale jestem absolutnie pewien, że zapominanie o swoich pierwszych latach, o swoim pierwszym języku, to straszna głupota. To jest ogromny kapitał na przyszłość i teraz od ciebie zależy, czy coś z tym zrobisz, czy w ogóle coś zrobisz. Ale, jako rzekłem, to jest gwałt na sobie samym, żeby to zatrzasnąć.
DZ: *Czyli, można powiedzieć, że aby być dobrym pisarzem „stąd", to trzeba w jakimś sensie „stąd" wyjechać.*
IK: Tak, tak, tak. Trzeba patrzeć na to „tu", na miejsce, w którym się stawało, z zewnątrz. I jakoś tu przyjeżdżać, ale pisząc – wyjeżdżać, i wykonywać taką

ciągłą, ciągłą podróż, na pewno nie pociągową teraz, bo jest to bardzo utrudnione [*śmiech*].

DZ: *U Sokrata jest właśnie tak, że on był w ciągłej komunikacji z zewnętrzem, ale bez tego momentu wyjeżdżania. To się wiązało zapewne z sytuacją diasporyczną literatury białoruskiej i z obecnością w świecie jego korespondentów, ale też z misją, żeby przemawiać do świata, żeby mu tłumaczyć, że istnieje jakieś bardzo wartościowe „tutaj". I teraz to rzeczywiście się zmieniło, tej misji już nie ma.*

KSM: *Mam jeszcze takie trochę poboczne pytanie – o recepcję. Bo tak jak ją śledzimy, ewidentnie pojawia się różnica w lekturze, w interpretacji. Wątki tożsamościowe, lokalność, to jest bardziej akcentowane tutaj, przez naszych badaczy. Na przykład przy okazji* Gestów *tak było, że – nie wiem, może wbrew Twojej woli – ta cudowna scena balkonowa, a raczej „gankowa", kiedy Grzegorz, patrząc na ulicę Zwycięstwa, mówi o sobie jako wybielonym, spolszczonym filecie, stała się zaczątkiem kilku tekstów, a jak czyta ją Czapliński, to jest dla niego w ogóle nieważne. Czy jest więc tak, czy się z tym zgadzasz, że kształtują się dwa modele recepcji Twoich tekstów: centralny i peryferyjny, lokalny (bez wartościowania tych określeń)?*

DZ: *Którzy cię lepiej rozumieją?*

IK: Tak, to jest bardzo interesujące. Bo ten, powiedzmy, lokalny nurt, przepraszam, ale czasem, zdawać by się mogło, pewne rzeczy traci, ale w innych jest znacznie bardziej pogłębiony. Najbardziej lubię czytać, jak pisze o mnie Andrzej Horubała, zostałem ulubionym znienawidzonym pisarzem salonowym w „Do Rzeczy", nie wiem, czy czytałyście, napisał o *ościach*, napisał o *Sońce*, i zadzwonił do Wydawnictwa Literackiego, że jestem pisarzem irytującym, niepokojącym, że odczuwa przymus, żeby się zapoznać z całą moją twórczością.

DZ: *Ale czy tak naprawdę jest, czy Ty zauważasz, że rzeczywiście odbierają Cię inaczej tutaj, a o pewne rzeczy na przykład nie pytają Cię gdzie indziej i inaczej widzą Twoje teksty?*

IK: Pytają zupełnie inaczej – zobaczymy, co będzie w Białymstoku po *Sońce* za chwilę[2]. Wyjątek stanowią ludzie, którzy idąc na studia albo do pracy opuścili dom, oni to czują, oni mówią: czytając, przychodząc na spotkanie przeniosłem/przeniosłam się w czas mego dzieciństwa czy młodości. Ale to jest niewielka grupa, natomiast cała reszta czyta to przez miejsce, w którym jest, przez własną „swojość". Na przykład w Krakowie pytali mnie – nie wiem, może Wy będziecie wiedziały – o różne lokalne krakowskie gwary. Czy to jest coś podobnego.

DZ: *A czy to istotnie jest coś podobnego, Twoim zdaniem?*

IK: Absolutnie nie, ale widzisz, tu chodzi właśnie o to, jakie pytania ludność czytająca zadaje. Pyta poprzez to, co widzi dookoła, próbuje to dopasować, dowiedzieć się, czy to jest to samo, w ogóle – teraz użyję pięknego kolokwializmu – nie kumają, nie kumają tej lokalności, tutejszości, białoruskości, nic, nic.

DZ: *Tu się prawdopodobnie nawarstwiają problemy, które się gdzie indziej nie nakładają. Gwara to gwara, emigracja ze wsi do miasta występuje wszędzie – to jest wielki*

[2] Rozmowa odbywa się przed spotkaniem z czytelnikami.

temat polskiej literatury od XVIII wieku, powstały książki, które mówią o tym, że napięcie miasto-wieś to jest główna oś napięcia w naszej literaturze. Ale tutaj na nie się nanizują jeszcze inne problemy.

IK: No tak, mamy wspaniałe religijne, tożsamościowe problemy. Bardzo, bardzo ciekawe miejsce do pisania, mam nadzieję, że się to wszystko zunifikuje, będą tylko Europejczycy, mówiący po europejsku. Oczywiście żartuję. Lubię różnice, bez różnic ten świat nie ma sensu, chodzi o to, żeby te różnice się nie wyrzynały i sobie nie skakały do gardeł. To ta misja [*śmiech*]. Zaraziłyście mnie taką misyjnością.

DZ: À propos *misji... mnie jeden Twój tekst się nie podoba, uczciwie to chcę powiedzieć, nawet o tym napisałam* – Esej o nienawiści. *Mówisz w jednym z ostatnich wywiadów, że Sońka pod koniec swojego życia otrzymała to, czego najbardziej pragnęła: ktoś chciał jej wysłuchać bez oceniania. I wszyscy ci wykluczeni tego pragną. Więc czy Ty nie dostrzegasz takiego problemu, że naziol też chce być wysłuchany i zrozumiany, jak nie leje.*

IK: No tak, ale on leje. To, że leje, z mego punktu widzenia, automatycznie odbiera mu prawo do bycia wysłuchanym, ponieważ to nie jest język dialogu – przymuszanie, przemoc, agresja. Nie rozmawia się takim językiem.

DZ: *Tu się zgadzamy, ale czy nie sądzisz, że jeśli zaczynamy mówić właśnie takim językiem – kopania, obciachu – to naprawdę istotne problemy, które ma jakaś społeczność i które rodzą naziolstwo po prostu nie zostaną wypowiedziane nigdy? Oni dostaną tę etykietkę „nazioli" i po prostu będą tylko lać.*

IK: Oczywiście jest tak, że pewne błędy zostały popełnione wcześniej: nasz system edukacyjny, rodzina, brak pieniędzy – mnóstwo rzeczy ma na to wpływ, brak kapitału kulturowego, bla bla bla. Można tak długo. Wszystko to sprawiło, że jedyną alternatywą, żeby poczuć jakiś rodzaj wspólnotowości stało się naziolstwo czy neonaziolstwo czy nowa prawica.

DZ: *No właśnie.*

IK: To jest jedna sprawa, musimy to zrozumieć, zbadać, ale jeżeli coś takiego się pojawia, to trzeba dać zdecydowany odpór. Już mieliśmy 33 rok, a wcześniej brunatniejące Włochy, tam już było właśnie to bagatelizowanie. Skutki znamy.

DZ: *I Ty tego się boisz, że ten język miękki...*

IK: Tu już nie działa. Jeżeli wytworzyliśmy sobie takie grupy, jeżeli mamy te mądre głowy, które wiedzą, dlaczego do powstania takich struktur – bo to już są struktury w Polsce, na Węgrzech – doszło, to niestety już jest za późno, można tylko działać.

DZ: *Czyli wsadzać do więzienia?*

IK: Wsadzać, najlepiej zmuszać ich do różnych prac na rzecz, na przykład, Czeczenów w ośrodkach dla uchodźców, niech naziole tam sprzątają. No bo wsadzanie do więzienia kosztuje, niech więc robią to, co uważają, że jest ich niegodne – białej rasy panów. Więc tu absolutnie jestem pewien, że nie ma miejsca – jak już masz gotową strukturę, organizację – nie ma miejsca na dialogowanie. Próby były właściwie nieskuteczne, na przykład cywilizowanie Ligi Polskich Rodzin, której

już zresztą nie ma. Polegało to na tym, że część, jak Giertych, poszła za konfiturami i zmieniła swój światopogląd, przynajmniej oficjalnie, a cała reszta, jak na przykład Wierzejski, tylko nauczyła się nosić garnitury i zapuściła grzywki, nic poza tym.

KSM: *A co zrobić, żeby ich dzieci były inne?*

IK: Wreszcie naprawdę oddzielić Kościół od państwa, niestety teraz, w ostatnich latach, mamy regres. Jak nowy prymas powiedział, że marzy mu się, że jest jedno ciało, to po prostu zadrżałem z przerażenia, że chce łączyć Kościół z państwem. Po drugie… to jest w sumie tak super proste. Jedna moja koleżanka wydała ostatnio fantastyczną książkę dla dzieci, karta praw podstawowych[3]. Jest tam 15 plansz. Wystarczy uczyć na pamięć tych praw, nie trzeba Boga: każdy człowiek ma prawo się różnić, każdy człowiek ma prawo do tajemnic. Wystarczy. Wystarczy uczyć od zerówki.

DZ: *Ja też byłabym raczej za tego rodzaju działaniem, niż za działaniem, powiedziałabym, ostrym, odwetowym.*

IK: Ale to wcześniej, teraz już za późno dla niektórych. Jak byś chciała ich nauczyć?

DZ: *No tak, ale ja mówię też o języku dyskursu publicznego, prasowego, o języku, który się pojawił w Białymstoku. Myślę, że on jest niedobry w skutkach. Nie wiem, mam do niego jakiś dystans, może jestem idealistką. Tutaj pojawia się ten aspekt Twojej misyjności, gdzie jesteś taki ostry, że ja trochę drżę. Ale rozumiem, że to w szlachetnym, humanistycznym celu.*

IK: Tak, zamknąć i wystrzelać w szlachetnym celu. Wysterylizować.

DZ: *Jest nawet takie powiedzenie, które przy Twoim antyklerykalizmie może Cię zirytować, bo to ksiądz Twardowski: tak kochałem Boga, że dałem w mordę człowiekowi.*

IK: Tak, on był bardzo dobrym bonmociarzem.

KSM: À propos *religii, chciałabym nawiązać do prawosławia. Ono chyba nie drażni Cię tak, jak Kościół katolicki? Czy dlatego, że tutaj, w Polsce, może dzięki temu, że to jest religia mniejszości, Cerkiew nie wdaje się w układy z władzą, w politykę?*

IK: Cerkiew jest mniej obrzydliwa, mówiąc wprost. Bo nie mają siły. Nie mają siły, nie mogą uczyć w czasie mszy o seksie, nie mogą mówić, że gender atakuje, bo są słabi. I to jest wspaniałe. Dlatego lubię Cerkiew, bo jest słaba w Polsce. Mam różnych ukraińskich znajomych, pisarzy, pisarki, i tam Cerkiew jest tak ohydna (tam jest kilka cerkwi i wszystkie są ohydne), jak nasz Kościół katolicki. Bo tam mają siłę, za to Kościół katolicki, jako mniejszość, jest grzeczny, dba o wiernych, nie wprasza im się do sypialni, super, gitara. Dlatego lubię naszą Cerkiew, bo jest słabiutka. Piękne msze, chodzę na Wielkanoc jak na koncert, odbieram to estetycznie. Nawet daję pieniądze, bo w końcu za koncert się płaci. I przy tej cudownej polifonii, bez instrumentów, naprawdę odpoczywam. Oczywiście nie wierzę w Boga, bo Go nie ma, ale czuję się estetycznie dopieszczony.

KSM: *Ale ikonografia prawosławna też jest ważna, w* Cudzie *na przykład.*

---

[3] M. Węgrzecka, I. Zabielska-Stadnik, *Masz prawa, człowieku. Picture book na podstawie Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka*, Jabłonna 2014.

IK: Tak, wspaniała! Oczywiście o ikonografii mówię, nie o własnej książce.
KSM: *W* Cudzie *jest wiele takich ikonicznych obrazów.*
IK: Ikon, tak.
KSM: *No właśnie, i jak to było w odbiorze centralnym. Ktoś to zauważył?*
IK: W ogóle nie zwracano uwagi na tę prawosławność. Jedyną osobą, która zwróciła na to uwagę, był Leon.
KSM: *I my!*
IK: I Wy. Absolutnie nikt poza tym[4].
KSM: *To ciekawe, bo w* Cudzie *to naprawdę jeden z kluczowych elementów, zarówno na poziomie obrazowania, jak też fabuły.*
IK: Nawet kiedy Kinga Dunin pisała recenzję nowego *Cudu*, to w ogóle prawosławie nie przyszło jej na myśl. Czytała to, powiedzmy, z punktu mainstreamowego. Chociaż lewica to nie bardzo mainstream.
KSM: *Centralnego.*
IK: No dobrze, to jeszcze jakieś pytanko?
KSM, DZ: *Nie, dziękujemy.*

[4] Na temat roli ikonografii prawosławnej w *Cudzie* pisał też Michał Rusinek: *Problemy z metafizyką*, „Fa-art" 2007, nr 1/2, s. 61–62.

Gawęda o zastodolnym języku

Z Janem Leończukiem
nad listami Sokrata Janowicza rozmawiają
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska i Danuta Zawadzka
12 września 2014 r., Książnica Podlaska

Jan Leończuk: Ponowna lektura tych listów wywołała we mnie natłok obrazów z przeszłości. Kiedy Sokrat mieszkał w Białymstoku przy ul. Skłodowskiej, odwiedzaliśmy się niemal codziennie. Zawsze rano była tradycyjna herbatka i pogawędka na temat Klubu Literackiego – przecież oddziału Związku Literatów Polskich tu wtedy nie było, a chcieliśmy w jakiś sposób to środowisko scalać. Sokrat był tym – nazwałbym go wręcz guru – któremu się chciało nad tym pracować, bo my, młodsi, wykazywaliśmy raczej totalne lenistwo. Byliśmy też zaabsorbowani licznymi spotkaniami, odwiedzaliśmy ZLP w Warszawie, w Olsztynie (stanowiliśmy filię Oddziału Olsztyńskiego), gościliśmy pisarzy stamtąd. W garażu Książnicy Podlaskiej odkryłem pewnego dnia ogromny blejtram, płótno, który wisiał kiedyś w Klubie Literackim i wszyscy odwiedzający składali na nim swoje autografy. Robili to węglem, więc całość jest trochę zamazana, ale czytelna. Zastanawiam się, jak to zakonserwować.

Danuta Zawadzka: *Byłeś sekretarzem Klubu Literackiego?*

JL: Tak, byłem, nawet nie pamiętam, jak długo, natomiast to Sokrat prowadził rzecz całą. Ja byłem zbyt leniwy, poza tym miałem też liczne domowe obowiązki – mieszkałem na wsi, więc przez cały okres prac polowych od razu z uczelni pędziłem do domu, bo rodzice byli w podeszłym wieku, a później, kiedy się ożeniłem, pojawiły się dzieci, zatem bardzo mnie to absorbowało. Taki był mój los. Może dlatego – choć to oczywiście niczego nie tłumaczy – nie mogłem poświecić na działalność w klubie zbyt wiele czasu. Pozostała mi po tym biblioteka – ponad 20 000 tomów, bo nie miałem czasu na korzystanie z czytelni, a pracując na uczelni musiałem być trochę mądrzejszy od studentów, więc kupowałem książki.

Sokrat bywał u mnie w Łubnikach, gdzie odbywaliśmy doroczne spotkania, które były odpowiednio przygotowywane, tak żeby miały stosowną oprawę, alkoholizowaliśmy się przy tym nieco.

DZ: *Jakim trunkiem?*

JL: Mój tata gromadził spirytus – to było najłatwiej przyrządzić: rozcieńczało się jakimś sokiem. I tak cieszyliśmy się nawzajem swoją obecnością. Mamy wspólne zdjęcie z Krynek, na schodach domu, żyła jeszcze wtedy mama Sokrata. Zostało po tym okresie trochę pamiątek, fotografii. Pamiętam, jak zrobiliśmy Sokratowi wyjątkowy, dość dowcipny prezent z okazji jubileuszu. To była ikona (jest o niej mowa w tych listach) z portretem Sokrata w środku, a dookoła znajdowały się sceny z jego życia, na przykład, jak był męczony przez służby (wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak to wszystko wyglądało). Były tam też dwie wersje inicjacyjnej opowieści Janowicza o odkryciu przez niego białoruskiego języka jako pisma, literackiej mowy. W jednym z wywiadów Sokrat opowiadał bowiem o tym, jak przechodził obok księgarni i zobaczył książkę, która żywo przypominała jego rodzinny język. Ale jest też w „Kontrastach" zapis takiej rozmowy, w której wspomina, że poznał tę mowę, kiedy przyszli do Krynek radzieccy żołnierze. Jeden z nich wziął go na kolana (nie wiem, ile mógł mieć wtedy lat) i pokazał litery podobne do białoruskiego języka. Oba te obrazki są na tej ikonie. Pytałem nawet Sokrata, która z tych wersji jest prawdziwa, ale czyniłem to raczej żartobliwie, nie chcąc go dotknąć. Nigdy też zresztą nie udzielił mi odpowiedzi. Opowiadam o tym między innymi dlatego, żeby pokazać, że nie było między nami tematów tabu, każdy wiedział, kim jest i nie musieliśmy niczego udawać.

DZ: *Rozmawialiście po polsku czy po białorusku?*

JL: Różnie. W pewnym momencie powiedziałem mu, że nie będę już z nim więcej rozmawiał po białorusku, a to dlatego, że kiedyś namówił mnie na wypowiedź po białorusku w Radiu Białystok i kiedy wyszliśmy z nagrania, powiedział: „Wiesz co, ty mówiłeś po białorusku, jakbyś mieszkał pod Moskwą". Ja na to: „No dobra, Sakrat, eta aposzni raz było". I rzeczywiście, nigdy więcej już oficjalnie się tym językiem nie posługiwałem. Językiem mego dzieciństwa była gwara.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *To pomagało czy przeszkadzało w tłumaczeniu tekstów Janowicza?*

JL: Byłem już wówczas zwolennikiem tego, co dziś jest bardzo modne (pojawia się choćby w książkach Jana Kamińskiego), żeby regionalizmy czy zwroty gwarowe w tłumaczeniu zachowywać. Uważam, że nie należy oddawać języka prozy Janowicza sterylną polszczyzną, tym bardziej, że tematyka nie narzucała takiego stylu. No ale Sokrat miał inne zdanie, stawiał za wzór tłumaczenia Czopika-Leżachowskiego, Litwiniuka, Woroszylskiego, którzy patrzyli na ten język z dystansem, co zresztą było z pewnością bardzo interesujące. Ja natomiast tego dystansu nigdy zachować nie mogłem, więc np. przechodziłem w formę języka codziennego – uważam zresztą, że ten język „budzionny" powinien być do literatury wprowadzany, co na szczęście się dzisiaj dzieje.

Wybaczcie, że będę snuł dygresje, ale postać Sokrata wywołuje we mnie natłok wspomnień, które mnie samemu trudno uporządkować – tyle tego było.

Sokrat zawsze lubił opowiadać dowcipy, najprzeróżniejsze. Był w Białymstoku pewien radiowy dziennikarz, na którego temat miał taką historię: Stasio, jak się spotykał w wódczanym towarzystwie, zawsze usiłował zabawiać współbiesiadników

żydowskimi, antysemickimi dowcipami. Na co w pewnym momencie Sokrat nie wytrzymał i mówi: „Stasiu, czy ty mógłbyś już o swojej nacji w ten sposób nie opowiadać".

Byliśmy też na Białorusi, nawet nie wiem, czy wtedy towarzyszył nam Sokrat. Byliśmy w Mińsku. Teraz już jestem pewien, że bez Sokrata, bo był Omiljanowicz[1], a oni pozostawali w nieustannym konflikcie. Nie wiedziałem, na czym rzecz polega, ale jeden drugiego nazywał ubekiem. O Omiljanowiczu wiadomo było, że uprawiał to poletko, istnieje na to sporo dowodów. Między nim a Sokratem była jakaś historia, której nigdy nie rozplątałem. Wieść głosiła – przepraszam, że posługuję się plotką, bo nigdy tego nie sprawdziłem – że kiedyś do Komitetu Wojewódzkiego wpłynął memoriał w sprawie przyłączenia Białostocczyzny do Związku Sowieckiego. To było w latach pięćdziesiątych. Nie wiadomo, kto go podpisał. Myślę, że Sokrat znał tę historię, ponieważ ona się ocierała o białoruskość. To miało wpływ i na tworzoną wówczas literaturę, i na relacje międzyludzkie, ale nie pamiętam szczegółów, więc nie chciałbym bajdurzyć, to zbyt ważny temat.

DZ: *Sokrat był bardzo antysowiecki.*

JL: Tak. Dzięki Sokratowi poznałem wielu wspaniałych białoruskich pisarzy, między innymi Danutę Biczel-Zahnietawą[2], której wiele tekstów przetłumaczyłem, aż do ostatniego zbiorku zatytułowanego *Snapok*. Ogromne wrażenie wywarł na mnie wówczas również Janka Bryl[3]. Wyglądał jak szlachcic, brakowało tylko kontusza i pasa, mówił piękną, archaizującą polszczyzną. Zapamiętałem go z Mińska – pojechaliśmy tam jako delegacja białostockich pisarzy. Był już wtedy osobą, której w Mińsku za bardzo nie tolerowano, ale książki się jeszcze od czasu do czasu ukazywały. Wiem, że miał trudności z cenzurą. Także Biczel-Zahnietawa była nastawiona bardzo antysowiecko, co więcej – bezkompromisowa. Pamiętam, jak byliśmy w Zelwie w domu Larysy Geniusz – cały czas nas, mówiąc współczesnym językiem – monitorowano. Miało to taki smaczek sowieckości, którego nam tu czasem nawet brakowało w PRL-u. Byliśmy nieustannie inwigilowani, nie trzeba było być uważnym obserwatorem, żeby to poczuć. Wtedy właśnie dostrzegłem tę niezależność, którą reprezentowała Danuta Biczel-Zahnietawa. Tak antysowieckiego przemówienia, jakie wygłosiła w Zarządzie Głównym Związku Pisarzy Białorusi, nigdy tam nikt nie słyszał. Pamiętam, że zapadła straszna cisza, wręcz martwa, a pani Danuta łajała. Łajała oczywiście po białorusku, nie po rosyjsku, jak inni, a robiła to językiem wręcz knajackim. Opowiadam o tym,

---

[1] Aleksander Omiljanowicz (1923–2006) – polski pisarz, redaktor „Gazety Białostockiej" i „Niwy". Funkcjonariusz UB, współpracownik sowieckiego wywiadu wojskowego. Zmarł w więzieniu. Na jego temat zob. K. Konecka, *Na tropie dokumentów*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, red. zbiorowa, Białystok 1990, s. 185–192.

[2] Danuta Biczel-Zahnietawa (1937? 1938?) – białoruska poetka, nauczycielka, działaczka społeczna. Przez wiele lat zajmowała się gromadzeniem i badaniem spuścizny Maksima Bogdanowicza.

[3] Janka Bryl (1917–2006) – białoruski pisarz i tłumacz. Przełożył na język białoruski wiele utworów literatury polskiej (m.in. Tadeusza Różewicza, Elizy Orzeszkowej, Jarosława Iwaszkiewicza).

bo to bardzo interesowało Sokrata. Zresztą, przypomnę, dzięki niemu nawiązaliśmy kontakt ze środowiskiem białoruskich pisarzy. Sokrata tam wtedy nie było, zdaje się, że już nie miał możliwości wjazdu do Białorusi, podobnie jak Jurka Geniusz. Jechaliśmy tam jednak nasączeni ich opowieściami.

DZ: *Czyli Sokrat umożliwił wam kontakt z tą niezależną Białorusią jeszcze w latach peerelowskich?*

JL: Tak, udzielono nam informacji, kto jest kim, z kim należy, a z kim nie należy się zadawać. O innych osobach nam nie opowiadał, ani o Polakach, zresztą tam Polacy nic nie znaczyli. Tak zwani pisarze języka polskiego to tam słabe środowisko, wciąż rozbijane i dające się łatwo manipulować. Natomiast pisarze białoruscy, wobec zmasowanego ataku języka rosyjskiego, wręcz rusyfikacji, czuli z nami jakąś bliskość. Wytwarzała się ona także z innych powodów – Danka jest Białorusinką wyznania katolickiego. Jeździła do księdza staruszka, który jako jedyny na Białorusi odprawiał liturgię w języku białoruskim. Tłumaczył nawet Pismo Święte. Teraz kardynał Świątek[4] wprowadził do kościołów katolickich język białoruski, ale kiedyś było inaczej. Mam trochę za złe historykom kultury i literatury białoruskiej, że zbyt mało miejsca poświęcają roli Kościoła katolickiego w podtrzymaniu języka białoruskiego. Nie robił tego przecież kler prawosławny. Rozmawiałem o tym nawet ostatnio podczas konferencji w Gródku z Heleną Głogowską[5]. Bardzo się kiedyś buntowałem przeciwko tym przemilczeniom, bo ci katoliccy propagatorzy języka białoruskiego byli traktowani nie najlepiej zarówno przez Kościół katolicki, jak i przez Cerkiew. Wypadałoby pamiętać o ich działalności. Ja byłem zwolennikiem wprowadzenia mszy w języku białoruskim tutaj, w Białymstoku, w małym kościółku przy Farze. Miałem nawet przychylność kleru, znaleźliśmy odpowiedniego duchownego… Ale obawiano się, że arcybiskup Sawa się obrazi.

DZ: *Chciałabym Cię jeszcze zapytać o list z 1985 roku, bardzo pesymistyczny, napisany po białorusku, w którym Sokrat odmawia spotkania. Stwierdza tam, że nic nie ma sensu i muszą minąć wieki, zanim Polacy i Białorusini będą w stanie ze sobą rozmawiać. Co się wtedy stało? Co go skłoniło do napisania tego listu?*

JL: Ja z nim się w pewnym momencie pokłóciłem. Dotyczyło to wydanej nielegalnie zszywki „Biełaruskija Dakumienty", zdaje się sszytak 4. Nikt nie wiedział, że Sokrat był redaktorem, ja zostałem w to wtajemniczony. Znalazły się tam różne nadsyłane teksty (nie wiem, jak Sokrat je zdobywał), na przykład donos trzech kobiet, że są polonizowane, bo w cerkwi w Zabłudowie podczas liturgii zostało wygłoszonych kilka zdań po polsku. Na końcu Sokrat pomieścił znaleziony pod Hajnówką wiersz o papieżu *Ty biełyj sabaka*. To było tak prymitywnie ohydne. Padały słowa takie, jak „zdochniesz ty sabaka" i wiele innych epitetów.

---

[4] Kazimierz Świątek (1914–2011) – arcybiskup metropolita mińsko-mohylewski w latach 1991–2006, przewodniczący Konferencji Episkopatu Rzymskokatolickiego Białorusi w latach 1999–2006.

[5] Helena Głogowska – białorutenistka, przez 15 lat pracowała w Katedrze Kultury Białoruskiej UwB. Ostatnio opublikowała książkę *Stosunki polsko-białoruskie w XX wieku* (Białystok 2012).

Pytałem go później: dlaczego to opublikowałeś? Musiałeś? Nawet jeżeli jakiś dureń to napisał, jako redaktor nie powinieneś tego upowszechniać, zobacz, ile tym jednym tekstem wyrządziłeś złego swojej nacji. Mówiłem mu: Sokrat, bierzesz za to odpowiedzialność, po jaką cholerę to umieszczałeś, co przez to osiągnąłeś? Nic. Oprócz tego, że na białoruskość, przez taki tekst, spadło coś jeszcze. Czy chcesz być męczennikiem sprawy w ten sposób?

To doprowadziło do pewnego rozluźnienia naszych relacji.

DZ: *Byłeś zły na niego za to, że zepsuł coś, co razem budowaliście?*

JL: Oczywiście. Razem. Coś, w co wierzyłem – że może być dobrze między Białorusinami a Polakami. Ja czułem się i czuję się nadal Polakiem, natomiast uważałem, że można współdziałać, tyle że nie wolno pewnych rzeczy robić. Jeżeli ja bym napisał jakiś antybiałoruski paszkwil, to znaczy, że wszyscy Polacy tak myślą? Bez przesady.

Musiało to zapaść w pamięć Sokratowi, bo kiedy mieszkał już w Krynkach, ktoś przyniósł mi od niego zdjęcie, na którym widać Plac św. Piotra, Sokrata, Tanię, malarza z Walił – i papieża, już schorowanego, wiezionego na wózku. Zrobiło mi się dziwacznie. Pokazał mi tę fotografię, ale – ku mojemu zaskoczeniu, bo myślałem, że to dla nas, do zbiorów bibliotecznych – zaraz przysłał posłańca, żeby ją zabrał z powrotem. Opublikował ją potem w „Gazecie Wyborczej" i chyba nawet do nas wróciła. Tu mnie jeszcze bardziej telepnęło, bo nie lubię takich manipulacji przez „Gazetę Wyborczą". Zresztą mieliśmy potem jeszcze różne inne opowieści, na przykład kiedy Sokrat otrzymał Nagrodę Drawicza. Czuł się zawsze niedoceniony, więc bardzo go to wyróżnienie ucieszyło.

DZ: *Może dla pisarza mniejszości narodowej to było szczególne wyróżnienie.*

JL: Pewnie tak. Zdaję sobie sprawę z jednego: człowiek, który był ponoć ciągle spychany na pobocze potrzebował uznania. Wiem, jak bardzo się cieszył z londyńskich kontaktów, znajomości z Nadsonem[6], z wydania *Miniatur* po angielsku. Jako Polak, który się ociera o tę nację i wśród Białorusinów przyszło mi żyć, a im wśród Polaków… [tu myśl się urywa – dop. red.]

Drażniło mnie to mówienie o polonizowaniu – to już raczej nie Sokratowe, tylko Czykwina, ale nie Jana, Eugeniusza. Przecież Polacy, którzy wyjechali za chlebem do Ameryki, jak mazurzyli, to do dzisiaj siedzą gdzieś w brazylijskiej czy argentyńskiej głuszy i dalej mazurzą, już któreś pokolenie, nie mając nawet szkół. Więc mówię: Sokrat, nie tędy droga. Jeżeli ktoś się czuje Białorusinem albo tę białoruskość próbuje odnaleźć i odnajdzie, to będzie wierny do końca, choćby ją kaleczył, łamał, choćby to była niedoskonała białoruszczyzna, niedoskonały język.

DZ: *Ale musisz się zgodzić z tym, że tę tożsamość trudniej pielęgnować, kiedy trzeba ją odnajdywać, a nie jest to oczywiste, zastane. Poza tym droga awansu społecznego jest związana z językiem polskim.*

---

[6] O. Aleksander Nadson (1926) – białoruski ksiądz unicki, od 1946 r. mieszka w Wielkiej Brytanii. Współzałożyciel Związku Białorusinów w Wielkiej Brytanii. W 1971 r. został dyrektorem Białoruskiej Biblioteki i Muzeum im. Franciszka Skaryny w Londynie. Wizytator apostolski dla grekokatolików za granicą, rektor białoruskiej misji katolickiej w Wielkiej Brytanii.

JL: Wręcz odwrotnie. Funkcjonuje jeszcze inna prawda – że Białorusini są doskonale zorganizowani (i ja to podziwiam) w sensie wzajemnego wspierania się.
DZ: *Muszę powiedzieć, że to trochę mityczna opowieść, w rzeczywistości bardzo gorzka.*
JL: Być może, nigdy się w to nie zagłębiałem, bo uważałem, że to nie moje poletko. Aczkolwiek jeśli ktoś poruszał temat polonizacji, ostro reagowałem, bo się z tym nie zgadzam. Mieszkam w środowisku wiejskim, mieszanym, gdzie się na co dzień posługuje gwarą białoruską. Cóż tam była za polonizacja? Jak słucham teraz mojej sąsiadki, siedząc na tarasie – ona się polonizuje, zawsze była dość wulgarna w języku, a dziś mówi do wnuka: „Wnusiu, a gdzie ty idziesz? Wnusiu, a może z babcio zostaniesz". Dobrze, tylko ja pytam, dlaczego. Nigdy nie słyszałem, żeby próbowała mówić tym językiem, którym się posługiwała wcześniej. Czy ja ją spolonizowałem?
DZ: *Telewizja.*
KSM: *A może dzieci ją proszą, żeby nie mówiła do wnuka gwarą...*
JL: A może to jest tak, jak ja miałem w dzieciństwie? Kiedy byłem mały, posługiwałem się gwarą białoruską, budzionną. Można było w ten sposób rozmawiać w domu, między sobą. Natomiast funkcjonowało niepisane prawo: jeżeli pojawiał się na horyzoncie ktoś z zewnątrz, należało natychmiast przejść na język polski. Ja dostawałem lanie do siódmego roku życia. Ojciec brał mnie na kolano i wymierzał kilka klapsów w tyłek, a mama udzielała następującej reprymendy: „O, zobacz, Irka poszła do szkoły, podniesła ruki do hory i goworyt – ciociu, ja choczu srati. Toż mohła skazać – proszę pani, ja chcę wyjść do wychodka. A ty nie będziesz takoj chamułoj". I w ten sposób traktowano język. Można by to, jakby to Sokrat powiedział, rozdłubać i zobaczyć, co się pod tym kryje, ale według mnie nie kryje się nic. Ten język nie był jeszcze stabilny, ukształtowany na tyle, żeby można się nim było wszędzie posługiwać. Natomiast zawsze szanowaliśmy sąsiadów, którzy nim mówią. Jestem z katolickiej rodziny, ale mam dookoła prawosławnych, więc spędzamy jedne i drugie święta. Oni przychodzili do mnie i posługiwali się gwarą, ja zresztą też. Chociaż od kilku lat już nie. Teraz porozumiewam się tym językiem tylko z jednym sąsiadem, właścicielem tartaku, zresztą młodszym ode mnie. „Chodź, pohoworym po swojemu, znajesz, bo ja uże zabył sie" – mówi. I my z Marianem siadamy i sobie gawędzimy. Żeby była jasność: to nie jest wyśmiewanie tego języka. Mam wrażenie, że to powrót do dzieciństwa, i jego, i mój, i my próbujemy w tym języku przypomnieć coś, co gdzieś nam już w tym świecie umknęło.
DZ: *A czy Ty nie jesteś trochę zazdrosny albo zły na Białorusinów, na Sokrata, że Ci ten język dzieciństwa zabrali i mówią, że to jest ich, białoruski?*
JL: Nie, u nas to było traktowane inaczej. Dam jeszcze jeden przykład. Kiedyś Sokrat Janowicz, starając się o fotel senatora, rozwieszał plakaty i trafił do nas, bo blisko ulicy stała obora sąsiadów, której ściana pełniła funkcję tablicy ogłoszeń. Moja mama siedziała na ławeczce przed domem z moim młodszym synem. Tak mi potem o tym opowiadała: „Znajesz szto, dzisiaj byu Sakrat. On mnie

wpierw nie zhledziau, szto ja siedżu na ławoczce, ale podziwiusia i prydumau – bo był u nas wiele razy – tody pryszou da mnie i howoryt: dobryj dzień wam. No to ja jemu skazała: dzień dobry panie Sokracie. I on zaczau da mienie hawaryci pa budzionnomu. Howoryt, howoryt a ja oczy wywaliła i dziwlu sie i howoru tak: Panie Sokracie, a czy mógłby pan do mnie po polsku, bo ja nic nie rozumiem". I teraz taka konkluzja mojej mamy: „A szto on dumau, że znajszou durnuju wioskowu babu, szto budzie z nim budzionnym, zastodolnym jazykom howoryła? I znajesz szto – z znajszou jazyk u hubi i zaczau do mienie howoryci po polsku".

U nas ten język był językiem używanym w polu, w obejściu, natomiast jak się jechało do miasta czy miasteczka, to się nim nie mówiło. Zawsze mówiono, że ktoś, kto się posługuje takim językiem poza wsią, to chamuła. Był na przykład Jozik, o którym mój ojciec mówił: „Pryjechau znajesz ktoś z gminy czy z Biełostoku a on pryszou i zaczau z nim howoryć. Toj dziwitse… I on jakby zahledziau, szto nie tak treba, zaczau howoryć po polsku i wsio było uże u poradku".

Zastanawiałem się, czy to był jakiś rodzaj nacisku, ale doszedłem do wniosku, że nie. My po prostu, w tej strefie okołobiałostockiej, jesteśmy dwujęzyczni. Tu się te dwa języki zatrzymały.

Na przykład kiedy jest prawosławny pogrzeb, to moja żona, która pochodzi z ultrakatolickiej wsi, bierze bohohłaśnik i idzie śpiewać, bo nie ma komu. Oni jak przychodzą, to śpiewają po polsku i to jest takie ekumeniczne. Ale na przykład przyjeżdża baciuszka z Zabłudowa, młody wikary, ja przychodzę z dziećmi na ręku, żeby pożegnać zmarłego, bo już do cerkwi nie pojechaliśmy, i słyszę: „Zdzieś praszczajem raba bożewo Iwana Iwanowicza Daniluka, kotoryj żył w etoj dierewni". Moi synowie na to: „Tata, a o czym ksiądz mówi?". Więc ja – tu postąpiłem złośliwie – zacząłem głośno tłumaczyć. Chciałem mu zasugerować, żeby mówił gwarą, to wtedy moje dziecko zrozumie. Jest taka opozycja wobec języka rosyjskiego. To zaszłość na wsi bardzo głęboka, dlatego że dotyczy wojny, wywózek, działania sowietów, szkół, stąd ludzie mają taki, a nie inny stosunek, ale do białoruskości jako takiej nie. Tu wloką się jeszcze sprawy unickie. Gdyby cerkiew unicka została, wielu problemów by nie było, tak jak to jest na południe od Lublina.

DZ: *Wróćmy do czasów Twojej współpracy z Sokratem. Czy są jakieś dokumenty z działalności Klubu Literackiego?*

JL: One były, zdaje się, zdeponowane tu, w białostockim archiwum. Sokrat bardzo tego pilnował, sporządzał wszystko w kilku egzemplarzach, na co ja zawsze patrzyłem z przymrużeniem oka. Mówiłem: Sokrat, piedestał z tych papierzysk tworzysz, po jaką cholerę. Ale nie miałem racji, bo to jest ogromnie ważne świadectwo.

Jedno wiedzieliśmy – Sokrat nie znosił partyjniactwa, a ja nie miałem świadomości jego wcześniejszej historii, bo nigdy się tym nie pochwalił. Cały czas nie wiedziałem, skąd u niego wręcz fobia robienia dokumentów w kilku egzemplarzach, rozsyłania do różnych miejsc, kontakty z ośrodkiem londyńskim, z biskupem Nadsonem. Nie miałem pojęcia, że to wynikało z jego konkretnych doświadczeń. Mówił tylko ogólnie o ubectwie, o ubekach, natomiast nigdy nawet

nie podejrzewałem, że mógł znać ich bliżej. Wtedy w takim przyjacielskim gronie zawsze odbywaliśmy tego typu rozmowy, czasem z dowcipami, na przykład jak gdzieś nocowaliśmy, żartowaliśmy, że zobaczymy, kto wstanie pierwszy – to będzie znaczyło, że pobiegł donosić. Zakładaliśmy, że wszyscy, którzy nas odwiedzają, są w podobnej relacji z władzą, więc czuliśmy się bezpiecznie.

KSM: *Opowiadał Pan o momencie rozluźnienia znajomości z Sokratem, a ja chciałabym wrócić do jej początków. Kiedy się czyta tę korespondencję, kiedy się Pana słucha, można odczuć bliskość, jak była między wami, jakąś duchową więź. Z czego ona wynikała?*

JL: Tak, wystarczy spojrzeć na tę korespondencję. Na przykład z Wieśkiem Kazaneckim, z którym byłem też bardzo blisko, mam tylko dwie kartki, bo myśmy do siebie nie pisali. Sokrat, jako prezes Klubu Literackiego, wszystko dokumentował, zapisywał, robił jakieś protokoły ze spotkań, co nas śmieszyło i denerwowało, ale to jest inna sprawa. Ja z Sokratem, wrócę do tego, kiedy pracowałem na uczelni, na Świerkowej, spędzałem czas prawie codziennie. Wypijałem poranną kawę, wpadałem na herbatę. A pomimo tego zostało jeszcze trochę korespondencji. Z Wieśkiem też widywałem się właściwie co drugi dzień, ale nie zachowały się żadne listy. Wprawdzie Wiesiek mówił: „Przywiozłem ze Stanów dyktafon, spotkajmy się, przyjechał Hatif[7] [Janabi – dop. red.] porozmawiamy, nagramy nasze teksty i powielimy tę taśmę, żeby była pamiątka". Ja mówię: dobrze, a gdzie, Wiesiek, będziemy budowali swoje piedestały, w której części miasta? Obróciłem to w głupi żart, później żałowałem, bo widziałem, że zrobiło mu się smutno po tej mojej odzywce.

DZ: *A co w życiu literackim Białegostoku znaczyła ta zmiana – kiedy Sokrat przestał być prezesem Klubu Literackiego, a tę funkcję objął Kazanecki? Jest tu taki dokument, w którym Janowicz oświadcza, że nie będzie kandydował w kolejnych wyborach, bo uważa, iż jest nieodpowiednim kandydatem na czas, który nadchodzi.*

JL: Myślę, że Sokrat po prostu przekładał to na język polityczny, a tak naprawdę miał zbyt wiele roboty. I tak go traktuję jako giganta, jeśli chodzi o ilość papierów, które wytwarzał. Chciał po prostu być wolniejszy, natomiast nadal mieć wgląd w to, co się w Klubie dzieje. Wiedziałem, że to było dla niego męczące, tym bardziej, że jego dom stał się właściwie klubem. Przyjeżdża Jan Adamski[8] z Krakowa, nocuje u Sokrata, ktoś jeszcze – u Sokrata, Tania między kuchnią a gośćmi – przecież oni mieli niewielkie mieszkanko. Potem wyniósł się do Krynek nie tylko ze względu na matkę, która wymagała już, żeby ktoś przy niej był. Stanowiło to rodzaj ucieczki od tych wszystkich drobiazgów, które na niego spadły i którymi zajmował się od początku, a też nie było chętnych, żeby przejąć tę kłopotliwą spuściznę.

---

[7] Hatif Janabi [Hatif Al-Dżanabi] (1952) – irakijski poeta, pisarz, tłumacz, pracownik Instytutu Orientalistycznego UW, magister filologii polskiej, stopień doktora otrzymał w zakresie teatrologii. Publikuje w języku arabskim i polskim. Jan Leończuk był tłumaczem jego wierszy (m.in. tomy *Rozbite wiersze*, Białystok 1988 i *Dzikie kontynenty*, Warszawa 1991).

[8] Jan Adamski (1923–2010) – krakowski aktor i prozaik, prywatnie mąż Anny Świrszczyńskiej.

Ja miałem już wtedy własny klub, rodzaj garsoniery na Podedwornego, gdzie odbywały się różne spotkania – właśnie tam wisiała tablica, o której wspominałem. To trochę odciążyło Sokrata.

KSM: *Wrócę do mego pytania – co was do siebie zbliżało z Sokratem?*

JL: Z Sokratem w pewnym momencie łączyły nas wspólne zainteresowania, na przykład jeśli chodzi o historię. Ja się amatorsko zajmowałem historią Cerkwi unickiej na tym terenie. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego tak nagle zniknęli unici. Bardzo lubiłem, i Sokrat chyba też, to pomieszanie, które tutaj było, niezwykle zresztą interesujące, i nikomu nie przeszkadzało. Problemy pojawiły się dopiero później, w latach osiemdziesiątych, kiedy zaczęły wynikać różne sprawy polityczne. Pamiętam, jak zaszedłem do sąsiada i zobaczyłem broszurę, której nie zdążył sprzątnąć ze stołu. Te broszurki rozdawano, roznoszono, można je było nawet dostać w sklepach. Wiem, kto je robił. Była taka książka (udało mi się ją zdobyć do zbiorów Książnicy Podlaskiej), którą dystrybuowano w sklepie mięsnym przy ul. Malmeda, róg Piotrkowskiej, o tym, jak Polacy mordowali Białorusinów. Napisana przez pisarza, który jeszcze żyje, więc pozwolicie, że nazwiska nie wymienię, tworzącego zarówno w języku białoruskim, jak i ukraińskim. Janowicz go nie cierpiał, bo był kapitanem SB.

DZ: *Jak sądzisz, dlaczego w tym czasie, w latach osiemdziesiątych, które kojarzymy bardzo pozytywnie – z „Solidarnością", z odrodzeniem narodowym – relacje polsko-białoruskie zaczęły się psuć?*

JL: Z perspektywy czasu – bo wtedy tak na to nie patrzyłem, myślę, że to było wbijanie klinów przez podupadającą władzę. Wówczas wydawało mi się, że to tylko taki ludzki jazgot, wyrastający z różnych przyczyn, a dziś jestem święcie przekonany, że były to celowe zagrywki, żeby rozbić, rozwalić od środka opozycję. Kto by się trudził, żeby w sklepach mięsnych czy innych miejscach sprzedawać te książki? Musiała istnieć siatka ludzi, którzy to przyjęli, to musiało być zorganizowane odgórnie. Czy będąc zwykłym sprzedawcą wziąłbym taką książkę od byle kogo? To były bardzo bolesne sprawy, burzące jakikolwiek ład społeczny, więc dość mocno podpadały pod paragraf, bez względu na to, jaki panowałby ustrój. Pamiętam, z jakim trudem się budowało to porozumienie, ale się budowało. Odbywały się konferencje „Most czerez stahoddzia", między Polakami a Białorusinami, gdzie rozmawiało się nawet o drażliwych sprawach. Nie tworzyłbym legend z tego, że PRL na nic nie pozwalał. Istniały różne możliwości porozumiewania się. Oczywiście niechętnie patrzył na to komitet. Byłem tam raz z Sokratem, który to bardzo przeżywał, do tego stopnia, że gwałtownie potrzebował toalety, bo wizyty tam wywoływały rozstrój żołądka.

DZ: *Chciałabym, żeby to mocno wybrzmiało: uważasz, że te niesnaski były inspirowane i sterowane przez odchodzącą władzę?*

JL: Tak, przez odpowiednie służby, które się tym zajmowały, nie wiem, czy nie zajmują się do dziś. Dla mnie pieriestrojki w ogóle nie było, posłużyłbym się raczej terminem Marianny Bocian, że to jest pieriesrajka czerwonki.

DZ: *Naszą rozmowę chciałabym zakończyć pytaniem, które zadawałyśmy wszystkim: która z książek Sokrata jest Ci najbliższa?*
JL: Książką, którą najbardziej cenię, były jego drobne miniaturki, które nazwałem „sokratkami", potem tę nazwę przejął Waldemar Smaszcz. Wcześniej czytałem po białorusku *Zahony*, tak, jak umiałem, a później *Wielkie miasto Białystok*. Była jeszcze jedna książka, którą lubiłem – *Dolina pełna losu*.

Taki białoruski „swój chłop"

Z Waldemarem Smaszczem rozmawiają:
Grażyna Charytoniuk-Michiej,
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska i Danuta Zawadzka.
Białystok, 5 września, mieszkanie pisarza

Waldemar Smaszcz: Z góry uprzedzam – jest to dla mnie temat całkowicie zamknięty. Nie w złym sensie tego słowa – po prostu od stanu wojennego kompletnie się z Sokratem Janowiczem rozstałem. Jedyny styk, jaki z nim miałem – dramatyczny, ale anegdotyczny zarazem, to wspólna wyprawa pisarzy z Podlasia na Białoruś (wtedy jeszcze nie było Łukaszenki). Przy którejś z „dziesięciolatek" działało muzeum etnograficzne, gdzie wszystkie napisy były po rosyjsku. Wyglądało to tak, jakby prosty lud od początku mówił w tym języku. Sokrat usiadł do księgi pamiątkowej i zaczął pisać. Księga była dużego formatu, jak już dochodził do końca strony, dyrektorka zainteresowała się tym, co on tam wymalował. Kiedy zobaczyła, co pisał, wyrwała mu księgę, z księgi wyrwała stronę, porwała, podeptała: „ot, polskij nacjonalist pryjechał!". „My tu już siedemdziesiąt lat – mówiła po rosyjsku – budujemy człowieka radzieckiego, a taki z Polski przyjechał i tę pracę psuje". Prawie doszło do rękoczynów, bo ona się z Sokratem szarpała.
Danuta Zawadzka: *W którym to było roku, pamięta Pan?*
WS: Nie pamiętam dokładnie, ale zapewne pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Było to, jak mówiłem, sporadyczne spotkanie, bo od stanu wojennego kontaktów z Sokratem nie miałem. Wszystko, co wiem o nim, pochodzi z lat 1976–1981.
DZ: *Proszę powiedzieć, jak się ta znajomość z Sokratem kształtowała, jak Pan to dzisiaj widzi? Czy można wyróżnić w niej jakieś etapy, czy jest jakaś logika tego spotkania – jeśli wierzyć w to, że nie ma spotkań przypadkowych?*
WS: Zostałem w to wszystko „uwikłany" przez Janka Leończuka. W 1974 roku zacząłem pracować na białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Byłem po Toruniu, żadnych miejscowych korzeni czy znajomości nie miałem – na uczelni liczyła się wyłącznie Warszawa, więc funkcjonowałem kompletnie na uboczu. Jedynym moim zaczepieniem (zresztą bardzo dobrym) był mój szef, Andrzej Z. Makowiecki. Przysłał mnie do niego mój promotor, prof. Artur Hutnikiewicz, który

był recenzentem zarówno doktoratu, jak i habilitacji Makowieckiego. Zostałem więc niejako podrzucony, w dobrym tego słowa znaczeniu. Niestety, polonistyka toruńska bardzo się różniła od warszawskiej. Tutaj strukturalizm traktowano tak, jakby został odkryty w zeszłym roku. Minął pierwszy rok pracy, a ja wciąż się nie odnalazłem, myślałem nawet o wyjeździe. I wówczas przyszedł na uczelnię Janek Leończuk. Miał on instynkt stadny, był prawdziwym geniuszem w skupianiu ludzi wokół siebie. Nigdy nie przypuszczałem, że mnie coś takiego jak współczesna poezja zainteresuje, bo ja byłem od bardzo tradycyjnej literatury. Dla mnie, podobnie jak dla prof. Hutnikiewicza, poezja kończyła się na Skamandrytach. Wprawdzie jeden z tzw. „marcowych docentów" wykładał w Toruniu Różewicza, ale odbierałem tego poetę jako w niemałej części dorobku twórcę stalinowskiego, przy całym szacunku dla jego wielkości. Fraza: „szukam nauczyciela i mistrza" mieściła się w hasłach stalinowskich.

DZ: *Ale wcześniej było: „ocalałem prowadzony na rzeź".*

WS: To jednak był świat bez Boga, świat zanegowanych tradycyjnych wartości, w Toruniu to nie przemawiało: jeśli Pana Boga nie ma, to po co się zajmować taką literaturą. Wróćmy jednak do moich pierwszych lat w Białymstoku… Janek zaczął organizować spotkania literackie w „Bakałarzu". Zebrał się tam interesujący zespół młodych poetów: był Janek Sochoń, Leończuk, świętej pamięci Mareta, jeszcze wtedy Wyszyńska, i ja, jako krytyk literacki. Byliśmy naprawdę zgraną paczką.

DZ: *Proszę wyjaśnić – „Bakałarz", czyli…?*

WS: To był klub nauczyciela mieszczący się w piwnicy VI Liceum Ogólnokształcącego, wchodziło się od podwórza. I tam nagle ja, prosto z mojej skamandryckiej twierdzy, trafiłem do współczesnej poezji. Mało tego, okazało się, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, że jest to bardzo interesujące.

DZ: *Stało się to dzięki Leończukowi?*

WS: Tak, właściwie mnie tam wciągnięto. Wśród moich nowych znajomych było coś, co mnie naprawdę pochłonęło i w nieodległej perspektywie zmieniło wręcz moje wybory życiowe.

Zaczął się kształtować zalążek młodej literatury, której w Białymstoku niemal nie było. Byliśmy bodaj pierwszą zorganizowaną grupą, a nie jedynie środowiskiem tworzonym przez dość przypadkowe osoby i, oczywiście nie wiedząc o tym, staliśmy się łakomym kąskiem dla instytucji kulturalnych czy osób mających ambicje organizacyjne. Białostoccy pisarze wyrastali z dziennikarstwa, niemal wszyscy: Omiljanowicz – dziennikarz, Kraśko – dziennikarz, Sokrat – dziennikarz, nawet Wiesiek Kazanecki pracował w „Kontrastach"… Jan Czykwin nie był dziennikarzem, tylko filologiem. My zaś – nasza czwórka – wprost ze studiów polonistycznych trafiliśmy do literatury i ona była dla nas najważniejsza.

DZ: *Krąg uniwersytecki też okazał się środowiskiem, z którego wywodzili się pisarze.*

WS: Tak, ale to już później. Zanim powstała Filia Uniwersytetu Warszawskiego działy się w Białymstoku rzeczy niebywałe. Czytałem recenzję z granej w tamtych latach w teatrze sztuki Witkacego, gdzie autor wyznawał bardzo szczerze:

Witkacego nie czytałem, ale wydaje mi się, że to nie tak... Tu nie było wcześniej uczelni humanistycznej, działała tylko Wyższa Szkoła Inżynierska i Akademia Medyczna.

DZ: *Jaka była zatem wtedy rola Sokrata?*

WS: Sokrat okazał się najbardziej zręcznym graczem. Najpierw chciał nas „podebrać" Wydział Kultury. Pracował tam Tadeusz Antoni Masłowiecki, który miał wydany tomik poetycki, próbował – jak to się wówczas mówiło – „otoczyć urzędową opieką" młodych literatów, ale nic z tego nie wyszło. A Sokrat był naprawdę skuteczny. Można powiedzieć, że tak jak Leończuk w młodym środowisku, tak Janowicz w tym starszym był kimś niezwykle zdeterminowanym, kimś, kto miał dalekosiężne plany. Był czynny zarówno w kręgu Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, jak i środowisku białoruskim, skupionym przy „Niwie" jako grupa „Białowieża". Sokrat jeździł do centrali, do Zarządu Głównego Związku Literatów, podejmując starania o powołanie w Białymstoku Oddziału ZLP, jako że to było jedyne miasto wojewódzkie bez własnego Oddziału. Lokalne władze nie były zainteresowane powstaniem tej struktury, w ogóle nie chciały literatów. Podobnie jak nie chciały w 1945 roku Uniwersytetu Wileńskiego. Trzy czy cztery dni stał na bocznicy pociąg z Uniwersytetem Wileńskim, nim wyruszył w końcu do Torunia. Literatów zaś nie chciano, ponieważ obawiano się kłopotów, na przykład podpisywania jakichś list, protestów, itp...

Sokrat jednak ponawiał swoje działania, a gdy nie udało się, z wyżej wymienionych powodów, utworzyć Białostockiego Oddziału Związku Literatów Polskich, doprowadził do powołania Klubu Literackiego przy Oddziale Olsztyńskim. Ten Oddział – podobnie jak większość na tzw. ziemiach odzyskanych – był tworem dość sztucznym, powstały one bardziej dla wyeksponowania obecności i roli pisarzy na ziemiach, które po roku 1945 – jak mówiono – wróciły do Polski. Podobne jednostki tworzone były odgórnie, administracyjnie, tylko Białystok został tu pominięty, jako takie „ni to, ni owo" (część województwa: Ełk, Gołdap, Olecko przed wojną były przecież w granicach Prus Wschodnich). Związki z Olsztynem okazały się bardzo luźne, ale żeby jakikolwiek klub literacki mógł istnieć, musiał zostać formalnie przypisany działającej oficjalnie jednostce. Powstał więc w Białymstoku Klub Literacki przy Oddziale Związku Literatów Polskich w Olsztynie. To, co mi z tego zostało, to medal imienia biskupa Ignacego Krasickiego.

Prezesem Klubu został Sokrat.

DZ: *Reasumując, Sokrat, zanim został prezesem Klubu Literackiego, czynił starania, żeby powołać w Białymstoku samodzielny oddział ZLP?*

WS: Można tak powiedzieć, jednak aby powstał oddział, potrzebna była w tamtych realiach decyzja wojewody czy sekretarza partii. Oddziały powoływano trochę tak, jak drużyny piłkarskie. W PRL-u pisarz za przeniesienie się do jakiegoś miasta dostawał mieszkanie, etat. To był rodzaj handlu, kupowanie. W Białymstoku na przykład chciał zamieszkać jeden z bardziej aktywnych wówczas krytyków, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (miał żonę z tych stron), rodem z Zielonej Góry,

ale Białystok go nie chciał, bo nie chciano tu Oddziału ZLP. Waśkiewicz wyjechał zatem do Gdańska, gdzie dostał cztero- czy pięciopokojowe mieszkanie i w tym moim ukochanym mieście (tam się urodziłem) dokonał żywota.

Wszystko wtedy zależało od władz. Na organizację literacką na poziomie Klubu władze zapewne po prostu się zgodziły.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *Co się wówczas, w połowie lat siedemdziesiątych w mieście działo, czym się zajmowaliście?*

WS: Wszystko wydawało się niezwykłe. Mieliśmy po dwadzieścia parę lat i zaczynaliśmy swoją przygodę z literaturą. Jeździliśmy na seminaria do Warszawy, które organizował przy „Nowym Medyku" najważniejszy wówczas działacz ruchu młodoliterackiego, Jerzy „Leszin" Koperski, przygotowaliśmy wkładkę literacką do „Głosu Nauczycielskiego", podjęliśmy prace nad almanachem, ale z tego nic nie wyszło. Dzięki „Bakałarzowi" korzystaliśmy ze wsparcia Związku Nauczycielstwa Polskiego – zapewniano nam opłacanie kosztów podróży, noclegów w hotelu ZNP w Warszawie; uczestniczyliśmy w letnich seminariach literackich w Gdyni, w sejmiku „nauczycieli piszących" w Krakowie, etc.

Zdarzały się różnorodne sytuacje, które dzisiaj wydają się już tylko anegdotyczne. Pamiętam kiedy Janek Sochoń chodził w „glorii i chwale" po napisaniu wiersza *Pośród dziko rosnących krat*. Pokazywał nam z komentarzem: — Pisze się, ale kto to wydrukuje… Istotnie, po roku 1976 cenzura szalała. Napisałem artykuł o powieści produkcyjnej do „Zeszytów Naukowych FUW" – na bodaj 25 stronach było 29 ingerencji cenzury, nawet w cytatach z książek uczonych rosyjskich, członków Akademii Nauk Związku Sowieckiego. Tekst, oczywiście, nie ukazał się ani w tym wydawnictwie, ani w żadnym z ogólnopolskich czasopism, chociaż był przyjęty do druku.

Postanowiłem zażartować z mego kolegi, jak i redaktora wkładki literackiej w „Głosie Nauczycielskim". Założyłem się z Jankiem o butelkę wina, że wydrukuję mu ten wiersz. Wkrótce miałem pojechać do Warszawy na rozmowę w sprawie złożonej do druku naszej wkładki. Pan redaktor potraktował mnie z powagą, dodając jednak, że czegoś mu brakuje… — Jakiegoś „akcentu" na pierwszą stronę — wtrąciłem. — O, to właśnie! — usłyszałem i w tym momencie położyłem wiersz Janka na biurku. Pana redaktora aż odrzuciło, kiedy przeczytał tytuł, ale niemal w tym samym momencie twarz mu się rozpogodziła i powiedział: — No tak, tak… Teraz już niczego tu nie brakuje. Po prostu dopisałem dedykację „Pablowi Nerudzie", który – według ówczesnej wersji – został uśmiercony przez juntę wojskową po zamachu stanu w Chile.

Sochoń był jednak niepocieszony, bo w jego intencji wiersz dotyczył przecież sytuacji w Polsce. Doradziłem mu, żeby zamazał flamastrem dedykację…

Ot, i takie były nasze „gry i zabawy" w tamtych latach.

W Białymstoku nie było wiele możliwości samorealizacji. Właśnie wówczas – w połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku – miejscowi literaci stracili jedyne łamy, na których publikowali swoje utwory. Pojawił się Klemens Krzyżagórski i, uzyskawszy poparcie władz, przekształcił regionalny miesięcznik

„Kontrasty" w ogólnopolskie pismo literatury faktu[1]. Przy pani Krystynie Marszałek dział literacki prowadził Wiesiek Kazanecki, po zmianie formuły pisma wytworzyła się kompletna pustka. Klemens Krzyżagórski był dziennikarzem, nie krył swojej niechęci do literatury pięknej, powtarzał, że założył pismo reporterów, by przyciągnąć młodych autorów, „którzy zagubili się w wierszyku, anachronicznej już dzisiaj formie wypowiedzi".

Mając to na uwadze można powiedzieć, że przejęcie nas przez Sokrata dodało nam i naszej działalności powagi: to już nie była zabawa w literaturę, ale struktura ZLP. Wtedy o tym, że ktoś się dostał do Związku, pisały gazety, otrzymywało się kwiaty, odbywała się wielka uroczystość – w PRL-u wszystko było bardzo sformalizowane. Klub Literacki nie dawał żadnych uprawnień, nie mieliśmy nawet legitymacji, ale było to jednak jakieś zaczepienie się o ZLP. Uczestniczyłem w tym wszystkim, chociaż trwało to dość krótko…

DZ: *Jak zatem doszło do rozluźnienia Pana relacji z Klubem Literackim?*

WS: Najpierw, jak większość Polaków wychowywanych na kresowym sentymencie, byłem bardzo przejęty tym, że są tu autorzy piszący po białorusku. Zresztą ukończyłem przecież – można powiedzieć – Uniwersytet Wileński; za moich czasów toruński Uniwersytet Mikołaja Kopernika to było jeszcze w znacznym stopniu Wilno. Nawet w wojsku, gdzie mówiono per: „wy", „obywatelu", myśmy słyszeli: „proszę koliegów", bo oficerowie z Wilna byli zupełnie inni. Stąd to, co zastałem w Białymstoku zainteresowało mnie, próbowałem nawet czytać po białorusku, wprawdzie nie znałem języka, ale tak trochę z rosyjska.

Grażyna Charytoniuk-Michiej: *Co Pan czytał?*

WS: Czytałem Jana Czykwina – to była taka bardzo kulturowa liryka, nierzadko bliska poezji czystej. Sokrat pojawił się na zasadzie ciekawostki. Nie miał w sobie nic z mojego pojęcia o literaturze. Był kompletnym samorodkiem. Nawet – ostentacyjnie, ale to naprawdę ostentacyjnie – takim białoruskim „swoim chłopem". Używał słów byle jakich…

DZ: *Chce Pan powiedzieć: pospolitych?*

WS: To było w jego poetyce, nie było przypadkowe. A jeszcze jego fizis. Czykwin szczuplutki, inteligent, wyciszony, starannie ogolony (nie było jeszcze mody na kilkudniowy zarost). Janowicz – kompletne przeciwieństwo. A jednak po bliższym poznaniu ciekawszy wydawał się Sokrat. Czykwin był, powiedziałbym, „książkowy", w jego poezji nie było nic zaskakującego. Sokrat był samą niespodzianką, zarówno w twórczości, jaki i w życiu. Nigdy nie było wiadomo, co zrobi. Pamiętam na przykład taką sytuację: ja w ogóle nie piję wódki, co nie znaczy, że jestem abstynentem – piję wino. W Białymstoku natomiast w tamtym czasie jeżeli ktoś nie pił wódki, traktowany był jak abstynent (człowiek rzetelny pije mocne trunki). Kiedy się spotykaliśmy w Klubie Literackim, z jakichś mniej lub bardziej

[1] Krystyna Marszałek była redaktorką naczelną „Kontrastów" od początku ich powstania w 1965 r. (ukazała się wtedy jednodniówka pod tym tytułem). Klemens Krzyżagórski przejął redagowanie pisma w 1974 r. Na temat „Kontrastów" zob. K. M a r s z a ł e k, *Czas odległy, a jednak bliski*, Białystok 2006.

ważnych okazji stawiano pół litra na stole. Na któreś spotkanie Sokrat przyszedł i z żartobliwym odcieniem pogardy postawił obok wódki wino, mówiąc: masz, i ty się napij.

Sokrat był bardzo familiarny. Był pierwszym pisarzem, który zorganizował swój jubileusz (oczywiście prywatnie, bo, jak powiedziałem wcześniej, w Białymstoku życie literackie niemal nie istniało). Zaprosił nas do siebie (pamiętam, że na pewno, oprócz mnie, Czykwina i Leończuka), do Krynek, świętowaliśmy jego jubileusz, zachowało się nawet zdjęcie, które publikowano w jakichś okolicznościowych wydawnictwach. Pod każdym względem, także prywatnie, budził zainteresowanie. Podjąłem nawet wysiłek – bo znałem jego twórczość jedynie w tłumaczeniach – żeby *Srebrnego Jeźdźca* przeczytać po białorusku. To naprawdę była dla mnie duża praca.

DZ: *Co więc stało się powodem ochłodzenia stosunków między Wami?*

WS: Właściwie od razu zaczęły się przysłowiowe schody. Napisałem recenzję[2] ze wspomnianego *Srebrnego Jeźdźca* z osobnym akapitem o Konstantym Kalinowskim, jako polskim szlachcicu, który działał na rzecz Białorusi. Sokrat powiedział do mnie wtedy, tak familiarnie: — U nas o Kalinowskim pisać nie ma potrzeby — i wyrzucił to wszystko z tekstu. — Kastusia Kalinouskiego zna każdy Białorusin, więc to niepotrzebne – argumentował. Poza tym napisałem tę recenzję po polsku, więc w druku powinna zostać zamieszczona informacja, że to tłumaczenie, tymczasem okazało się, że Smaszcz napisał artykuł w języku białoruskim. Nigdzie w „Niwie" nie było notatki, że to przekład z języka polskiego. Kiedy zapytałem o to Sokrata, powiedział, że ktoś coś zgubił w redakcji. Ta sytuacja powtórzyła się po jakimś czasie, przy okazji mego innego tekstu. Tym razem już zaprotestowałem, przecież w przeświadczeniu czytelników byłem autorem tekstu napisanego po białorusku. Wtedy Sokrat z całą otwartością powiedział, iż nie do pomyślenia jest, aby odnotowywać, że ktoś w Białymstoku nie potrafi pisać po białorusku.

DZ: *Na pewno tak Panu powiedział?*

WS: Tak. Po tym incydencie nic już więcej dla „Niwy" nie napisałem. Drugi punkt, który stał się powodem ochłodzenia naszych relacji, to celebrowane przez Sokrata oficjalne spotkania Klubu, powiedzmy nawet: „posłuchania" u władz różnego szczebla. Zupełnie nie odpowiadały mi ponawiane wizyty a to w Komitecie Wojewódzkim Partii, a to w Wydziale Kultury Urzędu Wojewódzkiego, nie uczestniczyłem w nich. Sokrat kilka razy w roku musiał być albo u dyrektora wydziału kultury, albo u wicewojewody, albo u sekretarza partii. Ja byłem synem organisty, więc dla mnie pójście do Komitetu Wojewódzkiego to była jakaś abstrakcja.

Gdybyście Panie sięgnęły do archiwum – na pewno jest gdzieś zachowane – zobaczyłybyście całą dokumentację działalności Klubu. Sokrat wydawał komunikaty, opracowywał sprawozdania. Było tego bardzo dużo. Przewijało się tam bez przerwy: dyrektor wydziału kultury przyjął; sekretarz czy ktoś tam przyjął;

[2] „Niwa" 1978, nr 44, s. 2, 4.

wicewojewoda przyjął. Ja na podobne spotkania nie chodziłem. Jestem wychowankiem duszpasterstwa akademickiego toruńskich jezuitów. A niestety to szło na moje konto, bo Sokrat pisał: Zarząd Klubu Literackiego został przyjęty...
DZ: *Pan był wtedy w Zarządzie?*
WS: Nie pamiętam, wydaje mi się, że byłem przez cały ten czas.
DZ: *Mamy dostęp do korespondencji Sokrata z Janem Leończukiem i w tych listach Janowicz często skarży się na to, że ciągle musi chodzić do władz, pisze, że chciałby, żeby ktoś go zastąpił albo mu towarzyszył. Z tej korespondencji wynika, że mu to ciążyło.*
WS: Warto wziąć pod uwagę wymowny cytat z Leończuka, jaki zapamiętałem z jednego z pierwszych spotkań w „Bakałarzu":

> ...może groch też nie lgnie ściany
> może wierszem trudno zmilczeć
> swój życiorys kreowany[3].

Byłem historykiem literatury. Mój promotor, prof. Hutnikiewicz, uczony pochodzący ze Lwowa, przekazał nam bardzo zasadniczy, powiedziałbym: niemiecki stosunek do literatury. Leończuk, i Sokrat, i Sochoń byli poetami... Ich świat nie był moim światem. Czasami czułem się w sytuacji Poety z *Wesela*: niby byłem w środku, ale nie do końca uczestniczyłem w zdarzeniach. Cały czas miałem pewien dystans do tego, co się działo w Klubie – po prostu nie bardzo umiałem się odnaleźć w tym środowisku. W samym sposobie bycia moich kolegów było coś, co mnie niekiedy wręcz bulwersowało. Janek Leończuk już pracował na uczelni, Sochoń był jeszcze studentem, a przekrzykiwali się w „Bakałarzu" jak sztubacy. Dla mnie było to niepojęte. Sochoń był takim białostockim Passentem – czytał wszystkie książki. Zdarzało się, że wołał do Janka, zwracając się do niego po imieniu: „kto ci dał dyplom?". Leończuk odpowiadał: „a tobie kto dał maturę?". Można wprawdzie powiedzieć, że były to jedynie słowne utarczki kolegów, ale w spotkaniach uczestniczyli studenci, co zupełnie zmieniało sytuację. To, oczywiście, tylko jeden z przykładów.
GChM: *Nie pasował pan do białostockich klimatów?*
WS: Nie, i chyba nadal nie pasuję.
GChM: *Polacy i Białorusini, czym oni się właściwie różnią? Na przykład na poziomie mentalności. Pochodzeniem?*
WS: Jestem przekonany, że gdyby nie łacińska religia, którą przyjęliśmy, bylibyśmy tacy jak Białorusini i Ukraińcy, niczym byśmy się nie różnili. Wystarczyło przyjąć chrześcijaństwo w obrządku wschodnim, jak Ruś Kijowska, a nie mielibyśmy nic z Zachodu. Jeśli zaś chodzi o mnie, to mój tata był Wielkopolaninem, mama z Kujaw, ale tych „wielkopolskich", bo z Inowrocławia. Moją całą rodzinę kształtowało sąsiedztwo z Niemcami. Miałem nawet z tym niemały problem

[3] Nie udało się ustalić, czy ten wiersz został kiedykolwiek opublikowany.

w dzieciństwie. Kiedy w Polsce powracały jakieś niepokoje, moja mamusia załamywała ręce i mówiła: „Boże, co za bałagan, gdyby tu byli Niemcy, nigdy by do tego nie doszło". W szkole gomułkowskiej był zdecydowany kurs antyniemiecki, w domu zaś słyszałem coś zupełnie innego.

DZ: *Czyli rodzaj fascynacji wyższą kulturą niemiecką?*

WS: Nie, nie fascynacja, raczej skutek wzrastania w określonym środowisku. Rzutowało to, oczywiście, na życie codzienne, bo jeśli idzie o literaturę, było już zupełnie inaczej. Tu, przeciwnie, użyłbym tego słowa w odniesieniu do mojego nowego miejsca zamieszkania i kolegów-pisarzy – fascynowała mnie żywiołowość Leończuka czy Sokrata. Wyważony racjonalizm poznaniaków raczej sztuce nie sprzyjał. Znam dowcip, który mówi, że gdyby Ewa była poznanianką, nie doszłoby do grzechu pierworodnego, bo jabłko by zawekowała.

Jest jeszcze jedna rzecz, która sprawiła, że rozstałem się także z Leończukiem. Nie byłem stąd, więc nie miałem ani serca, ani szczególnego sentymentu do tego, co lokalne, tym bardziej, że dla nich była to przede wszystkim kultura ludowa. Sokrat na początku uznał mnie wręcz za prowokatora, kiedy wyraziłem swoje zdanie na temat „Kontrastów". Białostoccy literaci na każdym zebraniu wyrażali swoje żale, pisali do władz pisma, że Krzyżagórski zabrał „Kontrasty" i że nie mają gdzie publikować. Ja zaś zapamiętałem z czytanej mi jeszcze przez mamę bajki Mickiewicza *Lis i kozioł*, „że rozpaczać jest to zło przydawać do zła". Nawiązując więc do zaistniałej sytuacji, powiedziałem: skoro sami mówicie, że pismo było słabe, płacono fatalnie, to nie warto rozpamiętywać tej straty. Gdyby „Kontrasty" istniały w dawnej postaci, to jako że człowiek jest leniwy, drukowałoby się na miejscu. Jeśli zaś nie można tutaj, należy publikować w Warszawie. Sokrat uznał wtedy (ja debiutowałem już w tych „nowych" „Kontrastach"), że jestem przysłany przez Krzyżagórskiego, żeby rozbić Klubowe towarzystwo. A dla mnie było to naturalne. Co by nie mówić, że powołam się na Miłosza, jeżeli jest się pisarzem czy jakimkolwiek artystą, trzeba zaistnieć w stolicach – tam skupiają się najważniejsze środowiska artystyczne, kształtują się hierarchie. A Leończuk najlepiej czuł się tu, u siebie. Sokrat tak samo. Ja debiutowałem wprawdzie w 1975 roku recenzją w „Kontrastach"[4], ale już w dwa lata później ukazał się w „Poezji" najpierw mój obszerny esej o Janie Lechoniu[5] i jeszcze tego samego roku o Jerzym Liebercie. Zrezygnowałem z pisania recenzji w „Kontrastach", podjąłem stałą współpracę z „Poezją", potem z „Literaturą", „Tygodnikiem Kulturalnym", „Kulturą", „Kierunkami"…. Emocjonalnie nie byłem związany z Białostocczyzną, pisałem głównie o poezji, i to tej wielkiej, natomiast w recenzjach omawiałem też książki miejscowych autorów. Leończuk potrafił powiedzieć uszczypliwie: – Waldek poniżej Miłosza nie pisze… Nadal byłem jednak obecny na różnorodnych zebraniach, organizowanych w Białymstoku wiosnach i jesieniach literackich.

---

4 „Kontrasty", 1975, nr 5, *Bohaterka dla Boy'a*.

5 „Poezja", 1977 nr 4, *Poetyckie znaki zodiaku. Lechoń.*

KSM: *Jak Pan myśli – istniała przecież „Białowieża", działało Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne – dlaczego Sokratowi zależało na tym, żeby powołać Oddział ZLP?*
WS: Wydaje mi się, że wiem, dlaczego, tylko obawiam się, czy to kogoś nie urazi. Pisarze białoruscy byli w jakiejś mierze przegrani. Rozmawiałem o tym i z Czykwinem, i z Sokratem. Swoich czytelników w rodzimym języku mieli niewielu. Przybysze z białoruskich wsi w mieście szybko polonizowali się, a na wsi rzadko czytano utwory literackie. Byli zatem skazani na tłumaczy i polskich odbiorców. Tak w znacznej mierze zostało do dziś. Przecież prof. Teresa Zaniewska[6], która zrobiła habilitację z tej literatury, jest polonistką, nie miała żadnych związków z kulturą białoruską, przynajmniej do pewnego czasu...
GChM: *A skąd taki wniosek, że nie czytali?*
WS: Sokrat zapewne by tego nie powiedział, natomiast Czykwin miał więcej dystansu do siebie jako białoruskiego poety. On zresztą pisał wcześniej i po rosyjsku (jest filologiem rosyjskim), i po polsku, ale trafił na lata dominacji Przybosia w naszej poezji, więc ta jego naturalna śpiewność nie znalazła odzewu. Zatem jego rodzimy język, z którego wyrastał, czyli białoruski, nie był jego jedynym językiem.

Przytoczę anegdotę, jaką usłyszałem od Czykwina. Opowiadał ją z gorzkim uśmiechem. Sokrat kiedyś zaprosił go do Krynek, aby podczas jakiejś zabawy ludowej wspólnie wystąpić z białoruskimi wierszami. Organizator w pewnym momencie przerwał zabawę i ogłosił, że teraz „nasi chłopci wierszy paczytajut". I tu – Czykwin opowiadał, co się stało, kiedy weszli na scenę – rozbawiony tłum zawył. Większość była podchmielona, kilku ruszyło w stronę poetów. Czykwin dodał, że uratowało ich to, iż scena znajdowała się na wysokości otwartego okna. „Sokrat pierwszy dał susa, ja za nim." „Wiesz, jak daleko nas gonili..." – zakończył swoją opowieść.
DZ: *To po prostu było nie w porę, trudno na podstawie tej anegdoty przesądzać, czy ludzie chcieli czytać po białorusku.*
WS: Ależ o tym mówili mi sami zainteresowani. Każda diaspora znajduje się w podobnej sytuacji. Po 1945 roku wielu polskich pisarzy znalazło się na Zachodzie i niemal wszyscy byli skazani na funkcjonowanie w środowiskach polonijnych. Jedynie pojedynczym, jak Gombrowicz czy Miłosz udało się przekroczyć ów zamknięty krąg.

Sokrat był podobnym wyjątkiem w środowisku pisarzy białoruskich tworzących w Polsce. Budził zainteresowanie – jak już wspominałem – choćby dzięki swojej plebejskiej rubaszności. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że z każdej sytuacji wydobywał się, jak ów sienkiewiczowski Szwed wrzucony do przerębli – wypływał drugą i jeszcze ze śledziem.

Był też ciekawy dla tłumaczy, choćby przez tę swoją nieokreśloność formy artystycznej – najczęściej klasyfikowano jego krótkie utwory jako liryki pisane

[6] T. Zaniewska, *Strażnicy pamięci: poezja białoruska w Polsce po roku 1956*, Białystok 1997.

prozą; dodam, że nazwę „sokratki" wymyślił Leończuk. On zaś pisał nie tyle prozę poetycką, ile „po swojemu", co mu w duszy grało, i to stanowiło jego atut. Charakterystyczne, że w powieściach doznał porażki – napisał dwie i przeszły bez echa. Jego siłą – powtórzę – była nieokreśloność formy. Ale znowu – niewielu z własnego środowiska potrafiło go docenić. Istniał przede wszystkim w polskiej literaturze i w polskiej krytyce literackiej.

DZ: *Wtedy, kiedy Pan go poznał?*

WS: Tak było przez cały czas.

DZ: *Ale miał przecież związki z pisarzami białoruskimi.*

WS: Niewiele wiem o recepcji jego twórczości na Białorusi, ale pamiętam, że kiedy przeglądałem – pracując nad większym studium o Sokracie – zgromadzone wycinki dotyczące jego twórczości, to publikacji z Białorusi nie było wiele. Sokrat miał też pecha, jeśli idzie o polskie przekłady. Świetnym tłumaczem był Jan Czopik-Leżachowski, który przełożył tom *Zapomnieliska*. Wkrótce po ukazaniu się tej książki zginął – miał zawał podczas jazdy samochodem i się rozbił. Na szczęście równie dobrym tłumaczem okazał się Jurek Plutowicz, bardzo utalentowany pisarz.

Janowicz – raz jeszcze powtórzę – był oryginalny, paradoksalnie, przez swoje nieukształtowanie formalne. Z wykształcenia był zarówno filologiem białoruskim – na poziomie Studium Nauczycielskiego – jak i filologiem polskim po warszawskiej polonistyce. Teoretycznie mógł być pisarzem i białoruskojęzycznym, i polskojęzycznym. I – wyraźnie rozdzielając swoją twórczość – był dwujęzyczny, jednak polonistyka nie wywarła żadnego wpływu na to, co było *copyright* Sokratowe – owe „sokratki". Także jego sposób mówienia, leksyka, nigdy nie były – by tak powiedzieć – polonistyczne. Sądzę jednak, że w tym przypadku było trochę pozy. Lubił uchodzić za równiachę, familianta w sposobie bycia, człowieka biesiadnego.

KSM: *Kontynuując wątek Klubu Literackiego, chciałam zapytać o jego kolejnego prezesa, Wiesława Kazaneckiego. Jakie były relacje między tymi dwiema, nie da się ukryć, najbardziej wyrazistymi postaciami ówczesnego środowiska literackiego?*

WS: Wiesiek był mi bardzo bliski, także przez to, że nie był „białostocki". Kazaneccy są rodziną krakowską, jedynie malutka gałązka zahaczyła o Białystok. Bliskie mi było podejście Wieśka do literatury, traktował ją bardzo serio. To był klerk, absolutny benedyktyn, jeśli chodzi o pracę literacką. Mógł kilkanaście lat pracować nad wierszem, aż osiągnął to, co zamierzał. Miał też wyjątkowo wyostrzone poczucie ważności literatury. I to zarówno w sprawach fundamentalnych, jak i życia literackiego. W latach osiemdziesiątych, kiedy już literaturę zaczęto spychać na margines, podczas jednej z Warszawskich Jesieni Poezji (a trzeba wiedzieć, że ze względu na międzynarodowy charakter tego festiwalu pisarzy kwaterowano w hotelach „Orbisu" – przez tydzień można było pławić się w luksusie, jak na lata PRL-u, oczywiście) nie dopilnowano czegoś i ulokowano nas w „Nowotelu" przy lotnisku „Okęcie". Warunki były bodaj lepsze nawet, jednak daleko od Krakowskiego Przedmieścia, gdzie mieściła się siedziba ZLP i toczyły

się obrady. Wiesiek nie pojechał. — Co? Pisarzy za miasto? — I w najmniejszej mierze nie wynikało to ze względów osobistych. Wiesiek miał głębokie poczucie misji pisarza, świadomość roli literatury.

DZ: *Sądzi Pan, że Sokrat nie miał poczucia misji?*

WS: Ale Sokrat zupełnie inaczej do tego podchodził. Dla niego literatura była częścią życia, jednym z elementów realizacji szerszych celów. Dla Wieśka przeciwnie – używając nieco patetycznego sformułowania, pisarz był jedynie narzędziem, szafarzem Słowa. Wiesiek swoje życie całkowicie podporządkował literaturze. Pracowaliśmy razem w „Białostockim Informatorze Kulturalnym", Wiesiek był redaktorem naczelnym[7]. Nawet w tym niewielkim biuletynie wygospodarował niemało miejsca dla literatury, mnie namówił na cykl obszernych interpretacji wierszy polskich od Jana Kochanowskiego, zapewniając godziwe wynagrodzenie. Omawialiśmy wybrane do każdego numeru utwory i dodam nieskromnie, że interpretacje trzech wierszy Norwida ukazały się w monograficznym numerze „Poezji" poświęconym temu poecie, podobnie jak kilka innych tekstów z tego cyklu, a jeden, omawiający *Pieśń o Stefanie Starzyńskim*, znalazł się w podręczniku dla VII klasy. Redagowanie BIK-u dawało Wieśkowi wiele satysfakcji, było to jego autorskie przedsięwzięcie, kiedy jednak pracował nad nowym tomem, pozostawił BIK, wziął półroczny czy roczny nawet urlop, by w spokoju przygotować kolejną książkę poetycką. Dodam, że był to urlop płatny, czego Wiesiek nie uważał za jakiś szczególny przywilej – on wówczas pracował nie mniej, a nawet bardziej intensywnie niż redagując BIK. Nie wyobrażam sobie Wieśka organizującego i dokumentującego bieżące życie literackie Białegostoku. Dla niego byłaby to niepojęta strata czasu. On i Sokrat to były absolutnie różne światy. Wiesiek wszakże cenił twórczość Sokrata, pamiętam, jak kiedyś powiedział: — „Kto wie, czy na piersi naszej literatury nie wykarmił się najlepszy pisarz białoruski". — Nie wynikało to bynajmniej z poczucia wyższości, ale z potrzeby zachowania hierarchii, bez czego trudno mówić o sztuce.

Znałem Wieśka ponad dziesięć lat, przez pewien czas – jak wspomniałem – pracowaliśmy razem, jeździliśmy na seminaria literackie i festiwale poetyckie po całej Polsce, przyjaźniliśmy się. Gdybym miał najkrócej go scharakteryzować, powiedziałbym to, co mówiono na emigracji o Kazimierzu Wierzyńskim: był poetą i jest to najlepsze, co można o nim powiedzieć. I jeśli moralnością pisarza jest wierność uprawianej sztuce, należał do najgłębiej moralnych artystów. Żył literaturą, przez te lata w zasadzie o niczym innym nie rozmawialiśmy. Zapamiętałem też takie zdarzenie z ostatnich lat życia Wieśka. W latach osiemdziesiątych był kierownikiem literackim w powstałym wówczas Oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej w Białymstoku. Miał tam pół etatu, a wówczas było mnóstwo spotkań autorskich, z których można było żyć znacznie lepiej, niż z redaktorskiej pensji. Powiedziałem kiedyś, będąc u niego: po co ci ten etat,

[7] „Białostocki Informator Kulturalny" ukazywał się od 1973 r., w 1981 został przemianowany na „Zdarzenia", a w 1992 – „Styk". Od początku był organem Wojewódzkiego Domu Kultury (później przemianowany na Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury).

pojedziemy dwa razy w miesiącu na spotkania i będziesz miał znacznie więcej niż twoja pensja. Na co pani Halina Kazanecka niemal zawołała: — „Panie Waldku, proszę tego nie mówić". — Ale dlaczego, zapytałem. — „Przynajmniej dwa razy w tygodniu z domu wyjdzie".

Kazaneccy mieszkali na parterze, a matka Wieśka sama na piętrze, gdzie udostępniła synowi pokój do pracy. Wchodząc tam, trzeba było najpierw rozgarnąć dym papierosowy, żeby zobaczyć Wieśka nad książkami lub z piórem nad kartką papieru; czasami w fotelu z rękami założonymi za głowę i daleko wysuniętymi nogami (miał dwa metry wzrostu!) – czytał lub pisał, albo myślał. To było jego życie. Opowiadała mi jego żona, że pracując, był zupełnie nieobecny. Kiedy próbowała go przywołać na dół, Wiesiek po kilku zawołaniach pojawiał się w połowie schodów. Usłyszawszy jednak, że chodzi o coś zwyczajnego, odpowiadał zdziwionym głosem: — Halina, ja nad wierszem siedziałem, a ty mi takimi głupstwami zawracasz głowę! — I... wracał do siebie.

A Sokrat... Wiesiek nigdy nie poświęciłby czasu na to, co zrobił Sokrat, który nas, młodych, wynalazł, zgromadził wokół siebie; jeździł, jeździł, aż doprowadził do powstania Klubu i ogarniał tę całą machinę. Mógł narzekać, jednak robił to wszystko. Były to osobowości absolutnie do siebie nieprzystające.

DZ: *Ale przypomnijmy, że to on prezesował po Sokracie w Klubie Literackim. Co znaczyła ta zmiana?*

WS: Zbiegła się ona z przemianami w Polsce, a i my byliśmy też inni, każdy z nas podążał już swoją drogą... Być może widzę to jedynie z własnej perspektywy, ale mi Klub zupełnie przestał być potrzebny. Był to zresztą zupełnie inny Klub. Wiesiek nie miał nic z animatora życia literackiego. Jeszcze w Klubie, na zebraniach starał się spełniać obowiązki prezesa, ale to było wszystko. Wracając do domu, zamknąwszy drzwi swojego pokoju, był wyłącznie poetą. Podobnie było wcześniej, kiedy po odejściu z „Kontrastów" uczył w liceum pielęgniarskim. Wychodząc ze szkoły, przestawał być nauczycielem; na przykład w ogóle nie zanosił do domu uczniowskich zeszytów, sprawdzał je na miejscu.

DZ: *Na podstawie przeprowadzonych do tej pory rozmów i materiałów, jakimi dysponujemy, rysuje nam się postać Sokrata jako tego, który wynajdywał twórców, skupiał wokół siebie ludzi, próbował organizować środowisko, także później, po 1989 roku.*

WS: Tak, chciał być zawsze takim guru. Wśród nas, myślę o naszej nieformalnej grupie, nie miał na to szans, ponieważ istniała tu absolutna sprzeczność interesów. Myśmy chcieli być pisarzami, a on zaś potrzebował zaplecza do własnych działań.

DZ: *Myśli Pan, że aż tak? Może chciał po prostu, żeby się coś działo, żeby powstawała literatura?*

WS: Być może na początku tak było. Jednak bardzo wcześnie okazało sie, że Sokrat miał potrzebę dominacji w środowisku literackim, by móc realizować własne cele. Tu jeszcze jeden przykład. Z jego inicjatywy ukazała się seria arkuszy literackich, niektóre w wersji dwujęzycznej. Sokrat przesłał notę o tym przedsięwzięciu edytorskim do ukazującego się w Olsztynie tygodnika „Panorama Północy". Czytając

przecieraliśmy oczy ze zdumienia. Okazało się, że wszystkie arkusze są tłumaczone z języka białoruskiego – nawet już nie pytałem, czy to także pomyłka redakcji…

Powiem wreszcie, co sprawiło, że kompletnie rozstałem się z Sokratem. Były to początki mojej fascynacji poezją księdza Jana Twardowskiego. W stanie wojennym ksiądz Twardowski przyjechał do Białegostoku i ja, bardzo przejęty, zadzwoniłem do Sokrata zapraszając go na spotkanie. Usłyszałem odpowiedź po białorusku: — „A czoho ja tam? Po biełarusku budzie czytaci?" Odpowiedziałem: — „Sokrat, to już nawet polski poeta, w dodatku ksiądz katolicki, ma czytać wiersze po białorusku?" Była to bodaj ostatnia nasza rozmowa.

Chciałbym też powiedzieć kilka zdań na temat książki *Trzecia pora*. To przypadek, że ją opracowałem. Sokrat złożył nową książkę w Białostockim Oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej. Wstęp do niej napisał jego znajomy, Zygmunt Trziszka, w którym zacytował wypowiedź Sokrata, że ze względu na swoją bezkompromisowość nigdy w życiu nie mógł zostać „ani urzędnikiem, ani dyrektorem, ani Polakiem – żeby się nie upodlić". KAW to odrzucił i poproszono mnie o wstęp. Napisałem taki wyłącznie polonistyczny tekst, nie dotykając niczego ze spraw drażliwych[8].

DZ: *Chciałabym o kilka spraw dopytać, zaczynając od Pana wileńskich sympatii. Czy nie sądzi Pan, że Sokrat, także w swoich kontrowersyjnych esejach historycznych, wraca do takiego rozumienia tożsamości, które było starsze, czyli wileńskie, Mickiewiczowskie? Gdzie można było być równocześnie Polakiem i mieć korzenie białoruskie, gdzie nie trzeba było wybierać? Dziś się to nazywa tożsamością wieloszczeblową. Takim przykładem może być Konstanty Kalinowski. Czy nie uważa Pan, że dzięki temu, nawet prowokacyjnemu, uporowi Sokrata, żeby mówić o sprawach białoruskich, my też możemy wrócić do tej starszej tożsamości, bardziej złożonej niż ta monolityczna, z wyraźnymi podziałami, o której Pan zdaje się mówić: tu Polak, tam Białorusin.*

WS: Wydaje mi się, że rozumienie tych spraw przez Mickiewicza było jednak inne. Poecie zawsze chodziło o Polskę, którą tworzyła Korona i Wielkie Księstwo Litewskie. Ponadto nie pamiętam ani jednej rozmowy z Sokratem – mam na myśli lata 1976–1981 – nawiązującej do podobnych zagadnień. Ja – powtórzę – znałem Sokrata z owych różnorodnych działań, które nierzadko wprawiały w zakłopotanie. To jego bieganie do różnych władz, prowadzone gry, ukrywanie wielu spraw przed nami. Sokrat, na pozór taki bezpośredni, brat-łata, w swoich działaniach daleki był od prostolinijności. Zapewne nie wszystko to wynikało z jego cech osobistych. Takie były czasy – by użyć tego potocznego sformułowania. Kształtowała go ówczesna rzeczywistość, gdy niemal wszystko – nawet przydział papieru do pisania – zależało od władz. My, młodsi, nie do końca o tym wiedzieliśmy, jeszcze nie wydawaliśmy własnych książek, więc od tej strony nie mieliśmy żadnych doświadczeń. Dopiero po pewnym czasie docierało do nas, że na przykład serie debiutów,

[8] W. Smaszcz, *Scalanie pamięci*, w: S. Janowicz, *Trzecia pora*, wybór W. Smaszcz, przeł. J. Czopik i in., Białystok 1983.

jak olsztyńskiego „Pojezierza", gdzie ukazały się między innymi zbiory Leończuka i Bogusława Falickiego z Augustowa, powstawały, by wypełnić miejsce po pisarzach, którzy zostali objęci zakazem druku w PRL. W systemach totalitarnych pole swobody niemal nie istnieje. Ale o tym dowiedziałem się później. Wychowany, o czym już mówiłem, w środowisku duszpasterstwa akademickiego toruńskich jezuitów, które nie podlegało żadnej cenzurze (spotkania odbywały się przy kościele), źle przyjmowałem same zapowiedzi spotkania z „władzami". Przychodziłem do Klubu Literackiego na rozmowy z kolegami pisarzami, z potrzebą robienia czegoś ważnego, może nawet wzniosłego, a okazywało się, że wiele czasu poświęcano obmyślaniu strategii jak uzyskać zgodę na jakieś przedsięwzięcie czy ominąć kolejną administracyjną przeszkodę.

Ale wróćmy do tego, o czym Pani mówiła, do świadomości historycznej Sokrata. W Internecie można znaleźć wypowiedź Adama Michnika, w której mówi, że Sokrat najpierw udowadnia, iż na tej ziemi każdy jest Białorusinem, a dopiero potem zaczyna to dzielić. Sokrat istotnie w swoim myśleniu jakby wrócił do wspólnoty pierwotnej, gdzie jeszcze nic się tu nie wyłoniło. I w jakiejś mierze jest prawdą, że trudno określić, gdzie jesteśmy, tutaj, na Podlasiu, w dość nieokreślonym miejscu między Litwą a Mazowszem.

DZ: *Chcę Pana pocieszyć, że jak się sięga do historii, to o jakimkolwiek miejscu trudno powiedzieć, że jednoznacznie wiadomo, do czego ono przynależy, bo historia to nieustający ciąg zmian. Dziewiętnastowieczny historyk, Joachim Lelewel, którego czytam, ciągle powtarza, że historia to potok wędrówek, migracji, przelewania się jednego w drugie i nie ma tożsamościowych pewników. Wydaje mi się, że Sokrat nas odsyła właśnie do tej starszej tożsamości.*

WS: Ale to już w późniejszych latach, wcześniej było inaczej; mnie, młodego człowieka, raziły niekonsekwencje Sokrata. Wciąż na przykład opowiadał, jak był prześladowany przez władze, że zmienił bodaj 50 razy pracę, najdłużej ponoć zbijał skrzynki. Także o ciasnym mieszkaniu, kawalerce przy Alei 1 Maja, gdzie swoją pierwszą książkę napisał… na muszli klozetowej, bo było to jedyne spokojne miejsce. I ten – w moim myśleniu – odrzucony przez „władze" pisarz ze wszystkimi sprawami do tych władz się udawał. Było to coś, czego nie rozumiałem.

Od dzieciństwa, ze względu na pracę mego taty, żyłem z daleka od wszelkiej „władzy". Nie miałem nawet, jak moi rówieśnicy, tak zwanej zakładowej choinki, Dziadka Mroza i dodatkowych paczek pod choinkę. W ogóle nic od „władzy" nie dostawałem, przeciwnie, jakikolwiek kontakt z „władzą" oznaczał kłopoty. Stąd narastało we mnie przekonanie, że najlepiej jest być poza zasięgiem władzy i urzędów.

DZ: *To jest Pana specyficzne, osobiste doświadczenie…*

WS: Tak, ale wtedy o tym w ten sposób nie myślałem.

DZ: *Nie brał Pan pod uwagę takiego utopijnego, owszem, założenia, że Sokrat wyobrażał sobie władzę jako instancję ułatwiającą, inspirującą powstawanie literatury, a potem po prostu się na niej zawiódł? Może było tak, że Pan z urodzenia, z wychowania nie wierzył władzy, on zaś w pewnym okresie wierzył?*

WS: Ja to w jakiejś mierze rozumiałem i dodam, że nie rzutowało to na moje prywatne kontakty z Sokratem. Odwiedzałem go w domu. W Krynkach wprawdzie byłem tylko raz, natomiast bywałem u niego tu, w Białymstoku, mieszkał przy ul. Curie-Skłodowskiej. Pamiętam, kiedyś, przypadkowo, przyszedłem do niego w trzeci dzień Świąt Wielkanocnych, bo prawosławni trzy dni świętują. Sokrat siedział elegancko ubrany, jakby miał gdzieś pójść z wizytą. Zapytałem: — Co ty tak siedzisz? — „Świętuję" — odpowiedział. Zrobiło to na mnie niemałe wrażenie. Oto trzeciego dnia świąt, gdy tylu ludzi powróciło do codziennego zabiegania, on po prostu siedzi i nic nie robi, bo świętuje. Poza tym Sokrat miał wyjątkowo miłą żonę, subtelną, delikatną... Tatiana, Tania, bardzo poetyckie imię, jakże przystające do jej osoby. Wydawała się zupełnym przeciwieństwem Sokrata. A może w domu był po prostu inny niż na zewnątrz, choćby w środowisku literackim?

DZ: *Być może tak, ale w „sokratkach" jest przecież mnóstwo liryzmu, delikatności, symboliki.*

WS: Istotnie, kiedy pani Tania była w domu i dołączała do nas, rozmawialiśmy jak w kręgu dobrych znajomych – o codzienności, o dzieciach; pięknie mówiła o ich dwu synach, zawsze o nich zatroskana.

DZ: *Myślę, że różniło Panów rozumienie literatury. On uważał, tak sądzę, że literatura powinna się angażować, widać to zwłaszcza w eseistyce: literatura powinna zmieniać świat. To takie bardzo romantyczne.*

WS: Sokrat – jak to już Pani wcześniej powiedziała – jeżeli sięgał w przeszłość, to bardzo głęboko. Nie wiem – nigdy o tym nie rozmawialiśmy – czy zatrzymywał się na romantyzmie, na Mickiewiczu. Jeżeli tak, mógł trafić na ten znakomity cytat z wiersza Do Joachima Lelewela: „...gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,/Żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy".

DZ: *Tak, i to jest ta tożsamość co najmniej trójszczeblowa, gdzie między byciem Europejczykiem, znad Niemna czy Białorusinem nie trzeba wybierać.*

WS: W latach, kiedy spotykaliśmy się w Klubie Literackim, Sokrat nie poruszał tych zagadnień. Poza bieżącą działalnością, organizował spotkania z redaktorami czasopism kulturalnych czy wydawnictw, zabiegając o możliwości druku. Wobec zaproszonych gości występował nie tyle jako prezes, co życzliwy opiekun początkujących literatów, daleki od wszelkiej oficjalności. Nie stronił przy tym od rubasznego śmiechu i niewyszukanych żartów.

DZ: *Pewnie to był element autokreacji. Prawdopodobnie potrzebował tego do stworzenia takiego modelu artysty, którego tutaj, w Białymstoku, nie było.*

WS: Na pewno była w tym jakaś strategia, bo przy tej postawie mógł sobie na dużo więcej pozwolić.

DZ: *Myślę, że każdy się kreuje, nie sądzi Pan?*

WS: Zapewne artyści, pisarze bardziej niż intelektualiści, bo intelekt niejako z natury jest krytyczny, hamuje podobne zapędy, jest szczególnie wrażliwy na ośmieszenie. Stąd człowiek intelektu znacznie bardziej bywa powściągliwy. „Swój chłop" ma wkalkulowaną możliwość ośmieszenia, bo i to potrafi przekuć na własną korzyść.

DZ: *Intelektualista też bardzo skrupulatnie buduje swoją autolegendę, co więcej, w sposób bardziej wyrafinowany, żeby nie rzec – wyrachowany.*

Myślę, że nasza rozmowa jest w jakiś sposób znamienna, bo rzeczywiście Panowie jesteście z różnych światów. Dlatego chciałabym zapytać o sprawy trochę kontrowersyjne. Postawił Pan wyraźną cezurę w biografii Sokrata, mówiąc, że on się bardzo zmienił od stanu wojennego, kiedy postawił na białoruskość. Jak Pan sam sobie tłumaczy, dlaczego stało się to właśnie wtedy?

WS: Myślę, że w dużej mierze ustało to, co było dla mnie dużym minusem Sokrata: flirtowanie z władzami nie wchodziło już wtedy w grę.

DZ: *Znając trudny życiorys Sokrata można powiedzieć, że to ustało znacznie wcześniej, on znacznie wcześniej wypadł z łask.*

WS: Nie chodzi o przychylność władz. Wracam cały czas do tego, że w latach siedemdziesiątych Sokrat jeszcze mógł do tych władz się udawać jako prezes Klubu Literackiego, w imieniu środowiska, etc., a w stanie wojennym już nie. Rozluźniły się bardzo więzy międzyludzkie, nie było już Klubu, każdy szedł własną drogą. O ile na początku Sokrat mógł być prezesem Klubu, to w późniejszych latach mógł być już tylko guru. Na pewno nie moim. No i wtedy też Sokrat bardzo wyraźnie się określił.

DZ: *No właśnie, jak Pan myśli, dlaczego akurat wtedy?*

WS: Poza znanymi okolicznościami zewnętrznymi, warto odtworzyć także jego literacką biografię. Zaczynał jako liryk. W tym się wyczerpał – zdarzają się starzy poeci, jak Iwaszkiewicz, ale zwykle poezja związana jest z „młodszymi laty". Napisał dwie powieści, z których – delikatnie mówiąc – niewiele wynikło. Wobec czego sięgnął po to, co daje najwięcej swobody twórczej, czyli esej. Moim zdaniem tak właśnie kształtowała się jego twórczość: miniatury, dwie powieści, w których bardzo wyraziście zostaje zaznaczony bohater – to już jest „ktoś", i ten bohater zaczyna mówić o sprawach znacznie szerszych niż literatura. Tak to się układa – co mnie zawsze najbardziej interesowało – na poziomie samej twórczości.

DZ: *Czyli, przynajmniej częściowo, to jest wybór gatunkowy?*

WS: Wyczerpał lirykę, twórczość stricte literacką zamknął powieściami, gdzie pojawił się konkretny bohater, który, jak to Sokrat sam mówił, jest człowiekiem sumienia. Ten człowiek sumienia wychodzi z książek i przystępuje do działania. Być może jest to zbyt daleko idące uproszczenie, ale – jak od początku podkreślałem – w pewnym momencie przestałem systematycznie interesować się twórczością Sokrata.

KSM: *Napisał Pan w* Zbliżeniach[9]*, że dla wielu* Białoruś, Białoruś *była ogromnym zaskoczeniem, a Pan odebrał tę książkę jako przejaw konsekwencji Sokrata, kontynuację jego wcześniejszych tekstów.*

WS: Dla mnie to było wręcz naturalne.

KSM: *Proszę powiedzieć, jak zareagowaliście na tę książkę?*

---

[9] W. Smaszcz, *Scalanie pamięci*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, red. zbiorowa, Białystok 1990. Tekst stanowi poszerzoną wersję wstępu do zbioru *Trzecia pora* (patrz przypis 8).

WS: Czepiano się raczej pojedynczych słów. Stało się to, co się w Polsce często dzieje: całość mało kto przeczytał. Poszła plotka, że „żołdacy Batorego", itd., i trochę jak w powieści czy w filmie: dwie-trzy sceny, tak zwane „momenty". To wszystko.
KSM: *Czyli tak naprawdę nikomu nie chciało się tego dokładnie przeczytać?*
WS: Myślę, że sam Sokrat nie dawał powodów, żeby wnikliwie studiować jego rozważania. Gdyby to napisał na przykład Włodzimierz Pawluczuk, byłoby inaczej.
DZ: *Dlaczego?*
WS: Miał status uczonego, intelektualisty, wydał książkę w prestiżowym wydawnictwie – jego habilitacja ukazała się w serii „Plus Minus Nieskończoność"[10]. Sokrata nikt o takie serio nie podejrzewał. Był autorem małych form literackich i niezbyt udanych powieści, skąd więc nagle publicystyka i to o tak szerokich ambicjach? On sam na to pracował. Trzeba wiedzieć, że Sokrat mógł ze wszystkiego zrobić dowcip, obrócić w żart. Robił to znakomicie. Na przykład sposób, w jaki mnie oswajał: „Waldek, jak ty tutaj, ze swoją poznańskością, z tymi wszystkimi ze Wschodu wytrzymujesz."
DZ: *A którą z książek Sokrata Pan ceni najbardziej?*
WS: Chyba najbliższe były mi *Zapomnieliska*, bo *Wielkiego miasta Białystok* nie rozumiałem. Dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, o co autorowi chodziło.
DZ: *O co?*
WS: Samo określenie: „wielkie miasto...". Wędrowałem z książką Sokrata po Białymstoku i zastanawiałem się, gdzie on widział te trotuary, kiedy wokoło były dziurawe chodniki. W tej książce wszystko ogromniało, jakby krasnal znalazł się w krainie olbrzymów. Jest tam też niemało ładnych fragmentów, choćby sytuacja, gdy główny bohater idzie ulicą Pogodną, która przypomina mu jego rodzinne Krynki: domy w ogródkach, sady, zwierzęta...
KSM: *A dlaczego* Zapomnieliska*?*
WS: Była w tym czuła liryka, którą cenię najwyżej, szczególne widzenie świata, serdeczny stosunek do ludzi, zwierząt i zjawisk; jakby nieustanne krążenie na obrzeżach raju z pamięcią wszystkiego, czego tam doznaliśmy. Rozczarowały mnie, jak już mówiłem, powieści.
DZ: *Jak Pan rozumie ten tytuł* – Samosiej*?*
WS: Dla mnie to absolutnie Sokrat: ten, który sam się zasiał. Ja zawsze mogę się podeprzeć tym, że jestem uczniem profesorów Górskiego i Hutnikiewicza, że ukształtowali mnie toruńscy jezuici, a on – jak to ujmuje język angielski – był *self-made man*.
DZ: *Moim zdaniem on mógł się podpierać Mickiewiczem.*
WS: Nigdy bym go o to nie posądził. Dla mnie on jest samosiejem.
DZ: *Czytał Puszkina i Babla.*
WS: Babla na pewno, bo o Bablu często mówił. Puszkina, zdaje się, czytała mu babka, czyli to było takie rodzinne czytanie – na tej zasadzie ja mówię, że mi bajki

[10] W. Pawluczuk, *Żywioł i forma. Wstęp do badań empirycznych nad kulturą współczesną*, Warszawa 1978.

Mickiewicza czytała mamusia. Natomiast jego autentycznym przeżyciem literackim był Babel, drugiego pisarza – wracając do spotkań z Sokratem – nie potrafię wymienić.

GChM: *Porozmawiajmy o Panu, co sprowadziło Pana rodzinę tu, na tę biedną Białostocczyznę?*

WS: Rodzice po wojnie zamieszkali w Gdańsku. Byliśmy tam siedem lat. Tatuś nie ujawnił w ankiecie personalnej, że ma kuzyna księdza w Stanach Zjednoczonych, co w czasach stalinowskich było przestępstwem. Ktoś doniósł i tata pozostał z wilczym biletem, czyli bez możliwości pracy. Na szczęście był „złotą rączką", potrafił zrobić wszystko. Poszedł do pracy u jakiegoś stolarza, ale po kilku dniach przyszli „smętni panowie" i zagrozili zamknięciem zakładu, jeśli właściciel nie wyrzuci taty. W końcu znalazł pracę poza instytucjami państwowymi – został organistą w pobliskich Pszczółkach. Niestety, i tu był niepokojony przez „służby", kiedy więc w roku 1954 roku proboszcz (który pochodził z Podlasia) wracał na wschód, rodzice zdecydowali się z nim pojechać. Zachętą był zupełny brak bitych dróg, co dawało nadzieję, że wreszcie ustaną nieproszone odwiedziny. Zamieszkaliśmy na krótko w Kłopotach koło Siemiatycz, odcięci od – w naszym pojęciu – wszelkiej cywilizacji. Wszystko, poczynając od języka, było inne. W 1956 roku, kiedy już mieszkaliśmy w Milejczycach, tata pojechał do Poznania, by zorganizować powrót. Pamiętam płaczącą mamusię, kiedy pojawiły się wiadomości o strzałach w Poznaniu. Pozostała sama z czworgiem małych dzieci, a nie rozumiała nawet języka miejscowych ludzi. Tata wrócił, jednak wkrótce miał zawał i pieniądze, które rodzice uzbierali, żeby wrócić do „siebie", poszły na uratowanie taty.

Z językiem i ja miałem kłopot. W pierwszej klasie podczas sprawdzania obecności odpowiadałem: „Jezdem", bo tak wymawiano, mocno udźwięczniając, w Wielkopolsce. Cała klasa wybuchała śmiechem. Wróciłem do domu i zapowiedziałem, że nie będę chodził do szkoły, bo śmieją się ze mnie. Tatuś wytłumaczył mi, dlaczego tak się dzieje. Wobec czego zapytałem, jak należy mówić. Odpowiedział mi, że tak jak w radiu. Odtąd stałem się zaprzysięgłym słuchaczem radia, co spowodowało, że z kolei dokuczali mi koledzy z Inowrocławia, śmiejąc, że „godom" jak pani w klasie.

Tata wciąż zmieniał parafie. Dość powiedzieć, że siedem klas szkoły podstawowej „zaliczyłem" w pięciu miejscowościach. Nie zerwaliśmy nigdy kontaktów z Wielkopolską i Kujawami; dopiero w liceum przestałem mówić: „u was", czyli tutaj, i „u nas" – czyli w Inowrocławiu.

DZ: *Nie ma Pan ochoty (a może już Pan to zrobił) napisać o swojej biografii? Nie wykorzystuje Pan tej swojej historii?*

WS: Nie, nigdy, wolę pisać o literaturze.

DZ: *Ale może to wpływa na sposób, w jaki Pan literaturę postrzega, interpretuje, nie sądzi Pan, te doświadczenia?*

WS: Na pewno, bo przyjeżdżając z Gdańska na drohiczyńskie Podlasie, naprawdę niemało cofnęliśmy się w czasie. To była prawdziwa egzotyka. Na przykład w Klichach, gdzie byliśmy tylko przez rok, nie należało zasłaniać okien, ponieważ

posądzano by gospodarzy o złe intencje. Nie znano innego mięsa, niż gotowane i wędzone. Kiedy miejscowe kobiety popatrzyły, jak mama robi bitki tłukąc mięso, opowiadały między sobą: „Kumo, widziała, a organiścina tak mięso męcy i męcy". Bardzo to obrazowe, wręcz poetyckie. Gospodynie prowadziły dom zupełnie nie posługując się pieniędzmi; tę rolę pełniły jajka. Niosły je w fartuchu do sklepu i za równowartość dostawały naftę i mąckę, czyli cukier. Obuwia nie kupowano w sklepach, od sandałów po męskie „oficerki" zamawiano „na obstalunek" u szewca. Pamiętam też ogromne połacie nadrzecznej łąki pokryte białym lnianym płótnem. W ogóle uprawa i obróbka lnu niczym nie różniły się od historii zapisanej przez Marię Konopnicką w książeczce *Jak to ze lnem było*.

DZ: *Ale cofając się w czasie może właśnie cofnął się Pan do czegoś dobrego, bardziej Mickiewiczowskiego?*

WS: Na pewno. Kiedy w Toruniu omawialiśmy *Nad Niemnem*, to jakbym w Klichach mieszkał, to był ten sam świat. Po latach okazało się, że reżyser odnalazł zaścianek Bohatyrowiczów w uroczych Koźlikach, leżących między Bielskiem Podlaskim a Białymstokiem.

KSM: *A poczuł się Pan tutaj kiedykolwiek u siebie?*

WS: Poza miastem – tak, wszak przyroda Polski Wschodniej i Zachodniej niewiele się różni, natomiast w samym mieście – nigdy.

Te Polaki z Koła Polonistów

Z Bogdanem Dudko rozmawiają
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska i Danuta Zawadzka,
Uniwersytet w Białymstoku, 1 lipca 2014 r.

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: *Jeśli przyjrzeć się historii „Kartek", można zauważyć, że kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych szukaliście własnego języka, profilu, tematyki, pojawił się wywiad z Sokratem Janowiczem* Literatura to nie PZU[1]*, i zaraz potem zaczęliście się zajmować prowincją, wielokulturowością, Białorusinami, którzy tu żyją. Jednym słowem, zaczęliście bliżej przyglądać się miejscu, w którym jesteście. Czy i na ile spotkanie z Sokratem stanowiło tu inspirację, miało wpływ na pojawienie się w „Kartkach" tej tematyki?*

Bogdan Dudko: Przede wszystkim chcę powiedzieć, że to nie zaczęło się wtedy. Bo Ty mówisz o tekście, który ukazał się w 11 numerze, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Tak naprawdę moja, i „Kartkowa" również, przygoda z Sokratem zaczęła się od pierwszego numeru. Kiedy w 1990 roku wznowiło swoją działalność na ówczesnej Filii Uniwersytetu Warszawskiego Koło Polonistów, to miało wówczas wielką, przemożną chęć organizacji różnego rodzaju działań literackich, głównie spotkań autorskich. Jednocześnie zostało wtedy reaktywowane wcześniej podziemne pismo „Kartki", związane właśnie z Kołem. No i „koło" zaczęło się toczyć. Pierwszym spotkaniem, które udało się zorganizować, kompletnie na wariackich zresztą papierach, bez kasy, bez niczego właściwie (takie to były czasy), choć z wielkim entuzjazmem, było właśnie spotkanie z Sokratem Janowiczem. Sporo pomogła nam wtedy Dorota Sulżyk z BAS-u (Białoruskiego Zrzeszenia Studentów), bo to ona podchwyciła pomysł i bezpośrednio z Sokratem rozmawiała. Tekst, który pierwotnie miał być relacją z tego spotkania pod tytułem *Obiecuję, że jeszcze pożyję,* ukazał się w pierwszym numerze „Kartek"[2]. To był jeden z ważniejszych tekstów. Jestem jego autorem, ale zastrzegam, że powstał on jako rezultat tego, co w literaturze lubię najbardziej, czym się cały czas zajmuję,

---

[1] S. J a n o w i c z, *Literatura to nie PZU*, rozm. B. Dudko, J. Turonek, „Kartki" 1995, nr 11.

[2] Pierwszy numer reaktywowanych „Kartek" ukazał się w 1990 r. Na temat historii pisma zob. K. S a w i c k a - M i e r z y ń s k a, *Czasopismo literacko-artystyczne „Kartki"* (1986–2006), „Bibliotekarz Podlaski" 2009, nr 18/19, s. 89–99.

czyli zapisków na marginesie, w tym przypadku właśnie na marginesie spotkania z Sokratem. To były rzeczywiście zapiski – ani relacja, ani wywiad, ani esej. To się bardzo Sokratowi spodobało. Tak jak i sam fakt spotkania. Mówił: nikt w Białymstoku mnie nie zaprasza, a tu proszę bardzo, Koło Polonistów, i w dodatku do tego miejsca, do budynku, gdzie się wcześniej mieścił Komitet Wojewódzki PZPR. Wtedy też padło słynne – przynajmniej dla mnie, bo wielokrotnie je przytaczałem w różnych wypowiedziach na temat „Kartek" – stwierdzenie Sokrata, że jak pociągniemy cztery numery pisma, to znaczy że coś z nas będzie.

Danuta Zawadzka: *Muszę wtrącić, ponieważ tu trzeba dalej prostować: to nie było pierwsze spotkanie Janowicza z Kołem Polonistów w takim razie, ponieważ wcześniej, myślę, że tak w okolicach roku 1984–1985…*

BD: A, to ja o tym nic nie wiem…

DZ: *Było takie spotkanie, oczywiście nieformalne, w gronie osób, które współtworzyły wówczas Koło Polonistów (ale też i inne organizacje samorządowe, jawne, choć przykrywające różne działania) w akademiku, w pokoju 904, w którym mieszkał między innymi Jerzy Nachiło*[3] *– z Sokratem Janowiczem. I również było to spotkanie między innymi Koła Polonistów. Wygląda na to, że Sokrat miał jakąś długofalową inspirującą polonistów moc.*

BD: Przepraszam, to ja się przyznaję, że o tej historii dopiero teraz się dowiaduję, więc wybaczcie, że nie wspominam o tym.

DZ: *Bo to było spotkanie nieformalne, nic dziwnego, że nie słyszałeś* [*śmiech*].

BD: To tym bardziej jest budujące, bo się okazuje, że co jakiś czas takie spotkania się odbywały…

DZ: *Polonistów z Janowiczem?*

BD: Polonistów właśnie, co ciekawe. Sokrat mówił, nawet Białorusini nie zapraszają mnie na spotkania, a tu proszę bardzo, te Polaki z Koła Polonistów. Zresztą z tymi Polakami to też tam w Kole różnie bywało. Tak samo jak w ogóle z Polakami w Białymstoku czy szerzej na całym Podlasiu.

DZ: *Bo tutaj, na uniwersytecie, są po prostu dziwni Polacy.*

KSM: *Mieszańcy.*

BD: Szczególnie na polonistyce [*śmiech*].

DZ: *Czyli potwierdzasz – skoro napisałeś, jak mówisz, programowy artykuł, który powstał z zapisków na marginesie rozmowy z Sokratem, to zdaje się, on inspirował. Do czego inspirował „Kartki" Sokrat?*

BD: Nie, to nie był żaden tekst programowy, słuchając Sokrata, chciałem wyłapywać, jak mi się zdawało, jego najistotniejsze myśli. Mnie tam w tym tekście właściwie nie ma, więc nie może być tu mowy o żadnym tekście programowym. Bardziej programowe było jego zaistnienie na łamach „Kartek". Był pierwszym literatem z tzw. starszego pokolenia, który u nas zagościł, na stałe zresztą prawie, jak się potem okazało. Sam tytuł *Obiecuję, że jeszcze pożyję*, oznaczał jego deklarację,

[3] Jerzy Nachiło (1963–2010) – białostocki poeta, krytyk, dziennikarz. Przez wiele lat związany z „Kartkami", redaktor „Kuriera Porannego" (twórca cotygodniowego „Magazynu" gazety).

że chce nam młodym ludziom, przekazać, że oto ja jeszcze pożyję i wam pokażę, że i sprawa białoruska – ale nie tylko – w ogóle sprawa kultury jest ważna. Podkreślał, że w Białymstoku jest problem z rozumieniem kultury, w szczególności białoruskiej – takie to tutaj trochę rozumienie kołtuńskie z polskiej strony. Zresztą często mi mówił, że kołtun w Białymstoku ma się dobrze i ty, Dudko uważaj z kim się zadajesz bo i Ciebie, jak mnie, nie polubią, a wtedy niewiele zdziałasz.
DZ: *Kołtuńskie czyli jakie, jak sądzisz, co on miał na myśli?*
BD: Choćby podejście do mniejszości narodowych: niby wszyscy są za, mniejszości tutaj żyją, są tutaj potrzebne, ale naprawdę to ta większość, czyli większość polska – która zresztą też tak naprawdę nie wiadomo, czy w ogóle jest w Białymstoku większością – podchodzi do nich z dystansem.
DZ: *Ale Ty myślisz, że to jest taki dystans z poczucia wyższości wynikający czy może z lęku?*
BD: W dużej mierze z lęku. Po wielu rozmowach z Sokratem wyczuwałem u niego strach przed tą polską większością. Ale tutaj właśnie, w Białymstoku, gdzie cały czas trzeba się z białoruskości tłumaczyć, czego nie ma ani w Krakowie czy Warszawie dla przykładu. Dlaczego wyjechałem do Krynek, konstatował, przecież mógłbym zostać w Białymstoku, tutaj miałbym lepiej może. Jego słynna książka *Wielkie miasto Białystok*, jest lękiem przed Białymstokiem podszyta, bo przecież wsysa wszystko co wokół, bliskich mu ludzi, wioski, miasteczka…
DZ: *Ale czy myślisz, że ten lęk jest w drugą stronę też, to znaczy, czy ta pozorna otwartość na mniejszość ze strony większości, ze strony polskiej, również jest podszyta lękiem? Czy raczej poczuciem wyższości?*
BD: A z czym niestety nawet do tej pory przez niektórych Polaków są kojarzeni Białorusini? Ano, albo z bramami powitalnymi w 1939 roku, po wkroczeniu Armii Czerwonej na te ziemie [**DZ:** *Czy później po wojnie nawet*] albo z esbecją czy milicją po wojnie… Jest obopólna nieufność, mimo tego, że się bardzo wiele pozmieniało. Choćby to, że wiele inicjatyw na rzecz mniejszości białoruskiej podejmować zaczęły otwarcie nastawione środowiska polskie. Dotyczyło to również Sokrata. Nikt nie potrafił zorganizować mu benefisu, choć zacznijmy od tego, że nikt nie wpadł na taki pomysł albo po prostu nie chciał. Zrobiły to „Kartki", oczywiście mówię o pierwszym benefisie, bo drugi, w Krynkach, zrobili mu już tylko Białorusini.
DZ: *Nie potrafił czy nie uzyskał akceptacji?*
BD: Myślę, że jedno i drugie. Zadzwoniłem, mówię: Sokracie, 70 lat, warto by było coś zrobić… No, to przyjeżdżaj, obgadamy sprawę i rób. Dogadamy się przecież, żaden problem. Ten benefis w Białymstoku całe szczęście był polsko-białoruski, uczestniczyły w nim oba środowiska. No i myślę, że bardzo fajnie wypadło. Sokrat był zadowolony, publiczność też. I o to właśnie chodziło.
KSM: *Może wróćmy do tej inspiracji, bo tu nam się rysuje taka ładna klamra: pierwszy numer „Kartek" i zapiski na marginesie rozmowy z Sokratem, a potem benefis i piętnastolecie pisma. W czym zatem Sokrat Was inspirował, co sobie nawzajem dawaliście, bo widać, że ta relacja Sokrata i „Kartek" była trwała. Czyli co Sokrat dawał Wam a co, jak przypuszczasz, Wy dawaliście Sokratowi jako „Kartki"?*

BD: Jest warte podkreślenia to, że rzeczywiście co jakiś czas – bo nie mówię, że w każdym numerze „Kartek" – był On obecny właśnie etapami, które okazywały się dla pisma istotne. Najpierw ukazał się ten pierwszy, wspomniany wcześniej tekst w 1. numerze, potem w 11., kiedy „Kartki" się totalnie zmieniły, przestały być pismem literackim młodych, a zaczęły być pismem literacko-artystycznym z dużym przytupem, ogólnopolskim zasięgiem, itd. Wtedy to pojawia się rozmowa *Literatura to nie PZU*, pamiętam, pojechaliśmy do Krynek z Jankiem Turonkiem[4]. Sokrat się bardzo ucieszył, bo mówi tak: Dudko, ty to nie wiadomo, kim tam jesteś, ale swój, ale Turonek za to ma wujka, który jest bardzo zasłużony dla sprawy białoruskiej. A cała rozmowa to naprawdę było cacko. Sokrat miał swoje zasady, jak podkreślał żartobliwie nieco, „oficerskie", i tego wymagał od innych, skądinąd zresztą słusznie. Zrobił rzecz dość osobliwą jak na te zasady, dał nam swoje teksty i nie chciał honorarium [*śmiech*].

KSM: *Nie chcę, żebyś teraz tutaj naciągał rzeczywistość i potwierdził, że Sokrat był inspiracją – jeśli nie był, to po prostu powiedz. Ale czy to miało jakiś związek: rozmowa z Sokratem, fakt, że pojechaliście do Krynek i białoruskość wypłynęła w piśmie. Bo przecież zaraz potem był numer białoruski, który przyniósł Wam sławę i splendor i, tak mi się wydaje, podniósł pismo jeszcze poziom wyżej.*

BD: Zdecydowanie, numer białoruski był takim ważnym znakiem… Natomiast zauważ, że to nie był numer monograficzny, że tam pół numeru było poświęcone najwyższych lotów współczesnej literaturze i sztuce białoruskiej, a pół najwyższej klasy – współczesnej literaturze polskiej. Sądzę, że to bardzo dobrze zrobiło, i jednej, i drugiej stronie. Takie współistnienie, coś takiego pierwszy raz zdarzyło się w historii współczesnej literatury polskiej, nie mówiąc o białoruskiej. Mam wrażenie, że tak naprawdę wszystko się zaczęło tutaj, gdzie my teraz siedzimy, na uniwersytecie, na pewno moje kontakty w ludźmi, którzy mieli jakiś związek z kulturą białoruską, choć niekoniecznie byli Białorusinami. Ś.p. Jurek Nachiło, który okazał się jednym z najbardziej obeznanych ludzi, jakich znałem, w temacie literatury w ogóle, ale białoruskiej też nieźle, powtarzał: idźmy w tym kierunku. Numer białoruski nie powstałby, gdybym nie poznał Mikołaja Wawrzeniuka, dziennikarza „Niwy", i w ogóle niezwykle też otwartego środowiska „Niwy", gdybym nie poznał kongenialnego, jak zresztą mawiał Sokrat, tłumacza z języka białoruskiego, Janka Maksymiuka, gdybym nie pojechał na polsko-białoruskie seminarium literackie „Biaźmieżża" i tak dalej. Tak się właśnie zaczęły te kontakty, ale miały one prawdziwy początek właśnie na tym spotkaniu w 1990 roku z Janowiczem.

DZ: *Przychodzi mi na myśl pytanie: czy to nie było trochę tak, że Sokrat był tym pisarzem ze starszego pokolenia, tutaj, z miejscowego życia literackiego czy kręgów literackich, do którego Wy młodzi chcieliście/mogliście się zwrócić, bo – do kogo jeszcze? Kto jeszcze z pisarzy jego pokolenia, nie tylko z kręgów białoruskich, ale i polskojęzycznych, pełnił podobną rolę w „Kartkach"?*

[4] Jan Turonek (1965) – fotograf, filmowiec, performer, współpracownik „Kartek".

BD: Byli tacy jeszcze, jak najbardziej. Rzeczywiście Sokrat jako pierwszy okazał się osobą niezwykle otwartą, nie miało znaczenia, że jest Białorusinem, twórcą piszącym po białorusku, choć równie dobrze przecież piszącym po polsku. Jak zjechał do Białegostoku po kilkuletniej przygodzie z Uniwersytetem Jagiellońskim i Krakowem profesor Pawluczuk…
KSM: *Też Białorusin, tak się składa.*
BD: No właśnie, tak się składa [*śmiech*]. Choć taki tam z niego Białorusin. W każdym razie wrócił do Białegostoku i co? Nikt, poza Uniwersytetem w Białymstoku nim się nie interesował, a jednak, znalazło się środowisko, które się zainteresowało. A że był (jest, całe szczęście) osobą równie otwartą, to dość szybko, tu nie zawaham się użyć tego słowa, zaprzyjaźniliśmy się. To, że udało nam się Go namówić na wydanie *Wierszalina. 30 lat później*, która to książka była dużym sukcesem pod każdym względem i narobiła w całej Polsce wiele szumu, uważam za nasze wielkie osiągnięcie. No ale przecież taką osobą ze starszego pokolenia był Janek Kamiński[5], późniejszy wieloletni współpracownik „Kartek", bynajmniej nie Białorusin. Tu też się nie zawaham użyć słowa, że się zaprzyjaźniliśmy, bo tak jest do dziś.
DZ: *No tak, ale chodzi o to, że on wówczas nie był jeszcze tak szeroko znanym literatem, on się odnalazł właśnie w „Kartkach", bo te wszystkie jego rzeczy* – Metafizyka prowincji[6]*…*
BD: Na początku *Fuga*[7], pierwsza książka Kamińskiego wydana w Bibliotece „Kartek", w 1996 roku.
DZ: *Ale on chyba jeszcze funkcjonował w tamtym czasie przede wszystkim jako człowiek kultury i nauczyciel.*
BD: Jednocześnie człowiek właśnie taki, który znalazł z nami wspólnotę duchową, my się po prostu rozumieliśmy, w kwestiach literackich, światopoglądowych, ale też takich przyziemnych. Piliśmy razem wódkę i niekoniecznie wówczas rozmawialiśmy na ten przykład o ostatniej książce Stasiuka czy Olgi Tokarczuk. Tak samo jak z Pawluczukiem zresztą. Często gadaliśmy też o przysłowiowej „dupie Maryni". A, był jeszcze Jurek Plutowicz, no fakt, że z Bielska Podlaskiego się wywodzący…
DZ: *Właśnie, i rysuje się tutaj jednak – kiedy mówisz o pewnym porozumieniu duchowym – ale czy to nie jest przypadkiem porozumienie zupełnie konkretnego rodzaju: poczucie wspólnoty ludzi pogranicza, szukających swoich korzeni na prowincji.*
BD: No tak, w jakimś sensie, tak. Pewnie bym się z Sokratem tak szybko nie dogadał, gdyby nie to, że pochodzę z Cisówki, z tego samego pogranicza, co On. Gdyby nie znał moich dylematów tożsamościowych, pewnie inaczej by się nam

---

[5] Jan Kamiński (1947) – pisarz, eseista, nauczyciel, przez wiele lat współpracował z „Kartkami". Dwukrotny laureat Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego – za powieści *Książka meldunkowa* (Białystok 2011) i *Czas Budzika* (Białystok 2013). Na jego temat zob. T. Olchanowski, *Dom rodzinny i żywioł ognia*, w: *Zbliżenia. Portrety białostockich pisarzy*, cz. II, red. B. Piechowska-Szczebiot, Białystok 1995, s. 122–139.

[6] J. Kamiński, *Metafizyka prowincji*, Białystok 2000; wyd. 2, 2001.

[7] J. Kamiński, *Fuga*, Białystok 1996.

rozmawiało. Kiedy pytałem, to kim ja do cholery jestem, bo Ty się na tych kwestiach znasz Sokracie, odpowiadał: a, nie będę ci mówił, bo ja sam nie wiem, kim ty jesteś, tak samo zresztą jak i ja kiedyś nie wiedziałem, kim ja jestem. Ja swoją białoruskość odkryłem dopiero, jak miałem tam… [**DZ:** *Tak, w technikum*]
DZ: *Do tego nawiązuje później tytuł filmu* Jak zostałem Białorusinem.
KSM: *Wracam do tego pytania: jak myślisz, co Wy mu dawaliście jako „Kartki"? Wszystkie spotkania, o których opowiadasz, fakt, że cały czas wracał na wasze łamy. Przecież miał „Czasopis", miał „Niwę", a jednak „Kartki" też. Co mu to dawało, jak myślisz?*
BD: Kiedyś przy okazji organizowanego przez nas festiwalu „Świat na Uboczu", mieliśmy pomysł, żeby zrobić taką zawadiacką nieco kawiarnię literacką „Na uboczu" w Cisówce. No i na spotkanie autorskie zaprosiliśmy tam Sokrata. Oczywiście przyjechał, trochę się spóźnił wprawdzie, bo odbierał wcześniej nagrodę w Łomży od Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka" i mówi tak: o, to ja tutaj przyjechałem z Łomży, ale jak przyjeżdżam do Cisówki, to ja czuję, że jestem wśród swoich i wiem, że rozmawiam z ludźmi, którzy mnie rozumieją. Było na tym spotkaniu sporo Białorusinów, ale większość stanowili Polacy jak np. Jacek Breczko[8], filozof i pisarz, który zadawał pytania takie, że się z Sokratem rozumiał po prostu tak, jakby byli ze sobą od wielu lat za pan brat. Może ten klimat Cisówki, pogranicza, prowincji decydował o tym swoistym porozumieniu duchowym. W kręgu „Kartek" wyrosła właśnie jakaś taka wspólnota, nie tylko z Sokratem.
DZ: *Taka transgraniczna?*
BD: Właśnie, transgraniczna na pewno, ale nie tylko.
KSM: *A może Janowicz po prostu potrzebował środowiska artystycznego, takiego zwyczajnie artystycznego? Bo białoruskie miał, i tutaj były jakieś potrzeby, które musiał zaspakajać, misja do spełnienia, a tutaj może mógł się poczuć po prostu artystą?*
BD: Coś jest na rzeczy. Tu się zgodzę z Tobą.
DZ: *I częścią nawet pewnej bohemy, takiej grupy ludzi, która żyje swoimi ideałami, nie tylko pisze o nich.*
BD: Mam wrażenie, ba, jestem o tym przekonany, bo wielokrotnie o tym rozmawialiśmy – że On chciał być przede wszystkim pisarzem, a nie politykiem i autorytetem białoruskim. Mówił: spójrzcie na moje teksty, na to, co ja przekazuję, co i jak ja piszę. A przepięknie pisał o różnych rzeczach, które nie miały nic wspólnego z polityką.
DZ: *Myślę, że to bardzo ważne, co powiedziałeś właśnie w tej chwili, że ciągnął go właśnie… ten odbiór, który mu dawaliście, odbiór go jako pisarza, a nie jako polityka, który ma pewną misję wobec wspólnoty. Pisarz to też trochę ktoś prywatny i osobny, nie tylko ktoś, kto wypełnia pewną rolę i nie wolno mu zrobić niczego więcej.*
BD: To nie jest tylko kwestia Sokrata, tak samo też podchodziliśmy do kontaktów z Leonem Tarasewiczem. Nie jako do tego znanego działacza białoruskiego, tylko

[8] Jacek Breczko (1963) – filozof, dr hab. w Studium Filozofii i Psychologii Człowieka na Wydziale Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. W serii Biblioteka „Kartek" wydał książkę *Dawno i prawda: wprowadzenie w historiozofię Czesława Miłosza* (Białystok 2005).

znanego na całym świecie malarza. I jak robiliśmy z nim rozmowę do „Kartek", swoją drogą wcześniej niż z Sokratem, bo do 10. numeru, nie dotyczyła ona spraw okołokulturalnych czy okołosztukowych. Dotyczyła kwestii malarskich. Zresztą sam tytuł rozmowy *Moim zadaniem jest malować* o wszystkim świadczy. To tak samo, jak stwierdzenie Sokrata, że jego zadaniem jest pisanie. W politykę został jak gdyby wciągnięty, nawet czasami wbrew sobie, bo wcale nie był z tego aż tak specjalnie zadowolony. Wielokrotnie – jak rozmawialiśmy – mawiał, że tak naprawdę on by chciał po prostu usiąść przy maszynie do pisania (nie używał komputera) i po prostu pisać, pisać. Ale pisać nie jakieś manifesty polityczne, tylko literaturę.

DZ: *Nie sądzisz, że w Białymstoku właśnie bardzo brakuje takiego języka, właśnie języka sztuki, który jest potrzebny różnym środowiskom i „kulturom". One nie bardzo potrafią się spotkać i porozumieć na innym gruncie, a ten wspólny język sztuki stwarzałby taką możliwość spotkania – tak, jak to było w „Kartkach"?*

BD: Nie jest aż tak źle. To, że my teraz siedzimy i rozmawiamy o tym, no i jeszcze Wy też rozmawiałyście z różnymi fajnymi osobami na ten temat, to chyba nie jest tak źle [*śmiech*].

DZ: *I w ogóle jak te rozmowy wyglądały w Krynkach, jak ten dom funkcjonował?*

BD: Ten dom przede wszystkim był bardzo otwarty. Zazwyczaj Sokrat podchodził do tego w ten sposób, że jak się do niego przyjeżdża, to się powinno najpierw zadzwonić, umówić, żeby on był przygotowany.

DZ: *I co on przygotowywał wtedy?*

BD: Zależy kto przyjeżdżał. Ja byłem jednym z nielicznych gości, którym zdarzało się wypijać z nim wódkę – nie powiem, że dużo, dosłownie: po kielichu, bo zazwyczaj było to wino wytrawne, ponieważ był cukrzykiem. Przywoziłem wino, a Sokrat na to, od kiedy Ty Dudko to pijesz?, i stawiał na stole flaszkę, swojską miejscową kiełbasę przynosił i prosił swoją żonę, Tanię, żeby zaparzyła herbatę. Czasami rzeczywiście tak bywało, że przyjeżdżałem bez uprzedzenia i jeszcze z paroma osobami, które bardzo chciały Sokrata poznać. I powiem Wam, że nie zdarzyło się tak, żeby Sokrat był jakoś niekontent, że przyjechałem, mimo tego, że bez uprzedzenia. Mówił: no tak, no tak, przyjechałeś, jak zwykle, kogoś przywiozłeś, ale dobra, no to chodźcie. I potem było ciężko z tego domu wyjść. Bo rozmowy się zaczynały od jakichś takich pogawędek na różne tematy, ale jak Sokrat się rozgadał, to nie dość, że ludzie go słuchali z szeroko otwartymi ustami – z otwartymi gębami, jak to się mówi – mimo że się przecież jąkał. To było tak zajmujące, że ludzie potrafili siedzieć godzinami – bo to nie tam, że godzina, dwie – czasami musiałem odwoływać kolejne spotkania, bo Sokrat się rozgadał, a wtedy to nie przelewki, tak ławo od niego się nie wychodziło. Pamiętam, jak pojechałem do Krynek z Korą i Kamilem Sipowiczem, mieliśmy mieć potem jakieś spotkanie wieczorem w Białymstoku, to tak się rozgadali, że z dwóch godzin, zrobiło się siedem czy osiem. Jeszcze wyszło na to, że Kamil Sipowicz ma pochodzenie białoruskie, bo Sokrat potrafił każdemu, nawet temu, kto nie ma nic wspólnego z białoruskością, wmówić, że ma co najmniej takie korzenie.

KSM: *Wychodzili jako Białorusini* [*śmiech*].
BD: Dokładnie tak, a jeszcze z jaką podbudową intelektualną.
DZ: *Słowacki przerabiał Polaków w anioły, a Sokrat w Białorusinów* [*śmiech*].
BD: No tak, Sokrat miał argumenty, i potrafił zajmująco o tym mówić…
DZ: *Miał charyzmę?*
BD: Akurat to, to na pewno.
KSM: *To kogo tam jeszcze przywoziłeś? I skąd w ogóle ten pomysł, żeby zawozić różnych ludzi do Krynek, do Sokrata? Kto chciał i dlaczego?*
BD: Zwykle przyjeżdżające tu osoby, powiedzmy, jak Kora i Kamil Sipowicz – ale to tylko przykład – mówiły: pokaż nam coś, co jest tutaj u was specyficznego, co wyróżnia ten region. Bo właśnie z Korą i Kamilem zajechaliśmy do Supraśla, do jakiejś tam niby-znanej knajpy, wchodzimy, a tam leci muzyka z radia. To oni mówią: przecież ta muzyka leci wszędzie i takich knajp wszędzie jest mnóstwo, pokaż nam takie rzeczy i miejsca, których nie znamy. I takimi właśnie zdarzeniami były wizyty u Sokrata.
DZ: *Wygląda na to, że Sokrat był niesamowity.*
BD: Powiem szczerze, rozmowy z Sokratem były rzeczywiście zajmujące, chciało się tego faceta słuchać, mimo tego, że czasami gadał przez parę godzin i się powtarzał. Słuchało się go z przyjemnością. Wystarczyło mu rzucić temat, to robił się z tego poemat…
DZ: *Ale dlaczego, jak sądzisz? Przecież nie tylko ze względu na temat, czyli przerabianie na Białorusinów…*
BD: Sokrat miał taki dar, dar gawędy. Był gawędziarzem po prostu. Wybitnym.
DZ: *Czyli był takim gawędziarzem kresowym, czy tak?*
BD: On nie lubił słowa Kresy, a dlaczego tak jest, potrafił właśnie zajmująco, ale też z klasą, rzeczowo, intelektualnie, opowiadać. Jednocześnie był niezwykle dowcipny. Gawędziarzem jest też na przykład Pawluczuk, ale to jednak profesor i to daje się od razu wyczuć, taki dryg naukowy i manierę wykładowcy. Co innego profesor Strumiłło, zajmująco potrafi opowiadać o swoich losach związanych z tym, z czym ja się też zmagam, z tą jedyną ojczyzną, do której tak naprawdę się przyznaje, ja też, czyli do Wielkiego Księstwa Litewskiego.
DZ: *Tak, wszystko to jest zrozumiałe, to są właśnie te klimaty, Wielkie Księstwo Litewskie, gawęda, to jest jeszcze gdzieś tam dziewiętnastowieczne czy romantyczne. To zresztą widać w esejach Sokrata Janowicza, tych polskich i tutaj nie przypadkiem, moim zdaniem, jest język polski, bo polszczyzna oznacza m.in. tradycję gawędy. Wszyscy mówią o tym Wielkim Księstwie Litewskim, ale przecież to nie ma wiele wspólnego z tymi Kresami i Litwą z I połowy XIX w., Mickiewiczowskimi. Janowicz bardzo mocno podkreślał, że… no bardzo mocno wyodrębniał Białorusinów, u niego nie ma takiego „kochajmy się!", bez różnicy, kim my wszyscy jesteśmy, tylko on te różnice wyraźnie wydobywał, a mimo to… tworzył jakąś nową gawędę.*
BD: No tak, bo u większości ludzi powiązanych z tą dziewiętnastowieczną i dwudziestowieczną tradycją kresową, niech będzie, użyję tego słowa, on tak naprawdę wszędzie poszukiwał Białorusinów, mimo tego, [**DZ:** *Mimo tego, że uchodziła*

za polską tradycję] że czasami nie miało to uzasadnienia. Ale jednocześnie, pisząc o Mickiewiczu, Sokrat przyznawał, że jest tak: wielki pisarz białoruski, ale też litewski i przede wszystkim polski. To potrafił, wielka mu chwała za to, przyznaję. Na festiwalu, który robiliśmy w dwusetną rocznicę urodzin Mickiewicza jako reprezentant Białorusinów występował właśnie Sokrat, z Tomasem Venclovą, Litwinem, z Krzysztofem Czyżewskim, który spotkanie prowadził i Tomaszem Łubieńskim, jako reprezentantem strony polskiej. Sokrat przy licznie zgromadzonej publice przyznał, że Mickiewicz jest wielkim poetą polskim, ale również wielkim poetą białoruskim i litewskim też. I właśnie to Janowicza wyróżniało, że potrafił tak powiedzieć. Nie twierdził, że skoro Mickiewicz urodził się koło Nowogródka, czyli na obecnej Białorusi, więc jest pisarzem białoruskim. Jest polski, ale też jest nasz. A w ogóle jest obopólny. Wspólny. To było fajne w jego podejściu.

DZ: *On chyba mimo wszystko lubił, właśnie mówiąc o Wielkim Księstwie, lubił to zmieszanie, mieszanie się, mieszańców.*

BD: Najbardziej lubił tych mieszańców. I podkreślał właśnie, że najgorsi są ci monolityczni.

KSM: *Albo uważają się za takich.*

DZ: *No właśnie, czystych.*

BD: Wiadomo, że ten region i jego historia były mocno poplątane, że tutaj nikt nie jest czysty. Z tymi, którzy tak sądzili nie za bardzo potrafił rozmawiać.

KSM: *Nie wiem, taka mi myśl przyszła do głowy, może głupia, to się wytnie* [*śmiech*], *czy nie jest tak, że Sokrat też chciał, trochę jak Mickiewicz, być również wielkim pisarzem polskim, mimo pielęgnowania w sobie i wokół siebie białoruskości?*

BD: Jak najbardziej!

DZ: *Tak sądzisz? Czyli nie chciał się dać spolonizować, ale chciał być jednocześnie wielkim pisarzem polskim?*

BD: Polskim, ale białoruskim, albo odwrotnie. Inaczej po co by chciał, żeby jego książki były tłumaczone na polski, po co niektóre pisał po polsku, nie mówiąc o niezliczonych świetnych esejach pisanych po polsku do tak zacnych pism, jak choćby paryska „Kultura". Wiedział, że jego książki wydawane po białorusku trafią do garstki czytelników. To go bolało, ale jak każdy pisarz chciał zaistnieć w szerszym kręgu. Nie będzie przecież jeździć ze swoimi książkami i odbywać spotkania w łukaszenkowskiej Białorusi, gdzie zresztą mało kto by go zrozumiał, bo prawie nikt nie zna białoruskiego. I tak się składa, że był Sokrat jednym z najbardziej rozpoznawalnych, najbardziej znanych w Polsce pisarzy z Podlasia.

DZ: *A która z książek Janowicza jest Ci najbliższa? Mówiłeś, że masz wszystkie, które wyszły.*

BD: Prawie wszystkie. Książka, która zapadła mi najbardziej w pamięć, po pierwsze ze względów sentymentalnych, bo dostałem ją w prezencie na owym wspominanym już przeze mnie nieraz spotkaniu z Sokratem na Uniwersytecie, z jego niesamowitą dedykacją, po drugie ze względu na treść, dlatego jest mi najbliższa *Białoruś, Białoruś*. Wzbudziła wielkie kontrowersje, bo niektórzy kompletnie absurdalnie zarzucali Sokratowi, że jest to książka nacjonalistyczna. Jest odwrotnie,

to książka antynacjonalistyczna, która mówi o tym, jak bardzo historia polska i białoruska były ze sobą związane, jak wielu mamy wspólnych bohaterów, pisarzy, polityków itd. Przeczytałem ją parę razy i nie dostrzegłem tam tego typu treści. Ale niektórzy dostrzegli.

DZ: *Ona jest momentami zadzierzysta, pisana z przytupem i fantazją, ale ja też nie uważam, że ona ma charakter zamykający. Raczej widziałabym w niej radość z odkrywania nieoczywistych i zapomnianych korzeni wielu na pozór oczywistych zjawisk.*

BD: No właśnie. I jeśli Sokrat pisze tam na przykład o moim krajanie, czyli o Konstantym Kalinouskim, przywódcy powstania styczniowego, który urodził się w Mostowlanach, parę kilometrów od Cisówki, to podobnie jak o Mickiewiczu stwierdza, że przecież był nasz i wasz.

DZ: *Tę podwójność?*

BD: Właśnie podwójność. Podwójny los.

KSM: *A jak Twoje „Kartkowe" środowisko zareagowało na informację o współpracy z SB? Bo to chyba jest ważny moment, pewna cezura funkcjonowania Sokrata jako pisarza i autorytetu. Jak Wy to przyjęliście?*

BD: Nijak. Nie zareagowaliśmy w ogóle. Nie było to dla nas ani żadne zaskoczenie, ani jakaś rewelacja, która by z nóg zwalała.

DZ: *Jak myślisz, dlaczego?*

BD: Przede wszystkim ta jego współpraca była grubymi nićmi szyta. Nikt niczego tak naprawdę nie udowodnił. Jak w większości tego typu esbeckich machlojkach.

KSM: *Ale też sam się przyznał....*

BD: No tak, że pisał donosy na siebie i na swoich kolegów. Może i tak było, natomiast to w żadnym wypadku nie wyznaczało naszego stosunku do niego jako do pisarza.

DZ: *Bo on dla was był przede wszystkim pisarzem?*

BD: Tak, i właśnie to podkreślam. Natomiast te jego różne polityczne wpadki, wypadki – były, się zdarzyły, może w środowisku białoruskim trochę zawrzało. Natomiast ja podkreślam jeszcze raz to, że i dla mnie, i dla „Kartek" przede wszystkim Sokrat był autorytetem jako pisarz. Dla mnie osobiście był tez autorytetem jako człowiek.

DZ: *Myślę, że akurat w tym środowisku wielką też estymą nie darzyliśmy Służby Bezpieczeństwa.*

BD: Tak, to inna kwestia.

DZ, KSM: *Dziękujemy za rozmowę.*

Jan Maksymiuk
PRAGA

Sokrat Janowicz: koniec epoki klasycznej

Dokładnie nie pamiętam, ale gdzieś na przełomie wieków Krynki uzyskały nowy kontakt ze światem: bezpośrednie połączenie telefoniczne. Wtedy, w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, z Białegostoku do domu rodzinnego powrócił Sokrat Janowicz. I można było dodzwonić się do pisarza bezpośrednio, bo wcześniej trzeba było dzwonić na pocztę do Krynek i tam prosić o dalsze połączenie. Kiedy po raz pierwszy bezpośrednio dodzwoniłem się do Sokrata i pogratulowałem tego postępu cywilizacyjnego w jego okolicy, powiedział: „Rozumiesz, w końcu nawet Krynki znalazły się w dwudziestym wieku".

Sokrat Janowicz mówił tak, jak pisał swoje sławne miniatury-sokratki: nie nadużywając słów, z zamiłowaniem do wyrazistych detali, ze skłonnością do epigramatu. Kiedy w 1993 roku w Białymstoku przygotowywaliśmy do wydania jego nową książkę, prozę *Doŭhaja śmierć Krynak*, zapytałem go, skąd w nim ta skłonność do oszczędności słów, dążenie do zwięzłości? Od kogo się tego nauczył, czy nie od Hemingwaya, na przykład? „Przyczyną jest przede wszystkim moje jąkanie. Jestem jąkałą od dzieciństwa, wszyscy moi rówieśnicy śmiali się ze mnie. Walczyłem z jąkaniem w ten sposób, że starałem się mówić jak najkrócej. Chodziło o to, żeby wypowiedzieć myśl, zanim zacznę się jąkać, póki mnie nie zaklinuje" – odpowiedział mi Sokrat z uśmieszkiem. To była jego typowa reakcja na świat – ironia i autoironia. Nie bał się przycinać innym, jednocześnie umiał śmiać się z siebie. Rozumiał, że pytam o Hemingwaya zupełnie serio. Odparł, że styl Hemingwaya bardzo mu się podoba, jednak najwyżej ceni sobie Antoniego Czechowa i Izaaka Babla. Znał na pamięć całe strony bablowskiej *Armii Konnej*. Pamiętam pewien wieczór w redakcji tygodnika „Niwa" w Białymstoku, kiedy kończyliśmy pracę nad układaniem i redagowaniem *Doŭhaj śmierci Krynak*, gdy Sokrat po kielichu wina, którego butelkę przyniosłem ze sobą z tej okazji, zaczął mi cytować długie fragmenty bablowskich opowiadań.

Sokrat Janowicz był świadkiem niezwykłych – z dzisiejszej perspektywy – wydarzeń w historii Białorusinów Białostocczyzny. W 1956 roku w Białymstoku

powstał tygodnik białoruski „Niwa", a w ponad stu naszych wsiach rozpoczęło się nauczanie języka białoruskiego. Sokrat przyszedł do pracy w „Niwie" na początku jej istnienia, kiedy na Białostocczyźnie wszyscy dopiero zaczynali uczyć się pisać po białorusku. W 1958 roku jako jeden z tych, którzy najszybciej nauczyli się pisać poprawnie, inicjował powstanie Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża". Był dziennikarzem „Niwy", w której parał się wszelką bieżącą publicystyką. Jednak od czasu do czasu publikował oryginalniejsze teksty na stronie literackiej „Białowieży", wówczas comiesięcznej rubryki „Niwy". Na rynku wydawniczym debiutował w wieku 33 lat. Jego pierwszą książką były *Zahony* (1969), zbiór miniatur i opowiadań. Z dzisiejszej perspektywy wyraźnie widać, że była to data historyczna, coś na kształt cezury w literaturze białoruskiej w Polsce. Przed ukazaniem się *Zahonów* na Białostocczyźnie mieliśmy tylko poezję – zupełnie nieźle czytającą się do dzisiaj – jak na przykład tom *Źniwień słoŭ* Alesia Barskiego z 1967 roku. Ale to Sokrat Janowicz udowodnił, że jesteśmy w stanie tworzyć i wysokiej próby prozę. Literatura białoruska w Polsce, która narodziła się zaledwie dziesięć lat przed ukazaniem się *Zahonów*, wraz z tą książką weszła w wiek dojrzewania.

Potem w życiu Sokrata zdarzyło się coś, czego nikt do końca nie zrozumiał. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku zwolniono go z pracy w „Niwie", wyrzucono z partii jako „białoruskiego nacjonalistę" i postarano się, żeby nie mógł znaleźć żadnej przyzwoitej pracy w Białymstoku. Z człowieka, który w latach sześćdziesiątych XX wieku należał do elity ruchu białoruskiego w Polsce, Sokrat Janowicz z dnia na dzień stał się obiektem ostracyzmu społecznego. Nie zrezygnował z pisania, ale publikowano go tylko w Warszawie w tłumaczeniach na język polski. Po *Zahonach* z 1969 roku następną książką wydaną w Polsce po białorusku była wspomniana wyżej *Doŭhaja śmierć Krynak* z 1993 roku. Sokrat Janowicz w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, można powiedzieć, był społecznym outsiderem. Nadal jednak pozostawał w intelektualnej elicie. No bo przecież intelektualna elita składa się ze społecznych outsiderów…

Dopiero po niemal czterdziestu latach dowiedzieliśmy się, że Sokrat Janowicz w 1970 roku zerwał współpracę ze służbą bezpieczeństwa, do której został zwerbowany jako 21-letni młodzieniaszek przez przebiegłych ubeków, posługujących się językiem białoruskim i odwołujących się do jego białoruskiej tożsamości…

Lata osiemdziesiąte, z polityczno-intelektualnym przełomem wywołanym przez „Solidarność", były dla Sokrata Janowicza bardzo płodne i aktywne. Wydawał podziemne „Biełaruskija dakumienty", pisane niecodzienną dla białostockich Białorusinów łacinką. A po polsku publikował we fragmentach zarys historii Białorusi i białoruskiej idei narodowej pod tytułem *Białoruś, Białoruś*. Ukazał się on w formie książkowej w 1987 roku w wydawnictwie „Iskry" i stał się jednym z najważniejszych wydarzeń literackich w Polsce. Książka w owym czasie była biblią dla ogółu polskich publicystów, którzy po Janowiczu próbowali pisać o relacjach polsko-białoruskich.

W 1989 roku w częściowo wolnych wyborach parlamentarnych Sokrat Janowicz zgodził się kandydować do Senatu z Białoruskiego Komitetu Wyborczego. Po wyborach, nie zważając na pogarszający się stan zdrowia związany z nasilającą się cukrzycą, Janowicz rzucił się w wir naszej największej awantury owego czasu – organizacji białoruskiej partii politycznej w Polsce (Biełaruskaje Demakratycznaje Ab'jadnańnie). Zajął się także nawiązywaniem kontaktów politycznych i gospodarczych Białostocczyzny z Białorusią przedłukaszenkowską.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Sokrat opuścił Białystok i powrócił do domu rodzinnego w Krynkach, który wcześniej odnowił i przebudował. Po miejskim gwarze potrzebował wyciszenia, także ze względów zdrowotnych. Ale niespokojny charakter nie pozwolił mu siedzieć z założonymi rękoma. W Krynkach, z pomocą redaktora „Czasopisu" Jerzego Chmielewskiego i artysty Leona Tarasewicza, założył Fundację Villa Sokrates i rokrocznie, w ciągu pierwszego dziesięciolecia nowego wieku, w siedzibie agroturystycznej niedaleko Krynek organizował letnie spotkania pisarzy, tłumaczy i badaczy, którzy interesowali się Białorusią i białoruskimi sprawami. Spotkania, jak wskazywała ich nazwa – „Trialogi białoruskie" – przyciągały ludzi z trzech obszarów: Zachodu, Polski i Republiki Białoruś. Ich namacalnym efektem był wydawany co roku tom materiałów literackich i naukowych pod tytułem „Annus Albaruthenicus".

Sokrat Janowicz był i do końca pozostał tradycjonalistą. W kontaktach z uczestnikami swoich trialogów korzystał wyłącznie z tradycyjnej poczty i telefonu. Nie miał komputera i nie uznawał poczty elektronicznej. Kiedy chciałem coś opublikować w „Annus Albaruthenicus", drukowałem swój tekst i wysyłałem Sokratowi do Krynek w zwykłej kopercie. A wersję elektroniczną posyłałem Jurkowi Chmielewskiemu, który był redaktorem technicznym wydawnictwa Fundacji Villa Sokrates.

Dzisiaj, gdy na Facebooku przeczytałem informację o śmierci Sokrata Janowicza i komentarze jej dotyczące, moja pierwsza myśl była mniej więcej taka: oto zmarł jeden z ostatnich przedstawicieli naszej klasycznej epoki, która korzeniami sięga czasów „Našaj Nivy" czy nawet wcześniejszego okresu białoruskiego przebudzenia XIX wieku po powstaniu styczniowym… Człowiek ten w żaden sposób nie pasuje już do kolosalnego postmodernistycznego śmietnika, którym stała się współczesna kultura w internecie. Cały On pozostał tylko w książkach, w słowie drukowanym. Na przykład w takim:

> Nie jestem w stanie pojąć, czego ludzie w Krynkach szukają. Od dawien dawna powinno ich tu nie być: zapadnięte w ziemię budynki i zrujnowane ulice winny pokryć się młodziutką brzeziną pełną miejsc grzybodajnych. Puszcza skryje niepotrzebną kapitalizmowi okolicę. (…) Opóźnia się tu nadejście nowoczesnej cywilizacji albo… lasu. Winę za to ponoszą, wiadomo, Polacy, zasiedlający porzucone przez Białorusinów feudalne ustronie. Bezpodstawnie myślą, że w Krynkach,

tym pochłopskim widmie miasta, można przeżyć… W nich można tylko umrzeć w spokoju.

Niech Ci ziemia lekką będzie, Sokracie.

Praga, 18 lutego 2013
przełożyła: G. Charytoniuk-Michiej

Michał Stankiewicz
WARSZAWA/BIAŁYSTOK

Jezus Chrystus nie obroni w mrocznym lesie

Proszę zrobić eksperyment. Polać kacapom wódki, broń Boże samogonu, bo można uznać to za granie *nie fair*, wybory sfałszowane, bo już od progu butelki rozpocznie się ten białoruski *small talk* o kraju dziadów. Bo zgadnijcie, o czym zaczną *haworyć*? O pogodzie? Jaki naród tak dużo obraca w języku kulturę przodków, kto tak łatwo się odkrywa chłodnymi sieniami, na stół z butów słomę z ceremonią wywala, kto, przyznać się proszę, wiedzą lingwistyczną o regionalizmach przenigdy się nie szczycił, a kto tak łatwo się rozkleja na widok powidoków z dzieciństwa? Ile w tych rozmowach dzieciństwa właśnie. Rumiani na buziach, w małe dzieci zgarbieni, po gałęziach rodzinnych, historiach stuletnich, meandrach, zakrętach bitewnych nas nosi. Zupełnie naturalnie, po imiennym zapoznaniu się, białoruska etykieta wymaga zwyczajnie szarpnąć *adkul ty*? Lubię te wywijasy historyczne, z luźna, bez większego bohaterstwa nurkowanie o kilka wieków dalej, te rzutkie dygresje w wujkowe zakola kilka dziesięcioleci w bok. A wiesz jaka była pogoda jak twojego wujka pradziadek się żenił?

Nie znam Białorusina, który nie chodzi z własną kroniką familijną permanentnie szlifowaną. Często w dialogu, grupowo, razem. Zaludniają się wujkami, stryjkami, ciotkami te tomiszcza intymnej biblii, gładko, niepozornie, przy krótkiej pogwarce przy płocie, przy traktorze, na Marszałkowskiej.

I proszę mi wierzyć, że z tego coś musi kiedyś pozostać, może cecha narodu albo nawet atrakcja turystyczna? Bo dobrze wiemy, skąd te gorączkowe rozmowy, czym podszyte, jakim wielkim strachem pędzone, lękiem sterowane. To ciągłe trajkotanie, nadawanie, ta fajka pokoju, ta naprędce odświeżana przypowieść. Tego się już nie da powstrzymać. Urwało się, płynie z krwiobiegiem rozmów. Stało się.

A sercem tej krwi jest Sokrat Janowicz. Papież białoruskiego pierdolenia. Nieustającego, wszechobecnego, ale tak pomiędzy oficjalnymi słowami. Między *(miž)*, to najważniejsze białoruskie słowo. Czytając Sokrata, nie sposób uciec od kanonicznej refleksji o jednym z najczulszych środków świata, o stolicy zadupia Wschodu i Zachodu. Choć tych pęknięć, środków, pępków każdy z narodów

wyczuwa pod swoimi stopami dużo, nie da się zaprzeczyć, że żyjemy w cieniu wielkiej rany.

W tym rozdarciu, wydaje mi się, jesteśmy jednak zbyt samotni sami dla siebie. Każdy z nas o różnych zabarwieniach białoruskości, skazany na wszędobylskie outsiderstwo. Pamiętam, jak nad ranem, po omacku, w mroźny dzień pędziliśmy z bratem na pogrzeb Sokrata. Dwie setki kilometrów, z Polski do Polski. Pamiętam niewygodną myśl, brzydką myśl, że nieraz za daleko na pogrzeb krewnego, znajomego, a teraz lepimy przez dwie Polski kulę śnieżną, komuś obcemu, z gazety, z książek, z opowieści, za to bez grama wątpliwości bycia w tej właśnie czasoprzestrzeni. Ciągnęło nas. Śnieg zabierał pola, łąki, sady. Usztywniał w zastygłym, krzywym spazmie. Materiał śmiercionośny. Kto był, ten musi pamiętać zmarzłe betonowe powietrze, to gnieżdżenie się lodu w płucach. I nagle stoimy z bratem w kondukcie pogrzebowym, trzymając chorągwie białoruskie pośród tego łatwopalnego świata Krynek. Strach, mróz i starszy brat chuchający w dłonie bez rękawiczek. Idziemy, słyszę na sobie flesze aparatów, a w głowie rośnie wątpliwość, przecież nie znam ani jednego zdania Sokrata po białorusku, tylko wyrywkowe odczytania przez filtr polskości. Cyrylicą jestem w stanie nagrobki rozszyfrować, wyjąkać imiona zmarłych, sama mowa pojawia się u mnie sporadycznie. Wyłania się z chybotliwości przyświątecznych. Wspaniała jest ta siła wódki, rozbierająca z polskości całe pokolenia mojego ojca. Jak wychodzi z etanolem. Dziecku zdawałoby się, że wtedy jest się Białorusinem, że to optymalny stan mentalny umysłu wschodniego. Do dzisiaj badam granicę, za którą zaczyna się białoruska mowa przy keksach, prosforze i gołąbkach.

Szczęśliwie większość komunikatów transportujemy wraz z ciałem, pomagamy sobie performatyką, gestykulujemy niejako wraz z językiem, z mową. To nieobecne łatwiej odżywa, bo głęboko koduje w nieświadomości dziecka. Przekonałem się o tym parę lat temu, gdy pewne dziewczę spod Bielska poprosiłem, by poza słodkimi momentami (i nie tylko) mówiło po swojemu. Choć *haworka* zabarwiona ukraińskimi końcówkami, wystarczyło kilka popołudniowych warszawskich romansów, by nagle Radio Racja nie brzmiało obco. Na odblokowanie mowy jeszcze chwilę muszę poczekać, ale już teraz dla zabawy uprawiam tekst turystykę. Koledzy polscy mogą pozazdrościć, jak łatwo zmienić optykę, nie wyuczoną, a wsączoną, nabytą, jak miło przejrzeć się w białoruskim zwierciadle. Odtwarzam wyrazy znane z dzieciństwa, tą nagrobkową, moich dziadów po mieczu mową, buduję w głowie światy przy trudzie słów, które wstyd perswadować poza snami. A niech będzie to Mickiewiczowskie *myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie*, bo też takiej ukrytej opcji, nieświadomego rewersu w myśleniu my mieszańcy mamy sporo.

W tych kreślonych mapach mentalnych pojawia się Janowicz. Jak pisał, języka białoruskiego używamy już jak relikwii. A chciałoby się normalnie, zwyczajnie. Źródła mojego lingwistycznego kosmosu znajdziecie w wilgotnych od świątecznej wódki ustach. Człowiek bez języka jednak maleje, globalizuje się, skraca dystans

myśli. Ale język też przywłaszcza, nadaje obraz, formalizuje odczucia bytujące jeszcze poza zdaniem, albo jak mowa telewizora gładko pikselizuje właściwości rzeczy. Staram się dobierać złodziei siebie, dobrych zapraszam, niech kradną mnie ile wlezie. Nie każdy przecież zostaje mistrzem fałszerstwa w oczach sztokholmskiej Akademii.

Sokrat pojawia się w tych rozmyślaniach jako bohater, obrońca świata, albo też, jeśli mam być szczery, jako stworzyciel świata równoległego. Rozczula, gdy pisze, że innych wesel jak wiejskich nie ma na świecie. To do dzisiaj mnie zastanawia. Trawi nas to bajanie, te sakralności, te powroty w dziecko, w pieluchy. Trawi nas, przeżuwa. Z każdym rokiem nabieram podejrzliwości do mistycyzmu. Coś, co spajało, dzisiaj przyglądam się temu badawczo. Ten wschodni mistycyzm, którym się szczycimy. Póki będziemy *haworyć* o dzieciństwie, póty będziemy poddanymi. To bajanie o magiczności, o nieracjonalności, o abstrakcyjności spycha w ramiona szamana. Ta zagadkowość dzieciństwa, podbudowana strachem przed ciemnością, opowieścią o duchach i jeszcze ten Święty Mikołaj, jeśli będziesz grzeczny. Nie licz na nic. Zgodnie z myślą Wilhelma Reicha silne obcowanie w trójkącie mama-tata-ja wiąże w głowie hierarchiczność, wiarę w niby naturalną strukturę władzy: pan-poddany. I to ciągłe porządkowanie pejzażu, układanie, jakby wszystko było na swoim miejscu, tam kwiatki, tam lasy, tam my, tam pan, tam król, a tam Pan Bóg. Może młodsze narody tak mają, nieuformowane, może tak budują się baśniowe mity założycielskie?

Nie wiem, jaka jest droga powrotna z tych peryferii, jak mądrze wybrnąć z tego węzła gordyjskiego, łączącego dwie półkule środkowowschodniego mózgu. Czy niwelować mistycyzm i stawać się racjonalnym, blisko nam przecież do spokojniejszych Bałtów? Ale co z tego świata bez tysiąca znaków, słów, zapachów, wzruszeń? W którą więc stronę? Czy ulegać tej powierzchownie racjonalizującej chrystianizacji czy dławić się w iluzji mistycyzmu? *Halfway*, ciągle w pół drogi. Naprawdę trudno być chrześcijaninem na wsi. Mnie nie dziwi opór wschodnich ludów wobec przejścia na wiarę centralną. Wystarczy wyjść w nocy do lasu. Nie zobaczysz tam Jezusa, diabła, ale poznasz się szybciej z Rokietnikiem, Leszym, Borowym. Rezygnować z tego sztafażu, z tej armii zaciężnej obrońców, ze wschodniej biblii, pomocnej konstytucji? Jezus Chrystus nie obroni cię w mrocznym lesie. W umartwianiu lepsi będą miastowi.

Więc jednak bezludna wyspa? Mnie nie dziwią te literackie ucieczki. Jak wyjeżdżam na wieś, zamykam oczy. W kolorze stolca drewnopodobna szalówka pokrywająca drobiazgi dawnych mistrzów, albo proszę bardzo, wielkie bilbordy stawiane w miejsce wiekowych przydrożnych topól. Tak, wiem, ciężka to praca, by nie stać się ślepym lub głuchym. Ciężko umniejszać tym rajom pod powiekami. Im brzydziej, tym idylliczniej pod powiekami się robi. W wyobraźni mało jest miejsca na światy równoległe, przenikania się. Walcząc o przyjemność, trudno o truciznę, szczególnie gdy nad powiekami jej w bród. Gdzieś w końcu trzeba tulić się w ciepło *axis mundi*. To chyba jednak teleportuje w trupie raje zastygłego orgazmu?

W tych myślach Sokrat nie jest pomocny, zwyczajnie zbędny, nawet przeszkadzający, bo nie daje odpowiedzi, a kręci. Chce się krzyknąć: stary, a głupi. W tej zbędności jednak niezbędny, brat losu, wysłuchujący, metodyczny wodzirej, znawca europejskiej kalozotomii, artysta zabliźniający dwa światy.

Mira Łuksza

Sokrat[1]

Piołunem pachnie Dolina, powietrze się marszczy od żaru.
Idziesz po łące zielonej, mokry, zmęczony, niemłody.
Na zdjęciu Leona zostaniesz, w jesionce i kapeluszu,
w tym wieku nieokreślonym, boś zawsze, jak mówią, był stary.
W butach wygodnych, na wyrost, na każdą pogodę,
wśród obcych, żeby nie przepaść – takie ci baćko uszył.

Miadźwiedź kasałapy złaził w tych butach bezdroża,
miodu zwiedział gorzkiego, na bóle co nie pomoże.
Księga słodka w języku goryczą się stała.
Balać nohi, tatulka, a prajszli tak mała!
Bolą nogi, tatku chrzestny, pęcherze pękają,
z nich, Sokracie, łzy gorzkie, jak z oczu spływają.
Zwiedział słowo modre, lecz ciężar pudowy przygniata,
choć jak motyl swobodny do nieba to słowo ulata.
Żartować z tego żalu z żarem Sokratowym!
Przybić do tych buciorów stalowe podkowy!

[1] Poetka opublikowała ten wiersz pod innym tytułem (*Krynki*) w zbiorze *Biały stok*, Warszawa 2012, s. 28.

Indeks osobowy

Indeks zawiera nazwiska zapisane przez Autorów alfabetem łacińskim. Oddzielnie umieszczono indeks nazwisk zapisanych cyrylicą (Паказальнік імёнаў).

A

Adamowicz Aleś **198**
Adamowicz Anton **114**
Adamski Jan **462**
Akiner Shirin **12**, **14**, **16**, **221–225**, **227**, **228**
Akudowicz Walancin **198**
Aleksander I, car **27**, **401**, **402**
Aleksander Macedoński **392**
Aleksandrowicz-Pędich Lucyna **14**, **16**, **223**
Anderson Laurie **367**
Anderson Sherwood **224**
Androsiuk Michał **9**, **13**, **17**, **80**, **373**, **403**, **404**, **409**, **414**, **418**, **443**, **447**, **448**
Andruszkiewicz Tamara **12**
Andrzejewski Jerzy **64**
Ankudowicz-Bieńkowska Maria **38**
Antaszewicz Aleksander [ps. Sokrata Janowicza] **302**
Antosiewicz Maciej **8**
Artymowicz Nadzieja **10**, **253**
Assmann Aleida **102**
Assmann Jan **102**
Astapczuk Alena **197**
Atylla **392**
August III Sas **401**

B

Babel Izaak **8**, **29**, **194**, **224**, **339**, **481**, **482**, **495**
Babkou Ihar **171**
Baczyński Krzysztof Kamil **70**, **394**
Bahdanowicz Maksim **120**, **339**
Bahrym Pauluk **40**
Barski Aleś [wł. Aleksander Barszczewski] **412**, **413**, **496**
Barszczeuski [Barszczewski Aleksander] **188**
Barszczewski Aleksander [ps. Aleś Barski] **153**, **385**, **412**
Barszczewski Jan **33–35**, **37**, **38**, **40–45**
Batory Stefan **189**
Bauer Zbigniew **188**, **190**
Bazyluk Maryla **388**
Beevor Antony **8**
Benjamin Walter **102**, **106**
Bereza Henryk **77**, **97**, **186**, **193**, **194**, **257**
Bernat Andrzej **72**, **320**
Bhabha Homi K. **99**, **100**, **180**, **190–192**
Bialacki Aleś **83**
Białek Bogdan **335**, **376**
Biczel-Zahnietawa Danuta **457**, **458**
Bieńkowska Ewa **34**
Bilczewski Tomasz **15**
Boccaccio Giovanni **223**
Bocian Marianna **463**
Bogdanowicz Maksim **457**
Bogucki Dariusz **428**
Bojarski Wacław **70**
Bolecki Włodzimierz **14**
Borkowska Grażyna **185**
Borowiec Agnieszka **38**
Borowski Tadeusz **64**
Bourdieu Pierre **171**
Brandstaetter Roman **71**
Brandys Marian **98**
Branicki Jan Klemens het. **65**
Brecht Bertold **68**, **192**
Breczko Jacek **490**
Brusiewicz Anatol **13**
Brylewski Włodzimierz **24**
Bryl Janka **113**, **198**, **203**, **206**, **258**, **333**, **457**
Bryl-Roman Weronika **146**
Brysacz Piotr **302**, **304**, **305**
Buchwald-Pelcowa Paulina **68**, **179**
Budny Symon [Budny Szymon] **107**, **188**
Budny Szymon **107**, **188**
Bukowski Piotr **222**
Bursa Andrzej **71**
Burzyńska Anna **152**
Bykau Wasil [Bykow Wasyl] **24**, **339**
Bykow Wasyl **24**, **195**

C

Caillois Roger **100**
Camus Albert **192**
Certeau Michel de **124**, **141**, **144**, **146**
Chadkiewicz Hrehor [Chodkiewicz Grzegorz] **107**
Chagall Marc **398**
Chakrabarty Dipesh **107**, **108**
Chamawicz [ps. Konstantego Kalinowskiego] **119**
Chamucis [ps. Konstantego Kalinowskiego] **119**
Charytoniuk-Michiej Grażyna **12**, **16**, **203**, **318**, **381**, **425**, **465**, **498**
Chaucer Geoffrey **223**
Chmielewski Jerzy **9**, **17**, **61**, **62**, **67**, **72**, **73**, **78**, **80**, **81**, **83**, **102**, **167**, **171**, **172**, **305**, **323**, **425**, **497**
Chmielewski Michał **425**
Chodkiewicze **387**, **394**, **441**
Chodkiewicz Grzegorz **107**
Chojnowski Zbigniew **16**
Chołodowski Maciej **200**, **305**, **306**
Chreptowicz Joachim **188**
Chwin Stefan **49**
Ciacierski [Ciecierski Michał] **188**
Ciecierski Michał **188**
Ciełuszecki Mirosław **408**
Czapliński Przemysław **51**, **450**
Czarnocki [ps. Konstantego Kalinowskiego] **119**
Czartoryski Adam ks. **401**
Czech Mirosław **21**, **22**, **83**, **388**
Czechow Antoni **61**, **392**, **495**
Czeczot Jan **188**, **423**

Czermińska Małgorzata **68**, **69**, **124**
Czobat Aleś **433**, **438**
Czopik Jan [Czopik--Leżachowski Jan] **70**, **78**, **126**, **137**, **138**, **144**, **309**, **319**, **429**
Czopik-Leżachowski Jan **250**, **456**, **474**, **477**
Czykwin Eugeniusz **459**
Czykwin Jan **10**, **150**, **162**, **253**, **257**, **409**, **418**, **466**, **469**, **470**, **473**
Czyżewski Krzysztof **21**, **23**, **493**

D

Dalidowicz Henryk **206**
Damaszewicz Uładzimir **206**
Daniel, król [Danyło Romanowicz] **168**
Danilecki Tomasz **380**
Dawidziuk Mikołaj **257**
Dąbrowicz Elżbieta **7**, **9**, **15**, **402**, **403**
Dąbrowska Maria **64**
Dąbrowski Roman **36**
Długosz Jan **437**
Dmowski Roman **182**
Dobrogoszcz Tomasz **99**, **108**, **191**
Dobroński Adam Czesław **136**
Domańska Ewa **99**, **100**, **108**, **110**, **135**
Dostojewski Fiodor **61**
Drawicz Andrzej **60**, **67**, **72**, **169**, **193**, **302**, **429**
Drozdowska Izabela **111**
Dudko Bogdan **9**, **10**, **17**, **366–368**, **373**, **379**, **418**, **419**, **430**, **485**, **488**, **491**
Dunin Kinga **51**, **453**
Dunin-Marcinkiewicz Wincenty **154**
Dunin-Wąsowicz Paweł **366**
Dürer Albrecht **35**
Dziekanowski Czesław **78**

E

Engelking Anna **13**
Erdrich Louise **224**

F

Falicki Bogusław **253**, **257**, **258**, **478**
Falkowska Jolanta **17**, **22**, **68**, **72**, **179**
Faulkner William **192**
Fazan Jarosław **135**
Fishman Joshua **13**
Foucault Michel **60**

G

Gajcy Tadeusz **70**
Gajewski Zbigniew **433**
Gajl Tadeusz **384**
Gall Alfred **100**
Gałczyński Konstanty Ildefons **319**, **416**
Gedroyć Krzysztof **17**, **63**, **143**, **145**, **448**, **449**
Geniusz Jerzy **390**, **458**
Geniusz Larysa **457**
Geremek Bronisław **67**
Gessner Salomon **447**
Giedroyc Jerzy **24**, **67**, **314**, **393**, **430**
Giertych Roman **452**
Gimpelevich Zina **228**
Głogowska Helena **458**
Godyń Filip **101**
Godyń Przemysław **101**
Gogol Mikołaj **320**
Golonko Teodor **386**
Gołębiowski Bronisław **163**
Gołubiew Antoni **98**
Gombrowicz Witold **163**, **166**, **184**, **192**, **473**
Gomulicki Wiktor **29**, **30**
Gomułka Władysław **136**, **377**
Goszczyński Seweryn **104**
Górski Klemens **205**, **209**, **210**
Górski Konrad **481**
Grochowiak Stanisław **10**
Grossman Wasilij **8**
Grygorczuk Jerzy **252**
Grześ Paweł **59**, **381**, **384**, **394**

H

Hajduk Mikołaj **385**, **408**, **428**
Hanka Václav **101**
Harbuz Hrysza **315**
Harun Aleś [wł. Aleksander Pruszyński] **314**, **433**
Hegel Georg Wilhelm Friedrich **100**
Heidegger Martin **152**, **340**
Hemingway Ernest **339**, **495**
Herbert Zbigniew **319**
Hercen Aleksander **399**
Heydel Magda **222**
Hlobus Adam **366**
Hłasko Marek **71**
Hniłamiodaŭ Uładzimir [Hniłamiodau Uładzimir] **156**, **198**
Hobsbawm Eric **101**, **102**
Hołda Edward **210**
Horubała Andrzej **450**
Hrahatowicz Maria **116**
Husouski Mikoła [Hussowski Mikołaj] **107**, **188**
Hussowski Mikołaj **107**, **188**
Huszcza Jan **302**, **429**
Hutnikiewicz Artur **465**, **466**, **471**, **481**

I

Ihnatoŭski Usevalad Makaravič **390**
Inglot Mieczysław **38**
Iwasiów Inga **49**
Iwaszkiewicz Jarosław **457**, **480**
Iwaszkiewicz Maria **209**, **212**, **214**, **217**

J

Jagiellonowie **105**, **183**, **212**
Jagiełło. *ZOBACZ* Władysław II Jagiełło
Janabi Hatif [Hatif Al-Dżanabi] **462**
Janicka Ewa **133**
Janion Maria **36**, **44**
Jankouski Kostuś [ps. Sokrata Janowicza] **302**
Janowicz Aleksandra (matka Sokrata Janowicza) **67**
Janowicz Antoszka **208**
Janowicz Barbara **17**
Janowicz Jarosław **14**, **16**, **17**, **260**, **317**, **318**
Janowicz Tatiana (Tania) **60**, **62**, **63**, **71**, **206**, **208**, **210**, **217**, **218**, **253**, **257**, **304**, **382**, **383**, **425**, **426**, **459**, **479**, **491**
Janowicz Tatiana [wnuczka Sokrata Janowicza] **17**
Janowicz Wiaczesław **17**
Jasienica Paweł **98**, **185**
Jasiewicz Krzysztof **170**

Jasińska Justyna **136**
Jehowa **33**
Jezus Chrystus **499**, **501**
Joyce James **309**, **449**
Jurgiel Krzysztof **430**
Jurkiewicz Lucyna **306**

K

Kabatc Eugeniusz **184**, **433**
Kadłubek Wincenty **338**
Kafka Franz **156**, **157**, **192**, **311**
Kalina Jerzy **428–430**
Kalinouski Kastuś [Kalinowski Konstanty] **104**, **105**, **113**, **470**
Kalinowski Konstanty (Kalinowski Kastuś) **116–120**, **208**, **470**, **477**, **494**
Kamiński Jan **125**, **253**, **366**, **389**, **448**, **456**, **489**
Karatkiewicz Uładzimir **116**, **119**
Karnialuk Witalij **438**
Karol IX **387**
Karpiuk Alaksiej [Karpiuk Aleksy] **386**
Karpiuk Aleksy **24**, **208**
Karp Marek J. **181**, **182**
Karpowicz Ignacy **17**, **63**, **163**, **385**, **395**, **398**, **430**, **441**
Kasprowicz Jan **224**
Kastryca Adolf [ps. Sokrata Janowicza] **302**
Kawalec Julian **77**, **81**, **82**, **134**, **136**
Kazaneccy **474**, **476**
Kazanecka Halina **476**
Kazanecki Wiesław **10**, **63**, **249**, **256**, **257**, **336**, **415**, **462**, **466**, **469**, **474–476**
Kazik [Staszewski] **388**
Kiełczewski Dariusz **17**
Kierkegaard Søren **61**
Kingston Maxine Hong **224**
Kisialoŭ Hienadź **119**
Kłoskowska Antonina **173**
Kochanowski Jan **319**, **475**
Kochanowski Marek **63**, **124**, **135**, **149**, **169**, **249**
Kołakowski Leszek **337**
Kołodziejczyk Dorota **108**
Kondratiuk Michał **67**
Konecka Krystyna **457**
Kononowicz Maciej Józef **137**, **138**
Konończuk Elżbieta **16**, **55**, **124**, **129**, **135**, **149**, **169**
Konopka Ewa **223**
Konopnicka Maria **54**, **483**
Konson Lev **224**
Konwicki Tadeusz **22**, **30**, **67**, **98**, **110**, **185**
Koperski Jerzy („Leszin") **468**
Kopka Krzysztof **185**
Kora [Sipowicz/Jackowska] **395**, **491**, **492**
Kordowicz Wiktor **208**
Kornhauser Julian **49**
Korotkich Krzysztof **34**
Korybut-Daszkiewicz Iza **373**
Kosman Marceli **390**
Kosowska Ewa **153**
Kostkiewiczowa Teresa **154**
Kościewicz Katarzyna **63**, **124**, **129**, **135**, **149**, **169**
Kowalczykowa Alina **34**
Kozłowska-Świątkowska, Elżbieta **63**
Kożuszko Leszek **151**
Krasicki Ignacy **319**
Krasiński Zygmunt **319**
Kraskowska Ewa **14**
Kraszewski Józef Ignacy **319**
Kraśko Ryszard **466**
Kropiwnicki Maciej **102**
Kruk Erwin **10**
Kryczyńska-Pham Anna **102**
Krysztofiak Maria **14**
Krzyżagórski Klemens **184**, **188**, **193**, **468**, **469**, **472**
Kuczyńska Alicja **137**
Kulesza Dariusz **16**, **64**, **81**, **124**, **149**, **179**, **301**
Kuncius Herkus **373**
Kupała Janka **154**, **191**, **321**, **339**
Kurczewska Joanna **51**
Kuroń Jacek **60**, **67**, **335**, **382**, **427**, **430**
Kurowicki Jan **68**
Kurzawa Eugeniusz **10**, **249**
Kuziak Michał **100**
Kwaśniewski Aleksander **179**, **417**

L

Lacan Jacques **100**
Lechoń Jan **472**
Leder Andrzej **50**, **51**, **55**, **56**, **170**
Lelewel Joachim **478**, **479**
Lenin **401**
Leończuk Jan **9**, **10**, **13**, **14**, **16**, **17**, **182**, **194**, **249**, **250**, **253**, **255**, **257**, **427**, **455**, **462**, **465–468**, **470–472**, **474**, **478**
Leśmian Bolesław **319**, **321**
Levý Jiří **222**
Lewicka-Pezowicz Zofia **335**
Liebert Jerzy **472**
Limanoŭski Janka **114**
Liskowacki Artur Daniel **49**
Litwiniuk Jerzy **23**, **64**, **68**, **73**, **140**, **169**, **192**, **250**, **302**, **456**
Lul Marcin **15**
Lurker Manfred **158**
Lynch Kevin **133**, **147**

Ł

Łatyszonek Jerzy **390**
Łatyszonek Oleg **80**, **411**
Ławski Jarosław **34**
Łubieński Tomasz **493**
Łucewicz Jan [Kupała Janka] **191**
Łucyk Andrzej **336**
Łukaszenka Aleksander **370**, **371**, **465**
Łuksza Mira **17**, **198**, **418**

M

Macpherson James **101**
Macużanka Zenona **81**
Maderuelo Javier **146**
Mahon Derek **367**
Majecki Henryk **188**
Makarewicz Aleś **198**
Makarewicz [ps. Konstantego Kalinowskiego] **119**
Makowiecki Andrzej Z. **465**, **466**
Maksymiuk Jan **16**, **366**, **385**, **386**, **389**, **411**, **436**, **488**
Maldzis Adam **198**
Malewicz Kazimierz **398**
Mareta [wł. Maria Koszycka] **466**
Markowski Michał Paweł **152**
Marquard Odo **335**

Marquez Gabriel Garcia **320**, **321**
Marszałek Krystyna **469**
Masłowiecki Tadeusz Antoni **467**
McMillin, Arnold **221**, **224**, **228**
Mencwel Andrzej **103**, **208**, **257**
Mendog, wlk. ks. (Mindowe) **168**
Michnik Adam **21**, **67**, **83**, **98**, **195**, **391**, **395**, **409**, **443**, **478**
Mickiewicz Adam **36**, **40**, **41**, **61**, **74**, **100–102**, **107**, **319**, **324**, **368**, **402**, **472**, **477**, **479**, **481**, **482**, **493**, **494**
Mieroszewski Juliusz **336**
Mikołajczak Małgorzata **7**, **56**, **97**, **135**
Miłosz Czesław **98**, **107**, **165–167**, **183**, **185**, **319**, **325**, **328**, **430**, **472**, **473**
Mironowicz Antoni **385**
Mironowicze, bracia **426**
Mironowicz Eugeniusz **411**, **426**
Moczar Mieczysław **377**
Moczulski Leszek **409**, **443**
Mokry Włodzimierz **427**
Morton Józef **77**
Możdżer Leszek **395**
Mrożek Sławomir **64**
Munro Alice **223**
Murawiew Michał **120**
Murzynowski Stanisław **214**
Musiał Łukasz **111**
Mycielski Zygmunt **325**
Myśliwski Wiesław **10**, **69**, **74**, **77–81**, **84**, **98**, **171**, **391**, **413**, **414**, **429**

N

Nabokow Władimir **339**
Nachiło Jerzy **366**, **486**, **488**
Nadson Aleksander o. **459**, **461**
Napoleon Bonaparte **27**, **37**, **260**
Nasiadko Zbigniew **126**, **129**, **336**, **337**
Nawrocki Aleksander **258**
Nawrot Dariusz **39**
Neruda Pablo **468**
Niaklajeu Uładzimir **197**, **405**, **406**, **443**
Niczyporowicz Janusz **195**
Niemcewicz Julian Ursyn **26–28**
Nietzsche Fryderyk **61**
Nikifarawa Wolha **198**
Norwid Cyprian Kamil **319**, **475**
Nosowicz Jan Franciszek **38**
Nowacki Dariusz **366**
Nowak Jacek **170**
Nowakowski Marek **64**
Nowak Paweł **395**
Nowak Tadeusz **77**, **81**, **82**, **134**, **136**, **416**
Noworolska Barbara **193**

O

Obrębski Józef **28**
Olchanowski Tomasz **489**
Omiljanowicz Aleksander **338**, **457**, **466**
Orłowski Hubert **111**
Orzeszkowa Eliza **457**
Osiennik Jerzy **384**, **394**

P

Pacuk Katarzyna **16**
Paderewski Ignacy **394**
Pankiewicz Jacek **193**
Papkowicz Uładzimir **198**
Pascal Blaise **61**
Passent Daniel **471**
Paszowski Michał [wł. Michał Szachowicz] **253**
Pawluczuk Włodzimierz **162**, **257**, **336**, **481**, **489**, **492**
Pezowicz Sławomir **335**
Piechowska-Szczebiot Barbara **250**, **489**
Pierożnikow Ewa **59**
Pietrzak Jan **426**
Piętak Stanisław **77**
Pilot Marian **416**, **429**
Piłat Walenty **38**
Piłsudski Józef **163**, **314**, **389**
Pińska Marta [ps.] **198**, **433**
Piwińska Marta **33**
Plutowicz Jerzy **10**, **16**, **65**, **70**, **123**, **124**, **128**, **131**, **152**, **197**, **218**, **250**, **253**, **312**, **313**, **330**, **331**, **366**, **378**, **417**, **474**, **489**
Podbereski Romuald **38–40**
Popiełuszko Jerzy ks. **396**
Pospiszyl Michał **51**
Pruszyński Aleksander **26**, **314**
Przyboś Julian **319**, **473**
Przymuszała Beata **82**
Purglove Michael **223**, **224**, **228**
Puszkin Aleksander **382**, **481**
Putin Władimir **400**
Putra Krzysztof **426**, **427**

R

Radzik Tadeusz **400**, **432**
Radziwiłł Krzysztof **157**
Radziwiłłowie **105**
Raine Craig **367**
Rakowski Tomasz **56**
Ranger Terence **101**
Razanau Aleś **339**
Redliński Edward **10**, **63**, **64**, **77**, **81**, **82**, **125**, **134**, **169**, **192**, **250**, **257**, **336**, **398**, **415**, **416**
Reich Wilhelm **501**
Rewers Ewa **133**, **146**, **147**
Reymont Władysław Stanisław **319**
Rębacz Marcin **373**
Rodczenko Aleksander **398**
Rodko Konstantin **398**
Rodziewiczówna Maria **28**, **29**
Romaniuk Radosław **16**, **72**
Romaszewska-Guzy Agnieszka **393**
Rosiński Kazimierz **90**, **303–305**
Rouba Napoleon **39**
Różewicz Tadeusz **10**, **457**, **466**
Rudaś-Grodzka Monika **101**
Rudczyk Wiktor **185**, **190–192**
Rudziewicz Irena **38**
Rudzińska-Froelichowa Maria **321**
Rusinek Michał **453**
Rybicka Elżbieta **7**, **16**, **56**, **97**, **135**, **142**, **143**, **146**
Rzewuski Henryk **26**

S

Sacharczuk Krzysztof **149**
Sadowska Joanna **136**
Sadzińscy Piotr i Anna **410**

Said Edward **180**, **181**, **182**
Sakowicz Anna **16**, **113**, **117**, **121**
Samatoj Iryna **197**, **198**
Sansot Pierre **145**
Saryusz-Wolska Magdalena **102**
Sawa, arcybiskup **458**
Sawicka-Mierzyńska Katarzyna **10**, **16**, **56**, **97**, **135**, **149**, **249**, **381**, **403**, **425**, **441**, **455**, **465**, **485**
Sawicz, batiuszka **67**
Schlögel Karl **111**
Schmitt Carl **338**
Schulz Bruno **157**
Scorupco Izabella **399**
Selwesiuk Walik **408**
Semenczuk Michał **420**
Serczyk Władysław A. **10**, **187**, **192**, **249**
Siadniou Masiej **228**
Sidowska Karolina **102**
Sienkiewicz Henryk **319**, **417**
Sipowicz Kamil **491**, **492**
Siwek Beata **16**, **149**
Siwiec Marek **152**
Skaradziński Bohdan **181**, **182**, **187**, **189**
Skaryna Franciszek **315**, **384**, **385**
Skowronek Jerzy **184**
Skórczewski Dariusz **99**, **180**, **181**, **185**, **189**
Skrok Zdzisław **185**
Sławiński Janusz **154**
Słobodzianek Tadeusz **398**
Słowacki Juliusz **33**, **74**, **189**, **319**, **492**
Słuczanski Uładzimir **114**
Smaszcz Waldemar **9**, **10**, **17**, **62**, **67**, **76**, **128**, **179**, **183**, **193**, **206**, **253**, **257**, **302**, **464**, **465**, **472**, **477**, **480**, **481**
Smułkowa Elżbieta **13**, **438**
Sobecka Anna **14**, **16**, **79**, **103–106**, **114**, **130**, **132**, **138**, **143**, **197**, **210**
Sobolewska Justyna **449**
Sochoń Jan **466**, **468**, **471**
Sokrates **147**
Soliński Bolesław **211**
Sołżenicyn Aleksander **224**
Soszyński Aleksander **258**
Sowa Jan **99**, **180–183**, **185**, **189**
Spivak Gayatri Chakravorty **100**, **102**, **180**, **182**, **183**, **191**
Spuch Kolka [ps. Sokrata Janowicza] **302**
Srokowski Stanisław **10**, **252**
Staff Leopold **319**
Stalin **52**, **420**
Stankiewicz Jerzy **390**
Stankiewicz Michał **17**
Stasiuk Andrzej **391**, **395**, **443**, **489**
Stefan Batory **481**
Stefanowska Zofia **36**, **101**
Steiner Georg **15**
Stieblin-Kamienskij Michaił **121**
Stroiński Zdzisław **70**
Strugaccy Arkadij i Borys **250**
Strumiłło Andrzej **59**, **492**
Sulima Roch **163**
Sulżyk Dorota **485**
Supa Wanda **67**
Sychowicz Krzysztof **379**
Syczewski Jan **422**
Szachowicz Michał **217**, **250**, **253**, **257**
Szalewska Katarzyna **124**
Szczęsny Artur Jan **366**
Szekspir William **61**
Szestow Lew **61**
Szołochow Michaił **71**
Szpociński Andrzej **170**
Sztachelska Jolanta **16**
Szukiełojć Antoni **390**
Szulborski Eugeniusz **10**, **249**
Szwed Wiktor **409**, **413**
Szymborska Karolina **63**
Szynkarenka Wolhi **116**

Ś

Ślączka Zbigniew **61**
Świątek Kazimierz **458**
Świderkówna Anna **71**
Święcki Tomasz **28**
Świrszczyńska Anna **462**

T

Tałałaj Kazimierz **411**
Tan Amy **223**
Tania. *ZOBACZ* Janowicz Tatiana (Tania)
Tank Maksim **198**, **200**
Taranienko Janusz **253**
Tarasawa Tamara **198**
Tarasewicz Leon **9**, **17**, **22**, **80**, **305**, **316**, **365**, **372**, **381**, **383**, **387**, **411**, **420**, **431**, **437**, **441–444**, **448**, **453**, **490**, **497**
Termer Janusz **193**
Thiel-Jańczuk Katarzyna **124**, **141**
Tilly Charles **173**
Tokarczuk Olga **489**
Tomaszewski Jerzy **183**, **184**
Traba Robert **33**, **72**, **102**, **129**, **159**, **195**
Truchanowski Kazimierz **157**
Trzaskowski Rafał **388**
Trzebiński Andrzej **70**
Trziszka Zygmunt **67**, **149**, **186**, **258**, **477**
Turgieniew Iwan **224**
Turonek Jan **485**, **488**
Turonek Jerzy **386**, **390**
Turowicz Jerzy **67**
Tuwim Julian **319**
Twaranowicz Halina **409**
Twardowski Jan ksiądz **63**, **452**, **477**
Tyczko Halina **198**
Tym Stanisław **398**

U

Uffelmann Dirk **100**

V

Venclova Tomas **493**
Vigny Alfred de **34**
Vinci Leonardo da **252**

W

Wajda Andrzej **388**
Wappa Eugeniusz **411**
Warlikowski Krzysztof **447**
Wasiuczanka Piatro **197**
Wasylewski Stanisław **40**
Waszkiewicz Jerzy **432**
Waśkiewicz Andrzej Krzysztof **203–206**, **214**, **216**, **255**, **467**, **468**
Waśko Andrzej **36**
Wawrzeniuk Mikołaj **411**, **488**
Wenerska Wioleta **38**
Weyssenhoff Józef **182**

Węgrzecka Małgorzata **452**
Węgrzyn Iwona **36**, **38**
Wićbicz Jurka **114**
Wierzejski Wojciech **452**
Wierzyński Kazimierz **475**
Willan Tadeusz **205**
Winogradowa Luba **8**
Witażeniec [ps. Konstantego Kalinowskiego] **119**
Witkacy [Witkiewicz, Stanisław Ignacy] **339**, **466**, **467**
Witold, wlk. ks. lit. **437**
Wittgenstein Ludwig **165**
Wittgenstein Piotr gen. **39**
Władysław II Jagiełło **105**, **437**
Wojaczek Rafał **252**
Wojnakowski Ryszard **158**
Wołkow Wiktor **59**, **398**
Wołkowycki Jerzy **216**
Woroszylski Wiktor **67**, **139**, **149**, **169**, **302**, **310**, **429**, **456**
Woźniak Wojciech **367**, **371**
Wójcicki Krzysztof **218**
Wright Richard **224**
Wroczyńska Ewa **439**
Wróbel Piotr **187**
Wydmańska-Kurlej Małgorzata **183**, **190**
Wysłouch Seweryna **82**
Wyspiański Stanisław **64**

Z

Zabielska-Stadnik Iwona **452**
Zajas Krzysztof **135**
Zaniewska Teresa **9**, **63**, **149**, **159**, **196**, **253**, **473**
Zan Tomasz **402**
Zapartyka Hanna **199**
Zaremba Marcin **50**, **53**
Zarycki Tomasz **51**, **99**
Zawada Andrzej **77**
Zawadzka Danuta **15**–**17**, **34**, **56**, **57**, **97**, **100**, **135**, **381**, **403**, **425**, **441**, **455**, **465**, **485**
Zawalnia, szlachcic **33**, **34**, **36**, **38**, **40**
Zenek [wł. Iłarion Daniluk] **381**
Ziątek Zygmunt **77**
Ziejka Franciszek **34**
Ziemkiewič Romuald [Ziemkiewicz Romuald] **33**
Zmahar Aleś **114**
Zygmunt I Kiejstutowicz **437**

Ż

Żagiell E. [ps. Edmunda Jakubowskiego] **24**
Żmijewska Monika **303**, **306**
Żyliński Leszek **89**

Indeks sporządził:
Andrzej Zawadzki

Паказальнік імёнаў

А

Абрэмбская-Яблоньская Антаніна **279**
Адамовіч Алесь [Adamowicz Aleś] **87–89**
Адамовіч Славамір **199**
Адамчык Вячаслаў **85**, **89**
Ажэшка Эліза [Orzeszkowa Eliza] **268**, **272**
Акінэр Шырын [Akiner Shirin] **93**, **149**
Андрасюк Міхал [Androsiuk Michał] **404**
Андрусішын Багдан, Данчык **281**
Андрусішына Юлія **281**
Анісковіч Уладзімір **87**
Арлоў Уладзімір **199**, **293**, **294**
Арол М. [wł. Сцяпан Пяцельскі] **354**
Асіпенка Алесь **92**
Астапчук Алена [Astapczuk Alena] **197**

Б

Бабель Ісаак [Babel Izaak] **269**, **353**
Багдановіч Максім **94**, **354**
Базылюк Ліда **270**
Бандарук Кастусь **17**
Барадулін Рыгор **284**, **354**
Барскі Алесь [wł. Аляксандр Баршчэўскі] **280**, **413**
Баршчэўскі Ян **34**, **89**
Баршчэўскі Аляксандр **149**, **153**
Бічэль Данута **268**, **272**, **273**
Бічэль Эрык **272**
Блакіта Валянцін **92**
Брусевіч Анатоль [Brusiewicz Anatol] **16**
Брыль Іван Антонавіч. *ZOBACZ* Брыль, Янка [Bryl Janka]
Брыль Янка [Bryl Janka] **88**, **113**, **214**, **270**, **273**, **278–280**, **293**, **333**
Быкаў Васіль [Bykow Wasyl, Bykaŭ Wasil] **87**, **88**, **199**, **274**, **275**, **284**, **330**, **332**
Бэрэза Генрых [Bereza Henryk] **284**
Бялаказовіч Базыль **332**

В

Вагурка Станіслаў **293**
Вайлер Томас (Томас) [Weiler Thomas] **345**, **346**, **349**
Валкавыцкі Георгій **353**
Варашыльскі Віктар [Woroszylski Wiktor] **278**, **293**, **333**
Васілёк Міхась **269**
Васькевіч Анджэй [Waśkiewicz Andrzej Krzysztof] **203**
Васькевіч Анна і Анджэй [Sobecka Anna i Waśkiewicz Andrzej] **217**, **218**
Васючэнка Пятро [Wasiuczanka Piatro] **197**, **333**
Вашкевіч Юры **347**
Выготскі Леві **89**
Вярцінскі Анатоль **87**

Г

Гайдук Мікола **270**
Галась Марцін **354**
Галубовіч Леанід **93**
Галчынскі Канстанцін [Gałczyński Konstanty Ildefons] **284**
Гардзіцкі Аляксей **196**, **332**
Гарэцкі Максім **91**, **94**
Геніюш Ларыса Антонаўна **276–278**, **353**
Геніюш Юрка **276**, **277**, **353**
Геніюш Янка **276**, **277**, **353**
Гігевіч Васіль **89**, **91**
Гілевіч Ніл **92**, **279**
Гіл Мікола **92**
Гітлер [Hitler] **88**
Глагоўская Алёна **263**
Глобус Адам **93**
Гніламёдаў Уладзімір [Hniłamiodaŭ Uładzimir] **93**, **94**, **156**, **198**, **332**, **333**
Голубеў Валянцін **282**
Голуб Юрка **268**
Грыб Тамаш **278**
Грынявіцкі Ігнат [Hryniewicki Ignacy] **345**
Гушча Ян [Huszcza Jan] **278**, **279**

Д

Дамброўскі Гжэгаж [Dąbrowski Grzegorz] **296**
Дастаеўскі Фёдар [Dostojewski Fiodor] **268**
Дзятлік Васіл **92**
Дзятлік Міхал **92**
Дубавец Сяргей **293**
Дэйч Дзмітрый [Дейч Дмитрий] **93**

Ж

Жамойцін Янка **275**
Жук Аляксандр **89**

З

Запартыка Ганна [Zapartyka Hanna] **16**, **274**, **292**
Запруднік Янка **282**

І

Іпатава Вольга **268**

К

Кабац Эўгеніюш [Kabatc Eugeniusz] **347**
Казько Віктар **89**
Каліноўскі Кастусь [Kalinowski Konstanty] **113**, **117**, **119**, **345**
Камю Альбэр [Camus Albert] **331**
Канапніцкая Марыя [Konopnicka Maria] **354**

Кандрацюк Ганна **346**, **350**
Карамазаў Віктар **85**
Караткевіч Валянціна (Валя) **284**
Караткевіч Уладзімір (Караткевіч, Уладзімір Сямёнавіч) **87**, **88**, **283**, **284**, **330**
Карнялюк Віталь (Віталь) **101**, **263**, **267**, **272**, **347**
Карнялюк Віталь **16**
Карпюк Аляксей Нічіпаравіч **92**, **267**, **268**, **272**, **353**
Карпюк Іна Анатольеўна **268**
Кастыцэвіч Яраслаў **270**
Кафка Франц [Kafka Franz] **331**
Кіпель Вітаўт **282**
Кісялёў Генадзь [Kisialoŭ Hienadź] **119**
Клімук **269**
Колас Зміцер **273**, **280**, **283**, **284**, **331**
Колас Якуб (Колас-Міцкевіч) **273**, **280**
Конан-Дойл Артур [Conan Doyle, Arthur] **293**
Конан Уладзімір **293**, **294**, **333**
Корбель Януш **347**
Краль Ганна [Krall Hanna] **205**
Крэчэк Оля **269**
Кудравец Анатоль **85**, **89**
Купала Янка [Kupała Janka] **85**, **273**, **280**, **283**, **284**, **354**

Л

Лада-Заблоцкі Тадэвуш [Łada-Zabłocki Tadeusz] **89**
Лайеш. *ZOBACZ* Пальфальві Лайаш (Лайаш, Лайеш) [Pálfalvi Lajos]
Лаўшук Сцяпан **198**, **334**
Лермантаў Міхаіл [Lermontow Michał] **269**
Леўчук Вера **270**
Лойка Алег **354**
Лукашэнка Аляксандр [Łukaszenka Aleksander] **281**, **359**
Лукша Міра [Łuksza Mira] **93**
Луцкевічы Антон і Іван **281**
Ляшчынскі Юрка [Leszczyński Jerzy] **16**, **287**

М

Макарэвіч Алесь [Makarewicz Aleś] **198**
Макмілін Арнольд **149**, **279**, **282**, **332**
Максімюк Ян [Maksymiuk Jan] **331**, **333**
Мальдзіс Адам [Maldzis Adam] **196**, **199**, **284**, **332**
Манцэвіч Наста **199**
Маршалкі Марэк і Міра **349**
Маршалэк Марэк **349**, **350**
Мележ Іван **89**
Міклашэвіч Павел **277**
Мілаш Чэслаў [Miłosz Czesław] **327**–**329**
Міхнік Адам [Michnik Adam] **296**
Міцкевіч Адам [Mickiewicz Adam] **273**, **289**, **327**–**329**, **353**
Мулярчык Анджэй [Mularczyk Andrzej] **293**
Мураўёў Міхаіл Мікалаевіч [Murawiew Michał] **119**
Мысьліўскі Веслаў [Myśliwski Wiesław] **278**, **284**

Н

Навуменка Іван **87**
Напяркоўская Катажына [Napiórkowska Katarzyna] **344**
Нікіфарава Вольга [Nikifarawa Wolha] **198**, **334**
Норвід Цыпрыян [Norwid Cyprian Kamil] **354**
Някляеў Уладзімір [Niaklajeŭ Uładzimir] **199**, **279**–**281**

П

Пазняк Зянон **282**
Пальфальві Лайаш (Лайаш, Лайеш) [Pálfalvi Lajos] **279**, **344**–**346**
Папковіч Уладзімір **198**
Парфёненка Вітаўт **267**
Пташнікаў Іван **85**, **293**
Пура Яцэк **278**
Пушкін Аляксандр [Puszkin Aleksander] **269**, **289**, **353**, **354**
Пятровіч Барыс **93**

Р

Радзівіл Уршуля **273**
Радзік Рышард **285**, **346**
Разанаў Алесь **344**
Рандаў Норберт **332**, **350**
Ржэўскі Браніслаў **267**
Росіньскі Казімеж [Rosiński Kazimierz] **90**
Рубанаў Уладзіслаў **91**, **199**
Ружэвіч Тадэвуш [Różewicz Tadeusz] **293**

С

Сабецкая Ганна [Sobecka Anna] **203**
Сабэцкая-Васькевіч Анна [Sobecka Anna] **218**
Савіч Антон **352**
Садзіньскі Пётр [Sadziński Piotr] **328**
Саматой Ірына [Samatoj Iryna] **197**, **198**, **334**
Сартр Жан-Поль [Sartre Jean-Paul] **331**
Сачанка Барыс **85**
Семеняка Юрка **269**, **275**, **276**
Сёмуха Васіль **198**
Сікірыцкі Ігар **279**
Сіпакоў Янка **85**, **87**
Слабадзянэк Тадэуш [Słobodzianek Tadeusz] **268**
Солнцев Игорь **93**
Сталін [Stalin] **278**, **343**
Станкевіч Юрый **93**
Стеблін-Каменскій Міхаіл [Стеблин-Каменский Михаил] [Stieblin-Kamienskij Michaił] **121**
Стральцова Вераніка **149**

Стральцоў Міхась **85**, **87–90**
Стывен Д. **333**
Стэфан Баторы [Stefan Batory] **347**
Сцяпан Уладзімір **93**
Сыс Анатоль **293**, **343**
Сэнюх Чэслаў **199**
Сянкевіч Генрык [Sienkiewicz Henryk] **284**, **345**

Т

Талстой Леў [Tołstoj Lew] **268**
Танк Максім [Tank Maksim] **279**, **280**
Тарановіч Алесь **16**, **275**
Тарасава Тамара [Tarasawa Tamara] **198**
Тарасевіч Лявон (Лёнік) [Tarasewicz Leon] **273**, **278**, **295**, **296**, **346**
Тарашкевіч Браніслаў **200**
Твараковіч Галіна **149**
Трыгубовіч Валянціна **282**
Тувім Юліан [Tuwim Julian] **284**
Туронак Юрка [Turonek Jerzy] **277**
Тычко Галіна **16**
Тычко Галіна [Tyczko Halina] **200**
Тычына Міхась **333**

У

Урублеўскі Міхась **346**

Х

Халадоўскі Мацей [Chołodowski Maciej] **296**
Хмялеўскі Юрась (Юрка) [Chmielewski Jerzy] **295**, **296**, **346**, **358**
Хмяльніцкі Багдан [Chmielnicki Bogdan] **283**
Хомчык Аляксандр **269**
Хурсік Віктар **198**

Ч

Чачот Ян [Czeczot Jan] **89**
Чобат Алесь **199**, **263**, **271**, **272**, **294**
Чопік-Лежахоўскі Ян [Czopik-Leżachowski Jan] **284**
Чорны Кузьма **280**, **284**
Чыгрынаў Іван **85**, **87**
Чыгрын Сяргей **17**
Чыгрын Сяргей [Czyhryn Siarhiej] **351**
Чыквін Ян [Czykwin Jan] **86**, **149**, **203**, **333**, **334**, **354**

Ш

Шамякін Іван **87**
Шаховіч Міхась [Szachowicz Michał] **218**
Шутовіч Янка **276**
Шушкевіч Станіслаў **274**, **278**
Шыдлоўскі Сяргей **40**
Шынкарэнка Вольга [Szynkarenka Wolha] **116**
Шырма Рыгор **275**, **276**

Э

Эроціч Алесь [Тарановіч Алесь] **275**

Ю

Юркевіч Люцына **273**

Я

Яновіч Таццяна (Таня) [Janowicz Tatiana (Tania)] **214**, **273**
Яновіч Яраслаў [Janowicz Jarosław] **149**
Ян Хрысціцель **85**

Indeks sporządzili:
Grażyna Charytoniuk-Michiej
Andrzej Zawadzki

Nota bibliograficzna

W książce wykorzystano następujące, wcześniej publikowane już, teksty:

1. А л е с ь Т а р а н о в і ч, *У Крынках у Сакрата*, „Дзеяслоў” 2013, nr 3 (64), s. 297–303.
2. С я р г е й Ч ы г р ы н, *Аб гэтым казаў мне Сакрат*, w: tegoż, *Хочацца дахаты. Гісторыка-краязнаўчыя і літаратуразнаўчыя артыкулы. Гутаркі. Лісты. Аўтографы*, Мінск 2014, s. 49–54.
3. Я н М а к с і м ю к, *Сакрат Яновіч і загоны памяці*, http://litaratura.org/ne-abavyazkovyya-chytanni?artid=95 [dostęp 20.02.2013] – tutaj w przekładzie Grażyny Charytoniuk-Michiej.
4. Я н М а к с і м ю к, *Сакрат Яновіч: канец класічнай эпохі: Канец клясычнай эпохі*, http://www.svaboda.org/content/article/24905428.html [dostęp 18.02.2013] – tutaj w przekładzie Grażyny Charytoniuk-Michiej.
5. D a r i u s z K u l e s z a, *To, co najważniejsze. Nie tylko o literackich przewagach Sokrata Janowicza,* „Annus Albaruthenicus” 2012 – tutaj wersja poprawiona pod względem stylistycznym i merytorycznym.

Noty o autorach

SHIRIN AKINER – ur. 16 VI 1943 r., dr, wykładowca problematyki Azji Środkowej na Uniwersytecie Londyńskim (Szkoła Studiów Orientalnych i Afrykanistyki). Autorka wielu opracowań naukowych, dotyczących Uzbekistanu i Kazachstanu. Jest redaktorem i członkiem rady naukowej „Journal of Central Asian and Caucasian Studies" [Magazyn Studiów nad Azją Środkową i Kaukazem], wydawanym przez USAK [Międzynarodowa Organizacja Badań Strategicznych]. Przełożyła na angielski *Miniatury* Sokrata Janowicza (Londyn 1984).

LUCYNA ALEKSANDROWICZ-PĘDICH – prof. w Instytucie Anglistyki w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie, gdzie prowadzi zajęcia z literatury amerykańskiej i komunikacji międzykulturowej. W pracy naukowo-badawczej interesuje się literackim obrazem relacji pomiędzy różnymi grupami etnicznymi oraz problematyką komunikacji międzykulturowej w kontekście nauczania języków obcych. Jest autorką licznych publikacji, m.in. : *Międzykulturowość na lekcjach języków obcych* (2005) i *Memory and Neighborhood: Poles and Poland in Jewish American Fiction after World War Two* (2013), oraz współredaktorką (z Jerzym Kamionowskim) serii o twórczości poetek amerykańskich, opublikowanej przez wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku. Córka Jazepa Najdziuka (Józefa Aleksandrowicza), przedwojennego działacza białoruskiego w Wilnie.

MICHAŁ ANDROSIUK – urodził się i wychował w Wojnówce, pisarz, dziennikarz, związany również z Hajnówką i Białymstokiem, gdzie pracuje dla tygodnika „Niwa" i Radia Racja. Tworzy w języku białoruskim i polskim. Wydał zbiory opowiadań: *Miascowaja grawitacja*, *Bieły koń*, *Firma*. W języku polskim napisał książkę *Wagon drugiej klasy*. Za przetłumaczony w 2011 r. z białoruskiego tom *Biały koń* otrzymał Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

KONSTANTY BONDARUK (КАСТУСЬ БАНДАРУК) – ur. 11 IX 1953 r. w Ostrówku k. Krynek, dziennikarz, duchowny, ikonograf. Debiutował na łamach „Niwy" w końcu lat 60. ub.w., stając się nieformalnym członkiem stowarzyszenia „Białowieża". Ukończył seminarium duchowne – Akademię Teologiczną, pobierał także prywatne lekcje ikonografii. W 1977 r. ożenił się i przyjął święcenia kapłańskie. Posługiwał w Terespolu, Łodzi, Białymstoku. W lipcu 1988 r. wyemigrował do USA (mieszkał w Chicago). Potem przebywał w Monachium i Pradze. Na emigracji pracował głównie jako dziennikarz białoruskiej sekcji Radia Wolna Europa/Radia Swoboda. W 2008 r. powrócił do kraju i zamieszkał w Wasilkowie. Jest autorem 7 książek, w szczególności zbiorów kazań i refleksji teologicznych. Namalował kilkaset ikon i obrazów. Obecnie pracuje jako dziennikarz w białoruskim Radiu Racja. Jako wieloletni uczeń i przyjaciel Sokrata Janowicz włączył się także w działalność Fundacji Villa Sokrates. Żonaty. Dorosła córka mieszka w USA.

ANATOL BRUSIEWICZ (АНАТОЛЬ БРУСЕВІЧ) – ur. 28 IX 1977 r. w Grodnie, dr, docent, pracownik Katedry Filologii Polskiej Uniwersytetu Państwowego w Grodnie, historyk literatury, białoruski poeta. W 1999 r. ukończył Wydział Białorutenistyki Grodzieńskiego Uniwersytetu Państwowego im. Janki Kupały, a następnie aspiranturę na tej samej uczelni (Katedra Filologii Polskiej) i obronił pracę doktorską *Czynniki kultury białoruskiej w twórczości Adama Mickiewicza okresu wileńsko-kowieńskiego*. Zajmuje się polską i białoruską literaturą XIX i XX w. Opublikował liczne artykuły poświęcone twórczości Adama Mickiewicza oraz polsko-białoruskim stosunkom literackim. Autor książki *Фактары беларускай культуры ў творчасці Адама Міцкевіча* (2008), tomików poezji *Дуэль* (1992), *Падаю ў неба* (2006), *Апошні дзень* (2013).

GRAŻYNA CHARYTONIUK-MICHIEJ, dr, adiunkt w Katedrze Kultury Białoruskiej na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: szeroko pojęta kultura Białorusi i kultura białoruska w ujęciu interdyscyplinarnym, obrzędy ku czci zmarłych na ziemiach białoruskich i obszarze pogranicza, literatura białoruska w Polsce, literatura pogranicza polsko-białoruskiego, biografistyka, bibliografia, informacja naukowa.

JERZY CHMIELEWSKI, ur. w 1963 r. w Krynkach, pochodzi z pobliskiego Ostrowia Południowego, mieszka w Białymstoku. Ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Białostockiej. Współzałożyciel, a następnie od 1992 r. redaktor naczelny miesięcznika „Czasopis". Od początku jest też redaktorem naczelnym ukazującego się od 1994 r.

w Gródku lokalnego miesięcznika „Wiadomości Gródeckie Haradockija Nawiny". Od 2009 r. dyrektor Gminnego Centrum Kultury w Gródku. W latach 1994–2013 bliski współpracownik Sokrata Janowicza, współautor napisanej wspólnie książki *Nasze tysiąc lat*. Współzałożyciel Stowarzyszenia Villa Sokrates (obecnie Fundacja Villa Sokrates).

ZBIGNIEW CHOJNOWSKI – prof. dr hab., kierownik Zakładu Literatury XX i XXI w. w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Uprawia nurt badawczy zwany nowym regionalizmem. Zajmuje się m.in.: poezją, edycją piśmiennictwa mazurskiego XIX i XX stulecia, a także literaturą związaną z Polską północno-wschodnią (Warmia, Mazury, Suwalszczyzna, Podlasie, Kurpie). Jako krytyk literacki publikuje w „Nowych Książkach", „Toposie", „Twórczości", „Akcencie"; współredaktor tomu *Borussia. Ziemia i ludzie* (1999) i redaktor wielu innych antologii literackich. Autor książek: *Michał Kajka. Poeta mazurski* (1992), *Poetycka wiara Jarosława Iwaszkiewicza* (1999), *Zmartwychwstały kraj mowy. Literatura Warmii i Mazur lat dziewięćdziesiątych* (2002), *Od biografii do recepcji. Ernst Wiechert, Konstanty I. Gałczyński, Zbigniew Herbert na Warmii i Mazurach* (2011), *Ruiny przeciw wizji. O młodej „niepolitycznej" poezji dziewiątej dekady XX wieku* (2012) i innych. Najnowszą publikacją jest monografia *Wyobraźnia historyczna Mazurów pruskich. Studia i źródła* (2014).

SIARHIEJ CZYHRYN (СЯРГЕЙ ЧЫГРЫН) – ur. w 1958 r. na Słonimszczyźnie, białoruski literaturoznawca, historyk, dziennikarz. Ukończył Białoruski Uniwersytet Państwowy, mieszka w Słonimie, jest kierownikem literackim Słonimskiego Teatru Dramatycznego. Bada historię literatury białoruskiej, losy Białorusinów w Polsce, emigrację białoruską. Autor ponad 50 książek o tematyce literacko-krajoznawczej i historycznej, członek Związku Pisarzy Białoruskich.

ELŻBIETA DĄBROWICZ – prof. Uniwersytetu w Białymstoku, historyk literatury XIX w. w Instytucie Filologii Polskiej UwB. Autorka książek: *Cyprian Norwid. Osoby i listy* (Lublin 1997) oraz *Galeria ojców. Autorytet publiczny w literaturze polskiej lat 1800–1861* (Białystok 2009). Współredaktorka prac zbiorowych: *Sztuka pisania. O liście polskim w wieku XIX* (Białystok 2000), *Teatr wymowy: formy i przemiany retoryki użytkowej* (Białystok 2004), *Literatura w granicach prawa (XIX–XX w.)* (Warszawa 2013).

BOGDAN DUDKO – ur. w 1968 r. w Białymstoku, animator kultury, dziennikarz, poeta. Dzieciństwo spędził w Cisówce. Studiował filologię polską. Dziennikarz radiowy (Polskie Radio Białystok) i telewizyjny (TVP Oddział w Białymstoku), autor reportaży o tematyce kulturalnej i dotyczących mniejszości narodowych. Przez 20 lat był redaktorem naczelnym i animatorem Pisma Literacko-Artystycznego „Kartki". Redaktor ponad 40 książek wydanych w serii Biblioteki „Kartek". Laureat kilku konkursów literackich, m.in. I miejsca w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Debiut, organizowanym przez tygodnik „Niwa". Otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Białegostoku i Marszałka Województwa Podlaskiego za upowszechnianie kultury i promowanie literatury współczesnej. Wydał: *40 i 4 wiersze o miłości* (2008), *Dolina. Znad Narwi i Świsłoczy* (2014), książeczka dla dzieci *Wilczek Milczek* (2014).

KRZYSZTOF GEDROYĆ – ur. w 1953 r. Wydał: *Kim* (2000), *Drabina, szpaki, dachy i kominy* (2001), *Listy z dolnego miasta* (2003), *Przygody K* (2007), *Opowieści dla zziębniętej duszy* (2010), *Piwonia, niemowa, głosy* (2012). Pracuje jako wykładowca w Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza, na Wydziale Sztuki Lalkarskiej w Białymstoku. Mieszka w Białymstoku i w Warszawie.

JAROSŁAW JANOWICZ – ur. w 1960 r. Białymstoku. W 1987 r. ukończył studia w Akademii Muzycznej w Łodzi. Autor przekładu na język białoruski eseju Shirin Akiner *Contemporary Belarusan Writers in Poland*, autor i wydawca opracowań na gitarę, nagrań gitarowych oraz książki *Likwidacja oficjalnego nazewnictwa miejscowości Białostocczyzny pochodzenia białoruskiego przez administrację rządową w latach 1921–2004. Dokumenty. Komentarze*. [http://pdf.kamunikat.org/11994-1.pdf]

WITAL KARNIALUK (ВІТАЛЬ КАРНЯЛЮК) – ur. 15 XI 1969 r. W latach 1988–1993 studiował na Wydziale Historycznym Grodzieńskiego Uniwersytetu Państwowego im. Janki Kupały (GUP). Od 1993 do 2014 r. pracował w Gimnazjum Nr 1 im. Jauchima Karskiego w Grodnie. W latach 1995–1999 był słuchaczem zaocznych studiów doktoranckich GUP. W 2001 r. obronił pracę doktorską *Фактары гісторыка-дэмаграфічных змен у складзе насельніцтва Беларусі ў 1913–1918 гг*. Od 2003 r. bada historię Krynek; autor książki *Крынкі ў 1795–1918 гг*. (2010). W 2005 r. zainicjował i organizował konferencje dotyczące historii regionalnej i krajoznawstwa „Румлёўскія чытанні" (2007, 2009, 2011). Od roku akad. 2007/2008 jest docentem

w Katedrze Historii Kultury Białoruskiej i Turystyki Regionalnej. Współautor i redaktor podręczników *Гроднaзнаўства* (2009, 2010), książki *Гроднaзнаўства. Гісторыя еўрапейскага горада* (Grodno-Wrocław, 2012). Od 2012 r. kierownik międzynarodowego projektu *Вандроўка ў этнаказку* (2012–2014) w ramach Programu współpracy transgranicznej Polska–Białoruś–Ukraina (2007–2013). Jego zainteresowania naukowo-badawcze to historia demografii Białoruski w czasie pierwszej wojny światowej, historia miasteczek Białorusi, krajoznawstwo, metodyka nauczania krajoznawstwa w szkole.

IGNACY KARPOWICZ – pisarz i felietonista, dzieciństwo i młodość spędził na Podlasiu (Słuczanka, Białystok), dzieli czas między stronami rodzinnymi i Warszawą. Autor *Niehalo*, *Cudu*, *Gestów*, *Nowego kwiatu cesarza*, *Balladyn i romansów*, *ości*, *Sońki*. Trzykrotnie nominowany do Nagrody Literackiej „Nike", czterokrotny laureat Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Pisuje do „Polityki", „Charakterów", „Dziennika Opinii".

DARIUSZ KIEŁCZEWSKI – dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku, naukowiec, pracownik UwB, autor książek i artykułów z zakresu ochrony środowiska i zrównoważonego rozwoju, a także kilkudziesięciu esejów i recenzji o tematyce literackiej, publikowanych głównie w piśmie „Kartki". Napisał zbiór opowiadań *Opowieści z Chruściela* oraz tomy poezji *Szkice* i *Jeśli jest jakieś niebo*. Współtwórca międzynarodowego festiwalu literackiego na Podlasiu „Świat na Uboczu".

ELŻBIETA KONOŃCZUK – dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku, pracuje w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury. Interesuje się związkami między teorią literatury a historiografią oraz geografią humanistyczną. Autorka książek: *Mazurska obecność Erwina Kruka* (Białystok 1993), *Literatura i pamięć na pograniczu kultur (Erwin Kruk – Ernst Wiechert – Johannes Bobrowski)* (Białystok 2000), *W poszukiwaniu dostępu do przeszłości. O powieściach warsztatowych Hanny Malewskiej i Jacka Bocheńskiego* (Białystok 2009). Redaktor monografii: *Od poetyki przestrzeni do geopoetyki* (Białystok 2012) oraz *Geografia i metafora* (Białystok 2013). Zastępca redaktora naczelnego „Białostockich Studiów Literaturoznawczych".

DARIUSZ KULESZA – dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku, kierownik Zakładu Literatury Międzywojennej i Współczesnej UwB. Autor *Tragedii ukrzyżowanej (Dramaty chrześcijańskie R. Brandstaettera i J. Zawieyskiego)* (Białystok 1999), *Pożegnania z miastem (Szkice, artykuły, recenzje...)* (Białystok 2006), *Dwóch prawd (Z. Kossak i T. Borowski wobec obrazu wojny w polskiej prozie lat 1944–1948)* (Białystok 2006) oraz *Z historią literatury w tle (Daty, osoby, miejsca)* (Białystok 2011). Współautor *Słownika poetów polskich* (Białystok 1997). Przygotował do druku poezje Wiesława Kazaneckiego (*Panie/Zbuduj ten most nad rzeką*, Białystok 2009). Redaktor i współautor tomu *Tradycja i przyszłość genologii* (Białystok 2013). Współredaktor czterech monografii naukowych, dotyczących cykli, cykliczności oraz literatury religijnej. Publikował m.in. w: „Pamiętniku Literackim", „Ruchu Literackim", KUL-owskim „Ethosie", „Przeglądzie Powszechnym", dominikańskim periodyku „W drodze", „Kijowskich Studiach Polonistycznych", białostockiej „Kulturze", „Kartkach", a także w „Białostockich Studiach Literaturoznawczych". Zainteresowania badawcze: literatura chrześcijańska; ślady procesu historycznoliterackiego w zdeterminowanej przez politykę, polskiej literaturze powojennej; literacki Białystok oraz epopeja jako ponadgatunkowe spełnienie relacji między literaturą i rzeczywistością, jako tekstowy sposób na wyłączenie czasu, czyli przeniesienie rzeczywistości z przestrzeni historii w przestrzeń kultury.

JAN LEOŃCZUK – urodził się i mieszka w Łubnikach, poeta, prozaik, tłumacz, redaktor, wydawca, polonista. Pracował jako asystent na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Od 1998 r. pełni funkcję dyrektora Książnicy Podlaskiej. Opublikował m.in.: *Żalnik* (1979), *Pieśni z karnawału* (1991), *Zawołaj raz jeszcze ciemnym wierszem* (1991), *Dotykanie ziemi* (1997), a także pięć „zapiśników" – radiowych felietonów. Trzykrotny laureat Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego – w 2010 r. za całokształt twórczości.

JERZY LESZCZYŃSKI (ЮРКА ЛЯШЧЫНСКІ) – absolwent Liceum im. Bronisława Taraszkiewicza w Bielsku Podlaskim (z białoruskim językiem nauczania). W latach 80. ub.w. studiował geografię na Uniwersytecie Warszawskim. Współzałożyciel Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. Działacz białoruskiego ruchu studenckiego oraz wydawca nielegalnych ulotek i broszur o białoruskiej tematyce patriotycznej i narodowej. Dziennikarz radiowy od 1988 r. Pracę w radio rozpoczynał jako korespondent sekcji białoruskiej Radia Watykańskiego i Radia Swoboda. Od 1990 r. pracował także w Polskim Radio Białystok w Redakcji Programów dla

Mniejszości Narodowych. Przygotowywał audycje w języku białoruskim i polskim. Autor ponad 200 reportaży o Białorusi i białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce, nagradzanych na wielu konkursach krajowych i zagranicznych. Współautor m.in.: *Przypowieść o świętej Górze* (1990, Grand Prix konkursu „Świat i Polska"), *Białoruś żyje* (2006) Dwa reportaże reprezentowały Polskie Radio na Festiwalu „Prix Italia» i jeden na „Prix Europa". Współautor telewizyjnego dokumentu *Śniła mi się Hana* – II miejsce na festiwalu „U siebie". Współautor cyklu przyrodniczych gawęd Simony Kossak *Dlaczego w trawie piszczy.* Przeprowadzał wywiady radiowe ze znanymi postaciami białoruskiego życia politycznego i kulturalnego, m.in.: ze Stanisławem Szuszkiewiczem, Zianonem Paźniakiem, Jankam Zaprudnikam, Sokratem Janowiczem, Alesiem Barskim, Ryhorem Baradulinym. Od połowy lat 80. ub.w. współpracuje z tygodnikiem Białorusinów w Polsce „Niwa". Od 2013 r. dyrektor programowy w białoruskim Radiu Racja.

MARCIN LUL – dr, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku, pracownik Zakładu Literatury Oświecenia i Romantyzmu, członek Zespołu Badań Regionalnych oraz redakcji „Białostockich Studiów Literaturoznawczych". Zainteresowania badawcze: Józef Ignacy Kraszewski (biografia, twórczość, recepcja), Wilno i Wielkie Księstwo Litewskie (do XIX w.), region w literaturze – literatura regionu, geopoetyka.

MIRA ŁUKSZA – ur. 9 XI 1958 r. w Hajnówce, dziennikarka, pisarka, tłumaczka, redaktor. Pochodzi ze wsi Borowe w gm. Narewka. Ukończyła filologię polską i rosyjską na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Mieszka w Białymstoku. Debiutowała w tygodniku Białorusinów w Polsce „Niwa" w 1973 r. Członek Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" i Związku Literatów Białoruskich. Od 1985 r. dziennikarka „Niwy". Pisze po białorusku i polsku. Wydała 13 książek: poezji – *Zamowa* (1993), *Jest* (1994), *Wiersze tutejsze* (2003), *Zwierzaczki z tutejszej paczki* (2009), *Pod znakiem Skorpiona* (2011), *Biały stok* (2012), *Podarunki* (2014), i prozy – *Dziki ptak wróbel* (1992), *Wyspa*, (1994), *Babskie historie* (2001), *Dziewczynka i chmurka* (2006), *Historie z tego świata* (2008), *Życie pozagrobowe i inne* (2013). Jej teksty były tłumaczone na język angielski, czeski i rosyjski.

JAN MAKSYMIUK – ur. na Podlasiu, dziennikarz, tłumacz i eseista. Od 16 lat mieszka w Czechach, gdzie pracuje w redakcji białoruskiej Radia Wolna Europa/Radia Swoboda. Opublikował kilkanaście książek z przekładami literatury białoruskiej na język polski i literatury światowej na język białoruski. W 2011 r. w Mińsku ukazał się zbiór jego esejów *Słovy ŭ hołym poli*, poświęcony literaturze oraz tożsamości kulturowej i etnicznej. Ostatnio wydał *Čom ne po-svojomu? Elementarz podlaski z objaśnieniami* (Białystok 2014), książkę będącą podsumowaniem jego dziesięcioletnich wysiłków na rzecz opracowania standardowej wersji ortograficznej gwar wschodniosłowiańskich pomiędzy Narwią i Bugiem na Podlasiu.

KATARZYNA PACUK – ur. 9 IX 1990 r., absolwentka filologii polskiej UwB (2014 r.).

JERZY PLUTOWICZ – ur. w 1947 r. w Bielsku Podlaskim. Ukończył filologię rosyjską na uniwersytecie w Warszawie. Mieszka w Białymstoku. Debiutował w prasie literackiej w 1967 r. Debiutem książkowym był tomik wierszy *Niegdyś to znaczy nigdy* (1975). Wydał 10 tomików wierszy, m.in.: *Pusty zegar* (1987), *Kotlina. Wybór wierszy* (1998), trylogia poetycka *Zapomniana wojna* (2000–2008), *Miasto małe jak łza* (2012) oraz tom esejów *Nagle, w świecie* (2006). Tłumaczył z języka białoruskiego m.in. prozę Sokrata Janowicza.

RADOSŁAW ROMANIUK – ur. w 1975 r., literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych, edytor. Autor książek: *Dramat religijny Tołstoja* (2004), *One* (2005) i pierwszego tomu biografii Jarosława Iwaszkiewicza *Inne życie* (2012). Opracował sześć tomów jego korespondencji, esejów i dzienników. Mieszka w Warszawie i we wsi Orzeszkowo na Białostocczyźnie.

ELŻBIETA RYBICKA – pracuje w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych (Wydział Polonistyki UJ). Autorka książek: *Formy labiryntu w prozie polskiej XX wieku* (2000), *Modernizowanie miasta. Zarys problematyki urbanistycznej w nowoczesnej literaturze polskiej* (2003) oraz *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich* (2014, Nagroda PAN im. A. Brücknera). Zajmuje się problemami z zakresu zwrotu przestrzennego (geopoetyka, antropologia miejsca, geografia zmysłów, miejsca pamięci, nowy regionalizm) oraz kulturą miasta.

ANNA SAKOWICZ – dr, literaturoznawca, pracuje na stanowisku adiunkta w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej Katedry Filologii Białoruskiej UwB. W 2007 r. obroniła i wydała pracę doktorską *Literatura białoruska Polski. Gatunkowo-*

-stylistyczne cechy prozy Białowieżców (*Беларуская літаратура Польшчы. Стылістычна-жанравыя асаблівасці прозы белавежцаў*). Zajmuje się badaniami dotyczącymi literatury białoruskiej XX w., w szczególności twórczości prozatorskiej członków Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" oraz białoruskiego pisarza Alaksieja Karpiuka. Autorka ponad trzydziestu prac naukowych.

KATARZYNA SAWICKA-MIERZYŃSKA – adiunkt na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku, w latach 2007–2013 związana z Zakładem Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa, obecnie pracuje w Zakładzie Literatury Oświecenia i Romantyzmu, uczestniczy w pracach Zespołu Badań Regionalnych. Zajmuje się literaturą i piśmiennictwem Podlasia. Współredaktorka tomów: *Alfabet Białegostoku* (2011), *Prasa regionalna i lokalna na terenie województwa podlaskiego w latach 1989–2010* (2013), *Prasa na terenie województwa podlaskiego w latach 1944–2012* (2014).

BEATA SIWEK – dr hab., adiunkt w Katedrze Literatury Ukraińskiej i Białoruskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

WALDEMAR SMASZCZ – ur. w 1951 r. w Gdańsku, historyk literatury, krytyk, eseista i tłumacz. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Opracował m.in.: *Poezje zebrane* Kazimierza Wierzyńskiego, zbiorowe edycje poezji ks. Jana Twardowskiego (*Wiersze*; *Wiersze o nadziei, miłości i wierze*; *Wiersze największej nadziei*), *Poezje wybrane* Karola Wojtyły oraz antologie: *Światło pszennego chleba. Eucharystia w poezji polskiej*; *Miłość bez jutra. Muza wojenna 1939–1945*; *Bóg czyta wiersze* (wraz z ks. Twardowskim). Autor książek: *Słowo poetyckie Karola Wojtyły*; *Tarnów – domowa ojczyzna Romana Brandstaettera*; *Adam i Ewa. Rzymska miłość Mickiewicza*; *„Obsypany Twymi dary." Rzecz o Franciszku Karpińskim*; *Ks. Jan Twardowski – poeta nadziei*; *Krzysztof i Barbara ...podobni jak dwie krople łez*; *Serce nie do pary. O ks. Janie Twardowskim i jego wierszach*; *Juliana Tuwima życie o imieniu dziewczęcym*. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. W 2000 r. Jan Paweł II przyznał mu insygnia Najczcigodniejszego Krzyża „Pro Ecclesia et Pontifice".

ANNA SOBECKA – ur. w 1948 r., absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, dziennikarka, publicystka, tłumaczka. Przez wiele lat pracowała w Polskim Radiu (w Zielonej Górze, potem w Gdańsku), zajmując się problematyką kulturalną, artystyczną i literacką. Autorka audycji dokumentalnych, wywiadów, reportaży, słuchowisk poetyckich, adaptacji radiowych literatury (m.in. *Lidy* A. Jurewicza). Dokumentowała losy Polaków za granicą oraz życie mniejszości narodowych w Polsce, przez kilkanaście lat prowadząc cykliczny program „Kalejdoskop". Ostatnio wybór wywiadów ukazał się w książce. Zredagowała tom wspomnień *Radio gra i... mówi*, przygotowanych z okazji 60-lecia Polskiego Radia w Gdańsku (2005). Jest także tłumaczką literatury białoruskiej, zwłaszcza prozy i literatury faktu: w jej tłumaczeniu ukazało się 8 książek, m.in. Janki Bryla, Sokrata Janowicza, Weroniki Kotkowicz i Anieli Kotkowicz-Klentak; przekłady ukazywały się także w czasopismach oraz antologiach.

MICHAŁ STANKIEWICZ – reżyser teatralny i filmowy, dramatopisarz, performer, eksperymentator. Mieszka w Białymstoku i Warszawie. Autor i reżyser sztuk: *Import/Export*, *Śmierć Wrogom Ojczyzny*, *Metoda ustawień narodowych*, *Łaskotanie*. Współpracował z Laboratorium Reportażu. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

JOLANTA SZTACHELSKA – dr hab., literaturoznawca. Z zainteresowania i pasji bada historię literatury polskiej II poł. XIX w. i jej konteksty europejskie, formy literackie i użytkowe w literaturze polskiej (m.in. reportaż, epistolografia), twórczość Henryka Sienkiewicza, estetykę XIX w., ostatnio także „Children studies". Autorka książek: *Reporteryje i reportaże. Dokumentarne tradycje prozy polskiej 1864–1918* (Białystok 1997), *Czar i zaklęcie Sienkiewicza* (Białystok 2003), ok. 100 artykułów, esejów i recenzji. Ostatnio wydała: H. Struve, *Wybór pism estetycznych*, wybór, wstęp, oprac. J. Sztachelska (Kraków 2010), oraz *Metamorfozy podróży. Kultura i tożsamość*, pod red. J. Sztachelskiej (Białystok 2012). W najbliższym czasie ukażą się: *„Children studies" jako perspektywa interpretacyjna*, praca zbiorowa pod red. J. Sztachelskiej i K. Szymborskiej (2015) oraz *Zabijanie klasyków. Wybór eseistyki literackiej* (2015).

ALEŚ TARANOWICZ (АЛЕСЬ ТАРАНОВІЧ) – ur. w Mińsku, skończył Akademię Sztuk Pięknych w Mińsku, historyk sztuki, prozaik, publicysta, mieszka w Berlinie.

LEON TARASEWICZ – urodził się i mieszka w Waliłach na Podlasiu, prof. sztuk pięknych, malarz. Współzałożyciel Fundacji Villa Sokrates w Krynkach (powstała w 2009 r. na bazie Stowarzyszenia

Villa Sokrates, zainicjowanego przez Sokrata Janowicza), od czasów studenckich (Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie) działa na rzecz kultury białoruskiej. Po śmierci Sokrata Janowicza kontynuuje organizację Trialogu. Laureat m.in. Nagrody im. Jana Cybisa (2000), Wielkiej Nagrody Fundacji Kultury (2006), odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011), w 2008 r. został ambasadorem Europejskiego Roku Dialogu Międzykulturowego. Już od lat 80. ub. w. jego prace są wystawiane w galeriach sztuki na całym świecie. Znany z zamiłowania do hodowli kur i kwiatów.

HALINA TYCZKO (ГАЛІНА ТЫЧКО) – ur. 11 XI 1955 r., dr nauk filologicznych, prof. W 1978 r. ukończyła Wydział Filologiczny na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym (BUP). Była nauczycielką, od 1979 r. – przewodnikiem turystycznym i tłumaczem w międzynarodowym biurze turystycznym młodzieży. W 1987 r. obroniła pracę doktorską. Od 1986 r. korespondentka tygodnika „Літаратура і мастацтва". Od 1993 r. należy do Związku Pisarzy Białoruskich, redaktorka działu krytyki i literaturoznawstwa czasopisma „Полымя". Od 1995 r. docent na Białoruskim Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym im. Maksima Tanka. Od 2002 r. prof. Katedry Socjologii Dziennikarstwa BUP, a od 2006 r. kierownik Katedry Filologii Białoruskiej i Literatury Obcej Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego Kultury i Sztuki. Od 2013 r. prof. Katedry Dziennikarstwa Mediów Internetowych Instytutu Dziennikarstwa BUP. Jej zainteresowania naukowe skupiają się wokół komparatystyki literackiej i współczesnych procesów literackich. Jest autorką ponad 200 prac naukowych i popularnonaukowych, m.in.: monografii *Творчасць Янкі Купалы і традыцыі духоўнай рэгіянальнасці ў польскай літаратуры XIX – пачатку XX стагоддзяў* (2001) i zbioru artykułów krytyczno-literackich *Беларуская літаратура XIX–XX стагоддзяў: час і асобы* (2010).

HANNA ZAPARTYKA (ГАННА ЗАПАРТЫКА) – archiwistka, badaczka historii literatury i sztuki białoruskiej, dyrektor Białoruskiego Państwowego Archiwum-Muzeum Literatury i Sztuki w Mińsku.

DANUTA ZAWADZKA – dr hab., historyczka literatury w Instytucie Filolologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku (Zakład Literatury Oświecenia i Romantyzmu), kieruje Zespołem Badań Regionalnych. Interesuje się związkami literatury z historią i historiografią, a także literaturą w kontekście pamięcioznawstwa, narracji tożsamościowych, badań centro-peryferyjnych, nowego regionalizmu i geopoetyki. Autorka książek: *Pokolenie klęski 1812 roku. O Antonim Malczewskim i odludkach* (Warszawa 2000), *Lelewel i Mickiewicz. Paralela* (Białystok 2013), publikowała również w „Białostockich Studiach Literaturoznawczych", „Pamiętniku Literackim", „Czasopiśmie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich", „Wieku XIX", „Przeglądzie Humanistycznym", „Poznańskich Studiach Polonistycznych", „Słupskich Pracach Filologicznych".

„(…) literaturoznawcze artykuły naukowe oraz archiwalia, wywiady, wspomnienia i inne wypowiedzi spod znaku «ego literatury» na temat Sokrata Janowicza oceniam jako bardzo cenną inicjatywę wydawniczą przede wszystkim ze względu na umiejętne odniesienie zjawisk lokalnych, regionalnych, do tego, co ogólnopolskie, międzynarodowe i uniwersalne. Zresztą, spuścizna niedawno zmarłego pisarza charakteryzuje się cechami, które tego typu badania inspirują w sposób niejako naturalny. Godnym uwagi jest wyeksponowane w tytule zbioru określenie twórczości Janowicza (…); użyta w tytule kategoria transgraniczności wprowadza jego pisarstwo w nowy, poszerzony kontekst kulturowy i nadaje mu wyższą rangę."

Z recenzji wydawniczej prof. dr hab. Wandy Supy

„Książka *Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny. Studia, wspomnienia, materiały* ma charakter mieszany, łączy bowiem walory recenzowanej publikacji naukowej, a nawet źródłowej, z luźniejszą, wspomnieniową formułą. W naszej opinii hybrydyczna forma książki dobrze oddaje swoiście transgatunkową postać pisarstwa Janowicza oraz jego osobowość: zainteresowania intelektualne, literaturę, organizację życia kulturalnego, politykę. (…) publikację współtworzą badacze (poloniści, białoruteniści, kulturoznawcy), pisarze i poeci, artyści, tłumacze, teatrolodzy, dziennikarze, studenci. Reprezentują ośrodki z Białorusi (Mińsk, Grodno, Słonim), polskie uniwersytety, placówki kultury i samych siebie (Kraków, Lublin, Warszawa, Białystok, Olsztyn, Łódź, Gdańsk, Wasilków, Waliły, Wojnówka, Gródek, Łubniki) oraz diasporę białoruską w Europie (Praga, Berlin)."

Ze wstępu, od Redaktorek tomu

ISBN 978-83-64817-03-8